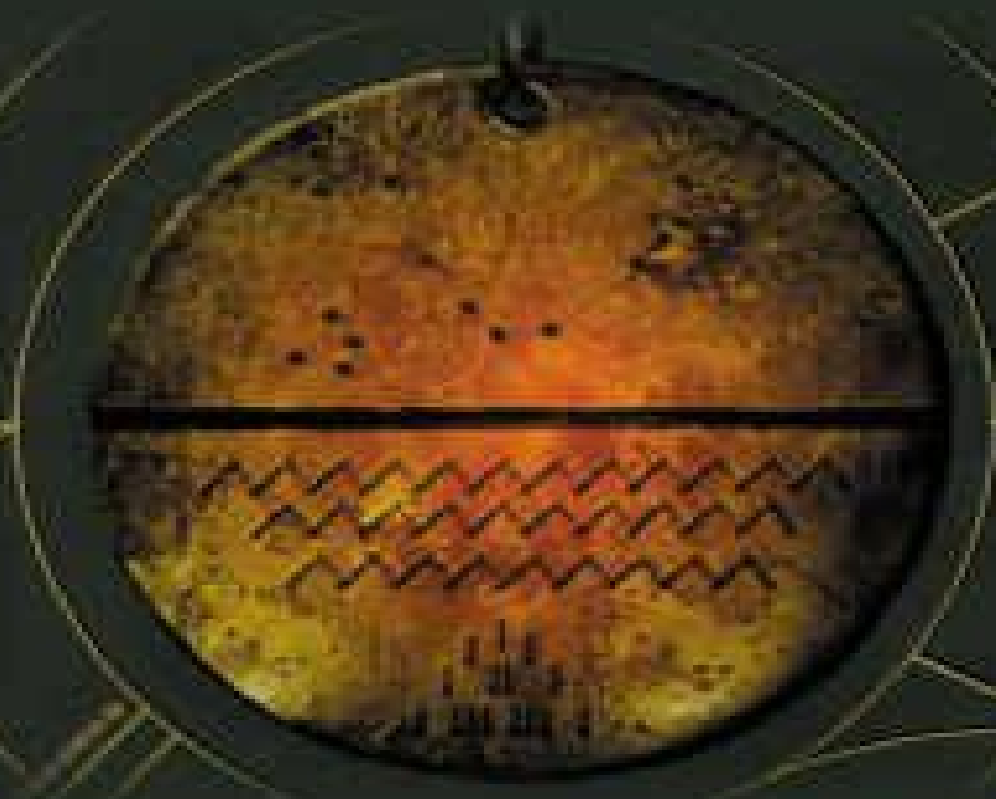


WILLIAM
DIETRICH



PIRAMIDY
NAPOLEONA



WILLIAM

DIETRICH

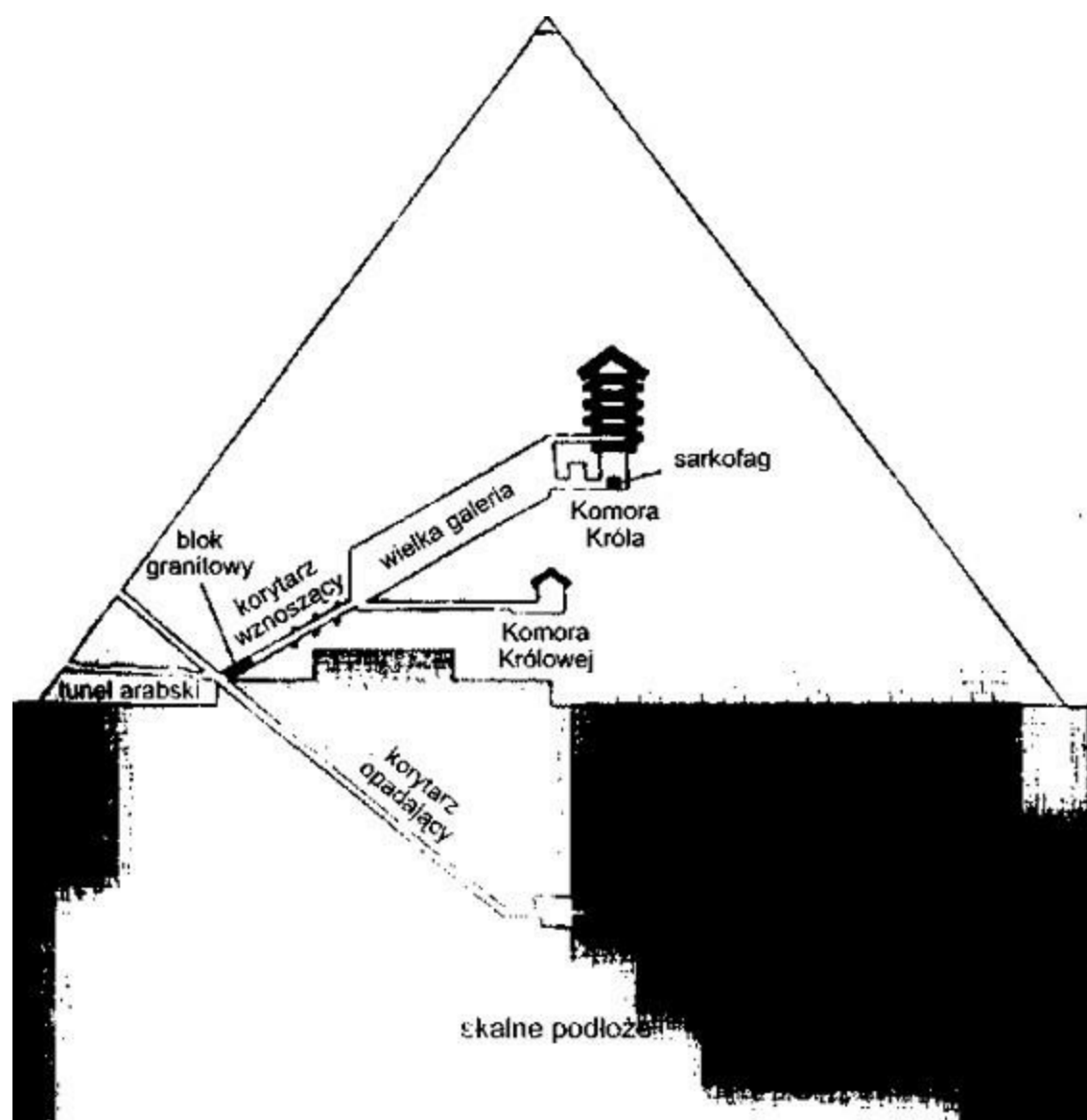
PIRAMIDY

NAPOLEONA

Czymże jest Bóg?

On jest długością, szerokością,
wysokością i głębokością.

św. Bernard z Clairvaux



Komory

Wielkiej Piramidy,

które zwiedzał Napoleon

wierzchołek

ROZDZIAŁ 1

Wszystkie moje kłopoty i zaciągnięcie się w szeregi ludzi biorących udział w tej wariackiej inwazji - co wydało mi się jedynym sposobem wydobywania się z tych tarapatów -

zapoczątkowało szczęście w kartach. Wygrałem pewien drobiazg i niemal straciłem życie, więc wyciągnijcie naukę z tej lekcji. Hazard jest zbrodnią.

Potrafi także człowieka wciągnąć i będę utrzymywał, że jako zjawisko społeczne jest równie naturalny jak oddychanie.

Czyż samo urodzenie człowieka, decydujące o tym, czy będzie królem czy wieśniakiem, nie jest wynikiem rzutu kości fortuny? Podczas Rewolucji Francuskiej, gdy ambitni adwokaci zostawali dyktatorami, a biedny król Ludwik stracił głowę, podniesiono tylko stawki. Za czasu rządów Terroru widmo gilotyny z samego istnienia czyniło sprawę przypadku. Potem, ze śmiercią Robespierre'a, nadeszło szaleństwo ulgi i pora pijanych par tańczących na grobach cmentarza Saint-Sulpice ten modny niemiecki taniec, *waltz*. Teraz, po czterech latach, naród ugrzązł w wojnach, korupcji i poszukiwaniach rozkoszy.

Monotonne i mało urozmaicone ubiory ustąpiły wspaniałym mundurom, niedawną skromność sukien zastąpiły odsłaniające niemal wszystko dekolty, a obrabowane pałace ponownie stały się siedzibą salonów intelektualnych i miejscem, gdzie wszyscy uwodzili wszystkich. Arystokracja straciła swoje pozycje na rzecz stworzonych przez rewolucję nowobogackich. Powstała klika samozwańców

13

„wykwintniś”, paradujących po Paryżu i chełpiących się

„nieprzyzwoitym bogactwem pośród publicznej nędzy”.

Wydawano bale, na których kobiety drwiły z gilotyny, nosząc na szyjach czerwone wstążki. W mieście powstało cztery tysiące szulerni i domów gry - jedne w postaci zwykłych składanych stolików, inne zaś pełne niezwykłego przepychu, pośród którego przekąski podawano na mszalnych patenach, a wygodki były w zamkniętych pomieszczeniach. Mój przyjaciel, amerykański korespondent uważał, że obie praktyki są jednakowo skandaliczne. Wszędzie królowały karty i kości do gry: grywało się w ruletkę, oczko, faraona i biribi. Tymczasem na granicach Francji obozowały nieprzyjacielskie armie, w kraju szalała inflacja, a opustoszałe alejki Wersalu zarastały chwastami. W tych okolicznościach ryzykowanie sakiewki na obstawianie dziewiątki w *chemin-de-fer* wydawało się równie naturalne i głupie jak samo życie. Skądże miałem wiedzieć, że zamiłowanie do zakładów zaprowadzi mnie do Bonapartego?

Gdybym był przesądny, mógłbym zwrócić uwagę na to, że dniem, w którym to wszystko się zaczęło, 13 kwietnia 1798

roku, był piątek. Ale tej wiosny w ogarniętym rewolucją Paryżu, pod rządami Dyrektoriatu, był to dzień dwudziesty czwarty 9 terminala roku VI, a następny dzień odpoczynku miał przypaść nie po dwóch, lecz po sześciu dniach.

Czy jakakolwiek inna reforma była równie niepotrzebna?

Aroganckie wyparcie się chrześcijaństwa przez rząd oznaczało, że tydzień z dotychczasowych siedmiu wydłużył się do dziesięciu dni. Celem zmiany było zastąpienie papieskiego kalendarza nowym, składającym się z dwunastu miesięcy po trzydzieści dni każdy, opartym na rachubie czasu starożytnego Egiptu. Podczas ponurych dni roku 1793 darto karty z Biblii na przybitki do muszkietów, a teraz zgilotynowano tygodnie -

każdy miesiąc podzielono na trzy dekady, rok zaczynał się w dniu jesiennego

ekwinokcjum i dodano do kalendarza pięć dni wolnych, żeby zrównoważyć idealizm z orbitą słoneczną. Zmiana kalendarza nie zakończyła rewolucyjnych zapędów rządu, wprowadzono więc nowy, dziesiętny system miar i wag. Zgłoszono nawet propozycję nowego podziału doby, która miała liczyć dokładnie 100 000 sekund. Rozum, rozum! W rezultacie wszyscy, nawet ja - naukowiec amator, badacz elektryczności, impresario, strzelec wyborowy i idealista demokrata - tęsknili za niedzielami. Nowy kalendarz był czymś w rodzaju skrajnie logicznego pomysłu, narzuconego nam przez uczonych ludzi, którzy kompletnie zignorowali nawyki, emocje i słabości ludzkiej natury - i zapoczątkowali upadek Rewolucji. Czy nie udawali proroków? Mówiąc szczerze, wtedy jeszcze nie umiałem myśleć o opinii publicznej w tak zimny i wyrachowany sposób. Nauczył mnie tego Napoleon.

Nie, wtedy myślałem tylko o kartach. Gdybym był mi-

łośnikiem natury, mógłbym porzucić salony, żeby zachwycać się czerwienią pierwszych pąków, zielenią liści i podziwiać panny w ogrodach Tuileries lub przynajmniej dziwki w Lasku Bulońskim. Ja jednak wybrałem karciane spelunki Paryża, tego wspaniałego i pełnego brudu miasta perfum i zepsucia, pomników i błota. Moją wiosnę rozświetlał blask świec, moimi kwiatami były kurtyzany o tak ryzykownie odsłoniętych wdziękach, że niemal wypadały z obejm, a moimi towarzyszami stali się nowi demokraci spośród polityków, żołnierzy,

wywłaszczonych

arystokratów

i

nowo

wzbogaconych sklepikarzy: sami godni obywatele. Ja sam, Ethan Gage, byłem na tych salonach reprezentantem amerykańskiej demokracji pogranicza. Miałem jaką taką pozycję społeczną i towarzyską dzięki temu, że przez pewien czas pracowałem pod kierunkiem nieodżałowanej pamięci wielkiego Beniamina Franklina. Nauczył mnie o elektryczności tyle,

że

mogłem

zabawiać

zebranych,

wtykając

naelektryzowany cylinder w rączki co ład-

niejszych pań i prosząc panów o złożenie na nich wstrzą-

sającego pocałunku. Zyskałem też sobie pewną sławę, demonstrując celność amerykańskiej rusznicy: pakowałem sześć kul w cynowy talerz z odległości dwustu kroków, a przy odrobinie szczęścia straciłem raz pióropusz z pieroga pewnego generała niedowiarka z odległości pięćdziesięciu kroków.

Trafiały mi się też przypadkowe zyski z pomocy przy zawieraniu kontraktów handlowych pomiędzy zubożałą w czasie wojny Francją a moim własnym, młodym i neutralnym krajem, co było jednak diabelnie ryzykowne, ponieważ rewolucjoniści francuscy mieli brzydki zwyczaj zajmowania amerykańskich statków. Brakowało mi jakiegoś celu w życiu, innego od szukania codziennych rozrywek; byłem jednym z tych beztrosko płynących z prądem fal życia samotników, którzy czekają na szczęśliwy obrót koła fortuny. Tak czy owak, moje dochody nie wystarczały na wygodne życie w nękanym inflacją Paryżu. Spróbowałem więc szczęścia w grze.

Naszą gospodynią była rozmyślnie tajemnicza Madame de Liberte, jedna z tych przedsiębiorczych, pięknych i ambitnych kobiet, które wyłoniły się z fali anarchii, olśniewając wszystkich inteligencją i siłą woli. Któż by się spodziewał, że kobiety potrafią być tak ambitne, przebiegłe i uwodzicielskie?

Wydawała rozkazy jak sierżant, a jednak potrafiła korzystać z kaprysów mody, żeby osłaniać swoje kobiece wdzięki materiałami tak przejrzystymi, iż bystrooki obserwator mógł

zauważyć zarys ciemnego trójkącika wskazującego na świątynię Wenus. Znad krawędzi jej sukni wyglądały sutki, jak dwaj żołnierze wychylający się z okopów, żeby się popisać zuchwałością. Inne panie odsłaniały swoje ciężkie owoce całkowicie i bez reszty. Czy kogokolwiek mogłoby zdziwić, że zaryzykowałem powrót do Paryża? Któż nie pokochałby stolicy kraju, w którym jest trzykrotnie więcej producentów win niż piekarzy? Nie dając się pokonać tym paniom, nie-16

którzy elegancy kawalerowie wiązali żaboty tak wysoko, że sięgały ich dolnych warg, zakładali fraki o jaskółczych ogonach opadających z tyłu do kolan, wdziwiali pończochy gładkie jak poduszeczki łap młodych kociąt, a uszy ozdabiali olśniewającymi złotymi kolczykami.

- Urodę łaskawej pani przewyższa jedynie jej przebiegłość - stwierdził kiedyś jeden z podpitych klientów, handlujący dziełami sztuki jegomość o nazwisku Pierre Cannard, kiedy Madame zabroniła mu podawać koniak.

Ukarała go w ten sposób za to, że rozlał trunek na jej na byty niedawno orientalny dywan, za który zapłaciła sporą sumkę

pewnemu

zrujnowanemu

rojaliście;

chodziło

o ten niemożliwy do podrobienia antyczny wygląd tkaniny, wskazujący na stare bogactwo.

-Monsieur, komplementy nie oczyszczą mojego dywanu.

- A przebiegłości łaskawej pani dorównuje jedynie jej siła, siła upór, a uporowi okrucieństwo. Nigdy więcej koniaku?

Tam, gdzie kobiety są tak bezwzględne, mogą się pokrzepiać jedynie wśród mężczyzn.

- Mówisz, panie, jak nasz wojenny bohater - prychnęła Madame.

- Myślisz, pani, o młodym generale Bonaparte?

- Korsykańska świnia. Gdy prześwietna Germaine de Stael zapytała zuchwalca, jakie kobiety podziwia najbardziej, Bonaparte odpowiedział, że te, które są najlepszymi gospodyniami.

Zebrani zareagowali wybuchem śmiechu.

- W rzeczy samej! - zawołał Cannard. - On jest Włochem i wie, gdzie jest miejsce kobiety!

- Więc ona próbowała raz jeszcze, pytając, która kobieta powinna przewodzić wśród swojej płci. A ten drań odparł, że ta, co urodziła najwięcej dzieci.

Ryknęliśmy śmiechem, ale ta reakcja ujawniła nasze rozterki. Właśnie, jakież było miejsce kobiety w rewolu-17

cyjnym społeczeństwie? Otrzymały one prawa, nawet do rozwodu, ale nie ulegało wątpliwości, że sławny od niedawna Napoleon był tylko jednym z milionów reakcjonistów, którzy woleliby to wszystko odwołać. Gdzież, na przykład, było miejsce mężczyzny? Co miał racjonalizm wspólnego z tak ukochanymi przez Francuzów flirtami i romansami? Jakież były punkty styżne nauki z miłością czy równości z ambicją albo wolności z chęcią podbojów? Wszyscy w roku VI miewaliśmy takie myśli.

Madame de Liberte wynajmowała apartament na pierwszym piętrze nad sklepem modystki; umeblowała go na kredyt i tak pospiesznie, że wyczuwałem zapach kleju do tapet górujący nad wonią perfum i tytoniowego dymu. Miękkie kanapki zapraszały pary do wymiany uścisków. Aksamitne kotary obiecywały zmysłowe wrażenia. Nowe pianino, bardziej modne niż ulubiony przez starą arystokrację klawesyn, brzmiało mieszanką symfonicznych i patriotycznych utworów.

Bywali tu szulerzy i wydrwigrosze, damy szukające miłostek, prostytutki, urlopowani oficerowie, ludzie pióra, kupcy usiłujący zarobić na plotkach, pisarze, niedawno mianowani nabzdyczeni biurokraci, donosiciele, kobiety szukające bogatych lub wpływowych małżonków, zrujnowani magnaci; wszystkich ich można było tu znaleźć. Wśród stłoczonych przy stoliku do gry można było znaleźć polityka, jeszcze przed ośmioma miesiącami jedzącego więzienną strawę, pułkownika, który stracił ramię podczas rewolucyjnego podboju Niderlandów, handlarza winami, zbijającego fortunę

na zaopatrzeniu restauracji pozbawionych dawnej arystokratycznej klienteli, i kapitana z włoskiej armii Bonapartego, tracącego pieniądze równie szybko, jak przedtem je grabił.

I wreszcie mnie samego. Przez trzy lata poprzedzające francuską rewolucję byłem paryskim sekretarzem Franklina, wróciłem do Ameryki, żeby zająć się handlem futrami, przez pewien czas w dniach największego terroru jakobi-18

nów zarabiałem na życie jako agent portowy w Londynie i Nowym Jorku, a teraz wróciłem do Paryża, licząc na to, że moja płynna francuszczyzna pomoże mi pośredniczyć w korzystnych transakcjach dotyczących handlu drewnem, jutą i tytoniem z urzędnikami Dyrektoriatu. Podczas wojny zawsze można się szybko wzbogacić. Spodziewałem się także, że zdobędę szacunek jako „elektryk” - było to nowe i egzotyczne słowo - i uda mi się zaspokoić ciekawość Franklina dotyczącą tajemnic masonów. Napomykał, że mogą mieć oni jakieś polityczne powiązania. Istotnie, niektórzy utrzymywali, że Stany Zjednoczone zostały utworzone przez masonów dla realizacji jakiegoś tajemniczego i jeszcze nieznanego celu i że Amerykanie są narodem mającym do wykonania jakąś historyczną misję. Moje handlowe plany unicestwiła brytyjska blokada. Jedyne, czego rewolucja nie potrafiła zniszczyć, to rozmiary i wszechobecność francuskiej biurokracji: łatwo było o audiencję, ale uzyskanie pozytywnej odpowiedzi stało się fizyczną niemożliwością. Wskutek tego miałem mnóstwo czasu pomiędzy jedną a drugą wizytą w rozmaitych urzędach i mogłem się zajmować innymi sprawami - na przykład hazardem.

Był to dość przyjemny sposób spędzania czasu. U Madame de Liberte wina były znośne, sery wyborne, a światło świec przydawało każdej twarzy uroku, czyniąc z kobiet piękności.

Tamtego dnia - przypominam, piątek trzynastego - moim problemem nie była przegrana, ale wygrana. W tym czasie rewolucyjne asygnaty i weksle stały się bezwartościowymi śmieciami i na stołach gry rzadko się pojawiały. Mój łup składał się więc nie tylko ze stosu złotych i srebrnych franków, ale był w nim i znaczny rubin oraz prawo własności do opuszczonej posiadłości ziemskiej pod Bordeaux, której nie zamierzałem nawet odwiedzać, chcąc jak najszybciej sprzedać ją komuś innemu, i drewniane żeto-19

ny, które można było wymienić na metal, trunek lub kobietę.

Na zielonym suknie przede mną wylądował nawet nielegalny złoty ludwik czy dwa. Miałem takie szczęście, że grający ze mną pułkownik oskarżył mnie o chęć pozbawienia go drugiej ręki, kupiec lamentował, iż nie mógł mnie skusić do pijaństwa, a polityk zapragnął się dowiedzieć, kogo chciałbym przekupić.

- Po prostu liczę karty po angielsku - zażartowałem, ale kiepsko to wyszło, bo Anglia, jak mówiono, miała być następnym celem ataku Bonapartego po jego zwycięskim powrocie z Italii. Podobno obozował gdzieś w Bretanii, ga pił się na deszcz i słał w niebo życzenia, żeby diabli wzięli angielską flotę.

Kapitan wyciągnął kartę, rozważył szanse i poczerwieniał, a barwa jego policzków zdradziła wynik rozmyślań.

Przypomniała mi się opowieść o zgilotynowanej głowie Charlotte Corday, która - jak mówiono - poczerwieniała ze wstydu, gdy kat ją spoliczkował w obliczu tłumów. Rozpętała się wtedy naukowa debata dotycząca momentu śmierci. Żeby ją rozstrzygnąć, niejaki doktor Xavier Bichat brał ciała spod gilotyny i usuwał ożywić mięśnie, tak jak to czynił Włoch Galvani z zabitymi udkami.

Kapitan chciał podwoić stawkę, czemu na przeszkodzie stanęła próżnia w jego sakiewce.

- Amerykanin zabrał wszystkie moje pieniądze! - Po nieważ ja byłem na rozdaniu, spojrzał na mnie. - Panie, poproszę o kredyt dla dzielnego żołnierza.

Nie miałem ochoty ryzykować finansowego sporu z hazardzistą, który się podniecił, ujrawszy dobre karty.

- Ostrożny bankier poprosiłby o zastaw.

- Mam zastawić konia?

- Po co mi koń w Paryżu?

- Moje pistolety? Szpada?

- Łaskawy panie, nie chcę narażać na szwank pańskiego honoru.

Przez chwilę ponuro przyglądał się trzymanym w dłoni kartom. I nagle przyszła mu do głowy myśl z tych, które zwiastują kłopoty dla wszystkich w pobliżu.

- Mój medalion!

- Co takiego?

Zamiast odpowiedzieć, kapitan wyciągnął duży i ciężki medalion, który do tej pory trzymał pod koszulą. Był to zawieszony na łańcuszku złoty dysk z dziurką pośrodku, zryty i poznaczony osobliwymi liniami i otworkami, z dwoma ramionami zwisającymi zeń niczym gałązki. Wyglądał na poobijany i potłuczony, jakby wykuto go na kowadle samego Thora.

- Znalazłem go w Italii! Spójrz, panie, na jego starożytny wygląd, i zechciej go zważyć w dłoni. Strażnik więzienny, któremu go zabrałem, twierdził, że należał do samej Kleopatry!

- Ona mu to powiedziała? - zapytałem z kpina w głosie.

- Nie, usłyszał to od hrabiego Cagliostro.

To obudziło moją ciekawość.

- Cagliostro? - Sławny uzdrowiciel, alchemik i bluźnierca, niegdyś bywalec wszystkich niemal dworów europejskich, został uwięziony w papieskiej twierdzy San Leo, gdzie umarł, popadłszy w obłąd, w roku 1795. Oddziały rewolucjonistów zajęły tę fortecę w ubiegłym roku. Przed z górą dziesięć laty alchemik zaangażował się w sprawę naszyjnika, co przyspieszyło wybuch rewolucji, ukazując głupotę i chciwość monarchii. Maria Antonina darzyła tego człowieka serdeczną nienawiścią, nazywając go czarownikiem i oszustem.

- Hrabia chciał tym medalionem przekupić strażnika, żeby ten pomógł mu w ucieczce - ciągnął kapitan. - Dozorca to potwierdził i gdy zajęliśmy fort, ja zabrałem mu ten dysk. Być może ma jakąś moc i jest bardzo stary, pochodzi sprzed kilkuset lat. Sprzedam ci go, panie, za... -

łypnął okiem na leżący przede mną stos złota i srebra -...za tysiąc franków.

- Kapitanie, raczy pan żartować. To interesująca zabawka, ale...

-Pochodzi z Egiptu! Dozorca mówił, że to święty przedmiot!

- Powiada pan, z Egiptu? - odezwał się ktoś głosem wielkiego kota, dobrze wychowanego i lekko rozbawionego.

Podniósłszy wzrok, ujrzałem hrabiego Alessandra Sila-na, italsko-francuskiego

arystokratę, który stracił podczas

rewolucji majątek i przefarbowawszy się na demokratę, według plotek usiłował zbić drugą fortunę, odgrywając znaczną rolę w rozmaitych intrygach politycznych. Powiadano też, że Silano pracował ostatnio dla Talleyranda, który niedawno odzyskał

pozycję i został szefem francuskiej dyplomacji. Utrzymywał

też, że sam jest miłośnikiem tajemnic starożytności, tak jak Cagliostro, Kolmet czy Saint-Ger-main. Charakterystykę tego człowieka należałoby uzupełnić pogłoskami - prawda, że niewielu odważało się je powtarzać - że jego rehabilitacja w rządowych kręgach ma coś wspólnego z mrocznymi sztukami.

Podsyczał te plotki, chełpiąc się przy kartach, że swoje szczęście wspomaga czarami. Przegrywał jednak równie często, jak wygrywał, i nie wiadano, czy traktować te przechwałki poważnie.

- Tak, panie hrabio - stwierdził kapitan. - Pan przede wszystkim powinien rozpoznać wartość medalionu.

-Naprawdę? - Poruszający się z kocią gracją hrabia zajął

miejsce przy stole. Był to człek o posępnej twarzy ze zmysłowymi ustami i gęstych brwiach nad ciemnymi oczami.

Urodziwy niby bożek Pan podobnie jak osławiony magnetyzer Mesmer potrafił czarować kobiety.

- Mam na myśli pańską pozycję w zakonie obrządku koptyjskiego.

Silano kiwnął głową.

-1 mój czas spędzony na badaniach w Egipcie. Kapitan Bellaire, nieprawdaż?

- Zna mnie pan, hrabio?

- Z towarzyszącej pańskiemu nazwisku sławy dzielnego żołnierza. Pilnie śledziłem nadchodzące z Italii biuletyny.

Jeżeli zechce pan przyjąć moje wsparcie, przyłączę się do pańskiej gry.

Kapitan poczuł się mile połączony.

- Ależ oczywiście!

Silano więc usiadł, a wokół stołu zebrał się wianuszek kobiet zwabionych jego reputacją kochanka, pojedynkowi-cza, hazardzisty i szpiega. Powiadano także, iż należał do masonskiego zakonu rytu egipskiego, który przyjmował

kobiety i mężczyzn. Członkowie takich heretyckich stowarzyszeń zabawiali się uprawianiem rozmaitych okultystycznych obrzędów i po świecie krążyły barwne opowieści o mrocznych ceremoniach, pełnych nagości orgiach czy krwawych ofiarach. Być może dziesiąta część tych plotek była prawdziwa. Egipt wciąż uważano za źródło mądrości starożytnych i wielu mistyków przyznawało, że w tajemniczych pielgrzymkach odkrywali tam sekrety dające im dostęp do różnego rodzaju mocy. Rezultatem tego wszystkiego był wzrost popularności starych przedmiotów pochodzących z kraju zamkniętego dla większości Europejczyków od czasu, gdy jedenaście wieków wcześniej podbili go Arabowie.

Powiadano też, że Silano studiował w Kairze, zanim władający krajem mamelucy zaczęli nękać kupców i uczonych.

Kapitan pospiesznym skinieniem głowy ugruntował

ciekawość Silana.

- Strażnik powiedział mi, że ostatecznie ramiona mogą wskazać drogę do wielkiej mocy! Człek tak uczony jak pan, hrabio, mógłby coś z tego zrozumieć.

-Albo zapłacić za jakąś bzdurę. Niechże mi pan pozwoli to obejrzeć.

Kapitan zdjął medalion z karku.

- Proszę popatrzeć, jakież to dziwo.

Silano ujął medalion długimi, mocnymi palcami szermierza i odwrócił, żeby obejrzyć krążek z obu stron. Dysk był nieco większy niż opłatek komunijny.

- Nie dość ładny dla Kleopatry. - Kiedy podniósł go ku świecy, światło przepłynęło przez otworki. Na obrzeżu kręgu widać było wyryty w nim rowek. - Skąd pan wie, że to pochodzi z Egiptu? Wygląda tak, że mógł zostać wykuty wszędzie... w Asyrii, w imperium Azteków, w Chinach, a nawet w Italii.

- Nie, nie, ten dysk ma tysiące lat! Pewien król Cyganów powiedział mi, żebym poszukał w San Leo, gdzie umarł

Cagliostro. Choć niektórzy mówią, że on wciąż jeszcze żyje jako guru w Indiach.

- Król Cyganów. Kleopatra. - Silano oddał medalion właścicielowi. - Panie, powinienesz pisać sztuki teatralne. Ale kupię to od ciebie za dwieście franków.

- Dwieście?

Arystokrata wzruszył ramionami, nie odrywając jednak spojrzenia od medalionu.

Zainteresowanie Silana wzmogło moją ciekawość.

- Mówiłeś, panie, że zamierzasz sprzedać go mnie?

Kapitan kiwnął głową. Obudziła się w nim nadzieja, że obaj połknęliśmy haczyk.

- W rzeczy samej! Medalion pochodził od faraona, który być może więził Mojżesza!

- Więc dam panu trzysta franków.

- Przebijam do pięciuset - odezwał się Silano.

Wystarczy, że ktoś czegoś zapagnie, a inni zapagną tego samego.

- Dam panu siedemset pięćdziesiąt - podniosłem ofertę.

Kapitan spoglądał na nas, przenosząc wzrok z Silana na mnie i z powrotem.

- Siedemset pięćdziesiąt i ta asygnata na tysiąc liwrów.

- Co oznacza siedemset pięćdziesiąt i coś, co podlega takiej inflacji, że równie dobrze można sobie tym pode trzec tyłek - sparował Silano. - Dam panu tysiąc franków, kapitanie.

Pierwotna cena została osiągnięta tak szybko, że kapitana opadły wątpliwości. Podobnie jak mnie samego, zainteresował

go nagły zapal Silana. Hrabia chciał zapłacić więcej, niż wynosiła wartość czystego złota, z którego wykuto medalion.

Kapitan zaczął chować krążek pod koszulą.

- Ofiarowałeś mi go, panie, za tysiąc - odezwałem się. -

Jako człowiek honoru dotrzyma pan słowa albo zrezygnuje z gry. Zapłacę za tę błyskotkę tyle, ile żądasz, i w godzi nę odegram od pana te pieniądze.

To już było wyzwanie.

- Zgoda - powiedział jak żołnierz broniący honoru pułku. - Skończmy to rozdanie, a w kilku następnych to ja odegram medalion od ciebie, panie.

Nie mogąc niczego wskórać - bo transakcja nagle przekształciła się w *affaire d'honneur* - Silano westchnął bezradnie.

- Ale przynajmniej niechże mi pan da karty - zwrócił

się do mnie.

Zdumiało mnie, że poddał się tak łatwo. Być może chciał

tylko wesprzeć kapitana przez oskubanie mnie z części wygranej. A może postanowił zawierzyć swojemu szczęściu.

Jeżeli na to liczył, doznał rozczarowania. Nie mogłem przegrać. Żołnierz wyciągnął jednaście kart, a potem przegrał

trzy kolejne rozdania, obstawiając ryzykowne układy, bo był

zbyt leniwy, żeby uważać na to, które karty zeszyły.

- Przekleństwo! - warknął w końcu. - Masz, panie, dia belne szczęście. Przegrałem tyle, że trzeba mi będzie wrócić do służby i ruszyć na wojnę!

- To zaoszczędzi panu kłopotów z myśleniem.

Kapitan skrzywił się, gdy wkładałem łańcuszek z me-25

dalionem na szyję. Wstałem od stołu, żeby napić się wina i pokazać dysk damom, jakby to była błyskotka wygrana na wiejskim jarmarku. Z tym wszystkim jednak poczułem, że kilka występów zawadza o żabot, więc w końcu wetknąłem go pod koszulę.

Zaraz potem zbliżył się do mnie Silano.

- Jest pan człowiekiem Franklina, nieprawdaż?

- Miałem honor służenia temu mężowi stanu.

- Więc może zrozumie pan moje czysto intelektualne zainteresowanie. Jestem zbieraczem antyków. Nadal gotów jestem odkupić od pana tę błyskotkę.

Chwilkę wcześniej pewna kurtyzana o chwytnym imieniu Minette, szepnęła mi już kilka słów o tym, że moja błyskotka bardzo jej się spodobała.

-Monsieur, bynajmniej nie zlekceważyłem pańskiej oferty, zdecydowałem jednak, że o starożytnej historii porozmawiam w buduarze pewnej damy.

Minette wyszła już przodem, żeby ogrzać swój aparta-mencik.

- Rozumiem pańską chęć poznania. Czy nie zechciałby pan jednak zasięgnąć opinii prawdziwego eksperta? Ten interesujący medalion ma ciekawy kształt i pokrywają go intrygujące znaki. Ludzie, którzy studiowali sztukę staro-

żytnych...

- ...potrafią zrozumieć, jak inni cenią ten nowy nabytek.

Silano pochylił się ku mnie.

- Monsieur, będę nalegał. Zapłacę podwójną cenę.

Nie spodobała mi się jego natarczywość. Przepelniające go poczucie wyższości drażniło moją amerykańską dumę. Co więcej, przyszło mi do głowy, że skoro Silano tak bardzo pragnie posiadać ten medalion, jego wartość może być znacznie wyższa.

-A ja będę nalegał, żeby uznał pan moją wygraną i przyjął

zapewnienie, iż moja współpracowniczka, która też ma **26**

ciekawe kształty, zapewni mi taką ekspertyzę, jakiej zażądam.

- Zanim mój interlokutor cokolwiek odpowiedział, ukloniłem się i odszedłem.

Z boku zaszedł mnie kapitan, który zdążył się już upić.

- Odrzucenie propozycji Silana było niemądre.

- A przecież utrzymywał pan, że zgodnie z relacją króla Cyganów i tego więziennego dozorca, ten medalion ma wielką wartość.

Na twarz oficera wypełznął złośliwy uśmieszek.

- Nie dodałem, iż oni mnie ostrzegali, że ten przedmiot jest przeklęty.

ROZDZIAŁ 2

Była to dość żalosna próba wzięcia odwetu w słowach.

Ukłoniłem się Madame i wyszedłem na zewnątrz, zanurzając się w nocnym mroku, który nowa era mgieł przemysłowych czyniła jeszcze bardziej gęstym. Na zachodzie widać było czerwonałą poświatę szybko rozrastających się paryskich przedmieść, na których powstawały coraz liczniejsze fabryki i fabryczki. Nieopodal drzwi sterczał liczący na zysk nosiciel latarni, pogratulowałem więc sobie w duchu szczęścia. Jego skryta pod kapturem twarz wydała mi się jednak niezbyt europejska - gdyby mnie zapytano, rzekłbym, że jest Marokańczykiem szukającym zarobku przy pomocniczych zajęciach, jakie mógł w Paryżu znaleźć obcokrajowiec.

Ujrzawszy mnie, skłonił się lekko i odezwał z arabskim akcentem:

- Panie, wyglądacie na człowieka, któremu sprzyja fortuna.

- Zamierzam jeszcze skorzystać z jej łask. Chciałbym, przyjacielu, żebyś mnie odprowadził do mojego mieszkania, a potem dalej, do apartamentu pewnej damy.

- Dwa franki?

- Trzy, jeżeli zdołasz mnie przeprowadzić tak, bym nie musiał brnąć przez kałuże.

Światło po nocy było niezbędne, jako że rewolucjoniści przejawiali wielki zapał we wszystkim oprócz sprzątnięcia ulic i naprawy bruków. Rury odpływowe były pozatykane, uliczne latarnie paliły się dość nikłym blaskiem, a ulicz-

ne dziury były coraz liczniejsze i większe. Dodatkową trudnością było to, że rewolucyjne rządy nieustannie obdarzały ulice nowymi bohaterskimi patronami i wszyscy bez przerwy się gubili. Mój przewodnik ruszył więc przodem, oburącz unosząc latarnię na długim kijku. Spostrzegłem, że drzewce, z którego zwisała, było misternie rzeźbione i karbowane dla lepszego uchwytu, a sama osłona mocowana na gałce w kształcie głowy węża. W pysku gada tkwił jej uchwyt.

Domyśliłem się, że to dzieło sztuki pochodzi z ojczyzyny nosiciela.

Przede wszystkim odwiedziłem moje mieszkanie, żeby ukryć niemal całą wygraną. Nie zamierzałem

zabierać wszystkiego do apartamentu damy lekkich obyczajów, a wzięwszy pod uwagę zainteresowanie, jakie wzbudził

medalion, postanowiłem ukryć i tę zdobycz. Nad miejscem ukrycia zastanawiałem się przez kilka minut, podczas których nosiciel cierpliwie czekał na ulicy. Potem mrocznymi paryskimi ulicami ruszyliśmy do Minette.

Choć miasto kusilo wspaniałością i splendorem, przypominało kobietę w wieku, w którym nie należy się jej przyglądać z bliska. Reprezentacyjne stare domy miały okna i drzwi zabite deskami. Ciemne okna opuszczonego pałacu Tuileries wyglądały jak martwe źrenice. Klasztory legły w gruzach, kościoły pozamykano i wydawało się, że od zdobycia Bastylli w całym Paryżu nie zużyto nawet jednego wiadra farby. O ile mogłem stwierdzić, poza tym, że rewolucja błyskawicznie napełniała kieszenie generałów i polityków, wszystkim innym przyniosła ekonomiczną klęskę; niewielu Francuzów ośmielało się przyznać to otwarcie, ponieważ władze miały swoje sposoby na ukrywanie błędów. Jeden Bonaparte będący przedtem mało znanym oficerem artylerii zebrał owoce ostatniego rewolucyjnego porywu, któremu zawdzięczał wyniesienie na szczyty władzy.

Minęliśmy plac, na którym stała zburzona Bastylia. Od **29**

zdobycia królewskiego więzienia za dni Terroru ścięto blisko siedemnaście tysięcy ludzi, dziesięciokroć więcej uciekło za granicę, a na miejsce jednej Bastylli wzniesiono siedemdziesiąt pięć nowych gmachów więziennych. A jednak bez śladu ironii w miejscu, na którym stała Ba-stylia, zbudowano Fontannę Odrodzenia - rozpartą na tronie Izydę, z której piersi, gdy urządzenie było sprawne, tryskały strumienie wody. W oddali widziałem bliźniacze wieże Notre Dame, którą przemianowano na Świątynię Rozumu - mówiono, że zbudowano ją na miejscu dawnej rzymskiej świątyni poświęconej tejże bogini egipskiej.

Czy ten widok powinien wzbudzić we mnie jakieś przeczucie?

Niestety, rzadko dostrzegamy to, co powinniśmy widzieć.

Płacąc latarniarzowi, zauważyłem, że zwlekał z odejściem, gdy wchodziłem do środka.

Wspiąłem się po trzeszczących i śmierdzących uryną schodach do mieszkania Minette. Urządziła sobie apartament na niezbyt szykownym trzecim piętrze, tuż pod strychem, zajmowanym przez służące i artystów. Wysokość wskazywała na nie najlepszy stan interesów kurtyzany, choć gospodarka rewolucyjna kurtyzanom nie dała się we znaki tak bardzo jak perukarzom czy malarzom specjalizującym się w złoceniach.

Dziewczyna zapaliła świecę, której blask odbijał się w miedzianej misie, używanej przez Minette do mycia ud.

Czekała na mnie odziana w prostą białą, luźną sukienkę, której koronkowe wycięcie było już częściowo rozsznurowane, co zapraszało do dalszej eksploracji. Gdy podeszła do mnie z powitalnym pocałunkiem, wyczułem w jej oddechu alkohol i lukrecję.

- Czy przyniosłeś mi mój maleńki prezent? Przyciągnąłem ją, przyciskając jej biodra do swoich.

- Powinnaś go wyczuć.

- Nie. - Wydęła usteczka i przyłożyła dłoń do mojej piersi. - Powinien być tu, przy twoim sercu. - Musnęła palcami miejsce, gdzie na mojej piersi powinien leżeć złoty-30

ty dysk, jego ramiona i złoty łańcuch. - Chciałam go nosić dla ciebie.

- Nie ryzykować, że się pokłujemy? - Ponownie ją pocałowałem. - A zresztą niebezpiecznie obnosić się z takimi cennymi przedmiotami po nocy.

Jej dłonie przesunęły się po moim torsie, jakby Minette chciała się upewnić, że w istocie nie mam medalionu.

- Miałam nadzieję, że jesteś odważniejszy.

- Zagramy o niego. Jak wygrasz, przyniosę ci go przy następnej wizycie.

- Jakie zasady? - zapytała, przeciągając pytanie jak wy-trawna kurtyzana.

- Przegrywa ten, kto pierwszy poprosi o pardon.

Poruszyła głową, muskając włosami moją szyję.

- A jaką bronią walczymy?

- Dowolną. - Przegiąłem ją lekko w tył, tak że straciła równowagę, i jedną nogą zatrzymałem od tyłu jej kostki, po czym położyłem ją na łożu. - *En garde!*

Zwyciężyłem w naszym bezkrwawym pojedynku, potem na jej usilne żądanie stoczyliśmy bój odwetowy, który też wygrałem, i jeszcze jeden, aż zaczęła jęczeć. Prawdę rzekłszy, sądziłem, że wygrał - z kobietami nigdy nic nie wiadomo.

Ale spała o świcie, gdy wyniosłem się po cichu, zostawiając na poduszce srebrną monetę. I oczywiście dołożyłem drewna na kominek, żeby nie zmarzła przy wstawaniu.

Niebo szarzało, nosiciele latarni wrócili do domów, a Paryż powoli budził się ze snu. Po ulicach wlokły się powoli wózki śmieciarzy. Deskarze żądali zapłaty za tymczasowe mostki, które przerzucali nad rynsztokami pełnymi śmierdzącej wody.

Nosiwodowie dźwigali konwie, zatrzymując się u bram co lepszych domów. Okolica, gdzie mieszkałem przy Saint-Antoine, nie była specjalnie wytworna, ale też nie cieszyła się żadną złą sławą; mieszkali

tu biegli rzemieślnicy, kapelusznicy, ślusarze i mistrzowie tapicerki. Czysze były tu stosunkowo niskie z powodu zapachu niosącego się od pobliskich browarów i farbiarni.

Wszystko zaś razem spowijała charakterystyczna dla Paryża mieszana woń dymu, pieczywa i gnoju.

Zadowolony z rozkosznie spędzonej nocy wspiałem się po schodach do mojego mieszkania, zamierzając się wylegiwać przynajmniej do południa. Kiedy otworzyłem drzwi i wkroczyłem do ciemnego jeszcze pokoiku, postanowiłem nie zapalać świecy, tylko dotrzeć do łóżka po omacku.

Zastanawiałem się przy tym leniwie, czy gdybym oddał

medalion do lombardu, to - biorąc pod uwagę zainteresowanie Silana - nie mógłbym sobie pozwolić na lepszą kwatere.

I wtedy poczułem, że oprócz mnie ktoś jeszcze jest w mieszkaniu. Odwróciłem się, żeby stanąć twarzą do kryjącego się w cieniu nieco bardziej gęstego cienia.

- Kto tu jest?

Poczułem podmuch powietrza i instynktownie się uchyliłem. Coś świsnęło mi obok ucha i walnęło mnie w ramię.

Narzędzie było tępe, ale cios bolesny. Opadłem na kolana.

- Co, u diabła?

Ktoś znowu walnął mnie czymś ciężkim i padłem na bok oszołomiony bólem. Nie byłem na to przygotowany.

Wymierzyłem na oślep desperackiego kopniaka, który trafił w czyjąś kostkę, wywołując satysfakcjonujące mnie stęknienie.

Przewinałem się w bok i sięgnąłem ręką na oślep, chwytając czyjąś łydkę. Szarpnąłem ku sobie, powalając przeciwnika na ziemię obok siebie.

- *Merde* - warknął.

Dostałem pięścią w twarz, gdy splątany z przeciwnikiem usiłowałem uwolnić pochwę tak, żebym mógł wyciągnąć swój rapier. Czekałem na pchnięcie nożem, ale zamiast tego napastnik chwycił mnie za gardło.

- Ma to ze sobą? - zapytał inny głos.

Ilu ich tu było?

Uwolniłem ramię, bark i założywszy mu „krawat”, zdo-

łałem uderzyć draba w ucho. Przeciwnik ponownie zaklął.

Szarpnąłem w bok i walnąłem jego głową o podłogę.

Wierzgając rozpaczliwie nogami, przewróciłem krzesło, które upadło z głośnym łoskotem.

- Monsieur Gage! - dobiegł mnie okrzyk z dołu. - Co pan tam wyprawia? - Madame Durrell, właścicielka domu.

- Pomocy! - wrzasnąłem, a raczej boleśnie stęknąłem.

Przeturlałem się w bok, wyciągnąłem wreszcie spod siebie pochwę i spróbowałem wyjąć broń. - Złodzieje!

- Na miłość boską, rusz się! - warknął mój prześladowca do swojego pomocnika.

- Nie widzę jego głowy. Nie możemy go zabić, chyba żebyśmy musieli!

A potem coś mnie walnęło w łeb i cały świat utonął w czerni.

Ocknąłem się kompletnie oszołomiony, z głową wtuloną w deski podłogi. Obok mnie kucnęła Madame Durrell, jakby chciała obmacać nieboszczyka. Kiedy przewróciła mnie na plecy i jęknąłem, zachnęła się i cofnęła.

- Panie!

- *Oui*, to ja - jęknąłem, usiłując sobie przypomnieć, co się stało.

- Niechże pan na siebie popatrzy! Pan jeszcze żyje?

Dlaczego ona pochylała się nade mną? Jej płomieniście rude włosy zawsze mnie trochę niepokoiły, bo wyglądały niczym płatanina drutów albo ściśniętych sprężyn, gotowych przy lada okazji rozprysnąć się na wszystkie strony. Czyżby chodziło jej o czynsz? Ten zmieniający się nieustannie kalendarz zawsze mi sprawiał kłopoty. I nagle przypomniałem sobie napaść.

- Powiedzieli, że nie chcą mnie zabijać.

- Jak pan tu śmiał zaprosić takich łajdaków? Myśli pan, że tu, w Paryżu, może pan wyprawiać takie brewerie jak w tej swojej amerykańskiej dziczy? Zapłaci mi pan za wszystkie naprawy... do ostatniego *sou*!

Wciąż jeszcze lekko się chwiejąc, podniosłem się do pozycji półleżącej.

- A co, są jakieś uszkodzenia?

- Całe mieszkanie splądrowano, zniszczone takie dobre łóżko! Wie pan, ile za taki mebel trzeba dziś zapłacić?

Teraz dopiero zacząłem cokolwiek pojmować, usiłując jakoś przebić się przez huk wypełniających mi łeb gongów.

- Madame, zostałem poszkodowany bardziej od pani.

Napastnicy zabrali mój rapier. I bardzo dobrze, ponieważ właściwie nosiłem go tylko na pokaz: nie umiałem go używać i tylko mnie irytował, obijając się o nogi. W razie potrzeby wybrałbym rusznicę albo mój indiański tomahawk. Nauczyłem się używać tego toporka, kiedy handlowałem futrami, i wiedziałem, że może być doskonałym orężem. Można nim też było ściąć i ostrugać kołek, użyć go jako młotka, ogolić się i obciąć nim włosy, zdjąć skalp lub przeciąć linę. Nie mogłem zrozumieć, jak Europejczycy radzili sobie bez tomahawków.

- Kiedy zapukałam do drzwi, pańscy kompani powiedzieli, że pan się łajdaczył i wrócił pijany! I nie może pan wstać!

- Madame Durrell, to nie byli moi kompani tylko złodzieje.

- Rozejrzałem się dookoła. Otwarte już okiennice wpuszczały światło dnia do pokoju, który wyglądał, jakby wybuchła w nim kula artyleryjska. Wszystkie szafki pootwierano, a ich zawartość barwną lawiną wylała się na podłogę. Przewrócono kredens. Wszędzie latały kawałki pierza z delikatnego, puchowego materaca. Książki z niewielkiej biblioteczki leżały porozrzucane. Wygrana z po-34

przedniego wieczoru zniknęła - ukryłem ją w podarowanym mi przez Franklina egzemplarzu traktatu Newtona o optyce.

Ponieważ Franklin i tak nie spodziewał się, że będę czytał to wiekopomne dzieło, pieczołowicie wyciąłem środek, wykorzystując puste miejsce na - teraz pustą - skrytkę.

Rozdarto mi też koszulę do pępka, z pewnością nie po to, żeby podziwiać mój goły tors. - Napadnięto mnie.

- To był napad? Powiedzieli, że pan ich zaprosił.

- Kto tak powiedział?

- Nie wiem. Wyglądali na żołnierzy, łotrzyków, może włóczęgów. Mieli kapelusze, czapki i ciężkie buty. Powiedzieli mi, że posprzeczaliście się przy kartach i że pan zapłaci za szkody.

- Madame, niewiele brakło, a zostałbym zamordowany.

Przez całą noc byłem poza domem, wróciłem rano, zaskoczyłem złodziejasków i ogłuszyli mnie, żeby uciec.

Choć nie bardzo wiem, co mogliby tu ukraść. - Zerknąłem na boazerię i zobaczyłem, że niektóre płytki podważono. Czy moja ukryta za nimi rusznica była bezpieczna? Potem spojrzałem na nocnik pełen jak przedtem. Dobra nasza.

- Właśnie, po co złodzieje mieliby okradać takiego osobnika jak pan? - Zmierzyła mnie sceptycznym spojrzeniem.

- Amerykanie! Wszyscy wiedzą, że jesteście bez grosza.

Postawiłem stół i usiadłem na nim ciężko. Miała rację.

Każdy sklepikarz w sąsiedztwie mógłby powiedzieć złodziejom, że jestem jego dłużnikiem. Musiało im chodzić o moją wygraną i o medalion. Byłbym bogaty do następnej gry.

Ktoś z tamtej spelunki przyszedł tu za mną, wiedząc, że wkrótce opuszczę mieszkanie i udam się do Minette. Kapitan?

Silano? Zaskoczył ich mój powrót nad ranem. A może czekali na mnie, nie znalazłszy tego, czego szukali? A kto znał moje miłosne plany? Po pierwsze Minette. Dość szybko mnie dopadła. Czyżby sprzymierzyła

się z łotrzykami? Takie sojusze były wśród prostytutek rzeczą dość pospolitą.

- Madame, zapłacę za wszystkie szkody.
- Chciałabym zobaczyć pieniądze, które poprą pańskie słowa, Monsieur.
- Ja też. - Niepewnie dźwignąłem się na nogi.
- Będzie pan musiał wytłumaczyć wszystko policji!
- Owszem, ale najpierw muszę kogoś wypytać.
- Kogo?
- Młodą kobietę, która zwiodła mnie na manowce.

Madame Durrell prychnęła pogardliwie, jednak nie bez pewnej nutki współczucia. Mężczyzna, którego wywiodła w pole kobieta? Jakież to francuskie!

- Zechce mnie pani zostawić samego, żebym mógł poustawiać meble, pozszywać jakoś ubranie i zmyć krew z okaleczeń. Wbrew temu, co pani mogłaby sobie pomyśleć, nie jestem pozbawiony poczucia wstydu.
- Potrzebny panu okład na głowę. I niech pan zapnie spodnie!
- Oczywiście. Jestem przecież mężczyzną.
- No cóż... - Wstała. - Każdy frank za naprawy obciąży pański rachunek, więc lepiej niech pan się postara odzyskać to, co stracił.
- Zapewniam panią, że tak właśnie zrobię.

Wypchnąłem ją na korytarz i zamknąłem drzwi, a potem poustawiałem wszystko z grubsza na miejsce. Dlaczego oni mnie po prostu nie zabili? Dlatego że nie znaleźli tego, czego szukali. A co będzie, jak tu wrócą albo zapobiegliwa Madame zechce posprzątać sama? Włożyłem nową koszulę i otworzyłem jeden z panelów boazerii przy toalecie. Owszem, moja rusznica z Pensylwanii była na miejscu; ryzykowne było im ją zabierać, ponieważ na paryskiej ulicy zwracałaby na siebie powszechną uwagę i ktoś mógłby ją powiązać ze mną.

Tomahawk leżał obok niej - wziąłem go i umieściłem tam, gdzie zawsze, wsu-36

wając go za koszulę na plecach pod kurtką. A medalion?

Zajrzałem do nocnika.

Leżał pod moimi odchodami. Wyłowiłem go z kryjówki, oplukałem w misce, a potem wylałem śmierdzącą wodę przez okno do ogrodu.

Jak się tego spodziewałem, złodziejom nie przyszło na myśl, że ktoś może tam coś ukrywać. Czysty już medalion założyłem na szyję i ruszyłem na spotkanie z Mi-nette.

Nic dziwnego, że pozwoliła mi zwyciężyć w pojedynku!

Spodziewała się, że tak czy siak dostanie medalion.

Ruszyłem do jej mieszkania, kupując po drodze chleb za kilka drobnych monet, które ostały się w moich kieszeniach.

Paryż jak każdego ranka eksplodował ruchem i na ulicach pełno było zaaferowanych ludzi. Kramarze proponowali mi kupno mioteł, drewna do kominków, podsuwali mi pod nos kubki gorącej kawy, zabawki w kształcie wiatraczków i inne, a także łapki na szczury. Nieopodal fontann grasowały grupki młodych łobuziaków, wymuszających pieniądze za wodę.

Dzieci w mundurkach maszerowały do szkół. Wozacy rozładowywali beczki przed sklepami. Z pracowni krawca wyszedł jakiś różowoli-cy porucznik, pyszniący się nowym mundurem grenadierów.

Tak, oto jej dom. Pognałem schodami na górę, postanawiając, że ją przesłucham, zanim zdąży się obudzić i przygotować jakieś kłamstwa. Ale zbliżając się do piętra, na którym mieszkała, zorientowałem się, że coś jest nie tak. Dom wyglądał na osobliwie pusty. Drzwi mieszkania Mi-nette były lekko uchylone. Zapukałem, ale nie doczekałem się żadnej reakcji. Spojrzałem niżej. Klamka była wygięta, a futryna uszkodzona. Kiedy otworzyłem drzwi, wyskoczył kot z różowymi bokobrodami.

Jedno okno i węgle z kominka dawały dość światła. Minette leżała na łóżku, jak ją zostawiłem, ale z jej nagiego **37**

ciała zwleczono pościel i rozpruto jej brzuch nożem. Była to rana z tych, które zabijają powoli, dając ofierze dość czasu na błaganie i wyznania. Na drewnianej posadzce pod łóżkiem utworzyła się kałuża krwi - co tłumaczyło czerwoną barwę kociego pyszczka.

To zabójstwo nie miało żadnego sensu.

Rozejrzałem się po pokoju. Żadnego śladu plądrowania.

Okno nie było zamknięte na zasuwę od środka. Otworzyłem i zerknąłem na pokryty błockiem dziedziniec na tyłach domu.

Nic.

Co teraz? Bywalczy spelunki widzieli, jak wymienialiśmy szeptki wczoraj wieczorem, i jasne było, że zamierzam spędzić z nią noc. Teraz była martwa, ale z jakiej przyczyny? Leżała z szeroko otwartymi

ustami i wywróconymi do białek oczami.

I wtedy usłyszałem odgłos ciężkich kroków na schodach i zobaczyłem, że koniuszek palca dziewczyny jest zabarwiony krwią, którą napisała coś na sosnowych deskach. Pochyliłem głowę.

Pierwsza litera mojego nazwiska. G.

- Monsieur... - odezwał się ktoś z korytarza. - Aresz tujemy pana.

Odwrociłem się i zobaczyłem dwu żandarmów z policyjnej formacji powołanej w roku 1789. Za nimi stał jakiś osobnik z miną człowieka, który jest świadkiem potwierdzenia swoich najgorszych podejrzeń.

- To ten - odezwał się śniady jegomość mówiący arab skim akcentem.

Był to wynajęty przeze mnie wczoraj latarniarz.

Choć minęły już czasy jakobińskiego terroru, francuska sprawiedliwość rewolucyjna wciąż jeszcze miała skłonność do posyłania podejrzanego na gilotynę i dopiero potem, z rzadka, zabierano się do śledztwa. Najlepiej w ogóle było nie dać się aresztować. Opuściłem mieszkanie bied-38

nej Minette, skacząc ku oknu, przewijając się szczupakiem przez ramę i lądując lekko w błocie na dole. Pomimo nie-przespanej nocy nie straciłem nic z leśnej zwinności.

- Stój, morderco! - Słowom tym towarzyszył huk wystrzału i gwizd kuli obok mojego ucha.

Śmignąłem nad płotem, płosząc koguta, kopniakiem przegoniłem broniącego swego terenu psa, znalazłem przejście na sąsiednią ulicę i pognałem z wiatrem w zawody. Za sobą słyszałem okrzyki, nie umiałbym jednak powiedzieć, czy były to wrzaski alarmu, zamieszania czy zwykłe pokrzykiwanie przekupniów i kramarzy. Na szczęście Paryż jest labiryntem zamieszkiwanym przez ponad 500 tysięcy ludzi i dość szybko zginąłem prześladowcom z oczu w labiryncie kramów w Halach, kryjąc się za stosami zimowych jabłek, czerwonej marchwi i lśniących srebrzyście ryb. Widoki te uspokoiły też moje nerwy wzburzone wizją niemiłosiernie otworzonego ciała młodej

kobiety.

Ujrzałem

głowy

dwu

żandarmów

przeciskających się przez alejkę sprzedawców sera, ruszyłem więc w drugą stronę.

Popadłem w najgorszy rodzaj tarapatów - nie bardzo wiedziałem, co mnie w nie wpędziło. Mogłem

zrozumieć, że splądrowano mi mieszkanie - ale kto i dlaczego zabił tę kurtyzanę? Złodzieje, których podejrzewałem, że są jej współnikami? Z jakiego powodu? Nie miała ani pieniędzy, ani mojego medalionu. I dlaczego Minette wskazała na mnie zakrwawionym palcem? Byłem równie przerażony, jak zdezorientowany.

Jako Amerykanin czułem się w Paryżu osobiście bez-bronny. Owszem, Francuzi pomogli nam w zdobyciu niepodległości. Owszem, wielki Franklin był ulubieńcem salonów, przebywając tu jako amerykański dyplomata, a jego podobizną ozdobiono tyle miniatur, kart i naczyń, że król, w rzadkim u niego przebłysku inteligencji, kazał go wymalować na dnie nocnika pewnej jego wielbicielki. Owszem, **39**

moje własne kontakty z naukowcami i dyplomatami zdobyły mi kilku ważnych przyjaciół na państwowej służbie. Ale te stosunki się pogorszyły, gdy francuskie okręty zaczęły wchodzić

w

paradę

naszym

neutralnym

kupcom,

amerykańskich polityków zaś, którzy sprzyjali ideałom francuskiej rewolucji, zniechęcił jakobiński terror. Jeżeli był ze mnie w Paryżu jakiś pożytek, to zasadzał się on głównie na tym, że usiłowałem Amerykanom wyjaśnić zasady postępowania, jakimi kierowali się Francuzi, i odwrotnie.

Po raz pierwszy przybyłem tu przed czternastu laty, jako dziewiętnastoletni młodzieniec. Mój ojciec, podówczas bogaty kupiec, uznał podróż do Paryża za znakomity środek na uśmierzenie moich emocji i wyrwanie mnie spod wpływu Annabelle Gaswick i jej przesadnie ambitnych rodziców. Nie wiem, czy Annabelle była wtedy brzemienna, choć gotów jestem przyznać, że w istocie mogło się tak stać. Moja rodzina nie patrzyła na ten związek przychylnym okiem. Swego czasu powiadano, że podobny dylemat był przyczyną wyjazdu młodego Franklina z Bostonu do Nowego Jorku, i ojciec uznał, że stary polityk może mi współczuć w moich kłopotach. W

rozstrzygnięciu sprawy odegrało rolę i to, że Josiah Gage odsłużył swoje w armii kontynentalnej jako major, a co ważniejsze, dochrapał się trzeciego stopnia wtajemniczenia wśród masonów. Franklin, który od dawna był wpływową osobą wśród masonów filadelfijskich, w 1779 roku został

wybrany przewodniczącym paryskiej Loży Dziewięciu Sióstr, a w następnym roku za jego to pośrednictwem do tego samego boskiego stowarzyszenia przystąpił Wolter. Ponieważ miałem już za sobą kupieckie wyprawy do Cjuebecu, mówiłem znośnie po francusku i potrafiłem pisać zręczne listy (byłem na drugim roku Harvardu, choć zaczynałem mieć już dość zacieklej akademickich sporów toczonych wokół kwestii, na które **40**

nie było odpowiedzi), w głowie mojego ojca zrodził się pomysł

zrobienia ze mnie sekretarza amerykańskiego ambasadora. W

istocie Franklin miał już podówczas siedemdziesiąt osiem lat, tracił siły i nie potrzebował moich naiwnych rad, ale gotów był

pomóc koledze masonowi. Kiedy znalazłem się w Paryżu, stary polityk osobliwie mnie polubił, choć nie wykazywałem żadnych politycznych ambicji. Wprowadził mnie w kręgi masonów i w zagadnienie elektryczności.

- Elektryczność to tajemna siła, która porusza wszech światem - powiedział mi. - Masoneria zaś jest pewnym systemem zasad racjonalnych zachowań i idei, które zasto sowane przez wszystkich, mogłyby uleczyć świat z wielu chorób.

Wyjaśnił mi też, że masoneria zrodziła się w Anglii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, ale jej początki sięgają epoki kamieniarzy, którzy wędrując po Europie, wznosili wielkie katedry. Byli ludźmi „wolnymi”, ponieważ ich umiejętności pozwalały im znajdować pracę tam, gdzie chcieli, i żądać za nią uczciwej zapłaty - co w ówczesnym

świecie

miało

niemałą

wartość.

Ale

wolnomularstwo było znacznie starsze, sięgało korzeniami do komandorii zakonu templariuszy, których pierwsza siedziba mieściła

się

w

jerozolimskiej

świątyni

Salomona.

Średniowieczni templariusze stali się tak potężni i zyskali takie wpływy, że bractwo zostało unicestwione przez króla Francji, a ich przywódcy spłonęli na stosie. Mówiono jednak, że ci, co ocaleli z pogromu, założyli własny zakon. Jak wiele innych stowarzyszeń i tajnych bractw, masoni żywili swoistą dumę z minionych prześladowań.

- Ale nawet templariusze męczennicy byli spadkobiercami wcześniejszych stowarzyszeń - ciągnął Franklin. -

Wolnomularze to dziedzice starożytnych mędrców, kowali, mieniarzy i cieśli, którzy wzniesli świątynię Salomona.

Symbolami wolnomularzy stały się fartuszek i narzędzia-

dzia kamieniarzy, ponieważ bractwo wielce podziwiała logikę i precyzję dawnych inżynierów i architektów. Choć od członków wymaga się, żeby wierzyli w Istotę Najwyższą, nie preferują oni żadnego wyznania, wręcz zabrania im się rozmów o religii albo polityce na zebraniach. Jest to organizacja filozofów oddanych

nauce

i racjonalizmowi,

którą

stworzyli

wolnomyśliciele mający w pogardzie dawne europejskie wojny pomiędzy katolikami i protestantami. Niemalą rolę odgrywa w niej jednak starożytny mistycyzm i tajemnicze koncepcje matematyczne. Od masona żąda się, żeby był człowiekiem prawym, rozdawał jałmużnę, unikał dogmatyzmu i przesądów, a

zamiast

konserwatywnej

religijności

hołdował

racjonalizmowi. Elitarny charakter organizacji stał się przedmiotem plotek i zawiści.

-Dlaczego zasad masonów nie wyznają wszyscy ludzie? -

zapytałem Franklina.

- Wielu ludzi chętnie rezygnuje z podejścia zdrowo-rozsądkowego na rzecz przesądów, jeśli te rozwiewają ich obawy, dają im pozycję społeczną lub przewagę nad innymi -

odparł. - Ludzie boją się myśleć. Niestety, Ethanie, uczciwość zawsze ulega próżności, a zdrowy rozsądek łatwo ustępuje chciwości.

Choć podzielałem entuzjazm mojego mentora, nie należałem do wybitnych masonów. Rytuły mnie nużyły, a ceremonie wydawały się nudne i mętne. Nieustannie musiałem też wysłuchiwać uskrzydłonych mów i żywić się czczymi obietnicami zrozumienia wszystkiego, gdy osiągnę wyższe stopnie wtajemniczenia. Nie bez ulgi opuściłem Franklina, wracając w następnym roku do Stanów, a jego list polecający i moja biegłość we francuskim zwróciły uwagę pewnego szybko się bogacącego

nowojorskiego handlarza futrami o nazwisku John Jacob Astor. Ponieważ poradzono mi, żebym się trzymał

z daleka od rodziny Gaswicków - Annabelle w pośpiechu wyszła za

mąż za jakiegoś jubilera - chętnie skorzystałem z szansy sprawdzenia się w handlu futrami na terenie Kanady. Wy-brawszy się nad Wielkie Jeziora z francuskimi traperami, nauczyłem się strzelać i zastawiać sidła - i po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że mógłbym się osiedlić na Dalekim Zachodzie. Im bardziej jednak oddalaliśmy się od cywilizacji, tym bardziej mi jej brakowało - i nie chodziło o Amerykę, ale o Europę. Salony wydały mi się ucieczką od tych rozległych pustkowi. Ben stwierdził, że Nowy Świat sprzyja uświadomieniu sobie prostych prawd, a Stary na poły zapomniał mądrości, które czekały na ponowne odkrycia. Całe życie spędził rozdarty pomiędzy tymi światami - ze mną miało być podobnie.

Popłynąłem więc z nurtem Missisipi do Nowego Orleanu.

Miasto owo było Paryżem w miniaturze we wszystkim prócz panujących w nim upałów; tchnęło urokiem nowej dekadencji i stykali się tam Kreole z mieszkańcami Afryki, Meksykanami i Czirokezami. Roilo się w nim od targów niewolników, dziwek, jankeskich cwaniaków handlujących ziemią i misjonarzy.

Kipiąca w nim energia podsyciła jeszcze mój apetyt na rozkosze cywilizacji. Popłynąłem statkiem na francuskie

„wyspy cukrowe”, gdzie powstawały fortuny wzniesione na grzbietach niewolników; po raz pierwszy spotkałem się tam z prawdziwymi okropnościami życia i ślepotą bogaczy, zapewniającą im spokojny sen. Źródłem sprzeczności rozdzierających nasz gatunek nie są okropne krzywdy, jakie jedni ludzie wyrządzają drugim, ale to, z jakim przekonaniem reszta je usprawiedliwia.

Potem kupiłem miejsce na statku przewożącym cukier do Hawru - i akurat zdążyłem na szturm Bastylli. Ogromnym szokiem było dla mnie przekonanie się, jaka przepaść dzieli ideały rewolucji od potworności, których stałem się mimowolnym świadkiem! Coraz większy chaos wygnał mnie z Francji na kilka lat; zarabiałem na życie jako **43**

pośrednik handlowy w transakcjach zawieranych pomiędzy kupcami londyńskimi, amerykańskimi i hiszpańskimi. Nie bardzo wiedziałem, co z sobą począć - ot, zawisłem w próżni.

Stałem się człowiekiem bez ojczyzny i korzeni.

W końcu, gdy terror zelżał, wróciłem do Paryża, licząc na jakiś szczęśliwy traf, który pozwoli mi się wybić w tym nieustannie żądnym nowinek społeczeństwie. Francja kipiała intelektualnymi dysputami, których nie uświadczylbym w domu. Cały Paryż był butelką lejdejską, naładowanym ogniwem tryskającym iskrami pomysłów. Być może tu właśnie kryły się zapomniane mądrości starożytnych, które tak bardzo pragnął na nowo odkryć Franklin? W Paryżu były także kobiety, znacznie bardziej urodziwe i czarujące niż Annabelle Gaswick. Wystarczy, że trochę poczekam, myślałem, a szczęście na pewno mnie odnajdzie.

Teraz jednak bardziej prawdopodobne było, że pierwszej znajdzie mnie policja.

Co począć? Przypomniałem sobie, co napisał mi Franklin:

„Wolnomularstwo każe ludziom różnych religii, poglądów i zróżnicowanej pozycji społecznej pomagać sobie wzajemnie w razie potrzeby". Wciąż mogłem skorzystać z dawnych znajomości. We Francji było trzydzieści pięć tysięcy braci skupionych w sześciuset lożach organizacji na tyle potężnej i wpływowej, że oskarżano ją o rozpętanie i zarazem stłumienie rewolucji. Masonami byli Waszyngton, Lafayette, Bacon i Casanová. Podobnie jak Joseph Guillotin, który wynalazł

gilotynę, żeby oszczędzić ludzkości cierpień związanych z wieszaniem. W moim kraju wolnomularze skupiali w swoich szeregach najwybitniejszych patriotów: byli nimi Hancock, Madison, Monroe, John Paul Jones i Paul Revere - i dlatego niektórzy podejrzewali, że cały mój naród jest tworem masonerii. Potrzebowałem pomocy, po którą postanowiłem się zwrócić do braci w fartuszkach, a do jednego w szczególności -

mó-

wię tu o młodym żurnaliście Antoine Talmie, z którym się zaprzyjaźniłem podczas niezbyt licznych wizyt w siedzibie loży, bo z natury był ogromnie ciekaw wszystkiego, co amerykańskie.

- Wasi czerwonoskórzy Indianie są potomkami staro-

żytnych, ginących w mrokach dziejów cywilizacji, którzy znaleźli czystość, szczęście i niewinność, jakich nam dziś brakuje - lubił teoretyzować Talma. - Gdybyśmy mogli udowodnić, że są potomkami zaginionych Izraelitów albo uciekinierów z Troi, ukazałoby to nam drogę do osiągnięcia harmonii.

Mówił chyba o innych Indianach niż ci, których zdarzyło mi się spotykać - znacznie bardziej bezlitosnych, wygłodzonych i okrutnych niż skłonnych do harmonii -ale nie rozwiewałem jego złudzeń.

Antoine nie podzielał mojego zainteresowania kobietami; był pisarzem i autorem pamfletów; mieszkał nieopodal Sorbony. Znalazłem go jednak nie przy biurku, ale w jednej z tych nowych kawiarni przy Pont Saint-Michel, gdzie podawano lody. Popijał lemoniadę, która -jak utrzymywał - miała własności lecznicze. Talma był nieustannie chory i wciąż eksperymentował z nowymi środkami na przeczyszczenie i dietami, żeby odzyskać umykające przed nim bycze zdrowie.

Był też jednym z tych nielicznych Francuzów, którzy jadali amerykańskie ziemniaki, podczas gdy reszta jego rodaków uznawała tę potrawę za nadającą się jedynie dla świń.

Nieustannie narzekał, że los pozbawił go możliwości prowadzenia życia awanturnika - za jakiego uważał na przykład mnie - na co niechybnie byłby się zdecydował, gdyby tylko był

trochę bardziej odporny na chłody. (Trochę przesadzałem, opowiadając mu o swoich wyczynach, i skrycie się cieszyłem z jego podziwu). Teraz powitał mnie jak zawsze ciepło. Był to młody człowiek o niewinnych rysach, wysokim czole, wielkich, pełnych podniecenia oczach, bladej jak ser ce-45

rze i zmierzwionych, choć obciętych krótko wedle nowej mody rewolucyjnej włosach. Miał na sobie frak w kolorze różu ozdobiony srebrnymi guzikami.

Uprzejmym skinieniem głowy zrezygnowałem z jego najnowszego leku i zamiast niego zamówiłem znacznie bardziej szkodliwy napitek - herbatę - i do tego ciasto.

Wzmacniającym organizm właściwościom czarnego napoju przeczyły systematycznie ogłaszane proklamacje rządowe, wydawane chyba jedynie po to, żeby ukryć, iż z powodu wojny zaczęły się kłopoty z podażą liści.

- Mógłbyś zapłacić? - zapytałem Talmę. - Mam kłopoty.

Spojrzał na mnie uważnie.

- Przebóg! Wpadłeś do studni czy co? - Byłem niego lony, oczy miałem przekrwione, a ubranie

powalane błoc kiem.

-Wczoraj grałem w karty... i wygrałem. - Zauważyłem, że na stoliku przed Talną leży kilka skasowanych jako bezwartościowe biletów loteryjnych. Nie miał szczęścia w grze jak ja, ale Dyrektoriat rozwiązywał liczne problemy finansowe dzięki uporczywemu optymizmowi ludzi podobnych mojemu przyjacielowi. Tymczasem wielokrotne odbicia naszych wizerunków w zwierciadłach o złoconych ramach, którymi obwieszono ściany kawiarni, sprawiły, że poczułem się jak cel na strzelnicy. - Potrzebuję uczciwego adwokata.

- Którego znaleźć dziś równie łatwo jak uczciwego polityka, rzeźnika wegetarianina czy niepokalaną kurtyzanę -

odparł Talma. - Gdybyś spróbował lemoniady, nie wygadywałbyś takich głupstw.

- Mówię poważnie. Kobieta, z którą spędziłem dzisiejszą noc, została zamordowana. Dwu żandarmów próbowało mnie aresztować.

Uniósł brew, nie będąc pewien, czy nie żartuję. Po raz kolejny zaimponowałem przyjacielowi, który awantury **46**

i przygody znał tylko ze słyszenia. Wiedziałem też, że zastanawia się teraz, czy nie mógłby tej historii sprzedać pu-bliczności na łamach swojego dziennika.

- Ale czemu akurat ciebie?

- Mają świadka... nosiciela latarni, którego wynająłem. To zresztą, że się z nią umówiłem, nie było tajemnicą, wiedział o tym nawet hrabia Silano.

- Silano? Któż uwierzy temu łotrowi?

- Na przykład żandarm, który strzelał do mnie podczas ucieczki i którego kula świsnęła mi koło ucha. Antoine, jestem niewinny. Myślałem, że ona była współniczką złodziei, ale gdy dotarłem do jej mieszkania, zobaczyłem, że nie żyje.

- Poczekajże... O jakich złodziejach mówisz?

- O tych, co mnie ogłuszyli, gdy ich zaskoczyłem podczas płądrowania mojego mieszkania. Minionej nocy wygrałem trochę pieniędzy i dość osobliwy medalion, ale...

- Czeka! - Antoine zaczął się poklepywać po kieszeniach, szukając jakiejś kartki papieru. - Jaki medalion?

Wyjąłem medalion i pokazałem mu.

- Nie możesz jednak o tym pisać...

- Nie pisać! Przyjacielu, równie dobrze mógłbyś mnie poprosić, żebym przestał oddychać!

- ...bo to może tylko pogorszyć moją sytuację. Musisz mnie ratować, zachowując tajemnicę.

Westchnął ciężko.

- Ale mógłbym ujawnić opinii publicznej niesprawie dliwość.

Położyłem medalion na marmurowym blacie stolika i zasłaniając go torsem przed wzrokiem innych bywalców, podsunąłem krążek przyjacielowi.

- Przyjrzyj mu się uważnie. Żołnierz, od którego wy grałem tę błyskotkę, twierdził, że medalion pochodzi ze starożytnego Egiptu. Zainteresowało to Silana. Propono wał mi kupno i nawet od razu chciał wyłożyć gotówkę 47

na stół, ale ja się nie zgodziłem na sprzedaż. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś uznał, że warto zabić, żeby go zdobyć.

Talma zmrużył oczy, odwrócił medalion na drugą stronę i przez chwilę bawił się ramionami krążka.

- Co to za znaki?

Po raz pierwszy przyjrzałem się medalionowi naprawdę uważnie. Poprzeczny rowek, średnicę dysku, zauważyłem już wcześniej. Górną część podziurkowano jakby przypadkowo.

Poniżej biegły trzy zygzaki wyglądające tak, jakby dziecko rysowało grzbiet górski. A jeszcze niżej ktoś niedbale zgrupowanymi liniami nakreślił mały trójkąt.

-

Nie mam pojęcia. To bardzo prymitywna ozdoba.

Talma rozsunął dolne ramiona, tak że utworzyły od wróconą do góry nogami literę V.

- A to nic ci nie mówi?

Nie musiał mi niczego wyjaśniać. Całość przypominała masonski symbol cyrkla, przyrządu do kreślenia kręgów. Tajna symbolika masonów często łączyła cyrkiel ze stolarską przykładnicą, nakładając jedno na drugie. Jeśliby maksymalnie rozsunąć ramiona medalionu, można by nakreślić okrąg o promieniu mniej więcej trzykrotnie większym niż znajdujący się nad nimi dysk. Czyżby to było jakieś narzędzie matematyczne?

- Nic mi nie przychodzi na myśl - odpowiedziałem.

- Ale Silano, należący do odstępnej, egipskiej odmiany masonerii, był tym, jak mówisz, zainteresowany. Co oznacza, że przedmiot ten może mieć coś wspólnego z tajemnicami naszego zakonu.

Powiadano, że wyobraźnię masonów inspirowała starożytność. Symbolika była niekiedy oczywista:

młot, kielnia czy stół na kozłach. W innych wypadkach, takich jak ludzka czaszka, kolumny, piramidy, miecze czy gwiazdy, graniczyła z egzotyką. Wszystko to miało symbolizować

istnienie w zakonie porządku, jaki niełatwo znaleźć w codziennym życiu. Na kolejnych stopniach wtajemniczenia wyjaśniano znaczenie następnych symboli. Czyżby ten medalion należał do dawnych przodków naszego bractwa? Nie chcieliśmy rozmawiać o tym w publicznej kawiarni, ponieważ członkowie łóż zobowiązują się przysięgą do zachowania tajemnicy, co oczywiście sprawia, że nasza symbolika jeszcze bardziej intryguje profanów. Oskarżano nas już o spiskowanie i uprawianie wszelkiego rodzaju czarów, choć głównym naszym grzechem jest paradowanie w białych fartuchach. Jak powiedział jakiś mądry człowiek: „Nawet jeżeli ich jedyną tajemnicą jest to, że nie mają żadnych tajemnic, to udało im się to utrzymać w tajemnicy”.

- Wszystko wskazuje na to, że ten przedmiot jest stary -

powiedziałem, zawieszając medalion z powrotem na szyi. -

Kapitan, od którego wygrałem tę błyskotkę, twierdzi, że do Europy przywieźli go Cezar i Kleopatra. Utrzymywał też, że medalion należał do Cagliostro. Nie przejął się tym wszystkim za bardzo, bo postawił go w *che-min-de-fer*.

- Należał do Cagliostro? I powiedział, że pochodzi z Egiptu? I ten przedmiot obudził ciekawość Silana?

- Wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Myślałem, że po prostu chce się ze mną podrażnić. Ale teraz...

Talma przez chwilę zastanawiał się nad tym, co mu powiedziałem.

- Wszystko to może być zwykłym zbiegiem okoliczności.

Karty, dwie zbrodnie...

- Może.

- Ale może być i tak, że te sprawy się jakoś łączą. - Za-bębnił palcami po stole. - Ten latarniarz nasłał na ciebie policję, ponieważ sobie wykalkulował, że pragnąc wyjaśnić rabunek w swoim mieszkaniu, pojawisz się na scenie okropnego zabójstwa i wpadłszy w sidła, dasz się przesłu-

chać. Prześledź następstwo wydarzeń. Liczą na to, że po prostu ukradną medalion. Ale nie znajdują go w twoim mieszkaniu.

Nie ma go także u Minette. Jesteś cudzoziemcem o pewnej pozycji, który na dodatek potrafi się bronić. Ale gdyby cię oskarżyć o morderstwo i przeprowadzić rewizję osobistą...

Minette została zabita tylko po to, żeby mnie wskazać?

Miałem w głowie dziki zamęt.

- Ale dlaczego ktoś miałby aż tak zapragnąć tego medalionu?

- Bo szykują się wielkie wydarzenia - stwierdził podniecony Antoine. - Bo tajemnice masonów, o których wyrażasz się tak lekceważąco, mogą wreszcie wpłynąć na losy świata.

- O jakich wydarzeniach mówisz?

- Mam i ja swoich informatorów, przyjacielu. - Antoine uwielbiał, kiedy go proszono; lubił też udawać, że zna pewne sekrety, które nigdy nie zostaną opublikowane.

- Więc zgadzasz się ze mną, że padłem ofiarą spisku?

-Ależ naturalnie. - Talma spojrzał na mnie z powagą. -

Przyszedłeś do właściwego człowieka. Jako dziennikarz szukam prawdy i sprawiedliwości. Jako przyjaciel wierzę w twoją niewinność. A pisząc o wielkich tego świata, mam dostęp do ważnych ludzi.

- Ale jak mogę dowieść swej niewinności?

- Będziesz potrzebował świadków. Czy właścicielka domu może potwierdzić, że się nienagannie prowadziłeś?

- Nie sądzę. Zalegam z czynszem.

- A ten latarniarz... jak moglibyśmy go znaleźć?

- Znaleźć go?! Wolałbym się trzymać od niego z daleka!

- Istotnie. - Antoine łyknął nieco swojej lemoniady. -Musisz się ukryć i zyskać na czasie, żeby wszystko przemyśleć. Mogą nam w tym pomóc starsi naszej łązy.

- Chcesz mnie ukryć w siedzibie naszej łązy?

- Chcę ci zapewnić bezpieczeństwo, podczas gdy ja po-50

staram się dowiedzieć, czy ten medalion nie stworzy nam obu pewnej niezwyklej okazji.

- Do czego?

Uśmiechnął się.

- Słyszałem plotki i plotki o plotkach. Być może ten medalion wpadł ci w ręce jak najbardziej w porę. Muszę pomówić z właściwymi ludźmi, ludźmi wiedzy.

- Ludźmi wiedzy?

- Z kręgu tego młodego, wybijającego się generała, Napoleona Bonaparte.

ROZDZIAŁ 3

Liczący czterdzieści dziewięć lat chemik, Claude-Louis Berthollet, był najsłynniejszym uczniem zgilotynowanego Lavoisiera. W przeciwieństwie do swojego mistrza przeżył

rewolucję, opisując amoniak, którym we Francji zastąpiono niezbędną do produkcji prochu saletrę. Zostawszy szefem niedawno powstałego Instytutu Narodowego, który zastąpił

Akademii Królewską, wspólnie ze swoim przyjacielem, matematykiem Gasparem Monge, wziął udział w łupieniu Italii. Ci właśnie dwaj uczeni doradzali Napoleonowi, które dzieła sztuki - takie jak *Mona Lisa* - należałoby wywieźć do Francji. Zyskali w ten sposób zaufanie generała i dostęp do tajemnic strategicznych. Ich doświadczenie w polityce przypominało mi astronoma, który dokonując terenowych pomiarów dla udoskonalenia swego nowego systemu, białe chorągiewki bezwzględnie musiał zastąpić trójkolorowymi (biał była kolorem rojalistów). Żaden zawód się nie ostał

wobec zapалу rewolucjonistów.

- Więc nie jest pan mordercą, Monsieur Gage? - zapytał

mnie chemik z nikłym uśmiechem. Szerokie i wysokie czoło, wydatny nos, surowo zarysowane usta i podbródek oraz smutne, podkrążone oczy nadawały mu wygląd znużonego właściciela jakiejś wiejskiej posiadłości, który na coraz silniejsze związki nauki z polityką i rządem patrzy z taką samą podejrzliwością, jak ojciec obserwuje konkurenta do ręki mającej córki.

- Przysięgnę na Boga, na Wielkiego Architekta maso nów albo na ojca chemii.

Brwi chemika lekko się uniosły.

- Przypuszczam, że liczysz, panie, na to, iż któregoś z nich wielbię?

-Doktorze Berthollet, usiłuję jedynie wykazać, że jestem szczery.

Podejrzewam, że mordercą jest ten kapitan, hrabia Silano albo ktoś inny, kogo zainteresował wygrany przeze mnie medalion.

- Fatalne zainteresowanie.

- Owszem... i mnie samemu wydaje się to dziwne.

- A dziewczyna napisała na ścianie krwią pierwszą literę twojego nazwiska.

- Jeśli to ona napisała.

- Policjanci utrzymują, że szerokość pisma odpowiada grubości jej palca wskazującego.

- Ja się tylko z nią przespałem, za co zresztą zapłaciłem.

Nie miałem żadnego powodu, żeby ją zabijać, a i ona nie miała powodu, żeby mnie oskarżać. To ja wiedziałem, gdzie jest medalion.

- Mmmm... no tak. - Chemik wyjął okulary. - Niechże go zobaczę.

Obejrzeliśmy medalion, podczas gdy Talma bacznie nas obserwował, trzymając w dłoni chusteczkę, na wypadek gdyby znalazł jakiś podwód do kichnięcia. Berthollet przez chwilę obracał złoty krążek w palcach, podobnie jak już to zrobili Silano i Talma, aż w końcu odchylił się na krześle.

- Poza tym, że przedmiot ten wykonano ze złota, nie mam pojęcia, czemu budzi aż takie emocje - oświadczył.

- Ani ja.

- Nie jest to żaden klucz ani mapa, nie jest żadnym symbolem jakiegoś boga i właściwie nie jest nawet szczególnie miły oku. Niełatwo mi uwierzyć, że nosiła go sama Kleopatra.

- Kapitan powiedział tylko, że był jej własnością. Należał

do niej jako do królowej...

- Z Kleopatry wiąże się wiele przedmiotów, jak drzazgi krzyża czy krople krwi wiążą się z Jezusem.

- Uczony potrząsnął głową. - Cóż łatwiejszego niż wymyślenie takiego związku, żeby podbić cenę tej błahostki?

Siedzieliśmy w piwnicy Hotel Le Coq, używanej przez odłam masonerii Łoży Wschodu, ponieważ długi korytarz piwnicy leżał dokładnie na linii wschód-zachód. Pomiędzy dwiema kolumnami ustawiono tu stół nakryty obrusem, na którym położono zamkniętą księgę. Otaczające piwnicę ławy ginęły w mroku pod podpierającymi ściany kolumnami.

Jedynym źródłem światła był świecznik rzucający blask na egipskie hieroglify, których nikt nie umiał odczytać, i biblijne sceny przedstawiające budowę świątyni Salomona. Na półce leżała czaszka, przypominająca nam o naszej śmiertelności, ale nie mająca niczego wspólnego z tematem naszej rozmowy.

- Twierdzisz więc, że nasz gość jest niewinny? - zapytał chemik mojego masońskiego przyjaciela.

-Amerykanin sam jest człowiekiem nauki, jak pan, doktorze

- stwierdził Talma. - Był sekretarzem i pomocnikiem wielkiego Franklina i zajmuje się elektrycznością.

-A tak, elektryczność... błyskawice, latawce i iskry w salonach. Niechże mi pan powie, Gage, czym jest elektryczność?

- Cóż... - Nie zamierzałem popisywać się moją wiedzą przed znanym chemikiem. - Doktor Franklin uważał, że elektryczność jest zewnętrznym przejawem pewnej siły, która porusza wszechświatem. Prawdą jest jednak, iż nikt nie wie niczego pewnego. Możemy ją wytwarzać obrotem korby i przechowywać w butelce lejdejskiej, wiemy więc, że i s t n i e j e . Ale któż wie, d l a c z e g o tak się dzieje?

- Sam nie wyraziłbym tego lepiej. - Chemik zastanawiał się przez chwilę, obracając medalion w dłoni. - A co, **54**

jeżeli w odległej przeszłości ludzie to wiedzieli? Co, jeżeli mogli kontrolować moce, które dziś są nam niedostępne?

- Że niby... znali elektryczność?

-Wiedzieli, jak wznosić gigantyczne pomniki, nieprawdaż?

- Ciekawe, że Ethan znajduje ten medalion i przychodzi z nim do nas właśnie w tej chwili - dodał Talma.

- A przecież w nauce nie ma przypadkowych zbiegów okoliczności - zauważył Berthollet.

- Moment krytyczny? - zapytałem.

- Tak czy owak, musi się znaleźć człowiek, który potrafi dostrzec sprzyjającą okoliczność - odparł chemik.

- A jakaż to okoliczność?

- Ucieczka przed gilotyną przez wstąpienie do armii.

- Co takiego?!

- A jednocześnie może pan pomóc nauce. -1

wolnomularzom - dodał Talma.

- Poszaleliście? Do jakiej armii mam wstąpić?

- Do francuskiej - stwierdził Berthollet. - Niechże **pan** posłucha, Gage. Czy jako mason i człowiek nauki, **może** nam pan przysiąc, że dochowa sekretu?

- Nie chcę być żołnierzem!

- Nikt tego od pana nie żąda. Przysięgnie pan?

Przyłożywszy chusteczkę do ust, Talma patrzył na mnie wyczekująco. Przełknąłem ślinę i kiwnąłem głową.

- Ależ oczywiście!

- Bonaparte cofnął się znad Kanału i szykuje się do no wej wyprawy. Nawet jego oficerowie nie znają celu, ale kilku naukowcom jest on wiadomy. Po raz pierwszy od czasów Aleksandra Wielkiego zdobywca zaprasza ludzi nauki i sztuki, żeby towarzyszyli jego oddziałom, bada jąc i zapisując to, co zobaczą. To przygoda dorównująca wyprawom Cooka i Bougainville'a. Talma zaproponował

panu udział w ekspedycji... sam też zamierza popłynąć...

on jako dziennikarz, a pan jako specjalista od elektryczno-55

ści, dawnych tajemnic i tego medalionu. Być może stanie się on jakimś wartościowym śladem czy wskazówką? Pojedzie pan z naszymi rekomendacjami, a gdy pan wróci, wszyscy już zapomną o morderstwie tej nieszczęsnej prostytutki.

- A dokąd się on wybiera? - Zawsze dość sceptycznie odnosiłem się do Macedończyka, który może w krótkim czasie dokonał wielkich czynów, ale umarł na rok przed osiągnięciem mojego wieku, co nie skłaniało mnie do pójścia w jego ślady.

- A jak myślicie, dokąd? - rzucił niecierpliwie Berthollet. -

Do Egiptu! Nie chodzi tylko o zdobycie klucza do światowego handlu i otwarcia drzwi naszym sojusznikom walczącym z Brytyjczykami w Indiach. Pójdziemy, żeby zbadać świt historii rodzaju ludzkiego! Może odkryjemy tam tajemnice, które i dziś będą użyteczne! Czyż nie lepiej, żebyśmy je odkryli my, ludzie nauki, niż ci odstępcy z rytu egipskiego?

- Egipt? - Na ducha Franklina, co u licha ja miałbym tam robić? Niewielu Europejczyków widziało to miejsce, osłonięte tajemnicami Arabii. Wiedziałem tylko, że są tam piaski, piramidy i pogańscy fanatycy.

- Choć nie jesteś, panie, ani wyróżnionym masonem, ani badaczem, jako Amerykanin i człowiek z zewnątrz możesz tam znaleźć rzeczy bardzo interesujące z twojego punktu widzenia.

Ten medalion też może się okazać darem losu. Skoro Silano zapragnął go tak, że posunął się do morderstwa, może być bardzo wartościowy.

Zapamiętałem tylko pierwsze zdanie.

- Czemu nie jestem wyróżniającym się masonem i badaczem? - zapytałem. Pytanie zabrzmiało dość niepewnie, bo w duchu zgadzałem się z tą opinią.

- Ethanie, dajże spokój - wtrącił się Talma. - Pan Berthollet chce tylko powiedzieć, że dopiero musisz sobie wyrobić nazwisko.

- Monsieur Gage, mówię, że w wieku trzydziestu trzech lat nie masz za sobą osiągnąć na miarę swoich zdolności, a twoim ambicjom brak wytrwałości. Nie masz pan na swoim koncie odkryć prezentowanych przed Akademią, nie osiągnął wyższych stopni w bractwie, nie zgromadził fortuny, nie założyłeś rodziny, nie masz domu ani nie napisałeś, panie, niczego, co byłoby warte uwagi.

Szczerze mówiąc, kiedy Antoine polecił mi pana, byłem dość sceptyczny. Ale myślę, że pańskie sukcesy są jeszcze przed panem, a my, racjonalisci, jesteśmy nieprzyjaciół

mi zwolenników Cagliostro. Nie chcę, żeby ten medalion spadł z pańskiej ściętej na gilotynie szyi. Bardzo szanuję pana Franklina i liczę na to, że któregoś dnia pójdzie pan w jego ślady. Może pan więc spróbować udowodnić swoją niewinność przed rewolucyjnymi sądami. Albo... może pan przyłączyć się do nas.

Talma chwycił mnie za ramię.

- Egipt, Ethanie! Pomyśl tylko!

Taka wyprawa wyróciłaby do góry nogami całe moje dotychczasowe życie, ale z drugiej strony to, co miałem, nie było znów aż tak wiele warte. Berthollet z zaskakującą trafnością ocenił moje dotychczasowe osiągnięcia, choć dumny byłem z odbytych podróży. Nieliczni tylko ludzie poznali Amerykę Północną tak dobrze jak ja - choć godzi się rzec, że niewiele mi z tego przyszło.

- Czy ktoś już zawładnął Egiptem?

Berthollet machnął lekceważąco dłonią.

-Nominalnie kraj ten nadal pozostaje częścią imperium Osmańskiego, ale prawdziwą władzę sprawują tam wywodzący się z dawnych niewolniczych wojowników mamelukowie.

Raczej ignorują Stambuł i po prostu wyzyskują zwykłych Egipcjan. Nie mają nawet tego samego pochodzenia! Nasza wyprawa to misja wyzwoleńcza, a nie podbój, Monsieur Gage!

- Znaczy, nie będziemy musieli walczyć?

- Bonaparte zapewnia nas, że zajmiemy Egipt po jednym czy dwu wystrzałach z dział.

Cóż, to brzmiało dość optymistycznie. Napoleon mówił jak generał, który był przebiegłym albo ślepym jak kamień oportunistą.

- Ten Bonaparte... co panowie o nim sądzą? - Po jego zwycięstwach w Italii wszyscy wygłaszali peany na jego cześć, ale niewiele czasu spędzał w Paryżu i na razie był

człkiem mało znanym. Mówiono tylko, że stoi u progu wielkiej kariery.

- Jest najbardziej energicznym ze znanych mi ludzi i czeka go spektakularny sukces albo równie spektakularny upadek -

stwierdził Talma.

- Albo może jedno i drugie, jak wielu ambitnych ludzi -

dodał Berthollet. - Nie da się nie zauważyć jego geniuszu, ale wielkim czyni go jego stanowczość.

- Będę musiał porzucić wszystkie moje interesy i zerwać dyplomatyczne kontakty - powiedziałem. - I uciekać, jakbym był winien tego morderstwa. Czy policja nie może odszukać hrabiego Silano i tego kapitana, który przegrał w karty? Niech nas zamkną w jednym pomieszczeniu, a wtedy prawda wyjdzie na jaw.

Berthollet uciekł wzrokiem w bok, a Talma westchnął.

- Silano gdzieś przepadł. Mówi się, że polecenie jego ochrony wyszło z Ministerstwa Spraw Zagranicznych -

stwierdził mój przyjaciel. - A twój kapitan wczoraj został

wyłowiony z Sekwany ze śladami tortur na ciele. Udu szono go przed wrzuceniem do rzeki. A jak się weźmie pod uwagę twoje zamieszanie w całą sprawę i to, że zniknąłeś, to policja uzna cię za pierwszego na liście po dejrzanym.

Przełknąłem ślinę.

- Monsieur Gage, najbezpieczniej będzie ci teraz w samym środku armii.

Skoro miałem wziąć udział w inwazji na Egipt, wydało mi się rozsądne zabranie ze sobą broni. Kosztowna rusznica, którą nabyłem jeszcze wtedy, gdy handlowałem futrami, wciąż pozostawała w skrytce za ścianą mojego mieszkania.

Wykonana przez rusznikarzy z Lancasteru w Pensylwanii miała kolbę z klonowego drewna, mocno poobijaną i poplamioną wskutek częstego użytku, i była zdumiewająco celna, co kilkakrotnie demonstrowałem na Polach Marsowych. Co równie ważne, wygięcie tej kolby łagodnością przypominało kobiece ramię, a dziwerowana lufa w dotyku była równie miła jak sakiewka pełna monet. Nie traktowałem jej jak zwykłego narzędzia, ale wiernego i niezawodnego kompana, który nigdy się na nic nie uskarża, gładkiego, o błękitnym odcieniu i pachnącego prochem, olejem lnianym i oliwą. Duża prędkość początkowa pocisku sprawiała, że jej niewielkiego kalibru kule niosły śmierć na większą odległość niż kule zwykłego muszkietu. Niestety trochę trudno było nią manewrować, gdy podnosiłem ją do ramienia. Ładowanie zajmowało mi znacznie więcej czasu niż przeciętnemu europejskiemu piechurowi i nie dało się do niej przytwierdzić bagnetu. Ale nam, Amerykanom, obca była sama idea stania podczas bitwy w szeregu i czekania, aż cię trafią. Wielką niedogodnością wszelkiej broni palnej była konieczność przeładowania jej po pierwszym strzale, ale przewagą celnej rusznicy było to, że mogłeś unieszkodliwić wroga jednym strzałem. Przede wszystkim więc musiałem odzyskać broń.

- Policja będzie cię szukała właśnie w twoim mieszkaniu -

sprzeciwiał się Talma.

-Minęły już ponad dwa dni. Tym ludziom płaci się mniej niż garncarzom i są przekupni jak sędziowie. Mało prawdopodobne, żeby wciąż jeszcze tam na mnie czekali.

Pójdziemy dziś w nocy, przekupimy sąsiadów i zabierzemy rusznicę ze skrytki.

-Ale ja mam bilety na dyliżans wyjeżdżający o północy do Tuluonu!

- Jak mi pomożesz, to zdążymy się uwinąć i zostanie nam jeszcze sporo czasu.

Z ostrożności weszliśmy do budynku podobnie, jak opuściłem mieszkanie Minette - przez okno wychodzące na podwórze. Nawet jeżeli policjanci sobie poszli, Madame Durrell wciąż była na posterunku, a ja nie miałem grosza na opłacenie czynszu i strat. Tego wieczoru Talma, choć nie bez wewnętrznych oporów, podsadził mnie do rynny, tak że mogłem zajrzeć do swojego mieszkania. Nic się tam nie zmieniło, materace były podarte, a pierze pokrywało wszystko niby śnieg. Ale zasuwa przy drzwiach lśniła nowością, co oznaczało, że zmieniono zamek. Gospodyni chciała się upewnić, że przed odbiorem swoich rzeczy popłacę rachunki.

Wziąwszy pod uwagę, że moja podłoga jest jej sufitem, doszedłem do wniosku, iż najlepsze będzie uderzenie z flanki.

- Uważaj na wszystko! - szepnąłem przyjacielowi.

- Pospiesz się! Nadchodzi jakiś żandarm!

- Nie bój się, wejdę i wyjdę bez hałasu.

Wdrapałem się na parapet okienny mojego sąsiada, pana Chabona, bibliotekarza, który codziennie wieczorem uczył dzieci nowych idei. Tak jak się spodziewałem, jego mieszkanie było puste. Nie liczyłem na to, że uda mi się przekupić tego prostolinijnego, dość tępego człowieka, i miałem nadzieję, że się na niego nie natknę. Z pewnością będzie poirytowany, odkrywszy dziurę w ścianie, ale w końcu działałem dla dobra Francji.

Jego pokój wypełniała woń starych książek i tytoniu.

Odciągnąłem ciężką skrzynię od ściany przylegającej do mojego mieszkania i posługując się tomahawkiem, wyłamałem kilka desek działowych. Czy wspomniałem, że toporka można również dobrze użyć jako klina i dźwigni? Obawiam się, że uszkodziłem kilka desek, ale w końcu

nie jestem cieślą. Sprawilem się nieco bardziej hałaśliwie, niż zamierzałem, ale nie miałyby to znaczenia, gdybym uwiął się szybko. W otworze zobaczyłem kolbę rusznicy i rożek na proch.

I wtedy usłyszałem szcęk zamka w moim mieszkaniu i pospieszne kroki. Ktoś usłyszał hałas! Szybko zarzuciłem rożek na ramię, chwyciłem kolbę i zacząłem ją ciągnąć ku sobie, klnąc w duchu niedogodne ułożenie broni.

Już miałem ją wyciągnąć, kiedy poczułem, że ktoś chwycił za lufę z drugiej strony.

Zerknąłem przez dziurę... i ujrzałem okolone strzechą rudych, sterczących na wszystkie strony jak druty włosów oblicze uśmiechającej się tryumfalnie Madame Durrell.

- Myśli pan, że nie znam takich numerów? Jest mi pan winien dwieście franków!

- Właśnie wybieram się w podróż, żeby je zarobić! -

szepnąłem szorstko. - Proszę, niechże pani puści moją strzelbę, żebym mógł zaspokoić pani żądania.

- Zabijając jeszcze jedną osobę? Płać pan albo wzywam policję!

- Nikogo nie zamordowałem, ale muszę jeszcze uporządkować moje sprawy.

- To zacznij pan od zapłacenia czynszu!

- Niechże pani będzie ostrożna, nie zamierzam pani skrzywdzić. Broń jest nabita. - Był to zwyczaj, który przy-swoiłem sobie, żyjąc na pograniczu.

- Myśli pan, że się go boję? Ta broń będzie zastawem!

Pociągnąłem, ona jednak szarpnęła ku sobie z równą siłą.

- Na pomoc! Złodzieje! - wrzasnęła. Miała uchwyt jak buldog.

Zdesperowany zmieniłem nagle kierunek i rzuciłem się ku dziurze w ścianie, wpadając do mojego mieszkania i wyłamując przy okazji jeszcze kilka desek. Oboje runę-

liśmy na podłogę, przy czym ja wylądowałem na mojej gospodyni, razem z potrzaskanymi deskami i kurzem.

- Bardzo przepraszam. Chciałem to załatwić po dobroci i spokojnie.

- Na pomoc! Gwałcą!

Ruszyłem ku oknu, ciągnąc za sobą babę uczepioną mojej nogi.

- Pójdiesz za to na gilotynę, opryszku!

Rozejrzałem się dookoła. Z zabłoconego podwórka zniknął gdzieś Talma, a na jego miejscu stał żandarm, który gapił się na mnie ze zdumieniem w oczach. Przekleństwo!

Gdybyż ci policjanci działali choć w połowie tak skutecznie, kiedy poszedłem do nich na skargę w niedawnej sprawie kradzieży sakiewki!

Szarpnąłem się w tył, ale Madame Durrell spróbowała ugryźć mnie w kostkę, co nie za bardzo jej się udało z powodu braku ponad połowy zębów. Drzwi były zamknięte, klucz z pewnością tkwił w kieszeni gospodyni, a ja nie miałem czasu na uprzejmości. Odwiodłem kurek, z rożka podsypałem prochu na panewkę, wymierzyłem i strzeliłem.

Huknęło jak z armaty, ale kobieta ze strachu puściła moją kostkę, a zamek wyfrunął z futryny. Kopnąłem drzwi i skoczyłem na korytarz. I zobaczyłem na schodach jakiegoś człowieka w opończy z kapturem, uzbrojonego w długą laskę zakończoną zgrubieniem w kształcie głowy węża. Latarniarz!

Gapił się teraz na mnie, najwyraźniej zaskoczony hukiem wystrzału. Korytarz zasnuwały kłęby dymu.

Usłyszałem szczęk i z głowy węża wysunęło się długie ostrze.

- Oddaj to, a pozwolę ci odejść! - szepnął Arab.

Zawahałem się, bo w ręku miałem tylko nienabitą broń. A mój przeciwnik stał jak człowiek, któremu walka na włócznie nie jest obca.

I wtedy coś wyleciało z mroku na dole i walnęło la-tarniarza w łeb, aż się zachwiał. Rzuciłem się ku przodowi, lufą rusznicy pchnąłem potężnie draba w brzuch jak bagnetem i pozbawiłem go tchu. Chybnął się w tył i poleciał w dół schodami, wywijając po drodze kilka kozłów. Pognałem za nim, przeskoczyłem nad jego leżącym bez ruchu ciałem i wypadłem na zewnątrz, zderzając się z Talma.

- Oszalałeś! - zawołał mój przyjaciel. - Zaraz zleci się tu cała paryska policja!

- Ale odzyskałem broń - odparłem z uśmiechem. - Czym, u diabła, go walnąłeś?

- Ziemiakiem.

- Więc jednak na coś się przydają.

- Zatrzymać ich! - rozdarła się z góry Madame Durrell stojąca w wychodzącym na ulicę oknie. - On chciał mnie zgwałcić!

Talma zerknął na nią dość krytycznie.

- Nie sądziłem, że aż tak cenisz swoją broń!

Pognaliśmy ulicą. Na końcu zaułka pokazał się jeszcze jeden żandarm, Talma więc szarpnął mnie w bok, ku drzwiom jakiejś oberży.

- To jeszcze jedna z naszych łóż - szepnął. - Podejrzywałem, że może będziemy musieli się ukryć. - Wpadliśmy do środka i szybko pociągnęliśmy właściciela w cień. Talma wymienił z nim pospiesznie masoński uścisk dłoni i wskazał

drzwi do piwnicy. - Przyjacielu, pilna sprawa zakonna.

- On też jest masonem? - zapytał oberżysta, wskazując mnie ruchem podbródka.

- Jest sympatykiem.

Oberżysta sprowadził nas na dół i zamknął za nami drzwi.

Zatrzymaliśmy się pod kamiennym, łukowatym sklepieniem i przez chwilę łapaliśmy oddech.

- Jest stąd jakieś wyjście? - zapytał Talma.

- Za beczkami z winem jest krata. Można się przez nią przedostać do miejskich kanałów. Niektórzy z braci uciekali wtedy podczas Terroru.

Mój przyjaciel skrzywił się z niechęcią, ale nie zaprotestował.

- Którędy na targ garbarzy?

- Chyba na prawo. - Oberżysta zatrzymał nas skinieniem dłoni. - Zaczekajcie. Bez tego nie przejdziecie. - Podał nam zapaloną latarnię.

- Dziękujemy, przyjacielu.

Przecisnęliśmy się obok beczek, podnieśliśmy kratę, zjechaliśmy w dół około dziesięciu metrów oślizgłym tunelem i wpadliśmy do kanału głównego. Jego wysokie kamienne sklepienie ginęło w mroku w obu kierunkach, a światło naszej latarni wyławiało z ciemności śmigające wokół żwawo szczury. Woda była tu zimna i śmierdząca. Nad nami szczęknięła krata, gdy nasz zbawca zasuwał ją na miejsce.

Obejrzałem mój umazany błockiem zielony płaszcz -jedyne ubranie, jakim dysponowałem.

- Talma, podziwiam twoją śmiałość w zejściu tu na dół.

- Lepsze to i Egipt niż paryskie więzienie. Wiesz, Etha-nie, za każdym razem, jak cię spotykam, dzieje się coś ciekawego.

- To bardzo intrygujące, nieprawdaż?

- Jeżeli zostanę tu pożarty, moimi ostatnimi wspomnie-niami będą wrzaski twojej gospodyni.

- To się postarajmy, żeby nas nie pożarto. - Spojrzałem w prawo. - Dlaczego pytałeś o targ garbarzy? Myślałem, że loża jest na lewo, nieopodal Pałacu Luksemburskiego...

- Bo tak jest. Jeżeli policja zechce przesłuchać naszego dobroczyńcę, on ich naprowadzi na fałszywy trop. -Wskazał

ręką w lewo. - Ruszajmy!

Przybyliśmy na miejsce przemoczeni i śmierdzący - a ja na dodatek nie miałem żadnego bagażu oprócz tomahawka i swojej rusznicy. Obmyliśmy się w fontannie, choć stwierdziłem przy tej okazji, że mojego zielonego płaszcza podróżnego nie da się oczyścić.

- Publiczne toalety są coraz brudniejsze - wyjaśnił pocz-mistrzowi Talma. Kupił najtańsze bilety, przez co mieli śmy łykać kurz, siedząc na odsłoniętej ławce za zamkniętą kabiną dyliżansu.

- To nam oszczędzi kłopotliwych pytań - wyjaśnił.

Nie bardzo mogłem się z nim spierać, bo moje własne pieniądze przepadły niemal bez reszty.

Mogliśmy tylko liczyć na to, że szybki dyliżans zawiezie nas dość daleko w stronę Tulonu, zanim policjantom przyjdzie do głowy zbadać stacje pocztowe, ponieważ nasz dziwaczny wygląd z pewnością zwrócił uwagę pracowników obsługi.

Bezpieczeństwo miało nam zapewnić dopiero dotarcie do armii Bonapartego - zabrałem ze sobą list polecający od Bertholleta.

Swoją tożsamość ukryłem, przybierając nazwisko Gregoire, a akcent mogłem tłumaczyć, przedstawiając się jako francuskojęzyczny mieszkaniec Kanady.

Talma spakował swoje bagaże wcześniej, więc pożyczyłem odeń koszulę, zanim jego kufer umieszczono na dachu pojazdu.

Moja rusznica też tam się znalazła i tylko tomahawk zapewniał

mi poczucie bezpieczeństwa.

- Dziękuję za koszulę - powiedziałem.

- Mam ich jeszcze kilka - odparł Talma. - Mam też specjalne ubranie z bawełny na pustynne upały, kilka dzieł

naukowych dotyczących miejsc, do których się udajemy, parę oprawnych w skórę notatników i cały cylinder pełen gęsiich piór. A leki uzupełnimy o egipskie mumie.

- Nie powiesz mi chyba, że wierzysz w te bzdury! -

Sproszkowany pył z mumii stał się ostatnio dość popularnym składnikiem leków w Europie, ale kupując coś, co **65**

wyglądało jak fiolka z kurzem, człek się aż prosił, żeby go oszukano.

-Niemożność polegania na europejskich dostawcach jest jedną z przyczyn, dla których chcę znaleźć własną mumię.

Poprawiwszy swoją kondycję, resztę sprzedamy.

- Szklanka dobrego wina będzie miała podobny skutek, ale łatwiej ją zdobyć.

- Przeciwnie, przyjacielu, alkohol to wróg zdrowia. -Jego niechęć do wina była równie nietypowa dla Francuza jak upodobanie do ziemniaków.

- Więc wolisz zjadać nieboszczyków?

-Nieboszczyków, którzy przygotowali się na życie wieczne! W tym, co po nich pozostało, są resztki ich eliksirów!

- To czemu poumierali?

-Tak sądzisz? A może osiągnęli pewien rodzaj nie-

śmiertelności?

W tym punkcie pozbawionej logiki rozmowy dyliżans ruszył. Naszymi towarzyszami podróży byli kapelusznik, właściciel winnicy, wyrabiacz lin z Tulonu i pewien oficer straży celnej, który postanowił chyba przespać całą podróż.

Liczyłem na towarzystwo jakiejś damy, ale żadna nie wsiadła do naszego pojazdu. Po dobrze brukowanych francuskich gościńcach podróżowało się szybko, choć cała droga tchnęła monotonią. Przespaliśmy resztę nocy, a następny dzień minął

nam na szybkich zmianach koni, kupowaniu niezbyt smacznych posiłków i korzystaniu z wiejskich wygódek.

Oglądałem się za siebie, wypatrując pościgu, ale nikt nas nie gonił. Kiedy się zdrzemnąłem, przyśniła mi się Madame Durrell domagająca się zapłaty czynszu.

Dość szybko obaj zaczęliśmy się potężnie nudzić. Talma skracał nam czas, niezmordowanie snując teorie pełne mistycyzmu i konspiracji.

- Ethanie, być może nasza misja będzie miała wpływ 66

na bieg historii - stwierdził, gdy koła naszego dyliżansu zaturkotały po bruku drogi wiodącej wzdłuż brzegu Rodanu.

-Myślałem, że po prostu uciekamy przed pościgiem i kłopotami.

- Przeciwnie, dzięki tej ekspedycji mamy coś bardzo ważnego do zrobienia. Pojmujemy ograniczenia nauki.

Berthollet jest racjonalistą, zwolennikiem obiektywnej chemii. My jednak, wolnomularze, mamy do zgłębienia największe tajemnice starożytnych ukryte w egipskich świątyniach. Moim przeznaczeniem

jako artysty jest od krycie tego, na co nauka jest ślepa.

Spojrzałem nań sceptycznie, biorąc pod uwagę to, że połknął już trzy porcje uniwersalnego leku na wszystko, żeby się zabezpieczyć przed wpływem brudu z kanałów, skarżył się na skurcze żołądka, a przed chwilą uznał, że zdrętwienie nogi sygnalizuje bliski już atak paraliżu. Jego podróżny płaszcz był

czerwony; miał z wojną i wojskiem tyle wspólnego co pantofle. I ten człowiek zmierzał do twierdzy muzułmanów?

-Antoine, na Wschodzie są choroby, z którymi Europejczycy jeszcze się nawet nie zetknęli. Dziwię się, że w ogóle masz ochotę na tę podróż.

- Czekają nas tam ogrody, pałace i minarety. To raj na ziemi, przyjacielu, skarbiec mądrości faraonów.

- Proszek z mumii.

-Nie drwij z niego. Słyszałem, że potrafi zdziałać cuda.

- Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że cała ta masońska gadanina o tajemnicach Wschodu jest pozbawiona sensu -

stwierdziłem, wierząc się, żeby rozprostować choć trochę nogi.

- Czego się można nauczyć, grzebiąc w kupie gruzu?

- Myślisz tak, bo nigdy nie słuchałeś uważnie naszych nauk na zebraniach - odparł pouczająco Talma.

- Wol-67

nomularze byli pierwotnie ludźmi nauki, mistrzami budownictwa, którzy wznosili piramidy i wielkie świątynie.

Łączy nas wszystkich szacunek dla wiedzy, a wyróżnia chęć ponownego odkrywania pradawnych prawd. Dawni magowie znali moce, o których nam się nie śniło. Hiram Abiff, mistrz mularski, który zaplanował świątynię Salomona, został

zamordowany przez zazdrosnych rywali, ale wskrzesił go z martwych sam Wielki Budowniczy.

Podczas inicjacji masonom odgrywano niektóre fantastyczne historie; zawsze podczas tych rytuałów czułem się głupio. Jedna z nich wskazywała na zmartwychwstanie, druga zaś na zwykłe ponowne złożenie ciała człowieka bestialsko zamordowanego i poćwiartowanego, obie jednak wydawały mi się pozbawione sensu.

- Talma, ty chyba tak naprawdę w to nie wierzysz.

-Jesteś tylko niedawno wprowadzonym w szeregi braci uczniem. Osiągając wyższe stopnie

wtajemniczenia, dowiadujemy się zdumiewających rzeczy. Pod starymi pomnikami przeszłości zakopano tysięczne tajemnice, a nieliczni ludzie, którzy mieli odwagę je odkryć, stali się największymi nauczycielami ludzkości. Jezus. Mahomet.

Budda. Platon. Pitagoras. Wszyscy oni poznali tajemnice Egiptu z zamierzchłych wieków mądrości, kiedy wznoszono budowle, których tajemnice dawno zostały zapomniane.

Niektóre

bractwa...

masoni,

templariusze,

ilumi-naci,

różokrzyżowcy, lucyferianie... szukają sposobów na ponowne odkrycie tej zapomnianej wiedzy.

- Owszem, to prawda, choć od razu wyłożę swoje zastrzeżenia. Wiele z tych tajnych bractw walczy z innymi, na przykład główny nurt wolnomularstwa zwalcza zwolenników rytu egipskiego. Lucyferianie, jak rozumiem, przyznają Szatanowi status równy Bogu.

- Nie Szatanowi, lecz Lucyferowi. Oni po prostu wierzą w dwoistość dobra i zła oraz w to, że bogowie mają dwoistą naturę. Zresztą ja wcale nie stawiam tych grup na jed-68

nym poziomie. Twierdzą tylko, że oni rozumieją, iż znajomość dawnej wiedzy starożytnych jest równie ważna jak przyszłe odkrycia nauki. Sam Pitagoras osiemnaście lat pobierał nauki od kapłanów z Memfis. A gdzie spędził swoją młodość Jezus i czemu w żadnej z Ewangelii nie ma o tym ani słowa?

Niektórzy utrzymują, że też kształcił się w Egipcie. Gdzieś tam jest moc, dzięki której można będzie zmienić świat, odtworzyć harmonię Złotego Wieku, i dlatego naszą dewizą jest

„Porządek z chaosu”. Ludzie tacy jak Berthollet badają skały i rzeki. Są urzeczeni światem natury. Ale ty i ja, Gage, przeczuwamy istnienie sił nadnaturalnych! Na przykład elektryczności! Nie widzimy jej, ale ona istnieje. Wiemy, że świat naszych zmysłów jest tylko pozorem. Egipcjanie też o tym wiedzieli. Jeżeli zdołamy odczytać hieroglify, staniemy się panami świata!

Jak wszyscy literaci, mój przyjaciel miał wybujałą wyobraźnię i ani krztyny zdrowego rozsądku.

- Antoine, elektryczność to zjawisko naturalne. Błyskawica na niebie i wstrząs demonstrowany w salonie są tym samym.

Mówisz jak ten szarlatan, Cagliostro.

- Był niebezpiecznym człowiekiem, który chciał użyć łoża rytu egipskiego do własnych, mrocznych

celów, ale nie był

szarlatanem.

- Kiedy się popisywał w Warszawie znajomością alchemii, przyłapano go na oszustwie.

- To sprawa zawistników! Świadkowie twierdzą, że uzdrawiał chorych, i zwykli lekarze popadli w rozpacz! Był

doradcą królów. Mógł żyć kilkaset lat, jak Saint-Ger-main, który w istocie był węgierskim księciem Rakoczym, osobiście znającym Kleopatę i Jezusa. Cagliostro był jego uczniem.

On...

- Został okpiony i osadzony w więzieniu, po tym jak zdradziła go jego własna żona, mająca reputację największej dziwki w Europie! Sam mówiłeś, że ryt egipski to **69**

okultystyczne bzdury. Jakież mamy dowody na to, że ci samozwancı czarodzieje żyli setki lat? Posłuchaj, nie mam wątpliwości, że w krajach islamu są do odkrycia ciekawe rzeczy, ale zwerbowano mnie na tę wyprawę jako uczonego, a nie kapłana. Wasi rewolucjoniści zresztą wyrzekli się religii i mistycyzmu.

- I właśnie dlatego mistycyzm jest dziś tak popularny!

Rozum tworzy próżnię, która rodzi zapotrzebowanie na cuda!

Prześladowanie religii doprowadziło do powstania wszelkiego rodzaju ruchów spirytualistycznych.

- Nie sądzisz chyba, że Bonaparte zamierza...

- Cyt! - Talma skinieniem głowy wskazał ściankę dyli-

zansu. - Pamiętaj o przysiędze.

Prawda. Nazwisko wodza naszej ekspedycji i jej cel miały pozostać sekretami, choć tylko idiota nie byłby się ich domyślił

po wysłuchaniu dotychczasowej części rozmowy. Kiwnąłem głową. Co prawda biorąc pod uwagę turkot kół dylizansu i nasze miejsce z tyłu, podsłuchujący niewiele byłby usłyszał.

- Chcesz powiedzieć, że naszym prawdziwym celem jest rozwikłanie tych tajemnic? - zapytałem nieco ciszej.

- Chcę powiedzieć, że nasza wyprawa ma dość różnorakie cele.

Rozsiadłem się wygodniej, patrząc ponuro na wzgórza огоłoczone z drzew, pożeranych przez zawsze spragnione paliwa powstające fabryczki. Wyglądało na to, że i lasy zostały wciągnięte w zamęt

wojen i handlu rozbudzonych przez rewolucję. Przemysłowcy się bogacili, ogoławając kraj, a miasta spowijały coraz bardziej śmierdzące mgły. Jeżeli starożytni potrafili budować wyłącznie z pomocą czystej magii, trzeba przyznać, że dysponowali znacznie większą potęgą.

- Poza tym wiedza, której poszukujemy, jest nauką -

ciągnął Talma. - Platon sprowadzał ją do filozofii. Pitagoras szukał jej w geometrii. Mojżesz i Solon dali nam pra-70

wo. Wszystko to są rozmaite aspekty prawdy. Niektórzy twierdzą, że ostatni z wielkich egipskich faraonów, mag Nectanebo Drugi, śpiąc z Olimpias, spłodził Aleksandra Wielkiego.

- Powiedziałem ci już, że nie zamierzam pójść w ślady człowieka, który umarł w wieku trzydziestu dwu lat.

- Być może w Tulonie spotkamy nowego Aleksandra.

A może Bonaparte jest tylko chwilowym bohaterem, którego jedna klęska ponownie strąci w nicość.

... Tymczasem spróbuję wydoić zeń ulaskawienie za niepopelnioną przeze mnie zbrodnię, przymilając się do niego tak dalece, jak tylko zdołam to znieść.

Minąwszy pustkowia, wjechaliśmy na teren dawnego parku należącego do jakiegoś arystokraty czy purpurata i skonfiskowanego przez Dyrektoriat. Teraz otwarto go dla wieśniaków, kłusowników i rozmaitych osadników; pomiędzy drzewami snuły się pasma dymu z ich ognisk, widziałem też dość prymitywne lepianki. Zbliżał się wieczór i miałem nadzieję, że wkrótce dotrzemy do jakiejś oberży. Tyłek mocno mnie już bolał od podskakiwania pojazdu na wybojach.

Nagle woźnica krzyknął ostrzegawczo i usłyszeliśmy łoskot z przodu. Zatrzymaliśmy się dość raptownie. Przed nami na trakt runęło drzewo i spłoszone konie stanęły dęba. Pień drzewa został podpiłowany, a z lasu jedna za drugą zaczęły się wysuwać ciemne sylwetki ze strzelbami w rękach. Napastnicy mierzyli w woźnicę i siedzącego obok poczmistrza.

- Bandyci! - wrzasnąłem, sięgając po tomahawk, który ukryłem pod płaszczem na plecach. Choć moje umiejętności nieco zardzewiały, wciąż mogłem trafić w cel z odległości dziesięciu metrów. - Do broni! Może uda się nam ich odeprzeć!

Zeskakując na ziemię, natknąłem się na celnika, który nagle się ocknął, szybko wypadł na zewnątrz i wymierzył

w moją pierś ogromną lufę pistoletu. Wylot gałacza był wielki jak otwarte do wrzasku usta.

- *Bonjour*, Monsieur Gage - powitał mnie celnik. - Za pozwoleniem, zechce pan rzucić tę swoją siekierkę na ziemię.

Mam rozkaz zabrać pana albo tę pańską błyskotkę do Paryża.

ROZDZIAŁ 4

Złodzieje czy agenci - w rewolucyjnej Franq'i bywali zarazem jednymi i drugimi - ustawili nas w szeregu i zaczęli rabować wszystko, co miało większą wartość. Łącznie z rzekomym celnikiem było ich sześciu. Gdy w niezbyt jasnym oświetleniu uważniej im się przyjrzałem, ogarnęło mnie zdumienie. Dwaj wyglądali jak żandarmi, którzy chcieli mnie aresztować w Paryżu. Czy był z nimi i nosiciel latarni? Jego nie widziałem. Niektórzy wymierzyli pistolety w poczmistrza i woźnicę, inni skupili się na pasażerach, odbierając im sakiewki i zegarki kieszonkowe.

- To nowa metoda policyjna na zbieranie podatków? -

zapytałem sarkastycznie.

- Milczeć! - Herszt podsunął mi pistolet pod nos, jakby chciał mi przypomnieć, że ma broń. - Monsieur Gage, niechże się pan dowie, że nie działałam na własną rękę. Mam poparcie władz. Jeżeli nie odda mi pan tego, co chcę, trafi pan do więzienia, gdzie znajdzie pan więcej policjantów, niżby pan chciał.

- A co mam wam oddać?

- On się chyba nazywa Gregoire - odpowiedział ka-pelusznik, pragnąc pomóc w rozmowie.

Mój prześladowca odwiódł kurek pistoletu.

-Sam pan wie co! Ja mam to tylko oddać uczonym, którzy zrobią z tego lepszy użytek. Niech pan rozepnie koszulę!

Obnażyłem pierś w chłodnym powietrzu.

- Widzisz, przyjacielu? Nie mam niczego!

Drab się skrzywił, robiąc groźną minę.

- Więc gdzie to jest?

- W Paryżu.

Skierował lufę ku skroni Talmy.

- Dawaj to albo rozwalę łeb temu dupkowi.

Antoine zbladł jak kreda. Gotów byłbym się założyć, że nigdy wcześniej nikt nie mierzył doń z pistoletu, i poczułem prawdziwy gniew.

- Uważaj z tym, przyjacielu!

- Liczę do trzech!

- Antoine ma zakutą pałę! Kula się tylko odbije.

- Ethanie! - jęknął mój przyjaciel. -Raz!

- Sprzedałem medalion, żeby mieć pieniądze na tę po dróż - zaryzykowałem.

-Dwa!

-1 zapłaciłem czynsz!

Talma ledwo już trzymał się na nogach.

-Trz...

- Czeka! Jak już musisz wiedzieć, **ten przedmiot jest na** górze, w moim bagażu.

Drab ponownie wymierzył we mnie.

- Szczerze mówiąc, z chęcią pozbędę się **tej zabawki**.

Sprawia mi same kłopoty.

- Zrzuć bagaż na dół! - zawołał herszt, zwracając się **do** poczmistrza.

- Który?

- Ten brązowy sakwojazd! - podsunąłem, gdy **Talma** wytrzeszczył na mnie oczy.

- W tych ciemnościach wszystkie są brązowe!

- Niech to piekło pochłonie!

- Sam go znajdę.

Teraz lufa pistoletu wcisnęła się w moje plecy.

- Szybciej! - Prześladowca spojrział na drogę. Wkrótce mogły się pojawić inne pojazdy, a ja z przyjemnością wyobraziłem sobie, jak draba powoli i boleśnie rozjeżdża jakiś ciężki wóz drabiniasty.

- Czy nie zechciałbyś, przyjacielu, opuścić kurka? Was jest tu szczęście, a ja sam jak palec!

-Zamknij pysk albo rozwalę ci łeb, otworzę worek i sam sobie znajdę tę zabawkę!

Wspiąłem się na górę ku bagażom. Drab śledził mnie bacznie, choć został na dole.

-Aaa... Mam.

- Dawaj go tu, jankeski psie!

Sięgnąłem i ująłem w dłoń moją strzelbę wepchniętą pod toboły. Mogłem wyczuć zatrzask skrytki w kolbie, w której trzymałem kule i przybitki, i wygięcie rożka z prochem, umieszczonego w odpowiednim gnieździe. Szkoda, że nie nabiłem strzelby po rozwaleniu drzwi mojego mieszkania; był

to błąd, jakiego nie powinien popełnić doświadczony podróżnik. Drugą dłonią chwyciłem bagaż mojego przyjaciela.

-Trzymaj!

Zamachnąłem się i trafiłem. Sakwojaż uderzył w kurek pistoletu, który ze straszliwym hukiem wystrzelił, roznosząc w strzępy bieliznę Talmy. Biedny głupiec. Konie się szarpnęły, wszyscy zaczęli nagle wrzeszczeć, a ja, przeskakując przez dach, śmignąłem na drugą stronę dyliżansu. Wylądowawszy na poboczu drogi, wyciągnąłem strzelbę. Jednocześnie zagrzmiał

kolejny wystrzał i z nad mojej głowy sypnęły się drzazgi.

Zamiast dać nura w mrok lasu, wsunąłem się szybko pod pojazd, co było dość ryzykowne, bo musiałem uważać na koła, jako że wóz nie stał w miejscu. Leżąc w cieniu, zacząłem gorączkowo ładować rusznicę, której to sztuczki nauczyłem się od mieszkańców Kanady. Odgryzłem przybitkę, sypnąłem prochu i ubiłem go wyciorem.

- Łapać go! - Trzech drabów okrążyło dyliżans i kopnęło się w las, zakładając, że tam właśnie się skryłem.

Pasażerowie zamierzali uciec w drugą stronę, ale dwaj bandyci ostrzegli ich, żeby zostali na miejscu. Rzekomy celnik spiesznie nabijał swój pistolet. Skończywszy z ładunkiem, wysunąłem lufę spod wozu i strzeliłem.

Błysk w mroku oślepił niemal wszystkich. Gdy drań walił

się na plecy, dostrzegłem jakiś przedmiot, który wysunął mu się spod koszuli. Był to masoński symbol, niewątpliwie oznaka zakonu rytu egipskiego, do której należał Silano - cyrkiel wpisany w kwadrat. Pośrodku była znajoma litera. Oto więc miałem wyjaśnienie napaści!

Przetoczyłem się w bok, poderwałem na nogi i z całej siły walnąłem drugiego draba kolbą mojej strzelby. Pod naporem pięciu kilogramów stali i klonowego drewna kości ustąpiły z trzaskiem, który sprawił mi wielką satysfakcję. Porwałem tomahawk. Gdzie jest trzeci opryszek? Nagle usłyszałem kolejny wystrzał i ktoś zawył z bólu. Ruszyłem pomiędzy drzewa w przeciwną stronę, niż pognali trzej pierwsi bandyci.

Inni pasażerowie, wespół z Talmą, też się rozbiegli.

- Bagaż! Łapcie jego worek! - wrzasnął zmagający się z bólem drab, którego postrzeliłem.

Uśmiechnąłem się szeroko. Medalion był bezpiecznie ukryty w podeszwie mojego buta.

Ciemności w mrocznym lesie pogłębiały się, w miarę jak zbliżał się zmierzch. Dreptałem po ciemku, wysuwając przed siebie rusznicę i macając grunt, żeby nie wpaść na jakieś drzewo. Co teraz? Czy bandyci sprzymierzyli się jakoś z władzami, czy działali na własną rękę? Ich herszt miał

urzędowy mundur i dokładnie wiedział, co niedawno wygrałem i kim jestem - to znaczy, że moje poczynania śledził

ktoś mający kontakt z władzami. Mógł on być 76

sprzymierzeńcem Silana i członkiem zakonu rytu egipskiego.

Niepokoiliła mnie nie tylko gotowość opryszka do wy-mierzenia we mnie pistoletu. Przypomniałem sobie, że wewnątrz masońskiej oznaki widniała duża litera, którą można byłoby uznać za symbol gnozy, wiedzy, Boga lub geometrii.

Litera G.

Pierwsza litera mojego nazwiska, którą nieszczęsna Minette nakreśliła własną krwią.

Czy ten emblemat był ostatnią rzeczą, jaką ujrzały jej gasnące już oczy?

W miarę jak tamci coraz bardziej uporczywie starali się odebrać mi medalion, rosła moja determinacja, żeby go zatrzymać. Musiał być jakiś powód, że tak im na nim zależało.

Zatrzymałem się, żeby nabić broń. Wpuściwszy kulę w lufę i utwierdziwszy ją przybitką, nadstawiłem ucha. Usłyszałem trzask łamanej gałązki. Czyżby ktoś szedł za mną? Mogłem strzelić i zabić, gdyby się zbliżył. A co będzie, jak się okaże, że to usiłujący mnie odnaleźć w ciemnościach Talma? Miałem nadzieję, że został przy dyliżansie, ale nie mogłem ryzykować okrzyku; nie chciałem też zwlekać i dać się zaskoczyć, więc ponownie się cofnąłem w gęstwinę.

Wiosenne powietrze było zimne, podniecenie walką i ucieczką gdzieś się ulotniło i poczułem, że jestem głodny i zziębnięty. Zastanawiałem się, czy okrężną drogą nie wrócić na trakt, przy którym mógłbym znaleźć jakieś wiejskie gospodarstwo, ale właśnie wtedy zobaczyłem mocny blask płonącej wśród drzew latarni. Zaraz potem zobaczyłem drugą...

i jeszcze kilka następnych. Pochyliłem się i usłyszałem niewyraźne odgłosy rozmowy prowadzonej w innym niż francuski języku. Oto nadarzała się sposobność kryjówki!

Trafiłem na obozowisko Romów. Cyganie -

albo jak mówili niektórzy Anglicy - Gipcjanie - uznawani byli za uciekinierów z Egiptu. Nie próbowali rozwiać tych wierzeń, utrzymując, że są potomkami zbiegłych z Egiptu kapłanów, choć niektórzy uważali ich za zwykłych pustynnych włóczęgów. Wiara w to, że nieobca im jest wiedza starożytnych, zachęcała kochanków i ludzi pragnących poznać przyszłość do płacenia złotem za ich wróżby.

Znów usłyszałem jakiś dźwięk z tyłu. I oto przydały mi się moje doświadczenia z lasów północnoamerykańskich.

Ukryłem się w krzakach, używając jako osłony cienia latarni.

Mój prześladowca - jeśli to on właśnie szedł za mną - podszedł

do miejsca, gdzie powinienem był stać. Zatrzymał się na chwilę, żeby popatrzeć na światła obozowiska, zastanowił się jak ja przed chwilą, a potem ruszył naprzód, przekonany, że uczyniłem podobnie. Kiedy ujrzałem jego twarz w świetle latarni, nie rozpoznałem w nim żadnego z pasażerów - ale nie był też opryskiem, co kompletnie zbiło mnie z tropu.

Co prawda jego zamiary były dość widoczne - miał w ręku pistolet.

Gdy nieznajomy ruszył ku najbliższemu wozowi, bezgłośnie przemknąłem za jego plecy. Gapił się jeszcze na wielobarwne чудо, jakim było cygańskie *vardo*, kiedy lufa mojej strzelby spoczęła mu na ramieniu i dotknęła jego głowy.

- Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni - stwierdziłem spokojnie.

Nastąpiła długa chwila ciszy. A potem usłyszałem odpowiedź po angielsku:

- Jestem człowiekiem, który pomaga panu zostać przy życiu.

Byłem tak zaskoczony, że nie bardzo wiedziałem, czy odpowiedzieć w moim rodzinnym języku.

- *Qui etes-vous?* - zapytałem wreszcie.

- Sir Sidney Smith, brytyjski agent znający francuski na **78**

tyle, żeby wiedzieć, że pański akcent jest gorszy od mojego -

odparł ponownie po angielsku. - Niechże mi pan wyjmie lufę z ucha, to wszystko wyjaśnię, przyjacielu. Odpowiedź mocno mnie zdumiała. Czyżbym natknął się na najślawniejszego zbiega z francuskich więzień? A może ten człowiek tylko się za Smitha podawał?

- Niechże pan pierwszej rzuci swój pistolet - poleciłem po angielsku. I wtedy poczułem, że i w mój kark wpiera się zimne ostrze.

- A pan niech rzuci swoją strzelbę, Monsieur, i zechce przyjąć moją gošcinę.

Te słowa znów były francuskie, choć z wyraźnym wschodnim akcentem. Cyganie. Z mroków wokół nas wynurzyło się kilku osobników z chustkami lub kapeluszymi o szerokich rondach na głowach, przepasanych barwnymi, bogato tkanymi pasami i w długich butach po kolana. Wszyscy wyglądali dziko i groźnie, wszyscy też mieli w dłoniach noże, rapiery lub pałki. Czailiśmy się jeden na drugiego, podczas gdy oni podeszli nas obu.

-Uważajcie, panowie - odezwałem się, kładąc moją strzelbę na ziemi obok leżącego już tam pistoletu Smitha. -Mogą się tu pojawić inni, którzy mnie ścigają.

Naprzeciwko mnie stanął jakiś smagły mężczyzna z rapierem w dłoni i ponurym uśmiechem na twarzy.

-Już nie. - Podniósłszy pistolet i strzelbę przesunął palcem po gardle. - Witajcie wśród Romów.

Wstępując w krąg światła cygańskiego obozowiska, znalazłem się w innym świecie. Ich zadaszone, pomalowane różnobarwnie wozy utworzyły pomiędzy drzewami coś na kształt elfiej wioski. Wyczuwałem dym, zapach kadzideł i gotowanych egzotycznych potraw, przesyconych czosnkiem i ziołami. Znad dymiących kotłów przyglądały nam się smagłe kobiety o smoliście czarnych włosach i ciężkich, złotych kręgach w uszach, patrzące na nas oczami-79

mi głębokimi i mrocznymi jak prastare sadzawki niezgłębionej czerni. Wokół kolorowych wozów poroziadały się dzieci, wyglądające jak leśne skrzaty. W mrokach pochrapywały i parskały kudłate cygańskie konie pociągowe. Wszystko było skąpane w bursztynowym świetle lamp. W Paryżu królowały rozum i rewolucja. Tu wszystko było starsze, bardziej prymitywne i tchnęło wolnością.

- Jestem Stefan - oznajmił mężczyzna, który nas rozbroił.

Miał ciemne, czujnie patrzące oczy, wielkie wąsy i wydatny, przypominający górski grzbiet nos, złamany w jakiejś dawnej bójce. - Nie lubimy broni palnej. Jest droga, kosztowna w utrzymaniu, hałaśliwa w użyciu i łatwo ją ukraść. Zechciejcie wytłumaczyć, czemu więc przyszliście do nas z bronią?

- Byłem w dylizansie do Tułonu, kiedy nas napadnięto -

powiedziałem. - Uciekałem przed opryszkami. Kiedy zobaczyłem wasze obozowisko, zatrzymałem się i usłyszałem, że ktoś za mną idzie. To był on. - Wskazałem Smitha.

- A ja - stwierdził Anglik - usiłowałem porozmawiać z tym panem, po tym jak uratowałem mu życie. Strzeliłem do opryszka, który właśnie się do niego przymierzał. A nasz przyjaciel czmychnął jak spłoszony królik.

Więc to był ten strzał, który usłyszałem.

- Jak to? - zdziwiłem się. - Chciałem zapytać, skądże się tam, panie, wzięłeś. I czy naprawdę jesteś Smithem?

Wszyscy sądzą, że zbiegłeś do Anglii.

W lutym tego roku zuchwały brytyjski kapitan myszkujący wzdłuż francuskich wybrzeży z pomocą pewnej kobiety uciekł

z paryskiego więzienia Tempie, będącego dawną siedzibą templariuszy. Od tamtego czasu nie dawał znaku życia. Został

ujęty podczas próby uprowadzenia francuskiej fregaty z ujścia Sekwany, a przedtem zasłynął z tak śmiałych i dokuczliwych napaści na francuskie okręty, że władze odrzuciły proponowany przez Anglików okup lub wymianę jeńców.

Szkice i rzeźby jego urodziwego

oblicza sprzedawano nie tylko w Londynie, ale i w Paryżu. A teraz stał przy mnie, twierdząc, że mnie ratował.

- Podążałem za panem w nadziei, że będę mógł pana ostrzec. Natknąłem się na wasz dyliżans wkrótce potem, jak wpadł w zasadzkę, co wcale nie było przypadkiem.

Jechałem za wami w odległości mniej więcej mili i dziś wieczorem chciałem się z panem skontaktować w oberży.

Kiedy ujrzałem tych bandytów, zrozumiałem, że potwierdziły się moje najgorsze obawy, i przekradłem się bliżej.

Świetnie pan sobie poradził z ucieczką, ale drabów było zbyt wielu. Kiedy jeden z nich przymierzył się do pana, zastrzeliłem go.

Wciąż żywiłem pewne podejrzenia.

- A przed czym to chciałeś mnie, panie, ostrzec? Smith zerknął na Stefana.

- Ludzie Egiptu, czy można wam zaufać?

Cygan się wyprostował, jakby wyzowano go do walki.

- Gdy jesteś gościem Romów, twoje tajemnice zostaną wśród nas. Tak, jak chroniłeś tego uciekiniera, Anglika, my osłaniaлиś was obu. My też zobaczyliśmy, co się stało, a potrafimy odróżnić łotrów od ich ofiar. Opryszek, który was śledził, nigdy już nie wróci do swoich.

Smith uśmiechnął się szeroko.

- No to jesteśmy towarzyszami broni! Owszem, uciekłem z więzienia Tempie z pomocą pewnej rojalistki...

i zamierzałem jak najszybciej dotrzeć do Anglii. Czekałem tylko na pewne dokumenty niezbędne, żebym mógł

się przedostać do jakiegoś portu w Normandii. Przede mną dalsze boje. Podczas mojego pobytu w tej okropnej budowli zabijałem czas rozmowami z naczelnikiem więzienia, który był badaczem historii zakonu templariuszy, i usłyszałem mnóstwo opowieści o Salomonie i jego bu downicznych, Egipcie i jego kapłanach, a także o czarach i mocach zagubionych w mgłę dziejów. Ot, pogańskie bzdury, ale interesujące. Może starożytni istotnie władali **81**

mocami, o których zdążyliśmy zapomnieć? A potem, kiedy się ukrywałem, szykując do ostatecznej ucieczki, wśród rojalistów pojawiły się plotki o tym, że armia francuska planuje jakąś wyprawę na wschód i że pewnego Amerykanina poproszono, żeby się przyłączył do tej ekspedycji. Już wcześniej

wiedziałem o panu, Monsieur Gage, i o pańskich doświadczeniach z elektrycznością. Któż nie słyszał o pomocniku wielkiego Franklina? Agenci donieśli nie tylko o pańskim wyjeździe na południe, ale także o tym, że pewne rywalizujące frakcje wśród władz francuskich osobliwie interesują się panem i jakimś przedmiotem, który wpadł panu w ręce. Mówiono też, że ma on coś wspólnego z legendami, o których opowiadał mi naczelnik więzienia. Przedstawiciele tych wrogich rządowych frakcji zamierzali pana schwytać. Doszedłem do wniosku, iż mamy wspólnych wrogów, wspólne interesy, i pomyślałem, że z pańską pomocą mógłbym bezpiecznie opuścić Francję.

Postanowiłem dyskretnie pana śledzić. Dlaczego Amerykanina zaproszono do udziału we francuskiej ekspedycji? Czemu pan się na to zgodził? Opowiadano o hrabim Aleksandrze Silano i grze w pewnej szulerni...

- Myślę, panie, że wiesz o mnie stanowczo zbyt wiele i zbyt chętnie o tym wszystkim rozpowiadasz. Jaki masz w tym cel?

- Chcę poznać twoje zamierzenia i poprosić, żebyś pracował dla Anglii.

- Oszalał pan, łaskawco.

-Pierwej proszę mnie wysłuchać. Monsieur Stefanie, czy nie moglibyśmy dostać trochę wina?

Cygan wyraził zgodę i skinieniem dłoni przywołał urodziwą dziewczynę o imieniu Sarylla. Miała kędzierzawe czarne włosy, ciemne oczy, figurę godną greckiego posągu i przyjazne, nieco zalotne maniery. To akurat nie było czymś niezwykłym: jestem dość urodziwym hultajem. Przyniosła nam bukłak wina. Chryste, jakież byłem spr-

gniony! W cieniu pod kołami wozu przycupnęły dzieciaki i psy, patrzące na nas z taką ciekawością, jakbyśmy lada moment mieli się pokryć pierzem albo miały nam wyrosnąć rogi. Ugasiwszy pragnienie, Smith pochylił się ku mnie.

- Niechże mi pan powie... w pańskim posiadaniu zna laż się jakiś klejnot czy przedmiot?

Wielkie nieba, czyżby i Smith był zainteresowany moim medalionem? Cóż takiego znalazł w Italii ten nieszczęsny, uduszony francuski kapitan? Czyżbym i ja miał skończyć na dnie jakiejś rzeki tylko dlatego, że wygrałem tę błyskotkę? Czy naprawdę była przeklęta?

- Wprowadzono pana w błąd.

- Ale inni pragną go zdobyć dla siebie, czy nie tak?

Westchnąłem ciężko.

- Pan też?

- Przeciwnie, chciałbym się upewnić, że się go pan po zbędzie. Niechże go pan gdzieś zakopie. Zamknie gdzieś i zostawi. Proszę to wyrzucić, przetopić, ukryć, zjeść w koń cu, ale niechże pan trzyma tę przeklętą rzecz z dala od ludzkich oczu, dopóki nie skończą się wojny. Nie mam pojęcia,

czy opowieści mojego znajomego historię templa riuszy nadzorcę nie są tylko bajeczkami, ale wszystko, co może przechylić szalę tego konfliktu na korzyść wrogów Brytanii, zagraża porządkowi naszej cywilizacji. Je żeli pan uważa, że ta błyskotka ma jakąś wymierną wartość, mogę skłonić Admiralicję do wypłacenia panu re kompensaty.

-Panie Smith...

- Sir Sidney, jeśli łaska.

Źródłem jego szlachectwa były wojskowe usługi, jakie oddał w służbie króla Szwecji, nie Anglii, ale miał opinię człowieka próżnego i skłonnego do przesadnego podkreślania własnej ważności.

- Sir Sidney, mówimy jednym językiem. Jestem jed-83

nak Amerykaninem, nie Brytyjczykiem, a Francja poparła mój naród w buncie przeciwko władzy waszego króla. W obecnym konflikcie mój kraj jest neutralny, a na domiar wszystkiego nie wiem, o czym pan mówi.

- Gage, niechże mnie pan posłucha. - Anglik przechylił

głowę niczym jastrzęb; cała jego postawa wyrażała zaniepokojenie. Był krzepki, trzymał się prosto, miał szerokie bary i muskularną pierś nad płaskim brzuchem. Pomyślałem, że uwodzicielskie uśmiechy Sarylli mogą być adresowane i do niego. - Celem waszej kolonialnej rewolucji było zdobycie niezależności politycznej. Francuska zaś zmierza do zmiany porządku i stylu życia. Mój Boże, przecież oni zgilotynowali króla! Tysiące ludzi padły ofiarą tych jakobińskich rzezi! Na każdej z francuskich granic wrze wojna! Wznosi się świątynie ateizmu! Skonfiskowano majątki kościelne, unieważniono długi, pozajmowano majątki i posiadłości ziemskie, wszędzie mamy tu zbrojne bandy, bunty, anarchię i tyranie! Macie z Francją tyleż wspólnego co Waszyngton z Robespierre'em. Pan i ja mamy wspólne nie tylko język, ale kulturę i polityczny system prawa i państwowości. Szaleństwo, jakie ogarnęło Francję, może zachwiać całą Europą. Wszyscy porządni ludzie stali się sojusznikami, chyba że opowiedzą się po stronie anarchii lub dyktatury.

- Mam we Francji wielu przyjaciół.

- Ja też! Sprzeciwiam się tylko tyranom, którzy rządzą tym krajem. Nie proszę cię, panie, żebyś kogokolwiek zdradzał.

Mam nadzieję, że udasz się za tym młodym, ambitnym Napoleonem. Chcę tylko, żebyś ukrył ten medalion. Niechże go pan zatrzyma dla siebie, nie oddaje Boniowi czy temu Silanowi albo komukolwiek innemu, choćby nie wiedzieć jak prosił i nalegał. Proszę wziąć pod uwagę, że przyszłość waszego kraju jest w oczywisty sposób związana z Imperium Brytyjskim, nie z rewolucją, która się już załamuje! Niech pan zachowa swoich francu-84

skich przyjaciół! Proszę i mnie do nich zaliczyć... być może kiedyś będziemy działać ręką w rękę.

- Chce pan, żebym szpiegował dla Anglików?

- Ależ nie! - Z miną pełną urazy spojrział na Stefana, jakby szukał u niego wsparcia i potwierdzenia niewinności. - Po prostu proponuję pomoc. Niechże pan pójdzie swoją drogą i tylko zwraca uwagę na to, co zobaczy. Ale jeżeli kiedykolwiek rozczaruje pana Napoleon czy jego postęпки i zechce pan poszukać pomocy, niechże się pan skontaktuje z brytyjską marynarką i opowie to, co każdy mógłby zobaczyć. Dam panu sygnet z symbolem jednorożca, który jest w moim herbie.

Powiadomię Admiralicję, że jest autentyczny. Ten sygnet zapewni panu bezpieczne wejście na pokład każdego brytyjskiego okrętu.

Smith i Stefan spojrzeli na mnie, jakby obaj spodziewali się jakiejś deklaracji z mojej strony. Czy oni uważali mnie za głupca? Czulem wypukłość medalionu pod wydrażoną podeszwą mojego buta.

- Po pierwsze, nie wiem, o czym pan mówi - zełgałem gładko. - Po drugie, nie szukam sprzymierzeńca wśród Francuzów czy Anglików. Jestem zwykłym człowiekiem nauki, którego zaangażowano do obserwacji pewnych przyrodniczych fenomenów i który miał ze strony prawa pewne trudności, te jednak zostały w Paryżu. Po trzecie, gdybym miał to, o co pan prosi, nikomu bym tego nie od dał, biorąc pod uwagę diabelne zainteresowanie, jakie to budzi we wszystkich. I po czwarte, cała ta dyskusja jest bezprzedmiotowa, ponieważ nawet gdybym to miał...

a nie mam... to i tak bym to stracił, bo mój bagaż został

w łapach rabusiów, gdy uciekłem. - Masz i udław się, po myślałem. To powinno mu zamknąć gębę.

Smith uśmiechnął się szeroko.

- Porządny z pana człowiek! - zawołał, klepiąc mnie po ramieniu. - Wiedziałem! Piękne przemówienie!

-A teraz zasiądźmy do uczy - zaproponował Ste-85

fan. - Niechże mi pan opowie o tym, czego się pan dowiedział

w Tempie, sir Sidney. My, Romowie, pochodzimy od faraonów, Mojżesza i Noego. Wiele zapomnieliśmy, ale równie wiele pamiętamy, a ja wciąż niekiedy umiem przepowiedzieć przyszłość lub nagłe zwroty fortuny. Ta oto Sarylla jest *drabardi*, umie wróżyć i może zdoła przewidzieć, co was czeka. Proszę, panie, niechże nam pan opowie o Babilonie, Tyrze, Memfis i Jerozolimie.

Czy wszyscy oprócz mnie powariowali na punkcie starożytności? Wsunąłem na palec pierścień Smitha, zakładając, że nie zaszkodzi mieć jeszcze jednego przyjaciela.

- Niestety, jeżeli zostanę tu dłużej, narażę się na niebez pieczeństwo - stwierdził Smith. - Mówiąc prawdę, tropią mnie francuscy dragoni. Musiałem się z panem zobaczyć, Monsieur Gage, ale teraz muszę ruszać w drogę, zanim oni natrafią na miejsce rabunku, usłyszą o moim wystrza le i zaczną myszkować po tym lesie. - Potrząsnął głową. - Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co myśleć o fa scynacji tymi okultystycznymi sprawami. Mój naczelnik więzienia, Bonifacy, był jednym z najpodlejszych jakobiń skich oprawców, ale nieustannie napomykał o mistycz nych tajemnicach. Wszyscy chcemy wierzyć w magię, na wet kiedy dorastamy i mówi się nam, że nie powinniśmy.

Jakbym słyszał Talmę.

- My, Romowie, od stuleci przechowujemy sekrety na szczytach egipskich przodków - powiedział Stefan.
- A jednak w dawnych sztukach jesteśmy jak dzieci.

Hmm... Ich związki z Egiptem wydały mi się wątpliwe -

sama ich nazwa wskazywała na pochodzenie z Rumunii, ale tak czy owak byli barwną i pełną tajemnic grupą smagłych ludzi, odzianych w kamizelki i szale, pokrytych bliznami i pyszniących się biżuterią, włączając w to ankh i figurkę psiogłowego Anubisa. Ich kobiety może i nie były piękne jak Kleopatra, ale miały zniewalający urok. Na jakież wyżyny wzniosły sztukę miłosną, posiadając dawne **86**

sekrety? Przez chwilę się nad tym zastanawiałem. W końcu jestem człowiekiem nauki.

- Żegnajcie, nowi przyjaciele - odezwał się Smith, po dając Stefanowi sakiewkę. - Tu jest zapłata za bezpieczne odstawienie Monsieur Gage'a i jego talizmanu, którego oczywiście nie ma, do Tulonu. W tych waszych powoli ja dających wozach nikt go nie będzie szukał. Zgoda?

Cygan łypnął okiem na sakiewkę, zważył ją w dłoni i parsknął śmiechem.

- Za tę cenę byłbym go dowiózł do Stambułu! Ale po nieważ jest prześladowany, zabiorę go za darmo.

Anglik odpowiedział uprzejmym ukłonem.

- Wierzę ci, przyjacielu, ale nie gardź hojnością Ko rony.

Wędrówka z Cyganami miała mnie rozdzielić z Talmą, dopóki nie dotrzemy do Tulonu, doszedłem jednak do wniosku, że tak będzie lepiej - ze względu na jego i moje bezpieczeństwo. Z pewnością zacznie się trapić - ale on i tak chodził wiecznie strapiony.

- Jeszcze się spotkamy, Gage - stwierdził Smith. - Niechże pan nosi mój sygnet, żabojady nie zwrócą na niego uwagi... w więzieniu się nim nie popisywałem. Tymczasem niechże pan się bacznie rozgląda wokół i pomyśli o tym, jak szybko idealizm staje się tyranją, a wyzwolicie le dyktatorami. Może się pan też opowiedzieć oczywiście po stronie rodzinnego kraju pańskiej matki. - Znikł po między drzewami równie niespodzianie, jak się pojawił, niczym widmo, a w takie spotkanie nikt by nie uwierzył.

Jeszcze się spotkamy? Nie, jeżeli będę miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Nie miałem pojęcia, że Smith jeszcze się pojawi w moim życiu, choć miało to nastąpić o tysiące mil stąd. Teraz po prostu odetchnąłem z ulgą, gdy opuścił naszą kompanię.

- A teraz zasiądźmy do uczy - zaproponował Stefan.

„Uczta” sprowadzała się do gęstego gulaszu i pajd **87**

gruboziarnistego, ale smakowitego chleba. Czulem się bezpiecznie wśród tych osobliwych obieżyświatów, choć dziwiła mnie nieco ich gościnność. Wydawało się, że nie chcą ode mnie niczego i wystarczy im moje towarzystwo.

- Stefanie, nie przyznam, że Smith miał rację, mówiąc o tej błyskotce. Ale gdyby coś takiego istniało naprawdę...

dłaczego niektórzy ludzie tak bardzo pragną dostać to w swoje ręce?

Uśmiechnął się lekko.

- Nie chodzi o sam naszyjnik, ale o to, że jest swego rodzaju śladem.

- Do czego?

Cygan wzruszył ramionami.

- Wszyscy znamy stare opowieści. Zwykle mówi się o tym, że starożytni Egipcjanie u zarania dziejów pozna li moce, które uznali za niebezpieczne, i wyrzekli się ich, dopóki ludzkość nie osiągnie odpowiedniego poziomu intelektualnego i moralnego, które pozwolą na właściwe ich użycie. Zostawili jednak wskazówki zamknięte w pewnym medalionie. Mówi się, że przekazano go Aleksandro wi Wielkiemu przed jego marszem na Persję, kiedy od był pielgrzymką do oazy Sziwa, gdzie go uznano za syna Zeusa i Amona. W konsekwencji podbił cały znany ów czesnym ludziom świat. Jak to się stało, że dokonał tego tak szybko? Potem umarł jako młody człowiek w Babilonie. Choroba? Czy morderstwo? Powiada się też, że jeden z wodzów Aleksandra, Ptolemeusz, ponownie zabrał ów klucz do Egiptu, licząc na to, że potrafi uwolnić wielkie moce, ale nie umiał zrozumieć znaczenia symboli na me dalionie.

Spadkobierczyni

Ptolemeusza,

Kleopatra,

wy

bierając się z Cezarem do Rzymu, zabrała ów przedmiot ze sobą. Potem zamordowano i Cezara! I tak ów meda lion zaczął swoją wędrówkę przez wieki, pożądany przez wielkich, którzy szukali swego przeznaczenia i znajdowa li zgubę. Królowie, papieże i sułtanowie zaczęli podzielać

wiarę, że jest on przeklęty, choć czarnoksiężnicy i magowie wierzyli, że może uwolnić wielkie moce. Nikt jednak nie miał

pojęcia, jak go użyć. Był kluczem otwierającym bramy raju czy piekła? Krzyżowcy zawieźli go do Jerozolimy w czasach pierwszych krucjat, ale i te poszukiwania zawiodły ich na manowce. Rycerze Świętyni stali się więc jego strażnikami, ukrywając go pierwaj na Rodos, później na Malcie. Opowieści o poszukiwaniach Świętego Graala zacierają prawdę o przedmiocie poszukiwań. Przez

kilka stuleci medalion spoczywał w zapomnieniu, aż ktoś rozpoznał jego znaczenie i wartość. I pojawił się w Paryżu... a teraz w naszym obozowisku. Temu jednak oczywiście, panie, zaprzeczysz.

Prawda?

Nie spodobała mi się myśl o medalionie, który wszystkim niesie śmierć.

-Przyjacielu, czy naprawdę uważasz, że taki zwykły człowiek jak ja mógłby znaleźć ów klucz?

-Sam kunsztownie opracowałem tysiące kawałków Jedynego Krzyża, a także całe worki palców i zębów rozmaitych świętych mężów. Któż potrafi odróżnić prawdę od fałszu?

Wiedz jednak, panie, że są ludzie gotowi zabić, żeby zdobyć tę błyskotkę, o której mówisz, że jej nie masz.

- Może Smith miał rację. Może powinienem go wyrzucić...

albo dać tobie.

- Nie mnie! - Moja sugestia wyraźnie go zaniepokoiła. - Nie potrafiłbym go użyć ani zrozumieć. Jeżeli opowieści o tym medalionie są prawdziwe, można go zrozumieć tylko w Egipcie, gdzie został stworzony. A zresztą mówi się, że przynosi pecha temu, kto nie jest właściwym człowiekiem.

- O tym akurat mógłbym nawet zaświadczyć - stwierdziłem ponuro. Obicie, morderstwo, ucieczka, napad... -A jednak człowiek uczony, na przykład Franklin, byłby orzekł, że to bzdury i przesady.

- A może by go zbadał, korzystając z najnowszych źródeł nauki?

Oczywista bezinteresowność Stefana zrobiła na mnie wrażenie, zwłaszcza że jego opowieść pobudziła moją własną ciekawość. Zbyt wielu ludzi pragnęło medalionu albo chciało go ukryć: Silano, bandyci, biorący udział w ekspedycji do Egiptu Francuzi, Anglicy i członkowie tajemniczego zakonu rytu egipskiego. Nasuwało to wniosek, że powinienem go zatrzymać, aż wytarguję najwyższą cenę albo odkryję jego tajemnicę. To oznaczało podróż do Egiptu - ale musiałem też mieć się nieustannie na baczności.

Zerknąłem na Saryllę.

- Przyjacielu, czy ta twoja dziewczyna nie zechciałaby mi powróżyć?

- Ona jest panią tarota. - Stefan strzelił palcami i dziewczyna wzięła talię swoich mistycznych kart.

Widziałem już przedtem te symbole, a wizerunki śmierci i diabła wciąż mnie niepokoiły. Sarylla bez słowa przetasowała karty, rozłożyła je przed ogniskiem i odwróciła kilka z nich, miecze, kochanków, puchary i czarodzieja. Przez chwilę patrzyła mocno zdziwiona i milczała. W końcu podniosła jeszcze jedną kartę.

Była to karta błazna lub głupca.

- To on.

Cóż, sam się o to prosiłem, czyż nie?

- To ja?

Kiwnęła głową.

- I ten, którego szukasz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

-Karty mówią, że dowiesz się, co to znaczy, kiedy dotrzesz tam, gdzie masz dotrzeć. Jesteś błaznem, który musi znaleźć błazna, stając się mędrcelem, żeby znaleźć mądrość. Jesteś poszukiwaczem, który musi przedtem znaleźć pierwszego, żeby szukać. Więcej nie musisz wiedzieć i lepiej, żebyś nie wiedział.

To właśnie jest piękne w prorocत्वach - są niejasne jak dobrze spisana umowa. Napiłem się jeszcze wina.

Było już dawno po północy, kiedy usłyszeliśmy tętent kopyt licznych koni.

- Dragoni! - syknął Cygan stojący na warcie.

Słyszałem szcęk broni, łoskot kopyt i trzask łamanych gałązek. Zgaszono wszystkie lampy prócz jednej i wszyscy, poza Stefanem, ukryli się w swoich wozach. Sarylla ujęła mnie za rękę.

- Musisz zdjąć to swoje ubranie, żebyś mógł się upodobnić do Roma - szepnęła.

- A macie dla mnie jakieś przebranie?

- Żadnego, poza twoją skórą.

Nie da się zaprzeczyć, że był to jakiś pomysł. Lepszy wóz Sarylli niż więzienie Tempie. Pomogła mi wejść do wozu i zręcznymi palcami szybko zdjęła poplamione ubranie. Sama też się rozebrała. Jej ciało jakby lśniło w mroku. Co za dzień!

Ułożyłem się na pościeli obok jej giętkiego i sprężystego ciała i zacząłem nasłuchiwać wyjaśnień, jakie Stefan półgłosem składał dowódcy dragonów. Usłyszałem nazwisko „Sidney Smith”, potem jakieś gniewne pomruki i pogrożki, aż wreszcie ktoś silnym szarpnięciem otworzył drzwi wozu. Zaraz potem ja i Sarylla, udając nagle obudzonych z głębokiego snu, osłoniliśmy oczy dłońmi, przy czym dziewczyna pozwoliła, żeby koc odsłonił jej piersi. Dragoni wytrzeszczyli oczy, ale to nie we mnie się wpatrywali jak urzeczeni.

Gdy jeźdźcy już się oddalili, usłyszałem propozycję, która sprawiła, że mój stosunek do podróży przez lasy do Tulonu nagle się poprawił.

- Pokaż mi, co robią te Egipcjanki - szepnąłem dziewczynie.

ROZDZIAŁ 5

W miesiąc później, dziewiętnastego maja roku 1798, stałem na pokładzie francuskiego studwudziestodziałowego okrętu flagowego *L'Orient*, niezbyt daleko od żywiącego największe w Europie ambicje człowieka. Współ z grupą uczonych i artystów

obserwowaliśmy

majestatyczną

paradę

stu

osiemdziesięciu okrętów prujących morskie fale. Egipska ekspedycja wyruszyła ku swemu przeznaczeniu.

Błękit morza upstrzyły białe żagle, okręty popychały podmuchy chłodnej porannej bryzy, a pokłady lśniły splukane szkwałem, który - jak liczyliśmy - rozpędzi brytyjską flotę blokującą Tulon. Gdy okręty ustawiały się w szyku po wyjściu z portu, każdy pozdrawiał fort salwą z muszkietów kompanii

honorowej, tak że pokłady zasnuwały smugi dymu. Na pokładzie większych zebrane były orkiestry pułkowe, a błyszczące instrumenty rozsiewały blaski i tony rozmaitych patriotycznych utworów, którymi popisywali się kapelmistrze.

Na saluty odpowiadały działa fortu i trzydzieści cztery tysiące zebranych na pokładach żołnierzy i marynarzy pozdrawiały wodza grzmiącymi okrzykami, gdy ich okręty mijaly flagowy *L'Orient* Napoleona.

To był dopiero początek. Niewielkie konwoje z Genui, korsykańskiego Ajaccio i włoskiego Civitavecchia miały przywieźć dodatkowe posiłki francuskim oddziałom płynącym na Egipt. Na Malcie miało się zebrać czterysta 92

okrętów i czterdzieści pięć tysięcy żołnierzy oraz tysiąc koni, setka wozów taborowych, jaszczy i dział artylerii polowej, ponad trzysta „praczek”, które miały dostarczać wojakom i innych

usług

wspierających

morale,

oraz

setka

przeszmuglowanych jakoś żon i kochanek. W ładowniach floty znalazło się też cztery tysiące butelek wina dla oficerów i osiemset wybranych osobiście przez Józefa Bonaparte, dla użytku jego brata. Nasz wódz kazał też załadować piękną karetę z uprzężą na czwórkę koni, żeby mógł imponować kairczykom przepychem podczas wycieczek po mieście.

-Jesteśmy armią francuską, nie angielską - oznajmił

oficerom swojego sztabu. - Lepiej żyjemy w polu niż oni w swoich zamkach.

Tę uwagę żołnierze mieli w przyszłości wspominać nie bez goryczy.

Dotarłem do Tulonu po dość krętej i niespiesznej wędrówce z cygańskim taborom. Było to bardzo przyjemne interludium w podróży. „Egipskie kapłanki” pokazywały mi proste sztuczki karciane, objaśniały tajniki tarota i częstowały kolejnymi opowieściami o ukrytych pod ziemią skarbach oraz wielkich świątyniach, w których przechowywano sekrety dawnych mocy. Żadna z nich oczywiście nie była w Egipcie i nie umiała mi dowieść, że ich opowieści zawierają choć ziarno prawdy, ale snucie zajmujących historii było jednym z ich głównych talentów i źródłem zarobków. Obserwowałem, jak wróżyły szczęście i pomyślność mleczarkom, ogrodnikom i policjantom. To, czego Cyganie nie mogli zdobyć snuciem fantazji, kradli i uczyli się obywatelom bez tego, czego nie mogli ukraść. Towarzystwo taborowi do Tulonu było znacznie bardziej interesującym sposobem podróżowania niż telepanie się w dylizansie, choć wiedziałem, że Talma będzie się martwić

z powodu mojej przeciągającej się nieobecności. Ulgę też sprawiało mi to, że nie muszą słuchać masonskich teo-93

rii dziennikarza; poza tym nie bez żalu opuszczałem ciepło łoża Sary lii.

Port był domem wariatów, wrzącym z podniecenia i kipiącym przygotowaniami do wyprawy; roiło się tam od żołnierzy, marynarzy, dostawców wojskowych, oberżystów i dziwek. Można też było dostrzec uczonych w wysokich kapeluszach, podekscytowanych i bojaźliwych, potykających się wciąż w wysokich, nowych i dlatego sztywnych butach.

Oficerowie w olśniewająco barwnych mundurach wyglądali jak pawie, a zwykli żołnierze płonęli entuzjazmem i z radosnym fatalizmem oczekiwali wyruszenia ekspedycji w nieznanym kierunku. W tym tłumie, odziany w zielony płaszcz i znacznie już podniszczone ubranie, zgodnie z zaleceniami rozsądku zachowywałem anonimowość, ale dla bezpieczeństwa szybko zameldowałem się na pokładzie *L'Orientu*, gdzie nie mogli mnie już znaleźć bandyci, miłośnicy starożytności, żandarmi, nosiciele latarni ani nikt, kto mógłby mi się naprzykrzać czy dobrać mi się do skóry. Na pokładzie tego okrętu spotkałem wreszcie Talmę.

-Bałem się, że będę musiał stawiać czoło niebezpieczeństwom Wschodu samotnie i bez przyjaciela! - stwierdził z emfazą. - Berthollet też był zaniepokojony. *Mon dieu*, co się stało?

- Przykro mi, ale w żaden sposób nie mogłem cię po wiadomić. Wydało mi się zresztą, że lepiej będzie podró żować skrycie. No... wiedziałem, że będziesz się martwić.

Objął mnie serdecznym uściskiem.

- Gdzie jest medalion? - spytał, przybliżając usta do mojego ucha.

Tym razem, nauczony doświadczeniem, odpowiedziałem wymijająco:

-Bezpiecznie ukryty, przyjacielu, bezpiecznie ukryty.

- A co masz na palcu? Nowy pierścień?

- Dar od Cyganów.

W skrócie opowiedzieliśmy sobie o swoich przygodach. Co się tyczy napadu, Talma stwierdził, że po mojej ucieczce pozostali przy życiu opryszkowie rozbiegli się, szukając kryjówki w lesie. Potem zjawili się dragoni, którzy szukali innego zbiega - „w tym mroku wszystko im się pomieszało” - i też znikli w lesie. Tymczasem woźnica, poczmistrz i stajenny odciągnęli blokujące drogę drzewo na pobocze i wszyscy podróżni dotarli wreszcie do najbliższej oberży. Talma postanowił poczekać na mnie do przyjazdu następnego dyliżansu, na wypadek gdybym trafił do tejże oberży po wyjściu z lasu. Ponieważ tak się nie stało, ruszył do Tulonu, uznawszy mnie w duchu za nieboszczyka.

-Cyganie! - zawołał, usłyszawszy o moich przygodach. -

Doprawdy, Gage, masz talent do pakowania się w tarapaty!

Ale gracko postrzełeś tego łotrzyka! Byłem zaskoczony, zdumiony i zachwycony!

- Niewiele brakło, a on byłby zastrzelił ciebie.

-Oczywiście nauczyłeś się tego od czerwonoskórych Indian?

- Antoine, podczas moich podróży nauczyłem się trzymać jedną dłoń otwartą i gotową do powitalnego uścisku, a drugą na kolbie pistoletu. - Umilkłem na chwilę. - Czy ten drab umarł?

- Ponieśli go w las, choć mocno krwawił.

Cóż, kolejny powód do rozmyślań w mrokach nocy.

- Czy ci Cyganie są takimi łotrami, jak się o nich mówi? -

zapytał Talma.

- Absolutnie nie. Co prawda, będąc z nimi, lepiej uważać na sakiewkę. Uratowali mi skórę. Barwny styl życia i nieustanna czujność sprawiają, że ich kobiety są bardzo zmysłowe. Nie znają domu, więzów rodzinnych, pracy...

- Trafił swój na swego! Dziwię się, że w ogóle wróciłeś!

- Oni uważają się za spadkobierców egipskich kapła-95

nów. Słyszeli legendy o zagubionym medalionie. W tych legendach mówi się, że jest on kluczem do pewnego sekretu starożytnych.

- Ależ oczywiście! To wyjaśnia zainteresowanie członków zakonu ryty egipskiego! Cagliostro uważał się za przeciwnika zwykłych wolnomularzy. Może Silano myśli, że ten sekret da mu przewagę nad głównym nurtem. Ale żeby się ważyć na otwarty napad? To musi być rzeczywiście coś wielkiego!

- A są jakieś wiadomości o Silanie? Czyżby nie znał Bonapartego?

- Krążą słuchy, że udał się do Italii, być może chce się dowiedzieć więcej o przedmiocie twojej wygranej. Berthollet opowiedział Napoleonowi o tym medalionie. Bardzo go to zainteresowało, ale Bonaparte nazwał też masonów imbecylami oddającymi się dziecięcym mrzonkom. Jego bracia, Józef, Ludwik, Hieronim i Lucjan, którzy też należą do naszego ruchu, wszyscy mocno się z nim spierali. Napoleon powiedział, że twoja opinia o Luizjanie interesuje go równie jak twoja znajomość biżuterii, ale myślę, że to tylko pochlebstwo pod adresem Ameryki. Z uznaniem też wyrażał

się o twojej pracy pod kierownictwem Franklina. Liczy na to, że kiedyś pomożesz mu nawiązać stosunki ze Stanami.

Talma przedstawił mnie i opowiedział o mojej szczęśliwej ucieczce innym uczonemu, którzy znaleźli się na pokładzie okrętu flagowego. Zostaliśmy członkami grupy liczącej stu sześćdziesięciu siedmiu specjalistów, których Napoleon poprosił o wzięcie udziału w jego ekspedycji. Było wśród nich dziewiętnastu inżynierów, szesnastu kartografów, dwóch artystów, poeta, orientalista i liczna grupa matematyków, chemików, znawców starożytności, astronomów, mineralogów i zoologów. Znowu zetknąłem się z Bertholletem, który zwerbował większość członków tej grupy, i w odpowiednim czasie zostałem przedstawiony

generałowi. Moja narodowość, znajomość ze sławnym Franklinem i historia mojej ucieczki z Paryża wywarły spore wrażenie na młodym zdobywcy.

- Elektryczność! - zawołał w pewnej chwili. - Cóż by to było, gdybyśmy mogli ujarzmić te błyskawice pańskiego mentora!

Imponowało mi, że wodzem tak ambitnie zakrojonej ekspedycji został Napoleon. Najsłynniejszy europejski generał

był szczupły i irytująco młody. Miał dwadzieścia dziewięć lat, młodszych odeń było tylko czterech z trzydziestu jeden podlegających mu dowódców, ale podczas gdy różnica w miarach angielskich i francuskich sprawiała, że brytyjscy propagandziści bezlitośnie wykorzystywali ten brak wysokości

- miał godne szacunku metr sześćdziesiąt pięć wzrostu - tak czy owak nie był zbyt tęgi, wydawało się więc, że tonie w butach, ciągnąc ra-pier za sobą. Paryskie plotkarki nazwały go Kotem w Butach, której to kpiny nigdy im nie zapomniał. Egipt miał

dopiero uczynić z tego młodego człowieka Napoleona, który brał świat szturmem, ale na pokładzie *U Orientu* nie był on jeszcze późniejszym pogromcą Europy; widziano w nim bardziej człowieka pełnego ambicji i wad niż marmurowy posąg, jakim stał się później. Historycy stworzyli zeń ikonę, ale był to człowiek pełen sprzeczności. Błyskawiczna kariera, jaką robił za czasów rewolucji, była równie zawrotna jak zaskakująca i wielu starszych od niego polityków liczyło na to, że upadnie tak szybko, jak poszybował ku wysokościami. Ale sam Bonaparte był tak pewny siebie, że graniczyło to z próżnością.

I czemuż miałyby być inaczej? Nie gdzie indziej jak właśnie tu, w Tulonie, ze skromnego kapitana artylerii awansował na generała brygady, po rozmieszczeniu dział w taki sposób, że zmusiły rojalistów i Anglików do opuszczenia miasta. Przeżył

dni Terroru i krótki pobyt w więzieniu, a poślubiając lwicę ówczesnych salonów, Józefinę,

której nieszczęsnego męża zgilotynowano, postawił stopę na pierwszym szczeblu drabiny awansów. Potem na stopniach kościoła Świętego Rocha, używszy kartaczy, utopił we krwi paryski

bunt

rojalistów

i

poprowadził

francuskich

obszarpanców z Armii Włoch do serii oszałamiających zwycięstw w Italii. Jego żołnierze wielbili go, jak weterani legionu X kochali Cezara, a członkowie Dyrektoriatu roz-koszowali się zdobycami, które posyłał do ich pustego już skarbcza. Napoleon zamierzał iść w ślady Aleksandra Wielkiego, a jego cywilni przełożeni woleli się go pozbyć z Europy. Egipt był idealnym rozwiązaniem dla obu stron.

A jednak już wtedy, dużo wcześniej, zanim zamieszkał w pałacach i zaczął opływać w dostatki, wyglądał jak bohater!

Miał czarne, krótko przycięte nad czołem włosy, rzymski nos, usta lekko zaciśnięte, jakby pozował do klasycznej rzeźby, ostro zarysowany podbródek i ciemne, patrzące z ciekawością oczy. Potrafił z niezwykłym ogniem zwracać się do swoich żołnierzy, doskonale rozumiał ludzką potrzebę chwały i przygód, a trzymał się zawsze tak, jak wedle powszechnych wyobrażeń powinni się trzymać bohaterowie: chodził

wyprostowany, z lekko uniesioną głową, a oczy miał utkwione gdzieś w tajemniczej dali na horyzoncie. Jego maniery i słowa świadczyły o tym, że doskonale wie, co robi.

Mnie najbardziej zaimponował tym, że wyniesienie zawdzięczał sobie i swojemu charakterowi, nie zaś urodzeniu, co odpowiadało amerykańskiemu ideałom. Nie był w końcu urodzonym Francuzem, lecz -jak my sami - emigrantem, który wprost z Korsyki zjawił się w koszarach szkoły wojskowej. W

młodości nie pragnął niczego bardziej jak niepodległości dla ojczystej wyspy. Mówiono, że był przeciętnym uczniem we wszystkim oprócz matematyki, nietowarzyskim samotnikiem, pozbawionym mentora lub jakiegoś wpływowego opiekuna, który ukończywszy szkoły, musiał stawić czoło zamętowi, jaki ogarnął Francję

po wybuchu rewolucji. Podczas jednak gdy niemal wszystkich jego kolegów ów chaos zaskoczył i pogryzł, Napoleon świetnie go wykorzystał. Jego inteligencja, stłumiona rygorami szkoły

wojskowej, rozkwitła nagle, gdy pojawiło się zapotrzebowanie na pomysłowość i wyobraźnię - na Francję ze wszystkich stron runęły wojska interwentów. Uprzedzenia, z jakimi się stykał jako przybysz z prowincjonalnej wysepki, pochodzący z drobnej szlachty, znikły, kiedy podczas kolejnych krytycznych sytuacji udowodnił swoje kompetencje i skuteczność działania. Niczym źle uszyty płaszcz odrzucił

precz młodzieńczą nieśmiałość i brak pewności siebie - potrafił

z braku manier uczynić zaletę. Ten zupełnie zmieniony Bonaparte uosabiał ideały rewolucyjne, które pozycję społeczną uzależniały od osobistych zalet, nie stawiając żadnych ograniczeń ambicjom. Choć konserwatyści w rodzaju Smitha tego nie dostrzegali, w tym właśnie obie rewolucje -

amerykańska i francuska - były do siebie podobne. Bonaparte był człowiekiem, który sam siebie stworzył.

A jednak stosunek Napoleona do poszczególnych ludzi był

może najdziwniejszy ze wszystkich, jakie zdarzyło mi się obserwować. Niewątpliwie miał charyzmę, zawsze jednak służyła ona jakiemuś konkretnemu celowi. Był pełen rezerwy, czujny i spięty jak aktor, grający na publicznej scenie. Kiedy spoglądał na ciebie, jaśniał cały jak kandelabr, energia emanowała z niego niczym ciepło z konia. Potrafił obdarzyć człowieka niezwykle skoncentrowaną, pochlebiającą i uwodzicielską zarazem uwagą - i wielokrotnie korzystał z tej swojej umiejętności; sam kilka razy padłem ofiarą tych jego czarów. A jednak w chwilę później zwracał się do innego, a ty się czułeś, jakby chmura przesłoniła słońce. W sekundę później mógł się zamyślić pośrodku zatłoczonego pomieszczenia, patrząc w podłogę z równą intensywnością, z jaką patrzył przed chwilą na ciebie. Pewna paryska dama oświadczyła, że nie chciała-99

by się natknąć na tak posępną twarz w jakimś mrocznym zaułku. W kieszeni nosił poplamiony egzemplarz *Cierpień młodego Wertera* Goethego, romantycznej powieści o beznadziejnej miłości, którą sześciokrotnie przeczytał od deski do deski. Widziałem, jak popadał w ponury nastrój po tryumfie w bitwie pod Piramidami równie łatwo jak w godzinach pełnych grozy i niebezpieczeństw.

Ostatni okręt przepłynął przed nami dopiero po ośmiu godzinach - wszystkie pozdrawiały wodza trójkolorową flagą.

Przed nami przepłynęło majestatycznie dwanaście okrętów liniowych, czterdzieści dwie fregaty i setki transportowców.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, gdy okręt flagowy ruszył

za wszystkimi jak kaczka za stadkiem kacząt. Flota rozciągnęła się na dwu kwadratowych milach powierzchni, większe okręty skracały żagle, żeby mniejsze kupieckie balie mogły im dotrzymać tempa. Kiedy dołączyły do nas inne konwoje, rozciągnęliśmy szyki na cztery mile kwadratowe i zaczęliśmy się wlec z prędkością trzech węzłów.

Wszyscy oprócz starych żeglarzy okropnie cierpieli.

Bonaparte, który wiedział, że choroba morska należy do jego słabości, większość czasu spędzał w drewnianym, zawieszonym na linach łóżku, które amortyzowało kołysanie okrętu. Pozostałych mdliło niezależnie od tego, czy czuwali, czy usiłowali spać. Talma nareszcie nie musiał udawać chorób i kilkakrotnie mnie zapewniał, że lada moment chyba umrze.

Żołnierze nie nadążali z wypadaniem na otwarty pokład i dobieganiem do relingu, rzygali więc do wiader, które szybko się przepełniały, i wszystkie okręty śmierdziały wymiocinami.

Na pięciu pokładach *L'Orionu* stłoczyło się dwa tysiące żołnierzy, tysiąc marynarzy, bydło, owce i tak wiele zapasów, że od dziobu po rufę raczej się przeciskaliśmy, niż przechodziliśmy. Wybitni uczeni, tacy jak Berthollet, mieli własne kabiny obite szkarłatnym aksamitem, ale tak ciasne, że przypominały trumnę. Mniej

100

znani musieli się zadowalać szafkami z wilgotnego dębu. Tak się tłoczyliśmy przy stołach, że trudno było podnieść łyżkę ze strawą do ust. Tuziny zaokrętowanych koni stukały kopytami, nieustannie rżały i szczały do ładowni, tak że każda część ubrania przesiąkała wilgotnym smrodem. Dolne luki armatnie trzeba było pozamykać z powodu chwiejby, na niższych pokładach więc panował mrok uniemożliwiający czytanie.

Woleliśmy wszyscy przebywać na otwartym pokładzie, ale przeszkadzało to marynarzom z dyżurujących wacht, którzy musieli robić swoje; czasami się niecierpliwili i przeganiali nas pod pokłady. Po jednym dniu tej mordęgi wszyscy mieli dość, a po tygodniu tęskniliśmy za pustynią.

Dodatkowy niepokój wzniewała konieczność wypatrywania okrętów brytyjskich. Ich głównym powodem był Horacy Nelson, osławiony żeglarz, który w walkach przeciwko Francji stracił już ramię i jedno oko, co jednak nie ugasiło jego zapału.

Plotki głosiły, że ze swoją flotą przemierza całe Morze Śródziemne i zamierza posłać nas wszystkich na dno.

Ponieważ rewolucja ogołociła marynarkę francuską z wielu najlepszych oficerów, a pokłady artyleryjskie były przeładowane zapasami, wszyscy się baliśmy tego starcia.

Jednak głównym źródłem naszych utrapień była pogoda. Po kilku dniach dopadł nas szkwał, a właściwie burza z gromami i błyskawicami. Okrętem tak kołysało, że przerażone bydło zaczęło głośno ryczeć, a wszystko, czego przedtem starannie nie umocowano, zamieniło się w jedną miotaną bezładnie od burty do burty kupę śmiecia. Po godzinie morze się uspokoiło, a następnego dnia panował taki upał, że z luków zaczęły się unosić kłęby pary. Wiatr nieustannie się zmieniał, a woda pachniała zgnilizną. Moje wspomnienia z tej podróży zdominowały nudności, znużenie i oczekiwanie zmiany na lepsze.

101

Podczas rejsu Bonaparte zaczął zapraszać płynących z nami na pokładzie uczonych na dyskusje przy

kolacji. Naukowcy odkryli w tych dość luźnych konwersacjach miłe urozmaicenie podróży, a jego oficerowie korzystali z okazji, żeby się zdrzemnąć. Napoleon lubił się przedstawiać jako człowiek o różnorodnych zainteresowaniach. Wykorzystawszy swoje polityczne koneksje do tego, by wybrano go członkiem Akademii Nauk, mawiał, że gdyby nie został żołnierzem, to z pewnością byłby człowiekiem nauki. Utrzymywał, że największe prawa do nieśmiertelnej sławy mają ci, co poszerzają zakres ludzkiej wiedzy, a nie wygrywający bitwy wodzowie. Nikt nie wierzył w szczerłość tych słów, niemniej ładnie to umiał wyrazić.

Spotykaliśmy się w nisko sklepionej kajucie, w której po bokach ustawiono działa rufowe, wyglądające jak wierne, czekające na rozkaz pana psy. Pokryta teraz dywanami podłoga była z czarnych i białych desek, podobnie jak w masonskich lożach, których budowniczości wzorowali się na antycznych architektach. Czyżby francuski projektant okrętów był

członkiem bractwa? A może my, masoni, widzieliśmy swoją symbolikę wszędzie tam, gdzie chcieliśmy ją widzieć?

Wiedziałem, że gwiazdy, księżyc, słońce, wagę i kształty geometryczne włącznie z piramidami wzięliśmy od starożytnych. Zresztą zapożyczenia szły dwojakimi drogami: podejrzewam, że decyzję o wybraniu pracowitej pszczoły na swój symbol Napoleon powziął za podszeptami swoich braci, którzy wiedzieli, że ul też należy do symboliki wolnomularstwa.

Tam właśnie miałem okazję rozejrzeć się wśród naukowców, do których i mnie zaliczono - nie mogłem też mieć im za złe, że patrzyli na mnie nie bez rezerwy. Mistyczne sekrety? Berthollet opowiedział już zebranym, że w moje ręce wpadł jakiś tajemniczy przedmiot, który miałem nadzieję porównać z innymi, jakie niewątpliwie znajdziemy w Egipcie.

Bonaparte oznajmił, że mam swoje

102

teorie dotyczące używania elektryczności przez starożytnych Egipcjan. Ja mówiłem tylko niejasno, że zamierzam spojrzeć na piramidy świeżym okiem.

Moi koledzy mogli się poszczycić znacznie szerszymi doświadczeniami. O Berthollecie już wspomniałem. Pod względem sławy dorównywał mu tylko znakomity matematyk, pięćdziesięciodwuletni Gaspard Monge, który był też najstarszym członkiem grupy. Przypominał starego, mądrego mopsa - krzaczaste brwi ocieniały duże, ukryte głęboko oczy.

Był twórcą geometrii wykreślnej, a jego kariera naukowa stała się podstawą administracyjnej, kiedy rząd rewolucji poprosił

go, żeby ratował francuski przemysł zbrojeniowy. Monge był

autorem pomysłu użycia kościelnych dzwonów na odlewanie dział i napisał *Sztukę wytwarzania dział*. Do wszystkiego, czego się tknął, podchodził racjonalnie i analitycznie; był

twórcą systemu metrycznego, ale też podsunął Napoleonowi pomysł zabrania z Włoch *Mony Lizy*.

Wyczuwszy może, iż mój umysł nie jest aż tak zdyscyplinowany jak jego, adoptował

mnie niczym zbłąkanego i niedawno odzyskanego bratanka.

- Siłano! - westchnął, kiedy mu wyjaśniłem, jak stałem się posiadaczem medalionu. - Natknąłem się na niego we Florencji. Zamierzał przejrzeć biblioteki Watykanu i pół-

gębkiem napomykał coś o Stambule i Jerozolimie. Co prawda na to musiałby uzyskać pozwolenie władz tureckich. Nie powiedział jednak, do czego mu to było potrzebne.

Równie słynny był nasz geolog, którego nazwisko -Deodat Guy Silvain Tancrede de Gratet de Dolomieu -było dłuższe niż lufa mojej rusznicy. W kręgach akademickich głośno było o jego zakończonym śmiercią rywala pojedynku, kiedy jako osiemnastolatek wstępował w szeregi kawalerów maltańskich, teraz zaś, mając lat czterdzieści siedem, stał się człkiem zamożnym, był wykładowcą Akademii Górniczej i odkrywcą minerału nazwanego na jego cześć dolomit. Był wielkim miłośnikiem włości

103

po kraju i posiadaczem ogromnych włości, który nie mógł się wprost doczekać zbadania skał Egiptu.

Urodziwy Etienne Louis Malus był matematykiem i badaczem optycznych własności światła. Jean Baptiste Fourier, o wiecznie zaspanych oczach i donośnym głosie, był kolejnym ze sławnych matematyków. Naszym orientali-stą i tłumaczem miał być Jean Michel de Venture, specem od ekonomii był

Jean Baptiste Say, a zoologiem - Etienne Geoffrey Saint-Hilaire, zwolennik osobliwej idei, że właściwości roślin i wygląd zwierząt na przestrzeni wieków się zmieniały.

Najbardziej zuchwałym i obdarzonym największą in-

żynierską wyobraźnią był aeronauta, Nicolas Jacques Conte, noszący opaskę na uszkodzonym w eksplozji balonu oku. Był

pierwszym w historii człowiekiem, który w bitwie pod Fleurus użył balonu do rozpoznania artyleryjskiego. Wymyślił nowy rodzaj instrumentu do pisania, który nazwał ołówkiem i nosił

nieustannie zatknięty za pas, żeby szkicować rozmaite wyimaginowane maszyny. Zajął już miejsce ekspedycyjnego *wynalazcy* i zabrał spore ilości kwasu siarkowego, który w reakcji z żelazem miał mu dać wodór do napełniania jego jedwabnych balonów. Ten element, lżejszy od powietrza, był

dużo bardziej użyteczny dla aeronautów niż balony wznoszące się na ciągu gorącego powietrza.

- Nicolasiu, gdyby udało ci się przeprowadzić ten twój plan podboju Anglii drogą powietrzną - żartował często Monge - to nie musiałbym teraz codziennie wyrzygiwać flaków na tych rozkołysanych baliach.

- Potrzebowałem po prostu więcej balonów - odcinał się Conte. - Gdybyś nie oszczędzał każdego sou na te twoje odlewnie dział, obaj pilibyśmy teraz herbatkę w Londynie.

W tej epoce aż kipiało od nowych pomysłów prowadzenia wojen. Przypomniałem sobie, że mój własny rodak, 104

Robert Fulton, dostał w grudniu odmowną odpowiedź na złożoną francuskim władzom propozycję zbudowania pod-wodnego okrętu wojennego. Pojawiały się nawet pomysły przekopania tunelu pod kanałem La Manche.

Ci uczeni panowie wraz z oficerami sztabu schodzili się na zebrania czegoś, co Napoleon nazywał swoim *Instytutem*.

Młody generał wybierał temat, wyznaczał dyskutantów i prowadził nas po burzliwych falach sporów o politykę, poglądy społeczne, taktykę wojskową i naukę. Mieliśmy trzydniową debatę na temat szkodliwych wpływów własności prywatnej na wszelkie dziedziny życia, jeden wieczór poświęciliśmy na dyskusję o wieku Ziemi, inny na własności snów, a podczas kilku wieczorów spieraliśmy się o prawdy zawarte w rozmaitych religiach i pożytki z nich płynące. W tej kwestii wyraźnie ujawniały się sprzeczności charakteru Napoleona; w jednej chwili potrafił zaprzeczać istnieniu Boga, w następnej zaś, ujawniając korsykańskie korzenie, żegnał się znakiem krzyża. Nikt nie wiedział, w co on wierzy, a najmniejsze pojęcie o tym miał on sam. Z drugiej strony był zwolennikiem użyteczności religii jako narzędzia do kontroli ludu.

- Gdybym stworzył swoją religię, mógłbym rządzić Azją -

powiedział kiedyś.

- Myślę, że Mojżesz, Jezus i Mahomet wpadli już na ten pomysł przez panem, generale - stwierdził kpiąco Berthollet.

- O to właśnie mi chodzi - odparł Bonaparte. - Żydzi, chrześcijanie i muzułmanie... wszyscy oni powołują się na te same święte opowieści źródłowe. Poza kilkoma drobnymi kwestiami, takimi jak tożsamość ostatniego proroka, więcej jest w nich podobieństw niż różnic. Jeżeli zdołamy przekonać Egipcjan, że rewolucja nie wynosi żadnej wiary ponad inną, uznając je za jedną, nie będziemy mieli żadnych problemów religijnych. Zarówno Aleksander, jak i Rzymianie szanowali religie ludów, które podbijali.

105

- A jednak wierzący w większości gotowi są staczać zaciekle boje dotyczące tych właśnie różnic w ich wierzeniach

- ostrzegł go Conte. - Niechże pan nie zapomina o wojnach, jakie w Europie toczyli katolicy i protestanci.

- Czyż nie stoimy u progu wieku rozumu i tryumfów nauki?

- odezwał się Fourier. - Być może rodzaj ludzki zacznie się wreszcie zachowywać racjonalnie?

- Nie będę się sprzeciwiał. Owszem, ludzie odzyskują zdrowy rozsądek pod lufami dział - odparł aeronauta.

-Aleksander podbił Egipt, ogłaszając, że jest synem greckiego Zeusa i egipskiego Amona - stwierdził Bonaparte. -

Zamierzam być równie tolerancyjny wobec Jezusa i Mahometa.

- Choć żegnasz się, generale, jak papista - zakpił Mon-ge. -

A co z rewolucyjnym ateizmem?

- Ta idea to największa pomyłka rewolucji i z pewnością upadnie. Sprawa istnienia czy nieistnienia Boga to kwestia drugorzędna. Sęk w tym, że ilekroć religia czy przesady wchodzą w konflikt z ideami wolności, te ostatnie zawsze przegrywają w sercach i umysłach ludzi. - Był to jeden z tych cynicznych poglądów, jakimi Napoleon lubił zaskakiwać swoich naukowców, przeciwstawiając swój intelekt ich wiedzy.

I uwielbiał nas prowokować. - Poza tym religia nie pozwala biedakom na wyrżnięcie bogaczy.

Fascynowało go też zagadnienie prawdziwości lub nie-prawdziwości mitów.

- Weźmy na przykład zmartwychwstanie czy narodził się z dziewicy - zaczął pewnego wieczoru, gdy racjonałista Berthollet wznosił oczy do góry. - Te opowieści nie są tylko własnością chrześcijan, znają je liczne stare religie.

Ot, weźmy choćby tego waszego masona, Hiram Abiffa, prawda, mój Talmo?

Lubił tak się zwracać do mojego przyjaciela, licząc na to, iż Antoine będzie mu pochlebiał w wysyłanych do paryskich gazet korespondencjach.

106

- Jest to idea tak powszechna, że człowiek mimo woli zaczyna się zastanawiać, czy nie kryje ziaren prawdy -zgodził

się Talma. - Czy śmierć jest ostatecznym końcem? A może dałoby się ją odwrócić lub przeciwstawić jej już na zawsze?

Dlaczego faraonowie przywiązywali do niej tak wielką wagę?

- Najstarsze opowieści o zmartwychwstaniu dotyczą egipskiego boga Ozyrysa oraz jego żony i siostry, Izy-dy -

stwierdził Venture, który był znawcą Wschodu. -Ozyrys został

zamordowany przez swego złego brata, Seta, Izyda jednak pozbiierała jego członki i przywróciła mu życie. Potem Ozyrys wziął Izydę do łóża i splodził z nią syna Horusa. Śmierć jest zaledwie wstępem do życia.

- A my kierujemy się ku ziemiom, gdzie przypuszczalnie tego właśnie dokonano - stwierdził Bonaparte. - Tam, skąd one pochodzą... czy nie ma w nich ziarna prawdy? A jeżeli choć po części tak jest, to zadajmy sobie pytanie, jakimi mocami dysponowali Egipcjanie, którzy mogli dokonywać takich czynów? Wyobraźcie sobie korzyści z nieskończonego życia i dysponowania nieskończonym czasem! Ileż można byłoby dokonać?

- Choćby w bankowości, dzięki oprocentowanej lokacie -
zażartował Monge.

Ta rozmowa obudziła moją czujność. Czy nie dlatego właśnie celem wyprawy stał się Egipt? Czyżby Napoleonowi nie chodziło tylko o podbicie kraju i uczynienie zeń francuskiej kolonii? Czyżby nasz wódz zamierzał tam szukać źródła życia wiecznego? Czy nie dlatego tak wiele osób interesowało się moim medalionem?

- Wszystko to są mity lub alegorie - skrzywił się Berthollet. - Któryż człowiek nie boi się śmierci i który nie marzy o tym, żeby się jej przeciwstawić? A jednak wszy scy, włącznie z Egipcjanami, jej ulegamy.

Generał Desaix ocknął się nagle z drzemki.

107

-Chrześcijanie wierzą, że istnieje inny rodzaj życia wiecznego - wytknął nam spokojnie.

- Ale to, o co chrześcijanie się modlą, Egipcjanie uprawiali w praktyce - sprzeciwił się Venture. - Jak w licznych innych starożytnych kulturach, składali swoich zmarłych do grobów z tym, co byłoby im potrzebne w następnej podróży. Niekiedy ich zmarli zabierali ze sobą wielkie skarby... i w tym widzę pewną trudność. Te groby mogły zostać spustoszone przez rabusiów setki lat temu. „Prześlijcie nam złoto - pisali do faraonów królowie rywalizujących państw. - Macie go więcej niż piasku na pustyni”.

- Oto jest wiara dla mnie - mruknął generał Dumas. - Taką wiarę rozumiem.

-Może oni przeżyli w inny sposób, jako Cyganie? -

odezwałem się.

- Co takiego?

- Cyganie. Gipcjanie. Utrzymują, że pochodzą od egipskich kapłanów.

- Albo stali się Saint-Germainem czy Cagliostrem - dodał

Talma. - Ci ludzie twierdzą, że żyli tysiące lat temu, znali Jezusa i Kleopatę. Może to prawda?

- Prawdą jest to, że Cagliostro umarł - skrzywił się Berthollet. - Prawdą jest, że żołnierstwo otworzyło jego grób w papieskim więzieniu i piło toasty z jego czaszki.

- Jeśli naprawdę była to jego czaszka - nie poddawał się Talma.

-A członkowie loży egipskiego rytu twierdzą, że są bliscy ponownego odkrycia tych mocy i cudów, nieprawdaż? -

zapytał Napoleon.

- Członkowie zakonu rytu egipskiego zdradzają idee wolnomularstwa - odparł Talma. - Zamiast postępować moralnie i ufać Wielkiemu Budowniczemu, nurzają się w okultyzmie i mrocznych praktykach. Cagliostro jest twórcą przewrotnych zasad, pozwalających wykorzystywać kobiety podczas seksualnych orgii obrzędowych. Oni 108

chcą używać starożytnych mocy dla własnych korzyści, a nie dla dobra ludzkości. Hańbą jest, że zyskali taką popularność w Paryżu i uwiedli takiego człowieka jak Sila-no. Wszyscy prawdziwi wolnomularze nimi gardzą.

Napoleon uśmiechnął się lekko.

- Więc ty, przyjacielu, wspólnie ze swoim amerykańskim towarzyszem musicie odkryć te sekrety przed nimi.

Talma kiwnął głową.

-I użyjemy ich do naszych celów.

Przypomniałem sobie opowieść Stefana o Egipcjanach być może czekających ze swoimi sekretami, aż ludzkość zacznie postępować moralnie i rozwinięta nauka. I tak płynęliśmy dalej, na pokładach okrętów, których burty jeżyły się tysiącem dział.

Podbój śródziemnomorskiej Malty trwał dwa dni i kosztował życie zaledwie kilku Francuzów. Godzi się jednak powiedzieć, że poprzedziły go cztery miesiące szpiegowania, przekupstw i negocjacji. Z trzystu tak zwanych rycerzy maltańskich będących reliktem średniowiecza połowę stanowili Francuzi i niemal wszyscy woleli dostać państwowe renty, niż umierać za dawno minioną chwałę zakonu. Po krótkim i tylko pro forma stawianym oporze wszyscy ucałowali dłoń zdobywcy. Naszego młodego geologa, Do-lomieu, który został

wydalony z szeregów maltańskiego rycerstwa za pojedynek, powitano

jak

syna

marnotrawnego

pomocnego

w

wynegocjowaniu najlepszych warunków kapitulacji. Malta miała należeć do Francji, Wielkiego Mistrza zesłano do jakiegoś niewielkiego księstwa w Niemczech, wyznaczając mu określoną rentę, i Bonaparte zabrał się do łupienia skarbcza z taką samą starannością, jak robił to we Włoszech.

Zostawił rycerzom kolekcję drzazg ze Świętego Krzyża i poczerniałą ze starości rękę Jana Chrzciciela. Dla Francji wziął

pięć milionów franków w złocie, milion w srebrnej 109

zastawie stołowej i kolejny milion w klejnotach ze skarbcza Świętego Jana. Większość tego łupu złożono na pokładzie *UOrientu*. Ogłosił też koniec niewolnictwa i rozkazał, żeby wszyscy Maltańczycy nosili trójkolorowe rozety na kapeluszach. Zreorganizowano szpitalnictwo i pocztę, sześć-

dziesięciu chłopców z najzamożniejszych rodzin wysłano na edukację do Francji, ustanowiono nowy system szkolnictwa, a jako garnizon zostawiono na wyspie pięć tysięcy żołnierzy. Był

to wstęp do łupiestwa i reform państwowych, jakie spodziewał

się urzeczywistnić w Egipcie.

I właśnie na Malcie przybiegł do mnie podniecony swoim ostatnim odkryciem Talma.

- Był tu Cagliostro! - wypalił od progu.

- Gdzie?

- Na tej wyspie! Rycerze mi powiedzieli, że gościł tu przed ćwierćwieczem, wespół ze swoim greckim mentorem Alhotasem. Tu właśnie spotkał Kometa! Ci trzej mędrcy naradzali się z Wielkim Mistrzem i badali to, co templariusze przywieźli z Jerozolimy.

-1 co z tego?

- Tu właśnie mogli odnaleźć ten twój medalion... głąbo ko w skarbcu rycerzy maltańskich! Ethanie, czy ty niczego nie rozumiesz? To tak, jakbyśmy wędrowali jego śladami.

Działa tu moc przeznaczenia!

Ponownie przypomniałem sobie opowieści Stefana o Cezarze i Kleopatrze, o królach, krzyżowcach i poszukiwaniach, które na przestrzeni dziejów prowadziło mnóstwo ludzi.

- Czy którykolwiek z tych rycerzy pamięta ów przedmiot lub wie, do czego miałby służyć?

- Nie. Ale jesteśmy na właściwym tropie. Nie widzisz?

- Ukryłem go w bezpiecznym miejscu, ponieważ wywołuje kłopoty, gdy tylko się go wyjmie.

Ufałem Talmie, a jednak nie bardzo miałem ochotę pokazywać mu medalion po opowieści Stefana o tym, co się

działo z ludźmi, których niegdyś los zetknął z tym przedmiotem. Naukowcy i artyści wiedzieli o jego istnieniu, ale nie podobały mi się żądania, bym go pokazywał w zamian za informacje.

- Ale jak mamy rozwiązać zagadkę, skoro trzymasz to w ukryciu?

- Najpierw dotrzyjmy do Egiptu.

Zrobił minę zdradzającą rozczarowanie.

Minął mniej więcej tydzień i nasza armada znów po-pełzła leniwie ku Aleksandrii. Mówiono, że Brytyjczycy wciąż nas szukają, ale się na nich nie natknęliśmy. Nieco później się dowiedzieliśmy, że eskadra Nelsona minęła nas w mroku.

Jednego z tych wieczorów, podczas których żołnierze z nudów grali o swoje buty, żeby jakoś zwalczyć monotonię podróży, Berthollet zaprosił mnie, żebym poszedł za nim na najniższy pokład *U Orientu*.

- Monsieur Gage, najwyższy czas, żebyśmy jako ucze ni zarobili na swoje utrzymanie.

Pogrążyliśmy się w półmroku. Latarnie dawały tu nikłe światło.

Wszędzie widziało się ludzi wiszących biodro w biodro niczym larwy w hamakach kołysanych ruchem statku i fal. Jedni chrapali, inni kaszlali, a jeszcze inni, młodzi i stęsknieni za domem, popłakiwali z cicha. Wszystkiemu towarzyszył

miarowy skrzyp drewna. Morze szumiało i posykiwało, a spływająca po bokach kadłuba woda wydawała się gęsta niczym syrop. Przed drzwiami magazynów i okrętowego skarbczyka stali żołnierze z bagnetami, które lśniły w mroku jak igiełki lodu. Weszliśmy do tej Pieczary Aladyna. Czekał już tam na nas matematyk Monge, który usadowił się na okutej spiżem skrzyni. Obok niego stał urodziwy oficer, który brał

udział w najbardziej finezyjnych dysputach filozoficznych, młody geograf i kartograf nazwiskiem Edme Francois Jomard.

To on właśnie miał się stać moim przewodnikiem po tani jemniczych piramidach. W jego ciemnych oczach lśniła żywa inteligencja - stawiał się na pokładzie ze skrzynią pełną ksiąg starożytnych autorów.

Zainteresował mnie, ale jeszcze bardziej intrygowała mnie zawartość kabiny. Był tu skarb Malty i spora część pieniędzy przeznaczonych na żołd dla żołnierzy. Skrzynie pełne pieniędzy, niczym ule miodu. W workach zgromadzono setki wysadzanych

klejnotami

przedmiotów

kultu i

darów

dziękczynnych. Sztaby złota poukładano jak sagi drewna.

Wartość tego, co człek mógłby stąd wynieść w jednej garści, zapewniłaby mu utrzymanie na całe życie.

-

Nawet o tym nie myśl - ostrzegł mnie chemik.

-*Mon Dieu*\ Gdybym był Bonapartem, już dziś zrezygnowałbym z dalszej kariery.

- On nie chce pieniędzy, on pragnie władzy - zauważył

Monge.

- No nie, pieniędzy pożąda z równą mocą - poprawił go Berthollet. - Został jednym z najbogatszych oficerów w armii.

Jego żona i krewni wydają jednak złoto szybciej, niż on je grabi. On i jego bracia to prawdziwy klan korsykański.

- A czego chce od nas? - zapytałem.

- Wiedzy. Zrozumienia. Rozszyfrowania tajemnic. Czy nie tak, Jomard?

- Generał szczególnie interesuje się matematyką - stwierdził

młody oficer.

- Matematyką?

- Matematyka jest kluczem do wojny - wyjaśnił Jomard. - Po odpowiednim przeszkoleniu żołnierze rozmaitych nacji są tak samo odważni. Wygrywa przewaga liczebna i siła ognia w miejscu ataku. Do tego jednak trzeba nie tylko ludzi, ale zaopatrzenia, dróg, zwierząt pociągowych, paszy i prochu.

Potrzebna jest określona liczba ludzi poruszających się w określonym tempie i stawiających się w

dział, że ponad wszystkich ceni oficerów, którzy potrafią rachować.

-1 nie tylko na jeden sposób - dodał Monge. - Obecny tu pan Jomard jest znawcą matematyki klasycznej, a Napoleon chce, żeby nauczył się nowych rachunków. Dawni autorzy, tacy jak Diodor Sycylijski, uważali, że Wielka Piramida to matematyczna zagadka, nieprawdaż, Edme?

- Diodor postawił tezę, że wymiary Wielkiej Piramidy są odwzorowaniem mapy Ziemi - wyjaśnił Jomard. - Po wyzwoleniu kraju dokonamy pomiarów tej budowli, żeby temu zaprzeczyć lub poprzeć to dowodem. Grecy i Rzymianie byli tak jak my zafascynowani wymiarami piramidy i dlatego Diodor postawił taką hipotezę. Czyż ludzie w istocie kazaliby rzeszom niewolników budować taki grobowiec, tym bardziej że nie znaleziono w nim żadnych mumii czy skarbów? Herodot utrzymuje, że faraon został pogrzebany na wyspie podziemnej rzeki, płynącej na znacznej głębokości pod samą piramidą.

- Więc piramida jest tylko nagrobkiem? Znacznikiem grobu?

-Albo ostrzeżeniem. Lub jakąś machiną... jeżeli weźmiemy pod uwagę jej tunele i wymiary. - Jomard wzruszył ramionami.

- Któż to wie? Jej budowniczy nie zostawili żadnych zapisków.

- A jednak Egipcjanie po całym świecie zostawili mnóstwo wskazówek, których nikt jeszcze nie umie właściwie odczytać - stwierdził Monge. - I dlatego właśnie tu jesteście. Zechciej, panie, rzucić na to okiem. Nasi żołnierze zdobyli to w Italii i Bonaparte zabrał ten przedmiot na tę wyprawę.

Chemik odrzucił bogato przetykane złotymi nićmi płótno i odsłonił tabliczkę wielkości obiadowego talerza, jej srebrną powierzchnię pokrywały dziwne znaki i napisy wykonane z czarnej, wpuszczanej w metal emalii. Były tam pięknie wykonane sylwetki postaci egipskich w an-113

tycznym stylu, zgromadzone w serii jakby sal umieszczonych jedno nad drugim. Bogów, boginie i hieroglify otaczały fantastyczne zwierzęta, drzewa i kwiaty.

-To Tablica Izydy. Należała kiedyś do kardynała Bembo.

- Co znaczą te rysunki i napisy? - zapytałem.

-Tego właśnie chciałby się nasz generał dowiedzieć.

Od stuleci naukowcy podejrzewali, że w tej tablicy zawarto jakąś sekretną wiadomość. Legenda głosi, że Platona wprowadzono w wielkie misteria. Stało się to w pewnej komnacie pod największą z egipskich piramid. Być może jest to plan lub mapa tych komnat. Być może pański medalion jest kluczem do odczytania i zrozumienia tej tablicy.

Nie bardzo mogłem w to uwierzyć. W porównaniu z tym dziełem sztuki znaki na moim medalionie były bardzo prymitywne. Figurki zastygły w pozach pełnych anielskiej wręcz gracji. Były tu siedzące

pawiany i kroczący zamaszycie ludzie z wysokimi nakryciami głów. Kobiety miały u ramion sokołe skrzydła. Mężczyźni mieli głowy psów i ptaków. Trony podpierały lwy i krokodyle.

-Mój artefakt jest znacznie bardziej prymitywny.

- Ma pan zbadać ten przedmiot, zanim dotrzemy do ruin za Kairem. Wiele z tych postaci trzyma na przykład łaski. Czy to są jakieś oznaki władzy czy przewodniki ja kichś sił? A może mają związek z elektrycznością? Czy ten przedmiot przyniesie jakąś korzyść rewolucji?

Ludzie zadający te pytania byli wybitnymi postaciami świata nauki. Wygrałem mój medalion w szulerni. Ale rozwiązanie tej zagadki mogło mi przynieść znaczne nagrody, nie wspominając o wycofaniu zarzutu morderstwa. Licząc figurki, spostrzegłem, że niektóre mają wyższe nakrycia głów.

- Coś mi świta - stwierdziłem. - Tych najważniejszych figurek jest dwadzieścia jeden, tyle samo ile w talii tarota, którą podarowali mi Cyganie.

114

- Interesująca uwaga - stwierdził Monge. - Może z po mocą tej tablicy przepowiadano przyszłość?

Wzruszyłem ramionami.

- Równie dobrze może to być tylko piękna patera pod owoce.

-Zrobiliśmy szkic tych figurek i innych rysunków, który może pan wziąć ze sobą do kabiny. - Sięgnął do innej skrzyni. -

A oto inna osobliwość znaleziona przez naszych żołnierzy w tej samej twierdzy, w której więziono Cagliostro. Posłałem po nią, kiedy Berthollet opowiedział mi o panu i pańskich przygodach. - Zobaczyłem okrągły dysk wielkości talerza o pustym środku. Obrzeża dysku podzielono na trzy okręgi, jeden wewnątrz drugiego. Na tych pierścieniach widniały symbole słońca, księżyca i znaków zodiaku. Wszystkie kręgi obracały się wewnątrz wspólnej osi i symbole można było ustawiać naprzeciwko siebie.

- Uznaliśmy to za rodzaj kalendarza - oznajmił Monge. -

To, że można zestawiać ze sobą te symbole, sugeruje, iż ten przedmiot może wskazywać przyszłość, wyznaczając jakieś daty. Ale co to za daty i dlaczego właśnie one? Niektórzy podejrzewają, że ma to coś wspólnego z precesją ekwinokcjum.

- Jaką procesją?

- Precesją. Religia dawnego Egiptu oparta była na obserwacjach nieba - stwierdził Jomard. - Gwiazdy tworzyły pewne wzory i poruszały się na niebie po określonych torach.

Wierzono, że są obdarzone życiem i mają władzę nad losami ludzi. Egipcjanie podzielili sklepienie niebios na dwanaście stref znaków zodiaku, ciągnących się od zenitu ku horyzontowi. W tym samym

dniu roku... powiedzmy, w dniu wiosennego ekwinokcjum, dwudziestego pierwszego marca, kiedy długość dnia zrównuje się z długością nocy... słońce wschodzi pod tym samym znakiem zodiaku.

115

Nie zamierzałem pytać, dlaczego oficer uznał za stosowne użyć tradycyjnej daty, a nie tej z kalendarza rewolucyjnego.

-Ale nie d o k ł a d n i e w tym samym miejscu. Co roku słońce wstaje nieco bliżej i nie zamyka pełnego kręgu, ponieważ oś Ziemi kołysze się jak oś dziecięcego bączka. Ta oś zatacza po niebie pełny okrąg w ciągu dwudziestu sześciu tysięcy lat. A po bardzo długim czasie pozycje konstelacji też się zmieniają. Dwudziestego pierwszego marca tego roku Słońce weszło w znaku Ryb, jak to się dzieje od narodzenia Chrystusa. Może właśnie dlatego chrześcijanie wybrali rybę na swój symbol? Ale przed Chrystusem Słońce wschodziło w konstelacji Barana i ten wiek trwał dwa tysiące sto sześćdziesiąt lat. Przed Baranem był Byk... i być może właśnie wtedy pobudowano piramidy. Po trwającej dwa tysiące sto sześćdziesiąt lat erze Ryb nadejdzie era Wodnika.

- Wodnik miał dla Egipcjan szczególne znaczenie - odezwał

się Monge. - Wielu ludzi uważa, że te znaki stworzyli Grecy, ale naprawdę są znacznie starsze. Jedne sięgają czasów Babilonu, a inne powstały w Egipcie. Wylewające się z trzymanego przez Wodnika dzbanka wody symbolizują roczne pływy wód Nilu, tchnących życie w egipskie pola. Ludzie pierwszej cywilizacji wzrastali w najdziwniejszym środowisku na ziemi: w rajskim ogrodzie... pasie zieleni otoczonym wrogą pustynią, gdzie nieustannie świeciło słońce, deszcze były rzadkością, a ziemię nawadniała rzeka wypływająca ze źródeł, które *do* dziś pozostają nieznanne. Oddzielona od nieprzyjaciół

Saharą i Pustynią Arabską, karmiona wedle tajemniczego rocznego cyklu, nakryta sklepieniem niezliczonych gwiazd była ta ziemia miejscem trwałych i skrajnych kontrastów, idealnym do narodzin i rozwoju religii.

-Więc może jest to narzędzie do obliczania cykli Nilu?

116

- Może. A może wskazuje właściwy czas do rozmaitych działań. Liczymy na to, że pan pomoże nam rozwikłać tę zagadkę.

- Kto to wykonał?

- Nie wiemy - odparł Monge. - Te symbole różnią się od wszystkich, jakie widzieliśmy, a rycerze maltańscy nie mają żadnych zapisków dotyczących tego znaleziska. Może powstało w Palestynie? W Egipcie? Grecji? Babilonie? A może w jeszcze zupełnie innym miejscu i czasie?

- Monsieur Monge, jeżeli ktoś zdoła rozgryźć tę zagadkę, to z pewnością pan, nie ja. Pan jest matematykiem. Ja miewam kłopoty przy obliczaniu reszty z zakupów.

- Z tym akurat każdy ma kłopoty. Niechże pan posłucha, Gage. Nie wiemy jeszcze, co to wszystko znaczy. Ale zainteresowanie, jakie budzi pański medalion, podpowiada mi, że jest częścią jakiejś niezwyklej tajemnicy. Ponieważ jest pan Amerykaninem, przyznano panu prawo wzięcia udziału w tej ekspedycji. Obecny tu pan Berthollet gwarantował panu ochronę przed prawem. Ale nie był to akt miłosierdzia...

wynajęto pańskie doświadczenie. Jest pan potrzebny Napoleonowi w Egipcie z wielu powodów, a jednym z nich jest ten, że możemy się tam zetknąć z dziełami nauki starożytnych... tajemnicami dotyczącymi magii, techniki czy elektryczności. I oto pojawia się pan, uczeń Franklina, z tajemniczym medalionem. Czy to jakiś znak? Niechże pan pamięta o tym, gdy będziemy wkraczać w Nieznane. Bonaparte zamierza podbić ten kraj. Pan fnusi tylko rozwiązać tę zagadkę.

- Jaką zagadkę?

- Być może dotyczy ona tego, skąd przyszliśmy. I dlaczego utraciliśmy łaskę.

Wróciłem do kabiny, którą dzieliłem z Talmą i pewnym porucznikiem o nazwisku Malraux, oszołomiony widokiem skarbów i tajemnicami, z którymi miałem się zmie-117

zyć. Nie mogłem dostrzec żadnego związku pomiędzy medalionem i przedmiotami, które mi pokazano; na dodatek nikt nie miał pojęcia, o jaką zagadkę chodzi. Od dziesięcioleci po dworach europejskich krążyli podający się za czarnoksiężników szarlatani, tacy jak Cagliostro. Utrzymywali oni, że znają tajemnice starożytnego Egiptu, ale żaden z nich nie wyjaśnił nawet, czego dotyczyły. Zapoczątkowali jednak szaloną modę na okultyzm. Sceptycy kwitowali wszystko niechętnym skrzywieniem ust, ale ludzie zaczęli myśleć, że c o ś musi być ukryte w ziemi faraonów. Teraz okazało się, że tkwię w samym środku tego szaleństwa. Im bardziej rozwijała się nauka, tym bardziej ludzie tęsknili za magią.

Podczas rejsu przejąłem od marynarzy praktykę chodzenia boso, bo lato było gorące. Kładąc się na koi, zauważyłem, że przepadły gdzieś moje buty. Ponieważ wykorzystywałem je jako skrytki, mocno mnie to zaniepokoiło.

Rozejrzałem się bacznie. Leżący już w koi Malraux mamrotał coś i klął siarczyście przez sen. Potrząsnąłem Talmą.

- Antoine, nie mogą znaleźć moich butów! Obudził się i łypnął na mnie zaspanym okiem.

- A po co ci one?

- Chcę po prostu wiedzieć, gdzie są.

Przewrócił się na drugi bok.

- Może bosman przegrał je w karty.

Dokonałem szybkiego przeglądu kółek karciarzy i graczy w kości, ale butów nie znalazłem. Czyżby ktoś odkrył pustą przestrzeń w moim obcasie? Któż się ośmielił sięgnąć po własność uczonego lub

artysty? Kto by się domyślił, że jeden z butów kryje coś cennego? Talma? Z pewnością dziwił go mój spokój, kiedy mnie pytał o miejsce przechowywania medalionu, i musiał się zastanawiać, gdzie też go schowałem.

Wróciłem do kabiny i zerknąłem na mojego towarzysza.

118

Zasnął ponownie i spał jak niemowlę, co wzmogło tylko moje podejrzenia. Im ważniejszy stawał się medalion, tym mniej ufałem komukolwiek, nawet przyjacielowi.

Wróciłem do mojego hamaka przygnębiony i zbity z tropu.

To, co początkowo wydawało się wygraną w karcianej grze błyskotką, okazało się brzemieniem. Dobrze, że nie trzymałem medalionu

w

bucie!

Położyłem dłoń na panewce

dwunastofuntowego moździerza, obok którego wisiał mój hamak. Ponieważ Bonaparte zakazał ćwiczeń artyleryjskich, żeby oszczędzać proch i nie zdradzać pożyci konwoju, owinąłem medalion w woreczek na proch i za pomocą wyciora wetknąłem go pod zatyczkę lufy. Za-tyczki usuwano dopiero przed bitwą, zamierzałem więc zostawić go tam jak długo się da. Teraz jednak, gdy ukradziono mi buty, zacząłem się niepokoić. Postanowiłem, że jutro rano, gdy moi towarzysze wyjdą na pokład, wyjmę medalion z kryjówki i włożę go na szyję. Przeklęty czy nie, wolałem go mieć przy sobie.

Następnego ranka moje buty znalazły się tam, gdzie stały przedtem. Obejrząwszy je uważnie, przekonałem się, że podważano podeszwę i obcas.

ROZDZIAŁ 6

Niewiele brakło, a z powodu strachu, jaki odczuwał Bonaparte przed Nelsonem, byłbym się utopił na plaży pod Aleksandrią. Angielska flota krążyła gdzieś za horyzontem jak wilk i Napoleonowi tak było spieszo lądować, że rozkazał

użyć łodzi desantowych i płynąć ku plaży. Nie był to ostatni raz, kiedy zmokłem do nitki w najbardziej suchym kraju, jaki widziałem.

Przybyliśmy do egipskiego portu 1 lipca 1798 roku. Długo się gapiliśmy zdumieni na podobne trzecinom wieżyczki minaretów i muzułmańskie domy lśniące w promieniach ostrego słońca jak śnieżne pagórki. Na głównym pokładzie okrętu flagowego zgromadziło się pięciuset ludzi, wśród których byli żołnierze, marynarze i naukowcy. Przez długą chwilę było tak cicho, że mógłbyś usłyszeć trzeszczenie takielunku i syk każdej fali. Egipt! Jego rozedrgany obraz był

jak odbicie w krzywym zwierciadle. Miasto miało barwę brązowego kurzu, brudnawej bieli i z wyglądu można by je podejrzewać o wszystko prócz bogactwa - jakbyśmy przybyli pod niewłaściwy adres. Francuskie okręty kołysały się w podmuchach przybierającego na sile wiatru z północy, a każda fala połyskiwała jak usiana topazami. Od strony lądu dolatywało nas ryczenie rogów, huk alarmowego wystrzału działa i paniczne wrzaski. Ciekawe, co czuli Egipcjanie, gapiąc się na armadę czterystu europejskich okrętów, które wypełniały całe morze jak okiem sięgnąć? Widać było, jak ludzie pakują 120

dobytek na wozy ciągnięte przez osiołki. Opadały markizy nad kramami, gdyż co wartościowsze rzeczy przenoszono w głąb domów. Na murach pojawili się arabscy wojownicy w średniowiecznych pancerzach, zbrojni we włócznie i wiekowe muszkiety. Nasz rysownik, baron Dominik Vivat Denon, zaczął gorączkowo szkicować mury, okręty i rozległe pustkowia Afryki Północnej.

Obok nas przepłynęła fregata *Junona*, której dowódca miał

złożyć Napoleonowi raport. Jego okręt zjawił się tu już wczoraj i po naradzie z francuskim konsulem przywiózł nowiny, od których w sztabie Napoleona zawrzało jak w mrowisku.

Ścigająca nas flota Nelsona była w Aleksandrii i opuściła port zaledwie przed dwoma dniami! Mieliśmy niesamowite szczęście, że nie zaskoczyli nas przy wyładunku. Ile czasu miało upłynąć, zanim Angole powrócą? Nie chcąc ryzykować ostrzelania okrętów z dział forteczki strzegącej wejścia do portu, Napoleon rozkazał opuścić szalupy i lądować na plaży Marabuta, w odległości ośmiu mil od miasta. Stamtąd francuskie oddziały miały ruszyć wzdłuż plaży i zająć port.

Admirał Bruyer gwałtownie protestował, tłumacząc, że nie znają tych wód i zrywa się szkwał. Napoleon zbył jego sprzeciw machnięciem dłoni.

- Admirale, nie mamy czasu do stracenia. Fortuna dała nam trzy dni, nie więcej. Albo je wykorzystamy, albo będzie po nas.

Znalazłszy się na brzegu, jego armia umknie poza zasięg Brytyjczyków, z kolei angielskie działa bez trudu posłałyby na dno stłoczone przy plaży i pełne żołnierstwa okręty.

Łatwiej jednak było wydać rozkaz lądowania, niż go urzeczywistnić. Kiedy unoszące się na coraz silniejszej fali nasze okręty zaczęły rzucać kotwice przy piaszczystej plaży, dzień chylił się już ku zachodowi, co oznaczało, że lądować trzeba będzie i po nocy. Uczonym dano wybór: 121

możliśmy zostać na pokładzie albo towarzyszyć Napoleonowi i obserwować szturm na miasto. Kierując się raczej żądzą przygód niż zdrowym rozsądkiem, postanowiłem zejść z *UOrientu*. Kołysało tak mocno, że znów zebrało mi się na mdłości.

Talma, mimo iż sam wyglądał niczym kupka nieszczęścia, spojrział na mnie jak na szaleńca.

- Myślałem, że nie lubisz żołnierki i wojowania!

- Po prostu jestem ciekawy. Nie chcesz popatrzeć na wojenkę?

-Na wojnę mogę sobie popatrzeć z pokładu. Ciebie na plażę pcha chęć przyjrzenia się krwawym szczegółom. Spotkamy się w mieście, Ethanie.

- Wybiorę dla nas jakiś pałac!

Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Może powinienem przechować dla ciebie ten medalion?

- Nie. - Potrząsnąłem jego ręką, a potem dodałem, żeby mu przypomnieć, kto jest posiadaczem błyskotki: - Jak utonę, i tak mi nie będzie potrzebny.

Dopiero o zmierzchu polecono mi zająć miejsce w łodzi. Na pokładach większych okrętów zebrały się orkiestry grające *Marsylianke*, której dźwięki porywały podmuchy coraz silniejszego wiatru. Ziemię aż po horyzont zasłoniły kłęby brązowego pyłu niesionego z pustyni. Zobaczyłem kilku arabskich jeźdźców galopujących tam i z powrotem po plaży.

Trzymając się liny, zsunąłem się po drabince wzdłuż wydętej burty okrętu, wyglądającej jak potężny biceps porośnięty szczecina armatnich dział. Na plecach trzymałem swoją rusznicę, której kurek i panewkę owinąłem skrawkiem naoliwionej skóry. Rożek z prochem i woreczek na kule obijały mi się o biodro.

Łódź kołysała się jak siodło zbieszonego rumaka.

- Skacz! - ryknął bosman.

Skoczyłem. Chciałem wylądować na nogach, ale pa-122

dłem plackiem. Szybko usiadłem na ławce, jak to nam pokazywano, oburącz wczepiwszy się w burty. Z góry opuszczali się kolejni mężczyźni i zacząłem się bać, że łódź

nie udźwignie tego ciężaru i pójdziemy na dno. W końcu odbiliśmy od burty i popłynęliśmy ku brzegowi, zmagając się z wodą przelewającą się przez nadburcie.

- Czerpać wodę, niech was diabli!

Nasze łodzie wyglądały jak rój żuków powoli pełznących ku brzegowi. Wkrótce słyszeliśmy już tylko coraz głośniejszy huk fal przyboju, a gdy przemknęliśmy nad grzbietem fali, cała inwazyjna flota znikła nam z oczu - widziałem tylko szczyty masztów.

Sternik, w cywilu rybak z Normandii, dziarsko się sprawiał, gdy fale niosły nas ku brzegowi. Ale łódź była przeładowana i oporna jak wóz z winem, a burty bardzo niewiele wystawały nad wodę. Zaczęliśmy się ześlizgiwać bokiem po fali, a rufa pomknęła naprzód. Sternik darł się na wiosłarzy, zmuszając ich do wysiłku, a potem fala uderzyła w nas z boku i wywinęliśmy kozła.

Nie miałem nawet czasu nabrać tchu. Woda runęła na mnie niczym ściana i pogrzebała mnie w odmętach. Ryk przyboju urwał się nagle i znalazłem się nad dnem, bezradnie młócąc rękami i

nogami. Huk fal był tu tylko odległym grzmotem, strzelba ciągnęła mnie niczym kotwica, ale nie chciałem jej rzucić. Wszystko trwało mroczną wieczność, aż poczułem, że lada moment trzasną mi płuca, i wtedy chybniecie fali powaliło mnie na dno, tak że mogłem się odepchnąć ku górze. Mój łeb wynurzył się nad powierzchnią, kiedy miałem już się poddać, i desperackim wysiłkiem nabrałem tchu. Zaraz potem następna fala ponownie mnie przewróciła. W mroku wpadaliśmy jedni na drugich, jak beładnie kręcące się kukły. Sięgając na oślep wokół siebie, chwyciłem wiosło. Było tu już bardziej płytko i następna fala wyniosła mnie, tak że padłem na brzuch.

Charcząc jak potępieniec i wypluwając mor-123

ską wodę, przecierając piekące oczy, chwiejnym krokiem wstąpiłem na egipską ziemię.

Była płaska i pozbawiona jakichkolwiek charakterystycznych elementów - w zasięgu wzroku nie widziało się żadnego drzewa. W każdą szczelinę mojego ubrania natychmiast wtargnął piasek, a wiatr dał tak mocno, że zachwiałem się na nogach.

Przez fale ku brzegowi brnęli na poły potopieni ludzie.

Nasza przeciążona łódź osiadła na dnie i marynarze okrzykami wzywali nas, żebyśmy pomogli ją unieść i opróżnić z wody.

Znalazłszy jeszcze kilka wiosł, ruszyli ku okrętom, żeby przewieźć kolejne oddziały. Na niebo wpłynął księżyc, którego światło ukazało mi podobne scenki dziejące się wzdłuż całej plaży. Niektóre łodzie przemknęły gładko, podczas gdy inne, wywrócone do góry dnem, pływały jak kawały drewna.

Wszędzie panował chaos, mężczyźni wiązali się linami, żeby ponownie ruszyć w kipiel na ratunek towarzyszom. Na plaży leżało kilkudziesięciu topielców, niektórzy do połowy już zagrzebani w piasku. Pomniejsze działa utknęły po osie.

Wszędzie pływały elementy żołnierskiego oporządzenia. Wbity w piasek na szczycie najbliższej wydmy wyzywająco łopotał

trójkolorowy francuski sztandar.

- Henri, pamiętasz, co nam obiecywał generał? - zapytał wyglądający jak zmokła kura żołnierz równie żałośnie wyglądającego kompana, wskazując dłonią na jałowe diu ny. - Oto masz swoje sześć akrów!

Ponieważ nie miałem żadnego określonego przydziału, zacząłem się rozpytywać o generała Bonaparte. Oficerowie wruszali ramionami i klęli w żywy kamień.

- Siedzi pewnie w tej swojej wielkiej kajucie i patrzy, jak się topimy - warknął jeden z nich.

Wyczuwało się w tym zazdrość o przywilej, którego pewnie pożądał dla siebie.

A jednak na tej plaży zaczął się już wyłaniać jakiś porzą-

dek. Ludzie grupowali się wokół znanej im, niewysokiej i wściekle wymachującej rękoma sylwetki, a inni szybko do nich dołączali, jakby pod wpływem nieznanego jeszcze przyrodzie siły przyciągania. Usłyszałem, że Bonaparte wydaje szybkie komendy, i żołnierze zaczęli się ustawiać w szeregi.

Podszedłszy bliżej, zobaczyłem, że wódz ma gołą głowę, jest mokry od pasa w dół, a jego kapelusz pałęta się po plaży gnany podmuchami wiatru. Pochwa jego rapiera nakreśliła długą linię w piachu. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało, niczego nie brakowało - i ta jego pewność siebie dodawała ludziom ducha.

- Niech ktoś ustawi linię czat na wydmach! Kleber, niech pan tam zabierze kilku ludzi, jeżeli nie chce pan, żeby Beduini wystrzelali nas jak kaczki. Kapitanie, niechże pan z ludźmi swojej kompanii wygrzebie z piasku to działo, rano będzie nam pewnie potrzebne. Generale Me-nou, gdzie pan jest? Niech pan wzniesie swój sztandar i zacznie ustawiać swoich ludzi w szyku. Hej, wy tam, piechota! Nie stójcie jak potopione szczury, tylko pomóżcie kolegom przy łodzi! Co, odrobina wody wybiła wam ze łbów resztki rozumu? Jesteście żołnierzami Francji!

Władczy ton i postawa nakazująca posłuszeństwo działały cuda i zacząłem nabierać przekonania, że Napoleon jest urodzonym dowódcą. Beładny tłum stopniowo stawał się armią, żołnierze ustawiali się w kolumny, zbierali wyposażenie i odciągali topielców, których szybko i bez ceremonii grzebano. Od czasu do czasu wybuchała strzelanina, obliczona na trzymanie z dala czyhających na łup Beduinów.

Wyładowywano szalupę za szalupą i tysiące ludzi zebrało się pod usianym gwiazdami niebem. Plaża pocięta była srebrnymi łańcuszkami naszych śladów, szybko wypełniających się wodą.

Zgubione w wodzie oprzyrządowanie i części mundurów wyławiano i wręczano nowym właścicielom. Niektórzy odkrywali, że mają za małe czapki, z trudem mieszczące się im na czub-

kach głów, podczas gdy innym spadały na uszy. Rycząc ze śmiechu, piechurzy zabierali się do wymiany. Noc była ciepła i nasze ubrania błyskawicznie wysychały.

Do naszej grupki podszedł wyprostowany jak tyka generał

Jean-Baptiste Kleber, podobno też wolnomularz.

- Te dranie zatruiły studnię w Marabut, a ludziom za czynu dokuczać pragnienie. Szaleństwem było wypłynięcie z Tulonu bez zapasów wody.

Napoleon wzruszył ramionami.

-To była wina niekompetentnego komisarza, której teraz nie da się naprawić. Znajdziemy wodę za murami Aleksandrii.

Kleber odpowiedział gniewnym grymasem. Miał znacznie bardziej generalską powierzchowność niż Napoleon. Liczył

dobre metr osiemdziesiąt i był tęgi, muskularny, z grzywą kędzierzawych włosów, która nadawała mu lwi wygląd.

- Żarcia też nie mamy.

-1 ono też czeka na nas w Aleksandrii. Jeżeli zechcesz spojrzeć na morze, Kleber, przekonasz się, że nie widać na nim brytyjskiej floty. Dlatego właśnie tak szybko zesliśmy na ląd.

- Tak nam było spieszno, że nie zwracaliśmy uwagi na szkwał, w którym potopiły się dziesiątki ludzi?

- Na wojnie o wszystkim decyduje szybkość. Zawsze będę gotów poświęcić kilku, żeby uratować resztę. - Bonaparte miał

minę, jakby chciał dodać coś jeszcze; nie lubił, kiedy komentowano jego rozkazy. Zamiast jednak skarcić Klebera, zwrócił się do niego z pytaniem: - Znalazłeś człowieka, o którym ci mówiłem?

- Tego Araba? Może i mówi po francusku, ale jest podstępny wężem.

- Pracuje dla Talleyranda i dostaje liwry za każde ucho i dłoń, które nam przynosi. Utrzyma Beduinów z dala od twoich flanków.

126

Ruszyliśmy wzdłuż plaży. Po lewej grzmiał przybój, zagłuszany przez chrzęst tysięcy stóp deptających piasek. Piana jakby świeciła własnym blaskiem. Od czasu do czasu słyszałem huk wystrzału pistoletu czy karabinu na pustyni z prawej. Kilka światełek przed nami sygnalizowało Aleksandrię. Żaden z generałów nie dosiadł jeszcze konia - szli razem z piechurami. Generał Louis Caffarelli z korpusu wojsk inżynieryjnych utykał nieco -jedną nogę zastępowała drewniana proteza. Nasz olbrzymiego wzrostu Mulat, dowódca kawalerii

Aleksander

Dumas,

mimo

krzywych

nóg

przewyższał o głowę każdego z podwładnych. Chełpił się niezwykłą siłą - dla zabawy potrafił oburącz chwycić belkę w stropie stajni i podciągnąć się w górę wraz z koniem, podtrzymując przerażone zwierzę nogami. Zawistnicy utrzymywali, że i między uszami ma same mięśnie.

Ponieważ nie miałem żadnego przydziału, szedłem obok Napoleona.

- Lubisz moje towarzystwo, Amerykaninie?

- Nie, po prostu zakładam, że dowodzącego najlepiej się chroni. Czemu nie zostać obok niego?

Parsknął śmiechem.

-Podczas jednej bitwy w Italii straciłem siedmiu generałów i sam musiałem poprowadzić decydujący atak. Jedynie przeznaczenie wie, czemu zostałem oszczędzony. Życie to gra przypadków, czyż nie? Los odesłał precz Anglików i zamiast nich zesłał ten szkwał. Niektórzy utonęli. Żałujesz ich?

- Oczywiście.

-Nie trzeba. Śmierć przychodzi po każdego... no chyba że Egipcjanie rzeczywiście odkryli nieśmiertelność. A któż może powiedzieć, że jedna śmierć jest lepsza od drugiej? Moja własna może nadejść ze świtem i będzie dobra. A wiesz dlaczego? Bo sława jest ulotna, a pamięć wieczna.

Wspomnienie tych, co potonęli, będzie przez wiele pokoleń

leń trwać jako pamięć w ich rodzinach. „Zginął w wyprawie Bonapartego do Egiptu”. Społeczeństwo nieświadomie zdaje sobie z tego sprawę i gotowe jest to zaakceptować.

- To europejskie rachunki, Amerykanie tak nie liczą.

- Nie? No to zobaczymy, kiedy wasza społeczność dojrzeje.

Przed nami wielka misja, mości Gage... mamy zjednoczyć Wschód i Zachód. W porównaniu z nią życie poszczególnych osobników niewiele znaczy.

- Zjednoczyć przez podbój?

- Nie, przez kształcenie i przykład. Owszem, pokonamy tyrańskich mameluków, którzy władają tym ludem, i uwolnimy Egipcjan spod tureckiej władzy. Ale potem damy im reformy i przyjdzie czas, kiedy będą błogosławić ów dzień, w którym na ich brzegi zesłali Francuzi. My z kolei będziemy poznawać ich starą kulturę.

- Jest pan bardzo pewny siebie, generale.

- Jestem wizjonerem. Moi dowódcy zarzucą mi marzy-cielstwo. A jednak mierzę moje marzenia cyrklem rozumu.

Obliczyłem, ile dromaderów byłoby potrzebnych do przejścia przez pustynie do Indii. Mam drukarską prasę z arabską czcionką, żeby wyjaśnić tym ludziom, że przyniosłem im reformy. Wiesz, że Egipcjanie nie znali gazet? Poleciałem moim oficerom, żeby studiowali Koran, a moim żołnierzom zakazałem pod karą gardła napastować arabskie kobiety. Kiedy Egipcjanie zrozumieją, że przybyliśmy do nich z wolnością, nie zaś z kajdanami, przyłączą się do nas i powstaną przeciwko mamelukom.

- Ale prowadzi pan armię bez wody, generale.

- Brak mi setek rzeczy, ale ufam, że znajdę je w Egipcie. To samo zrobiliśmy, uderzając na Italię. Tak samo postąpił Cortez, paląc okręty po wylądowaniu w Meksyku. Brak manierek z wodą uświadomi naszym ludziom, że atak musi być zwycięski.

- Zwracał się jakby do Klebera, nie do mnie.

128

- Skąd się bierze pańska pewność, generale? Ja odkryłem, że trudno być pewnym czegokolwiek.

-Bo w Italii rozumiałem, że Historia jest po mojej stronie. -

Przerwał, jakby się zastanawiał, czy wtajemniczać mnie dalej i czy może mnie dodać do swoich uwiedzionych pięknymi słowami akolitów. - Gage, przez całe lata czułem się skazany na prowadzenie zwykłego życia. I mnie także brakowało pewności siebie. Byłem Korsykaninem bez grosza przy duszy, z najgorszego, najbardziej nędznego zaścianka królestwa, wyspiarzem mającym kiepski akcent. Człowiekiem, który spędził dzieciństwo, znosząc drwiny i docinki we francuskiej szkole kadetów. Jedynym moim przyjacielem była matematyka. I nagle przyszła rewolucja, pojawiły się sprzyjające okoliczności, które wykorzystałem, owszem, jak najlepiej. Wybiłem się podczas oblężenia Tulonu. Zauważono mnie w Paryżu. Oddano mi dowództwo nad bandą obdartusów, gromionych przez nieprzyjaciół w północnej Italii. Ale zobaczyłem przed sobą przyszłość, choć wszystko mogłem stracić w jednej przegranej bitwie. Dopiero jednak pod Ar-cole, kiedy walczyłem z Austriakami, żeby wyzwolić Italię, świat stanął przede mną otworem. Musieliśmy zbudować, a potem przebyć most pod morderczym ostrzałem, atak za atakiem się załamywały, gdy żołnierze brnęli po trupach swoich druhów. I wtedy rozumiałem, że aby zwyciężyć, ostatni atak muszę poprowadzić sam. Słyszałem, że jesteś graczem... ale nigdy nie brałeś udziału w takiej grze, kiedy kule świszczą ci koło uszu jak stado rozjuszonych szerszeni, wszystko stawiasz na jedną kartę we wściekłym biegu ku sławie, wokół ciebie krzyczą i wiwatują ludzie, sztandary łopoczą na wietrze i padają zabici żołnierze. Przeszliśmy most i wydarliśmy wrogom zwycięstwo, nie zostałem nawet draśnięty. Uwierz mi, Gage, żaden orgazm nie da się porównać z uniesieniem, jakie cię ogarnia na widok pierzchającej nieprzyjacielskiej armii. Wszystkie 129

pułki zgromadziły się koło mnie i wiwatowały na cześć chłopaka, który kiedyś był prostackim Korsykaninem.

Zrozumiałem wtedy, że wszystko jest możliwe, wystarczy tylko zapragnąć! Nie pytaj mnie, czemu sądzę, że sam los mnie strzeże... ja po prostu wiem, że tak jest. Teraz przywiódł mnie do Egiptu i być może zdołam dorównać Aleksandrowi, jak wy, uczeni mężowie, idziecie w ślady Arystotelesa. - Klepnął mnie po ramieniu, mierzając spojrzeniem oczu, które w świetle wstającego poranka zdawały się gorzeć własnym blaskiem. -

Uwierz we mnie, Amerykaninie.

Pierwej jednak musiał się przebić do miasta.

Napoleon liczył na to, że sama obecność jego rozwiniętych do natarcia kolumn na plaży zmusi Aleksandryjczyków do otwarcia bram, ci ostatni jednak nie doświadczyli jeszcze siły ognia europejskich dział. Jazdę mameluków tworzyli śmiali i zawadiaccy jeźdźcy. Była to kasta wojowniczych niewolników, ich nazwa oznaczała „ludzi kupionych”; pierwsze ich oddziały sformował Saladin i podczas wypraw krzyżowych stali się jego strażą przyboczną. Pochodzący przeważnie z Kaukazu wojownicy byli tak bitni, że zajęli Egipt, który w owym czasie trzymali w łapach Turcy osmańscy. To Egipcjacy mamelukowie zadali pierwsze klęski hordom Czyngis-chana, zyskując nie-

śmiertelną sławę jako wojownicy. Podczas następnych kilku stuleci trzymali Egipt w okowach niewoli, nie zniżając się do małżeństw z miejscowymi kobietami ani do nauki miejscowego języka. Byli elitą wojowników, traktujących współziomków jak wasali, tak bezwzględnie, jak bezwzględny może być tylko były niewolnik, który sam zaznał bata i kajdan.

Do bitew rzucali się na pysznych arabskich rumakach znacznie lepszych od koni francuskich i atakowali nieprzyjaciela włóczniami i sejmitarami. Mieli też muszkiety, a za pasy zatykali sobie po kilka pistoletów.

130

W powszechnej opinii ich waleczność przewyższała jedynie ich ignorancja.

Niewolnictwo na Wschodzie było czymś innym niż nieznośna tyrania, z jaką się stykałem w Nowym Orleanie. Dla Turków niewolnicy byli wiernymi sojusznikami, ponieważ pozbawieni przeszłości nie należeli do wrogich sobie tureckich rodów. Niektórzy zostawali książętami, co wskazywało na to, że najbardziej nawet uciśniony może wzbić się najwyżej. I w rzeczy samej mamelukowie stali się panami Egiptu. Na nieszczęście ich największym wrogiem był ich własny zdradliwy charakter: żaden sułtan mameluków nie umarł we własnym łóżu; wszyscy ginęli w wyniku nieustannie snutych intryg, spisków i walk o władzę. Ich broń była równie prymitywna, jak piękne były ich rumaki - walczyli, można rzec, na sposób starożytny. Co więcej, choć niewolnicy mogli stawać się panami, coraz częściej ludzi wolnych traktowano jak sługi. Ludność Egiptu nie darzyła miłością swoich władców. A Francuzi widzieli w sobie wyzwolicieli, nie najeźdźców.

Inwazja na brzeg zaskoczyła nieprzyjaciół, ale do rana zebrało się przed nami kilkuset Aleksandryjskich mameluków -

beżładna banda kawalerii. Beduińskich jeźdźców i egipskich fellachów zmuszono, żeby utworzyli oddziały osłonowe, niczym ludzką tarczę. Za murami starej arabskiej dzielnicy miasta na drabiny wspinali się już zaniepokojeni artylerzyści i strzelcy zbrojni w muszkiety. Gdy pierwsze szeregi Francuzów ruszyły do natarcia, nieprzyjacielska artyleria otworzyła beżładny i niecelny ogień - kule nieszkodliwie wyrzucały góry piasku dobrze przed kolumnami Europejczyków. Francuzi wstrzymali natarcie, ponieważ Napoleon chciał zaproponować przeciwnikom, żeby się poddali.

Niestety, nie na wiele się zdała jego wspaniałomyślność, bo mamelukowie uznali, że się wahamy, i pchnęli na nas masę kiepsko uzbrojonego chłopstwa. Bonaparte zro-131

zumiał, że natarcie Arabów oznacza rozpoczęcie bitwy, i dał

sygnał flagami, że potrzebuje wsparcia dział artylerii okrętowej. Płytko zanurzone korwety i lugier skierowały się ku brzegowi, żeby ostrzelać wydmy, a parę lżejszych armat przewieziono na plażę, wykorzystując szalupy.

Byłem zmęczony, spragniony, pokryty kurzem, miałem przesiąknięte potem ubranie i w końcu do mnie dotarło, że przez ten naszyjnik znalazłem się w samym środku wojennej zawieruchy. Żeby przeżyć, musiałem się teraz trzymać armii francuskiej. W pobliżu Napoleona czułem się zadziwiająco bezpiecznie. Jak sam powiedział, promieniował aurą nie tyle niezwykłości, ile powodzenia i szczęścia. Tak się złożyło, że nasza kolumna zwabiła grupę zaciekawionych i niegardzących żadną okazją do zarobku Egipcjan oraz żebraków. Bitwy przyciągają widzów, jak walki chłopców na szkolnych podwórkach. Zaraz po świcie zauważyłem młodzika, który sprzedawał pomarańcze, kupiłem worek za srebrnego franka i zaskarbiłem sobie łaskę generała, dzieląc się z nim nabytkiem. Staliśmy na plaży, wsysaliśmy się w słodki miąższ i patrzyliśmy na bezładny, idący na nas tłum tworzący egipską armię. Za szeregami wieśniaków tam i z powrotem galopowali mameluccy jeźdźcy w jedwabnych szatach, barwni jak rajskie ptaki. Wymachiwali szablami i wydawali wyzywające okrzyki.

- Słyszałem, że wy, Amerykanie, chętnie się celnością waszych myśliwskich rusznic - odezwał się Napoleon, jakby wpadłszy na jakiś zabawny pomysł. - Czy nie zechciałbyś się popisać strzeleckim kunsztem, Gage?

Wszyscy oficerowie zwrócili na mnie spojrzenia. Pro-pozycja trochę mnie zaskoczyła. Strzelba była przedmiotem mojej dumy, klonowe łożo pięknie lśniło, a rożek z prochem był tak cienko zeszlifowany, że przez jego przejrzyste niemal ścianki mogłem dojrzeć czarne ziarenka francuskiego prochu.

Wszystkie metalowe części wy-

132

czyściłem do połysku, na co nigdy bym się nie ośmielił w amerykańskiej dziczy, gdzie połysk spizu mógł zdradzić obecność strzelca zwierzęciu lub wrogowi. Traperzy smarowali metal masą z niedojrzałych orzechów laskowych, żeby przyćmić jego blask. Choć moja strzelba była piękna, wielu żołnierzy uznawało, że jej lufa jest przesadnie długa.

- Nie uważam tych ludzi za swoich wrogów - odpowiedziałem.

- Monsieur, stali się twoimi wrogami z chwilą, w której postawiłeś stopę na ich plaży.

Nie da się ukryć, że było w tym sporo racji. Zacząłem ładować broń. Wziąwszy pod uwagę, że szliśmy do bitwy, powinienem był się tym zająć wcześniej, ale szedłem po plaży beztroski jak uczeń na wakacjach; ten nastrój podsyciała gra wojskowych orkiestr, poczucie jedności z towarzyszami i nawet huk odległych strzałów. Teraz musiałem sobie zdobyć miejsce wśród towarzyszy, włączając się do walki. Wszystkich najpierw się tak uwodzi, a potem wciąga na listę

popleczników.

Uwzględniając

odległość,

odmierzyłem

dodatkową porcję prochu i wyciorem wcisnąłem do lufy owiniętą w lnianą szmatkę kulę.

Kiedy aleksandryjczycy zbliżyli się do nas, podsypałem prochu na panewkę i zwróciłem uwagę na zuchwałego Beduina, który wyjechał ku nam ze stojących za nami szeregów. Kopyta jego karego konia wzbijały fontanny piasku, a czarne szaty jeźdźca malowniczo trzepotały na wietrze. Tuż za nim jechał francuski porucznik, bez broni i z takim wyrazem twarzy, jakby miał za chwilę zwymiotować. Podjechawszy do grupki sztabowców otaczających Napoleona, Arab pozdrowił

wszystkich gestem dłoni i cisnął nam pod nogi jakieś zawiniątko. Padając na ziemię, ujawniło swoją zawartość -

zakrwawione uszy i dłonie.

- Ci ludzie nie będą już wam przeszkadzać, efendi -

odezwał się kryjący twarz pod zasłoną opadającą z tur-133

banu Beduin. Mówił po francusku. W jego oczach widać było, że czeka na pochwały.

Bonaparte szybko ocenił „zdobycz” w kategoriach liczbowych.

- Dobrze się spisałeś, przyjacielu. Twój pan miał raq'ę, polecając nam ciebie.

-Służę Francji, efendi. - Nagle oczy Beduina skierowały się w moją stronę, a ich źrenice rozszerzyły się w zdumieniu, jakby mnie poznał. Dało mi to do myślenia. Nie znałem żadnego z nomadów. I dlaczego ten mówił w naszym języku?

Tymczasem porucznik zsunął się z grzbietu arabskiego rumaka i stanął przygnębiony obok, nie bardzo wiedząc, co z sobą począć.

- Tego człowieka uwolniłem z rąk bandytów, kiedy ści gając tych drabów, zapuścił się za daleko - odezwał się Arab.

Wyczuliśmy, że to też była w pewnym sensie zdobycz - i lekcja.

-Cieszę się, że jesteś po naszej stronie. - Bonaparte zwrócił

się teraz do żołnierza. - Poruczniku, niechże pan sobie znajdzie broń i dołączy do swojej jednostki. Miał pan więcej szczęścia, niż się panu należało.

Oczy biedaka błysnęły przerażeniem.

- Panie, błagam... muszę odpocząć. Mam krwotok...

- Ten człek miał mniej szczęścia, niż myślisz, panie -
stwierdził Arab.

- Mniej? Wydaje mi się, że przeżył... i to wystarczy.

- Beduini mają zwyczaj bić pojmane kobiety... i gwałcić pojmanyh mężczyzn.

Kilku oficerów parsknęło grubiańskim śmiechem; niektórzy zaczęli poklepywać młodzieńca po plecach, aż zachwiał się na nogach. Sypnęły się też żarty, jedne powodowane współczuciem, inne okrutne.

Napoleon zacisnął wargi.

134

-1 co, człowieku, mam się nad tobą litować?

Młody człowiek się rozplakał.

- Proszę... Jest mi tak bardzo wstyd...

- Wstydz się, że się poddałeś, a nie że cię torturowano.

Stań w szeregach i zabijaj wrogów, którzy cię upokorzyli. To jedyny sposób, żeby zmyć z siebie hańbę. Co się tyczy was wszystkich, rozgłoście tę historię w całym wojsku. Niech nikt mu nie współczuje! Lekcja, którą wam przynosi, jest prosta: nie dajcie się wziąć żywcem.

Napoleon się odwrócił, żeby popatrzeć na przygotowania bitewne.

- Efendi, a moja zapłata? - Arab wciąż czekał.

- Otrzymasz ją, kiedy zdobędę miasto.

Arab wciąż się nie ruszał.

- Nie martw się, Czarny Książę, twoja sakiewka jest coraz cięższa. Dostaniesz jeszcze więcej, gdy dotrzemy do Kairu.

- Jeżeli dotrzemy, efendi. Jak do tej pory, walczyliśmy tylko ja i moi ludzie.

Ta uwaga nie zrobiła na generale żadnego wrażenia, choć pustynny opryszek okazywał zuchwałość, jakiej Napoleon nigdy by nie ścierpiał ze strony żadnego swojego oficera.

- Mój amerykański sojusznik miał właśnie to naprawić, demonstrując nam celność słynnych drugich rusznic z Pen sylwanii. Gdzież się pan podział, Gage? Niechże nam pan coś opowie o zaletach swojej broni.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Słyszałem chrzęst piasku pod stopami zbliżających się wojsk egipskich. Podniosłem strzelbę.

Wszyscy wiemy, że głównym problemem z bronią palną jest to, że ma się tylko jeden strzał i potem trzeba ją ponownie nabić, co trwa dwadzieścia sekund do pełnej minuty -

stwierdziłem tonem wykładu. - W amerykańskich puszczech może to oznaczać utratę zdobyczy albo

135

nagły atak Indianina z tomahawkim. Choć rusznicę trzeba ładować niemal równie długo, wadę rekompensuje jej celność pozwalająca nam rozstrzygnąć sprawę za pierwszym strzałem, w przeciwieństwie do muszkietu, który najczęściej wali Panu Bogu w okno. - Przyłożyłem broń do ramienia. - Długą lufę wykonano z miękkiego żelaza, co wespół z wagą broni tłumi odrzut w momencie wylotu kuli z przewodu lufowego. W

odróżnieniu od muszkietu, lufa mojej rusznicy jest gwintowana, co nadaje kuli obrót zwiększający precyzję strzału. Długość lufy zwiększa początkową szybkość pocisku i pozwala na znacznie dokładniejsze celowanie, gdyż przesunięta ku przodowi szczerbinka pozwala na objęcie jednym spojrzeniem celu i muszki. - Zmrużyłem oko. Jeden z mameluków wyrwał się przed swoich towarzyszy i podjechał do tylnych szeregów idącego przodem chłopstwa. Uwzględniając dmącą od morza bryzę i odległość, wziąłem na cel jego prawy bark. Żadna broń nie jest doskonała, nawet ujęta w imadło długa rusznica nie wysyła kuli po kuli w to samo miejsce, ale wielkość mojego

„trójkąta błędów” na odległości stu kroków wynosiła zaledwie pięć centymetrów. Ściągnąłem pierwszy spust, aż usłyszałem kliknięcie; teraz nawet muśnięcie spustu włosem powodowało wystrzał, minimalizując wpływ drgań broni. Naciskałem dalej i wypaliłem - kula powinna trafić mameluka w sam środek tułowia. Poczułem kopnięcie odrzutu, owiała mnie chmurka dymu i zobaczyłem, że drań sfrunął z siodła, jakby go z niego diabeł zdmuchnął. Sztabowcy skwitowali mój wyczyn pomrukiem podziwu, a jeżeli uważacie, że taki strzał nie daje satysfakcji, to nie wiecie, co pcha mężczyzn na wojnę. Teraz już tkwiłem w niej po uszy. Opuściłem kolbę na piasek, otworzyłem ładownicę i zająłem się nabijaniem strzelby.

- Dobry strzał - pochwalił mnie Napoleon. Ogień muszkietów był tak niedokładny, że jeżeli żołnierze nie mierzyli 136

wrogom pod nogi, odrzut przy strzale kierował kule nad głowy nieprzyjaciół. Jediną możliwą do przyjęcia taktyką było trzymanie linii i oddawanie salw z bliska.

- Amerykanin? - zapytał Arab. - Tak daleko od domu? -

Zawrócił konia, szykując się do odjazdu. - Może zamie rzasz badać nasze tajemnice?

I nagle przypomniałem sobie, gdzie słyszałem ten głos!

Paryski nosiciel latarni, człowiek, który naprowadził na mnie żandarmów, gdy znalazłem ciało nieszczęsnej Mi-nette!

- Stój! Wiem, kim jesteś!

-Amerykaninie, jestem Achmed bin Sadr, a ty nie wiesz nic.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, przepadł galopem za wydmami.

Poganiani okrzykami dowódców francuscy żołnierze ustawili się w szyku, który miał się stać ich ulubioną bronią w starciach z mamelukami: sformowali się w puste wewnątrz czworoboki. Boki każdego z nich były głębokie na kilka szeregów, w każdym żołnierze ustawiali się twarzami na zewnątrz i w rezultacie atakujący z jakiegokolwiek strony nieprzyjaciel natykał się na ścianę bagnatów. Dowodzący oficerowie własnoręcznie nakreślili szablami na piasku granice każdego czworoboku. Tymczasem egipska armia, a raczej zbieranina ruszyła na nas, wydając dzikie wrzaski, czemu towarzyszył łoskot bębnow i płaczliwy ton rogów.

- Menou, niech pan sformuje jeszcze jeden czworobok obok wydm - rozkazał Napoleon. - Kleber, powiedzże pozostałym, żeby się pospieszyli.

Wzdłuż plaży wciąż jeszcze nadciągali kolejni francuscy piechurzy.

Teraz Egipcjanie gnali już na nas - fala wieśniaków zbrojnych w cepy i sierpy, popędzana z tyłu przez świet-137

nie ubranych i uzbrojonych jeźdźców. Wieśniacy mieli strach w oczach. Gdy dotarli na odległość pięćdziesięciu metrów, Francuzi otworzyli ogień.

Usłyszawszy huk salwy, podskoczyłem gwałtownie i zobaczyłem, że szeregi wrogów kładą się niby łan zboża cięty gigantyczną kosą. Przednia linia wieśniaków została zdiesiątkowana, tuziny rannych i zabitych legły pokotem, pozostałych powaliło przerażenie wywołane efektem salwy, z jakim się nigdy wcześniej nie zetknęli. Szeregi Francuzów spowilo pasmo białego dymu. Mame-lucka jazda zatrzymała się bezładnie - konie nie chciały deptać leżącego przed nimi dywanu żywych i martwych ciał, a ich panowie klęli podkomendnych, których pognali na rzeź. Gdy dumni jeźdźcy zdołali w końcu zmusić swoje rumaki do przejazdu po wijących się poddanych, zagrzmiała druga salwa francuskich karabinów i tym razem zmiotło z siodeł kilkunastu mameluków. Zaraz potem ognia dała trzecia linia, podczas gdy pierwsza, nabawszy broń, gotowała się już do strzału. Kule bezlitośnie godziły i w rżące przeraźliwie, stające dęba rumaki.

Po tym huraganie ognia i ołowiu pozostali przy życiu wieśniacy wstali jak jeden i rzucili się do ucieczki, odrzucając jeźdźców i niweczając skutki pierwszego egipskiego ataku.

Wojownicy płazowali uciekających szablami, ale nie zdołali zatrzymać fali panicznej ucieczki. Niektórzy wieśniacy zaczęli walić do bram miasta, domagając się schronienia, inni zwiiali na pustynię i znikli wśród wydm. Tymczasem stojące przy brzegu francuskie okręty wojenne otworzyły

ogień na mury -

każdy pocisk robił wyrwę jak uderzenie gigantycznej pięści.

Starożytne mury zaczęły się walić, jakby wzniesiono je z piasku.

-Wojna to w zasadzie sprawa inżynierii - zauważył

Napoleon. - To narzucanie porządku nieładowi. - Założył ręce za siebie i kręcąc tylko głową, wchłaniał szczegóły niczym orzeł. Potrafił nadzwyczajnie zupełnie ogarnąć wi-138

zję całej bitwy i dzięki temu wiedział, w którym miejscu i z jaką siłą uderzyć, a to właśnie dawało mu przewagę nad innymi dowódcami. - To dyscyplina tryumfująca nad niezdecydowaniem. To organizacja przeciwstawiona cha-osowi. Czy wie pan, Gage, że byłoby wspaniale, gdyby tylko jeden procent wystrzelonych kul trafiał w cel? Dlatego właśnie szereg, kolumna i prostokąt są tak ważne.

Choć odstręczało mnie jego militarne widzenie świata, imponowała mi zimna krew Napoleona. Był przykładem człowieka współczesności, liczącego przelewaną krew w litrach i na zimno. W tym momencie wybuchu sterowanego gwałtu zobaczyłem posępnych inżynierów rządzących przyszłością. Moralność legnie pod ciosami arytmetyki. Pasje i uczucia zostaną okiełznane przez ideologie.

Pod murami miasta pojawiały się kolejne francuskie oddziały i żołnierze uformowali trzeci czworobok ku morzu od pierwszego; lewoskrzydłowi stali po kostki w wodzie.

Pomiędzy czworobokami ustawiono lekkie działa polowe, które załadowano kartaczami, mającymi smagać kawalerię żeliwnymi kulami i odłamkami.

Mamelucy, którzy pozbywszy się wieśniaków, odzyskali swobodę manewrów, zaatakowali ponownie. Ich jazda uderzyła w pełnym galopie, przemierzając plażę w rozbryzgach piasku i wody. Wojownicy wydawali wojenne okrzyki, ich białe szaty powiewały na wietrze jak żagle, a nad turbanami kołysały się pęki strusich piór. Ale ich szybkość nic im nie dała. Francuska salwa powaliła pierwszy szereg pokotem i zamieniła w pełne krwi, bezład, kwiku przerażonych koni i trzasku pękających kości piekło. Niektórzy jeźdźcy z tyłu powpadali na leżących towarzyszy i też zmiotło ich z siodeł; inni zdołali wyminąć albo przedrzeć się przez kotłowaną. Ale zanim jazda Arabów zdołała się jakoś pozbierać i zewrzeć szyki, ponownie zagrzmiała salwa Francuzów - wzdłuż czworoboków przeleciała

ogień i sypnęły się iskry niczym

139

konfetti. I ten atak unicestwił deszcz żelaza. Najdzielniejsi z ocalałych mameluków nie dawali za wygraną, ciskali na wrogów ciała martwych towarzyszy, ale i ich zmiotły kolejne kule lub kartacze. Była to rzeź mechaniczna, jak to sugerował

Bonaparte, a choć za moich traperskich czasów brałem *udział*

w rozmaitych utarczkach, *zdumiało mnie* okrucieństwo i dzikość tej zmasowanej przemocy. Hałas i wrzawa bitwy tworzyły piekielną kakofonię, wszędzie słychać było gwizd tnącego powietrze metalu i okazało się, że ludzkie ciało ma więcej krwi, niż się wydaje możliwe. Niektóre pociski wrywały wielkie jej gejzery z ugodzonych ciał. Kilku jeźdźców dotarło aż do pierwszych francuskich szeregów i teraz usiłowali dosięgnąć nieprzyjaciół szablą czy włócznią, ale konie nie chciały się rzucać na lśniącą ścianę bagnatów, co udaremniało wysiłki ich panów. Kolejny rozkaz i kolejna salwa karabinowa zmiotła w nicość i tych śmiałków.

W końcu ostatni z władców Egiptu dali za wygraną i salwowali się ucieczką na pustynię.

- Teraz! - zagrział Napoleon. - Na mury, zanim ich dowódcy zdążą się przegrupować!

Zabrzmiały trąbki i oddziały, zwinąwszy się w kolumny, ruszyły naprzód. Nie mieli drabin czy dział oblężni-czych, ale też nie były one potrzebne. Pod ogniem dział floty miejskie mury waliły się, jakby je wzniesiono z gnijącego sera. Niektóre ze znajdujących się za nimi domów stały już w płomieniach.

Gdy Francuzi zbliżyli się na odległość strzału z muszkietu, obie strony otworzyły do siebie ogień, a obrońcy wobec widzianej niedawno rzezi wykazali się większą odwagą, niż po nich oczekiwałem. Kule bzykały wokół nas niby gniewne osy i w końcu kilku Europejczyków runęło w piach.

Napoleon szedł naprzód, a ja kroczyłem obok niego; mijaliśmy jęczących w agonii wrogów i wielkie, ciemne plamy pod nimi. Zaskoczyło mnie, że wielu zabitych ma-140

meluków ma znacznie jaśniejszą cerę niż ich poddani, a na ich obnażonych głowach widać było niekiedy rude albo nawet zupełnie jasne włosy.

- Biali niewolnicy z Kaukazu - warknął olbrzym Du mas. - Mówi się, że pieprzyli Egipcjanki, ale nie mieli z nimi dzieci. Sypiali też jedni z drugimi, przedkładając swoją rasę nad inne i pragnąc uniknąć skażenia krwi. Co roku w ich ojczystych górach skupowano ośmioletnich chłopców o różowiułkiej skórze, którzy mieli zastępować zmarłych czy zabitych. Gwałt był ich inicjacją, a okrucieństwo szkołą. Kiedy dorosną, będą takimi samymi wilkami mi przepełnionymi pogardą dla wszystkich innych poza mamelukami, jak ich towarzysze. Są lojalni jedynie wobec beja, który jest ich wodzem i naczelnikiem. Niekiedy na wet rekrutuje się ich spośród Arabów lub czarnych, ale większość z nich gardzi ludźmi o ciemnej skórze.

Zerknąłem z ukosa na generała, którego skóra zdradzała mieszane pochodzenie.

- Podejrzewam, generale, że nie pochwalasz ich uprze dzeń.

Dumas kopnął jakiegoś nieboszczyka.

- *Non*. Liczy się kolor serca.

Zatrzymaliśmy się przy samotnej gigantycznej kolumnie, sterczącej w górę za murami miejskimi. Miała dwadzieścia dwa i pół metra wysokości, jej grubość u podstawy równała się męskiemu wzrostowi i nazywano ją kolumną Pompejusza, który był rzymskim wodzem. Staliśmy na ruinach kilku cywilizacji - widziałem, że podstawę kolumny uzyskano, zwalając jakiś egipski obelisk.

Różowy granit był

poszczerbiony i ciepły w dotyku. Ochrypli już od wydawania rozkazów Bonaparte przystanął w jej mizernym cieniu.

- Robi się gorąco.

Istotnie, słońce zdążyło się już wspiąć zaskakująco wysoko.

Ile czasu minęło od świtu?

141

- Proszę, poczęstuj się owocem, generale.

Spojrzał na mnie przychylnie, a ja pomyślałem, że być może ten drobny gest stanie się ziarnem przyjaźni. Później miałem się dowiedzieć, że Napoleon ceni wyłącznie tych, którzy mogą mu oddać jakieś usługi. Tych, których nie mógł wykorzystać, traktował obojętnie, wrogów zaś darzył nieprzejednaną nienawiścią. Teraz jednak łapczywie wessał się w owoc, wyraźnie zadowolony z mojego towarzystwa, wydając jednocześnie rozkazy widocznym jak na stole oddziałom.

- Nie, nie tędy! - wołał raz po raz. - Tak, do tamtej bra my! Trzeba ją wyłamać!

W pierwszej linii atakujących szli generałowie Kleber i Jacques-Francois Menou. Walczyli niczym szaleńcy, jakby wierzyli, że kule ich się nie imają. Równie wielkie wrażenie robiła na mnie odwaga obrońców, którzy musieli wiedzieć, że nie mają szans. Ale Bonaparte był wielkim choreografem, kierującym tym tańcem śmierci, jakby żołnierze byli dziecięcymi zabawkami. Jego umysł sięgał już dalej, poza bezpośrednią walkę. Spojrzał na zwieńczoną korynckim kapitelem kolumnę, która niczego już nie wspierała.

-Wielką sławę można zdobyć tylko na Wschodzie -mruknął.

Ogień Arabów słabł. Francuzi dotarli już do podstaw potrzaskanych murów i teraz jeden przez drugiego pięli się wyżej. Jedną bramę otwarto od środka, drugą wyważono, waląc w nią toporami i kolbami karabinów. Na górującej nad nią wieży łopotała francuska trójkolorowa flaga; inne pojawiły się już wewnątrz miasta. Bitwa dobiegała końca i wkrótce miał

się zdarzyć ów intrygujący przypadek, który odmienił moje życie.

Była to dzika, nieskładna walka. Arabowie byli tak zdesperowani, że gdy zabrakło im prochu, zaczęli z góry 142

zrzucać kamienie. Generałowi Menou, którego trafiono kilka razy, tak mocno się dostało, że przychodził do siebie przez kilka kolejnych dni. Klebera zbłąkana kula musnęła tuż nad okiem i walczył dalej z głową owiniętą w zakrwawioną szmatę. I nagle, jakby wszyscy jednocześnie się porozumieli i pojęli beznadziejność oporu, Egipcjanie załamali się jak chromy człowiek, a Europejczycy szeroką rzeką wtargnęli do miasta.

Niektórzy mieszkańcy zgarbili się w pozach pełnych strachu, zastanawiając się pewnie, co też ta fala chrześcijan będzie tu wyprawiać. Inni zgromadzili się w meczetach. Wielu zbiegło z miasta na wschód i południe - większość jednak wróciła po dwu dniach, zorientowawszy się, że nie mają wody ani celu wędrówki. Kilkunastu najbardziej zuchwałych, zaciekle bojowników zamknęło się w wieży miejskiej cytadeli, ale ich ogień wkrótce ustał, bo zabrakło im prochu.

Reakcja Francuzów zawsze była szybka i brutalna. W kilku miejscach obrońców zmasakrowano.

Napoleon wkroczył do miasta rankiem, równie nieczuły na jęki rannych, jak był przedtem niewzruszony wobec grzmotu wystrzałów.

-Niewielka to wygrana, niewarta nawet wzmianki w wojennym biuletynie - zwrócił się do Menou, pochyliwszy się nad noszami, na których dźwigano rannego generała. - Choć będę ją musiał jakoś nadmuchać na użytek paryskich mieszczuchów. Gage, zechciej pan powiedzieć swojemu przyjacielowi Talmie, żeby naostrzył pióro. -Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

Wypowiedzi

Bona-partego

często

cechował suchy cynizm, właściwy francuskim oficerom od czasów Terroru. Byli dumni z tego, że potrafili głęboko ukrywać uczucia.

Aleksandria mnie rozczarowała. Wspaniałości Wschodu objawiły nam się jako niebrukowane ulice, po których biegały owce i kurczęta, nagie dzieciaki, pełne much bazary i mordercze słońce. Wiele z domów było na poły 143

zrujnowanych; nawet i bez bitwy wyglądały na opuszczone, niby puste muszle dawnej chwały. Na nabrzeżu przy porcie niektóre budynki miały fundamenty zanurzone już w wodzie, jakby samo miasto powoli zapadało się w morze. A jednak, zajrzawszy do cienistych wnętrzb budynków przez rozwalone okiennice lub wyważone drzwi, można było dostrzec ślady obecności innego, bardziej zimnego, bogatszego i tajemniczego świata. Widzieliśmy tryskające wodą fontanny, ocienione portyki, mauretańskie płaskorzeźby oraz jedwabne i aksamitne zasłony, powiewające łagodnie w podmuchach wiatru.

Przejściu Napoleona, który wraz z grupą adiutantów i przybocznych szedł główną ulicą do portu, gdzie pojawiały się już pierwsze maszty francuskich okrętów, towarzyszyły przypadkowe wystrzały. Mijaliśmy właśnie kwartał pięknych kupieckich domów, o rzeźbionych parapetach i pozamykanych drewnianymi kratami oknach, kiedy usłyszeliśmy jakby bzyknięcie rozjuszonego szerszenia i tuż obok ramienia Bonapartego eksplodował kawałek tynku. Przystanąłem zdumiony, ponieważ kula przeszła tuż obok mnie. Pocisk drasnął też generalski uniform, z którego wyskoczyło sprężyste włosie, niby szereg jego grenadierów. Spojrzawszy w górę, zobaczyliśmy smużkę białego dymu, którą ciepły wiatr rozwiewał właśnie przed ocienionym oknem. Strzelec, który wypalił z głębi sypialni, niemal pozbawił ekspedycję jej wodza.

- Nic panu nie jest, generale? - zawołał jeden z pułk

kowników.

Jakby w odpowiedzi huknął ponowny strzał, a potem rozległ się trzeci, tak szybko jeden po drugim, jakby strzelców było dwu albo pierwszemu podawano kolejne nabite muszkiety. Stojący o kilka kroków od Napoleona sierżant stęknął boleśnie i usiadł z kulą w udzie, a obok generalskiego buta odłupał się jeszcze jeden kawał tynku.

- Skryjmy się za tymi kolumnami - mruknął Napoleon, 144

kierując naszą grupę pod najbliższy portyk i robiąc znak krzyża. - Na miłość boską, strzelajcie! - W końcu dwu żoł-

nierzy odpowiedziało ogniem. - I sprowadźcie tu jakieś działko. Nie dajmy się zatrzymywać.

Potyczka była ostra. Kilkunastu grenadierów ostrzelało dom, który wyglądał na małą forteczkę, a paru innych pobiegło po działo. Wymierzyłem z mojej rusznicy, ale strzelec był

dobrze ukryty i osłonięty; chybiłem jak inni. Po dziesięciu minutach i po wymienieniu kilkunastu strzałów, z których jeden trafił jakiegoś młodego kapitana w rękę, przyciągnięto wreszcie sześciofuntówkę. Napoleon wziął muszkiet od jakiegoś żołnierza i sam strzelił, z nie-lepszym jednak skutkiem od innych.

Gdy działo się zjawilo, wódz wyraźnie się ożywił. Była to broń, którą znał i lubił. W Walencji jego pułk przeszedł

najlepsze szkolenie artyleryjskie we francuskiej armii, a w Auxonne ćwiczył pod kierunkiem legendarnego profesora Jeana Louisa Lombarda, który przetłumaczył na francuski angielskie *Nowe zasady sztuki artyleryjskiej*. Na *L'Oriencie* napoleońscy oficerowie mówili mi, że jako podporucznik w ogóle nie uczestniczył w życiu towarzyskim - zamiast tego uczył się od czwartej nad ranem do późnej nocy. Teraz podszedł do działka, choć wokół niego gęsto padały kule.

- Tak samo było w bitwie pod Lodi - mruknął z uznaniem ranny kapitan. - Sam obsługiwał działa i ludzie za częli go nazywać *le petit caporal*, małym kapralem.

Napoleon przytknął lont do zapalu. Działko huknęło, szarpnęło się w tył na lawecie, pocisk gwizdnął i ugodził cel tuż pod fatalnym oknem, wybijając dziurę i rozrywając drewnianą kratę.

- Jeszcze go raz!

Działo pospiesznie przeładowano i generał wymierzył w drzwi domu. Kolejny wystrzał, deszcz drewnianych drzazg i kłęb dymu zasnuł ulicę.

145

- Naprzód! - Był to ten sam Napoleon, który zdobył

most pod Arcole.

Francuzi ruszyli do natarcia. Pognąłem z nimi. Na czele naszej grupki biegł generał z obnażonym rapierem. Wpadliśmy do domu i zaczęliśmy strzelać ku schodom. Stoczył się z nich jakiś sługa, młody i czarnoskóry. Przeskoczyliśmy ponad jego ciałem i rzuciliśmy się na górę. Na wysokości drugiego piętra trafiliśmy na miejsce, gdzie ugodził pocisk z naszego działka.

Zobaczyliśmy poszarpaną dziurę, przez którą widać było dachy innych domów i pokój zasłany gruzem i potrzaskanymi meblami. Pod rumowiskiem cegieł i kamieni leżał jakiś stary człowiek z muszkietem w ręce - martwy jak kamienie, które go pokrywały. Drugi muszkiet ze złamaną kolbą leżał pod ścianą.

Kilka innych było potrzaskanych na zapalki. W rogu niemrawo poruszał się jakiś oszołomiony, obsypany gruzem i drzazgami drewnianej kraty człowiek - być może ten, co ładował

muszkiety strzelca.

Poza nimi w domu nie było nikogo.

- Ta dwuosobowa armia sprawiła nam spore kłopoty -

stwierdził Napoleon. - Gdyby wszyscy mieszkańcy Alek sandrii bili się jak ci dwaj, sterczelibyśmy jeszcze pod murami.

Podszedłem do oszołomionego człowieka w rogu, zastanawiając się, kim też może być. Starzec, którego zabiliśmy wcale nie przypominał Araba, a jego pomocnik też wyglądał

dość osobliwie. Podniosłem część rozerwanej wstęgi osłaniającej jego twarz.

-Ostrożnie, Monsieur Gage, on może mieć broń -ostrzegł

mnie Napoleon. - Niech Georges wykończy go bagnetem.

Jak na jeden dzień widziałem już dość bagnatów przy robocie i zignorowałem ostrzeżenie. Opadłszy na kolana, podniosłem głowę oszołomionego obrońcy. Ten jęknął i zamrugał, wodząc wokół oszołomionym spojrzeniem. A potem usłyszeliśmy zachrypnięty szept:

146

- Wody!

Zapatrzyłem się w delikatne rysy. Zdałem sobie sprawę, że rannym wojownikiem jest kobieta o osmalonej resztkami prochu twarzy, ale poza tym młoda, wcale nie ranna i bardzo urodziwa.

Poprosiła o wodę po angielsku.

Po przeszukaniu domu znaleziono kilka dzbanów z wodą na dole. Dałem kobiecie pełen kubek,

równie jak Francuzi ciekaw jej historii. Dzięki temu gestowi i mojej wypowiedzi po angielsku zdobyłem sobie częściowe zaufanie nieznajomej.

- Jakie jest twoje imię, pani?

Wzięła łyk wody i przez chwilę patrzyła w sufit.

- Astiza.

- Dlaczego walczyłaś przeciwko nam?

Teraz spojrzała na mnie, a jej oczy rozszerzyło zdumienie, jakbym był duchem.

- Ładowałam muszkiety.

- Dla ojca?

- Dla mojego pana. - Wzruszyła ramionami. - Czy on nie żyje?

- Owszem.

Z jej twarzy niczego nie dało się wyczytać. Najwyraźniej była służką albo niewolnicą; ogarnął ją smutek z powodu śmierci pana czy cieszyła się z odzyskanej wolności?

Wydawało mi się, że się zastanawia nad swoją nową sytuacją, bo odmiana losu mocno ją zaskoczyła. Spostrzegłem, że na jej szyi wisi dziwny amulet. Był złoty i nie bardzo pasował do niewolnicy. Miał kształt migdałowego oka z czarną, onyksową źrenicą pośrodku. Nad okiem wyginała się brew, a pod nim widać było kolejną krzywą linię. W całości ozdoba była mocno intrygująca i przykuwała uwagę. Dziewczyna przeniosła spojrzenie z ciała swego pana na mnie.

147

- Co ona mówi? - zapytał po francusku Bonaparte.

- Myślę, że to niewolnica. Ładowała muszkiety dla swego pana. To ten, co tam leży.

- Skąd egipska niewolnica zna angielski? Czyżby oboje byli brytyjskimi szpiegami?

Powtórzyłem pytanie, zwracając się do dziewczyny.

- Ojciec mojego pana, Omara, był Anglikiem, a matka Egipcjanką - odpowiedziała. - Mój pan miał kupieckie powiązania z Anglią. Żeby udoskonalić język, mówiliśmy nim w domu. Ja mówię jeszcze po arabsku i znam grekę.

- Mówisz po grecku?

- Moja matka była niewolnicą, którą kupiono w Macedonii i przewieziono do Egiptu. Ja się tu

wychowałam. Jestem grecką Egipcjanką i to zuchwałą - podkreśliła z dumą.

Zwróciłem się do generała.

- Ona może być naszą tłumaczką - powiedziałem po francusku. - Mówi po arabsku, grecku i po angielsku.

- Tłumaczką dla pana, Gage, nie dla mnie. Powinienem ją potraktować, jak się traktuje buntowników.

-Generale, ona tylko wykonywała rozkazy swojego pana. Z

pochodzenia jest Macedonką.

To już Napoleona zainteresowało.

-Macedonką? Z Macedonii pochodził Aleksander Wielki.

Założył to miasto, a potem przed nami podbił Wschód.

W stosunku do kobiet okazywałem słabość, a fascynacja, z jaką Napoleon zawsze mówił o greckim twórcy wielkiego imperium, podsunęła mi pewien pomysł:

-Generale, czy nie sądzi pan, że ocalenie Astizy po pańskim wystrzale z działa może być wskazówką losu? Ilu Macedończyków może być w tym mieście? A oto spotykamy jedną z nich, która na dodatek mówi moim językiem. Żywa może nam się przydać bardziej niż martwa. Może nam pomóc w zrozumieniu Egiptu.

148

- A cóż mogłaby wiedzieć niewolnica?

Zerknąłem na Astizę. Przysłuchiwała się rozmowie pozornie obojętnie, ale jej oczy były szeroko otwarte i lśniły żywą inteligencją.

- Jakąś tam wiedzę z pewnością ma.

Jak zawsze, Napoleona zafrapowała wzmianka o losie.

- No to jej i moje szczęście, a pan to odkrył. Powiedz jej, Gage, że zabiłem jej pana w bitwie, więc ona staje się moją zdobyczą wojenną... ja teraz będę jej nowym panem.

I ja, Napoleon Bonaparte, powierzam ją opiece Ameryka nina... czyli twojej, panie Gage.

ROZDZIAŁ 7

Po zwycięstwie następuje często większy chaos niż podczas bitwy. Atak bywa najprostszą z rzeczy, administracja i organizowanie życia może się stać koszmarem. Podobnie było w Aleksandrii.

Napoleon pospiesznie przyjął kapitulację rządcy miasta Mohammeda el-Koraima i zajął się wyładunkiem oddziałów, artylerii i koni. Po wylądowaniu żołnierze i naukowcy cieszyli się przez kilka minut, po czym wszyscy zaczęli natychmiast narzekać na brak dachu nad głową, niedostatek wody i nieporządku w zaopatrzeniu. Upał był

namacalny i bardzo uciążliwy, a wszystko pozostawione choć na chwilę na wolnym powietrzu powlekało się cieniutką warstwą pyłu. Straty Francuzów zamknęły się w liczbie trzystu rannych lub zabitych, po stronie arabskiej wyniosły tysiąc osób -a nigdzie nie było szpitala ani dla jednych, ani dla drugich. Rannych Europejczyków poukładano w meczetach lub pozajmowanych pałacach, gdzie w pysznym otoczeniu musieli znosić ból, upał i natręctwo wszechobecnych much. Egipcjan pozostawiono na łasce ich ziomków. Wielu rannych zmarło.

Tymczasem transportowce odesłano do Francji, a flota wojenna zakotwiczyła w pobliskiej zatoce pod Abukirem.

Najeźdźcy wciąż się bali ataku floty brytyjskiej.

Wielu lądujących żołnierzy musiało się zadowolić bi-wakami rozbijanymi na miejskich placach lub otaczających miasto wydmach. Oficerowie mieli więcej szczęścia 150

i znajdowali sobie lepsze domy. Talma i ja z kilkoma innymi zatrzymaliśmy się w domu zdobytym na byłym panu Astizy.

Gdy niewolnica odzyskała zmysły, przyjęła nową sytuację z dziwną obojętnością i przyglądała mi się tylko z ukosa, jakby się zastanawiała, czy okażę się nowym utrapieniem, czy może jej los się poprawi. Ale to ona znalazła gdzieś w domu jakieś pieniądze, porozmawiała z sąsiadami i zdobyła dla nas trochę żywności, choć przez cały czas pomrukiwała coś o barbarzyńskiej tępcie giau-rów i ich nieznamości egipskich obyczajów. Godząc się jakby z losem, adoptowała nas w taki sam sposób, w jaki my adoptowaliśmy ją. Była obowiązkowa, choć nieufna, posłuszna, choć pełna rezygnacji, i czujna, choć płochliwa. Jak wiele innych kobiet, i ta mnie zaintrygowała.

Franklin miał zresztą tę samą słabość, która była też piętą achillesową całej armii - Francuzom towarzyszyły setki żon, kochanek i świetnie prosperujących prostytutek. Po wylądowaniu owe Francuzeczki pozdejmowały męskie przebrania i ku zgrozie Egipcjan śmiało pokazywały swoje wdzięki. Kobiety jednak okazały się równie wytrzymałe jak ich mężczyźni i znosiły prymitywne warunki, skarżąc się znacznie rzadziej

od

swoich

towarzyszy. Arabscy mężczyźni

obserwowali je ze strachem zmieszonym z fascynacją.

Żeby dać ludziom jakieś zajęcie, Napoleon posłał kilka oddziałów w marsz na południowy wschód ku Nilowi -

wydawało się, że będzie to spokojna sześćdziesięciomilowa wycieczka. Ale ten pierwszy krok ku stolicy w Kairze okazał

się okrutną próbą, ponieważ to, co pozornie wydawało się bogatą w zieleni deltą, w istocie było porażoną przez suszę ziemią tuż przed wylewem Nilu. Niektóre studnie wyschły.

Inne pozatruwano lub pozasypywano kamieniami. Wioski były pobudowane z wyschniętych cegieł formowanych z błota i pokryte trzcinowymi strzechami, a wieśniacy ukrywali swe nędzne kozie trzody

151

i kurczęta. Wysłani żołnierze początkowo uznali, że fella-chowie bezczelnie ich ignorują, bo nie chcą przyjmować francuskich pieniędzy, ale choć niechętnie, wymieniali żywność i wodę za żołnierskie guziki. Dopiero później mieliśmy się dowiedzieć, że chłopci sądzili, iż mamelucy zwyciężą; francuska moneta mogła być uznana za symbol współpracy z giaurami, podczas gdy guzik oznaczał tylko, iż jego posiadacz obrabował jakiegoś francuskiego trupa.

Powolny ten marsz można było śledzić, obserwując przemieszczanie się kolumny kurzu. Upał przekroczył

czterdzieści stopni i kilku żołnierzy, przygnębionych i otę-

piałych z pragnienia, popełniło samobójstwo.

Dla pozostałych w Aleksandrii sprawy nie przybrały aż tak ponurego obrotu. Wraz z żołnierskimi racjami wyładowano tysiące butelek wina, a ulice wypełniały uniformy o żywych niczym w egzotycznej ptaszarni kolorach. Tęczową feerię barw podkreślały epolety, plecionki, wyszywanki i wstęgi. Dragoni i fizylierzy mieli mundury zielone, oficerów można było poznać po jaskrawoczerwonych pasach, szaserzy mieli trójkolorowe rozety na czapach, a piesi strzelcy pysznili się czerwonymi pióropuszcami. Dowiadywałem się o wojsku coraz więcej.

Niektóre

rodzaje

broni

brały

nazwę

od

wykorzystywanego oręża -na przykład żołnierze posługujący się lekkimi muszkietami nazywanymi fuzjami to fizylierzy, należących do ciężkobrajnych piechurów walczących granatami nazywano

grenadierami, a od krótkich strzelb żołnierzy w błękitnych mundurach zwano strzelcami. Szaserzy lub szwoleżerowie to lekkokonni przeznaczeni do szybkich akcji pościgowych. Czerwoni huzarzy - czyli lekka kawaleria lub zwiadowcy - odziedziczyli nazwę od pokrewnych jednostek jazdy z Europy Środkowej. Dragoni to ciężka jazda w hełmach, których zadaniem było chronić głowy przed cięciami szabel.

152

W ogólnych założeniach podczas bitwy lekka kawaleria miała wprowadzać chaos w nieprzyjacielskich sztykach, zwiększając straty zadawane wrogom przez artylerię, dopóki kolumny ciężkiej piechoty zmasowanym ogniem nie zdołają przełamać frontu przeciwnika. Następnie do walki wkraczała kawaleria, która miała dokończyć dzieła zniszczenia.

Praktycznie działania tych rodzajów wojsk często się mieszały, a tu, w Afryce, zadanie wojsk było uproszczone, ponieważ mamelucy polegali na jeździe, a Francuzom teje brakowało.

Wsparciem dla wojsk francuskich był legion maltański, zwerbowany po zajęciu wyspy, i arabscy najemnicy, jak niedawno poznany przeze mnie Achmed bin Sadr. Napoleon miał już plany zwerbowania kompanii mameluków po ich podbiciu i zamierzał zorganizować korpus jazdy na wielbłądach, wykorzystując do tego egipskich chrześcijan.

Ogólnie wojska ekspedycyjne liczyły trzydzieści cztery tysiące ludzi, o których decydował dwudziestoośmioty-sięczny korpus piechoty, a po trzy tysiące służyło w jeździe i artylerii.

Jeździe jednak brakowało koni, który to niedostatek uzupełniano egipskimi - było to jednak żmudne i niełatwe zadanie. Bonaparte wyładował też na brzeg sto siedemdziesiąt jeden armat, począwszy od dwudziesto-czterofuntowych dział

obłęzniczych do lekkich armatek polowych, z których można było prowadzić ogień z szybkością trzech strzałów na minutę, brak koni jednak poważnie ograniczał manewrowość artylerii.

Piechota liniowa była jeszcze gorzej uzbrojona - z trudem dźwigając w upale tysiąc siedemset siedemdziesiąt siedem muszkietów, skórzane plecaki, niebieskie, tkane z alpejskiej wełny mundury i wielkie dwurożne kapelusze. Dragonom gotowały się wprost głowy pod spiżowymi hełmami, a kołnierze stawały się sztywne od wypoconej soli. My co prawda, jako artyści i uczeni, nie byliśmy ograniczeni regulaminami 153

i nie musieliśmy ubierać się tak oficjalnie - pozdejnowaliśmy kurtki, fraki i żakiety - ale upał oszałamiał nas tak samo i wszyscy łapaliśmy powietrze jak powyrzucane na brzeg ryby.

Gdy nie podróżowałem, zdejmowałem kurtkę, dzięki której wśród żołnierstwa zyskałem sobie przydomek „pan Zielonka”

(mówiono też na mnie „elektryk” lub „człowiek Franklina”).

Jednym z pierwszych rozkazów Napoleona było przykazanie zbierania jak największych ilości bawełny na mundury, ale te pokazały się dopiero po kilku miesiącach i gdyśmy je już wyfasowali,

stwierdziliśmy, że są za lekkie na zimę.

Samo miasto, jak już powiedziałem, mocno nas rozczarowało. Było na poły opuszczone, na poły popadłe w ruinę. Nie było tu skarbów, niewiele znajdowało się w nim cienia i żadnych osmańskich kusicielek. Najbogatsze i najpiękniejsze Arabki albo się poukrywały, albo przed naszym wejściem uciekły do Kairu. Te nieliczne, które pokazywały się na ulicach, były okryte od głowy po stopy niczym mniszki inkwizycji i patrzyły na świat spod zasłon albo przez otwory powycinane w kapturach. W przeciwieństwie do nich kobiety fellachów ubierały się bardzo nieskromnie - niektóre równie ochoczo odsłaniały piersi, jak stopy - były jednak chude, brudne i obszarpane. Opowieści Talmy o rozkoszach haremów i egzotycznych tancerkach wydawały się nam teraz okrutnymi kpunami.

Mój kompan nie znalazł też jeszcze żadnych cudownych leków. W kilka godzin po wylądowaniu oznajmił, że złapał

jakaś egzotyczną gorączkę, i znikł w suku, szukając leków.

Wrócił z czymś, co można jedynie określić mianem znachorskich niesamowitości. Człowiek, który dławił się surowym mięsem, ochoczo łykał takie przygotowane według recept starożytnych Egipcjan leki jak krew pijawek, osłe łajno, pognieciony czosnek, mleko karmiącej kobiety, sproszkowane dzicze kły, mózg żółwia i jad węża.

154

- Talma, jedyne, co przez to osiągniesz, to biegunka -

stwierdziłem.

- To ma oczyścić cały mój organizm. Mój aptekarz mi opowiadał, że egipscy kapłani mają za sobą tysiące lat praktyki. Sam wyglądał na bardzo wiekowego człowieka.

- Zapytałem go o to. Ma czterdzieści lat. Pomarszczyły go te upały i wdychanie trucizn.

- Jestem pewien, że żartował. Powiedział, że kiedy te dreszcze mi przejdą, będę miał wigor szesnastolatka.

- I pewnie tyle samo rozumu w głowie.

Talma ostatnio miał mnóstwo pieniędzy. Choć był cywilem, jego rola jako dziennikarza opisującego sukcesy wyprawy sprawiła, że wciąż się musiał kręcić przy dowództwie, a wszelkie korespondencje opatrywał taką ilością pochlebstw i pochwał, że z trudem poznawałem przeżywane wydarzenia.

Szef sztabu Bonapartego, Berthier, nieustannie obdarzał Talnę różnymi gratyfikacjami. Ale na Aleksandryjskich targach niewiele widziało się rzeczy wartych kupna. Suk był miejscem gorącym, cieniastym i pełnym piekielnie natrętnych much, ale po zdobyciu przez nas miasta dość kiepsko zaopatrzonym w towary. Nawet zresztą w tych warunkach przebiegli przekupnie dzięki sztuce targowania się golili naszych żołnierzy znacznie dokładniej, niż myśmy grabili miasto. Z zaskakującą szybkością nauczyli się łamanej francuszczyzny. „Chodź, Monsieur, patrzeć mój kram! To jest to, co

chcesz! Nie co chcesz? To ja wiedzieć, co ty chcesz!"

Miłym wyjątkiem w tej serii rozczarowań okazała się Astiza. Kiedy ją wydobyliśmy spod rumowiska i daliśmy jej okazję do umycia się i uporządkowania odzieży, uległa cudownej przemianie. Nie miała tak jasnej skóry jak zajadli mamelucy i nie była tak śniada jak pospolicci Arabowie; wyglądała na typową przedstawicielkę kobiet zamieszkujących brzegi Morza Śródziemnego - miała oliwkową, wypieszczoną przez słońce skórę, ciemne włosy z odcieniem TSS

miedzi, gęste i mocne, czarne oczy kształtu migdałów, nieśmiałe spojrzenie, piękne dłonie, delikatne kostki, wysoko osadzone piersi, cienką talię i urzekająco zaokrąglone biodra.

Innymi słowy, wyglądała niczym czarodziejka Kleopatra - i byłem niezmiernie rad swemu szczęściu, dopóki mi nie wyjaśniła, że nie uważa swojego wybawienia z kajdan niewoli za uśmiech losu, a mnie wcale nie darzy zaufaniem.

- Jesteście bandą barbarzyńców - oznajmiła mi. - Jesteście mężczyznami, którzy nigdzie nie zagrzewają miejsca, więc ciągle ich nosi po świecie i tylko niszczą życie rozumnych ludzi.

- Przybyliśmy, żeby wam pomóc.

- Czy ja prosiłam o waszą pomoc, kiedy mieliście mnie na muszce? Czy Egipt prosił o to, żeby go najechno, podbito i uratowano?

- Panuje tu ucisk - sprzeciwiłem się. - Kraj aż się prosi o pomoc, ponieważ jest zacofany.

- Zacofany wobec kogo? Mój lud budował pałace, gdy wy biliście pchły w waszych chatkach. A co z twoim domem?

- Ja w istocie nie mam domu.>.

- Nie masz rodziców?

- Poumierali.

- A żona?

- Nie jestem z nikim związany - uśmiechnąłem się za-chęcająco.

- Nie powinno mnie to dziwić. A twój kraj?

- Zawsze lubiłem podróżować i miałem okazję odwiedzić Francję, kiedy byłem jeszcze młodzieńcem. Dorastałem w towarzystwie sławnego człowieka, Beniamina Franklina. Mój rodzinny kraj, Ameryka, podoba mi się, ale dręczą mnie żądza przygód i gorączka podróży. A zresztą każda żona chce mieć gniazdo.

Spojrzała na mnie z politowaniem w oczach.

- Takie życie nie jest zgodne z ludzką naturą.

156

- Jest, jeżeli się lubi przygody. -Postanowiłem zmienić temat rozmowy. - Co to za ozdoba, którą nosisz na szyi?

- Oko Horusa, człowieku bez domu.

- Czyje?

- Horus to bóg o twarzy sokoła, który stracił oko, walcząc ze złym Setem.

W istocie, teraz sobie przypomniałem! Miało to coś wspólnego ze zmartwychwstaniem, bratem i siostrą uprawiającymi miłość i potomkiem z tego kazirodczego związku.

Skandaliczna historia.

- Horus walczy ze złem, tak jak Egipt walczy z tym waszym Napoleonem. Oko jest amuletem, który ma przynieść szczęście - dodała.

Uśmiechnąłem się.

- Czy to nie oznacza, że fakt, iż teraz należysz do mnie, powinnaś uważać za uśmiech losu?

- A może dzięki mojemu szczęściu będę żyła dość długo, żeby zobaczyć, jak stąd odchodzicie...

Gotowała nam potrawy, których nie umiałbym nazwać -

jagnię z ciecierzycą i czosnkiem, bardzo smaczne -ale podawała je z tak posępną miną, że za każdym razem kusiło mnie, żeby wziąć do domu jednego z bezpańskich psów do kosztowania i wypróbowania tych dań w obawie przed trucizną. A jednak jedzenie było zaskakująco dobre, ona zaś odmawiała przyjmowania jakiegokolwiek zapłaty.

- Jeżeli znajdą przy mnie wasze monety, stracę głowę, kiedy mamelucy wszystkich was pozabiją.

Swoich usług nie rozciągała na noce, choć na wybrzeżu bywały równie chłodne, jak dni były upalne.

- W nowej Anglii sypiamy w jednym łóżku, żeby się ogrzewać - poinformowałem ją pierwszego wieczoru. -Jak chcesz, możesz przysunąć się do mnie bliżej.

- Gdybyście jak wasi oficerowie nie zajęli całego domu, nie spalibyśmy nawet w jednym pokoju!

157

- Z powodu nauk waszego Proroka?

-Jestem wyznawczynią egipskiej bogini, nie dzielę wiary z tymi nienawidzącymi kobiet mamelukami,

co rządzą moim krajem. A ty nie jesteś moim mężem, tylko moim ciemieżcą i strażnikiem. Wszyscy zresztą śmierdzą jak świnie.

Pociągnąłem nosem, bo jakoś mnie to zbiło z tropu.

- Więc nie jesteś muzułmanką?

-Nie.

- Ani żydówką czy prawosławną, ani chrześcijanką na modłę Koptów?

-Nie.

- A kto jest tą boginią?

- Ktoś, o kim nigdy nie słyszałeś.

- To mi powiedz. Przybyłem tu zdobywać wiedzę.

- Jesteś jak ślepiec, który chce widzieć. Egipcjanie żyli w tym kraju od dziesięciu tysięcy lat i nigdy o nic nie prosili ani nie pragnęli się dowiedzieć niczego nowego. Nasz kraj niejednokrotnie ulegał najeźdźcom, ale ci nigdy nie przynieśli nam takiego dobra, jakiego doświadczyliśmy, gdy rządaliśmy się sami. Od setek pokoleń pozbawieni spokoju ducha ludzie, tacy jak wy, zawsze tylko pogarszali sprawę, przynosząc klęski i nieszczęścia.

- Nic więcej nie powiedziała, uznawszy mnie za zbyt wielkiego ignoranta, który nie będzie w stanie zrozumieć niczego z zasad jej wiary, wiedząc też, że jestem zbyt łagodny, żeby wymusić prawdę siłą. Wykonywała moje polecenia z miną i manierami uciśnionej księżniczki.

- Egipt jest jedynym ze starych krajów, w którym kobiety miały takie same prawa jak mężczyźni - stwierdziła kiedyś, niewzruszona na moje próby popisywania się bystrością czy wdziękiem.

Szczerze mówiąc, mocno mnie to zbijało z tropu. Bonaparte miał podobne kłopoty, usiłując zjednać sobie miejscową ludność. Wydał dość długą proklamację. Mogę 158

przekazać jej ducha i potwierdzić polityczny zmysł Bonapartego, cytując jej początek:

W imię Boga miłościwego i litościwego. Nie masz Boga prócz Allaha, który nie ma syna i z nikim nie dzieli swej potęgi.

W imieniu Republiki Francuskiej, opartej na równości i prawie do wolności, dowodzący francuskimi wojskami generał Bonaparte oznajmia, że nadeszła godzina kary dla bejów, którzy rządzą Egiptem, od dawna obrażali naród francuski i uciskali francuskich kupców.

Od wielu lat bandy niewolniczych mameluków, kupowanych w Gruzji i na Kaukazie, tyranizowały najpiękniejszy z zakątków ziemi. Ale władający światem Wszechmogący postanowił poło-

żyć kres ich rządów.

Ludu egipski, będą ci mówili, że przyszedłem zniszczyć twoją religię. Nie wierz w to! Odpowiedz tym samozwańcom, że przyszedłem, iżby oddać ci twoje dawne prawa i ukarać uzurpatorów, że wielbię Boga bardziej niż mamelucy, szanuję jego proroka Mahometa i godny podziwu Koran...

- Bardzo religijny i pobożny początek - zauważyłem, gdy Dolomieu czytał proklamację umyślnie dramatycznym i nieco drwiącym tonem.

-Osobliwe, że autor wierzy jedynie w użyteczność wszelkich religii, ale nie wierzy w żadnego z bogów - odparł

geolog. - Jeżeli Egipcjanie przełkną całą tę porcję końskiego gówna, to znaczy, że zasługują na to, żeby ich podbijano.

Nieco dalej proklamacja dotyczyła istoty sprawy: każda wioska, której mieszkańcy podniosą broń przeciwko Francuzom, zostanie spalona do gołej ziemi.

Religijne odwołania Napoleona nie odniosły żadnego skutku. Do Aleksandrii doszły wieści, że kairscy mułło-wie ogłosili nas niewiernymi. Tyle na temat rewolucyjnego liberalizmu i jedności wszystkich religii. Kontrakt na 159

dostawę trzystu koni i pięciuset wielbłądów, który negocjowaliśmy z miejscowymi szejkami, rozwiął się w nicość, wzmogły się natomiast strzały zza węgła i napaści. Uwiedzenie Egiptu było trudniejsze, niż Napoleon się spodziewał.

Większość kawalerzystów przez pierwszą część marszu na Kair miała maszerować z siódlami niesionymi na głowach; a generał

w tej kampanii nauczył się wiele o znaczeniu logistyki i organizacji zaopatrzenia.

Tymczasem mieszkańców Aleksandrii miano rozbroić, nakazując im noszenie rewolucyjnych trójkolorowych rozet. Ci nieliczni, którzy usłuchali poleceń, wyglądali bardzo zabawnie.

Talma jednak pisał korespondencje o tym, jak to aleksandryjczycy radośnie witają wyzwolicieli spod jarzma mameluków.

- Jak możesz posyłać do Francji takie idiotyzmy? - zapytałem. - Połowa mieszkańców uciekła, miejskie budowle podziurawiono kulami z dział, a gospodarka legła w gruzach.

- Mówię o sprawach ducha, nie ciała. Ich serca są pełne radości.

- Kto tak mówi?

- Bonaparte. Nasz dobroczyńca i jedyne źródło rozkazów, które mogą nas zaprowadzić z powrotem do domu.

Podczas trzeciej nocy spędzonej w Aleksandrii przekonałem się, że niestety nie zostawiłem moich prześladowców w Tulonie.

Niełatwo było mi zasnąć. Docierały do nas wieści o okrucieństwach, jakich się dopuszczali Beduini wobec każdego żołnierza, którego udało im się przyłapać z dala od jego oddziału. Ci dzicy jeźdźcy grasowali po pustyniach Arabskiej i Libijskiej niczym piraci na morzach i bezlitośnie łupili, kupców, pielgrzymów i pozostających w tyle żołnierzy.

Dosiadali wielbłądów, na których mogli szybko uciekać na pustynię, uchodząc bezkarnie przed

160

pościgiem. Zabijali lub brali w niewolę wszystkich, którzy nie mieli się na baczności. Mężczyzn gwałcono, a potem palono, kastrowano albo wbijano na pale, zostawiając ich okrucieństwu pustynnego słońca. Moim przekleństwem zawsze była żywa wyobraźnia - potrafiłem jej oczami ujrzeć aż nadto wyraziście, jak łatwo można poderznąć gardło śpiącemu. Do butów albo plecaków podrzucano nam skorpiony, a pomiędzy pakunkami żywności ukrywano węże. Do kuszących zbytkiem wody studni wrzucano trupy. Zaopatrzenie było kiepskie, naukowcy zaczęli na siebie warczeć, a Astiza była powściągliwa jak zakonnica. Poruszanie się w tym upale przypominało ciągnięcie ciężkich sań po piasku. Jakież licho mnie pod kusilo, żeby się zaciągnąć? Nie poczyniłem żadnych

odcyfro-waniu

symboliki medalionu, ponieważ w

Aleksandrii nie znalazłem niczego doń podobnego. Popadałem w coraz bardziej ponury nastrój i przygnębienie, aż w końcu zmęczenie wzięło górę i zasnąłem.

Obudziłem się nagle, gdy ktoś lub coś na mnie wylądowało.

Sięgnąłem po broń, kiedy poczułem nikły zapach jaśminu.

Astiza? Czyżby wreszcie się namyśliła? Siedziała na mnie okrakiem, jej jedwabiste uda przylgnęły do obu boków mojej piersi i nawet oszołomiony snem pomyślałem, że sprawa zapowiada się interesująco. Ciepły uścisk jej ud obudził mnie całego, a bujne włosy i smukła kibić dziewczyny majaczyły rozkosznie w półmroku. I nagle przelotna chmura odsłoniła księżyc, który rzucił przez okienną kratę do naszej sypialni dość światła, żebym ujrzał, iż dziewczyna w uniesionych wysoko ramionach trzyma coś jasnego i ostrego.

Mój tomahawk.

Opuściła go gwałtownie.

Usiłowałem się uchylić, ale ona trzymała mnie niby kleszczami. Ostrze gwizdnęło obok mojego ucha i ostrym trzaskiem, któremu towarzyszył dziwny syk, wbiło się 161

w drewnianą podłogę. Coś ciepłego i żywego klepnęło mnie w ciemność. Astiza wyrwała tomahawk z podłogi i uderzyła raz jeszcze, a potem znowu, za każdym razem trafiając w podłogę tuż obok mojego ucha. Znieruchomiałem, gdy poczułem, że tuż przy mojej skroni miota się jakiś łuskowaty stwór. Po chwili znieruchomiał.

- Wąż! - szepnęła Astiza. Zerknęła w stronę okna. - Beduin.

Puściła mnie i wstałem chwiejnie. Zobaczyłem, że moja poduszka jest zbryzgana krwią jakiegoś gada, porąbanego na kilka kawałków. Wąż był gruby jak moje ramię, a z jego paszczy sterczały długie kły.

- Skąd to się tu wzięło?

- Gada wrzucono przez okno. Usłyszałam drania... skradał

się jak karaluch, nie miał dość odwagi, żeby stawić nam czoło.

Powinieneś dać mi pistolet, żebym mogła cię bronić jak należy.

- Bronić mnie? Przed czym?

- Amerykaninie, nic nie wiesz i jesteś jak dziecko. Czemu Achmed bin Sadr wypytuje o ciebie?

- Bin Sadr! - To był ten, co przekazał nam poodcinane dłonie i uszy i którego głos przypominał mi paryskiego nosiciela latarni, choć takie przypuszczenie mogło się wydawać wierutną bzdurą. - Nie wiedziałem, że o mnie pyta.

- Wszyscy w Aleksandrii wiedzą, że mu się czymś na-raziłeś. A on nie należy do osób, które chciałbyś mieć za wrogów. Jeździ po całym świecie, gdzie chce, stoi na czele bandy morderców i jest wyznawcą Apofisa.

- Kim, u diabła, jest Apofis?

- To węzowy bóg świata podziemnego, którego co noc tuż przed świtem pokonuje słoneczny Ra. Ma on całe legiony sług, takich jak demon Ra's al-Gul.

Na sztuczną szczękę Waszyngtona, oto kolejne pogańskie bzdury! Czyżbym stał się posiadaczem szalonej kobiety?

162

- Wygląda na to, że ten twój słoneczny bóg ma spore problemy - zakpiłem nieco drżącym głosem. - Czemu się z nim nie rozprawi tak jak ty z tym wężem?

- Bo Apofisa można pokonać, ale nie da się go unicestwić.

Tak już jest na tym świecie. Wszystko jest dwoiste i każda rzecz ma swoje przeciwieństwo... łąd i

woda, niebo i ziemia, zło i dobro, życie i śmierć.

Kopnąłem to, co zostało z węża, odrzucając szczątki precz od mojego posłania.

- Więc to dzieło wyznawców jakiegoś wężowego kultu?

Potrząsnęła głową.

- Jak mogłeś tak szybko wpakować się w tak poważne kłopoty?

- Ale przecież ja temu Bin Sadrowi niczego nie zrobiłem.

On jest zresztą naszym sprzymierzeńcem!

- On sprzyja tylko sobie samemu. A ty masz coś, czego on pożąda.

Spojrzałem na dzwona węża.

- Niby co?

Oczywiście znałem odpowiedź i czułem ciężar medalionu na szyi. Bin Sadr był tamtym nosicielem latarni i posiadaczem laski w kształcie wężowej głowy, przewodząc zarazem bandzie pustynnych łupieżców. Tamtej nocy, podczas której wygrałem medalion, musiał pracować dla hrabiego Silana. Jakim sposobem dotarł spod Paryża do Aleksandrii? Dlaczego przeszedł na służbę Napoleona? Czemu ten medalion tak go interesował? Czyżby nie był naszym sprzymierzeńcem?

Poczułem

pokusę,

żeby

oddać

krażek

następnemu

napastnikowi i skończyć z tą sprawą. Najbardziej mnie irytowało, że nikt nie zadał sobie trudu, żeby grzecznie poprosić. Mierzono do mnie z pistoletu, kradziono mi buty i podrzucano węże, a nikt nie złożył mi uczciwej propozycji!

- Pozwól, że położę się spać w twoim rogu, z dala od okna - poprosiłem moją obrończynię. - Naładuję też strzelbę.

163

Ku mojemu zaskoczeniu zgodziła się bez oporów. Ale zamiast położyć się obok mnie, kucnęła przy

kociołku z ogniem, dmuchaniem ponownie roznieciła żar i wrzuciła do ognia jakieś liście. Po sypialni rozszedł się gryzący, przenikliwy zapach. Zobaczyłem też, że Astiza lepi z wosku małą figurkę. Obserwowałem, jak wbija drzazgę w jej kark.

Widziałem już takie rzeczy na Molukach. Czy ta magia pochodziła z Egiptu? Tymczasem Astiza zaczęła kreślić jakieś tajemnicze znaki na kartce papieru.

- Co robisz?

- Spij. Rzucam czar.

Chciałem się wydostać z Aleksandrii, zanim na mojej głowie wyląduje następny wąż, więc z zadowoleniem powitałem propozycję naukowców, żebym ruszył z nimi do Kairu. Monge i Berthollet zamierzali odbyć tę podróż łodzią.

Naukowcy chcieli podpłynąć na wschód, a potem ruszyć w górę rzeki, do stolicy.

- Niechże pan się uda z nami, Gage - zaproponował mi Monge. - Lepiej płynąć, niż maszerować. Proszę zabrać ze sobą i tego skrybę, Talmę. A twoja dziewczyna może nam wszystkim gotować.

Naszym środkiem lokomocji miał być *chebek*, płaskodenna łódź żaglowa o nazwie *Le Cerf*, uzbrojona w cztery ośmiofuntowe działka i dowodzona przez kapitana Jacques'a Perree z francuskiej marynarki wojennej. Okręcik ów płynął na czele

niewielkiej

flotylli

kanonierek

i

stateczków

zaopatrzeniowych, która miała towarzyszyć armii podczas marszu w górę rzeki.

Wyruszyliśmy o brzasku i w południe mijaliśmy już zatokę Abukir leżącą o dzień drogi lądem na wschód od Aleksandrii.

Kotwiczyła tu francuska flota ustawiona w szereg liniowy na wypadek ponownego pojawienia się Brytyjczyków i Nelsona.

Dwanaście liniowców i cztery fregaty ustawione w linię z pięciuset działami wymie-164

ronymi w morze przedstawiało imponujący widok. Mijaliśmy je tak blisko, że słyszeliśmy gwizdy bosmanów i okrzyki marynarzy. A potem skierowaliśmy się ku ujściu wielkiej rzeki, która wlewała rozległy pióropusz brązu w błękitne wody Morza Śródziemnego, i zaczęliśmy się kołysać, pokonując

martwą falę wód delty.

Upał się wznagał, a ja dowiadywałem się coraz więcej o powodach podjęcia tej ekspedycji. Jak mi powiedział

Berthollet, Egipt od dziesiątków lat fascynował Francuzów.

Zamknięty był dla cudzoziemców od roku 640, kiedy to kraj podbili Arabowie - i niewielu Europejczyków mogło podziwiać pomniki dawnej chwały tego kraju. Obszar wielkości Francji był w zasadzie niezbadany.

- Żaden kraj nie ma korzeni w tak dalekiej przeszłości jak Egipt - powiedział mi chemik. - Kiedy grecki historyk Herodot spisywał tu jego historię, budowniczości piramid byli mu tak samo dalecy, jak nam daleki jest Jezus. Egipcjanie zbudowali wielkie państwo, a potem swe ślady zostawiali tu różni najeźdźcy: Grecy i Rzymianie. Asyryjczycy, Libijczycy, Nubijczycy, Persowie. Początki tego kraju giną w mroku dziejów. Nikt nie potrafi odczytać hieroglifów, więc nie mamy pojęcia, co mówią te inskrypcje. Dzisiejsi Egipcjanie opowiadają, że te budowle wznosili giganci lub czarodzieje.

Egipt więc drzemał, relacjonował dalej chemik. W ostatnich latach grupa francuskich kupców w Aleksandrii doznała sporych przykrości ze strony aroganckich mameluków.

Rządzący Egiptem od roku 1517 osmańscy władcy ze Sztambułu nie zamierzali interweniować, Francja zaś nie chciała drażnić Turków, którzy byli jej sprzymierzeńcami przeciwko Rosji. Sytuacja stawała się coraz bardziej gorąca - dopóki w końcu los nie zetknął ze sobą młodego, marzącego o orientalnej sławie Napoleona i Talleyranda, mającego ambicje prowadzenia polityki światowej. W głowach tych ludzi zrodził

się plan „wyzwolenia” Egiptu

165

spod władzy mameluków, który miał się stać „przysługą”

oddaną sułtanowi ze Sztambułu. Postanowili zreformować ten zapomniany przez Boga zakątek arabskiego świata i zrobić z niego bazę wypadową hamującą brytyjską ekspansję w Indiach.

Europejskie państwo, które zawładnie Egiptem - pisał

Napoleon do przedstawicieli Dyktatoriatu - na dłuższą metę będzie mogło kontrolować Indie.

Pojawiła się nadzieja odbudowy kanału, który w starożytności łączył Morze Śródziemne z Czerwonym. Ostatecznym celem byłoby nawiązanie łączności z indyjskim paszą Tipu Sahibem - frankofilem, który odwiedzając Paryż, używał

tytułu „obywatel Tipu” i w swoim pałacyku zabawiał gości pokazywaniem mechanicznego tygrysa pożerającego lalkę ubraną w strój typowego Anglika. Tipu walczył w południowych Indiach z

angielskim generałem o nazwisku Wellesley*, a Francuzi posyłali mu broń i doradców.

- Wojna w Italii przyniosła wielkie łupy i okazała się bardzo opłacalna - stwierdził Berthollet. - Dzięki zajęciu Malty i ta zapowiada się równie dobrze. Korsykanin stał się bardzo popularny wśród przedstawicieli Dyrektoriatu, ponieważ wygrane przezeń bitwy przynoszą im spore korzyści.

- Wciąż pan myśli o Napoleonie jako o Włochu?

- Jest nieodrodnym dzieckiem swojej matki. Opowiedział

nam kiedyś historię o tym, jak ukarała jakąś jego nie-uprzejmość wobec gości. Był zbyt duży, żeby dawać mu klapsy, więc poczekała do wieczora, kiedy kładł się spać i rozebrał się na tyle, żeby się nie mógł bronić, a sytuacja stała się dlań krępująca, i wtedy mu dała do wiwatu, wykręciwszy mu ucho. Korsykanów uczy się od dziecka, żeby cierpliwie czekać na okazję do zemsty. Francuz używa życia, ale Włoch, taki jak Napoleon, starannie je planuje.

* Późniejszy książę Wellington (przyp. tłum.).

166

Jak starożytni Rzymianie albo sycylijscy bandyci uważa, że trzeba polegać na rodzinie, być czujnym i mścić każdą zniewagę. Jest wspaniałym żołnierzem, ale chowa w pamięci tak liczne zniewagi i upokorzenia, że niekiedy nie wie, kiedy zrezygnować z walki. I to, jak podejrzewam, jest jego słabością.

- Cóż więc pan tu robi, doktorze Berthollet? Pan i pozostali naukowcy nie przybyliście tu na pewno, szukając wojennej chwały. I nie po skarby.

- Monsieur Gage, czy pan w ogóle wie coś o Egipcie?

- Wiem, że są tu piaski, wielbłądy i upał. I niewiele więcej.

- No, cenię pańską szczerłość. Nikt z nas nie wie zbyt wiele o tej kolebce cywilizacji. W Europie opowiada się o wielkich ruinach, dziwnych posągach i nieodczytanych napisach... ale który z Europejczyków widział to naprawdę? Ludzie chcą wiedzieć. Czymże jest maltańskie złoto w porównaniu z możliwością spojrzenia na chwałę dawnego Egiptu?

Przyszedłem tu szukać odkryć, które czynią człowieka nieśmiertelnym.

- Dzięki sławie?

- Dzięki wiedzy, która jest wieczna.

- Albo dzięki znajomości magii starożytnych - poprawił

Talma. - Dlatego właśnie zaproszono mnie i Ethana, czy nie tak?

- Jeśli medalion twojego przyjaciela w istocie jest prawdziwy - odpowiedział chemik. - Pomiędzy historią i bajką jest oczywista różnica.

-1 jest różnica pomiędzy zwykłą chęcią posiadania jakiejś jubilerskiej ozdoby a bezwzględnością i determinacją w zabijaniu, żeby zdobyć upragniony przedmiot - sprzeciwił się skryba. - Od chwili, w której wygrał medalion w paryskiej szulerni, nasz amerykański przyjaciel jest nieustannie narażony na niebezpieczeństwo. Dlaczego? Nie dlatego chyba, że ta błyskotka ma być kluczem do akade-167

mickiej sławy. To klucz do czegoś innego. Jeżeli nie chodzi o sekret nieśmiertelności, to może gra się toczy o jakiś ukryty skarb?

- To jedynie wspiera tezę, że ów medalion może przy-sporzyć posiadaczowi więcej kłopotów, niż jest tego wart.

- Odkrycie ma być ważniejsze od złota, Monsieur Berthollet? - zapytałem, udając nonszalancję podczas tej rozmowy, która przybrała niespodziewanie poważny obrót.

- A czymże jest złoto, jeżeli nie sposobem na dotarcie do celu? A tu mamy ten cel. Najlepsze w życiu rzeczy nic nie kosztują: wiedza, miłość, piękno. Spójrz, panie, na siebie: oto wkraczasz w deltę Nilu u boku pięknej kobiety. Jesteś niczym drugi Antoniusz z drugą Kleopatą. Cóż mogłoby ci dostarczyć większej satysfakcji? - Po tych słowach ułożył się do drzemki.

Spojrzałem na Astizę. Dziewczyna zaczęła już pojmować francuski, teraz jednak wyglądało na to, że puszczając mimo uszu naszą rozmowę, całą uwagę poświęca brązowym dachom mijanej właśnie Rosetty Piękna kobieta, nie da się zaprzeczyć.

Ale równie tajemnicza i daleka jak sekrety Egiptu.

- Powiedz mi coś o swoim przodku - poprosiłem ją nagle po angielsku.

- O kim? - Spojrzała na mnie zaniepokojona. Nigdy nie lubiła prowadzić zwykłych rozmów.

- O Aleksandrze. Był Macedończykiem jak ty, prawda?

Zrobiła minę, jakby zawstydziała ją publiczna rozmowa z mężczyzną, ale kiwnęła głową, godząc się z naszą bezpośredniością i brakiem dobrych manier.

-1 był Egipcjaninem z wyboru. Został nim, gdy tylko zobaczył ten wielki kraj. Żaden mąż nigdy mu nie dorównał.

-1 podbił Persję?

- Przeszedł z Macedonii do Indii, a swoimi czynami sprawił, że ludzie uznali go za boga. Podbił Egipt na dłu-168

go przed tym waszym francuskim samozwańcem i przeszedł

bezlitosne piaski naszej pustyni, żeby stawić się u źródła Słońca w oazie Sziwa. Tam też dano mu narzędzie magicznej władzy, a wyrocznia ogłosiła go synem Amona i Zeusa, przepowiadając też, że będzie władał całym światem.

- Takie poparcie musiało mu sprawić nielichą satysfakcję.

- Zadowolony z tego proroctwa założył wielkie miasto, Aleksandrię. Zaznaczył jego granicę na grecką modłę, ziarnem zboża. Kiedy ptaki się zleciały do ziarna, jego wróżę powiedzieli, iż oznacza to, że do nowego miasta zbiegną się osadnicy i że miasto wykarmi liczne kraje. Mieli rację. Ale Macedończyk nie potrzebował wróżów.

-Nie?

-To on był panem przeznaczenia. Umarł jednak lub został

zamordowany przed ukończeniem swojego dzieła, a jego święte symbole z Sziwy zniknęły. Jak on sam. Niektórzy powiadają, że jego ciało zabrano do rodzinnej Macedonii, inni mówią, że do Aleksandrii... są też i tacy, co utrzymują, iż Ptolemeusz zabrał go na ostatni spoczynek w pewne ukryte w pustynnych piaskach miejsce. Jak wasz Jezus, który wstąpił do nieba, Aleksander też zniknął z powierzchni ziemi. Być może był więc bogiem, jak to orzekła wyrocznia. I jak Ozyrys, zajął w niebie należne mu miejsce.

Znikła gdzieś niewolnica i służąca. Skąd, u diabła, Asti-za się o tym wszystkim dowiedziała?

- Słyszałem o Ozyrysie - stwierdziłem. - Jego siostra Izyda przywróciła go życiu.

Po raz pierwszy spojrzała na mnie z prawdziwą sympatią w oczach.

- Znasz Izydę?

- Owszem, wiem, że była boginią matką.

- Izyda i Maria Dziewica są swoimi odbiciami.

169

- Takie stwierdzenie z **pewnością nie spodobałoby się** chrześcijanom.

-Nie? A to czemu? Wszystkie wierzenia i symbole chrześcijanie przejęli od egipskich bogów. Zmartwychwstanie, życie pozagrobowe, poczęcie z woli boga, triady i trójce, pomysł, że ktoś może być bogiem, będąc jednocześnie człowiekiem, ofiarowanie, nawet skrzydła aniołów oraz diabelskie rogi i kopyta; wszystko to wasz Jezus przywłaszczył

sobie od ludu starszego o tysiące lat. Wasze dziesięcioro przykazań jest uproszczoną wersją „negatywnej” spowiedzi, za pomocą której Egipcjanie musieli udowodniać po śmierci swoją czystość i niewinność: „Nie zabijałem”. Religia jest jak drzewo. Egipska to pień, pozostałe to tylko

gałęzie.

- Biblia mówi, że było inaczej. Byli fałszywi bogowie, a jedynym prawdziwym był Bóg Hebrajczyków.

- Jak można być takim ignorantem w sprawach własnej wiary! Słyszałam, jak twoi Francuzi powiadali, że krzyż jest rzymskim symbolem egzekucji? Cóż to za symbol dla religii nadziei? Prawda jest taka, że wasz Krzyż powstał z połączenia instrumentu śmierci waszego Zbawcy z naszym symbolem życia, którym jest ankh, nasz starożytny klucz do życia wiecznego. I czemuż miałyby być inaczej? Zanim podbili nas Arabowie, Egipt był najbardziej chrześcijańskim z krajów.

Na ducha Cottona Mathera*, sprąbym ją za bluźnierstwo, gdyby mnie na chwilę nie zatkało. Nie chodziło nawet o jej zuchwałe stwierdzenie, ale o niezachwianą pewność, z jaką je wygłosiła.

- Nie ma żadnej możliwości, żeby idee Biblii zrodziły się w Egipcie - wypaliłem wreszcie.

* Cotton Mather - amerykański pastor, który odegra kluczową rolę podczas procesów czarownic z Salem. Na jego dobro trzeba zapisać, że pod koniec życia przyznał się do popełnionych błędów (przyp. tłum.).

170

-Myślałam, że Żydzi uciekli z Egiptu. A mały Jezus mieszkał właśnie tutaj. A zresztą, jakież to ma znaczenie?

Sądziłam, że wasz generał zapewnia, że nie jesteście armią chrześcijańskich zdobywców.

Jesteście

bezbożnymi

naukowcami, czy nie tak?

- No cóż... Bonaparte traktuje wiarę jak płaszcz... wkłada się go i zdejmuje zależnie od okoliczności.

- Nasze wierzenia mają z nauką więcej wspólnego, niż Francuzi gotowi byliby przyznać. Izyda jest boginią wiedzy, miłości i tolerancji.

-I jest twoją boginią.

- Ona nie należy do nikogo. Ja jestem tylko jej służką.

- Naprawdę wielbisz stary posąg? - Mojego filadelfijskiego pastora w tym momencie byłby już trafił szlag.

- Amerykaninie, ona jest młodsza od twojego ostatniego oddechu i wieczna jak cykl narodzin życia i śmierci. Ale się nie spodziewam, że cokolwiek z tego zrozumiesz. Musiałam uciec od mojego pana z Kairu, ponieważ ostatecznie i on nie uwierzył, ośmielając się targnąć na stare tajemnice.

- Jakie tajemnice?

- Tajemnice świata, który nas otacza. Świętego trójkąta, kwadratu czterech kierunków, pentagramu wolnej woli i heksagramu harmonii. Nie znasz dzieł Pitagorasa?

- Studiował w Egipcie, prawda?

-Przez dwadzieścia dwa lata, zanim perski zdobywca Kambyzes zabrał go do Babilonu. Ostatecznie założył własną szkołę w Italii. Nauczał, że wszystkie religie i ludy są jednością, że cierpieniu trzeba przeciwstawiać godność i że żona jest równa mężowi.

- Wydaje mi się, że jego poglądy bardzo ci odpowiadają.

- Bo są słuszne! W geometrii i przestrzeni jest przesłanie bogów. Punkt geometryczny przedstawia Boga, linia to mężczyzna i kobieta, a trójkąt równoboczny to równowaga ciała, duszy i umysłu.

171

- A kwadrat?

- Jak mówiłam, to cztery kierunki w cztery strony świata.

Pentagram to dążenie, heksagram to sześć kierunków w przestrzeni, a ośmioramienna gwiazda symbolizuje harmonię uniwersum.

- Możesz wierzyć albo nie, ale coś podobnego słyszałem od ludzi, którzy zwali siebie wolnomularzami. Twierdzą, że uczą tego, co Pitagoras, który głosił, że linia to precyzja, kwadrat to prawość, a młot to wola.

Skinęła głową.

- Właśnie tak. Bogowie niczego nie kryją, a jednak ludzie pozostają ślepi! Szukaj prawdy, a świat stanie się twój.

No, przynajmniej ten zakątek świata. Znajdowaliśmy się na Nilu, tej wspaniałej drodze wodnej, gdzie wiatr często dmie na południe, a nurt niesie na północ, pozwalając na ruch rzeką w obu kierunkach.

- Powiedziałaś, że uciekłaś z Kairu. Jesteś zbiegłą niewolnicą?

- To trochę bardziej skomplikowane. Jestem Egipcjanką. -

Wyciągnęła dłoń ku brzegowi. - Spróbuj zrozumieć nasz kraj, zanim podejmiesz próbę zrozumienia

nas samych.

Płaskie jak patelnia i jałowe okolice Aleksandrii zaczęły się zmieniać - brzegi porosła zieleń przypominająca biblijne opowieści o Mojżeszu znalezionym wśród trzciny. Ja-skrawozielone pola ryżu, zboża, pszenicy, trzciny cukrowej i bawełny tworzyły równe prostokąty poprzedzielane rzędami dostojnych palm daktylowych, prostych niczym kolumny i brzemiennych pomarańczowymi i szkarłatnymi owocami.

Wiatr igrał z gałęziami gajów bananowych i klonów. Bawoły ciągnęły radła lub unosiły rogi z wód* rzeki, w której zażywały kąpieli, posapując wśród papirusowych zarośli. Coraz częściej pojawiały się wzniesione z brązowej glinki wioski, nad którymi gdzieniegdzie górowały igły minaretów. Minęliśmy felukę o łańskim

172

ożaglowaniu, zakotwiczoną w brązowych wodach przy brzegu.

Te liczące od sześciu do dziewięciu metrów, sterowane długim wiosłem łodzie żaglowe były głównym środkiem lokomocji na rzece. Widać też było mniejsze łodzie wiosłowe, mogące pomieścić zaledwie jedną osobę, z których rybacy rzucali sieci.

W kieratach krążyły osły z opaskami na oczach, przenosząc wodę do kanałów tak samo, jak robiły to od pięciu tysięcy lat.

Wiatr niósł zapach Nilu. Nasza flotylla kanonierek i barek z zaopatrzeniem pod łopoczącymi trójkolorowymi flagami Francji mijała to wszystko, nie wywierając na widzach żadnego wrażenia. Niektórym fellachom nie chciało się nawet podnieść głów, by odprowadzić nas wzrokiem.

W jakież dziwne miejsce trafiłem! Aleksander, Kleopatra, Arabowie, mamelucy, starożytni faraonowie, Mojżesz... a teraz Bonaparte. Cały kraj był rumowiskiem historii, razem z medalionem wiszącym na mojej szyi. Pomyślałem o Astizie, która miała bardziej złożoną przeszłość, niż mógłbym się spodziewać. Może ona zobaczy w tym krążku coś, czego ja nie dostrzegłem?

- Jakie było zaklęcie, które utkałaś w Aleksandrii?

Milczała przez chwilę, po czym odparła z niechęcią w głosie:

- To było dla twojego bezpieczeństwa, jako ostrzeżenie dla innych. A drugie...żebyś zmadrzał.

- Możesz mi dodać rozumu?

- To może się okazać niewykonalne. Ale może uda mi się sprawić, żebyś widział.

Parsknąłem śmiechem, ona zaś wreszcie pozwoliła sobie na nikły uśmiezek. Wysłuchując jej, zdobywałem powoli jej zaufanie. Chciała szacunku, nie tylko dla siebie, ale i dla swego kraju.

Tej samej, ciepłej i spokojnej nocy, kiedy rzuciliśmy kotwicę i ułożyliśmy się do snu na pokładzie

stateczku pod pustynnym niebem usianym gwiazdami, podczołgałem 173

się do miejsca, gdzie spała. Słyszałem plusk wody, skrzyp takielunku i pomrukiwanie żeglarzy trzymających wachtę. -

Zostaw mnie! - szepnęła obudzona, odsuwając się pod burzę.

- Chcę ci coś pokazać.

- Tutaj? Akurat teraz? - Mówiła tym samym podejrzliwym tonem, jakiego używała Madame Durrell, gdy chodziło o mój czynsz.

- Jesteś znawcą prostych prawd. Spójrz na to. - Podałem jej medalion. W świetle pokładowych lamp był niemal niewidoczny.

Dotknąwszy metalu palcami, wciągnęła powietrze.

- Skąd to masz? - Otworzyła szerzej oczy i rozchyliła wargi.

- Wygrałem w karty w Paryżu.

- Od kogo?

- Od pewnego francuskiego żołnierza. Podobno to pochodzi z Egiptu. On twierdził, że medalion należał do Kleopatry.

- Może okradłeś tego żołnierza?

Skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł?

- Nie, po prostu ograłem go w karty. Jesteś ekspertem od religii. Jeżeli możesz, powiedz mi, co to jest?

Odwróciła medalion w dłoni, rozłożyła ramiona, tworząc V, i potarła dysk kciukiem i palcem wskazującym, żeby wyczuć ryty.

- Nie jestem pewna.

Rozczarowanie.

- Ale to pochodzi z Egiptu?

Podniosła dysk, żeby przyjrzeć mu się w świetle gwiazd.

- Jeżeli tak, to z bardzo wczesnego okresu. Wygląda na prymitywny... pierwotny... Więc to jest ów przedmiot, którego pożąda ten Arab.

- Widzisz te otworki? Jak sądzisz, czym one są?

Astiza przyglądała się im przez chwilę, a potem położyła się na plecach i podniosła medalion płasko ku niebu.

- Popatrz, jak przenika je światło. Jasne, że to gwiazdy.

- Gwiazdy?

- Amerykaninie, los człowieka zapisany jest w gwiazdach.

Spójrz! - Wskazała najjaśniejszy punkt na niebie tuż nad horyzontem.

- To Syriusz. Co z nim?

- To gwiazda Izydy, gwiazda nowego roku. Ona na nas czeka.

ROZDZIAŁ 8

Stary Ben Franklin napisał, że gdy wyschną studnie, po-znajemy wartość wody. W rzeczy samej, marsz armii francuskiej ku Nilowi okazał się źle zaplanowany. Kompanie i bataliony wdeptywały się w ziemię przy każdej dobrej studni, a potem ją osuszały, przed nadejściem następnego regimentu.

Ludzie się spierali, załamywali, popadali w malignę i zwracali broń przeciwko sobie samym. Tantalową udręką wszystkich stało się nowe zjawisko, które uczeni nazwali „mirażem” -

odległe połacie pustyni wyglądały jak gładka powierzchnia jezior. Jazda ruszała ku nim galopem, po czym znajdowała suchy piasek i majaczące znów na horyzoncie „jezioro”, tak zwodnicze jak koniec tęczy. Było tak, jakby pustynia drwiła z Europejczyków. Kiedy żołnierze dotarli wreszcie do Nilu, stłoczyli się jak bydło - rzucali się w wodę i pili, aż dostawali torsji, choć inni obok nich pili tę samą wodę. Ich tajemniczy cel, Egipt, wydawał się równie okrutny jak te pustynne miraże.

Brak zapasów wody i zaniedbanie w zabezpieczeniu studni było zbrodnią, o którą generałowie winili Napoleona, a ten nie lubił, kiedy mu coś zarzucano.

- Francuzi zawsze i wszędzie narzekają - mrucał wściekły.

Ale krytyka cięła go boleśnie, bo wiedział, że jest słuszna.

Podczas kampanii w Italii łatwo było o żywność i wodę, a mundury doskonale się sprawdzały we włoskim klimacie. Tu pobierał bolesną lekcję, że wszystko nale-

ży zabierać ze sobą. Ten piekielny upał łamał najtwardszych.

Francuska armia ruszyła w górę Nilu, na Kair. Fella-chowie uciekali przed nią i gromadzili się ponownie za nami, jak mgła.

Za każdym razem, gdy kolumna zbliżała się do jakiejś wioski, dzieci i kobiety odpędzały bydło i trzodę na pustynię, kryjąc je pomiędzy wydmami, zza których wyglądały niczym małe zwierzątka ze swoich norek. Mężczyźni marudzili nieco dłużej, usiłując ukryć żywność i ubogie sprzęty domowe przed podobną szarańczy armią najeźdźców. Gdy trójkolorowi wkraczali do wioski, wieśniacy wiali ku rzece, gdzie dosiadali okrakiem wiązek papirusowych trzcin i wiosłując zaciekle, odpływali w głąb nurtu niczym spłoszone kaczkę. Obok ich domów przechodził oddział za oddziałem, uformowane w długie kolumny zakurzonych błękitnych, czerwonych, białych i zielonych mundurów. Wykopywano drzwi, przeszukiwano obórki i nie znajdowano niczego godnego zabrania. Armia przechodziła, a wieśniacy wracali, żeby dalej egzystować -

niektórzy tylko myszkowali po naszych śladach, szukając jakichś przydatnych wojskowych resztek.

Nasza mała flota płynęła równolegle do armii, wioząc zapasy i mając baczenie na przeciwny brzeg. Co wieczora przybijaliśmy do brzegu nieopodal kwatery Napoleona, żeby Talma, Monge i Berthollet mogli poczynić notatki o mijanych przez wojsko okolicach. Niebezpiecznie było błąkać się bez ochrony żołnierzy, więc wypytywali oficerów. Interesowali się wszystkim, czym mogli uzupełnić listę zwierząt, ptaków i wsi.

Niekiedy zbywano ich szorstko, ponieważ zazdrośczone uczonym wygody podróżowania wodą. Upał obezwładniał, a muchy i komary doprowadzały wszystkich niemal do furii. Za każdym razem, gdy lądowaliśmy, wydawało nam się, że napięcia i animozje pomiędzy oficerami rosną, ponieważ wiele zapasów pozostało jeszcze w dokach Aleksandrii i nie było 177

oddziału, który miałby wszystko, co było ludziom potrzebne.

Nieustające strzały z wydm ze strony Beduinów i okropne opowieści o losie pojmanych też nie dodawały żołnierzom pewności siebie.

Napięcie w końcu się rozładowało, gdy niewielka grupka szczególnie

bezczelnych

nieprzyjacielskich

wojowników

zdołała się przedrzeć w pobliże namiotu Napoleona. Pustynni jeźdźcy w barwnych, powiewających na wietrze burnusach zjawili się na swoich wspaniałych arabach, wyjąc i strzelając z koni. Kiedy wściekły generał rozkazał grupce dragonów pod dowództwem porucznika Croisiera rozpedzić śmiałków, wspaniali egipscy wojownicy bawili się z Francuzami dość długo, a potem uciekli, nie tracąc ani jednego człowieka. Małe pustynne koniki mogły chyba gnać dwakroć dalej na dwukrotnie mniejszej porcji wody niż ciężkie rumaki europejskie, które wciąż jeszcze odzyskiwały siły po udawkach długiej morskiej podróży. Nasz wódz wpadł we wściekłość i tak upokorzył biednego Croisiera, że dla ratowania swojej reputacji ten w ciągu roku przysiągł zginąć dzielnie w bitwie.

Bonaparte jednak wciąż był nieubłagany.

-Dajcie mi prawdziwego wojownika! - zawołał. -Niech tu przyjdzie Bin Sadr!

Rozjuszyło to Dumasa, który uznał, że splamiono honor jego kawalerzystów. Powodem wściekłości generała było i to, że brak koni oznaczał, że wiele z jego oddziałów zostało z konieczności spieszonych.

- Generale, chwali pan tego rzezimieszka i obraża moich ludzi!

- Chcę skrzydłowych, którzy utrzymają tych Beduinów z dala od mojej kwatery, a nie arystokratycznych lalusiów, co nie potrafią schwytać bandyty! - zawołał Bonaparte, któremu diablo dojadły udreki marszu i zazdrość starszyny.

Dumas nie chciał się uspokoić.

178

- To niech pan zaczeka na konie, zamiast pchać się na pustynię bez wody! Zawiniła pańska niekompetenqa, nie Croisier!

- Ośmiela się pan mi sprzeciwiać?! Każę pana rozstrzelać!

- Zanim to zrobisz, kurduplu, złamię cię na pół!

Sprzeczkę przerwało przybycie Bin Sadra i kilkunastu jego sługusów w turbanach, którzy nadjechawszy galopem, osadzili konie w miejscu i rozdzielili pieklących się generałów.

Kleber skorzystał ze sposobności, żeby odciągnąć wrzącego gniewem Dumasa na stronę, podczas gdy Napoleon zdołał

jakoś wziąć się w garść. Mamelucy robili z nas durniów.

- O co chodzi, efendi? - Dolną część twarzy Araba jak przedtem spowijały fałdy burnusa.

- Płacę ci, żebyś trzymał tych mameluków z dala od moich ludzi - wypalił wciąż jeszcze gniewny Napoleon. -Dlaczego tego nie robisz?

- Może dlatego, że ty, generale, nie płacisz, jak mi to obiecywałeś. Mam dzban pełen nowych uszu, za które nie dostałem złota. Moi ludzie są przekupni i powiedzieli, że przejdą do mameluków, jeżeli tamci obiecują im szybszą wypłatę pieniędzy.

- Ba! Boisz się nieprzyjaciół.

- Nie, tylko im zazdrozczę! Mają wodzów, którzy do-trzymują obietnic!

Bonaparte skrzywił się i spojrział na szefa swojego sztabu, Berthiera.

- Dlaczego tym ludziom nie zapłacono?

- Bo ludzie mają po dwoje uszu i dwie dłonie - odpowiedział spokojnie Berthier. - Nie możemy uzgodnić, ilu on naprawdę zabił.

- Podajecie w wątpliwość mój honor! - zawrzał gniewem Arab. - Wobec tego będę wam przynosił języki i penisy!

179

- Na miłość boską! - warknął Dumas. - Dlaczego w ogóle zadajemy się z tymi barbarzyńcami?

Napoleon i Berthier zaczęli się spierać co do wielkości sumy, jaką należy wypłacić wodzowi pustynnych oprysz-ków.

Bin Sadr powiódł gniewnym spojrzeniem po obecnych i nagle zobaczył mnie. Przysięgłbym, że diabeł utkwiał na chwilę wzrok w łańcuszku na mojej szyi. Pewien, że to on wrzucił

węza do mojej sypialni, odpowiedziałem mu grymasem gniewu. Przeniósł wzrok na Astizę - i tym razem spojrzenie Araba pełne było nieskrywanej nienawiści. Dziewczyna skwitowała to obojętnością. Czy w istocie to on był

latarniarzem, który wydał mnie żandarmom w Paryżu? A może, poddawszy się obawom, snułem fantazje, jak zwykli żołnierze? Nie miałem okazji, żeby dobrze się przyjrzeć tamtemu człowiekowi we Francji.

- No dobrze - zgodził się wreszcie nasz wódz. - Zapła cimy za wszystkie dłonie. Kiedy dotrzemy do Kairu, po dwoimy wynagrodzenie dla twoich ludzi. Trzymaj tylko tych Beduinów z daleka od naszych oddziałów.

Arab nisko się skłonił.

- Efendi, te pustynne szakale nie będą was już niepokoiły.

Wydłubię im oczy i zmuszę, żeby je pozjadali. Wykastruję ich jak bydło. Poprzywiążuję ich flaki do końskich ogonów i pognam zwierzęta na pustynię.

- Doskonale, tylko niech wieści o tych obietnicach się rozejdą. - Uśmierzywszy już swój gniew, Napoleon odwrócił

się od Araba. Wybuch wściekłości nieco go zawstydził i widziałem, że w duchu robi sobie wymówki z powodu utraty panowania nad sobą. Bonaparte popełniał błędy, ale rzadko który dwukrotnie.

Bin Sadr jednak jeszcze nie odchodził.

- Efendi, mamy szybkie konie, ale stare strzelby. Może moglibyśmy dostać nowe, jak te? - Skinieniem dłoni wska-180

zał karabinki o krótkich lufach, jakie mieli kawalerzyści Dumasa.

- Prędeż ujrzę cię w piekle! - warknął generał.

- Nowe? - powtórzył Bonaparte. - Nie, nie mamy żadnych luznych.

- A ten człowiek z długą lufą? - Teraz Arab wskazywał

palcem na mnie. - Pamiętam go i jego strzały pod murami Aleksandrii. Daj mi go, generale, a pošlemy do piekła tych diablów, którzy tak was dręczą.

- Mam ci dać Amerykanina?

- On może strzelać do uciekających.

Pomysł zaintrygował Napoleona, który szukał czegoś, o czym mógłby rozmyślać.

- Co pan na to, Gage? Chce pan pojechać z tym pustynnym szejkiem?

Który usiłował mnie już zabić, dodałem w myślach. Nie zamierzałem zbliżyć się do Bin Sadra, chyba żeby go udusić, dokładnie pierwszej przepytawszy.

- Generale, zaciągnąłem się jako naukowiec, nie jako strzelec wyborowy. Moje miejsce jest na łodzi.

- Poza zasięgiem niebezpieczeństwa - zakpił Bin Sadr.

- Ale nie poza zasięgiem strzału. Podjedź kiedy bliżej do rzeki i zobacz, jak blisko będę musiał podpłynąć, żeby cię trafić, latarniarzu.

- O jakim latarniarzu mówisz, Gage? - zainteresował się Napoleon.

- Ten człowiek zbyt długo przebywał na słońcu - warknął

Arab. - Idź, Amerykaninie, i zostań na swojej łodzi, myśląc, że nie dosięgnie cię niebezpieczeństwo. Może wkrótce znajdzie się jakiś nowy cel dla twojej strzelby. Może jeszcze pożałujesz, żeś nie pojechał z Bin Sadrem.

Podniósł woreczek ze złotem, który rzucił mu wcześniej Berthier, i spiął konia do galopu. Pokrywające dolną część jego twarzy fałdy burnusa na chwilę opadły i zobaczyłem jego policzek. Miał na twarzy potężny, czerwony 181

czyrak pokryty jakąś maścią. Wrzód był w tym samym miejscu, które Astiza nakłuła woskowej figurce.

Pokonawszy połowę odległości do Kairu, otrzymaliśmy wieści, że wódz mameluków Murad Bej zebrał swoich ludzi, żeby powstrzymać nasz marsz. Bonaparte natychmiast postanowił wykorzystać tę okazję i przejąć inicjatywę. Wydano rozkazy i wieczorem 12 czerwca oddziały wyszły na nocny marsz, żeby zająć pozycję pod Shubra Khit, kolejnym większym miastem nad Nilem. O świcie Francuzi zaskoczyli wciąż jeszcze sprawiającego swoje szyki nieprzyjaciela. Siły wroga liczyły

jakieś dziesięć tysięcy ludzi, wśród których było tysiąc świetnych mameluckich jeźdźców; resztę stanowił

beładny tłum fellachów - wieśniaków uzbrojonych rzadko w coś lepszego od zwykłych pałek. Gdy Francuzi spokojnie formowali się do bitwy, wśród Egipcjan wciąż jeszcze panował

chaos i przez chwilę mniemałem, że cała ta banda ucieknie bez walki. Potem coś dodało im odwagi - zobaczyliśmy, że ich dowódcy wskazują ku Nilowi - i też zaczęli się ustawiać w szyku.

Na pokładzie zakotwiczonego *Le Cerf* miałem wspaniałe miejsce widokowe. Gdy wzeszło złote słońce, słuchaliśmy na wodzie, jak Francuzi grają *Marsylianke*, której dźwięki popłynęły nad Nilem. Melodia ta przejmowała żołnierzy dreszczem i zainspirowani nią Francuzi podbijali świat. W

beznamiętnej skuteczności, z jaką żołnierze ponownie sformowali dwa najeżone klingami bagnatów czworoboki, było coś przejmującego do szpiku kości. Efekt wzmagały trzepoczące w porywach porannego wiatru sztandary. Niełatwo utworzyć taki szyk, a jeszcze trudniej stawić w nim czoło nieprzyjacielskiej szarży, bo każdy stoi zwrócony twarzą na zewnątrz i może tylko liczyć na to, że ci za nim go nie zawiodą. Naturalne jest też, że żołnierze pragną się cofnąć, grozi to jednak załamaniem całego

182

szyku, a słabsi duchem gotowi są porzucić broń, pod pozorem, że odciągają rannych. Sierzanci i najbardziej twardzi z weteranów muszą utrzymać tyły, żeby ci z przodu nie poddali się panice. A jednak czworoboki stały i prawie każda próba rozerwania szyku kończy się niepowodzeniem. Jazda mameluków krążyła wokół nich, żeby znaleźć słaby punkt, i nie mogła; formacja Francuzów kompletnie zaskoczyła nieprzyjaciół. Wyglądało na to, że bitwa stanie się kolejną udaną demonstracją przewagi siły ognia Europejczyków nad średniowieczną determinacją i odwagą Arabów. Czekaliśmy, popijając egipską miętową herbatę, ranek zaś z różowego stawał się błękitny.

I nagle rozległy się ostrzegawcze wrzaski, a zza zakrętu rzeki pokazały się żagle. Mamelucy na brzegu wydali ryk tryumfu. Nilem płynęła ku nam flotylla egipskich łodzi rzecznych z Kairu - ich łaćńskie żagle pokrywały rzekę niczym dziedziniec pralni. Na każdym maszcie powiewały flagi mameluków i zielone bandery Proroka, a od strony zatłoczonych żołnierzami i działami burt tych stateczków niosła się wrzawa głosów, rogów i trąbek. Czy to miał być ten nowy cel dla mojej strzelby, o którym mówił Bin Sadr?

Czyżby wiedział? Zamysł nieprzyjaciół był dość oczywisty.

Zamierzali unicestwić naszą małą flotę i z boku uderzyć na wojska Bonapartego.

Wylałem herbatę za burtę i zająłem się ładowaniem mojej rusznicy. Na wodzie czułem się uwięziony i odsłonięty. Z

drugiej strony ulżyło mi, że nie pozostanę tylko widzem.

Kapitan Perree zaczął okrzykami ponaglać ludzi do podniesienia kotwicy, a pozostali żeglarze rzucili

się do dział.

Poblady Talma wyjął swój notatnik. Monge i Ber-thollet wspięli się na nadburcie i chwycili liny takielunku, jakby byli widzami regat. Przez kilka chwil obie flotylle zbliżały się do siebie majestatycznie jak dwa stada łabędzi. I nagle z dziobu flagowego okrętu mameluków wykwitł

183

pek dymu, usłyszeliśmy grzmot i coś przeleciało obok nas z gwizdem, wzbijając fontannę wody za naszą rufą.

-Czy nie powinniśmy przedtem wysłać parlamenta-riuszy? -

zapytałem beztrosko, choć mój głos drżał bardziej, niż chciałem to okazać.

Jakby w odpowiedzi przednia linia całego egipskiego ugrupowania zabrzmiała wystrzałami dziobowych armatek.

Rzeka wokół nas eksplodowała fontannami wody, które zmoczyły nas do pasa. Jedna kula ugodziła w ka-nonierkę z naszej prawej strony, posyłając w powietrze deszcz drzazg.

Ponad wodą rozległy się wrzaski. Usłyszałem dziwnie wibrujący jęk i w naszym żaglu pojawiła się dziura niczym otwarte w wyrazie zdumienia usta.

- Myślę, że negocjacje dobiegły końca - odezwał się Talma, który kucnął obok koła sterowego i zaciekle kreślił coś w swoim notesie jednym z tych ołówków Contego. - Wyjdzie z tego podniecający biuletyn. - Traktował wszystko z taką obojętnością, jakby obserwował demonstrację działa w fabryce broni.

- A przecież ci osmańscy żeglarze to Grecy! - stwierdziła Astiza, przyjrzawszy się ubraniom swoich krajan. -Służą bejowi z Kairu. Teraz dopiero będziecie się mieli z pyszna!

Ludzie kapitana Perree otworzyli ogień, ale niełatwo było wykręcić pod prąd, żeby oddać porządną burtową salwę, poza tym nieprzyjaciel miał więcej dział. Podczas gdy my skracaliśmy żagle, żeby nie zetrzeć się zbyt szybko z nieprzyjacielem, przeciwnicy dążyli do zwania. Spojrzałem ku brzegowi. Rozpoczęcie ostrzału z armatek egipskiej floty było najwyraźniej sygnałem dla mameluków na brzegu.

Pochyliwszy włącznie, runęli ku najeżonej bagnetami ścianie Francuzów, wpadając galopem wprost pod gwizdzące ponuro kule pierwszej salwy. Konie miały się przed czworobokami, jak fale piętrzą się wokół nadmorskich głązów.

184

Nagle rozległ się straszliwy huk i runęliśmy z Astizą na pokład, lądując pod burtą. W innych okolicznościach byłbym się nawet ucieszył z tej nieoczekiwanej obłapki, ale teraz wszystko było dziełem kuli, która ugodziła w kadłub naszego statku. Kiedy się rozdzieliliśmy, zrobiło mi się słabo.

Pocisk przeleciał wzdłuż pokładu, rozrywając na strzępy dwu naszych kanonierów i zasypując połowę pozostałych krwawym deszczem ludzkich resztek. Drzazgi raniły kilku jeszcze ludzi, w tym i kapitana, a nasz ogień wyraźnie osłabł, podczas gdy Arabowie walili w nas coraz bardziej gwałtownie.

- Dziennikarzu! - krzyknął kapitan do Talmy. - Prze stań pisać i chwytaj koło!

Talma zbladł jak papier. -

Ja?!

-

Ja muszę opatrzyć sobie ramię i zająć się działem!

Nasz skryba, podniecony i zarazem przestraszony, za brał się do dzieła.

- Gdzie mam sterować?

- Na wroga!

- Chodź, Claude-Louis! - wrzasnął Monge do Bertholleta, pełznąc na czworakach ku drugiej armatce bez obsady. - Czas wykorzystać wiedzę naukową! Gage, jak chcesz przeżyć, zajmij się tą swoją rusznicą!

Mój Boże, naukowiec był po pięćdziesiątce, a zachowywał

się tak, jakby sam jeden miał zamiar wygrać całą bitwę! Obaj z Bertholletem pognali do działka na dziobie. Ja tymczasem wystrzeliłem i nieprzyjacielski żeglarz runął w wodę, puszczając linę, którą trzymał. Po wystrzale egipskiego działka osnuła nas fala dymu, w której majaczyły widmowe cienie nieprzyjacielskich łodzi. Ile czasu minie, zanim Egipcjanie wedrą się na nasze pokłady i sejmitemi potną nas na dzwona? Patrząc poprzez dym, spostrzegłem, że Astiza popęzła ku dziobowi, żeby pomóc naukowcom przy działku.

Jej podziw dla celności greckich

185

artylerzystów osłabiła znacznie chęć pozostania przy życiu.

Berthollet osobiście wetknął ładunek, kulę i przybitkę, a Monge zajął się celowaniem.

-Pal!

Działko rzygnęło długą strugą ognia. Monge wskoczył na bukszpryt i stanął na palcach, żeby ocenić swój wyczyn, po czym zeskoczył z rozczarowaniem w oczach. Chybił.

- Claude-Louis,

potrzebujemy

współrzędnych,

żeby

ocenić odległość - mruknął. - Inaczej będziemy tylko tra cię proch i kule. - Spojrzał na Astizę. -
Przetrzyj lufę i za ładuj!

Ponownie wymierzyłem broń i delikatnie nacisnąłem spust.

Kapitan mameluków machnął piętami i zniknął za burtą.

Wokół mnie zagrzecotały kule egipskich strzelców pragnących pomścić śmierć dowódcy. Pocąc się
obficie, ponownie nabiłem rusznicę.

- Talma, szlag by cię trafił, trzymaj kurs! - zagrzmiął

Monge, nie odwracając głowy.

Blady jak jego kartki dziennikarz trzymał koło niczym diabeł duszę. Flota osmańska była coraz bliżej,
a nieprzyjacielscy marynarze zgromadzili się na dziobach gotowi do abordażu.

Widziałem, że naukowcy biorą namiary na punkty brzegowe i szkicują przecinające się linie, żeby
dokładniej ocenić odległość od nieprzyjacielskiego okrętu flagowego.

Wokół nas nieustannie wybuchały fontanny wody. W powietrzu gwizdały większe i mniejsze drzazgi.

Wymierzyłem starannie, przestrzeliłem łeb osmańskiego kanoniera i podbiegłem do dziobu.

- Czemu nie strzelacie?

-Milcz! - wrzasnął Berthollet. - Musimy sprawdzić obliczenia!

Obaj naukowcy poziomowali armatkę, jakby to był instrument mierniczy.

186

- Jeszcze jeden stopień... - mruknął Monge. - Teraz!

Działko ryknęło jeszcze raz, w powietrzu rozległ się ponury gwizd pocisku, którego cień mogłem
prześledzić na wodzie, a potem - cud nad cudami - pocisk ugodził flagowy okręt mameluków
dokładnie w połowie śródokręcia, wybijając sporą dziurę w burcie. Na Tora, te dwa książkowe
mole wymierzyły jak najlepszy artylerzysta!

- Dla matematyki... hip, hip! Hurrrraaa!

Po chwili długiej jak wieczność nieprzyjacielski okręt flagowy wyleciał w powietrze w bardzo efektownej eksplozji.

Naukowcy trafili widocznie w prochownię. Usłyszeliśmy straszliwy huk, a w powietrze wzniosła się chmura odłamków drewna, potrzaskanych dział i ludzkich szczątków. Wszystko to uniosło się, a potem opadło na ciemną powierzchnię rzeki.

Podmuch powietrza rzucił nas na pokład, a w niebieskie egipskie niebo wzbił się podobny do grzyba słup dymu. A potem zobaczyliśmy, że w miejscu, gdzie przed kilkoma sekundami był nieprzyjacielski okręt flagowy, wrze i kłębi się woda. Wroga jakby zmazano ogromną gumką. Muzułmanie natychmiast przerwali ogień. Przez chwilę trwali w pełnej zdumienia ciszy, a potem z głośnymi wrzaskami cała nieprzyjacielska flota jak jedna łódź zawróciła i ruszyła w górę rzeki. W tejże samej chwili jazda mameluków zbierająca się do ponownego ataku po zakończonej niepowodzeniem pierwszej szarży załamała nagle szyk i jeźdźcy rzucili się do panicznej ucieczki, uznając eksplozję na rzece za dowód wszechmocy Francuzów. W ciągu dziesięciu minut zajadła bitwa na brzegu i rzece przekształciła się w pogrom. Bitwę pod Shubra Khit rozstrzygnął jeden celny strzał, a rannego Perree mianowano wiceadmirałem.

A ponieważ miałem w tym swój udział, zostałem bohaterem.

187

Kiedy Perree udał się na brzeg, żeby odebrać gratulacje od Bonapartego, uprzejmie zaprosił do towarzystwa dwu naukowców, a także Talmę i mnie, oddając nam należne honory za decydujący strzał. Precyzja strzału Monge'a miała w sobie coś z cudu. Niezależnie od doświadczenia greckich artylerzystów świeżo upieczony admirał obliczył, że w pół

godziny obie floty wymieniły piętnaście setek armatnich strzałów, a jego flotylla wykręciła się sześcioma zabitymi i dwudziestoma rannymi. Taki był stan egipskiej artylerii i ogólnie rzecz biorąc, taki był stan rzeczy pod koniec osiemnastego wieku. Ogień z dział czy muszkietów był tak niecelny, że dzielny człowiek mógł stanąć przed frontem ognia, mając spore szanse na przeżycie i chwałę. Żołnierze strzelali za wcześnie. Ogarnięci dymem strzelali na oślep. Ładowali w panice i zapominali o wystrzeleniu poprzedniego naboju -

niekiedy wbijali jedną kulę na drugą, aż cały muszkiet eksplodował. Często odstrzelili uszy lub ręce stojącym w szyku przed nimi towarzyszom, rozwalali im bębrenki uszne i dźgali się osadzonymi na lufach bagnietami. Bonaparte powiedział mi kiedyś, że przynajmniej jedną dziesiątą strat po bitwie należałoby przypisać postrzałom z luf karabinów towarzyszy rannych czy zabitych. Dlatego też mundury miały tak jaskrawe barwy, żeby sojusznicy nie zabijali się nawzajem.

Podaję, że drogie i celne strzelby - takie jak moja -

zmieniają kiedyś ten stan rzeczy i rzemiosło wojenne stanie się domeną ludzi szukających ukrycia w błocie. Jakaż jest chwała w morderstwie? Zastanawiałem się, jakie też będą wojny, gdy naukowcy

udoskonalą celowanie tak, że każdy kartacz i każda kula trafią w cel. Ale oczywiście były to tylko dywagacje, które na zawsze pozostaną w dziedzinie niemożliwości.

Podczas gdy Monge i Berthollet byli fetowani jako ci, co oddali decydujący strzał, mnie sławiono za zaciekłą walkę po stronie Francuzów.

188

-Gage, masz w sobie ducha Yorktown! - stwierdził

Napoleon, poklepując mnie po ramieniu. Obecność Astizy znów podniosła w oczach innych moją wartość. Jak dobry francuski żołnierz potrafiłem przywiązać do siebie piękną kobietę, i to taką, która miała dość ducha, żeby stanąć przy lawecie armatki! Stałem się jednym z nich, podczas gdy ona użyła swojej zręczności czy magii - w Egipcie często łączono te pojęcia - pomagając w opatrywaniu rannych. Mężczyźni przeszli do namiotu Napoleona na kolację.

Nasz generał był w dobrym humorze, co należało zawdzięczać rezultatom krótkiej walki - dotyczyło to zresztą nastrojów w całej armii. Egipt mógł sobie być obcy, ale opanowanie go nie leżało poza zasięgiem Francji. Choć do Kairu pozostawało jeszcze ponad sto mil, umysł Napoleona był

już pełen planów na przyszłość.

- Moja kampania nie jest podbojem, lecz małżeństwem -

oznajmił, gdy jedliśmy drób wyzwolony przez jego adiu tantów pod Shubra Khit i upieczony na wyciorach musz kietów. - Przeznaczenie Francji leży na Wschodzie, tak jak przeznaczeniem twojego młodego narodu, panie Gage, jest Zachód. Twoje Stany Zjednoczone cywilizują czerwonoskórych dzikusów, a my musimy zmienić muzułmanów, narzucając im idee Zachodu. Przyniesiemy uśpione mu Egiptowi wiatraki, kanały, fabryki, tamy, drogi i po jazdy. Pan i ja jesteśmy rewolucjonistami, ale ja jestem też budowniczym. Chcę tworzyć, nie niszczyć.

Podejrzewam, że szczerze w to wierzył, jak zresztą w setki rzeczy dotyczących jego samego - a wiele z nich było przeciwieństwami. Miał intelekt i ambicję za kilku ludzi i jak kameleon usiłował wszystkie dopasować do siebie.

- Ci ludzie to muzułmanie - wytknąłem mu. - Oni się nie zmieniają. Od stuleci walczyli z chrześcijanami.

- Gage, ja też jestem muzułmaninem, ponieważ jest tylko jeden Bóg i każda religia jest tylko odbiciem jednej 189

uniwersalnej prawdy. To właśnie musimy wyjaśnić tym ludziom. Wszyscy jesteśmy braćmi wobec Allaha, Jehowy, Jahwe czy jak on się tam nazywa. Francja i Egipt zjednoczą się, gdy tylko mułlowie zobaczą, że jesteśmy ich braćmi. Religia?

To tylko narzędzie, jak ordery czy nagrody pieniężne. Nic tak nie inspiruje jak wiara, której nie da się poprzeć dowodami.

^Dowody? - Monge parsknął śmiechem. - Generale, jestem naukowcem, a jednak istnienie Boga łatwo da się udowodnić, gdy koło uszu zaczną ci świstać kule.

•^ Mówisz o dowodach, panie Monge, czy o pragnieniu wiary, takim jak pragnienie dziecka, które chce mieć matkę?

Któż to wie? Życie jest krótkie i na żadne z tych pytań nie da się odpowiedzieć. Ja żyję dla przyszłości. Śmierć jest niczym, ale żyć bez chwały znaczy umierać każdego dnia. Przypomina mi to historie pewnego włoskiego straceńca, który pojedynekował się czternaście razy w obronie swojego twierdzenia, że poeta Ariosto jest lepszy od Tas-sa. Leżąc na łożu śmierci, przyznał, że nie czytał żadnego z nich. -

Napoleon parsknął śmiechem. - Oto mi życie!

- Nie, generale - sprzeciwił się baloniarz Conte, wskazując na swój puchar z winem. - To jest życie.

-Ach tak. Znajduję upodobanie w dobrych winach, szybkich koniach i pięknych kobietach. Spójrz na naszego amerykańskiego przyjaciela, który uratował swoją piękną Macedonkę, trafił do namiotu dowódcy i będzie miał udział w łupach, jakie zgarniemy w Kairze. To oportuni-sta, taki jak ja.

Nie myśl, że nie tęsknię za moją żoną, która jest małą, chciwą wiedźmą i ma jeden z najładniejszych tyłeczków, jakie widziałem, kobietą tak kuszącą, że za pierwszym razem, gdy ją brałem, nawet nie spostrzegłem, iż jej piesek gryzie mnie w dupę! - Ryknął śmiechem, wspominając tamto wydarzenie.

-

Przyjemność wyjątkowa! Ale tym, co trwa, jest historia, a żadne miejsce na ziemi nie ma takiej historii jak Egipt.

Zapiszesz to dla mnie, Talma?

190

- Pisarze żyją z ludzi, o których piszą, generale.

- Dam autorom temat godny ich talentów.

Talma podniósł swój puchar.

- Bez bohaterów nie ma książek.

- A bez książek nie ma bohaterów.

Wszyscy wypiliśmy, choć nie bardzo wiedziałem za co.

- Ma pan wielkie ambicje, generale - stwierdziłem.

- Sukces to sprawa woli. Pierwszym krokiem do wielkości jest postanowienie, że się będzie

wielkim. Reszta to sprawa ludzi, którzy pójdą za tobą.

- Ale dokąd, generale? - zapytał dobrodusznie Kleber.

- Do końca.

Obaj spojrzeli na siebie uważnie.

- Do końca - powtórzył Bonaparte.

Po obiedzie zatrzymałem się na chwilę, by pożegnać Bertholleta i Monge'a. Miałem już dość rzecznych łodzi po tym, jak zobaczyłem jedną z nich wylatującą w powietrze, a Talma i Astiza też chcieli już zostać na brzegu. Pożegnaliśmy się więc na jakiś czas, stojąc pod pustynnym niebem pełnym gwiazd.

- Bonaparte jest cyniczny, choć potrafi uwodzić - za uważyłem. - Nie da się słuchać o jego marzeniach i choć po części ich nie podzielać.

Monge kiwnął głową.

- On jest jak kometa. Jeżeli nie zostanie zabity, odcisnie swój ślad w historii. I na nas.

- Zawsze go podziwiam, choć nie potrafię mu zaufać -

stwierdził Berthollet. - Wszyscy wisimy na ogonie tygrysa, Monsieur Gage, i możemy tylko mieć nadzieję, że nas nie pożre.

- Z pewnością nie pożera swoich, mój przyjacielu.

-Ale kogóż on uznaje za swoich? Jeżeli nie wierzy w Boga, nie wierzy i w nas, nie wierzy, że istniejemy naprawdę. Dla Napoleona prawdziwy jest tylko Napoleon.

- To chyba zbyt cyniczne stwierdzenie.

191

-Tak? W Italii rzucił oddział żołnierzy do zacieklej walki z Austriakami. W tej potyczce zginęło kilkunastu ludzi.

-Taka jest wojna, czyż nie? - Przypomniałem sobie uwagę, jaką Napoleon rzucił na plaży.

- Nie wtedy, kiedy nie ma żadnej potrzeby walki i nikt nie musi ginąć. Wtedy do naszego obozu przyjechała piękna Mademoiselle Thurreau i Napoleon chciał ją zaciągnąć do łóżka, demonstrując swoją władzę. Posłał ludzi na śmierć tylko po to, żeby jej zaimponować. - Berthollet położył mi dłoń na ramieniu. - Rad jestem, że się do nas przyłączyłeś, panie Gage.

Okazałeś się dzielnym i pomysłowym człowiekiem. Idź za naszym generałem, a daleko zajdziesz, tak

jak to obiecał.

Nigdy jednak nie zapominaj, że Napoleon myśli wyłącznie o sobie i jego interesy nie są twoimi.

Spodziewałem się, że pozostała część naszego marszu na Kair będzie przechadzką pod daktyłowymi palmami, przez pocięte kanałami zielone pola melonowe. Tymczasem, żeby uniknąć rzecznych zakrętów i wąskich pasm brzegu usianych pokrytymi pyłem wioskami, francuska armia pozostawiła Nil o kilka mil na wschodzie i ponownie ruszyła przez pustynne, jałowe ziemie, przecinając pokryte wyschniętym błotem pola pełne kanałów, na których nasze wozy często łamały sobie osie. Była to aluwialna dolina, którą Nil nawadniał z nadejściem każdej pory deszczowej, teraz jednak zasnuwały ją chmury suchego pyłu czyniącego z nas bandę obszarpańców idących na południe na pokrytych pęcherzami i odparzeniami nogach. Dzień w dzień dawały nam się we znaki czerwcowe upały, a z każdym podmuchem wiatru szmaragdowy horyzont powlekał się mleczną mgiełką. Nad wierzchołkami ma-lowniczych wydm gwizdał piasek, stawiając nieprzebytą zasłonę. Ludzie zaczęli cierpieć na oftalmię, krótkotrwa-192

łą ślepotę wywołaną nieznośnym blaskiem słońca. Skwar był

taki, że aby dotknąć skały czy lufy działa, trzeba było owijać dłonie szmatami.

Napięcie i nerwowość wznagało również to, że Bonaparte, obawiając się uderzenia Brytyjczyków z tyłu i dobrze zorganizowanej obrony egipskiej przed nami, łajał ostro oficerów za każdą zwłokę czy opóźnienie. Podczas gdy oni skupiali się na codziennych trudach marszu, jego myśli pełne były znacznie większych wizji; zapominając o kalendarzu, zastanawiał się nad miejscem pobytu brytyjskiej floty albo wybiegał wyobraźnią do spotkania z Tip-po Sahibem w dalekich Indiach. Dobroduszny i pełen serdeczności gospodarz, jakiego poznaliśmy po zwycięskiej bitwie nad rzeką, ponownie stał się gniewnym tyranem, który galopując przed frontem kolumn, ponaglał ludzi do zwiększenia szybkości marszu.

- Im szybsze tempo, tym mniejszy rozlew krwi - pouczał.

W rezultacie wszyscy generałowie byli rozsierdzeni i często klęli jeden drugiego. Żołnierzy przygnębiały trudy wędrówki i jałowość ziemi, którą mieli podbić. Wielu porzuciło ekwipunek, nie chcąc nosić nadmiernych ciężarów. Kilkunastu popełniło samobójstwo. Astiza i ja minęliśmy dwa trupy, leżące przy drodze, ponieważ nikt nie miał czasu, żeby sprawić im pochówek. Gdyby nie groźba czających się za wydmami Beduinów, wielu piechurów uciekłoby na pustynię.

Ku Kairowi płynął spowity w kłęby kurzu potok mężczyzn, koni, osłów, dział, wozów, wielbłądów, markie-tanek, obozowych dziwek i żebraków. Kiedy utrudzeni zatrzymaliśmy się wreszcie, by odpocząć wśród żyznych pól, naszą jedyną rozrywką było rzucanie kamieniami do niezliczonych szczurów. Na krawędzi pustyni ludzie strzelali do wężów i bawili się skorpionami, zmuszając je do walki przeciwko sobie.

Dowiedzieliśmy się też, że żą-

dłó skorpiona nie niesie bolesnej i natychmiastowej śmierci, czego się początkowo obawialiśmy, i że zmiądzony kolec uwalnia śluz, który łagodzi ból i przyspiesza gojenie ran.

W tym kraju nie było nigdy deszczu i rzadko pojawiały się chmury. W nocy nie rozbijaliśmy obozu, tylko każdy kładł się gdzie stał, w takim samym porządku jak podczas marszu.

Wielu natychmiast padało ofiarami pcheł i komarów. Jedliśmy zimne posiłki równie często jak ciepłe, bo niewiele było drewna na rozpalanie ognisk. Pod koniec, tuż przed świtem, noc robiła się zimna i budziliśmy się pokryci rosą, której tylko część się później ulatniała. Wkrótce na bezchmurnym niebie wstawało słońce, nieodmiennie niczym upływ czasu, i wszyscy znów prażyli się w upale. Zauważyłem podczas tego marszu, że Astiza trzyma się przy mnie, oboje jednak byliśmy tak brudni, spoceni i pozbawieni choćby odrobiny intymności, że w jej decyzji nie było nic romantycznego. Po prostu oboje szukaliśmy w nocy ciepła, a potem razem klęliśmy słońce o świcie i muchy w południe.

W Wardan całemu wojsku pozwolono na dwa dni odpoczynku. Ludzie mogli wreszcie się umyć, wyspać, poszukać żywności albo zdobyć coś na drodze wymiany.

Astiza ponownie udowodniła swoją przydatność, ponieważ rozmawiając z wieśniakami w ich języku, zdołała zdobyć nieco jedzenia. Powiodło jej się tak dobrze, że mogłem poczęstować kilku oficerów ze sztabu owocami i chlebem.

Pozwoliłem sobie na żart.

-Utrzymujecie najeźdźców, jak Żydów utrzymywała manna z nieba.

- Nie zamierzam pozwolić na to, żeby zwykli żołnierze głodowali z powodu złudzeń ich wodza - odparła. - Poza tym głodni czy nie, i tak wkrótce stąd odejdziecie.

- Nie uważasz, że Francuzi mogą pobić mameluków?

194

- Sądzę tylko, że nie pokonają pustyni. Spójrz na was...

na te wasze ciężkie mundury, rozgrzane buty i różową skórę. Czy jest wśród was choć jeden... poza waszym szalonym generałem... który nie żałuje, że go tu lichy zanio sło? Już wkrótce żołnierze sami zaczną stąd odchodzić.

Całe to jej krakanie mocno mnie irytowało. Była w końcu jeńcem, zepsutym przez moją łagodność i uprzejmość; poczułem, że najwyższy czas jej o tym przypomnieć.

- Astizo, mogliśmy cię zabić w Aleksandrii, bo nastawałaś na nasze życie. Zamiast tego uratowałem cię. Czy nie możemy wreszcie zacząć się zachowywać nie jak pan i sługa czy najeźdźca i Egipcjanka, ale jak przyjaciele?

- A czyją miałabym być przyjaciółką? Człowieka obcego wobec swoich towarzyszy? Miałabym

wejść w sojusz z Amerykaninem, który nie jest ani żołnierzem, ani naukowcem?

- Widziałaś mój medalion. To klucz do wszystkiego, co powinienem tu odkryć.

- Ale ty niczego nie chcesz zrozumieć. Chcesz wiedzy bez żmudnej nauki. Pieniądzy bez pracy.

- Ja to widzę jako diabelnie ciężką pracę.

- Jesteś pasożytem żerującym na obcej kulturze. Ja chcę mieć przyjaciela, który w coś wierzy. Przede wszystkim w siebie. I w rzeczy większe niż on sam.

No, tego już było za wiele!

- Jestem Amerykaninem, który wierzy w wiele rzeczy!

Powinnaś przeczytać naszą Deklarację Niepodległości! I nie ja rządę światem! Ja tylko próbuję jakoś na nim żyć.

- Nie. To, co czynią najeźdźcy, to właśnie próba rządzenia światem. Połączyła nas wojna, Monsieur Gage, a nie jest pan człowiekiem, którego nie dałoby się polubić. Ale znajomość to nie przyjaźń. Przede wszystkim musisz zdecydować, po co przybyłeś do Egiptu, co zamierzasz zrobić z tym swoim medalionem i o co ci tak naprawdę chodzi, a dopiero potem będziemy mogli zostać przyjaciółmi.

195

No, no... Pomyślałem, że jak na niewolnicę ma bardzo mało pokory i posłuszeństwa.

- Zostaniemy przyjaciółmi, kiedy pogodzisz się ze swoim losem i uznasz we mnie swojego pana!

- Czyżbym nie wykonywała wszystkich twoich poleceń?

Czy nie idę za tobą wszędzie, gdzie zechcesz pójść?

Kobiety! Nie znalazłem odpowiedzi. Tym razem spaliśmy oddzielnie, a w głowie miałem taki zamęt, że długo nie mogłem zasnąć. I bardzo dobrze się stało, bo tylko dzięki temu uniknąłem nadeptnięcia na głowę przez zbłąkanego osiołka.

20 czerwca pod wioską Omm-Dinar Napoleon otrzymał

wreszcie wieści o tym, że szykujący się do obrony Kairu mamelucy znajdują się zaledwie dwadzieścia pięć kilometrów przed nami. Obrońcy dość głupio rozdzielili swoje siły.

Główną część armii poprowadził Murad Bej i ci znaleźli się na zachodnim, naszym brzegu Nilu, ale zazdrosny o władzę Ibrahim Bej przeprowadził wielu na wschodni brzeg. Była to właśnie okazja, na którą czekał nasz generał. W dwie godziny po północy wydano rozkaz wymarszu. Oficerowie kopniakami i okrzykami natychmiast wprowadzili go w życie. Jak wielka bestia budząca się w swoim legowisku, armia francuska drgnęła, wstała i ruszyła w mroku na południe gnana nagłym

przecuciem, które rodzi w umyśle to dziwne iskrzenie, jakie obserwowałem podczas pokazu elektryczności Franklina.

Szliśmy ku wielkiej bitwie, nadchodzący dzień miał zobaczyć albo ostateczne rozbicie głównych sił mameluków, albo naszą klęskę i ucieczkę. Mimo górnolotnych pouczeń Astizy o władaniu światem czułem, że nad swoim własnym losem panują mniej więcej jak liść niesiony prądem burzliwej rzeki.

Świt wstał czerwony, a nad trzciniami Nilu podniosła się mgła. Bonaparte poganiał nas niemiłosiernie, bo pra-196

gnał rozbić mameluków, zanim połączą swoje siły albo -co byłoby nawet gorsze - rozproszą się na pustyni. Spostrzegłem, że okazuje większy niepokój niż kiedykolwiek przedtem; nie tylko dążył do bitwy, ale był jak opętany tym pragnieniem. W

pewnej chwili jeden z kapitanów wyraził łagodny sprzeciw wobec jakiejś sprawy. Odpowiedź Napoleona była jak wystrzał

z działa. Jego nastrój udzielał się żołnierzom. Czyżby naszego wodza niepokoiły myśli o wyniku zbliżającej się bitwy? Jeżeli tak, to wszyscy powinniśmy też się denerwować. Nikt z nas dobrze się nie wyspał. Widzieliśmy obłok kurzu na horyzoncie, gdzie gromadzili się mamelucy i ich piechurzy.

Powód ponurego nastroju generała poznałem na krótkim postoju przy studni w pokrytej pyłem wiosce. Przypadek zrzucił, że jeden z jego adiutantów, młody i zuchwały żołnierz nazwiskiem Jean-Andoche Junot, zeskoczył z konia, żeby się napić obok mnie.

- Wygląda na to, że generał nie może się doczekać bitwy -

zauważyłem. - Wiem, że bitwa jest nieunikniona, a na wojnie najważniejsza jest szybkość, ale budzenie wojsk w środku nocy to... barbarzyństwo.

- Niech się pan trzyma z daleka od niego - ostrzegł mnie spokojnie adiutant. - Po dzisiejszej nocy jest niebezpieczny.

- Piliście? Graliście w karty? Co się stało?

- Kilka tygodni wcześniej poprosił mnie, żebym przeprowadził dyskretne dochodzenie w sprawie pewnych nieustannie powtarzających się plotek. Ostatnio wpadło mi w ręce kilka listów, które są dowodem na to, że Józefina ma romans. Zaraz po tym, jak nadeszły wieści o pozycjach mameluków, nagle zażądał, żebym mu powiedział, czego się dowiedziałem.

- Zdradza go?

- Zakochała się w jakimś bawidamku o nazwisku Hip-polyte Charles, który jest adiutantem generała Leclerca 197

we Francji. Ta kobieta oszukuje Napoleona od dnia ślubu, ale on jest ślepy na jej niewierność, bo wariacko ją kocha. Jest też niewiarygodnie zazdrosny, a dziś w nocy wrzał z wściekłości jak wulkan.

Białem się, że mnie zastrzeli. Wyglądał na szalonego... walił się pięściami po głowie. Wiesz, panie, jak to jest, kiedy cię zdradzi ktoś, kogo kochasz dziko i beznadziejnie? Powiedział mi, że jego miłość się wyczerpała, idealizm mu przeszedł i że nie pozostało mu nic oprócz ambicji.

- Wszystko to z powodu jednej miłości? I to ma być Francuz?

- Kocha ją beznadziejnie i nienawidzi siebie z powodu tej miłości. Jest najbardziej niezależnym z ludzi, pozbawionym przyjaciół, ale to oznacza również, że jest jeńcem tej dziwki od dnia

ślubu.

Wściekły

jak

nigdy

wydał

rozkaz

natychmiastowego wymarszu i nieustannie powtarzał, że jego własne szczęście przeminęło, i dlatego jeszcze przed zachodem słońca zniszczy egipskie wojska do ostatniego człowieka.

Powiadam ci, Monsieur Gage, idziemy do bitwy prowadzeni przez generała, który szaleje z wściekłości.

To wcale nie zabrzmiało dobrze. Jeżeli człowiek spodziewa się czegoś po wodzu, to zimnej krwi. Przełknąłem ślinę.

- Nie w porę pan przyszedł do niego z tymi listami, Junot.

Porucznik ponownie wskoczył na konia.

- Nie miałem wyboru, a mój raport nie powinien go zaskoczyć. Znam go. Kiedy przyjdzie do bitwy, zapomni o wszystkim innym. Zobaczysz pan. - Skinął głową, jakby chciał upewnić samego siebie. - Rad jestem, że los nie po stawiał mnie po przeciwnej stronie.

ROZDZIAŁ 9

O drugiej po południu, podczas największego skwaru, armia francuska zaczęła formować czworoboki do bitwy określanej później jako bitwa pod Piramidami. Od nazwy pobliskiego miasteczka bardziej poprawnie byłoby ją nazwać bitwą pod Embabeh, ale w korespondencji Talmy nadały jej tę romantyczną nazwę majaczące na horyzoncie piramidy. Pola rosnących pod Imbabą melonów szybko zostały opanowane przez spragnione żołnierstwo - ludzie przed walką chcieli przynajmniej ugasić pragnienie. Jednym z moich wspomnień związanych z tą bitwą są plamy po lepkiem soku na mundurach formujących się brygad i regimentów.

Piramidy majaczyły na horyzoncie w odległości dwudziestu kilometrów, ale przyciągały wzrok doskonałą geometrią kształtów. Z tej odległości wyglądały jak wierzchołki ogromnych pryzmatów zakopanych w piasku. Ich widok podniecał wyobraźnię, tak były baśniowe i górujące nad wszystkim - największe budowle wzniesione kiedykolwiek przez człowieka. Denon rysował zaciekle, usiłując uchwycić w szkicowniku całą panoramę i drżenie powietrza na horyzoncie.

Wyobraźcie sobie wspaniałą bitewną scenerię. Lewa flanka naszych wojsk opierała się o Nil, zmarniały teraz jeszcze przed nadejściem wylewów, ale mimo wszystko majestatycznie odbijający błękit nieba. Za nami rozciągały się żyzne zielone, nawodnione pola i graniczące

199

z nimi gaje palm daktylowych, niczym wstęga rajy. Na prawo mieliśmy pofałdowane wydmy, jak zamarznęte fale żółtoburego oceanu. A daleko przed nami były piramidy, tajemnicze budowle, których wygląd sugerował, że należą do innego świata, dzieła cywilizacji, o której prawie nic nie wiedzieliśmy, a która w tych budowlach sięgnęła szczytów doskonałości. Olbrzymie piramidy! Widziałem ich masońskie ryciny,

kanciaste

i

stromie,

uwieńczone

płonącym,

wszystkowidzącym okiem. Teraz patrzyłem na prawdziwe budowle. Były bardziej przysadziste, niż myślałem, i drżały w powietrzu niczym miraż.

Dodajcie do tego dziesięć tysięcy ludzi w mundurach, ustawionych w zwarte formacje, kłębiącą się nieopodal jazdę mameluków, człapiące wielbłądy, rżące przeraźliwie osły i galopujących dziarsko francuskich oficerów, ochrypłych od wydawania rozkazów - a zrozumiecie, że trafiłem w tak egzotyczne otoczenie, iż wydało mi się przeniesione ze snu.

Talma zmieniał jedną kartkę papieru na drugą, notując w szaleńczym zapale opisanie wszystkiego naraz. Denon pomrukiwał, że musi wszystko uwiecznić, zanim rozpocznie się bitwa.

- Czekajcie. Czekajcie!

Przeciwko wojskom Napoleona stanęła lśniąca i roziskrzona blaskiem gromada ludzi, dwa- lub trzykroć liczniejsza od naszej dwudziestopięciotysięcznej armii. Nad egipskimi wojownikami unosiła się chmura kurzu. Gdyby mamelucy mieli lepszych wodzów, mogliby nas pokonać. Ale arabska armia sama głupio się rozdzieliła szeroką rzeką. Ich piechota, którą tym razem stanowili osmańscy piechurzy z Albanii, stała zbyt daleko, żeby wziąć bezpośrednio udział w bitwie. Fatalną słabością mameluków było nie tylko to, że nie ufali jedni drugim; nie ufali żadnym innym żołnierzom

osmańskim oprócz swoich. Artylerię też ustawili zbyt daleko i na naszej lewej flance. Ta

200

niekompetencja upewniła Francuzów co do wyników bitwy.

- Zobaczcie sami, jacy z nich durnie! - tłumaczyli weterani kolegom. - Oni nie mają pojęcia o wojowaniu.

Daleko na brzegu bieląca na horyzoncie kreska zabudowań samego Kairu, ćwierćmilionowego miasta naszpikowanego wieżyczkami minaretów. Czy wszyscy znajdziemy tam swoje szczęście? Czulem suchość w ustach i byłem tym wszystkim oszołomiony.

Jądrem arabskiej armii ponownie został oddział jazdy mameluków w sile dziesięciu tysięcy konnych wojowników.

Siedzieli na świetnych arabach obleczonech w lśniące rzędy, wszyscy jeźdźcy byli barwnie odziani w luźne jedwabne szaty i mieli na głowach turbany zwieńczone złotymi szyszakami i pióropuszcami z czaplich albo strusich piór. Każdy miał

wiekową szablę o wielkiej muzealnej wartości. Ich stare muszkiety były zdobione drogimi kamieniami i macicą perłową. Wszystkie te sejmitary, lance, bojowe toporki, maczugi i sztylety migotały w promieniach słońca. Dodatkowe muszkiety i pistolety mieli pozatykane za pas albo powkładane w olstra przy siodłach, a każdy z mameluków miał dwu lub trzech pieszych przybocznych dźwigających dodatkowe sztuki broni palnej i amunicję. Ci niewolnicy mieli podbiegać do panów i podawać im broń, tak żeby jeźdźcy nie musieli sami zajmować się nabijaniem. Konie wojowników tańczyły niecierpliwie i parskały jak cyrkowe rumaki; unosiły łby, niecierpliwie oczekując na szarżę. Od pięciuset lat żadna armia nie ostała się przed szarżą tej jazdy. Na brzegach egipskiej armii czaili się zamaskowani jak bandyci Beduini, którzy na swoich wielbłądach krążyli wokół jak stado wilków. Czekali, żeby rzucić się na nas i dobijać rannych, kiedy nasze czworoboki pękną pod uderzeniem arabskiej jazdy. Nasz własny wilk, Bin Sadr, polował na nich tak samo jak oni na nas. Jego obleczeni w czerń rzezimieszkowie czaili

201

się tuż za wydmami, licząc nie tylko na złupienie Bedu-inów, ale i na obdzieranie martwych mameluków, zanim dopadną ich żołnierze francuscy.

Egipcjanie zdołali umocować na grzbietach wielbłądów niewielkie karabinki. Zwierzęta ryczały przeraźliwie, prychały i tak miotały się tu i tam, nie bacząc na komendy zaniepokojonych panów, że uniemożliwiały jakiegokolwiek celowanie. Rzekę ponownie zapełniło mrowie feluk o łacińskich żaglach. Na ich pokładach kłębili się dziko wrzeszczący marynarze. I znów usłyszeliśmy wrzawę bębnow, rogów, trąbek i tamburynów, a las powiewających nad egipskimi szykami proporców, sztandarów i bander nadawał

całemu

ugrupowaniu

jarmarczno-święteczny

wygląd.

Orkiestry pułkowe Francuzów też zaczęły grać, gdy europejscy piechurzy zwierali szyki i z wprawą nabytą w wyniku wieloletnich ćwiczeń osadzali bagnety na lufach. Słońce iskrzyło się na każdym ostrzu. Na sztandarach pułkowych trzepotały wstążki oznak dawnych zwycięskich bitew. Bębny przerywanym łoskotem przekazywały komendy.

Powietrze było tak gorące, że parzyło w płuca. Woda parowała, zanim zdążyło się podnieść ją do ust. Od strony pustyni dął gorący wiatr i niebo w tamtej stronie złowrogo powlekło się brązową barwą.

Tym razem większość uczonych i artystów została przy armii - nawet Monge i Berthollet zeszli na brzeg - ale nikt nie określił, jaka ma być nasza rola w mającym się rozegrać lada moment spektaklu. Generał Dumas, który wydawał się jeszcze ogromniejszy na rosnącym gniadoszu, podjechał do naszej grupki i gromkim rykiem wydał komendę:

- Osły, uczeni i kobiety do środka! Do środka mówię, bezużyteczne dupki!

Rzadko zdarzało mi się usłyszeć miłsze uchu słowa.

Astiza, Talma i ja wspólnie z całą grupą naukowców, kobiet i bydła schroniliśmy się wewnątrz czworoboku 202

piechoty dowodzonego przez generała Louisa-Antoine'a Desaix'go. Był może najzdolniejszym żołnierzem w armii, w tym samym wieku co dwudziestodziewięcioletni Napoleon, i nawet niższy o cal od naszego niezbyt wysokiego wodza. W

odróżnieniu od innych dowódców był oddany Bonapartemu jak dobrze ułożony myśliwski pies. Mało urodziwy i okaleczony cięciem szabli był nieśmiały wobec kobiet i najlepiej się czuł, śpiąc pomiędzy kołami jakiegoś taborowego wozu. Teraz ustawił swoich ludzi w tak zwarty czworobok o bokach głębokich na dziesięć szeregów z każdej strony, że wejście do środka przypominało schronienie się w forcie o żywych murach. Nabiłem moją strzelbę i spojrzałem ku Egipcjanom ponad wspaniałą barierą ludzkich ramion, wysokich czap i gotowych do strzału muszkietów. Wewnętrzna przestrzeń czworoboku zajmowali oficerowie na koniach, spieszeni naukowcy i gadatliwe kobiety - wszyscy zdenerwowani i spoceni. Na każdym rogu czworoboku poustawiano polowe działka. Artylerzyści musieli ufać, że piechurzy osłonią ich przed natarciem arabskiej jazdy.

- Na Mojżesza i Jowisza! - mruknąłem. - Nigdy nie wi działem takiej wspaniałości. Nic dziwnego, że Bonaparte kocha wojnę.

-Wyobraź sobie, że Egipt jest twoją ojczyzną i patrzysz na te francuskie dywizje z tamtej strony - odparła Astiza spokojnie. - Wyobraź sobie, że patrzysz na najeźdźców.

- Mam nadzieję, że ta inwazja przyniesie Egiptowi lepsze czasy. - Pod wpływem impulsu ścisnąłem jej dłoń. -

Egipt jest rozpaczliwie biedny.

Ku mojemu zaskoczeniu nie odsunęła się.

- Owszem, to prawda.

Wojskowa orkiestra ponownie zagrała *Marsylianę* -
melodię, która wznagała determinację każdego żołnierza.

Zaraz potem do naszego czworoboku podjechał Napole-203

on ze swoim sztabem. Siedział na karym rumaku, miał na głowie pieróg z pióropuszem, a jego szare oczy lśniły jak dwie bryłki lodu. Wspiąłem się na *caisson* - dwukołowy powóz artyleryjski - żeby go lepiej słyszeć. Wiadomość o niewierności żony nie wywarła na nim pozornie żadnego wrażenia prócz zabarwionej wściekłości koncentracji. Teraz dramatycznie wskazał dłonią na piramidy, których geometryczną czystość zakłócało drganie powietrza, przez co wyglądały na zanurzone w wodzie.

- Żołnierze Francji! - krzyknął. - Z wierzchołka tych budowli spogląda na was czterdzieści wieków historii!

Odpowiedział mu ryk entuzjazmu. Choć pomiędzy jedną i drugą bitwą wielu piechurów narzekało na Bona-partego, w walce lgnęli do niego jak zakochani. Znał ich, wiedział, co myślą, czego pragną i co im doskwiera; potrafił ich też skłonić do nieprawdopodobnych wyczynów za kawałek wstążki, napomknięcie o zwolnieniu do rezerwy czy obietnicę awansu do elitarnej gwardii.

Zaraz po tych słowach Napoleon nachylił się do De-saix'go i znacznie ciszej wypowiedział słowa usłyszane przez niektórych z nas, ale nie przeznaczone dla żołnierzy.

- Nie dawać pardonu.

Murad Bej, który ponownie stanął na czele zgrupowanej przed nami egipskiej armii, ujrzał, że Napoleon zamierza uderzyć czworobokami na wprost, a potem, przełamawszy środek arabskich szyków, rozdzielić i rozproszyć jego wojska.

Egipski władca nie miał pojęcia o europejskiej taktyce, za to dość rozumu, żeby uprzedzić atak Francuzów. Uniósł włócznię i jazda mameluków wydających dzikie, przeciągłe okrzyki ruszyła do szarży. Tych niewolniczych wojowników od wieków nikt nie pokonał; panujący nad Egiptem po prostu nie mogli uwierzyć, że technika może położyć kres ich panowaniu.

Był to atak zamierzony na znacznie większą skalę niż jakikolwiek przedtem - gna-204

ło na nas tyle koni, że czułem drżenie ziemi pod kołami wozu, na który się wdrapałem.

Nasi piechurzy czekali dość spokojnie, wiedząc, że mamelucy nie mają artylerii; nie potrafili też strzelać celnie i miarowo, co mogłoby im zapewnić zwycięstwo nad formacjami Francuzów. A jednak natarcie nieprzyjaciół

spadało na nas jak lawina. Wszyscy zamarliśmy w oczekiwaniu i każdy zebrał się w sobie. Ziemia drżała, a kłęby kurzu lecącego z nimi na wysokości końskich piersi przypominały morski przybój, nad którym jak kłosa rozkołysanej pszenicy błyszczały ostrza włóczni, lanc i lufy muszkietów.

Poddawszy się nieco lekkomyślnemu impulsowi, stałem oszołomiony na moim wozie i ponad głowami piechurów patrzyłem na falujące, gnające ku nam szyki Arabów. Astiza i Talma spoglądali na mnie jak na wariata, ale choć jeszcze nie widziałem broni mameluków, czułem, że na razie jestem poza ich zasięgiem. Uniósłszy strzelbę, czekałem wpatrzony w łopoczące nieprzyjacielskie sztandary.

Zbliżali się coraz bardziej, a łoskot szarży narastał. Mamelucy wydawali wysokie, wibrujące okrzyki, co Francuzi kwitowali kamiennym milczeniem. Jazda pożerała dzielącą nas przestrzeń. Kiedy otworzymy ogień? Przysięgłbym, że widzę już błyski wytrzeszczonych oczu kaukaskich wojowników, wyszczerzone zęby i nabrzmiałe żyły na ich dłoniach.

Zacząłem się niecierpliwić. W końcu zupełnie nieświadomie ściągnąłem spust, poczułem kopnięcie kolby i jeden z nieprzyjacielskich wojowników runął pod końskie kopyta.

Mój wystrzał był jakby hasłem do otwarcia ognia. De-saix okrzykiem wydał rozkaz i przed frontem francuskich szyków rozkwitła ściana ognia. Natychmiast ogłuchłem, a atakującą nas jazdę zatrzymał wał porozrywanych ciał, rżących przeraźliwie okaleczonych koni i walących na oślep kopyt. Nad nami przepłynęła fala dymu i kurzu.

205

Zaraz potem zagrzmiała salwa szeregów z tyłu, a potem następna i jeszcze jedna. Huknęły polowe działka i szeregi nieprzyjaciół smagnęły kosy szrapneli. Na wrogów runęła lawina żelaza i ołowiu. Nawet mamelucy, którzy nie zostali trafieni, miotali się bezładnie, wpadając na konie zabitych towarzyszy. W jednej chwili gnali na nas świetni jeźdźcy w pełnej furii szarży, a w następnej zobaczyliśmy, że przed nami w odległości kilku metrów od francuskich bagnatów kotłuje się kłębówisko koni i ludzi. Dotarli tak blisko, że niektórych leżących osmaliły ognie dobywające się z luf karabinów. Po ubraniach rannych i martwych pełgały nikłe płomyki.

Ponownie naładowałem broń i strzeliłem, choć nie mogłem określić, z jakim skutkiem.

Ci z wrogów, którzy przeżyli, wycofali się do prze-grupowania, a napoleońscy żołnierze ze stoickim spokojem przeładowali broń; zrobili to niemal mechanicznie, z wprawą wynikającą z setki razy powtarzanych ćwiczeń. Kilku Francuzów padło ofiarą nieprzyjacielskiego ostrzału i tych natychmiast odciągnięto w głąb formacji, podczas gdy pozostali zwierali szyki poganiani przez sierżantów walących kijami opieszających. Przypominało to morskiego, niepodatnego na rany potwora, któremu odrasta macka.

Mamelucy uderzyli ponownie - tym razem próbując się przebić przez skrzydła i tyły naszego

czworoboku.

Rezultat był taki sam jak przedtem. Konie nadbiegły pod kątem i kilkanaście dotarło dość blisko, ale nawet i te, których nie ugodziły kule, cofnęły się przed ścianą bagnatów, zrzucając na nią kilku dziko wrzeszczących jeźdźców. Piękne jedwabie i płótna zakwitły czerwonymi plamami, gdy w Arabów godziły ciężkie ołowiane kule - tym razem skrzydła sąsiednich czworoboków otworzyły ogień, gdy jeźdźcy przelatywali pomiędzy nimi. Atak ponownie zamienił się w beładnie miotającą się zbieraninę ludzi i koni. Napastników ogarniała coraz większa desperacja. Niektórzy zatrzymywali się i strzelali do nas z muszkie-206

tów i pistoletów, ogień ten jednak był zbyt rzadki i niecelny, żeby mógł naruszyć zwartość europejskich szyków. Kilku z naszych piechurów z jękiem bólu zważyło się na ziemię. Zaraz potem zagrzmiała kolejna salwa i natrętów zmiotło z siodeł.

Wkrótce otoczył nas pierścień rannych i konających - leżał

przed nami kwiat wojskowej elity Egiptu. Ta rzeź usunęła w cień poprzednie.

Choć arabskie kule co chwila gwizdały mi nad głową, czułem się niepodatny na chaos i zniszczenie. Cała sceneria miała pewne elementy nierealności: odległe, ogromne piramidy, szkliste od niesamowitego upału powietrze i ko-

łyszące się w powiewach wiatru palmy, od których zbłąkane kule odrywały wiązki liści; ich fragmenty spływały na ziemię niczym pęki piór. Spod kopyt mameluckich rumaków ku białemu niebu wzbijały się wielkie kłębia-ste chmury pyłu, gdy jeźdźcy galopowali tam i z powrotem, szukając słabszych miejsc we francuskich szykach. Egipska piechota tkwiła na swoich pozycjach jak wkopana w ziemię, z fatalistycznym spokojem czekając na wyrok losu. Obawiający się buntu mamelucy doprowadzili do zaniku ducha bojowego niższych warstw swojego narodu.

Zerknąłem ku zachodowi. Całe niebo pociemniało, a słońce stało się pomarańczową kulą. Deszcz? Nie, dość szybko sobie uświadomiłem, że to chmury piasku. Horyzont zasnuł się mrokiem zwiastującym nadciąganie burzy piaskowej.

Nikt chyba poza mną nie zwrócił na to uwagi. Z desperacką odwagą, której u nich nikt nie kwestionował, mamelucy ponownie sformowali szyki, wzięli od sług nabite strzelby i pistolety i zaatakowali jeszcze raz. Tym razem natarli z furią wyłącznie na nasz czworobok. Nasi oddali salwę, szeregi jeźdźców ponownie runęły na ziemię, ale ich szyk był zbyt głęboki i gnający z tyłu, poprzeskaki-wawszy nad ciałami towarzyszy, dopadli nas, zanim pie-207

churzy zdążyli przeładować broń. Arabowie z determinacją skierowali konie na francuskie bagnety.

Wyglądało to tak, jakby w nasze szyki wdarł się okręt.

Czworobok ugiął się pod naporem jazdy, bo martwe konie samym ciężarem przesunęły szeregi w tył. Niektórzy wpadli w panikę. Inni kopnęli się z głębi bocznych rzędów, żeby wzmocnić front, zanim ten pęknie. Zaczęła się dzika łomotanina mameluckich szabel i włóczni o francuskie bagnety i kolby

muszkietów. Wciąż stojąc na jaszczu, strzeliłem wprost w morze nieprzyjaciół. Nie wiem, w kogo lub w co trafiłem.

Nagle przez szeregi walczących jak wystrzelony z działa przedarł się jakiś ogromny wojownik na koniu. Wierzchowiec broczył krwią, a turban mameluka był niemal czerwony, a jednak jeździec walczył jak szaleniec. Piechurzy skoczyli na niego ze wszystkich stron, ale jego sejmitar ciął lufy jak żdźbła traw. Oszałałe zwierzę wierzgało i kopało, kręcąc się w kółko niczym derwisz, a jeźdźca chyba chronił przed kulami jakiś czar. Naukowcy z wrzaskiem rozbiegli się w panice, unikając młócących wściekle kopyt. Najgorsze ze wszystkiego było to, że jeździec patrzył wciąż na mnie.

Wymierzyłem, ale zanim zdążyłem strzelić, rumak wpadł

na mój *caisson* i runął na ziemię. Upadek był ciężki, straciłem dech, a łyskający szalonymi oczami arab tratował

wszystko kopytami. Jego pan zawział się chyba na mnie, ignorując setki otaczających go nieprzyjaciół, jakby postanowił

unicestwić osobistego wroga.

I nagle rozległ się dziki okrzyk, koń zarżał przeraźliwie i padł. Zobaczyłem, że Talma porwał jakąś włócznię i pchnął

zwierzę w zad. Jeździec spadł z siodła równie ciężko jak ja i na chwilę go ogłuszyło. Zanim zdążył pozbierać myśli, Astiza wydała dziki okrzyk i wspólnie z Talmą pchnęli na niego ciężki jaszcz. Koła unieruchomiły okaleczone zwierzę, a fanatyczny jeździec został uwięziony

208

pomiędzy siodłem i osią wozu. Mameluk miał bycze bary i szarpał się jak zwierzę, ale niewiele mógł wskórać. Pod-pełzłem do niego i uniosłem się, przytykając tomahawk do jego gardła. Na nas obu zwała się Astiza, krzycząc coś po arabsku. Jej okrzyk zdołał wreszcie przemówić do szaleńca, a może zdumiał się, rozpoznawszy płęć nowego napastnika, bo znieruchomiał. Nagle osłabiony i pozbawiony sił opadł na ziemię.

- Każ mu się poddać! - wrzasnąłem do Astizy.

Krzyknęła coś i mameluk kiwnął z rezygnacją głową i opuścił ją na piasek. Wziąłem pierwszego jeńca! Było to niespodziewanie oszałamiające uczucie, znacznie przyjemniejsze niż to, jakie towarzyszy wygranej w karty. Na Jowisza, zacząłem pojmować entuzjazm żołnierzy! Zagrozenie śmiercią sprawia, że życie smakuje jak najlepsze wino.

Rozbroiwszy szybko Araba, wziąłem pistolet od jakiegoś oficera, by zakończyć cierpienia okaleczonego konia.

Zobaczyłem, że w głąb czworoboku wdziera się jeszcze kilku innych jeźdźców, wszystkich jednak otoczyli piechurzy i zwalili ich z koni. Wyjątkiem był śmiałek, który zarażał dwu ludzi, sam dostał

kulę, a potem na swoim koniu zdołał

przeskoczyć zmieszane szeregi i odjechał, wydając dzikie tryumfalne okrzyki. Te czorty były niebywale odważne.

Napoleon stwierdził później, że z garścią tych zuchwalców podbiłby świat. W przyszłości miał z mameluków stworzyć oddział swojej przybocznej gwardii.

Tak czy owak, ucieczka tego śmiałka była wyjątkiem, większość nieprzyjaciół nie zdołała się przedrzeć przez ściany bagnatów. W końcu rozpaczliwy atak się załamał i mamelucy się cofnęli, ścigani wystrzałami francuskich kartaczy, które niemiłosiernie kosiły szeregi jeźdźców. Mimo odwagi Egipcjan bitwa była masakrą. Europejczycy stracili kilkudziesięciu ludzi, ale mamelucy padali tysiącami. Jak okiem sięgnąć widziało się ich ciała.

209

- Przeszukaj go - zwróciła się do mnie Astiza, gdy oboje usiedliśmy przy naszym jeńcu. - Oni zabierają do bitwy całe swoje bogactwo, żeby przepadło, gdy zginą.

W rzeczy samej mój jeńiec okazał się nie lada skarbem.

Miał kaszmirowy turban, a gdy mu go zdjąłem, zobaczyłem czapkę z wszytymi w nią złotymi płytkami tworzącymi złoty hełm. Jeszcze więcej złota zawierał jego tkany pas, pistolety były wykładane macicą perłową i ozdobione klejnocikami, a jego sejmitar miał czarną damasceńską klingę i wykładaną złotem rękojeść z rogu nosorożca. W ciągu kilku sekund stałem się bogaczem, podobnie zresztą jak większość francuskich żołnierzy. Nieco później oceniono, że z każdego mameluka można było złupić przeciętnie piętnaście tysięcy franków w złocie. Ludzie bezlitośnie łupili trupy.

- Mój Boże, kimże on jest? - zapytałem.

Astiza chwyciła jeńca za rękę, obróciła ją, by zerknąć na pierścienie, i znieruchomiała.

- Syn Horusa - mruknęła.

Na jego palcu widniał ten sam symbol, jaki miała na swoim amulecie. Nie był to znak wyznawców islamu. Jeńiec szybkim ruchem cofnął dłoń.

- To nie dla ciebie - warknął po angielsku.

- Znasz mój język? - zapytałem zaskoczony.

- Miałem do czynienia z europejskimi kupcami. I słyszałem o tobie, Angliku w zielonym płaszczu. Co Brytyjczyk robi wśród Francuzów?

- Jestem Amerykaninem. Antoine jest Francuzem, a Astiza pół-Greczynką, pół-Egipcjanką.

Przez chwilę trawił to wszystko.

- A ja jestem mamelukiem. - Leżąc na plecach, spojrział w niebo. - Wojna i przeznaczenie sprawiły, żeśmy się spotkali.

- Jakie jest twoje imię?

- Jestem Aszraf el-Din, oficer Murad Beja.

210

- A co znaczy „syn Horusa”? - zapytałem Astizę.

- Wyznawca starych bogów. Ten człowiek nie jest ty-powym mamelukiem z Kaukazu. Jesteś jednym z dawnych mieszkańców tego kraju, prawda? - zwróciła się do jeńca.

- W moich żyłach płyną wody Nilu. Jestem spadkobiercą Ptolemeuszy. Ale w szeregi mameluków przyjął mnie sam Murad Bej i jemu złożyłem przysięgę wierności.

- Ptolemeusze? - zapytałem. - Masz na myśli ród Kleopatry?

-1 wodzów Aleksandra i Cezara - odpowiedział z dumą w głosie.

- Mamelucy gardzą Egipcjanami, którzy są ich podda nymi - wyjaśniła Astiza - ale niekiedy werbują członków dawnych wielkich rodów.

Wszystko to wydało mi się zdumiewającym zbiegiem przypadków. Atakuje mnie wyjątkowy mameluk, który klnie się na pogańskiego boga i mówi po angielsku?

-

Czy mogę ci zaufać, jeżeli pozwolimy ci wstać?

-Jestem twoim jeńcem, pokonanym w uczciwej walce - stwierdził Aszraf. - Zdam się na twoją łaskę.

Pozwoliłem mu wstać. Zachwiał się, ale utrzymał na nogach.

- Trudno wymówić twoje imię - stwierdziłem. - Będę ci mówił Asz.

- Usłyszeć, znaczy usłuchać.

Sprzyjający mi jak dotąd los mógł odwrócić ode mnie swą twarz, gdybym nie zdołał zadowolić kolegów, pojmując znaczenie medalionu. Astiza ze swoim znakiem Horusa coś niecoś mi wyjaśniła, ale może ten czort też zdołałby rzucić trochę światła na tę zagadkę? Podczas gdy pułki wiwatowały i wszyscy patrzyli na bitwę, wyjąłem medalion spod koszuli i pokazałem Arabowi. Talma skwitował to zdumionym spojrzeniem.

- Synu Horusa, jestem kimś więcej niż wojownikiem -

powiedziałem. - Przybyłem do Egiptu, żeby zrozumieć, co to jest i do czego służy. Poznajesz ten medalion? Zamrugał.

- Nie. Ale znam kogoś, kto mógłby wiedzieć.

- Kogoś, kto zna egipskich bogów i historię?

Arab spojrział na Astizę. Dziewczyna skinęła głową i przez chwilę oboje rozmawiali po arabsku. W końcu zwróciła się do mnie:

- Ethanie Gage, za twoim cieniem podążają bogowie, o których nic nie wiesz. Pojmałeś wojownika, który twierdzi, że wie o człowieku znanym mi tylko ze słyszenia. Ten człowiek nosi imię dawno już zapomniane.

- Jakie?

- To mędrzec Enoch, znany też jako Hermes Trismegistos, Hermes po trzykroć wielki, skryba bogów, mistrz sztuk i nauk.

- No, no... - Enoch był też, zgodnie z przekazem Sta rego Testamentu, ojcem Matuzalema. Długowieczna kom pania. Masońska pamięć podsuwała mi też tytuł Księgi Enocha, która miała być źródłem mądrości starożytnych.

Podobno przepadła przed kilkoma tysiącami lat. Zmie rzyłem wzrokiem mojego wciąż jeszcze broczącego krwią jeńca. - On zna tego mędrca?

Dziewczyna skinęła głową, gdy jeniec gapił się na mój medalion.

- Enoch - powiedziała - jest jego bratem.

Niespodziewanie ruszyliśmy do natarcia. Czworoboki przeformowały się w kolumny i dosłownie po łąkach trupów ruszyliśmy na egipskie fortyfikacje pod Imbabą. Związałem Aszowi ręce za plecami jego własnym pasem ze złotogłowiu i zdjąłem mu turban. Miał dokładnie ogolony łeb, poza małym kosmykiem włosów na czubku głowy, zostawionym po to, by prorok Mahomet mógł rozpoznać po nim wydających ostatnie tchnienie swoich

wojowników i za ten kosmyk wciągać ich do raju. Jego czapę ze złotych monet zatknąłem sobie za pas, a Asti-za niosła bajeczny miecz. Czułem się nieswojo, zostawiając mojemu jeńcowi odsłoniętą głowę na takim upale, ale moje poczucie winy łagodziło to, że promienie słońca z coraz większym trudem przebijały się przez powietrze pełne kurzu. Choć była dopiero czwarta po południu, dzień letniego przesilenia robił

się coraz bardziej mroczny.

Przedzierając się przez bitewne pole, coraz wyraźniej widziałem skutki bitwy. Podczas gdy na nasz czworobok i drugi, dowodzony przez Jeana Louisa Reyniera, zwała się cała siła uderzenia mameluków, pozostałe już wcześniej ruszyły naprzód. Jeden przełamał szyk Egipcjan nieopodal Nilu i zaczął szarpać tyły egipskiej piechoty ogniem z dział.

Dwa inne natarły wprost na Imbabę, żeby zdobyć ustawione tam baterie egipskich dział. Resztki jazdy mameluków się rozdzieliły - jedni poszukali schronienia wśród miejskich umocnień, a inni, pod wodzą Murad Beja, zostali zepchnięci na zachód, w objęcia pustyni. Ta ostatnia grupa poszła w rozsypkę. Bitwa przeistoczyła się w pogrom, a pogrom w rzeź.

Francuzi zdobyli okopy pod Imbabą pierwszym zajadłym atakiem, rozbijając w puch albańskich piechurów. Rzucającym się do ucieczki osmańskim wojownikom strzelano w plecy lub spychano ich do Nilu. Gdziekolwiek tylko Francuzi przestawali strzelać, natychmiast podcinał ich niczym bat rozkaz samego dowódcy. Napoleon wpadł w zimną furję. W tym całym zamieszaniu ponad tysiąc mameluków ugrzęzło w szeregach własnej piechoty i wespół z nią zostało zepchniętych do rzeki, gdzie szybko poszli na dno obciążeni osobistymi bogactwami.

Ci, którzy próbowali bronić się na brzegu, byli bezlitośnie zabijani. W tej bitwie dały o sobie znać najbardziej prymitywne ludzkie instynkty. Niektórzy Francuzi wychodzili z za-213

wieruchy tak skrwawieni, iż wyglądali, jakby się skąпали w beczce z winem.

Obok nas przemknął galopem nasz generał. Oczy płonęły mu z podniecenia.

- Teraz! Wdeptajcie ich w ziemię, w przeciwnym razie później drogo zapłacimy za naszą litość!

Minąwszy Imbabę, ruszyliśmy szybkim marszem dalej, aż w końcu znaleźliśmy się pomiędzy piramidami a Kairem -

miastem baśniowych kopuł i minaretów na drugim brzegu rzeki. Nietknięta jeszcze połowa armii mameluków podążała równoległe z nami na drugim brzegu, miotając na nas obelgi i przekleństwa, jakby te mogły nam narobić większych szkód niż kule. Jedni nie mogli dosięgnąć drugich. Potem, gdy dotarliśmy do flotylli feluk przycumowanych do kairskich nabrzeży i pomostów, najdzielniejsi z mameluków spróbowali się przedostać przez rzekę, żeby nas zaatakować.

Było już jednak za późno. Imbaba zamieniła się w stosy zgliszcz. Murad Bej uciekł na pustynię. Prowizoryczna armada mameluckich łodzi płynęła ku brzegowi obsadzonemu przez francuską piechotę i ta szarża była jeszcze bardziej bezowocna niż atak kawalerii. Mamelucy nadziali się na nawałnicę ołowiu i ognia. Co gorsza, pole bitwy zasnuwały coraz gęstsze chmury piasku, jakby sam bóg -Allah czy Horus - postanowił

zakończyć bitwę. Łodzie szły na dno kłասane kłami wichury.

Burza niczym ściana zasłoniła całą zachodnią połąć nieba.

Światło zrobiło się tak nikłe jak podczas zaćmienia słońca.

Niebo na zachodzie powlekła czerń nadciągającej nawałnicy, a potężne piramidy, oszałamiające wielkością i prostotą kształtów, zniknęły w brązowej mgle. W tej burzy zginęli Ibrahim Bej i jego najdzielniejsi wojownicy, a przeładowane łodzie odpływały coraz dalej i dalej, gnane podmuchami wzmagającego się wiatru. Nil pokryły białe grzywy pianistych bałwanów, a długie szeregi fran-

214
cuskich piechurów z trudem opierały się dmącej im w plecy wichurze. A jednak strzelali, miarowo oddając salwę za salwą.

Egipcjanie wrzeszczeli przeraźliwie i z jękiem walili się w fale.

Front burzy wznosił się coraz wyżej. Teraz już nie mogłem zobaczyć uciekających Arabów na zachodnim brzegu ani piramid - zniknął mi z oczu nawet Napoleon ze swoim sztabem. Tak mógłby wyglądać koniec świata.

- Padnij! - wrzasnął Aszraf.

Astiza, on, Talma i ja sam skuliliśmy się razem, zasłaniając płótnem usta i nosy.

Wyjący dziko wiatr uderzył w nas z całą mocą, a potem zaczęły nas ciąć ziarnka piasku, zjadłe jak osy. Dostało się i Francuzom, którzy kulili się zwróceniem plecami do burzy, ale mamelukom dęło w gęby - a stali na pokładach chwiejnych łodzi. Wszystko wokół powlekło się czerwienią. Wiatr pochłonał wszelkie inne dźwięki. Bitwa została wstrzymana.

Nasza czwórka trzymała się razem, każdy modlił się do swego boga, przypomniawszy sobie wreszcie, że były moce znacznie nas przewyższające. I nagle, równie szybko jak się zaczęła, burza zdechła, wycie wiatru ucichło, a z nieba zaczęły opadać chmury piasku.

Tysiące roztrzęsionych francuskich żołnierzy zaczęło się niepewnie dźwigać ze swoich grobów w piasku, niczym pokryci brązem zmartwychwstańcy. Wszyscy byli przytłoczeni ogromem zjawiska, przerażeni i pozbawieni tchu. Nad naszymi głowami niebo się przejaśniło. Na zachodzie słońce było czerwone jak rozdarte serce.

Spojrzeliliśmy na rzekę i Kair. Łodzie pokrywające do niedawna Nil zmiotło gdzieś. Wszyscy mamelucy usiłujący nas dopaść z wody potopili się albo zniosło ich na wschodni brzeg.

Każda łódź została wywrócona do góry dnem. Słyszeliśmy wrzaski tych, co przeżyli to piekło:

- Oto jesteśmy niewolnikami Francuzów! - tłumaczyła Astiza.

215

Uciekli do miasta, skąd pozabierali żony i co cenniejsze przedmioty, a potem rozplłynęli się w gęstniejącym wciąż mroku. Dziwna, nienaturalna burza unicestwiła jedną grupę zdobywców Egiptu, żeby umocnić panowanie innej. Wiatr zatarł przeszłość, zwiastując dziwną europejską przyszłość.

W porcie błysnęły płomienie, gdy kilka ostatnich feluk zajęło się ogniem. Niektórzy straceńcy liczyli widać na to, że opóźnią Francuzom przebycie Nilu; płonne nadzieje, ponieważ stateczki najeźdźców

kursowały już swobodnie w górę i w dół

rzeki. Płonące feluki oświetlały w nocy miasto, które mieliśmy zająć; wyglądały jak lampiony, migotliwymi ognikami podkreślając uroki fantastycznej mauretańskiej architektury.

Francuscy żołnierze, który wyszli zwycięsko z bitwy i burzy, tryumfowali, wyczerpani i brudni jak nieszczęście.

Zebrali się nad Nilem, żeby się umyć, a potem rozpełzli po melonowych polach, żeby coś zjeść i przeczyścić muszkiety.

Wszędzie leżały stosy arabskich trupów, porozbie-ranych do naga przez żądnych łupu zwycięzców. Straty Francuzów wyniosły kilkudziesięciu zabitych i około dwu setek rannych; Arabowie swoje 1. czyli w tysiące. Zwykli francuscy żołnierze niesłychanie się wzbogacili na łupach. Zwycięstwo Napoleona było całkowite, armia pozostała mu oddana, a podjęte ryzyko przyniosło mu wygraną.

Jeździł teraz pośród żołnierzy niczym zwycięski lew, odbierał ich wiwaty i chwalił ich w zamian. Wszelkie niezadowolenia i niesnaski ostatnich dni utonęły w radości zwycięstwa. Poranna furia Napoleona ulotniła się gdzieś lub rozładowała podczas dnia, a zranioną dumę zdradzonego męża zastąpiła pycha zwycięzcy. Bitwa była tak bezlitosna, że gdybym nie był jej uczestnikiem, nie umiałbym jej sobie wyobrazić - i wyczerpała wszystkie emocje. Józefina nigdy nie miała się dowiedzieć, jaką rzeź spowodowała swoimi łózkowymi igraszkami.

216

Generał odnalazł mnie pod wieczór. Nie wiem dokładnie, kiedy to było - szok po tak krwawej bitwie i potężnej burzy zaćmił nieco moje poczucie czasu - i jak to się stało. A jednak jego adiutant przyszedł, szukając właśnie mnie, i z przerażającą jasnością pojąłem, czego chce wódz. Bonaparte nigdy nie tracił czasu na jałowe rozmyślenia; zawsze zastanawiał się już nad następnym krokiem.

- Więc cóż, Monsieur Gage - odezwał się do mnie, sto jąc w mroku. - Powiedziano mi, że pojmałeś mameluka.

Jakim sposobem dowiedział się tak szybko?

- Wydaje mi się, generale, że zawdzięczam to przypad kowi.

- Zawsze trafiasz jakoś tam, gdzie coś się dzieje.

Wzruszyłem skromnie ramionami.

- A jednak jestem naukowcem, nie żołnierzem.

- I właśnie dlatego kazałem cię odszukać, Gage. Wyzwoliłem Egipt, a jutro zajmę Kair. Pierwszy etap mojego podboju Wschodu dobiega końca. Drugi zależy od ciebie.

- Ode mnie, generale?

- Bo ty masz rozsunąć zasłony tajemnicy i odkryć sekrety zawarte w tych piramidach. Jeżeli są w nich jakieś tajemnice, ty je odkryjesz. Jeżeli są w nich jakieś moce, ty mi je dasz. W

rezultacie nasze armie staną się niezwyciężone. Pójdziemy na Wschód, gdzie połączywszy swe siły z oddziałami Tippto Sahiba, wyprzemy z Indii Brytyjczyków i przypieczętujemy zgubę Anglii. Nasze dwie rewolucje, francuska i amerykańska, odmienia postać świata.

Niełatwo przesadzić w opisie efektu, jaki to wezwanie wywarło na zwykłym w końcu człowieku. I to nie dlatego, że cokolwiek mnie obchodziła Anglia, Francja, Indie czy próba zmiany oblicza świata. Ale ten niewysoki, charyzmatyczny człowiek pełen wewnętrznego ognia i olśniewających wizji zaprosił mnie do partnerstwa w czymś większym ode mnie.

Czekałem na odpowiednią chwilę, żeby rozpocząć nowe życie, i oto nadeszła. Rzeź, jakiej

217

byłem świadkiem, i niezwykle zjawisko w przyrodzie nabrały symbolicznego znaczenia i wydały mi się przepowiedniami przyszłej wielkości; oto człowiek, który zmienia wszystko wokół siebie, na lepsze lub gorsze, niczym bóg. Nie myśląc o konsekwencjach, podniecony ogromem pochlebstwa ukłoniłem się lekko, oddając honor wodzowi i jego wizji.

Potem, wciąż jeszcze ze ściśniętym gardłem, odprowadzając wzrokiem dumnie kroczącego Napoleona, przypomniałem sobie opis francuskiej rewolucji autorstwa Sid-neya Smitha.

Pomyślałem o stosach zabitych, o biadaniach Egipcjan i niezadowolonych pomrukach tęskniących za domami żołnierzy, z których każdy czekał na swoje sześć akrów.

Pomyślałem o pospiesznie przeprowadzanych badaniach naukowców, planach europejskich reform dla Egiptu i nadziejach Napoleona na morderczy marsz śladami Aleksandra Wielkiego ku dalekim Indiom.

Pomyślałem o wiszącym na mojej szyi medalionie i o tym, jak żądza władzy zawsze niszczy zwykłe, proste szczęście.

Astiza pochyliła się ku mnie.

- Teraz musisz podjąć decyzje, w co tak naprawdę wierzysz i na czym ci zależy - szepnęła.

ROZDZIAŁ 10

Dom noszącego dziwne imię brata Aszrafa znajdował się w jednej z najbardziej szacownych dzielnic Kairu, co oznaczało, że w okolicy było nieco mniej kurzu, demonstrujących swoje choroby żebraków, szczurów, smrodu i złodziejów niż gdzie indziej. Podobnie jak w Aleksandrii, wspaniałości Wschodu blakły w stolicy, w której nikt nie troszczył się o czystość, usuwanie śmieci, oświetlenie ulic, kierowanie ruchem lub odławianie band dzikich hulających po okolicy psów.

Oczywiście to samo mógłbym rzec o Paryżu. A jednak, gdyby Egipcjanie wyszkolili swoje psy

zamiast kawalerii, nasz podbój nie byłby wcale taki łatwy. Każdego dnia wściekli żołnierze zakłuwali bagnetami lub zabijali strzałami z muszkietów setki kundli. Na morale psiej populacji robiło to mniej więcej takie wrażenie, jak zabicie pojedynczego komara odstrasza inne komary.

Lecz podobnie jak w Aleksandrii czy Paryżu, na każdym kroku zbytek mieszał się tu z ubóstwem i nędzą. Ma-melucy byli mistrzami w wyciskaniu podatków z udręczonych fellachów i wydawaniu pieniędzy na swoje przyjemności. Ich pałace oszałamiały arabskim wdziękiem i lekkością, jakich brakowało cięższym budowlom Europy czy Ameryki.

Niepozorne z zewnątrz ich lepsze domy miały alejki ocieniane przez drzewka pomarańczowe, granatowe, figowe i palmy pod wdzięcznymi mauretańskimi łukami wiodące na placyki wykładane wzorzystymi płytkami, z których wzniesiono też fontanny, i chłodne

219

komnaty pełne kobierców, poduszek, kanap, rzeźbionych półek z książkami, pięknych sklepień, a także stołów wykładanych rzeźbioną miedzią i brązem. W niektórych balkony i okna od zakurzonych uliczek odgradzały kraty *maszrabija* równie starannie rzeźbione jak kraty w oknach szwajcarskich zameczków i dające taką dyskrecję jak parawany. Bonaparte zajął dla siebie niedawno odnowiony marmurowo-granitowy pałac Mohammeda Beja el-El-fi pyszniący się łaźniami na każdym piętrze i szklanymi oknami. Akademików Napoleona umieszczono w pałacu innego beja, Kassima, który uciekł do Górnego Egiptu. W jego haremie pomysłowy Conte założył

swój warsztat, a w ogrodach uczeni stworzyli miejsca dysput.

Meczety muzułmanów były jeszcze piękniejsze, ich strzeliste minarety i kopuły mogły stawać w szranki z najbardziej znanymi gotyckimi katedrami Europy. Markizy nad targowiskami przypominały pasma tęczy, a z balustrad balkonów zwieszały się piękne kobierce niczym kwietne ogrody. Na każdym kroku porażały nas kontrasty Egiptu - bogactwo i nędza, upały i cień, smród i wonne zapachy, szara glina i kolory, suszone cegły z błota i lśniąca glazura.

Zwykli żołnierze znajdowali kwatery w domach o znacznie mniejszym luksusie; były to ciemne, średniowieczne nory bez wygod. Wielu głośno utrzymywało, że miasto jest jednym pasmem rozczarowań; skarżyli się na wrogie nastawienie miejscowej ludności, niezwykle dokuczliwe upały i kiepską, wywracającą żołądek na nice żywność. Narzekali, że podbili kraj, w którym nie było wina, chleba ani łatwo dostępnych kobiet. Skargi te cichły, w miarę jak upały chylącego się ku końcowi lata stawały się coraz mniej dokuczliwe, a niektóre z kobiet zaczęły się dogadywać ze zdobywcami. Po jakimś czasie żołnierze zaczęli nawet niechętnie przyznawać, że *aish* lub płaskie placki chlebowe są znośnym substytutem europejskiego chleba. Wzrastała jednak liczba zachorowań na dręczącą wojsko od czasu

220

łądowania dyzenterię, która zadawała armii większe straty niż nieprzyjacielskie kule. Brak alkoholu wywoływał tak groźne pomruki, że Napoleon polecił pędzić trunek z bardzo tu obfitych daktyłów. Podczas gdy oficerowie zamierzali zakładać winnice, ich podwładni szybko odkryli muzułmański

narkotyki zwany haszyszem, który Arabowie zwijali w miodowe kulki i dodawali do nich opium. Popijanie tego wywaru lub palenie nasion stało się dość powszechną praktyką i podczas okupacji Egiptu armia nie umiała sobie z tym poradzić ani opanować tego zjawiska. Generał wkroczył do miasta przez bramę główną na czele regimentu, pod rozwianym sztandarem i przy dźwiękach marsza wojskowej orkiestry. Za radą Aszrafa Astiza, Talma i ja weszliśmy przez mniejszą bramę i zagłębiliśmy się w ciągnący się za bazarem labirynt zalanych promieniami bezlitosnego słońca krętych uliczek, które w dwa dni po bitwie się wyludniły. Musieliśmy ustępować obwieszonym koszami osłom, które wciskały nas w boczne bramy. Nawet tu, w sercu Kairu, słychać było wiejskie odgłosy i szczekanie psów, parskanie wielbłądów, pianie kogutów i brzmienie w moich uszach jak jęki parzących się kotów modlitewne nawoływania muezzinów. Sklepy wyglądały jak stajnie, a pomniejsze kramy jak ciemne pieczary, przed którymi siedzieli w błękitnych galabijach niewzruszeni przekupnie palący wodne fajki *sheesza*. Ich dzieciaki, pokryte wrzodami, gapiły się na nas wielkimi jak spodki oczyma. Kobiety zdążyły się poukrywać. Widać było, że większa część ludności żyje w straszliwej nędzy.

- Może gdzieś w sąsiedztwie byłoby lepiej - mruknął

strapiony Talma.

- Nie, to wy jesteście za to odpowiedzialni - stwierdził

Aszraf.

Wzmianka o odpowiedzialności zagnieździła się w mojej głowie i powiedziałem Aszrafowi, że jeżeli jego brat zechce nas przyjąć, jemu zwrócę wolność. Naprawdę nie

chciałem mieć jeszcze jednej zależnej ode mnie oprócz Astizy osoby, a w rzeczy samej myśl o służbie czy niewolnikach sprawiała, że czułem się nieswojo. Franklin miał kiedyś parę Murzynów, ale ich obecność tak dalece go krępowała, że uwolnił oboje. Stwierdził też, że niewolnicy to kiepska inwestycja - drogo się ich kupuje, trzeba sporo wydawać na ich utrzymanie i niezbyt przykładają się do pracy.

Moja wspaniałomyślność wyraźnie nie przypadła Aszrafowi do gustu.

- Co mam jeść, skoro mnie wyrzucasz jak znajcę?

-Asz, nie jestem człowiekiem zamożnym. Nie mam środków, żeby ci zapłacić.

- Ależ masz przecież złoto, które mi odebrałeś!

-1 co, mam ci płacić z tego, co zdobyłem w bitwie?

- Czyż nie byłoby to sprawiedliwe? Zostanę twoim przewodnikiem, panie Gage. Znam cały Egipt. A ty w zamian zapłacisz mi to, coś mi ukradł. Ostatecznie skończymy na tym, od czego zaczęliśmy.

- Mam szczęście, którego żaden przewodnik ani sługa nie zyska!

Aszraf zastanowił się nad tym, co powiedziałem.

- To prawda. Wynajmiesz więc i mojego brata za pie niądze, żeby zgłębiał twoją tajemnicę. I zapłacisz za pobyt w jego domu, który jest tysiące razy lepszy od tych lepia nek, jakie mijaliśmy. Owszem, wasze zwycięstwo i two ja hojność kupi ci w Kairze wielu przyjaciół. Przyjacielu, tego dnia bogowie uśmiechnęli się do nas wszystkich.

To miało mnie nauczyć hojności. Usiłowałem się pocie-szyć, wspominając Franklina, który mawiał, że kto mnoży bogactwa, mnoży troski. W świetle mojej karcianej wygranej z pewnością wydawało się to prawdziwe. A jednak Ben miał -

jak każdy z nas - obsesję na punkcie dolara i potrafił się zaciekle targować. Nigdy nie zdołałem wydusić zeń podwyżki.

222

- Nie - powiedziałem, zwracając się do Asza. - Tobie i twojemu bratu zapłacę tyle, żebyście mieli na życie. Resztę otrzymacie po odkryciu znaczenia medalionu.

- To uczciwe - stwierdziła Astiza.

-I wskazuje, że posiadasz mądrość starożytnych! -rzekł

Aszraf. - Zgoda! Niech cię wspierają Allah, Jezus i Horus!

Z pewnością ta uwaga byłaby bluźnierstwem przynajmniej dla przedstawicieli dwu z trzech religii, ale nic nie powiedziałem: Arab mógłby być sobie i wolnomula-rzem.

- Opowiedz mi o swoim bracie - poprosiłem.

- To bardzo dziwny człowiek, jak ty. Polubisz go. Enoch nie dba wcale o politykę, ale poświęcił się gromadzeniu wiedzy. On i ja się różnimy. Jestem człowiekiem światowym, on zaś nie. Ale kocham go i szanuję. Zna osiem języków, włącznie z twoim. Ma więcej ksiąg niż sułtan w Stambule żon.

- To dużo?

-O tak!

I tak przyszliśmy do domu Enocha. Jak wszystkie domy w Kairze na zewnątrz był niepozorny: zwykły dwupiętrowy budynek o wąskich oknach i solidnych drewnianych, okutych żelazem drzwiach. Z początku nie mogliśmy się doczekać odpowiedzi na łomotanie Aszra-fa. Czyżby Enoch uciekł z mamelukami? W końcu jednak otworzyło się małe okienko w drzwiach, Asz zaklął po arabsku i drzwi nie bez zgrzytów stanęły otworem. Do środka wprowadził nas ogromny czarnoskóry sługa o imieniu Mustafa.

Natychmiast poczuliśmy ulgę - wewnątrz było znacznie chłodniej. Przeszliśmy przez mały, ocieniany drzewkami pomarańczy wewnętrzny dziedziniec, pośrodku którego szemrała fontanna. Dom był tak

zbudowany, że wewnątrz czuło się łagodną bryzę. Z boku dziedzińca widać 223

było pięknie rzeźbione schody wiodące do komnat na piętrach.

Za dziedzińcem znajdowała się komnata główna o pięknej, mozaikowej mauretańskiej posadzce, na końcu wyłożona dywanami i kanapami, na których mogli usiąść goście.

Przeciwległy jej kraniec zamykał osłonięty balkonik, z którego kobiety mogły się przysłuchiwać rozmowom siedzących na dole mężczyzn. Belkowany strop był pięknie sklepiony w ostre łuki, a rzeźbione szafki wypełniały księgi. W podmuchach pustynnego powietrza łagodnie trzepotały pokrywające ściany kobierce. Talma otarł twarz chusteczką.

- Oto Wschód, o jakim marzyłem.

Nie zatrzymaliśmy się tu jednak; Mustafa poprowadził nas dalej przez niewielki dziedzińczyk, pusty z wyjątkiem alabastrowego postumentu pokrytego tajemniczymi symbolami. Otaczały go wysokie, białe ściany, nad którymi widać było kwadrat błękitu. Promienie słońca zalewały jedną stronę białą, pogrążając drugą w cieniu.

- To studnia światła - mruknęła Astiza.

- Co takiego?

- Takie studnie w piramidach używane były do mierzenia czasu. W dniu letniego przesilenia słońce świeciło pionowo z góry i nie rzucało cienia. W ten sposób kapłani oznaczali najdłuższy dzień w roku.

-Owszem, to prawda! - potwierdził Aszraf. - Tak oznaczano pory roku i przepowiadano wylew Nilu.

- A do czego im to było potrzebne?

- Kiedy Nil przybierał, zalewał pola wodą i robotników zwalniano z innych prac, takich jak budowa piramid - wyjaśniła Astiza. - Cykl Nilu to cykl Egiptu. Od mierzenia czasu zaczęła się cywilizacja. Wyznaczano ludzi mających się tym zajmować, a ci zostawali kapłanami, którzy wy' myślali wszelkiego rodzaju inne użyteczne zadania dla fellachów.

Za dziedzińcem znajdował się rozległy pokój równie 224

mroczny, jak podwórko było jasne. Zgromadzono tu rozmaite pokryte kurzem posągi, popękane kamienne naczynia i kawałki murów z barwnymi egipskimi malowidłami.

Przedstawiały one mężczyzn i kobiety o czerwonej skórze stojących w sztywnych, ale pełnych wdzięku pozach, jakie widziałem już w ładowni *L'Orientu*. Byli tu bogowie o głowach szakali, kociogłowe wizerunki Bastet, siedzący sztywno majestatyczni faraonowie, czarne, polerowane sokoły i czarne drewniane skrzynie z naturalnej wielkości malowidłami ludzi na pokrywach. Talma już mi kiedyś opisywał te ozdobne trumny. Wewnątrz były mumie.

Niezmiernie podniecony skryba zatrzymał się przed jedną z nich.

- Są prawdziwe? - zapytał drżącym głosem. - Coś ta kiego mogłoby wyleczyć moje wszystkie choroby...

Pociągnąłem go za rękaw.

- Odejdź, zanim się śmiertelnie zakrztusisz.

- To są skrzynie, z których pousuwano mumie - oznajmił

Aszraf. - Złodzieje opróżniali trumny, Enoch jednak rozgłosił, że zapłaci za każdą z nich. On sądzi, że te deko-raq'e są kluczem do zrozumienia przeszłości.

Przekonałem się, że niektóre z trumien obok malowideł

były pokryte hieroglifami.

- Czemu ktoś miałby pisać na czymś, co i tak miało zostać zakopane? - zapytałem.

- Mój brat powiada, że to mogą być instrukcje dla umar-

łych, jak przebrnąć przez niebezpieczeństwa świata podziemnego. My, żywi, używamy ich do przechowywania rozmaitych rzeczy, ponieważ ludzie w większości są przesądni i boją się zaglądać do środka. Obawiają się klątwy.

Na tyłach komnaty były wąskie kamienne schodki wiodące do rozległej piwnicy oświetlonej światłem lamp. Zaproszeni przez Aszrafa zesłaliśmy do wielkiej biblioteki. Jej sklepienie było wzmocnione łukami, a posadzkę wyłożono kamiennymi płytami. Drewniane regały od podłogi do

225

sufitu wypełnione były księgami, dziennikami, zwojami papirusu i kartami pergaminu. Niektóre z ksiąg oprawiono w skórę, a napisy na nich tłoczono złotem. Inne tomy, często w nieznanym nikomu języku, związane były pasmami starej tkaniny i pachniały grobami. Przy środkowym stole, wielkim jak połowa drzwi do stodoły, siedział jakiś zgarbiony człowiek.

- Witaj, bracie! - odezwał się Aszraf po angielsku.

Enoch podniósł głowę z nad papierów. Był starszy od Aszrafa, łysy; z wianuszką siwych włosów i gęstą brodą wyglądał tak, jakby newtonowska grawitacja ściągnęła mu wszystkie włosy ku sandałom. Odziany w szarą szatę miał orli nos, bystro patrzące oczy i cerę o barwie pergaminu, nad którym ślęczał. Promieniował spokojem i pogodą ducha, jakie dane były niewielu tylko ludziom, choć w jego oczach tliły się ogniki kpiny.

- Więc Francuzi zajmują nawet moją bibliotekę? - zapytał

drwiąco.

- Nie, przybyli jako przyjaciele, a ten wysoki to Amerykanin. Jest przyjacielem tego tu francuskiego skryby...

- Który interesuje się moim odwodnionym kompanem -

stwierdził Enoch z rozbawieniem w głosie.

Talma patrzył jak zaczarowany na mumię w stojącej trumnie umieszczonej w rogu komnaty. Ta skrzynia też była pokryta nierozpoznawalnymi napisami. Mumię obdarto z bandaży, niektóre lniane pasma leżały jeszcze u jej stóp, a na piersi nieboszczyka widać było głębokie nacięcia. Ciało wyglądało bardzo niepokojąco, mumia była ciemnobrązowa, wyschnięta na amen, oczy miała zamknięte, nieco zadarty nos i usta otwarte w grymasie odsłaniającym małe, białe zęby.

Stwierdziłem, że ten uśmiech jest mocno irytujący.

Talma jednak był szczęśliwy jak owca w koniczynie.

- To naprawdę ktoś sprzed wieków? - westchnął z uwielbieniem w głosie. - Próba osiągnięcia życia wiecznego?

226

- Antoine, mam wrażenie, że nie za bardzo mu się to udało - stwierdziłem sucho.

-Niekoniecznie - odezwał się Enoch. - Egipcjanie uważali, że zachowanie fizycznego ciała nieboszczyka jest warunkiem do życia wiecznego. Zgodnie z relacjami, które do nas dotarły, starożytni wierzyli, że na człowieka składają się trzy części: fizyczne ciało, jego *ba*... dziś powiedzielibyśmy charakter i osobowość... i jego *ka*, siła życiowa. Dwie ostatnie części tworzą to, co dziś nazwalibyśmy duszą. *Ka* i *ba* muszą się odnaleźć i zjednoczyć w pełnym niebezpieczeństwie światła podziemnym, przez który co noc się przedziera słoneczny Ra, żeby stworzyć nieśmiertelny *akh*, a ten zamieszka wśród bogów. Mumia ma być ich codziennym domem, dopóki się nie odnajdą. Zamiast oddzielać materię od ducha, Egipcjanie je zjednoczyli.

- *Ba*, *ka* i Ra? To brzmi jak nazwa firmy doradczej. - Za wsze czułem się nieswojo wobec zjawisk nadprzyrodzonych.

■noch nie raczył mi odpowiedzieć.

- Doszedłem do wniosku, że jego podróż dobiegła już końca. Rozwinąłem bandażę i ponacinałem, żeby poznać technikę balsamowania.

- Mówi się, że ta substancja ma właściwości lecznicze -

odezwał się Talma.

- W tym względzie wierzenia Egipcjan były całkowicie odmienne - odpowiedział Enoch. - Ciało było ruchomym ożywionym domem, a nie esencją samego życia. Podobnie ty jesteś czymś więcej niż twoje lekarstwa, skrybo. Wiesz, że twoje rzemiosło pochodzi od mędrca Tota?

- Jestem właściwie dziennikarzem, który przybył opisywać wyzwolenie Egiptu - rzekł Talma.

-Jakże pięknie to przedstawiłeś, przybyszu. - Enoch spojrział

na Astizę. - A otóż i jeszcze jeden gość.

- Ona jest... - zaczął Aszraf.

227

- Sługą - uciał Enoch. Rzucił dziewczynie dziwne spoj rzenie. - A więc wróciłaś...

Niech mnie gęś kopnie, tych dwoje musiało się znać!

- Nic się nie dzieje bez woli bogów. - Dziewczyna spuściła wzrok. - Mój pan nie żyje, został zabity przez samego Napoleona, a moim nowym panem jest ten Amerykanin.

- Interesujące zrządzenie losu.

Aszraf podszedł do brata, żeby go uściskać.

- Dzięki łasce wszystkich bogów i uprzejmości tych tu ludzi mogłem cię znów zobaczyć, mój bracie! Zawarłem już pokój ze sobą i przygotowałem się na raj, ale zostałem wzięty do niewoli!

- Czyli teraz jesteś ich niewolnikiem.

- Amerykanin zwrócił mi wolność. Za pieniądze, które mi odebrał, wynajął mnie na strażnika przybocznego i przewodnika. Ciebie też chce wynająć. Wkrótce więc od-zyskam wszystko, co straciłem. Czy i to nie jest zrządzeniem losu?

- Do czego on chce mnie wynająć?

- Przybył do Egiptu ze starożytnym artefaktem. Powiedziałem mu, że może będziesz w stanie mu pomóc.

-Aszraf jest najdzielniejszym z wojowników, jakich kiedykolwiek widziałem - stwierdziłem. - Przebił się do wnętrza francuskiego czworoboku i pokonaliśmy go tylko dlatego, że wszyscy się nań rzuciliśmy.

- Ba! Zwyciężyła mnie kobieta z wózkiem na kółkach!

- On zawsze był dzielny i odważny - przyznał Enoch. -

Niekiedy aż za bardzo. I prawda, że nigdy sobie nie umiał

radzić z kobietami.

- Jestem człowiekiem z tego świata, w przeciwieństwie do ciebie, mój bracie. Ale ci ludzie szukają u ciebie wiedzy. Mają starożytny medalion i chcieliby się dowiedzieć, do czego służy i w jakim celu go zrobiono. Kiedy go zobaczyłem, zrozumiałem, że trzeba go pokazać tobie. Któż wie więcej o przeszłości Egiptu niż mędrzec Enoch?

228

- Medalion?

- Amerykanin przywiózł go z Paryża, ale uważa, że to wyrób egipski - odezwała się Astiza. - Kilku ludzi próbowało go zabić, żeby posiąść ten przedmiot. Pragnie go mieć ten bandyta i rzezimieszek, Bin Sadr. Interesują się nim francuscy uczeni. Z powodu tego przedmiotu Bonaparte obdarzył go łaskami.

- Bin Sadr? Wąż? Słyszeliśmy, że przyłączył się do na-jeźdźców.

- On się przyłącza do każdego, kto mu odpowiednio zapłaci - skrzywiła się Astiza.

- A kto płaci mu naprawdę?- zapytał ją Enoch.

-Jest szpiegiem Napoleona - zaczął snuć domysły Aszraf. -I... być może agentem tych, którzy chcą odzyskać utracony medalion.

- Więc Amerykanin powinien się mieć na baczności.

- W rzeczy samej.

-I zagraża on pokojowi każdego domu, w którym się zjawia.

- Jak zwykle trafiasz w sedno, mój bracie.

- A jednak przyprowadziłeś go do mnie.

- Ponieważ być może ma on to, o czym od dawna już tu mówiono!

Rozmowa przestawała mi się podobać. Z trudem wyniosłem całą głowę z wielkiej bitwy, a tu się okazuje, że wciąż grozi mi niebezpieczeństwo.

- Któż to jest, ten Bin Sadr? - zapytałem.

- Był tak bezwzględny i chciwym rabusiem grobów, że stał się wyrzutkiem nawet wśród swoich - wyjaśnił Enoch. -

Nie miał żadnego szacunku dla cudzej własności. Uczni mężowie zaczęli nim pogardzać, przyłączył się więc do Europejczyków badających mroczne sztuki. Stał się najemnikiem i zabójcą, wedle tego, co o nim mówią, zaczął też jeździć po świecie w towarzystwie możnych i potężnych ludzi.

Na jakiś czas zniknął wszystkim z oczu,

229

a teraz pojawił się ponownie i wszystko wskazuje na to, że pracuje dla Napoleona.

Albo dla hrabiego Alessandra Silano, pomyślałem.

- Wszystko to wygląda mi na interesujący materiał do artykułu w gazecie... - zapalił się Talma.

- Jeżeli to opublikujesz, przybyszu, on cię zabije.

- ...ale może sprawa jest zbyt skomplikowana dla moich czytelników. - Dziennikarz nagle stracił zapal.

Może powinienem oddać medalion Enochowi, pomyślałem.

Tak samo jak zdobyty na Aszrafie łup, nic mnie on nie kosztował. Niech Enoch się zajmie węzami i rabusiami. Ale...

co, jeżeli medalion jest kluczem do wielkiego skarbu?

Berthollet może sobie myśleć, że najlepsze w życiu rzeczy są za darmo, ale moje doświadczenie życiowe podpowiadało mi, że ludzie, którzy tak uważają, są już bogaczami.

- Więc szukasz, panie, odpowiedzi? - zapytał Enoch.

- Szukam kogoś, komu mógłbym zaufać. Kogoś, kto zbada medalion, ale mi go nie ukradnie.

-Jeżeli twój medalion jest rodzajem wskazówki, nie zechcę go dla siebie. Ale może zdołam ci pomóc, panie. Mogę go zobaczyć?

Zdjąłem łańcuszek z szyi i pokazałem medalion, na który wszyscy spojrzeli z ogromnym zainteresowaniem. Enoch poddał go równie uważnym oględzinom jak ci, co badali go przedtem: odwracał go, rozkładał ramiona i korzystając z lampy, przeświecił otworki.

- Skąd go masz, panie?

- Wygrałem go w karty od żołnierza, który twierdził, że ten przedmiot należał kiedyś do Kleopatry. Utrzymywał też, że nosił go alchemik o imieniu Cagliostro.

- Cagliostro, powiadasz?!

- Słyszałeś o nim, o czcigodny?

-Był kiedyś w Egipcie. - Enoch potrząsnął głową. -Szukał

sekretów, których nikt nie powinien badać, zaglą-

230

dał w miejsca, które lepiej zostawić w spokoju, i wypowiadał

imiona, które powinny zostać zapomniane.

- Dlaczego?

- Dowiedzieć się, jakie jest prawdziwe imię boga, znaczy wezwać go na swoje usługi - stwierdził Aszraf. - Wy-powiedzieć imię zmarłego, znaczy wywołać go z grobu.

Starożytni wierzyli w moc słów, szczególnie zapisanych.

Uważali, że w imionach tkwi magia.

Starzec przeniósł wzrok ze mnie na Astizę.

- A co ty tu robisz, kapłanko?

Dziewczyna skłoniła się lekko.

- Służę bogini. Przywiodła mnie do Amerykanina, jak przywiodła i ciebie... dla siebie tylko znanego celu.

Kapłanka? Co to, u diabła, miało znaczyć? -Może tym celem jest wrzucenie naszyjnika do Nilu? - stwierdził Enoch.

- Być może. A jednak starożytni zrobili go po to, by go odnaleziono, czy nie tak, mądry Hermesie? I zjawiał się u nas dzięki

nieprawdopodobnemu

zbiegowi

okoliczności.

Dlaczego? Ile w tym wszystkim jest przypadku, a ile mocy przeznaczenia?

- Na to pytanie nie odpowiem, choć je zgłębiam przez całe życie - westchnął Enoch. - Ale do rzeczy.

- Przyjrząwszy się medalionowi, jeszcze raz wskazał na otworki. - Rozpoznajesz ten układ?

- To gwiazdy - podsunęła Astiza.

- Owszem, ale które?

Wszyscy potrząsnęliśmy głowami.

- A to przecież jasne! To Draco. Smok. - Wskazał kilka gwiazd, które się układały w kształt wijącego się węża, czy może chuderlawego smoka. - To gwiazdna konstelacja, która miała prowadzić właściciela tego medalionu, jak podejrzewam.

- W jaki sposób? - zapytałem.

- Któż to może wiedzieć? Gwiazdy krążą po nocnym 231

niebie i zmieniają położenie w różnych porach roku. Sama konstelacja niewiele znaczy, dopóki się jej jakoś nie połączy z kalendarzem. Więc jaki z tego może być pożytek? Czekaliśmy na odpowiedź, mając nadzieję, że pytanie jest retoryczne.

- Nie wiem - przyznał się Enoch. - Ale starożytni mieli obsesję na punkcie czasu. Niektóre świątynie budowano tak, żeby światło słoneczne padało na ołtarz tylko w dniu zimowego przesilenia lub jesiennej równonocy. Podróż słońca po niebie jest jak podróż życia. Czy to wpadło w twoje ręce bez żadnego urządzenia czasowego?

- Bez - odparłem. W tejże chwili przypomniałem sobie jednak kalendarz, jaki Monge pokazał mi w ładowni *U*

Orientu, zdobyty w tej samej warowni, w której więziono Cagliostro. Może stary czarodziej nosił je razem? Czy to nie była jakaś wskazówka?

- Bez wiedzy, kiedy trzeba go użyć, medalion może być bezużyteczny. A ta linia, która dzieli okrąg, co znaczy?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałem.

- Te zygzaki są niemal na pewno starożytnym symbolem wody.

To mnie zaskoczyło. Myślałem, że to góry, ale Enoch upierał się, że to egipski symbol wód.

-Ale ta piramidka kresk... nic nie rozumiem. I te ramiona...

hola, spójrzcie tutaj! - Starzec pokazał palcem, więc pochyliliśmy się nad medalionem. W połowie każdego ramienia była kreska, której przedtem nie zauważyłem, jakby część ramienia została wyciągnięta.

- Czy to cyrkiel? - zapytałem. - Ta kreska może być jakąś miarą.

- To możliwe - przyznał Enoch. - Ale może też to być miejsce do umieszczenia tu jakiegoś innego urządzenia. Może ten medalion jest taki tajemniczy, przybysz z Ameryki, bo jest niekompletny.

Astiza zaproponowała, żeby zostawić medalion Eno-chowi, by mógł poszukać podobnych ornamentów w swoich księgach.

W pierwszej chwili pomysł ten nie bardzo mi się spodobał.

Przywykłem do jego ciężaru i świadomości, że jest ze mną i bezpieczny. A teraz miałbym go oddawać człowiekowi, którego prawie nie znałem?

- Nikt z nas niczego z nim nie zdiagnozował, dopóki się nie dowiemy, co to jest i do czego służy - argumentowała. - Noś go przy sobie i ktoś ci go odbierze siłą na jakiejś kair-skiej ulicy.

Zostaw go w piwnicy tego żyjącego w odosobnieniu uczonego męża, a będzie tak, jakbyś go zamknął w krypcie.

- Mogę mu ufać?

- A masz wybór? Ile odpowiedzi uzyskałeś od chwili, w której ten przedmiot przeszedł w twoje ręce? Daj Eno-chowi dzień lub dwa na badania.

- A co w tym czasie mam robić?

- Zaczynaj zadawać pytania waszym uczonym. Dlaczego na tym medalionie jest konstelacja Smoka? Jeżeli będziemy pracować razem, szybciej dotrzemy do odpowiedzi.

- Ethanie, ryzyko jest zbyt wielkie - odezwał się Talma, patrząc podejrzliwie na Astizę.

W istocie, kim była kobieta nazwana kapłanką? Moje serce podpowiedziało mi jednak, że obawy Talmy są przesadzone, że do tej pory prowadziłem poszukiwania samotnie, a teraz oto zyskałem sojuszników, którzy mogą mi pomóc w wyjaśnieniu tajemnicy. Cóż, wola bogini.

- Nie, ona ma rację - stwierdziłem. - Musimy wziąć kogoś do pomocy, inaczej nie rozwikłamy tej zagadki. A jeżeli Enoch ucieknie z moim medalionem, będzie miał na karku całą francuską armię.

- Ucieknie? Przecież zaprosił nas, żebyśmy zamieszkali z nim razem.

Moja sypialnia była najlepsza z tych, w jakich przyszło mi sypiać w ciągu kilku ostatnich lat. Była chłodna, 233

cienista, z wysoko nad podłogą wzniesionym łóżkiem za przejrzystymi zasłonami. Posadzkę wyłożono dywanami, a miska i dzban z wodą były ze srebra. Jakiż kontrast z towarzyszącymi nam nieustannie w tej kampanii kurzem i potem! Ale czułem się powoli wciągany w historię, której nie pojmowałem, więc znów się zastanowiłem nad wszystkim, co mi się ostatnio przydarzało. Czyżby spotkanie Egipcjanki greckiego pochodzenia, która mówiła moim językiem było nieprzypadkowe? A brat tego dziwnego Enocha, który zaatakował właśnie mnie, po wdarciu się w głąb czworoboku w bitwie pod Piramidami? A to, że Bonaparte nie tylko się zgodził, ale wręcz zatwierdził ten dziwny

dodatek do mojej świty? Wyglądało na to, że medalion przyciąga ludzi własną magią.

Z pewnością nadszedł czas na zadanie kilku jeszcze pytań mojej niezwyklej służącej. Po kąpieli i odpoczynku znalazłem Astizę na głównym dziedzińcu, teraz chłodnym i pogrążonym w cieniu. Siedziała przy fontannie jakby w oczekiwaniu na moje przesłuchanie. Umyte i ułożone włosy lśniły niczym obsydian. Pełne piersi skryła pod fałdami lnianej tkaniny, zręcznie je udrapowawszy. Na smukłe, nieśmiało i skromnie skrzyżowane stopki włożyła sandały. Miała też bransolety, łańcuszki wokół kostek, ankh na szyi i była tak oszałamiająco piękna, że patrząc na nią, trudno było jasno myśleć. A jednak musiałem.

- Dlaczego on nazwał cię kapłanką? - zapytałem, siadając obok niej.

- Nie sądzisz chyba, że moje zainteresowania ograniczają się do gotowania i prania twoich koszul - odparła spokojnie.

- Wiem, że jesteś kimś więcej niż tylko służącą. Ale kapłanką? Czyją?

Otworzywszy szeroko oczy, spojrzała na mnie z powagą.

- Wiary, która tysiące lat temu legła u podstaw każdej

religii: że są światy inne niż ten, który widzimy, Ethanie, i tajemnice przewyższające naszą możliwość zrozumienia.

Izyda jest bramą do tych światów.

- Jesteś cholerną poganką.

- A kimże jest poganin? Jeżeli zechcesz poszukać źródeł

tego słowa, dowiesz się, że oznacza ono mieszkańca wsi, człowieka żyjącego w zgodzie z rytmem przyrody i słońca. Jeżeli to jest pogaństwem, to tak, jestem zagorzałą ^

poganką.

- A w co właściwie jeszcze wierzysz?

- Że życie ma swój cel i że istnieje wiedza, którą lepiej skrywać przed ludźmi. Wierzę też, że niektóre siły lepiej zostawić w spokoju i z nich nie korzystać. A jeżeli mają zostać wykorzystane, to w dobrej sprawie.

- Czy to ja przyprowadziłem cię do tego domu, czy ty przywiodłaś tu mnie?

Uśmiechnęła się łagodnie.

- Uważasz, że nasze spotkanie było przypadkowe?

Parsknąłem gniewnie.

- Wedle tego, co wiem, połączył nas wystrzał z działa.

- Poszliście najkrótszą drogą ku portowi. A my nie liśmy wypatrywać idącego tamtędy cywila w zielonym płaszczu, który mógł towarzyszyć Napoleonowi.

-My?

- Ja i mój pan. Ten, którego zabiliście.

-A wasz dom po prostu przypadkiem znalazł się na naszej drodze?

-To nie był nasz dom, tylko dom mameluka, który uciekł

przed Francuzami. Mój pan i ja przejęliśmy go chwilowo, a nasi zwolennicy przynieśli nam broń.

- Niewiele brakło, a zabilibyście Napoleona!

-Niezupełnie. Nie w niego mierzył Strażnik, tylko w ciebie.

- Co takiego?!

- Moi kapłani pomyśleli, że najlepiej będzie cię zabić, 235

zanim dowiesz się zbyt wiele. Ale bogowie najwyraźniej mają inne dotyczące ciebie plany. Strażnik trafił niemal każdego oprócz ciebie. A potem wszystko wokół nas wybuchło, a gdy odzyskałam przytomność, ty się nade mną pochylałeś. Wtedy zrozumiałam, że masz do wykonania wyznaczone przez bogów zadanie, choćbyś nie wiedzieć jak był ślepy.

- Jakie zadanie?

-Zgadzam się z tobą, że niełatwo sobie to wyobrazić. Ale w jakiś sposób masz pomóc strzec tego, co powinno być strzeżone, lub użyć tego, co powinno zostać użyte.

- Czego mam strzec? Czego użyć?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiemy.

Na gromy Franklina, była to najbardziej paskudna rzecz, jaką od niej usłyszałem. Miałem uwierzyć, że moja branka znalazła mnie po to, żeby mnie wykorzystać?

- Co masz na myśli, mówiąc o Strażniku?

- Jest to po prostu ktoś, kto przestrzega dawnego sposobu życia, który przed pięcioma tysiącami lat uczynił

ten kraj najpiękniejszym i najbogatszym na świecie. My też usłyszeliśmy pogłoski o tym naszyjniku... Cagliostro nie potrafił się powstrzymać od pochwalenia się znalezione ziskiem... i o pozbawionych skrupułów ludziach, którzy chcą tylko kopać i rabować. Ale ty? Taki ignorant! Czeż muż Izyda wydała go w twoje ręce? A jednak bogowie przywiedli cię do mnie. Potem nas zetknęli z Aszrafem, a poprzez niego z Enochem. Nadejście Francuzów obu dziło drzemiące od tysiącleci sekrety. Piramidy drżą, bo gowie się niepokoją i kierują naszymi dłońmi.

Nie umiałbym powiedzieć, czy była głupią wariatką, czy przenikliwą wieszczką.

- Ku czemu?

- Nie wiem. Wszyscy jesteśmy na poły ślepi i dostrze-236

gamy jedne rzeczy, nie widząc innych. Ci francuscy uczeni, na których się powołujesz, są mędrkami? Magami?

- Magami?

- Albo jak ich nazywamy w Egipcie, czarodziejami?

'- Astizo, myślę, że uczeni z pewnością nakreśliliby granicę między nauką i magią.

-W starożytnym Egipcie tej granicy nie było. Mędracy znali magię i potrafili utkać liczne czary. Teraz ty i ja musimy zbudować most pomiędzy waszymi uczonymi i mężami takimi jak Enoch, żeby rozwiązać tę zagadkę, zanim uczynią to ludzie pozbawieni skrupułów. Naszymi rywalami są wielbiciel wężowego boga Apofisa i zakonu rytu egipskiego. Chcą odkryć tę tajemnicę przed nami i użyć ich do własnych mrocznych planów.

- Jakich planów?

- Nie wiemy, ponieważ nikt z nas do końca nie wie, czego szukamy. - Zawahała się. - Wśród ludu krążą legendy o wielkich skarbach, a co ważniejsze, o wielkich mocach, które mogłyby wstrząsać imperiami. Trudno powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi, bo za wcześnie na snucie domysłów. Dajmy Enochowi czas na badania. Bądźmy tylko świadomi, że w przeszłości zbyt wielu ludzi słuchało tych opowieści i zastanawiało się, jakie za nimi kryją się prawdy.

- Masz na myśli Napoleona?

- Podejrzewam, że niewiele zrozumiał, ale ma nadzieję, iż ktoś inny rozwikła zagadki, on zaś wykorzysta je do swoich celów. Nie jest pewien, o co chodzi, ale słyszał opowieści o Aleksandrze Wielkim. Wszyscy błakamy się we mgle mitów i legend... może z wyjątkiem Bin Sadra i jego prawdziwego pana, kimkolwiek jest.

ROZDZIAŁ 11

Wszystko się zaczęło od jednego z ekspedycyjnych astronomów, Nicholasa Antoine'a Noueta. Podczas gdy większość Francuzów klęła pustynię w żywy kamień za okropnie irytujące upały i

dokuczliwość owadów, Nouet się nią zachwycił, mówiąc, że suche powietrze ogromnie ułatwia rysowanie map nieba.

- Gage, to raj dla astronoma! Bezchmurna kraina!

Znalazłem go w jego nowej pracowni, gdzie kucnąwszy nad skrzynią, z podwiniętymi rękawami i bez płaszcza, sortował

stos prętów mierniczych, używanych do pomiaru wysokości gwiazd nad horyzontem.

- Panie Nouet... - zwróciłem się do niego. - Czy niebo jest stałe?

Spojrzał na mnie nie bez irytacji w oczach, bo zakłóciłem tok jego myśli.

- W jakim sensie stałe?

- Znaczy, czy gwiazdy się poruszają?

- No cóż... - Wstał i wyjrzał na zacieniony ogród, który zajęli naukowcy. - Ziemia obraca się wokół osi i dlatego gwiazdy wschodzą i zachodzą, tak jak słońce. Obracają się wokół gwiazdy północnej zwanej biegunową.

- Ale względem siebie się nie poruszają?

- To kwestia wciąż jeszcze dyskusyjna.

- Więc przed tysiącami lat - ciągnąłem - kiedy budowano piramidy, niebo wyglądało tak samo jak teraz?

-A, rozumiem, ku czemu pan zmierza, Gage. Odpo-238

wiedź brzmi: tak i nie. Konstelacje w zasadzie pozostały niezmienione, ale oś ziemską zatacza w przestrzeni stożek i cykl ten trwa dwadzieścia sześć tysięcy lat.

- Doktor Monge mówił mi o tym na pokładzie *L'Orientu*.

Powiedział mi, że w konkretnym dniu roku pozycja wschodu słońca względem znaków zodiaku się zmienia. Czy jest coś jeszcze?

- Po wielu tysiącach gwiazdą biegunową jest Gwiazda Polarna. Oś ziemską, jak mówiłem, zatacza stożek i tysiące lat temu wskazywała inną gwiazdę północną.

- Czy to możliwe, żeby ta gwiazda leżała w gwiazdo-zbiorze Smoka?

- No... tak, to możliwe. A czemu pan pyta?

- Słyszał pan, że mam pewien starożytny artefakt. Moje badania tu, w Kairze, doprowadziły mnie do

wniosku, że może on przedstawiać konstelację Draco, czyli Smoka. Jeżeli gwiazdą biegunową był Draco...

- Być może powinien pan orientować ten przedmiot ku północy?

- Właśnie. Ale dlaczego?

- Monsieur, to pański artefakt, nie mój.

-W ładowni *U Orientu* Monge pokazał mi pewien przedmiot. Był to okrąg ze znakami zodiaku. Myślał, że to rodzaj kalendarza, który wskazuje daty w przyszłości.

- To akurat nie byłoby czymś niezwykłym w starożytnych kulturach. Dawni kapłani zyskiwali wielką władzę, jeżeli mogli przewidzieć, jak będzie wyglądało niebo. Potrafili prognozować wylewy Nilu i określić najlepszy czas do siewu i żniw. Od takiej wiedzy zależała potęga państwa, a także wloty i upadki królów. Dla nich religia i nauka były jednością. Ma pan to urządzenie, Gage? Może mógłbym je jakoś odczytać?

- Zostało na pokładzie *L'Orientu* z resztą skarbu Malty.

- Ba! Żeby je przetopila i wydała kolejna banda łotrów, którzy zechcą obalić Dyrektoriat? Czemuż taki skarb prze-239

chowie się na pokładzie okrętu, który może się wplątać w bitwę? Te narzędzia są nam potrzebne tu, w Egipcie! Niech pan skłoni Napoleona, żeby je panu wydano. Te rzeczy zwykle są bardzo proste, jeżeli tylko człowiek się domyśli, na jakiej zasadzie działają.

Przed udaniem się do naszego generała potrzebowałem jednak jakiegoś konkretnego sukcesu. Enoch wciąż jeszcze biedził się nad medalionem w swojej bibliotece, kiedy dotarła do mnie wiadomość, że geograf Jomard, którego spotkałem w ładowni *L'Orientu*, zamierza się przedostać na drugą stronę Nilu, do Gizy, żeby dokonać wstępnych pomiarów piramid.

Zaproponowałem mu swoje usługi, Aszrafa zaś jako przewodnika. Talma też postanowił nam towarzyszyć, podczas gdy Astiza zgodnie z kairskimi zwyczajami miała pomóc Enochowi.

Cała nasza czwórka rozkoszowała się poranną bryzą, gdy przepływaliśmy promem na drugi brzeg. Rzeka toczyła swe wody w pobliżu ogromnych budowli, wzdłuż wapiennego klifu, na którym wznosił się płaskowyż, gdzie zbudowano te giganty. Wylądowaliśmy na plaży i zaczęliśmy wspinać się.

Jakkolwiek wspaniale było walczyć, widząc na horyzoncie te bajeczne budowle, były one zbyt daleko od Im-baby, żeby zrobić na nas wrażenie swoimi rozmiarami. W tamtej bitwie wzrok przyciągały czystością kształtu na tle ciemnej pustyni.

Dopiero teraz, gdy zbliżaliśmy się do nich od wielkiej rzeki, zaczęliśmy zdawać sobie sprawę z ich prawdziwych rozmiarów. Początkowo wznosiły się nad krawędzią zbocza jak doskonałe ostrosłupy, równie proste jak harmonijne.

Widoczny na tle nieba ogrom przyciągał wzrok, kierując go ku górze. Kiedy ujrzeliśmy je w całej krasie, uderzył nas ogrom rozmiarów tych gór kamieni ułożonych z matematyczną precyzją. Jak prymitywni Egipcjanie zdołali zbudować coś tak wielkiego?

240

Wokół piramid krystalizowało się jakby samo powietrze, a ich majestat promieniował osobiwą aurą, podobną do niezwykłego zapachu i mrowienia skóry, czego niekiedy doświadczałem podczas demonstracji zjawisk elektrycznych.

Oszałamiający efekt wielkości piramid wzmagał ich mityczny strażnik, patrzący wprost na wschód. Nieopodal wznosiła się nad zboczem gigantyczna głowa kamiennego sfinksa. Jego szyja tonęła w wydnie, a reszta cielska była zakopana w piachu. Nos posągu został kilka lat temu uszkodzony przez ćwiczących się w sztuce artylerii mameluków, ale jego senne spojrzenie, pełne afrykańskie wargi i charakterystyczne dla faraonów nakrycie głowy tworzyły oblicze, które rzucało wyzwanie czasowi. Poryta bruzdami twarz wydawała się bardziej wiekowa od widocznych za nią piramid i skłoniła mnie do rozmyślań, czy przypadkiem nie jest od nich starsza. Czyżby to miejsce miało w sobie coś świętego? Jacyż to ludzie ustawili tu tego kolosa i po co? Był

strażnikiem?

Czuwającym

wartownikiem?

Bogiem?

Świadectwem zwykłej próżności jednego człowieka, władcy i tyra? Nie mogłem w tej chwili nie pomyśleć o Napoleonie.

Czy ten oddany rewolucji republikanin, wyzwoliciel i prostak pokusi się kiedykolwiek, by wznieść podobnego kolosa?

Nieco dalej ciągnęły się wydmy zasypane rumowiskiem, zwalone ściany i potrzaskane wierzchołki pomniejszych piramid. Trzy największe budowle dominowały nad Gizą ustawione ukośnie w jednej linii od północnego wschodu ku południowemu zachodowi. Najbliżej Kairu strzelała w niebo Wielka Piramida Chufu, przez Greków zwanego Cheopsem.

Drugą, nieco mniejszą, Grecy przypisywali faraonowi Chefrenowi, a trzecia, jeszcze mniejsza, na południowym zachodzie, miała zostać wzniesiona przez faraona Menkaure, czyli Mykerinosa.

- Jedną z ciekawostek związanych z Wielką Piramidą 241

jest ta, że wzniesiono ją ściśle wedle geograficznych stron świata, które nie pokrywają się z północą magnetyczną -

powiedział Jomard, gdy zatrzymaliśmy się, żeby odpocząć. -

Wszystko uczyniono tak dokładnie, że musimy wierzyć, iż jej budowniczy mieli głęboką wiedzę dotyczącą astronomii i miernictwa. Zauważcie również, jak precyzyjnie możecie określić strony świata według ustawienia piramid względem siebie. Padające cienie są swego rodzaju kompasem. Możecie użyć stosunków ich szczytów do cienia, żeby zorientować narzędzia pomiarowe.

- Sądzi pan, że są czymś w rodzaju szkicu geodety? -

zapytałem.

-To jedna z teorii. Inne opierają się na pomiarach.

Chodźmy.

W towarzystwie Aszrafa ruszył naprzód, niosąc zwoje taśmy mierniczej. Powlekliśmy się z Talma za nimi, spoceni i pozbawieni tchu przez wspinaczkę.

-Ani skrawka zieleni - mruknął Talma. - Trupiarnia i tyle.

-Ale spójrz, Antoine, co za groby! - Popatrzyłem na głowę sfinksa, płynącą w dole rzekę i górujące nad nami piramidy.

- Owszem, ale bez tego twojego klucza nie dostaniemy się do środka.

- Nie sądzę, żebym potrzebował do tego medalionu. Jomard powiedział, że już setki lat temu zostały otwarte i obrabowane przez Arabów. Przypuszczam, że sami znajdziemy jakieś wejście.

- A jednak... czy nie niepokoi cię brak medalionu?

Wzruszyłem ramionami.

- Szczerze mówiąc, bez niego czuję się lepiej.

Rozczarowany moimi odpowiedziami Talma spojrzał

na wznoszące się nad nami brązowe trójkąty.

-Dlaczego ufasz tej kobiecie bardziej niż mnie? -

Dźwięczący w jego głosie ból mocno mnie zaskoczył.

242

- Ależ wcale tak nie jest!

-Kiedy pytałem cię, gdzie masz medalion, uchylałeś się od odpowiedzi. A ona namówiła cię, żebyś go oddał staremu Egipcjaninowi, o którym niczego prawie nie wiemy.

- Pożyczyłem go tylko do badań. Nie dałem go jej, tyl ko pożyczyłem jemu. Ufam Enochowi. Jest

uczonym, jak my.

-A ja jej nie ufam.

- Antoine, jesteś po prostu zazdrosny.

- Owszem, a dlaczego? Wcale nie dlatego, że jest kobietą, a ty biegasz za kobietami jak pies za kością. Nie ufam jej, bo nie mówi nam wszystkiego. Ma własne cele, które wcale nie muszą się pokrywać z naszymi.

- Skąd to wiesz?

- Bo jest kobietą.

- Kapłanką, która... jak sama powiedziała... usiłuje nam pomóc.

- Wiedźmą.

- Antoine, jedynym sposobem rozwikłania tej tajemnicy jest zaufanie Egipcjanom.

-A to czemu? Nie rozgryźli jej od pięciu tysięcy lat. A teraz zjawiamy się my z jakąś błyskotką i nagle okazuje się, że mamy więcej przyjaciół, niż potrzebujemy. Wszystko to dla mnie jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Jesteś zbyt podejrzliwy.

- A ty naiwny.

Na tym zakończyliśmy, obaj niezadowoleni.

Idąc po sypkim piasku ku największej z piramid i pocąc się obficie, czułem się jak liliput. Nawet gdy się od niej odwróciłem, jej niesamowity ogrom przytłaczał mnie, bo piramida była jakby wszechobecna. Otaczały nas pozasy-pywane piaskiem resztki po minionych tysiącletniach. Mijaliśmy rumowiska, które musiały niegdyś być ścianami korytarzy i dziedzińców. W głębi toczyły się ku nam fale 243

pustyni. W spizowym powietrzu krążyły wielkie, ciemne ptaki.

W końcu zatrzymaliśmy się przed najwyższą i największą z budowli wzniesionych przez człowieka, patrząc na wydmy otaczające jej podstawę. Bloki, z których ją wzniesiono, wyglądały jak ciężkie, masywne kłocę gigantów.

-I może jest w niej mapa świata - oznajmił Jomard.

Ostre rysy jego twarzy przypominały mi niektóre z kamiennych sokołów z domu Enocha przedstawiające Ho-rusa.

Francuz patrzył z dołu na trójkątne oblicze piramidy w uniesieniu, ale też bojaźliwie.

- Mapa świata? - zapytał sceptycznie Talma.

- Tak twierdził Diodor i inni starożytni uczeni. A raczej mapa północnej półkuli.

Dziennikarz usiadł na jednym z przewróconych bloków.

- Myślałem, że świat jest kulą.

- Owszem, jest.

- Jomard, wiem, że wy, uczeni, jesteście ode mnie bystrzejsi, ale widzę... chyba że to halucynacja... iż ta budowla ma dość wyraźny wierzchołek.

- Trafna uwaga, Monsieur Talma. Ma pan zadatki na uczonego. Ale jest teoria, że wierzchołek piramidy to odwzorowanie bieguna, podstawa to równik, a każdy bok jest ćwiartką północnej półkuli. To tak, jakby pan rozciął

pomarańczę najpierw poziomo na pół, a potem pionowo podzielił ją na ćwiartki.

- Żadna z nich nie będzie płaskim trójkątem - upierał się Talma, wachlując się kapeluszem. - Jeżeli ktoś chciałby mieć model połówki naszej planety, czemu nie usypał góry podobnej do bułki?

- Mapy Egiptu i świata są płaskie, a jednak przedstawiają coś okrągłego - odparł uczonego. - My pytamy, czy Egipcjanie w abstrakcyjny sposób zaprojektowali piramidy, stawiając ściany pod określonym kątem na dokładnie

244

wytyczonej powierzchni, żeby matematycznie odwzorować nasz glob? Starożytni piszą, że wymiary piramidy co do joty odpowiadają trzystu sześćdziesięciu stopniom, na które dzielimy Ziemię. To święta liczba pochodząca od Egipcjan i Babilończyków, oparta na liczbie dni w roku. Zapytajmy więc, czy istotnie wybrali takie proporcje, żeby pokazać, jak dokładnie można odwzorować krzywiznę Ziemi na płaszczyźnie takiej jak bok piramidy? Herodot powiada, że powierzchnia

piramidy

jest

równa

pierwiastkowi

kwadratowemu jej wysokości. Okazuje się, że ta proporcja jest idealna do przeliczenia powierzchni okręgu, jakim jest przekrój naszej planety, na kwadrat i odwzorowania punktów jednego na drugi.

- I dlaczego mieliby to robić? - zapytał dziennikarz.

- Chociażby po to, żeby się pochwalić, że wiedzą, jak to uczynić.

- Jomard, mój drogi... - wtrąciłem się. - Do czasów Ko-lumba ludzie wierzyli, że Ziemia jest płaska.

- Niezupełnie, mój amerykański przyjacielu. Księżyc jest kulą. Słońce jest kulą. Starożytni uznali więc, że i Ziemia jest kulą, a Grecy za pomocą precyzyjnych pomiarów zdołali ustalić jej obwód. Ja uważam, że wyprzedzili ich Egipcjanie.

- A skąd wiedzieli, jak wielka jest nasza planeta?

- Przy znajomości podstaw geometrii i astronomii pomiary określonych punktów słonecznego cienia lub deklinacji gwiazd to dziecinna zabawa.

- No tak - mruknął Talma. - W dzieciństwie robiłem to przed każdą drzemką.

Jomard nie zareagował na kpinę.

- W każdym, kto widział cień rzucany przez naszą pla netę na Księżyc lub obserwował znikający za horyzontem statek, może się zrodzić domysł, iż Ziemia jest kulą. Wie my, że w roku dwieście pięćdziesiątym przed Chrystusem Grek Eratostenes skorzystał z pomiarów różnej długości 245

cienia rzucanego w południe podczas letniego przesilenia w dwu różnych egipskich miejscowościach i rozwiązał problem, obliczając średnicę Ziemi z błędem trzystu dwudziestu kilometrów. Kiedy on robił swoje pomiary, ta piramida stała od blisko trzech tysięcy lat. A cóż miałoby przeszkadzać starożytnym w zrobieniu tego samego lub pomierzeniu wysokości względnej gwiazdy biegunowej w różnych miejscowościach położonych wzdłuż Nilu, ponownego obliczenia kątów i przez implikację wyliczenia rozmiarów naszej planety? Jeżeli podróżujesz tą rzeką, wysokość gwiazd nad horyzontem się zmienia i egipcscy żeglarze z pewnością to zauważyli. Skoro Tycho Brahe dokonał tych pomiarów gołym okiem z dokładnością wystarczającą, żeby obliczyć promień Ziemi, dlaczego starożytni nie mieliby zrobić tego samego?

Narodziny wiedzy przypisujemy Grekom, ale oni czerpali z egipskich studni mądrości.

Wiedziałem, że Jomard przeczytał więcej tekstów staro-

żytnych niż ktokolwiek z nas, spojrzałem więc na piętrzący się nade mną masyw na nowo zainteresowany. Zewnętrzne okładziny budowli, wykonane z gładzonego wapienia, zostały rozgrabione setki lat temu przez Arabów, którzy wykorzystali je do budowy kairskich meczetów i pałaców. Zostały tylko pojedyncze płyty. A jednak bloki ciągnęły się niezliczonymi rzędami, a każdy był kolosalny. Zacząłem liczyć poszczególne warstwy i poddałem się po pierwszej setce.

- Ale Egipcjanie nie mieli statków, na których mogliby okrążyć świat, po cóż mieliby się więc przejmować wielkością planety? - zapytałem. - A budowanie góry, żeby zawierała wyniki obliczeń? To nie ma sensu.

- Tak samo jak zbudowanie bazyliki poświęconej świętemu Piotrowi, którego widzieli podobno jedynie inni święci i kilku wariatów - odparł Jomard. - To, co jest kompletnym idiotyzmem dla jednego, dla drugiego może się 246

stać celem życia. Czy możemy wyjaśnić powody naszych własnych zachowań? Talma, zechciejże mi pan powiedzieć, o co chodzi w tej waszej masonerii?

- Cóż... - Żurnalista zastanawiał się przez chwilę nad odpowiedzią. - Myślę, że chodzi o to, żeby żyć rozumnie w zgodzie z samym sobą i innymi, zamiast zabijać się wzajemnie z powodów religijnych czy politycznych.

- To powiedzże mi, dlaczego o kilka mil stąd rozciąga się pełne trupów pole bitwy po rzezi Arabów, która jest dziełem armii dowodzonej przez masonów? Któż może powiedzieć o innym, że jest szaleńcem? Któż wie, czym się kierowali Egipcjanie, wznosząc te budowle?

- Myślałem, że to grobowce faraonów - zdziwił się Talma.

-Te grobowce stoją puste. Kiedy przed setkami lat wdarli się tu arabscy rabusie i poszukiwacze skarbów, którzy tunelami przebili się wokół granitowych zapór mających na zawsze zamknąć wejścia, nie znaleźli żadnego króla, królowej czy nawet człowieka z gminu, których tam położono. Sarkofag miał odrzuconą pokrywę i był pusty. Nie było w nim żadnych napisów i nawet resztek skarbu lub ziemskich dóbr złożonych tam, żeby upamiętnić człowieka, dla którego wzniesiono tę piramidę. Największa budowla na Ziemi, wyższa niż najwyższe z katedr i pusta jak kubek wieśniaka. Być megalomaniakiem i zaprząć dziesiątki tysięcy ludzi do zbudowania sobie miejsca ostatniego spoczynku to jedno. Ale nie skorzystać z takiego grobu to rzecz całkiem inna!

Spojrzałem na Aszrafa, który nie nadążał ze śledzeniem prowadzonej po francusku rozmowy.

- Jak uważasz, po co wzniesiono te piramidy? - zapytałem po angielsku.

Wzruszył ramionami. Gigantyczna budowla zrobiła na nim znacznie mniejsze wrażenie niż na nas; całe życie spędził w Kairze.

247

- Żeby wspierały niebo.

Westchnąłem i ponownie zwróciłem się do Jomarda.

- Więc sądzisz, panie, że to mapa?

- To tylko jedna z hipotez. Według innej wymiary piramidy są znakami boskości. Ot tysiące lat architekci i inżynierowie odkrywali, że jedne proporcje i kształty wydają się bardziej zadowalające od innych. Ich stosunki wzajemne mają ciekawe własności matematyczne. Niektórzy uważają, że te subtelne proporcje ujawniają nam pewne prawdy uniwersalne. Kiedy nasi przodkowie wznosili wielkie świątynie gotyckie, usiłowali za pomocą ich wymiarów i proporcji geometrycznych wyrazić religijne koncepcje i ideały. Skutkiem miało być uczynienie budowli świętą samą z siebie. „Czymże

jest Bóg? - zapytał

kiedyś święty Bernard. - On jest długością, szerokością, wysokością i głębokością".

Przypomniałem sobie zainteresowanie Astizy Pitagorasem.

-1 co z tego? - zapytał Talma.

- A to, że dla starożytnych, którzy ją wybudowali, ta piramida może nie być obrazem świata, ale wizerunkiem Boga.

Wybałuszywszy niepewnie oczy na potężną budowlę, poczułem, że włos mi się jeży na karku. Piramida milczała, ale nie wiedzieć skąd dolatywał niski, buczący głos, jak szum w przyciśniętej do ucha muszli. Czyżby Bóg był liczbą albo wymiarem? W idealnej, wznoszącej się przede mną prostocie było coś boskiego.

- Sęk w tym - ciągnął Jomard - że wszystkie te teorie są trudne do zweryfikowania, dopóki nie dokona się pomiarów, które potwierdzą, czy wysokość piramidy i obwód jej podstawy są proporcjonalne do wymiarów naszej Ziemi. A tego się nie zrobi, dopóki nie odsłonimy podstawy piramidy i jej rogów. Potrzebna mi będzie niewielka armia arabskich kopaczy.

248

- Przypuszczam więc, że możemy wracać - zasugerował

uszcześliwiony Talma.

- Nie - zaproponował Jomard. - Możemy przynajmniej zacząć od pomierzenia jej wysokości od najniższego poziomu bloków, jaki możemy zobaczyć. Gage, niechże mi pan pomoże z taśmą.

Talma, proszę z największą starannością zapisywać wysokość każdego bloku, jaką panu podamy.

Mój przyjaciel spojrzał krytycznie w górę. -1

co, wespniemy się na wierzchołek?

- Minęło południe. Gdy dotrzemy na szczyt, zrobi się chłodniej.

Aszraf postanowił zostać na dole, uważając takie przedsięwzięcie za coś, czego mogli się podjąć jedynie stuknięci i porażeni przez słońce Europejczycy. Cóż, nie było łatwo. Gdy zaczęliśmy się wspinać, piramida zrobiła się jakby bardziej stroma.

- Kiedy patrzy się z dołu, złudzenie optyczne sprawia, że wydaje się bardziej przysadzista, niż jest - stwierdził Jomard.

- Nie powiedziałaś nam tego, panie, zanim zaczęliśmy wspinaczkę - warknął Talma.

Po pół godzinie męczącego podchodzenia dotarliśmy do połowy drogi. Czuliśmy się tak, jakbyśmy się wdrapywali na ogromne schody dla olbrzymów o stopniach z kamiennych bloków niemal metrowej wysokości. Gdyby którykolwiek z nas spadł, upadek mógłby mieć fatalne skutki. Starannie mierzyliśmy wielkość każdego bloku, a Talma wszystko skrupulatnie zapisywał.

- Popatrzcie tylko na rozmiary tych potworów - odezwał się w pewnej chwili. - Muszą ważyć po kilkanaście ton. Dlaczego nie wzięto do budowy mniejszych bloków?

- Może chodziło o jakieś inżynieryjne problemy? - podsunąłem.

-Nie ma żadnych wymagań architektonicznych, do-249

tyczących wielkości kamieni - odparł Jomard. - A jednak Egipcjanie wycinali te ogromne bloki, spławiali je na tratwach Nilem, taszczyli je w górę tego zbocza i jakoś wciągali na tę wysokość. Gage, jest pan ekspertem od elektryczności. Czy to możliwe, że do poruszania tych bloków używano tej tajemniczej siły?

- Gdyby tak było, musieliby zapanować nad czymś, co my dopiero zaczynamy rozumieć. Jomard, mogę skonstruować maszynę, która sprawi, że poczujecie mrowienie na skórze, ale nic pożytecznego z tego nie wyniknie. - Po raz kolejny już poczułem, że się nie nadaję do misji, której się podjąłem.

Rozejrzałem się, szukając czegoś uchwytneho.

- Coś tu mamy - stwierdziłem, wskazując dłonią. -Niektóre z tych kamieni zawierają muszle.

Francuski uczoney spojrział tam.

- Istotnie - potwierdził. Pochylił się, żeby zbadać wapienny blok. - Nie są to muszle, ale skamieliny, jakby te bloki pochodziły z morskiego dna. Ciekawe, że na podobne znaleziska można natrafić i w górach europejskich. Wywołały one nową dyskusję dotyczącą wieku Ziemi. Niektórzy utrzymują, że morskie stworzenia zaniósł tam wody potopu, inni jednak twierdzą, że nasz świat jest znacznie starszy, niż podaje Biblia, i dzisiejsze góry wyrosły z dna oceanów.

- Jeżeli to prawda, to i piramidy mogą być starsze od czasów biblijnych - powiedziałem.

- Owszem. Zmiana skali czasu wszystko zmienia. - Po-wiódł wzrokiem po wapieniu, podziwiając odciski muszli. -

Spójrz, panie Gage! Mamy tu nawet nautilusa!

Talma i ja spojrzeliśmy ponad jego ramieniem. W bloku piramidy widniał przekrój spiralnej muszli nautilusa, jeden z najpiękniejszych kształtów w przyrodzie. Małe komórki w środku rozwijały się w coraz większe, w bardzo harmonijnej proporcji, zgodnie ze wzrostem morskiego pływaka.

-I jakież myśli w was to budzi, panowie? - zapytał Jo-mard.

- O ostrzygach - mruknął Talma. - Zgłodniałem.

Jomard zignorował tę uwagę, patrząc na muszlę z fascynacją, której nie mogłem pojąć. Minęło kilka długich minut, podczas których bałem się nawet spojrzeć w dół z naszej półki.

Na naszej wysokości krążył jastrząb. Ten widok sprawił, że zakręciło mi się w głowie.

- Jomard? - ponagliłem go w końcu. - Nie musi się pan tak gapić na tę skamieniałość. Ona nigdzie nie ucieknie.

Jakby w odpowiedzi uczony wyjął ze swego worka czekan i ostukał krawędzie bloku. W pobliżu skamieliny była już szczelina, którą Jomard pogłębiał, aż w końcu udało mu się odłupać nautilusa.

-Czy to być może? - mruknął do siebie, obracając muszlę w dłoni, żeby zobaczyć wzór w świetle i w cieniu. Wyglądało na to, że zapomniał i o nas, i o celu misji.

- Jesteśmy jeszcze dość daleko od szczytu - ostrzegłem go - i robi się późno.

-Tak. Tak. - Zamrugał jak człowiek budzący się ze snu. -

Pozwólcie mi się zastanowić. - Włożył muszlę do worka. -

Gage, niechże pan przytrzyma taśmę. Talma, pan przygotowuje ołówki!

Dotarcie do wierzchołka zajęło nam kolejne pół godziny ostrożnej wspinaczki. Nasze pomiary wskazywały, że wznosił

się na sto trzydzieści osiem metrów, ale mogliśmy to ocenić tylko z grubsza. Spojrzałem w dół. Nieliczni francuscy żołnierze i garstka Beduinów wyglądali z tej wysokości jak mrówki. Na szczęście szczyt piramidy zniosły wiatry, powstała tam więc niewielka płaszczyna o wielkości może łóżka, na której mogliśmy stanąć.

Poczułem się bliski niebiosom. Nie otaczały mnie rywalizujące z piramidą wzgórza, była tylko płaska pustynia i kręta, srebrna nić Nilu z pasmami zieleni po obu stronach. Za rzeką widać było tysiączne minarety Kairu i dawało 251

się słyszeć śpiewne nawoływania wiernych do modlitwy. Pole bitwy pod Imbabą było pokrytą pyłem płaszczyną z jamami, do których powrzucono trupy.

Jomard ponownie wyjął skamieniałego nautilusa.

- Jest w tym jakaś czystość, nie sądzicie, panowie? Ta świątynia ją w sobie ogniskuje. - Pochyliwszy się, zaczął

kreślić jakieś figury.

-1 niewiele więcej - stwierdził Talma, przybierając postawę demonstracyjnej rezygnacji. - Czy

wspominałem, że jestem głodny?

Jomard jednak znów się zagubił w świecie własnych myśli, w końcu więc obaj umilkliśmy, bo takie zachowania uczonych nie były nam obce. Wydawało mi się, że widzę krzywiznę planety, ale potem ofuknąłem w myślach sam siebie za uleganie złudzeniom wysokości. Na szczycie tej budowli było jednak ognisko swoistej czystości, rad więc byłem naszej pełnej ciszy izolacji. Czy był tu kiedy jakiś inny Amerykanin?

Jomard wstał nagle, wziął kawał piaskowca wielkości pięści i cisnął go przed siebie tak daleko, jak mógł. Śledziliśmy go wzrokiem, zastanawiając się, czy doleci do podstawy. Nie doleciał - z łoskotem uderzył o niższe bloki i rozbił się na kawałki, które z grzechotem opadły jeszcze niżej.

Francuz patrzył przez chwilę na zbocze, jakby się zastanawiał nad następnym rzutem. Potem odwrócił się do nas.

-Ależ oczywiście! To takie proste! Gage, twoje oko okazało się kluczem!

Spojrzałem nań zdumiony.

- Naprawdę?

- Na jakże niezwykłej budowli stoimy! Cóż za kulminacja myśli, filozofii i obliczeń! Zobaczyłem to wszystko dzięki nautilusowi!

Talma uniósł wzrok ku niebu.

252

- Co pan zobaczył, Jomard?

-Jakby to wam, panowie... Czy którykolwiek z was słyszał

o ciągu Fibonacciego?

Milczenie było dostatecznie wymowne.

- Około roku tysiąc dwusetnego przybył do Europy razem z Leonardem z Pizy, zwanym też Fibonaccim, który wrócił z Egiptu, gdzie studiował matematykę u arabskich uczonych.

Ale prawdziwe początki ciągu są znacznie starsze i nikt nie wie, kto jest jego odkrywcą. Spójrzcie panowie. - Pokazał nam swój papier. Wypisał na nim ciąg liczb: 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55. - Czy dostrzegacie jakąś prawidłowość?

- Kiedyś to wypróbowałem na loterii - mruknął Tal-ma. -

Przegrałem.

- Ale czy wiesz, panie, jak to działa? - nie rezygnował

uczony. - Każda kolejna liczba jest sumą dwu poprzednich.

Kolejną byłaby liczba 89, jako suma 34 i 55.

- Fascynujące - stwierdził Talma.

- Najbardziej zaskakujące w tym ciągu jest to, że w geometrii można go przedstawić nie w postaci liczb, ale jako pewien wzór geometryczny. Uczynimy to, rysując kwadraty. -

Nakreślił dwa małe kwadraty i w każdy wpisał liczbę 1. -

Widzicie, mamy tu dwa pierwsze wyrazy ciągu. Teraz nakreślimy trzeci obok dwu pierwszych o boku równym sumie ich boków i zaznaczmy go jako dwa. Następnie dostawmy kwadrat o boku równym sumie jeden i dwa i nazwijmy go trzy.

Widzicie? - Szkicował zapamiętane. -Bok każdego nowego kwadratu jest sumą boków dwu poprzednich. Kwadraty szybko zajmują coraz większą powierzchnię.

Wkrótce rysunek wyglądał tak:

253

1,6180339

8

13

5

12

1

- Co znaczy ta liczba na górze... jeden przecinek sześć i coś tam jeszcze? - zapytałem.

- To stosunek długości boku każdego z kwadratów do następnego - odparł Jomard. - Zechciejcie panowie zauważyć, że stosunek boków kwadratu dwa do trzy jest mniej więcej taki, jak osiem do trzynastcie.

- Nie rozumiem?

- Widzisz, panie, jak górny bok kwadratu trzy jest po-dzielony na dwie nierówne części przez punkt wspólny dla kwadratu jeden i dwa? - ciągnął cierpliwie Jomard. - Proporcja pomiędzy linią dłuższą i krótszą powtarza się nieustannie, niezależnie od tego, jak wielki szkic nakreślimy. Stosunek ten tworzy pewien ciąg liczbowy, którego granicą jest tysiąc sześćset osiemnaście, którą to liczbę Grecy i Rzymianie nazywali złotą liczbą lub złotym podziałem.

Obaj z Talną nagle się wyprostowaliśmy.

- Chce pan powiedzieć, że jest tu złoto?

- Nie, kretyni! - Jomard potrząsnął głową z przesadnie udanym rozczarowaniem. - Ta proporcja wydaje się doskonała w architekturze lub w monumentalnych budowlach, 254

takich jak piramidy. W tym stosunku jest coś szczególnie miłego dla oka. Wedle tych boskich proporcji wznoszono katedry. Malarze renesansu dzielili swe obrazy na trójkąty i prostokąty zgodnie z zasadą złotego podziału, żeby osiągnąć harmonię kompozycji. Grecy i rzymscy architekci korzystali z tej proporcji, budując świątynie. Teraz musimy potwierdzić mój domysł pomiarami bardziej precyzyjnymi niż te, jakich dokonaliśmy dzisiaj, ale przecucie mi mówi, że zbocza piramidy nachylone są pod takim kątem, żeby dokładnie oddawać ten stosunek.

- A co ma z tym wspólnego nautilus?

-Do tego właśnie zmierzam. Po pierwsze, wyobraźcie sobie linię przeciągniętą od naszych stóp pionowo aż do podstawy tego kolosa, prosto do pustynnych piasków.

- Po tej *całej* wspinaczce mogę tylko stwierdzić, że bę dzie długa - westchnął Talma.

-Owszem - zgodził się Jomard. - Będzie tego ponad sto trzydzieści metrów. - A teraz wyobraźcie sobie linię od środka piramidy do jej zewnętrznej krawędzi.

- To będzie połowa szerokości podstawy - stwierdziłem, czując, że w rozumowaniu pozostają dwa kroki za Jomardem.

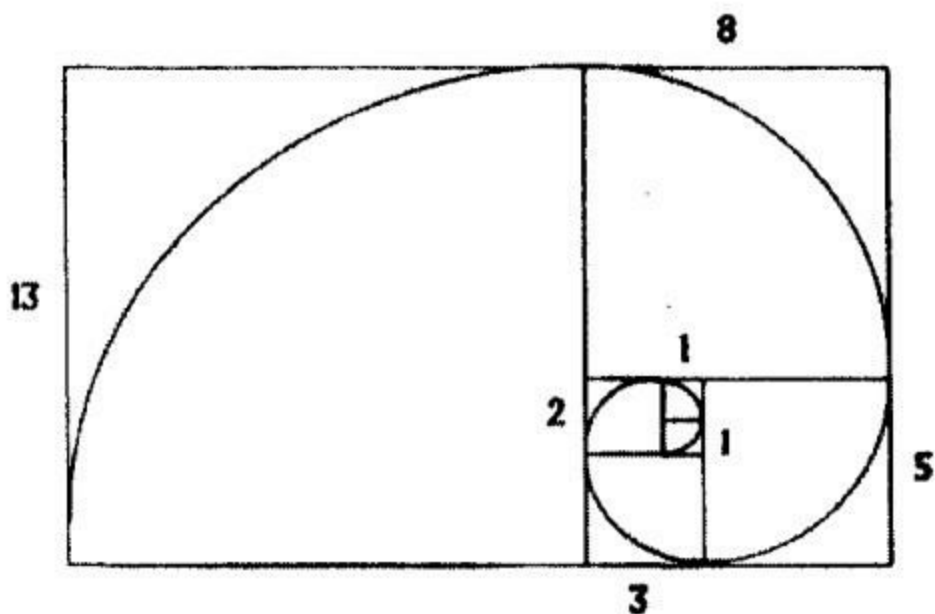
To samo uczucie towarzyszyło mi podczas rozmów z Franklinem.

- Właśnie! - zawołał Jomard z uniesieniem w głosie. -Gage, ma pan smykałkę do matematyki! A teraz

wyobraźcie sobie linię przecinającą z boku od połowy podstawy aż do wierzchołka, która zamknie trójkąt. Uważam, że stosunek wysokości piramidy do wysokości jej boku będzie właśnie ową złotą liczbą, dokładnie tak jak na moim rysunku! - Spojrzał na nas z tryumfem w oku.

Odpowiedzieliśmy mu spojrzeniami wyrażającymi całkowite niezrozumienie.

- Nie widzicie? Piramidę zbudowano tak, żeby zawierała liczbę Fibonacciego, złoty podział odcinka, który ar-255



tyści zawsze uważali za najbardziej harmoniczny. Nam się nie wydaje, że to prawidłowe, bo to jest prawidłowe!

Talma spojrział na dwie spore, sąsiadujące z naszą piramidą.

- Tamte też zbudowano wedle podobnej koncepcji? Jomard potrząsnął głową.

- Nie. Podejrzewam, że ta jest szczególna, unikatowa.

- Przykro mi, Jomard - rzekł dziennikarz. - Cieszy mnie pański entuzjazm, ale to, że wyimaginowane linie równa ją się jeden przecinek sześć, czy co tam pan mówił, wydaje mi się jeszcze głupszym powodem budowy piramidy niż nazwanie ostrosłupa półkulą lub wznoszenie grobu, w którym nie zamierzasz dać się pogrzebać. Wydaje mi się absurdalnie możliwe, że jeśli cokolwiek z tego jest prawdą, to pańscy starożytni Egipcjanie byli co najmniej tak samo szaleni jak mądrzy.

-1 w tym właśnie się mylisz, przyjacielu - odparł wesoło uczonec. - Ale nie mam pretensji do pańskiego sceptycyzmu, ponieważ sam nie widziałem prawdy, którą mieliśmy przed oczami, dopóki nasz bystrooki Gage nie pomógł mi znaleźć skamieliny nautilusa. Widzisz, ciąg Fibonacciego, przełożony na geometrię Fibonacciego, odzwierciedla jedną z najpiękniejszych proporcji w

przyrodzie. Nakreśliśmy łuk przez te kwadraty, od jednego do drugiego, i połączmy te łuki. -

Narysował coś na swoim szkicu. - I oto mamy rezultat.

256

- Proszę. Co wam to przypomina?

- Nautilus - stwierdziłem nieśmiało. Uczony był diabelnie bystry, choć wciąż jeszcze nie wiedziałem, do czego zmierza.

- Właśnie! Wyobraźcie sobie, że powiększam rysunek, dodając do niego kwadraty dwadzieścia jeden, trzydzieści cztery i tak dalej. Ta spirala będzie rosła, coraz bardziej okrągła i wielka, i będzie jeszcze bardziej podobna do nautilusa. Na tę proporcję natykamy się niemal wszędzie. Kiedy weźmiecie ciąg Fibonacciego, przekształćcie go w geometrię, a następnie rozejrzycie się w przyrodzie, przekonacie się, że ten doskonały wzór, tę idealną spiralę stosował sam Bóg.

Znajdziecie ją w sosnowych szyszkach i w kwiecie słonecznika. Liczby płatków wielu kwiatów są kolejnymi wyrazami ciągu Fibonacciego. Lilia ma trzy, żonkil pięć, ostróżka osiem, rumianek trzystaście, niektóre astry dwadzieścia jeden i stokrotki trzydzieści cztery. Nie wszystkie rośliny trzymają się tego wzoru, ale wiele tak, ponieważ to najbardziej prosta droga wzrostu nasion czy płatków ze wspólnego środka. Jest w nim także wiele piękna. Czy teraz widzicie, jak cudownym tworem jest piramida? - Skinieniem głowy wyraził zadowolenie z tak precyzyjnego wyjaśnienia.

- Czy to kwiatek? - zapytał Talma, przejmując za mnie rolę ordynusa.

- Nie. - Jomard się bynajmniej nie spieszył. - Budowla, na której szczyt się wspięliśmy, nie jest li tylko mapą świata, panie dziennikarzu. Nie jest nawet wizerunkiem Boga. W

istocie jest symbolem wszelkiego stworzenia, życiodajnej siły, matematycznym przedstawieniem działania wszechświata. Ta masa kamiennych bloków jest wcieleniem nie tylko boskości, ale samego sekretu istnienia. W jej wymiarach zakodowano fundamentalne prawdy naszego świata. Liczby Fibonacciego są samą naturą w najbardziej efektywnym i pięknym apogeum boskiej inteligencji. Ta

257

piramida jest ich wcieleniem, a zatem jest wcieleniem samego Boga. - Uśmiechnął się marzycielsko. - Wszelkie prawdy zawarte są w wymiarach tej pierwszej wielkiej budowli, i wszystkie zostały dawno zapomniane.

Talma wytrzeszczył oczy, jakby nasz towarzysz zwariował.

Usiadłem, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Czyżby piramidę w istocie zbudowano po to, żeby uświęcić te liczby?

Rzecz wydała mi się obca naszemu sposobowi myślenia, ale może starożytni widzieli te sprawy inaczej. Czyżby więc mój medalion był czymś w rodzaju matematycznej wskazówki albo podobnym

symbolem? A może uczony dopatrywał się w tej kupie kamieni czegoś, co nigdy nie było zamierzeniem jej budowniczych?

Gdzieś na morzu był *L'Orient*, w którego ładowni spoczywał kalendarz mogący być kluczem do zagadki, i wyglądało na to, że powinienem go zbadać w następnej kolejności. Uniosłem dłoń, żeby dotknąć ukrytego pod koszulą medalionu, i nagle odczułem niezadowolenie, że go tam nie ma. Może Talma miał rację, a ja byłem zbyt naiwny? Czy dobrze zrobiłem, zaufawszy Enochowi? Przypomniawszy sobie prostokątny trójkąt Jomarda, wyobraziłem sobie ramiona medalionu jako pręty różdżki wskazującej coś leżącego daleko w dole pod moimi stopami.

Spojrzałem w dół, ślizgając się wzrokiem po przyprawyającej o zawrót głowy drodze, którą niedawno przebyliśmy.

W cieniu piramidy spacerował Aszraf, patrzący w piasek zamiast w niebo.

ROZDZIAŁ 12

Kiedy poprosiłem Napoleona o zgodę na powrót na okręt flagowy, był w dobrym humorze, okazując żartobliwą dobroduszość człowieka, który czuje, że jego marzenia o zdobyciu chwały na Wschodzie zaczynają się ziszczać.

Podczas gdy w ciasnej Europie był jednym z wielu generałów usiłujących się wybić, tu niczym nowy faraon mógł poczuć własną wszechmoc. Rozkoszował się zdobyczami wojennymi, konfiskując skarby mameluków i powiększając własny majątek. Próbował wdziąć na siebie szaty osmańskiego wielmoży, choć uczynił to tylko raz z takim skutkiem, że jego generałowie ryknęli śmiechem.

Choć czarna chmura, jaka ogarnęła Napoleona, gdy się dowiedział o niewierności Józefiny, nie rozwiązała się cał-

kowicie, ulżył swemu bólowi, sam biorąc sobie kochankę.

Zgodnie z miejscowym zwyczajem Francuzi obejrzeni paradę kurtyzan, które zaprezentowali tutejsi bejowie, ale gdy oficerowie zrezygnowali z usług większości, uznawszy, że są zbyt otyłe i mocno już zużyte - Europejczycy gustowali w kobietach młodych i smukłych - Bonaparte pocieszał się w ramionach

szesnastoletniej

córki

szejka

El--Bekriego,

dziewczyny o imieniu Zenab. Jej ojciec zaoferował dziewczynę za pomoc w rozstrzygnięciu sporu z innym szejkiem; przedmiotem sporu był młody chłopiec, którego obaj sobie upodobali. Chłopca przyznano ojcu Zenab, a Napoleon dostał

dziewczynę.

Panienka owa, która pokornie poddała się wyrokowi 259

i ustaleniom, wkrótce stała się znana jako „Generalska Egipcjanka”. Bonaparte nie był od tego, żeby samemu oszukiwać niewierną żonę, Zenab zaś pochlebiało, że „Sułtan Kebir”

wybrał ją zamiast kobiet dojrzałych i bardziej doświadczonych. Po kilku miesiącach dziewczyna znudziła generała i zaczął romansować z młodą i piękną Fran-cuzeczką, Pauline Foures, jej męża porucznika wysyłając z jakąś misją do Francji. Brytyjczycy, którzy o romansie wiedzieli z przejętych listów, zdobyli wiozący oficera okręt i kierując się swoistym poczuciem honoru, odstawili go z powrotem do Egiptu, co skomplikowało miłość Napoleona. I tak toczyła się wojna, w której ploteczki stawały się polityczną bronią. Żyliśmy w wieku, w którym miłość łączyła się z polityką, i fascynowała nas drzemiąca w Napoleonie aż nazbyt ludzka mieszanka marzeń o panowaniu nad światem i upodobanie do drobnych miłostek. Był Prometeuszem i Każdym, tyranem i republikaninem. Idealistą i cynikiem w jednym.

Tymczasem Bonaparte zaczął zmieniać Egipt. Pomimo zazdrości jego kolegów generałów dla naszej uczonej braci jasne było, że bystrością umysłu przewyższa każdego z nich. Ja oceniam inteligencję nie tyle z posiadanej przez kogoś wiedzy, ile z jego żądy poznania, a Napoleon chciał wiedzieć o wszystkim. Pochłaniał informacje jak żarłok jedzenie, a zakresem zainteresowań przewyższał każdego z nas, nawet Jomarda. Z kolei gdy stawał wobec jakiegoś problemu wojskowego, potrafił odsunąć na bok swoją ciekawość świata, jakby zamykając ją w szafce, i skupiał się wyłącznie na rozwiązaniu zagadnienia. Taka kombinacja jest nadzwyczaj rzadka. Bonaparte marzył o przekształceniu Egiptu, tak jak Aleksander o przebudowie imperium perskiego. Wysyłał do Francji jedno memorandum za drugim, żądając wszystkiego: od nasion po chirurgów. Jeżeli Macedończyk założył

Aleksandrię, Napoleon postanowił stworzyć najbogatszą kolonię dla Francji w całej jej histo-260

rii. Z lokalnych bejów powołał „dywan”, szukając u nich pomocy w zarządzaniu i nakładaniu podatków, podczas gdy jego naukowcy i inżynierowie byli bombardowani żądaniami kopania studni, konstruowania wiatraków, poprawiania stanu dróg i wydobywania minerałów. Kair miał zostać przebudowany. Po epoce przesądów miał nastać wiek nauki.

Rewolucja zdobyła sobie przyczółek na Bliskim Wschodzie.

Kiedy więc zgłosiłem się u niego z prośbą o zezwolenie powrotu na okręt flagowy, był w tak przychylnym nastroju, że zamiast mnie ofuknąć, zapytał:

- Gage, co właściwie powie panu ten starożytny kalendarz?

- Być może dzięki niemu zdołam lepiej zrozumieć znaczenie mojego medalionu i misji, znajdując kluczowy rok czy datę. W tej chwili nie wiem, jak to zrobić, ale jeżeli ów kalendarz będzie leżał w ładowni okrętu, to na nic nikomu się nie przyda.

- Ale tam przynajmniej nikt go nie ukradnie.

- Generale, zamierzam go badać, nie sprzedać.

- Oczywiście, Gage. I z pewnością odkrywając jakieś tajemnice, podzielisz się nimi ze mną, człowiekiem, który pomógł ci uniknąć oskarżenia o zabójstwo we Francji.

- Generale, teraz pracuję razem z zespołem pańskich uczonych.

- To dobrze. Wkrótce być może dostaniesz pomoc.

- Pomoc?

- Zobaczysz. Tymczasem mam nadzieję, że nie zechcesz porzucić naszej ekspedycji, odpływając na jakimś statku do Ameryki. Rozumiesz, Gage, że jeśli pozwolę ci wrócić na *UOrient* po ten kalendarz, twoja niewolnica i ten mamelucki jeniec zostaną tu, w Kairze, pod moją opieką. - Obrzucił mnie baczny spojrzeniem.

- Ależ oczywiście. - Pojąłem, że uznał, iż z Astizą łączy mnie znacznie więcej, niż gotów byłbym to przyznać. Czy 261

naprawdę dbałbym o to, że ona jest zakładniczką mojej lojalności? Czy rzeczywiście była gwarancją mojego powrotu?

Nie myślałem o niej w taki sposób, a jednak ta dziewczyna mnie intrygowała i mogłem tylko podziwiać przenikliwość Napoleona, który przejrzał moje zainteresowanie. Wydawało się, że nic nie uchodzi jego uwagi. - Szybko do nich wrócę. Ale chciałbym jednak wziąć ze sobą mojego przyjaciela Talmę.

- Tego pismaka? Potrzebuję go tutaj do opisywania mojej administracji.

Talma jednak był niespokojny. Prosił, żeby mógł pojechać ze mną, bo chciał nasycić się widokami Aleksandrii, a mnie cieszyło jego swarliwe towarzystwo.

- Chciałby jak najszybciej wysłać korespondencję. Prag nie także poznać lepiej Egipt, w interesie przysłych francuskich podbojów.

Napoleon przez chwilę się zastanawiał.

- Ale sprowadź go tu ponownie najdalej za tydzień, Gage.

- W najgorszym wypadku wrócimy do dziesięciu dni.

- Gage, dam ci rozkaz dla admirała Brueys'a, o który prosisz, a Monsieur Talma może zawieźć inne do Aleksandrii.

Po powrocie obaj złożycie mi sprawozdania i powiecie, coście widzieli.

Pomimo złych przeczuć Talmy po długim namyśle postanowiłem zostawić medalion u Enocha. Przekonał mnie argument, jakiego użyła Astiza; medalion był bardziej bezpieczny w piwnicy starego uczonego niż noszony po całym Egipcie. Wracając w dół Nilu, odczuwałem ulgę, że medalion nie zwisa z mojej narażonej na rozmaite niebezpieczeństwa szyi i jest bezpieczny. Co prawda zostawienie wisiora było oczywistym ryzykiem po przywiezieniu go z takim trudem z Paryża do Kairu, ale dopóki nie wiedzieliśmy, czemu służy, był dla nas bezużyteczny i niewiele

262

mogłem wymyślić. Wydawało mi się, że Enoch jest moją największą szansą - a poza wszystkim innym jestem hazardzistą i ryzykantem. Miałem też słabość do kobiet, więc założyłem, że Astiza ma pewne zobowiązania wobec mnie i moich poszukiwań, Enoch zaś zbyt interesuje się rozwiązaniem zagadki, żeby medalion sprzedać. Niech wertuje swoje księgi.

Ja tymczasem zbadam kalendarz na pokładzie *UOrientu*, licząc na to, że znajdę jakąś podpowiedź czy wskazówkę i być może razem uporamy się z tą tajemnicą. Przykazałem Astizie, żeby została z Enochem, nie wysuwając nosa na ulicę, i poleciłam Aszrafowi, żeby strzegł obojga.

- Czy nie powinienem odprowadzić cię, efendi, na wybrzeże?

- Bonaparte uważa, że wrócę, jeżeli ty zostaniesz tutaj. I wrócę. - Klepnąłem go w ramię. - Wszyscy w tym domu jesteśmy współnikami, obywatelu Asz. Przecież mnie nie zdradzisz, prawda?

Były mameluk wyprostował się jak struna.

- Będę strzegł domu, choćby za cenę życia.

Zabieranie mojej ciężkiej strzelby na krótką wycieczkę po podbitym kraju nie bardzo mi było w smak, ale też nie chciałem, żeby zajmował się nią i bawił ktoś inny. Po krótkim namyśle przypomniałem sobie uwagę Asza na temat przesądów i strachu przed klątwą, a potem schowałem ją razem z tomahawkiem obok mumii w jednym z sarkofagów Enocha.

Tam powinna być bezpieczna.

Żeby dostać się w dół Nilu, wynajęliśmy jedną z miejscowych feluk. Te śmigłe łódeczki, pomykające pod trój-kątnymi żaglami w górę i w dół rozległej rzeki, były tu tak samo pospolite jak osiołki na uliczkach Kairu. Po kilkunastu minutach hałaśliwych targów wsiedliśmy na pokład i popłynęliśmy do Abukiru w łodzi żeglarza, który nie mówił po angielsku ani po francusku. Język znaków rozumiał jednak doskonale i rejs był bardzo przyjemny.

263

Gdy ponownie wpłynęliśmy na wody żyznej delty Nilu poniżej Kairu, uderzył mnie niezwykle, ponadczasowy spokój mijanych wiosek; tak jakby Francuzi nigdy tu nie wkroczyli.

Obładowane osiołki przносиły niezwykle wielkie pęki słomy.

Na płyciznach bawili się w wodzie mali chłopcy, nie zwracający uwagi na leniwie drzemiące niczym drewniane kłody na brzegach kanałów krokodyle. Z wysepek porośniętych zielonymi trzcinami wzbijały się w górę chmary białych czapli.

Pomiędzy łodygami papirusów śmigwały srebrne ryby. Z głębin Afryki napływały Nilem zielone kępy roślinnych wysepek porośniętych liliami i lotosami. Na płaskich domkach dachów siadywały dziewczęta w jaskrawych sukniach sortujące czerwone daktyle.

- Nie miałem pojęcia, że tak łatwo podbić obcy kraj -

stwierdził Talma, gdy prąd niósł nas w dół rzeki. - Kilkuset zabitych i oto jesteśmy panami ziemi, z której wzięła początek nasza cywilizacja. Skąd Bonaparte to wiedział?

- Łatwiej podbić kraj, niż nim zarządzać - stwierdziłem.

- Właśnie. - Talma oparł się o burtę i leniwie potoczył

wzrokiem po okolicy. - Jesteśmy panami w tym kraju upałów, much, łajna, bezpańskich psów i niepiśmiennych wieśniaków.

Władcy słomy, piasku i zielonej wody. Powiadam ci, z tego właśnie tworzy się legendy.

- To twoja specjalność, jesteś dziennikarzem.

-Pod moim piórem Napoleon staje się wizjonerem. Zgodził

się, żebym cię zabrał ze sobą, bo obiecałem mu, że napiszę jego biografię. Nie żebym był temu przeciwny. Powiedział mi, że wroga prasa może być groźniejsza od tysięcy bagnatów, ale ja mogę wznieść się razem z nim. Właściwie tego się chyba spodziewałem. Im większego uczynię zeń bohatera, tym szybciej nasyci swoją ambicję i będziemy mogli wrócić do domu.

264

Skwitowałem uśmiechem to przesycone cynizmem widzenie świata, właściwe Francuzom po wielu stuleciach historii pełnej wojen, królów i terroru. My, Amerykanie, jesteśmy bardziej niewinni, pochopni, bardziej uczciwi -i łatwiej ulegamy rozczarowaniom.

- A jednak piękny to kraj, czyż nie? - zapytałem. - Zdumiewa mnie, jak żyzne są te pola. Zalewowe tereny nad Nilem są zielonym ogrodem, ale przechodzą w pustynię tak nagle i wyraźnie, że ostrzem miecza możesz wytyczyć granicę. Astiza powiedziała mi, że Egipcjanie z powodu barwy gleby nazywają te żyzne ziemie czarnym krajem, a pustynie czerwonym... z tej samej przyczyny.

- A ja nazwę tę ziemię brązowym krajem od barwy lepionych z błota cegieł, hałaśliwych wielbłądów i niesfornych osłów. Aszraf opowiedział mi historię Egipcjanina, który się uratował z tonącego statku i wrócił do swojej wioski, gdzie od lat uważano go za nieboszczyka. Choć był nieobecny niemal tak długo jak Odyseusz, jego wierna żona i dzieci wybiegły mu na spotkanie. A jak on ich powitał? „Ach, a gdzie jest mój osioł?”

Uśmiechnąłem się.

- Jak zamierzasz spędzić czas w Aleksandrii?

- Obaj pamiętamy, jakim to miasto jest rajem. Chcę poczynić pewne notatki i zadać kilka pytań. Są tam tematy książek do napisania... bardziej interesujących niż hagiografia Bonapartego.

- Ciekawi mnie, czy będziesz pytał o Achmeda bin Sa-dra?

- A ty jesteś pewien, że to jego widziałeś w Paryżu?

-Nie. Było ciemno, ale głos brzmiał tak samo. Mój przewodnik miał wyrzeźbioną w kształt węża laskę, na której zawiesił latarnię. A potem Astiza uratowała mnie przed wężem w Aleksandrii. On zaś za bardzo się mną interesował.

- Wydaje się, że Napoleon bardzo na nim polega.

265

-A może Bin Sadr naprawdę nie pracuje dla Bona-partego, ale dla zakonu ryty egipskiego? Może jest narzędziem w ręku hrabiego Silana, któremu tak bardzo zależało na tym, żeby dostać ten medalion w swoje ręce? Może on naprawdę miał coś wspólnego z morderstwem biednej Minette? Za każdym razem, kiedy na mnie patrzy, czuję, że się zastanawia, czy mam przy sobie ten medalion.

- Chcesz, żebym przeprowadził dla ciebie śledztwo?

- Bardzo dyskretne. Mam już dość niespodzianek.

- Pójdę, dokąd zawiedzie mnie prawda. Od szczytu po dno, od głowy po... - zerknął demonstracyjnie na moje buty - stopy.

Wyznanie było dość oczywiste.

- To ty wzięłaś moje buty na *L'Oriencie*?

-Nie zabrałem ich, Ethanie. Pożyczyłem tylko, żeby coś zbadać.

- A udawałaś, że to nie ty.

- Trzymałem to w sekrecie przed tobą, tak jak ty ukrywałaś przede mną medalion. Martwiłem się, że straciłem go, gdy te opryszki napadły na nasz dyliżans, ale krępowałem się ci o tym powiedzieć. Wstawiłem się za tobą do Bertholleta, licząc na ten medalion, ale gdy ponownie zobaczyliśmy się w Tulonie, nie pokazałaś mi, że jednak go masz. Co miałem myśleć?

Odpowiadałem przed uczonymi za ustalenie, jaką grę prowadzisz.

-Nie prowadziłem żadnej gry. Po prostu za każdym razem, kiedy pokazywałem komuś ten medalion,

popadałem w kłopoty.

- Dlatego zabrałem cię z Paryża. Mógłbyś mi choć trochę zaufać.

Ryzykował życie, żeby mnie tu sprowadzić, a ja nie potraktowałem go jak godnego zaufania partnera. Nic dziwnego, że był zazdrosny.

- Mogłeś nie ruszać moich butów - upierałem się.

266

-Ukrycie tego medalionu nie przeszkodziło jednak twoim wrogom wrzucić ci do łóżka węża, prawda? A tak przy okazji, o co chodzi z tymi wężami? Nie cierpię ich.

-Astiza powiedziała, że jest jakiś wężowy bóg - odparłem rad ze zmiany tematu. - Jego wyznawcy dotrwali aż do naszych czasów i być może właśnie wśród nich powinniśmy poszukać naszych nieprzyjaciół. Wiesz, ta zakończona głową węża laska Bin Sadra przypomniała mi pewną biblijną historię.

Mojżesz rzucił swój posoch przed faraona i laska zamieniła się w węża.

- To co, dochodzimy już do Mojżesza?

- Antoine, tak samo jak ty błędzę w mroku niewiedzy.

- No, niezupełnie. Mojżesz miał przynajmniej tyle rozumu, że wyprowadził swój lud z tego zwariowanego kraju.

- To stara historia, prawda?

-Jaka?

- Te dziesięć plag, które zapowiedział Mojżesz. Z każdą kolejną faraon ustępuje i powiada, że pozwoli Izraelitom wyjść z Egiptu. Potem odwołuje pozwolenie i Mojżesz sprowadza następną plagę. Naprawdę musiało mu zależeć na tych niewolnikach.

- Aż do ostatniej... śmierci pierworodnych synów. Wtedy faraon pozwolił im odejść.

-Ale i w tym wypadku się rozmyślił i podjął pościg na czele swej armii. Gdyby tego nie zrobił, nigdy by nie utonął ze swymi ludźmi w Morzu Czerwonym. Dlaczego nie zrezygnował? Dlaczego po prostu nie pozwolił Mojżeszowi odejść?

- Faraon był uparty jak ten nasz mały generał. Może taka jest właśnie nauka, jaką powinniśmy wyciągnąć z tej opowieści... niekiedy trzeba pozwolić, żeby sprawy poto czyły się własnym torem. Tak czy owak, popytam o twoje go wężowego przyjaciela, dziwi mnie jednak, że nie zapytałeś o tę drugą osobę.

- Kogo mianowicie?

- Oczywiście o Astizę.

- Jest dość powściągliwa. Jako ludzie honoru powinniśmy uszanować jej kobiece tajemnice.

Talma prychnął.

-A teraz ma medalion... ten sam, którego nie dałeś mi obejrzeć i którego nie zdołał dostać w swoje łapy ten obrzydliwy Bin Sadr.

- Nadal jej nie ufasz?

- Zaufać niewolnicy, która potrafi strzelać i jest piękną wiedźmą? Nie. I wiesz co? Ja ją nawet lubię.

- Ona nie jest wiedźmą.

- Sam mi powiedziałeś, że jest kapłanką, która rzuca zaklęcia. Niewątpliwie rzuciła czar na ciebie i narzuciła nam powód, dla którego tu przybyliśmy.

- Ona jest współniczką. Sojuszniczką.

- Chciałbym, żebyś wziął ją w łóżku, jak pan niewolnicę...

do czego masz pełne prawo... mógłbyś wtedy spojrzeć na nią chłodnym okiem i przekonać się, kim jest naprawdę.

- Jeśli ją zmuszę, żeby ze mną spała, to nie będzie miało znaczenia.

Talma potrząsnął głową, jak człowiek, który lituje się nad głupcem.

- Tak czy owak, zamierzam wypytać o Astizę, nawet jeżeli ty nie chcesz tego zrobić, bo dowiedziałem się jednej rzeczy, o której ty nie masz pojęcia.

-1 cóż to takiego?

- Przedtem, kiedy mieszkała w Kairze, była jakoś po-wiązana z pewnym Europejczykiem, który badał sekrety starożytnych.

- Któż to był?

- Szlachcic podający się za Włocha i Francuza o nazwisku Alessandro Silano.

de Brueys d'Aigalliers, który niedawno obserwował napoleońskich żołnierzy opuszczających

jego

okręty

z

ulgą

wychowawcy

wypuszczającego spod opieki niesforną klasę, stworzył tu nieprzebyty wał ze stali i drewna. Jego okręty stały zakotwiczone w długiej linii, z otwartymi ambrazurami i lufami dział wymierzonymi w morze. Rześka północno-zachodnia bryza kołysała okręty niby majestatyczne kolebki.

Dopiero kiedy zbliżaliśmy się od brzegu ku tym okrętom, zorientowałem się, że były jedynie w połowie gotowe do wojny i bitwy. Francuzi zakotwiczili w odległości półtorej mili na przybrzeżnej płyciźnie, a na odwróconych ku brzegowi burtach wrzały prace remontowe. Marynarze pozsuwali w dół

rusztowania do malowania burt. Szalupy popuszczano na wodę, ponieważ trzeba było wozić zapasy i żywność. Działa wciągnięto w głąb okrętów i uzupełniano cieszolkę. Nad zalanymi słońcem pokładami porozpinano płócienne osłony.

Setki żeglarzy powysyłało na ląd, gdzie kopali studnie i strzegli karawan osłów i wielbłądów dostarczających żywność z Aleksandrii. Forteca z jednej strony - okazała się targowiskiem z drugiej.

Tak czy owak *UOrient* wciąż pozostawał jednym z największych okrętów wojennych świata. Wznosił się na morzu niczym zamek, a wspinanie po jego burcie przypominało wdrapywanie się wzdłuż boku giganta. Zadarłem głowę i krzyknąłem swoje nazwisko, a gdy feluka odpłynęła, unosząc Talmę do Aleksandrii, zostałem wciągnięty na pokład. Było południe czternastego termidora roku VI, słońce oświetlało złocisty brzeg i błękitne, czyste morze. Innymi słowy, był

pierwszy sierpnia 1798 roku.

Zaprowadzono mnie do wielkiej admirałkiej kabiny, którą Brueys przejął po Napoleonie. Admirał przywitał mnie w białej, bawełnianej, rozpiętej pod szyją koszuli, stojąc przed stołem zasłanym papierami. Mimo chłodnej

269

bryzy wciąż się pocił i wyglądał bardzo blado. Fizycznie stanowił przeciwieństwo generała - był wysoki, krzepki, miał

czterdzieści pięć lat, długie jasne włosy, szerokie, łagodnie zarysowane usta i przyjazne spojrzenie. Wygląd Bonapartego był elektryzujący, a Brueys uspokajał samym spojrzeniem, jako człowiek

pogodzony z sobą i zadowolony ze swej pozycji.

Rozkazy generalskie wziął ode mnie z lekkim grymasem, uprzejmie napomknął o minionej przyjaźni pomiędzy naszymi narodami i zapytał o cel mojego przybycia.

- Uczni zaczęli badanie starożytnych ruin. Podejrzewam, że ten dysk z kalendarzem, który należał ponoć do Cagliostro, może się okazać pomocny w zrozumieniu sposobu myślenia Egipcjan. Bonaparte dał mi pozwolenie na zbadanie tego przedmiotu - stwierdziłem, podając mu podpisany przez Napoleona dokument.

- Zrozumieć sposób myślenia Egipcjan? I jakież będzie z tego pożytek?

- Piramidy są tak ogromne, że nie umiemy pojąć, po co je zbudowano. Ten instrument może zawierać jakąś wskazówkę.

Admirał nie wyglądał na przekonanego.

- Owszem, gdybyśmy chcieli budować piramidy.

- Admirale, nie zabawię długo na pokładzie pańskiego okrętu. Mam dokumenty zezwalające mi na zabranie tego przedmiotu do Kairu.

Brueys skinął niechętnie głową.

- Monsieur Gage, przykro mi, że nie stać mnie na oka zanie większej gościnności. Niełatwo pracować z Napole onem, a od chwili gdy przybyliśmy do tego zapomniane go przez Boga i ludzi kraju, dręczy mnie dyzenteria. Boli mnie brzuch, naszym okrętom rozpaczliwie brak zapasów, a moje załogi składają się głównie z ludzi niezdolnych do służby na lądzie.

Choroba tłumaczyła jego bladość.

270

- Admirale, nie będę niepokoił pana dłużej niż to ko nieczne. Gdyby mógł mi pan dać eskortę do ładowni...

-Ależ oczywiście - westchnął. - Zaprosiłbym pana na obiad, gdybym mógł jeść. Jakież kłopoty mógłby pan sprawiać, skoro stoimy na kotwicy i czekamy, aż znajdzie nas Nelson?

Szaleństwem jest trzymanie floty w Egipcie, ale Napoleon uczepił się moich okrętów jak dziecko.

- Pańskie okręty są niezwykle istotne dla jego planów.

-Owszem, nieustannie mi w ten sposób pochlebia.

Cóż, pańskim przewodnikiem będzie syn naszego kapitana, bystry zeń chłopak i wielce obiecujący. Jeżeli zdoła się pan z nim dogadać, powiem, że jest pan lepszym dyplomatą ode mnie.

Dziesięcioletni midszypmen Giocante był synem kapitana Luca Casabianca. Ten bystrooki, ciemnowłosy chłopak, który znał na wylot wszelkie zakamarki wielkiego okrętu, zaprowadził mnie do ładowni, poruszając się zwinnie jak małpa. Schodząc pod pokład, miałem więcej światła niż ostatnim razem, kiedy towarzyszyłem Monge'owi, ponieważ przez otwarte furty strzelnicze lały się promienie słońca.

Wszędzie czuło się mocny zapach terpentyny i drewnianych opiłków. Wokół, pod burtami i grodziami, leżały dębowe belki i wiadra z farbą.

Mroczno zrobiło się dopiero, gdy zesliśmy pod pokład poniżej poziomu morza. Teraz wyczułem smród wód zęzowych i słodkawy odór szybko się psujących w gorącym klimacie zapasów. Atmosfera była tu chłodniejsza, bardziej mroczna i tajemnicza.

Giocante odwrócił się ku mnie i mrugnął znacząco.

-I co, nie zamierzasz, panie, napełnić kieszeni złotem? -

droczył się ze mną, wydymając policzek.

- Nie mógłbym tego zrobić pod twoim baczynym okiem, prawda? - Zniżyłem głos do konspiracyjnego szeptu. -

No chyba że zrobisz to samo, a potem bogaci jak książęta przekradniemy się na ląd.

271

- Nie ma potrzeby. Mój ojciec mówi, że któregoś dnia zdobędziemy wspaniałą łup na Angolach.

- No tak. Masz więc zapewnioną przyszłość.

- Moją przyszłością jest ten okręt. Jest większy niż któ-

rykolwiek z angielskich i gdy przyjdzie pora, damy im nauczkę. - Wydał rozkazy strzegącym ładowni wartownikom i zabrali się do otwierania skarbca.

- Jesteś tak pewien siebie jak Bonaparte.

- Mam zaufanie do ojca.

-Zycie na morzu musi być dla chłopaka ekscytujące -

stwierdziłem.

-Najlepsze, ponieważ znamy swoją powinność. Tak mówi mój ojciec. Zycie jest proste, gdy wiesz, co masz robić.

Zanim zdołałem zastanowić się nad odpowiedzią lub zrozumieć tę filozofię, chłopak zsalutował i

śmignął w górę po trapie.

Przyszły admirał, pomyślałem.

Skarbiec chroniły drewniane drzwi i metalowa krata. Jedne i drugie zamknięto za mną; zostałem sam. Dość długo grzebałem w stosach klejnotów i monet, zanim przy nikłym świetle latarni znalazłem przedmiot, który pokazywał mi Monge. Leżał w kącie, ciśnięty tam jak bezwartościowa błyskotka. Jak już pisałem, był wielkości talerza ze sporym otworem pośrodku. Jego brzegi składały się z trzech obracających się względem siebie kręgów pokrytych hieroglifami, znakami zodiaku i jakimiś abstrakcyjnymi symbolami. Być może była to jakaś wskazówka, ale jak należało ją rozumieć? Każdy obrót jednego z kręgów łączył ze sobą inne symbole i znaki.

Najpierw zbadałem wewnętrzny krąg, który był najprostszy i zawierał tylko cztery symbole. Była tu kula wisząca nad linią, a naprzeciwko druga, ale zawieszona pod linią. W odległości ćwierci okręgu od obu były półokręgi, jak półksiężycy, jeden zwrócony ku górze, drugi ku dołu-272

wi. Wszystko przypominało mi wzorzec na tarczy zegara lub kompasu, o ile jednak było mi wiadomo, Egipcjanie nie znali ani jednego, ani drugiego. Zacząłem się zastanawiać. Górny wyglądał jak wschodzące słońce. Jeśli więc zrozumiałem, wewnętrzny krąg odzwierciedlał cztery pory roku. Słońce nad i pod linią musiało oznaczać przesilenie letnie i zimowe, półksiężycy odpowiadały ekwinok-cjum wiosennemu i jesiennemu, gdy długość dnia staje się równa długości nocy.

Jeśli prawidłowo rozumowałem, było to dość proste.

I oczywiście niczego mi to nie podpowiedziało.

Zobaczyłem też, że wewnętrzne koło odpowiadało dwunastu znakom zodiaku. Znaki te były dość podobne do używanych dzisiaj. Trzeci, zewnętrzny krąg pokrywały symbole zwierząt, oczu, gwiazd, promieni słonecznych, piramidy i symbol Horusa. Wryte linie dzieliły każde z kół na odcinki.

Domyślałem się, że kalendarz - jeśli był nim w istocie - był

pomocny w zestawianiu pozycji konstelacji ze wschodem słońca w ciągu roku. Ale jakież mógł mieć związek z moim medalionem? Co widział w nim Cagliostro - jeśli w rzeczy samej kalendarz należał do niego? Przesuwałem kręgi w jedną i drugą stronę, próbując różnych kombinacji i licząc na to, że coś mi się objawi. Oczywiście niczego nie wskórałem - nie cierpiałem łamięłówek, choć dobrze się sprawiałem z obliczaniem szans w kartach. Może dałby sobie z tym radę astronom Nouet, gdybym go tu ze sobą przyprowadził.

W końcu postanowiłem zacząć od ustawienia przesilenia letniego - jeśli ten symbol mu odpowiadał - w najwyższej pozycji, a potem ustawiłem pięcioramienną gwiazdę podobną do tej z naszej amerykańskiej flagi lub jej masońskiego odpowiednika - nad nią. Tak jak Gwiazda Polarna! Czemu nie spróbować znanych mi symboli? Obracałem pierścień zodiaku, aż pomiędzy już ustawionymi pokazał

się symbol Byka, ery, w której, według Monge'a, zbudowano piramidę. Były tam ery Byka, Barana, nasza era Ryb i kolejna, era Wodnika. Teraz zbadałem inne znaki. Wydawało mi się, że nie dostrzegam żadnej prawidłowości.

Chyba że... wytrzeszczyłem oczy, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Kiedy ustawiłem kręgi tak, żeby lato, byk i gwiazda były jedno nad drugim, końce wyrytych na dyskach dośrodkowych linii utworzyły dwie dłuższe linie, jakby przecinające się gdzieś poza dyskiem cięciwy. Wybiegały poza dysk - od razu przypomniały mi się ramiona medalionu - lub zbocze piramidy. Wyglądały dość podobnie i miałem wrażenie, że patrzę na coś przypominającego to, co zostawiłem z Astizą i Enochem.

Ale co to znaczyło? Początkowo nie widziałem niczego.

Skorpion, Lew i Waga nie dawały żadnych sensownych ustawień. Ale zaraz! Na zewnętrznym pierścieniu widniała piramida, która teraz była wprost pod znakiem równonocy jesiennej, wprost pod wyrytą linią. Na drugim pierścieniu znajdował się symbol Wodnika i ten też był ustawiony czasowo, jeśli prawidłowo odczytałem znaki na urządzeniu, na godzinie czwartej pierścienia, tuż pod godziną trzecią drugiego, reprezentującą jesienną równo-noc - 21 września.

Czwarta godzina powinna więc odpowiadać dacie o miesiąc późniejszej - 21 października.

To znaczy, że piramida, Wodnik i 21 października były jakoś ze sobą związane. Nouet powiedział, że Wodnik był

znakiem stworzonym przez Egipcjan, żeby świętować przybór Nilu, którego szczyt przypadał na jesień.

Czy 21 października był świętym dniem? Apogeum przyływu Nilu? Dniem, kiedy należało odwiedzić piramidę?

Na medalionie wyryto falisty symbol wody. Czy medalion i kalendarz były jakoś powiązane? Czyżby miały coś ujawnić w określonym dniu?

Usiadłem, nie bardzo wiedząc, co o tym wszystkim 274

myśleć. Chwytałem żdźbła informacji... ale jednak było w tym coś... data wśród nonsensów. Wyglądało mi to na daleki strzał, ale może Astiza i Enoch wydobędą z tego coś więcej?

Zmęczony domysłami zacząłem się zastanawiać nad postępowaniem dziwnej kobiety, ukrywającej przede mną tajemnice, o które jej nie podejrzewałem. Kapłanka? Jaka była jej rola w tym wszystkim? Czy podejrzenia Tal-my były usprawiedliwione? Naprawdę знаła Silana? Wydawało się to niemożliwe, a jednak ludzi, których spotykałem, łączyły jakieś dziwne powiązania. Ale nie czułem przed nią obawy -

tęskniłem za nią. Przypomniałem sobie te chwile na dziedzińcu domu Enocha, w chłodzie wczesnego, pełnego błękitnych cieni wieczoru, gdy z kuchni sączyły się zapachy dymu i wonnych przypraw, a powietrze było pełne wodnego pyłu z fontanny.

Siedziała na ławie, nic nie mówiąc, a ja stałem przy kolumnie i też milczałem. Gapiłem się po prostu na jej włosy, policzki, a ona pozwalała mi na siebie patrzeć. Nie byliśmy panem i niewolnicą ani ludźmi Zachodu czy Wschodu - byliśmy mężczyzną i kobietą. Cały czar byłby się rozwiął, gdybym jej dotknął.

Stałem więc i patrzyłem, wiedząc, że pamięć tej chwili będzie mi towarzyszyła do końca życia.

Z zamyślenia wyrwały mnie jakieś hałasy i odgłosy wrzawy. Na górze rozległy się okrzyki, słysząc też było tupot licznych biegających tam i siam stóp i łoskot werbli.

Zerknąłem w górę. Co się tam działo? Jakies okrętowe ćwiczenia? Usiłowałem się skupić, ale harmider narastał.

Zacząłem więc łomotać w drzwi, żeby mnie wypuszczono.

Wypadłszy na zewnątrz, zapytałem wartownika, co się dzieje.

- Angole! - odpowiedział, patrząc w górę i nasłuchując.

- Tutaj? Teraz?

W świetle latarni zobaczyłem jego ponurą twarz.

- Nelson - odpowiedział jednym słowem.

275

ROZDZIAŁ 13

Zostawiwszy kalendarz, dołączyłem do fali ludzi wspinających się na pokłady artyleryjskie i przeklinających siarczyście, gdyż okręt nie był gotów do bitwy. Nasz okręt flagowy stał się właściwie na poły magazynem, ale teraz nie czas było rozmieszczać zapasy i usuwać je z przejść. Ludzie w najwyższym pośpiechu usiłowali przesunąć działa na właściwe miejsca, wciągnąć trapy i zwalić rusztowania.

Wyszedłem na otwartą przestrzeń pokładu głównego.

-Zrzućcie te zasłony! - ryczał kapitan Casabianca. -Dajcie sygnał ludziom na brzegu, niech natychmiast wracają! -

Odwrócił się do syna. - Skocz na dół i zwołaj małpy*! -

Chłopak, bardziej podniecony niż przestraszony, pobiegł

zorganizować transport woreczków z prochem dla wiecznie głodnych dział.

Podszedłem do stojącego na rufowce admirała Bru-eys'a, który badał morze, patrząc przez lunetę. Horyzont był biały od żagli, które wiatr na nasze utrapienie pędził ku nam. Eskadra Nelsona w sile czternastu okrętów gnała na nas, wykorzystując każdy cal płótna. Francuzi mieli trzynaście okrętów i cztery fregaty - siły więc były w zasadzie wyrównane - ale wszystkie nasze okręty stały na kotwicy i tylko w połowie przygotowano je do bitwy. Sześć

* Chłopcy okrętowi zaopatrujący działa w proch i kule z magazynu (przyp. tłum.).

276

wyprzedzało *UOrienta* w linii, sześć stało za nim. Było już po południu i stanowczo za późno na rozpoczynanie walki.

Brueys liczył może na to, że w nocy zdoła się wymknąć na otwarte wody. Brytyjczycy jednak najwyraźniej nie zamierzali rezygnować. Gnali ku nam niczym rozjuszony psy, rozbryzgując wodę dziobami swoich okrętów. Ta determinacja oznaczała bitwę. Brueys się obejrzał.

- Panie admirale? - zapytałem.

- Setki ludzi na brzegu, zapasy niezabezpieczone, opuszczone trapy i zwinięte żagle, a połowa marynarzy ma sraczkę - mruknął sam do siebie. - Ostrzegałem, że to się źle skończy. A teraz musimy przyjąć bitwę, nie mając możliwości manewru.

- Panie admirale... - spróbowałem jeszcze raz. - Myślę, że skończyłem swoje badania. Czy nie powinienem zejść na brzeg?

Spojrzał na mnie, jakby nie mógł sobie przypomnieć, kim jestem, ale zaraz wszystko doń dotarło.

- A, pan Gage. Niestety, Amerykaninie, jest już za późno.

no. Wszystkie łodzie są zajęte przewożeniem marynarzy na okręty.

Podszedłem do burty i spojrzałem w dół. W rzeczy samej łodzie sunęły już ku plaży, żeby zebrać pozostałych na lądzie członków obsad. Miałem wrażenie, że za bardzo im się nie spieszy.

-Zanim te łodzie wrócą, Angole już nas dopadną -stwierdził

smętnie Brueys. - Obawiam się, że na czas bitwy pozostanie pan naszym gościem.

Przełknąłem ślinę i ponownie spojrzałem na angielskie okręty, nad którymi piętrzyły się wielkie chmury napiętego płótna; na rejach mrowili się ludzie, z otwartych am-brazur wychylały się paszcze dział, a na masztach trzepotały czerwone wojenne bandery. Wyglądało na to, że przepęlnia ich bitewny zapach.

277

- Słońce już zachodzi - stwierdziłem niezbyt pewnym głosem. - Brytole z pewnością nie zaatakują po

ciemku.

Admirał patrzył na zbliżającą się eskadrę z ustami za-ciśniętymi w wyrazie rezygnacji. Wyglądał dość mizernie, dręczony dyzenterią i tak chętny do bitki jak ktoś, kto właśnie ukończył dwudziestomilowy bieg.

- Tak byłby postąpił każdy zdrow na umyśle człowiek -

odparł. - Ale mamy do czynienia z Nelsonem. - Z trza skiem złożył lunetę. - Proponuję, panie, żebyś zszedł do skarbcza. Znajduje się poniżej linii wody i z pewnością będziesz tam narażony na mniejsze niebezpieczeństwo niż tu, na pokładzie.

Nie miałem ochoty na walkę z Anglikami, ale wycofanie się pod pokład uznałbym za tchórzostwo.

- Gdybym mógł dostać jakiś karabin...

- Nie, Gage, nawet o tym nie myśl. To sprawa marynarki wojennej. Jesteś uczonym i powinieneś wrócić do Napoleona z informacjami. - Klepnął mnie po ramieniu, odwrócił się i zaczął

wydawać rozkazy.

Dręczony ciekawością nie zamierzałem na razie schodzić do ładowni, podszedłem więc do relingu, klnąc w duchu niecierpliwość Nelsona i czując się kompletnie bezużyteczny.

Każdy normalny admirał, widząc, że słońce chyli się ku zachodowi, skróciłby żagle, ustawiłby okręty w linię bojową i przed rzuceniem ludzi do bitwy kazałby im wydać ciepły posiłek, a potem zapewniłby im solidny całonocny odpoczynek. Ale to był Nelson, sławny z tego, że zdobywszy abordażem jeden francuski okręt, przeskakiwał na pokład drugiego i zajmował oba. Teraz też nie zamierzał się zatrzymać. Im bliżej podpływał, tym głośniejsze okrzyki wściekłości i konsternacji zrywały się wśród żeglarzy francuskich. To było szaleństwo! A jednak coraz bardziej oczywiste się stawało, że bitwa rozgorzeje, choć dzień miał się już ku końcowi.

278

Żeglarze na brzegu wsiadali do łodzi, żeby wrócić na swoje okręty.

Zagrzmiały wystrzały z kilku dział, ale chybiły. Zobaczyłem, że czołowe angielskie okręty zmierzają ku zachodniemu krańcowi francuskiej linii pod wysepką Abukir, gdzie Francuzi umieścili baterię dział polowych. Na tamtym krańcu zatoki było gęsto od raf i Brueys miał pewność, że Anglicy tamtędy nie przejdą. Ale Nelsonowi nikt o tym nie powiedział - dwa angielskie okręty, *nomen omen Zealous* i *Goliath*, ścigały się teraz o zaszczyt okrążenia Francuzów.

Szaleństwo! Krwistoczerwone słońce stało już na horyzoncie, a francuskie haubice przybrzeżne waliły w Anglików, tyle że niewiele mogły wskórać, ponieważ ci znajdowali się w martwym polu ostrzału. Wyścig wygrał *Goliath*, którego sylwetka pięknie zarysowała się na tle słońca, ale zamiast utknąć na skale, przemknął zręcznie pomiędzy *Le Giierrierem* i brzegiem. Zaraz potem sprawnie zawrócił i pożeglował wzdłuż wewnętrznej linii Francuzów, pomiędzy okrętami Brueys'a i brzegiem!

Idąc ostro na wiatr, zrównał się z drugim okrętem formacji, *Le Conquerantem*, opuścił kotwicę tak spokojnie, jakby stanął w porcie, a potem odpalił potężną salwę w bezbronną burtę francuskiego okrętu. Rozległ się straszliwy grzmot i oba okręty spowiła chmura gęstego dymu. Francuz zachwiał się, jakby trafiła go pięść bajkowego olbrzyma - zobaczyłem drewniane drzazgi wylatujące wysoko w górę.

Wzdłuż francuskiej linii rozległy się okrzyki wściekłości i przerażenia. Zakotwiczeni pod przeciwnym wiatrem mogliśmy tylko czekać na naszą kolej.

Zealous zakotwiczył naprzeciwko *Le Guerriera*, a tymczasem na zatokę wpływały kolejne angielskie okręty: *Orion*, *Audacious* i *Theseus*, które też uderzyły na niechro-nioną stronę szyku Francuzów. Wspaniała ściana Brueys'a nagle okazała się bezbronna. Uniósł się dym, formując jakby burzowe chmury, a odległe początkowo grzmoty dział

279

narastały do ogłuszających ryków. Słońce zaszło, wiatr zamarł

kompletnie, a niebo pociemniało. Reszta angielskiej floty zwolniła, ale wciąż zbliżała się złowrogo wzdłuż skierowanych ku morzu francuskich burt, co oznaczało, że każdy z czołowych okrętów Brueys'a miał zostać wzięty w kleszcze pomiędzy dwoma okrętami Nelsona. Gdy Angole bombardowali pierwsze sześć okrętów Brueys'a, pozostałe, niezdolne do wzięcia udziału w bitwie, mogły się temu tylko przyglądać. Stały na kotwicy, a ich załogi bezsilnie patrzyły na egzekucję towarzyszy. Była to rzeź. W mroku radosne wiwaty Anglików mieszały się z okrzykami grozy wydawanymi przez Francuzów przerażonych coraz większymi stratami. Napoleon kłąłby jak szewc, gdyby to mógł zobaczyć.

W każdej morskiej bitwie są momenty złowieszczonego spokoju, gdy płynny i cichy balet na wodzie zwiększa napięcie przed ogłuszającymi salwami. Okręty wylaniają się z kłębow dymu jak giganty. Słysząc ryk armat, a potem długie interwały ciszy, podczas której przeładowuje się działa, odciąga rannych i wylewa wiadra wody na płonące szczapy. Tu, przy Nilu, niektóre jednostki wpadały na inne, stojące na kotwicy. Dym stworzył zasłonę gęstej mgły, przez którą z trudem przebijały się promienie wschodzącego księżyca. Te okręty, które mogły się poruszać, manewrowały na poły oślepienie. Zobaczyłem, że w pobliżu pojawia się jakiś angielski liniowiec - na jego burcie widać było napis *Bellerophon* - i słyszałem okrzyki mierzających w nas kanonierów. Anglik sunął na nas majestatycznie jak góra lodowa.

- Padnij! - wrzasnął do mnie Brueys.

Zobaczyłem krzyczącego „Ognia! Ognia!” kapitana Casabiancę, który stał niżej, na głównym pokładzie. Gdy rozpląszczyłem się na deskach rufówki, cały świat utonął w ogłuszającym ryku dział. Ugodzony potężnie *U Orient* chybnął

się w bok; przechył statku zwiększył wpływ jed-280

noczesnego odrzutu własnej salwy burtowej. Cały kadłub zatrzeszczał, słyszałem suche zgrzyty

pękających belek więzby. Ale wymierzona w maszty i żagle salwa Francuza odniosła równie niszczący skutek na okręcie angielskim.

Maszty i reje *Bellerophona* runęły jak podcięte toporami, zasypując pokład ulewą morderczych płonących odłamków.

Brytyjski liniowiec zaczął się oddalać. Teraz przyszła kolej na wiwaty Francuzów. Wstałem chwiejnie, zawstydzony że nikt oprócz mnie nie usłuchał rozkazu. Ale kilkunastu przynajmniej było martwych lub rannych, a Brueys krwawił z ran na głowie i dłoni. Choć krew kapłała na pokład, admirał odprawił gestem biegnącego z bandażami chirurga.

- Mówiłem, Gage, żebyś zszedł do ładowni! - skarcił mnie.

- Może tu bardziej mi się poszczęści - odparłem drżącym głosem, patrząc w ślad za znikającym w chmurze dymu *Bellerophonem*.

Zanim skończyłem mówić, jedno z brytyjskich dział zakwitło ogniem i ponad burtą gwizdnął pocisk, który ugodził

admirała w udo. Noga tuż przy biodrze zniknęła jak ząb wyrwany nicią cyrulika i sypiąc bryzgami krwi, odleciała w mrok niczym wirująca kłoda bieli i czerwieni. Brueys stał

przez chwilę na drugiej nodze, patrząc z niedowierzaniem na okropną ranę, po czym zwałił się na pokład jak złamany stół.

Oficerowie jak jeden wydali okrzyk zgrozy i stłoczyli się wokół admirała. Pokład zalały strugi krwi.

- Zanieście go do lazaretu! - ryknął kapitan Casabianca.

- Nie! - zdołał wystękać Brueys. - Chcę umrzeć tu, gdzie mogę jeszcze coś zobaczyć.

Wszystko wokół pograżyło się w chaosie. Obok nas przeszedł chwiejnie jakiś marynarz z połową oddartego skalpu.

Tuż pod działem leżał bezwładnie jak kłoda mid-szypmen, któremu z piersi wystawała drewniana drzazga długości stopy.

Pokład główny zamienił się w piekło try-

skających na wszystkie strony drzazg, fragmentów takie-lunku, wypatroszonych flaków i bryzgów krwi. Ludzie deptali po popękanych organach wewnętrznych swoich konających towarzyszy. Nosiciele prochu ślizgali się w potokach krwi, zalewającej pokład szybciej niż piasek, którym starano się je zasypać. Co chwila rozlegały się niskie grzmoty dział, urągliwe szczekanie muszkietów i złowrogi gwizd kul. Koncentracja chaosu przewyższała wszystko, co widziałem w bitwach lądowych. Nocny mrok rozdzierały błyski dział, bitwę widziało się więc jak serię oddzielnych,

błyskawicznie się zmieniających obrazów. Ogluchłem prawie zupełnie, w ustach miałem tylko smak, a w nozdrzach - zapach dymu. Zdałem sobie sprawę, że opodal nas stanęły na kotwicy kolejne dwa brytyjskie okręty i zaczęły walić w nas salwami. *L'Orientem* raz po raz wstrząsały uderzenia pocisków; nasz ogień słabnął, podczas gdy brytyjski przybierał na sile.

- Nie żyje! - oznajmił Casabianca, wstając z pokładu.

Spojrzałem na admirała. Był blady i jakby pusty po po-tężnym upływie krwi, ale wyglądał tak, jakby nareszcie odzyskał spokój ducha. Nie będzie przynajmniej się musiał

tłumaczyć Napoleonowi.

Zaraz potem ugodziła w nas kolejna angielska salwa i zasypał deszcz drzazg. Tym razem stęknął Casabianca, siadając na pokładzie. Innemu oficerowi zniosło po prostu głowę, która znikła w krwawym deszczu, a jeden z poruczników dostał w pierś i zwyczajnie wyleciał za burtę.

Znieruchomiałem ze strachu.

- Ojczy! - Nagle zjawił się przy nas midszypmen, który odprowadził mnie przedtem pod pokład. Oczy chłopca płonęły zgrozą i przerażeniem. Kapitan zaklął i wstał. Cały usiany był

drobnymi rankami od drzazg, które bardziej go rozjuszały, niż osłabiały. - Wracaj pod pokład, jak ci kazałem! - warknął.

- Nie porzucę cię!

282

- Nie wolno ci porzucić swoich obowiązków! - Kapitan ujął

chłopca za ramiona. - Musimy dać przykład naszym ludziom i Francji!

- Ja go zabiorę - powiedziałem, chwytając dłoń chłopca i odciągając go. Chciałem jak najszybciej opuścić zalany krwią pokład. - Chodź, *Giocante*, bardziej się przydasz, nosząc proch na dole, niż tu na pokładzie martwy.

- Puszczaj!

- Rób, co ci kazano! - krzyknął kapitan.

Chłopiec jeszcze się wahał.

- Boję się, że cię zabiją.

-Jeżeli tak się stanie, ty musisz dodać ludziom ducha! - I łagodniejszym głosem kapitan dodał jeszcze: -Wszystko będzie dobrze.

Chłopiec i ja zeszliśmy w hadesowe mroki pod pokładem.

Wszystkie trzy pokłady artyleryjskie były przesłonięte gryzącym dymem i pełne wrzawy, na którą składały się grzmoty dział, łoskot strzałów nieprzyjaciela i wrzaski rannych. Midszypmen znalazł dla siebie jakieś zajęcie i znikł w kłębach dymu, podczas gdy ja, wciąż nie wiedząc, co miałbym robić, schodziłem coraz niżej, aż wreszcie znów znalazłem się pod linią wody. Gdyby *L'Orient* miał zatonać, mógłbym przynajmniej zabrać ze sobą z okrętu kalendarz. W tej jamie cyrulicy piłowali członki, czemu towarzyszyły wrzaski, jakie mogłem znosić tylko dzięki częściowej głuchocie. Latarnie kołysały się w takt huku dział. Żeglarze zmywali krew, polewając pokład wiadrami wody.

Ustawieni w szereg chłopcy zręcznie niczym małpy podawali sobie nabite prochem kielbasy ładunków do dział.

Przepchnąłem się obok nich do skarbcza, gdzie światła były pogaszone.

- Potrzebuję latarni! - wrzasnąłem do wartownika.

- Nie w pobliżu prochu, głupcze!

Klnąc jak potępieniec, zacząłem po omacku szukać ka-283

alendarza. Otaczały mnie bogactwa, za które można byłoby kupić królestwo, ale żeby je stąd wynieść, trzeba się było przedrzeć przez huragan ognia. A jeżeli pójdziemy na dno?

Miliony franków spoczną w Zatoce Abukir. Czy mógłbym wetknąć część do butów? Czulem kołysanie *U Orientu* wstrząsanego kolejnymi brytyjskimi salwami i słyszałem trzeszczenie klepek poszycia i belek więzby. Skuliłem się jak dziecko, jęcząc i szukając po omacku. Kanonada była jak walenie taranem w bramy twierdzy -w kadłubie wkrótce musi się pojawić wyłom.

I wtedy usłyszałem okrzyk, którego obawia się każdy marynarz:

- Pali się!

Wyrząłem na zewnątrz. Drzwi magazynu prochowego już zamknięto, a nosiciele prochu śmigali w górę. Znaczyło to, że nasze działa wkrótce umilkną. Z góry lało się pomarańczowe światło.

- Otwórzcie luki, żeby zalać ładownię! - wrzasnął ktoś i wydało mi się, że słyszę szum wody.

Przyłożyłem dłoń do desek sklepienia. Były nieznośnie gorące.

Słyszałem też pełne przerażenia wrzaski rannych. W otworze luku ukazała się głowa wartownika.

- Wiej stąd, ty popieprzony Jankesie! Nie widzisz, że okręt płonie?

W tejże chwili zmacałem palcami kalendarz. Chwyciłem go kurczowo i skoczyłem ku trapowi, porzucając sny o fortunie.

Ogień był wszędzie, rozprzestrzenił się szybciej, niż mógłbym się spodziewać. Smoła, konopie, suche drewno i płótno - walczyliśmy na stosie gotowego do podpałki chrustu.

Zobaczyłem stojącego nade mną z bagnetem na karabinie francuskiego wartownika.

- Co to jest?! - wrzasnął, mierząc dzikim spojrzeniem przedmiot w moim ręku.

- Kalendarz dla Bonapartego.

284

- Ukradłeś go ze skarbca!

- Mam rozkazy, żeby go uratować.

- Pokaż je!

- Są u Brueys'a.

Albo w ogniu.

- Złodziej! Wsadzę cię do paki!

Ten człowiek zwariował, pomyślałem zdesperowany.

Wokół nas ludzie jak spłoszone szczury wyskakiwali przez otwory strzelnicze do wody.

Podjęcie decyzji zajęło mi zaledwie sekundę. Mogłem walczyć z tym szaleńcem o kawałek metalu lub wymienić go na swoje życie.

- Łap! - Rzuciłem weń kalendarzem.

Puścił muszkiet, chwytając niezbyt zręcznie kalendarz, a ja skorzystałem z okazji i śmignąłem obok niego po trapie w górę.

- Wracaj, draniu!

Wyżej ogień i dym były jeszcze gorsze. Była to smażalnia zgrozy, rzeźniczy bankiet ciał, które zaczynały się piec w żarze. Spoglądały na mnie niczego już nie widzące oczy ludzi, którzy bezsilnie zwijali i rozwijali z bólu palce. Wielu martwych już się paliło z sykiem przysmażanych mięśni.

Wspinając się po trapie, dotarłem w końcu na rufów-kę, kaszląc i charcząc jak potępieniec. Takielunek płonął niczym piramida ognia, dym wznosił się, zasłaniając księżyc, a z rej i masztów sypały się ogniste strzępy lin, drewna i żagli. Pod stopami zgrzytały mi drobiny popiołu. W poprzek poprzewracanych lawet dział leżały trupy kanonie-rów, wszystkie kraty były pokruszone. Spojrzałem ku rufie. Po obu jej stronach w morze skakały ciemne sylwetki marynarzy.

Potknąłem się o kapitana Casablance. Leżał teraz z wielką raną na piersi, obok niego z wykręconą i jakby złamaną nogą siedział jego syn. Ojciec był już prawie trupem, ale syn wciąż miał szansę. Kucnąłem obok niego.

285

- Giocante, musimy się stąd wydostać, okręt lada moment wyleci w powietrze. - Rozkaszlałem się. - Pomogę ci płynąć - zachrypiałem.

Potrząsnął głową.

- Nie zostawię mojego ojca.

- Już mu w niczym nie pomożesz.

- Nie opuszczę mojego okrętu.

Nieopodal jakaś reja z łoskotem spadła na pokład. Brytyjczycy poczęstowali nas kolejną salwą i cały okręt zadrżał jak ranny koń.

- Nie masz już okrętu!

- Zostaw nas, Jankesie! - stęknął kapitan.

- Ale pański syn...

- To już koniec.

Chłopiec dotknął mojej twarzy w pełnym smutku geście pożegnania.

- Obowiązek - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Spełniłeś już swój obowiązek! Masz przed sobą całe życie!

- To jest moje życie! - Jego głos drżał lekko, ale twarz miał

spokojną, jak anioł w piekielnej grocie.

Tym więc owocuje decyzja, w co wierzyć, pomyślałem ze smutkiem. Oto, czym jest obowiązek. Czulem zgrozę, podziw, własną małość i dławiący gniew. Cóż za strata młodego życia!

Ale czy naprawdę było stracone? Ślepa wiara była przyczyną połowy nieszczęść w historii. Ale czyż nie z niej właśnie wykluwali się święci i bohaterowie? Oczy chłopca były ciemne i twarde niczym łupek, ale gdybym miał czas w nie zajrzeć, może byłbym zobaczył wszystkie sekrety świata.

- Opuścić okręt! Opuścić okręt! - wołali pozostali przy życiu oficerowie.

- Niech cię diabli, nie dam ci popełnić samobójstwa! -

zawołałem, chwytając chłopca za ramię.

286

Chłopak odepchnął mnie tak mocno, że padłem na wznak.

- Nie jesteś Francuzem! Idź precz!

A potem usłyszałem jeszcze jeden okrzyk.

-Ty!

To był ten szalony wartownik, który wy dostał się na pokład. Miał osmaloną twarz, a jego mundur tlił się w kilku miejscach. Połowę jego płaszcza zajmowały plamy krwi. A jednak mierzył do mnie z muszkietu!

Spowity kłębam dymu skoczyłem do relingu i obejrzałem się za siebie. Ojciec i syn rozmyli się i ich sylwetki drżały z gorąca. Ich przywiązanie do okrętu, służby i losu było szaleństwem. Było wspaniałe, potworne i godne zazdrości. Czy ja kiedykolwiek choć w połowie byłem tak z czymś związany?

I czy miałem się z tego powodu uważać za szczęśliwca?

Modliłem się o szybką śmierć dla nich. Marynarz na dole był

oślepiiony dymem i krwią i chwiał się na nogach tak, że nie mógł wymierzyć, otaczały go już zresztą płomienie.

Nie mogąc więc zrobić niczego lepszego, skoczyłem w morze.

Skok w kompletny mrok wymagał wiary albo rozpacz; nie widząc niczego w dole, wiedziałem, że wody są pełne mniejszych i większych belek, i szamoczących się na powierzchni morza ludzi. Jakoś udało mi się uniknąć fatalnego zderzenia i dałem nura w ciepłe wody Morza Śródziemnego.

Sól natychmiast wgrzyła mi się w nos. Woda jak zimny balsam złagodziła ból moich oparzelin. Zapadłem w łono czerni, a potem zacząłem przebierać nogami. Wynurzyłem się i natychmiast postarałem odpłynąć jak najdalej od płonącego okrętu, wiedząc, że jeśli woda nie zaleje prochowni, *U Orient* lada moment zamieni się w ognisty kocioł. Wiosłując zaciekłe rękami, czułem żar na karku. Gdybym tylko mógł znaleźć jakąś belkę, żeby dopłynąć na niej do brzegu...

287

I w tej chwili *U Orient* wyleciał w powietrze.

Nigdy wcześniej nie słyszałem takiego huku. Doleciał do odległej o dwadzieścia mil Aleksandrii; eksplozja rozjaśniła miasto iście dziennym światłem. Fala uderzeniowa pozrzucała z rozhukanych koni obserwujących bitwę z plaży Beduinów.

Ogłuszyła i mnie. Maszty strzeliły w górę niby rakiety. Działa pofrunęły niczym małe kamyczki. W górę i na boki trysnęła fontanna drewnianych drzazg i wodnego pyłu, zamarła wysoko, a potem odłamki okrętu zaczęły opadać deszczem, zabijając i kalecząc ludzi w odległości setek metrów od miejsca katastrofy.

Na inne okręty sypnęły się pogięte metalowe pręty, które ugrzę-

zły w takielunku. Z nieba spadały buty, w których tkwiły same stopy. Morze wezbrało, odrzuciło mnie wstecz, a potem pokład pękł poniżej linii wodnej i okręt zanurzył się, wciągając wszystkich we wrzącą kipieli. Bijąc rozpaczliwie rękami, wczepiłem się w kawałek belki, zanim znów pochłonął mnie mrok. Przyłgnałem do niej jak kochanek, czując coraz większy ucisk w uszach, gdy wir wciągał mnie pod wodę. Boże, czułem się, jakby ścisnęła mnie ogromna łapa, ale przynajmniej uniknąłem bombardowania resztkami odłamków drewna, które cięły powierzchnię jak deszcz gwoździ. Patrząc w pomarańczowe wody nad głową, widziałem powierzchnię jak popękana okienna szyba. To, co uznałem za ostatni widok w moim życiu, miało jakieś niesamowite piękno.

Nie mam pojęcia, jak głęboko mnie wciągnęło. Głowa mi pękała, płuca paliły jak ogień. Wreszcie, kiedy pomyślałem, że już dłużej nie utrzymam tchu w płucach, tonący okręt rozluźnił

uścisk i drewno uniosło mnie w górę. Wychynałem na powierzchnię na resztkach powietrza, wrzeszcząc z bólu i strachu, a potem odepchnąłem od siebie belkę, która ocaliła mi życie. Choć wszystko mnie kłuło i bolało, rozumiałem, że na lepsze czy gorsze po raz kolejny uszedłem z życiem. Leżałem na plecach i gapi-288

łem się w gwiazdy. Dym powoli się rozwiewał. Niezbyt jasno zdawałem sobie sprawę z tego, co dzieje się wokół mnie.

Morze było usiane drewnianymi odłamkami i pokaleczonymi ciałami. Panowała ogłuszająca cisza, w której słyhać było tylko kilka słabych nawoływań o pomoc. Eksplozja *UOrientu* była tak potężna, że wszyscy wstrzymali ogień.

Anglicy podjęli próbę wiwatów, ale okrzyki zamarły im w gardłach.

Dryfowałem. Kalendarz przepadł wraz z resztą skarbów z ładowni *UOrientu*. Księżyc rozświetlił okolicę pełną pokaleczonych i płonących okrętów. Większość była unieruchomiona przez zwalone maszty. Na razie bitwa była skończona. Ale nie... w miarę upływu czasu załogi ocknęły się ze zgrozy i po kwadransie działa zagrzmiały ponownie, a nad wodą poniosły się wrzaski rannych i konających.

Bitwa trwała dalej. Czym wyjaśnić takie szaleństwo?

Bezdłone salwy huczały nad falami jak łoskot z piekielnych kuźni. Godzinę za godziną unosiłem się oszołomiony na wodzie, aż w jakieś tysiąc lat później wyczerpane działa po obu stronach umilkły, a morze zaczęło się rozjaśniać. O świcie artylerzyści zasypiali na gorących jeszcze lufach.

Wschodzące słońce ujawniło rozmiar francuskiej klęski.

Pierwsza zatonała fregata *La Serieuse*, osiadła na płytkim dnie jeszcze przed świtem, ale opuściła

banderę dopiero o piątej rano. *Le Spartiate* przestał odpowiadać ogniem o 11. *Franklin*, nazwany imieniem mojego mentora, poddał się Brytyjczykom o 11.30. Śmiertelnie ranny kapitan *Le Tonnanta* przed poddaniem okrętu strzelił sobie w łeb. *L'Heureux* i *Le Mercure* umyślnie osadzono na dnie, żeby uniknąć zatopienia okrętów.

Fregata *UArtemise* wyleciała w powietrze, gdy jej kapitan wrzucił pochodnię do prochowni, a *Le Timoleona* wpędzono na plażę, następnego

289

dnia zaś podpalili go członkowie załogi. *Aquilon*, *Le Guerrier*, *Le Conquerant* i *Peuple Souverain* po prostu się poddały. Bitwa pod Abukirem zakończyła się nie porażką, ale klęską Francuzów. Z pogromu uszły tylko dwa okręty liniowe i dwie fregaty. Poległo lub utonęło trzy tysiące francuskich marynarzy. W jednej bitwie Nelson zniszczył francuską flotę na Morzu Śródziemnym. W miesiąc zaledwie po wylądowaniu w Egipcie Napoleon został w nim odcięty od Francji.

Brytyjskie szalupy zaczęły wylawiać z morza setki ocalałych; niektórzy byli poparzeni lub broczyli krwią. Patrzyłem na to wszystko ogarnięty tępą fascynacją, ale po chwili dotarło do mnie, że mogą uratować i mnie.

- Tutaj! - wrzasnąłem wreszcie po angielsku, machając ręką.

Wyciągnęli mnie ponad burtą jak wykończonego walką miecznika.

- Z jakiego jesteś statku, kolego? - zapytali mnie. - Jak, do cholery, znalazłeś się w wodzie?

- Jestem z *UOrientu* - odpowiedziałem.

Spojrzeli na mnie jak na upióra.

- Jesteś żabojadem? A może cholernym zdrajcą?

- Jestem Amerykaninem. - Usiłując zetrzeć sól z oczu, podniosłem palec z pierścieniem jednorożca. - I agentem Sidneya Smitha.

Żeby zrozumieć moje pierwsze wrażenie ze spotkania z Horatiem Nelsonem, musicie sobie wyobrazić pięściarza po wyczerpującym meczu. Angielski Lew był obandażowany i nieco oszołomiony paskudną raną głowy tuż nad ślepym okiem, który to cios niemal go zabił. Mówił z trudem -

powodem był obolały ząb - i w wieku czterdziestu lat miał

białe włosy, a twarz porytą bruzdami napięcia. Ot, co może ci zrobić utrata ramienia i oka we wcześniejszych bitwach oraz pościg za Napoleonem. Był nieco tylko wyz-

290

szy od Bonapartego i chyba nawet bardziej szczupły, miał

zapadnięte policzki i mówił przez nos. Podobnie jak francuski generał lubił doprowadzać sprawy do końca, a tego dnia odniósł walne zwycięstwo. Nie pobił nieprzyjaciół - on ich zmiotł z powierzchni morza.

Jego jedyne oko płonęło, jakby rozświetlał je boski ogień -

istotnie, Nelson uważał się za wykonawcę woli bożej: szukał

chwały, śmierci i nieśmiertelności. Gdyby w jednym pokoju umieścić ambicje obu wodzów, samoczynnie by zapłonęły.

Gdyby je obrócić korbą, sypnęłyby iskrami. Obaj byli jak naładowane elektrycznością butelki lejdeckie, umieszczone pomiędzy nami - śmiertelnikami - beczki prochu.

Jak Napoleon, brytyjski admirał potrafił zdominować podwładnych samą obecnością; Nelson jednak dowodził nie tylko z energią i pasją; zdobywał sobie serca czarem osobistym. Miał więcej uroku niż niejedna królewska kurtyzana i niektórzy z jego kapitanów zachowywali się jak uszczęśliwione szczeniaki. Zgromadzili się teraz wokół niego w wielkiej kabinie, patrząc na mnie wielce podejrzliwie, a na admirała z nieskrywanym uwielbieniem.

- Skąd, u diabła, znasz Smitha? - zapytał Nelson, gdy stanąłem przed nim mokry, wyczerpany i oszołomiony tak, że dzwoniło mi w uszach.

Rum i czysta woda wymyły już z moich ust resztki soli.

-Po ucieczce z Tempie Sidney Smith poszedł moim tropem z powodu plotek, że mam towarzyszyć Napoleonowi w wyprawie do Egiptu - wychrypiałem. - Uratował mi życie w utarczce z bandytami w drodze do Tulonu. Poprosił mnie, żebym miał oko na Napoleona. Zaciągnąłem się więc do francuskiej floty, w nadziei że wcześniej czy później się o tym dowiedzie. Nie wiedziałem, jaki obrót przyjmą sprawy, ale skoro zwyciężyliście...

- On kłamie - odezwał się jeden z kapitanów. O ile pa miętam, nazywał się Hardy.

291

Na twarzy Nelsona pojawił się nikły uśmiech.

-Wiesz, przyjacielu, my tu nie korzystamy z usług Smitha...

Spojrzałem na grupę nieprzyjaźnie nastawionych kapitanów.

- Nie wiedziałem.

-Ten człowiek jest równie próżny jak ja. - Nastąpiła chwila martwej ciszy. Potem admirał nagle parsknął śmiechem, a pozostali podzielili jego żartobliwy nastrój. -Próżny jak ja!

Obaj żyjemy dla chwały!

Odpowiedział mu ryk wiwatów. Wszyscy byli zmęczeni, ale zadowoleni, choć niedawno przeszli niełichą młockę. Ich okręty były dryfującymi wrakami, morze wokół pełne było resztek krwawej jatki i niedawno przeżyli grozę wystarczającą na nocne koszmary do końca życia. Ale byli też z siebie dumni.

Wysiliłem się na uśmiech.

- Ale dobrze się bije - przyznał Nelson - jeśli nie musisz dzielić z nim pokoju. Jego ucieczka sprawiła, że znalazł się na ustach całej Anglii.

- Więc udało mu się wrócić?

- Tak. Ale jak sobie przypominam, nic o tobie nie wspomniał, panie.

- Nasze spotkanie nie zaowocowało decydującymi rozstrzygnięciami - przyznałem. - Nie obiecałem mu, że będę dla niego szpiegował. Przewidział jednak pański sceptycyzm, admirale, i dał mi to. - Podniosłem prawą dłoń z pierścieniem.

- To jego sygnet z wyrytym symbolem. Powiedział, że potwierdzi moją opowieść.

Zdjąłem pierścień i podałem go stojącemu najbliżej mężczyźnie. Oficerowie chrząknięciami potwierdzili, że poznają znak Smitha.

Nelson podniósł pierścień do jedyne go oka.

- Owszem, to ten drań Smith. Tu jest jego róg, a może powinienem powiedzieć, jego pała? - Wszyscy ponownie 292

się roześmiali. - Zaciągnąłeś się pod znaki tego diabła, Napoleona?

- Jestem członkiem jego zespołu uczonych, którzy badają Egipt. Byłem sekretarzem Beniamina Franklina. Usiłowałem załatwić kilka handlowych interesów, potem popadłem w...

hmm... konflikt z prawem i pojawiła się możliwość przeżycia niezwyklej przygody...

- Tak, tak... - Nelson machnął ręką. - Jaka jest sytuacja armii Bonapartego?

- Pokonał mameluków i zajął Kair.

W kabinie rozległ się pomruk niezadowolenia.

- Ale teraz nie ma floty - stwierdził Nelson, zwracając się raczej do swoich oficerów niż do mnie. - Co oznacza, że choć jeszcze nie możemy dopaść Bonia, on nie może ruszyć na Indie. Nie zdoła się połączyć z Tippu Sahibem, więc nasza armia nie jest tam zagrożona. Bonio jest uwięziony w Egipcie i tu pozostanie.

Skinąłem głową.

- Na to wygląda, admirale.

- A jaki jest nastrój w jego oddziałach?

Zastanowiłem się.

- Narzekają, jak wszyscy żołnierze. Ale właśnie podbili Egipt. Przypuszczam, że czują się jak marynarze, którzy właśnie pobili Brueys'a.

- Nie inaczej. - Nelson kiwnął głową. - Morze i ziemia.

Ziemia i morze. Ilu ma ludzi?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie jestem żołnierzem. Wiem tylko, że ponosił niewielkie w sumie straty.

- Hmm... A jego zaopatrzenie?

- Na uzupełnianie braków ma cały Egipt.

Admirał walnął dłonią w stół.

- Niech to diabli! Będziemy go musieli wybierać jak ostrygę! - Spojrzał na mnie swoim dobrym okiem. - I cóż właściwie chciałby pan teraz zrobić?

293

Dobre pytanie. Nie zostałem zabity tylko dzięki niezwykłemu szczęściu. Bonaparte spodziewał się, że rozwiążę dlań tajemnicę, która wciąż mnie intrygowała, mój przyjaciel Talma podejrzewał moją przyjaciółkę Astizę, pewien arabski rzeźmieszek z pewnością marzył o wrzuceniu mi jeszcze kilku węży do łóżka, no i była też ta kupa kamieni wzniesiona po to, żeby przedstawić świat, Boga czy co tam jeszcze. A tu miałem szansę zerwać z tym wszystkim i uciec.

Ale jeszcze nie skończyłem z rozgryzaniem tego medalionu, prawda? Może mógłbym zdobyć część skarbu lub jakiejś niezwykłej mocy? Albo uchronić ją od tych szaleńców z zakonu ryty egipskiego i węzowego kultu Apofisa? I czekała na mnie kobieta, czyż nie?

-Admirale, nie jestem strategiem, ale ta bitwa może wszystko zmienić - powiedziałem. - Nie wiem, jaka będzie reakcja Bonapartego, gdy dotrą do niego te nowiny. Być może jakoś sobie poradzę. Francuzi nic nie wiedzą o moich związkach ze Smithem.

Wrócić? Cóż, bitwa i słowa umierającego chłopca głęboko mną wstrząsnęły. Ja też miałem swój obowiązek, swoją powinność - musiałem wrócić do Astizy i do medalionu.

Musiałem ostatecznie zakończyć coś, co zacząłem.

- Wyjaśnię sytuację Napoleonowi i jeżeli to go nie poruszy, w ciągu kilku najbliższych miesięcy dowiem się wszystkiego, co będę mógł, i wrócę do pana z wiadomościami. - W mojej głowie zaczął się rodzić pewien plan. - Pod koniec października spotkajmy się nieopodal brzegu. Zaraz po dwudziestym pierwszym.

- W tym czasie powinien gdzieś tu być Smith - stwierdził

Nelson.

- A jaki ty, panie, masz w tym interes? - zapytał Hardy.

- Mam kilka spraw, które muszę załatwić w Kairze.

Potem chciałbym, żeby mnie odstawiono do jakiegoś ne-294

utralnego portu. Myślę, że po *L'Oriencie* mam już dość wojen.

- Mamy czekać całe trzy miesiące na pański raport? -

sprzeciwił się Nelson.

- Tyle czasu może potrzebować Bonaparte, żeby jakoś zareagować na klęskę floty i opracować nowe plany dla całej armii.

- Na Boga! - zachnął się Hardy. - Ten człowiek był na pokładzie francuskiego okrętu flagowego, a teraz żąda, żeby go odstawiono na brzeg! Ma pierścień czy nie, ja nie wierzę ani jednemu jego słowu!

- Nie służyłem. Obserwowałem tylko i przyglądałem się bitwie. Nie oddałem ani jednego strzału.

Nelson zastanawiał się przez chwilę, bawiąc się sygnetem Smitha. W końcu podał mi go ze słowami:

- Zgoda. Zatopiliśmy tyle statków i ludzi, że ty jeden, panie, nie stanowisz żadnej różnicy. Powiedz mu to, co za obserwowałeś. Chcę, by wiedział, że jest skazany na klęskę. Ale zebranie armii i wypędzenie Korsykanina z Egiptu może nam zająć kilka miesięcy. Tymczasem chcę, żebyś policzył jego siły i ocenił nastroje w jego armii. Jeżeli będą jakiegokolwiek szanse na jego kapitulację, chcę się o nich na tychmiast dowiedzieć.

Admirale, generał jest równie skłonny do kapitulacji jak ty sam, pomyślałem, ale głośno powiedziałem:

- Gdybyście mogli mnie odwieźć na brzeg...

- Żeby uniknąć jakichkolwiek podejrzeń, że byłeś u nas i rozmawiałeś z nami, odstawimy cię na brzeg jutro za po-

średnictwem Egipcjan.

-Jutro? Ale jeżeli chcecie, żebym powiadomił Bonapartego...

- Przede wszystkim niech się pan wyśpi i coś zje. Gage, pośpiech nie jest potrzebny, bo podejrzewam, że wstępne wieści już się rozeszły. Ścigaliśmy pewną korwetę, która tuż przed bitwą przemknęła do Aleksandrii, i jestem pe-295

wien, że znajdujący się na jej pokładzie dyplomata widział

nasze zwycięstwo. Jest to człowiek, który nigdy nie traci okazji. Hardy, jak on się nazywa?

- Doniesiono nam, że Silano.

- A, tak - stwierdził Nelson. - Jakiś sługus Talleyranda o nazwisku Alessandro Silano.

ROZDZIAŁ 14

Po usłyszeniu tych alarmujących wieści musiałem zobaczyć się z Talumą, który pewnie już uznał mnie za nieboszczyka, gdy do Aleksandrii dotarła wiadomość o zagładzie *UOrientu*.

Silano tutaj? Czyżby to właśnie miała być owa pomoc, o której wspominał Napoleon?

Wyczerpani bitwą Brytyjczycy nie próbowali nawet zdobyć wyremontowanych

fortów

broniących

Aleksandrii.

Zablokowali port i zaczęli patrolować morze. Mnie samego arabska lichtuga wysadziła na brzeg Zatoki Abu-kirskiej. Nikt szczególnie nie zwrócił uwagi na moje lądowanie, bo egipskie łodzie i feluki przemierzały wody w poszukiwaniu użytecznych resztek i trupów do obrabowania. Francuskie i angielskie szalupy też wydobywały z wody ciała pod osłoną pospiesznie zawartego

zawieszenia

broni,

na

brzegu

zaś

w

prowizorycznych namiotach z żaglowego płótna składano jęczących rannych. Wyszedłem na plażę obszarpany jak setki innych, pomogłem umieścić kilku rannych w cieniu poplamionych ostrygami żagli, a potem przyłączyłem się do posępnej procesji francuskich marynarzy wlokących się do Aleksandrii. Pokonani ponuro przysięgali zemstę Anglikom, wyglądali jednak na pozbawionych wszelkiej nadziei rozbitków. Była to długa, pieszka wędrówka w kłębach kurzu, a gdy oglądałem się za siebie, wciąż widziałem kolumnę dymu wzbijającego się z osadzonych na plaży francuskich okrętów.

Po drodze mijaliśmy resztki dawno minionej cywilizacji.

Przewró-

297

eona na bok rzeźbiona głowa. Wystająca ze sterty gruzu stopa jakiegoś króla, wielka niczym stół i z palcami jak dorodne bakłażany. Byliśmy ruiną wojsk mijających ruiny przeszłości.

Do miasta dotarłem dopiero o północy.

Aleksandria przypominała mi podrażniony ul. Przechodziłem od domu do domu, wypytując o niewysokiego Francuza w okularach, interesującego się cudownymi lekami, aż w końcu się dowiedziałem, że Talma zamieszkał w pałacu po zabitym mameluku, który jakiś przedsiębiorczy kupczyk przekształcił w oberżę.

- Ten chorowity? - odpowiedział mi pytaniem na pytanie oberżysta. - Przepadł gdzieś, nie zabierając bagażu ani leków.

Niewesoło.

- Nie zostawił wiadomości dla Ethana Gage'a?

- Jesteś jego przyjacielem, panie? -

Tak.

- Zostawił dług w wysokości stu franków. Zapłaciłem rachunek, poprosiwszy w zamian o bagaż

Talmy, w nadziei że dziennikarz pośpiesznie wrócił do Kairu.

Dla upewnienia się, że nie odpłynął, sprawdziłem port.

- To niepodobne do mojego przyjaciela Talmy, żeby odpłynął sam - oznajmiłem strapiiony portowemu intendentowi. -

On naprawdę nie ma żyłki awanturniczej.

- To co robi w Egipcie?

- Szuka leków na swoje choroby.

-Głupiec. Powinien wypróbować źródlane wody w Rzeszy.

Intendent potwierdził, że hrabia Silano przybył do Egiptu, ale nie bezpośrednio z Francji. Przyłynął z Syrii. Zgodnie z meldunkami, wysiadł na brzeg z dwiema ogromnymi skrzyniami pełnymi przedmiotów osobistego użytku, małpką na złotym łańcuchu, jasnowłosą kochanką, kobrą w koszyku, świnią w klatce i ogromnym Murzy-298

nem ochroniarzem. Jakby już tylko to nie było dość podejrzane, odział się w luźne arabskie szaty, do których dodał złotą chustę, austriackie buty do konnej jazdy i francuski rapier.

- Przybyłem, żeby zgłębiać egipskie tajemnice - oznaj mił.

Gdy słońce wstawało nad zgliszczami francuskiej floty i wciąż jeszcze słychać było odległy huk dział, Silano wynajął

karawanę wielbłądów i ruszył do Kairu. Czy Talma wyruszył

razem z nim? Było to raczej nieprawdopodobne. A może Antoine postanowił tropić hrabiego ukradkiem?

Przyłączyłem się do kawaleryjskiego patrolu zmierzającego do Rosetty, a potem wynająłem łódź do Kairu. Z daleka stolica wyglądała na dziwnie niezmienną po pogromie abukirskim, szybko jednak odkryłem, że wiadomości mnie wyprzedziły.

- To tak, jakbyśmy wisieli na linie - stwierdził sierżant eskortujący mnie do kwatery Napoleona. - Jest tu Nil i ta wąska wstęga zieleni, która do niego przylega, a po obu stronach nie masz niczego prócz pustyni. W tych piaskach zarzną cię, żeby zdobyć twój guzik. Zanocuj w wiosce i możesz się obudzić z nożem w gardle. Prześpij się z kobietą, a zatruje ci wodę albo cię wykastruje. Pogłaszcz psa, to cię ugryzie i dostaniesz wścieklizny. Możemy maszerować tylko w dwu kierunkach... w górę i w dół Nilu. Czy nie jest to lina, na której nas powieszają?

- Francuzi wynaleźli gilotynę - mruknąłem trochę nie w porę.

-A Nelson już nam uciął łeb. Ciało jeszcze zostało i bawi się w Kairze.

Nie sadzę, żeby Napoleonowi spodobało się to porównanie; wolałby zapewne powiedzieć, że Nelson obciął nam nogi, podczas gdy on, będący mózgiem całego ekspedycyjnego korpusu, został nietknięty. Kiedy złożyłem mu raport w jego kwaterze, miotał się pomiędzy zwaleniem

299

winy na Brueys'a („Czemuż on nie odpłynął na Korfu?") a zapewnieniami, że sytuacja strategiczna w zasadzie się nie zmieniła. Francja wciąż była panem Egiptu, a jego armia była o rzut kamieniem od Lewantu. Indie co prawda nieco się oddaliły, ale Syria wciąż pozostawała kuszącym celem.

Wkrótce miał zapanować nad bogactwem i siłą roboczą Egiptu.

Do francuskich oddziałów werbowano koptyjskich chrześcijan i mameluckich renegatów. Korpus jazdy na wielbłądach przemienił pustynię w dostępne Francuzom morze piasków.

Podbój miał trwać, a Napoleon miał być nowym Aleksandrem.

Powtarzał to wszystko chyba głównie po to, żeby przekonać siebie samego, ale nie zdołał ukryć ponurego nastroju.

- Czy Brueys zachował się mężnie? - zapytał mnie.

- Kula armatnia urwała mu nogę, ale pozostał na posterunku. Zginął jak bohater.

- No, przynajmniej tyle dobrego.

- Tak samo zginęli kapitan Casabianca i jego młodzieńcy syn. Pokład stał w ogniu, a oni nie chcieli opuścić okrętu.

Generale, zginęli dla Francji, wypełniając swoją powinność.

Bitwa mogła się potoczyć inaczej. Ale gdy *U Orient* wyleciał

w powietrze...

- Cały skarb maltański diabli wzięli! Do kata! A admirał

Villeneuve uciekł?

- Nie mógł wprowadzić swoich okrętów do walki. Mieli przeciwny wiatr.

- Ale ty przeżyłeś, Gage. - Uwaga była zaprawiona kwasem.

- Dobrze pływam.

- Na to wygląda, na to wygląda... wychodzisz cało z każdej opresji, prawda, Gage? - Bawił się suwmiarką i patrzył na mnie z ukosa. - Trafił do nas gość, który pyta o ciebie. Hrabia Silano. Powiada, że zna cię z Paryża. Podziela twoje zainteresowanie starożytnościami, ale prowa-300

dzi poszukiwania na własną rękę. Powiedziałem mu, że wyjechałeś, żeby zabrać coś z okrętu, a on wyraził chęć obejrzenia tego przedmiotu razem z tobą.

Nie zamierzałem dzielić się z Silanem żadnymi informacjami.

- Obawiam się, że kalendarz poszedł na dno razem z resztą maltańskiego skarbu - powiedziałem.

- *Mon Dieu!* Czyli twoja wyprawa była daremna?

-Zgubiłem także Antoine'a Talmę, który przepadł

w Aleksandrii. Nie widział go pan, generale?

- Ten dziennikarz?

- Który pracował, żeby uświetnić pańskie zwycięstwa.

- No, ja także nad nimi się napracowałem. Liczę na to, że napisze moją biografię... jest to mój dług wobec Francji. Ludzie powinni wiedzieć, co tu naprawdę się dzieje.

Ale nie, nie dbam osobiście o każdego z trzydziestu pięciu tysięcy ludzi. Pański przyjaciel powinien się niedługo po jawić, jeśli nie uciekł. - Napoleona nieustannie dręczyła myśl, że któryś z Francuzów będzie usiłował cichaczem opuścić Egipt. - A czy jesteś bliższy zrozumienia piramid i tego twojego medalionu, panie Gage?

-Zbadałem kalendarz. Może wskazywał sprzyjające daty.

- Sprzyjające czemu?

- Nie mam pojęcia.

Napoleon z trzaskiem złożył suwmiarkę.

- Zaczynam się zastanawiać nad twoją użytecznością, panie z Ameryki. Ale Silano mówi mi, że w tym, co badasz, mogą być wiadomości interesujące z militarne go punktu widzenia.

- Wiadomości wojskowe?

- Starożytn e moce. Cywilizacja egipska przodowała przez tysiące lat, wznoszono tu wspaniałe budowle, gdy reszta świata zamieszkiwała kryte darnią nory. Jak tego dokonano? I po co?

301

- Na to pytanie usiłują znaleźć odpowiedź wasi uczeni -

powiedziałem. - Ja tylko jestem ciekaw, czy starożytni mieli jakieś wiadomości na temat elektryczności. Jomard spekuluje, że być może dzięki niej poruszali te gigantyczne kamienne bloki. Ale nie umiemy odczytać ich hieroglifów, wszystko jest na poły zasypane piaskiem, a my po prostu jeszcze się nie zajęliśmy piramidami jak należy.

- Temu właśnie postanowiłem zaradzić. Zamierzam je zbadać osobiście. Przedtem jednak przyjdź na mój wieczorny bankiet, Gage. Czas, żebyś się naradził z hrabią Silano.

Sam byłem zaskoczony, jak bardzo mi ulżyło na widok Astizy. Może wpłynęło na to przeżycie tej strasznej bitwy lub troska o Talmę, ponura konstatacja sierżanta dotycząca naszej pozycji w Egipcie, przybycie Silana do Kairu czy niecierpliwość, z jaką Bonaparte skwitował moje postępy - tak czy

owak czułem się samotny. Kimże byłem, jeżeli nie Amerykaninem, którego los rzucił z obcą armią do jeszcze bardziej obcego kraju? Miałem tylko tę kobietę, która nie wchodząc w intymne związki, stała się moją towarzyszką i -

wyjawszy pewne sekrety, którymi nie chciałem się z nią dzielić

- przyjaciółką. A jednak jej przeszłość była tak niejasna, że sam siebie zapytywałem, czy w ogóle ją znam. Kiedy mnie witała, pilnie wypatrywałem w jej zachowaniu oznak skrywanych uczuć, ona jednak wyglądała na osobę zwyczajnie uradowaną tym, że wróciłem bez szwanku. Współ z Enochem chętnie wysłuchali mojej relacji z pierwszej ręki, bo cały Kair wrzał od rozmaitych pogłosek. Jeśli miałem jakiegokolwiek wątpliwości dotyczące jej bystrości, szybko się rozwiały, gdy stwierdziłem, jak bardzo poprawiła swój francuski.

Enoch i Aszraf nie wiedzieli nic o Talmie, za to mogli mi opowiedzieć bardzo dużo o Silanie. Przybył do Kairu ze swoim orszakiem, nawiązał stosunki z kilkoma maso-302

nami z francuskiego korpusu oficerskiego, a potem zaczął się spotykać z egipskimi mistykami i magami. Bonaparte oddał

mu do dyspozycji piękny dom po innym mameluc-kim beju, dokąd całymi dniami i nocami ściągali ludzie najrozmaitszego autoramentu. Powiadano też, że wypytywał Desaix'go o opracowywane właśnie plany wysłania francuskich oddziałów w górę Nilu.

- On stoi na czele ludzi żądnych sekretów przeszłości - dodała Astiza. - Zebrał własną straż przyboczną z beduińskich rzezimieszków, odwiedził Bin Sadra i paradyje ze swoją jasnowłosą dziewczynką w pięknym powozie.

-1 jeszcze wypytywał o ciebie, panie - dorzucił Enoch. -

Wszyscy się zastanawiali, czy nie zginąłeś pod Abukirem.

Przywiozłeś kalendarz?

- Nie, kalendarz przepadł wraz z *L'Orientem*, ale zanim to się stało, zdążyłem go sobie obejrzeć. To luźne domysły, ale kiedy ustawiłem pierścienie tak, jak to przedstawiło na medalionie i piramidach, doszedłem do wniosku, że ukazują datę dwudziestego pierwszego października, miesiąc po jesiennym ekwinokcjum. Czy ta data ma tu w Egipcie jakieś szczególne znaczenie?

Enoch przez chwilę się zastanawiał.

- Niezupełnie. Przesilenie zimowe czy letnie, ekwinokcjum, czy Nowy Rok, kiedy zaczyna się przybór Nilu, wszystkie te daty mają znaczenie, ale nie wiem niczego o dwudziestym pierwszym października. Może był to jakiś święty dzień starożytnych, którego znaczenie zatarł już czas. Ale zajrzę do moich ksiąg i naradzę się z kilkoma mędrkami.

- A co z medalionem? - zapytałem. Bez niego czułem się dość niepewnie, choć byłem zarazem wdzięczny losowi, że nie miałem go przy sobie pod Abukirem.

Enoch przyniósł medalion, którego widok i blask przyniosły mi ulgę.

- Im dłużej go badam, tym bardziej jestem przekonany, 303

że to rzecz bardzo stara, starsza niż większa część egipskiej historii. Te symbole mogą się odnosić do czasu budowy piramid. Jeżeli jest tak stary, oznacza to, że z tego okresu nie zachowały się żadne księgi, ale intryguje mnie twoja wzmianka o Kleopatrze, efendi. Pochodziła z rodu Ptolemeuszy, którzy żyli trzy tysiące lat po budowniczych piramid, i była pół

Greczynką, pół Egipcjanką. Związana z Cezarem, a potem z Antoniuszem, stała się ostatnim ogniwem łączącym świat starożytnego Egiptu ze światem Rzymu. Według legendy istnieje gdzieś zapomniana już dziś i opuszczona świątynia, poświęcona Hathor i Izydzie, boginiom rolnych płodów, miłości i mądrości. Kleopatra często ją odwiedzała.

Pokazał mi wizerunek bogini. Izydę przedstawiono konwencjonalnie, jako piękną kobietę z wysokim nakryciem głowy, Hathor jednak była stara, miała wydłużoną twarz i uszy krowy. Z tym wszystkim wyglądała dość sympatycznie.

- Tę świątynię prawdopodobnie przebudowano w czasach Ptolemeuszy - stwierdził Enoch. - Była jednak znacznie starsza, być może pamiętała czasy piramid. Legenda podaje, że zorientowano ją na gwiazdę Thuban, gdy była ona wyznacznikiem północy. Jeżeli tak, sekret może być rozłożony na dwa miejsca. Szukałem czegoś, co mogłoby się odnosić do tej układanki, sanktuarium czy drzwi... cze goś, co mógłby nam wskazać medalion... więc łączyłem teksty Ptolemeuszy.

-1 co? - Widać było, że rozwiązywanie tej zagadki sprawiło Enochowi sporo uciechy.

-1 znalazłem stary grecki odnośnik dotyczący niewielkiej, ulubionej przez Kleopatrze świątyni Izydy, który głosi, że laska Mina jest kluczem życia.

- Laska Mina? Bin Sadr miał laskę o główce w kształcie węża. Kim jest Min?

Astiza uśmiechnęła się lekko.

304

- Min jest bogiem, którego imię stało się rdzeniem słowa

„man”, czy „mąż”, tak jak imię bogini Maat stało się rdzeniem słowa „matka”. Jego laska nie przypomina laski Bin Sadra.

- O, tu jest inny wizerunek. - Enoch pokazał mi kolejny szkic.

Był to rysunek wyprostowanego łysonia wyróżniającego się niebywałych rozmiarów członkiem.

-Na dusze poległych pod Saratogą! Oni to wielbili w swoich świątyniach?!

- To natura - stwierdziła Astiza.

- Powiedziałbym, że wyjątkowo dobrze wyposażona. -Nie umiałem ukryć zazdrości dźwięczącej w moim głosie.

Aszraf posłał mi przewrotny uśmiech.

- Mój amerykański przyjacielu, w Egipcie to rzecz po wszechna.

Spojrzałem nań ostro, aż się roześmiał.

- Zabawiacie się moim kosztem - prychnąłem.

- Ależ nie. Min był naprawdę egipskim bogiem, a to jest jego prawdziwy wizerunek - zapewnił mnie Enoch. -Co prawda mój brat przesadza, mówiąc o naszej anatomii. W zwykłych okolicznościach uznałbym zdanie „Laska Mina jest kluczem życia” za zwykły mityczny symbol seksualności. W naszych historiach o stworzeniu pierwszy z bogów połyka własne nasienie, a potem wypluwa i wydala z siebie pierwsze ze swoich dzieci.

- Akurat ci uwierzę!

- A to jest ankh, zwykle uważany za klucz życia, po-przednik waszego chrześcijańskiego krzyża. Ale co miałby robić Min w świątyni Izydy? I to w tej, w której modliła się Kleopatra? Dlaczego „klucz” jest przeciwieństwem „istoty, esencji” lub jakiegoś innego słowa? I dlaczego potem jest napis: „Przez kryptę do nieba”?

- W rzeczy samej, dlaczego?

- Nie wiemy. Ale twój medalion, panie, może być klu-305

czem niekompletnym. Piramidy wskazują niebo. Co jest w tej krypcie? Jak mówiłem, wiadomo nam, że Silano podjął

starania, żeby się udać z Desaix'm na południe, w górę Nilu.

- Na terytorium nieprzyjaciela?

- Gdzieś tam na południu jest świątynia Hathor i Izydy.

Namyślałem się przez chwilę.

- Silano na własną rękę bada ruiny starożytnych stolic. Ma może te same wskazówki, które ty znalazłeś. Ale gotów jestem się założyć, że nadal potrzebny mu jest medalion. Trzymaj go tu w ukryciu. Dziś wieczorem idę na bankiet, gdzie spotkam się z tym magiem i jeżeli ten temat wypłynie, powiem mu, że medalion przepadł pod Abuki-rem. Może to być nasza jedyna przewaga w wyścigu do klucza życia.

- Nie idź na ten bankiet - odezwała się Astiza. - Bogini mi mówi, że powinieneś się trzymać z dala od tego człowieka.

- A mój własny mały bóg, Napoleon, powiada, że muszę z nim zjeść kolację.

Astiza miała niepewną minę.

- To niczego mu nie mów.

- O moich badaniach? - No, teraz mogłem podjąć temat odkryty przez dziennikarza. - Czy o tobie?

Na policzkach Astizy pojawił się rumieniec.

- A dlaczego miałoby go obchodzić twój śludzy?

- W istocie, dlaczego? Talma mi powiedział, że poznałaś hrabiego Silano, gdy przebywał w Kairze. Antoine nie pojechał

do Aleksandrii, żeby zasięgnąć wieści o Bin Sa-drze, tylko o tobie. Jak dobrze poznałaś hrabiego Alessan-dra Silana?

Milczała dość długo. W końcu stwierdziła:

- Owszem, wiedziałam o nim. Przybył do Aleksandrii, żeby badać starożytności, tak jak ja. Ale on zamiast bronić przeszłości, chciał ją wykorzystać.

306

- Wiedziałaś o nim? - Na Hades, ja wiem o Chińczykach, ale nigdy nie miałem do czynienia z żadnym z nich!

Nie o tym Talma mi mówił. - A może znałaś go w taki sposób, do jakiego nie chcesz się przyznać, i dlatego przez cały ten czas trzymasz się ode mnie z daleka?

-Problem ze współczesnymi mężczyznami - wtrącił się Enoch - jest taki, że oni zadają zbyt wiele pytań. Nie szanują tajemnic, co jest źródłem nieustannych kłopotów.

- Chciałbym wiedzieć, czy ona znała...

- Starożytni wiedzieli, że pewnych tajemnic lepiej nie dociekać, a niektóre historie powinny zostać zapomniane.

Ethanie, nie dopuść do tego, żeby twój wrogowie rozdzielili cię z twoimi przyjaciółmi.

Wrzałem ze złości, oni zaś bacznie mi się przypatrywali.

- Ale z pewnością nie jest przypadkiem to, że on się tu zjawiał!

- Oczywiście, że nie. Ty tu jesteś, Ethanie Gage. I medalion.

- Chciałabym o nim zapomnieć - przyznała Astiza. -Ale pamiętam, że on jest bardziej niebezpieczny,

niż mogłoby się na pozór wydawać.

Wciąż nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić, jasne jednak było, że oni nie zdradzą mi żadnych bliższych szczegółów. I może moja wyobraźnia podsuwała mi w istocie bezpodstawne przypuszczenia.

- No cóż, niczego mi nie zrobi w samym środku całej francuskiej armii, prawda? - odezwałem się w końcu, żeby coś powiedzieć.

- Nie jesteśmy już pośrodku francuskiej armii, jesteśmy w Kairze. - Dziewczyna ciągle miała zaniepokojoną minę. -

Strasznie się bałam o ciebie, kiedy przyszły wiadomości o bitwie. A teraz jeszcze pojawił się Silano...

Nadarzyła się okazja do załagodzenia sprawy, byłem jednak zbyt zbity z tropu, żeby z niej skorzystać.

307

- Ale wróciłem i jestem tu z moją rusznicą i tomahawkiem - powiedziałem zmuszony do odpowiedzi.
- Nie boję się Silana.

Westchnęła, a ja poczułem bijącą od niej słodką woń jaśminu. Po trudach przemarszu z pomocą Enocha przekształciła się w egipską piękność odzianą w jedwabie i muśliny. Na jej dłoniach i szyi wisiały starożytne złote ozdoby, a urok jej wielkich, lśniących oczu podkreślał jeszcze dyskretny makijaż. Jej sylwetka była wdzięcznie zaokrąglona, niczym smukłe amfory, które widziałem na targu. Ten widok przypominał mi, jak dawno nie miałem kobiety i jak bardzo chciałbym ją posiadać teraz. Jako uczony, powinienem wznieść swój umysł ponad niskie pożądanie, ale jakoś mi się to nie udawało. Ale czy mogłem jej zaufać?

-Działa i karabiny nie ochronią cię przed magią -stwierdziła Astiza. - Najlepiej chyba będzie, jak znów przeniosę się do twojej sypialni, żeby cię strzec. Enoch to zrozumie. Potrzebna ci będzie obrona ze strony mojej bogini.

No proszę... postępi!

- Jeżeli nalegasz...

-

Kazał mi tam wstawić dodatkowe łóżko.

Uśmiechnąłem się, czując, że mam za ciasne spodnie. - Bardzo zmyślne...

- Ważne jest, żebyśmy się skupili na tajemnicy. - Po wiedziała to ze współczuciem czy zamierzała w ten sposób mnie udręczyć? A może u kobiet uczucie i droczenie się są tym samym?

Spróbowałem się zdobyć na nonszalancję.

- Bądź tylko na tyle blisko, żeby w razie czego móc za bić następnego węża.

Z głową pełną nadziei i ponurych myśli - zwykły to stan u mężczyzny wdającego się w sprawę z piękną kobietą - udałem się na bankiet do Bonapartego. Nasz wódz

308

wydał go, by przypomnieć starszym oficerom, że wciąż mamy w Egipcie mocną pozycję i że muszą to przekonanie przekazać swoim podwładnym. Ważne było także pokazanie Egipcjanom, że Francuzi nie za bardzo się przejęli ostatnimi niepowodzeniami na morzu i bawią się równie chętnie jak przedtem. Zaplanowano oszołomienie miejscowej ludności świętowaniem Nowego Roku według rewolucyjnego kalendarza, co miało nastąpić 21 września, w dzień jesiennego ekwinokcjum i miesiąc przed wy-koncypowaną przeze mnie datą ze starożytnego artefaktu. Miały być popisy pułkowych orkiestr, konne wyścigi i wzlot jednego z balonów Contego.

Bankiet był tak europejski, jak tylko było to możliwe w tych warunkach. Wokół stołów poustawiano krzesła, żeby nikt nie musiał siedzieć na podłodze jak muzułmanie. Dbały o efekty i przewidujący Napoleon przywiózł ze sobą chińską porcelanę, wina, karafki na wodę i srebrne nakrycia, zapakowane równie starannie jak proch i działa. Pomimo upału w menu znalazła się jak zwykle zupa, mięsa, warzywa i typowe francuskie sałatki.

Silano, przeciwnie, zjawił się jako orientalista i człowiek Wschodu. Przyszedł w powiewnych szatach i turbanie, wyzywająco zawiesiwszy sobie na piersi masonski symbol cyrkla i kwadratu z wrytą wewnątrz literą G. Talma byłby zawrzał gniewem, widząc tę ostentację. Na czterech palcach hrabiego lśniły pierścienie, w ucho wpiął sobie kolczyk, a pochwa jego rapiera była pokryta złotym filigranem i czerwoną emalią. Gdy wszedłem, hrabia wstał i skłonił głowę.

- Monsieur Gage, Amerykanin! Powiedziano mi, że jesteś w Egipcie, i teraz widzę, że to prawda! Jeżeli zechcesz sobie przypomnieć, panie, to mieliśmy kiedyś przyjemność spotkać się przy karcianym stoliku.

- Owszem, dla mnie to była przyjemność. O ile sobie przypominam, wyszedłem jako wygrany.

309

- Oczywiście... ktoś musiał przegrać. Ale w końcu przyjemnością jest i sama gra, nieprawdaż? Mnie z pewnością stać na takie przyjemności. - Uśmiechnął się. - Jak rozumiem, członkiem tej ekspedycji uczynił cię medalion, który wtedy wygrałeś, panie?

- I pewna przedwczesna śmierć w Paryżu.

- Śmierć przyjaciela?

- Dziwki.

Nie dał po sobie niczego poznać.

-Ach tak? Nie będę udawał, że cokolwiek z tego rozumiem.

Ale oczywiście jest pan uczonym, ekspertem od piramid i elektryczności, ja zaś jestem tylko zwykłym historykiem.

Zająłem miejsce przy stole.

- Obawiam się, że mam dość skromną wiedzę w obu dziedzinach. Poczytuję sobie za honor to, że włączono mnie w skład uczestników tej ekspedycji. Mnie zaś powie dziano, że jesteś, panie, magiem i mistrzem założonego przez Cagliostro zakonu rytu egipskiego.

-Przesadnie ocenia pan moje zdolności, jak... być może... ja przesadzam w ocenie pańskich. Jestem tylko zwyczajnym badaczem przeszłości, który ma nadzieję, że znajdzie w niej odpowiedzi na pytania mogące wyniknąć w przyszłości. Cóż takiego wiedzieli Egipcjanie, co do tej pory pozostawało zapomniane? Wyzwolenie Egiptu otworzyło drogę do połączenia techniki Zachodu z mądrościami Wschodu.

-I czegoż miałyby dotyczyć te mądrości? - zagrzmał

generał Dumas, mówiący z pełnymi ustami. Jadł, jak jeździł, w pełnym galopie. - Nie widzę ich na ulicach Kairu. A uczeni, czy to naukowcy czy magowie, niewiele dotąd wskórali. Jedzą tylko, gadają i nieustannie coś zapisują.

Oficerowie parsknęli śmiechem. Na akademików patrzono dość krytycznie, żołnierze uważali, że ich pozba-310

wionę wartości badania opóźniają podbój Egiptu i powrót do Europy.

- Generale, to nieco krzywdząca ocena naszych uczonych -

wtrącił się Napoleon. - W bitwie na rzece Monge i Berthollet wymierzili i oddali decydujący strzał. Gage udowodnił, jak celnie potrafi strzelać ze swojej rusznicy. Naukowcy zajmują swoje miejsca w czworobokach piechoty. Powstają plany wiatraków, kanałów, fabryk i faktorii. Conte zamierza nadmuchać jeden ze swoich balonów! Wyzwolenie Egiptu zapoczątkowali żołnierze, ale to naukowcy je urzeczywistnią.

My wygrywamy bitwy, oni podbijają umysły.

- Zostawmy więc ich tutaj i wracajmy do domu. - Dumas zajął się kurzym udkiem.

- W starożytności kapłani byli równie pożyteczni - odezwał

się łagodnie Silano. - Ustanawiali prawa i uzdrawiali ludzi.

Egipcjanie mieli zaklęcia leczące chorych, mogące zdobyć serce kochanka czy kochanki, ustrzec od

zła i zdobyć bogactwo. W zakonie rytu egipskiego możemy tkąć czary wpływające na pogodę, chroniące od ran czy szkód i leczące nawet umierających. Mam nadzieję, że tu, w kolebce cywilizacji, dowiemy się jeszcze więcej.

- Zabawia się pan czarnoksięstwem - ostrzegł go Dumas. -

Naraża pan swoją duszę.

- Zdobywanie wiedzy to nie czarnoksięstwo. To dawanie żołnierzom broni do ręki.

- Jak do tej pory wystarczały nam szable i pistolety.

- A skąd wyszedł proch, jeżeli nie z pracowni alchemików?

W odpowiedzi Dumas tylko beknął. Generał był rostry, lekko podpity i zapalczywy. Może pozbędzie się Silana, nie mieszając się w nic osobiście?

- Jestem zwolennikiem badania niewidzialnych sił, takich jak elektryczność - ciągnął gładko Silano, zerknąwszy w moim kierunku. - Czymże jest owa tajemnicza siła, 311

jaką obserwujemy, pocierając bursztyn? Czy istnieje energia zdolna poruszać światem? Czy możemy przekształcać podłejsze elementy w bardziej szlachetne? Drogę ukazali nam nauczyciele i mędracy tacy jak Cagliostro, Kolmert i Saint-Germain. Monsieur Gage dodałby zapewne do nich wielkiego Franklina.

- Ha! - przerwał mu Dumas. - Cagliostro został zde maskowany jako oszust w kilku krajach! Czary chronią ce od ran? - Położywszy dłoń na rękojeści swej ciężkiej kawaleryjskiej szabli, częściowo obnażył klingę. - Proszę spróbować jakiegoś czaru przeciwko niej.

Zanim zdążył zrobić cokolwiek więcej, zobaczyliśmy szybki ruch, gwałtowny błysk - i oto sztych rapiera Silana wparł się w dłoń generała. Włoch zrobił to równie szybko, jak ptak macha skrzydłem, i w powietrzu dał się słyszeć wizg tnącej stali.

W sali zapadła cisza, wszystkich oszołomiła szybkość hrabiego.

-Natychmiast odłóżcie obaj broń! - warknął zimno Napoleon.

- Oczywiście. - Rapier Silana znikł w pochwie równie szybko, jak z niej wyskoczył.

Dumas skrzywił się pogardliwie, ale też schował szablę.

- Więc ostatecznie jednak, jak my wszyscy, liczysz, pa nie, na zimną stal - mruknął.

-Generale, czy rzucasz wyzwanie moim innym mocom?

- Chciałbym je zobaczyć.

- Sceptycyzm jest duszą nauki - odezwał się chemik Berthollet. - Panie hrabio, jedną rzeczą jest powoływanie się na istnienie magii, a inną demonstrowanie jej istnienia.

Podziwiam pański zapał badacza, ale nadzwyczajne stwierdzenia wymagają nadzwyczajnych dowodów.

-Może powinienem przedstawić lewitację piramidy?

312

- To z pewnością zrobiłoby na nas wrażenie.

- Ale przecież odkrycie naukowe to łańcuch kolejnych eksperymentów i dowodów - nie ustępował Silano. - Podobnie jest z magią i siłami znanymi starożytnym. Mam nadzieję, że uda mi się podnieść piramidy, stać się niepodatnym na rany od kul i szabel i osiągnąć nieśmiertelność, w tej chwili jednak jestem tylko zwykłym badaczem, tak jak wy, panowie uczeni.

Dlatego po badaniach w Rzymie, Stambule i Jerozolimie podjąłem tę długą podróż do Egiptu. Obecny tu Amerykanin ma medalion, który może okazać się pomocny w moich badaniach, jeśli tylko pozwoli mi go zbadać.

Wszystkie twarze zwróciły się w moją stronę. Zaprzeczyłem, kręcąc głową.

- Ten przedmiot nie należy do magii, tylko do archeologii, i nie poświęcę go dla alchemicznych eksperymentów.

- Powiedziałem tylko, że chcę go zbadać.

-To właśnie czynią uczeni. Nauka jest wiarygodna. Egipcscy masoni nie.

Hrabia miał minę cierpliwego nauczyciela, którego rozczarował niesforny uczeń.

- Monsieur, czy nazywasz mnie kłamcą?

- Nie, to ja nazywam cię kłamcą! - Dumas ponownie wtrącił się do rozmowy, ciskając na ziemię niedojedzone udko.

- Jesteś pan oszustem, hipokrytą i szarlatanem. Nie cierpię magików, alchemików, uczonych, Cyganów i klechów.

Przyszedłeś tu odziany jak marsylski błazen i gadasz o magii, ale ja widzę, że mięso kroisz nożem, jak my wszyscy. Możesz sobie machać tą swoją igielką, ale zechciej ją wypróbować przeciwko prawdziwej szabli! Szanuję ludzi, którzy walczą lub budują, zamiast gadać i fantazjować!

Teraz niebezpiecznie i gniewnie błysnęły oczy Silana.

- Obraziłeś moją godność i honor, generale. Może po winienem wyzwać ciebie!

Zapadła pełna napięcia cisza. Silano miał reputację człowieka śmiertelnie niebezpiecznego, który w samym Paryżu zabił w pojedynkach przynajmniej dwu ludzi. Dumas jednak wyglądał przy nim jak goliat.

- A ja może powinienem przyjąć pańskie wyzwanie -

warknął generał.

- Pojedynki są zabronione - uciał Napoleon. - Obaj o tym wiecie. Jeżeli którykolwiek z was zacznie, każę obu rozstrzelać.

- Na razie jesteś więc bezpieczny. - Dumas niemal spopielił

hrabiego wzrokiem. - Ale lepiej przypomnij sobie te swoje czary, bo jak wrócimy do Francji...

- A po co czekać? - odezwał się Silano. - Możemy zmierzyć się w inny sposób. Nasz szanowny chemik prosił o próbę sceptycyzmu, pozwól więc, panie, że zaproponuję ci właśnie coś takiego. Na jutrzejszy obiad przyniosę prosiaka, którego przywiozłem z Francji. Jak wiesz, muzułmanie nie tykają tych zwierząt, jedynym jego karmi-cielem i opiekunem jestem ja.

Sugerujesz, panie, że nie mam żadnych tajemnych mocy. Więc pozwól, że wręcę ci to zwierzę na dwie godziny przed posiłkiem i pozwolę przyrządzić, jak zechcesz; możesz je ugotować, upiec czy przysmażyć, wedle woli. Podzielisz je na cztery równe części i dasz mi do zjedzenia tę, którą zechcesz.

Ty sam zjesz drugą porcję.

- I jakież sens miałyby ta bzdura? - zapytał Dumas.

- W dzień po tym obiedzie zdarzy się jedna z czterech możliwości: obaj umrzemy, nie umrze żaden z nas, umrzesz ty albo ja. Z tych czterech możliwości postawię na jedną pięć tysięcy franków. Następnego dnia ty będziesz trupem, a ja będę się cieszył życiem.

Zapadła cisza. Dumas poczerwieniał na twarzy.

- To jeden z tych zakładów Cagliostro.

- Nigdy nie przyjętych przez żadnego z jego nieprzyjaciół.

Generale, masz szansę być pierwszy. Czy twoje zwał-

314
pienie w moje moce jest dość silne, żebyś jutro zasiadł ze mną do obiadu?

- Spróbujesz jakiejś magicznej sztuczki!

- Twierdziłeś, że nie potrafię. Udowodnij to! Dumas powiódł wzrokiem po zebranych. W walce mógł liczyć na swoje siły i umiejętności, ale zdecydować się na coś takiego?

- Pojedyńki są zabronione - odezwał się Napoleon. -

Ale ten zakład chciałbym zobaczyć. - Cieszyło go, że ge nerał popadł w tarapaty, gdyż dał mu się we znaki pod czas marszu przez pustynię.

-Wiem, że on mnie otruje, wykorzystując zwinność swoich palców!

Wyczuwający już zwycięstwo Silano rozłożył ręce.

- Generale, zanim zasiądziemy do stołu, możesz mnie kazać obszukać od czubka głowy po pięty.

Dumas ustąpił pola.

- Ba! Nie zasiadłbym z tobą do stołu, choćbyś był Jezusem, diabłem lub ostatnim człowiekiem na ziemi! - Wstał, odsuwając krzesło. - Bawcie się w te swoje badania, jeśli taka wasza wola - zwrócił się do wszystkich obecnych -ja jednak mogę wam przysiąc, że na tej przeklętej pustyni nie masz niczego oprócz kupy starych kamieni. Pożałujecie jeszcze, żeście dali posłuch tym pieczeniарom, szarlatanowi i tej jankeskiej pijawce. - Z tymi słowy wyszedł z jadalni jak burza.

- Skoro odrzucił moje wyzwanie, jest mądrzejszy, niż o nim mówią - stwierdził filozoficznie Silano. - Przepowiadam, że pożyje dość długo, by spłodzić syna, który dokona wielkich czynów. Co do mnie, proszę jedynie o pozwolenie prowadzenia badań. Chciałbym przeszukać świątynie, gdy armia ruszy w górę rzeki. Oddaję wam, żołnierzom, należny szacunek, w zamian zaś proszę, żebyście uszanowali moje zainteresowania.

- Spojrzał na mnie. - Liczyłem na to, że będziemy pracować ra-315

zem jak koledzy, ale wygląda mi na to, że zostaniemy rywalami.

- Ja po prostu nie czuję potrzeby dzielić z tobą, panie, twoich celów lub moich powinności - odpowiedziałem.

- Więc sprzedaj mi ten medalion. Wymień cenę.

- Im bardziej go pragniesz, Silano, tym mniejszą mam chętkę go oddać.

- Niech cię diabli, Gage! Jesteś odporny na wiedzę! -

wrzasnął wreszcie, uderzając dłonią w stół. Z jego twarzy opadła w końcu maska światowej obojętności. Skrywała wściekłość i desperację, patrzył na mnie oczami pełnymi nieprzejednanej wrogości. - Pomóż mi albo przygotuj się na najgorsze!

Monge zerwał się na nogi, stając jak wcielenie surowej powagi i dezaprobaty.

-Monsieur, jak śmiesz! Niecierpliwość źle ci służy. Mnie samego kusi, żeby przyjąć twój zakład!

Teraz wstał Napoleon, poirytowany, że dyskusja wymknęła się spod kontroli.

- Nikt nie będzie zjadał zatrutego prosiaka. Jeszcze tej nocy zwierzę ma być zakłute bagnetami i wrzucone do Nilu. Gage, jesteś tu, a nie w paryskim więzieniu, tylko dzięki mojej przychylności. Rozkazuję ci pomóc hrabiemu Silano, jak tylko potrafisz.

Wstałem z miejsca.

- Wobec tego muszę wyznać coś, co nieskoro wychodzi mi z ust. Medalion przepadł, straciłem go, gdy wypadłem za burtę pod Abukirem.

Przy stole wszczął się gwar - jedni zakładali się z drugimi o to, czy powiedziałem prawdę. Cieszył mnie ten rozgłos, choć wiedziałem, że może oznaczać jedynie kolejne kłopoty.

Napoleon skrzywił się ze złością.

- Wcześniej o tym nie mówiłeś - stwierdził sceptycznie Silano.

- Bo nie jestem dumny z mojej niezręczności - odpo-316

wiedziałem. - I chciałem, żeby zebrani tu oficerowie zobaczyli cię takiego, jaki jesteś, hrabio... człowiekiem chciwym i niepotrafiącym przegrywać. Ten szlachcic nie jest poważnym naukowcem - zwróciłem się do zebranych. -Jest tylko rozczarowanym, poirytowanym graczem, który usiłuje groźbami zdobyć to, czego nie umiał wygrać w karty. Panowie, ja też jestem masonem, ale ten jego zakon przeczy wszystkim zasadom naszej organizacji.

- On kłamie! - syknął Silano. - Nie wróciłby do Kairu, gdyby nie miał już medalionu.

- Oczywiście, że byłbym wrócił. Jestem uczonym nale-

żącym do tej ekspedycji tak samo jak Monge czy Berthol-let.

Człowiek, który nie wrócił, to mój przyjaciel, dziennikarz i pisarz Talma. Zniknął w Aleksandrii w tym samym czasie, kiedy ty się tu zjawiłeś, panie... hrabio!

Silano odwrócił się do zebranych. -1

znów mamy do czynienia z magią.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

- Nie żartujcie z tego, panowie - uciałem. - Czy wiecie, gdzie się podział Antoine?

-Jeżeli znajdziesz swój medalion, Gage, to może pomogę ci odszukać Talmę.

- Medalion przepadł, już to mówiłem!

- A ja powiedziałem, że ci nie wierzę, panie. Drogi generale Bonaparte, skąd możemy wiedzieć, po czyjej stronie jest ten mówiący po angielsku Amerykanin?

- Tego już za wiele! - krzyknąłem, choć istotnie w duchu wiele razy się zastanawiałem, po czyjej stronie powinienem być. Jak powiedziała Astiza: w co naprawdę wierzyłem? W

cholerne skarby, piękne kobiety i George'a Waszyngtona. -

Wyzywam pana na ubitą ziemię! - rzuciłem do Silana.

- Żadnych pojedynków! - raz jeszcze uciał Napoleon. -Dość tego! Wszyscy zachowujecie się jak dzieci. Gage, pozwalam panu odejść od mojego stołu.

317

Wstałem z ukłonem.

- Istotnie, może tak będzie najlepiej.

- Jeszcze się dowiesz, panie, jak poważnie traktuję naukę! -

zawołał za mną Silano. A potem usłyszałem, jak mówi do Napoleona: - Temu jankesowi nie można ufać. To człowiek, przez którego nasze plany mogą spełznąć na niczym.

Następnego dnia po południu Asz, Enoch, Astiza i ja odpoczywaliśmy przy fontannie w domu starca i rozmawialiśmy przy kolacji o zamiarach Silana. Enoch uzbroił służbę w pałki. Bez żadnego oczywistego znaku czuliśmy się jak mieszkańcy oblężonej twierdzy. Dlaczego Silano posunął się tak daleko? Ku czemu zmierzał Bonaparte? Czy generałowi również zależało na zawładnięciu okultystycznymi mocami? A może wzięliśmy za groźbę zwykłe zainteresowanie?

Odpowiedź uzyskaliśmy, gdy rozległo się ostre pukanie do drzwi wejściowych i Mustafa poszedł zobaczyć, kto puka.

Wrócił nie z gościem, ale z dzbanem.

- Ktoś to zostawił przed bramą.

Gliniany dzban był szeroki, ponadpółmetrowy i na tyle ciężki, że na ramionach Mustafy, gdy przynosił ciężar na niewielki stolik, nabrzmiały bicepsy. - Nikogo przed drzwiami nie zobaczyłem, a ulica była pusta.

- Co to jest? - zapytałem.

- Dzban na oliwę - odpowiedział Enoch. - To dość niezwykły sposób na przekazanie podarunku. - Zachowując czujność, podszedłem, żeby zajrzeć do środka.

- Czekał - odezwałem się. - A jeżeli to pułapka?

- Pułapka?

- Lub koń trojański? - dodała Astiza, znająca równie dobrze greckie i egipskie legendy. - Nieprzyjaciół go zostawia, my wnosimy to do środka...

- I wyskakują na nas miniaturowi żołnierze? - Aszrafa ta sytuacja rozbawiła.

318

- Nie. Ale na przykład węże. - Przypomniałem sobie noc w Aleksandrii.

Teraz Enoch się zawahał.

- Odejdź na bok - odezwał się Aszraf, wstając z miejsca. -

Pozwól, że ja to otworzę.

- Weź kij - podsunął mu brat.

- Wezmę szablę... i nie dam się zaskoczyć.

Cofnęliśmy się wszyscy o kilka kroków. Aszraf złamał

woskową pieczęć i nieznacznie odsunął pokrywę, a gdy ze środka dzbana nie wydobył się żaden dźwięk, sztychem szabli uniósł ją i odrzucił w bok. I znów nic się nie wydarzyło.

Pochylił się ostrożnie, wsuwając szablę w głąb dzbana... i odskoczył.

- Wąż! - potwierdził.

Niech to lichy. Miałem już dość tych gadów.

- Ale to niemożliwe - odezwał się mameluk. - Dzban jest pełen oliwy. Czuję ją węchem. - Ostrożnie nachylił się nad naczyniem, badając jego zawartość szablą. - Nie, poczekajcie...

ten wąż jest martwy. - Na jego twarzy odmalowało się nagle przerażenie. - Niech bogowie mają nas w swej opiece!

- Co u licha?

Krzywiąc się okropnie, mameluk sięgnął w głąb dzbana i wyciągnął... węża. Za wężem wyłonił się pęk włosów zaplątanych w jego łuski. Gdy Aszraf uniósł ramię, zobaczyliśmy kulisty przedmiot spowity zwojami martwego węża.

Była to ludzka głowa ociekająca oliwą.

Jęknąłem ze zgrozą. Patrzyły na mnie szeroko otwarte, martwe oczy Antoine'a Talmy.

ROZDZIAŁ 15

- Zabili go, żeby przesłać mi wiadomość - powiedziałem.

- Ale dlaczego zabili twojego przyjaciela za coś, czego, jak im powiedziałeś, już nie masz? Dlaczego

nie zabili ciebie? -

zapytał Aszraf.

Ja też się nad tym zastanawiałem. Tymczasem włożyliśmy głowę nieszczęsnego Talmy na powrót do dzbana, w którym jego włosy unosiły się jak wodorosty. Nie chciałem nawet zgadywać, gdzie może być ciało.

- Bo mu nie wierzą - odpowiedziała Astiza. - Tylko Ethan wie na pewno, że medalion wciąż istnieje i co on może znaczyć. Oni nie chcą go zabić, tylko skłonić do uległości.

- To dość obrzydliwy sposób - stwierdziłem ponuro.

- A kim są ci oni? - zapytał Enoch.

- Ten Beduin, Achmed Bin Sadr.

- On jest tylko narzędziem, rozkazy wydaje ktoś inny.

- Silano. Ostrzegał mnie, żebym traktował go poważnie.

Przybywa i Antoine ginie. Wszystko to z mojej winy.

Poprosiłem Talnę, żeby wypytał w Aleksandrii o Bin Sa-dra.

Talma został porwany albo Silano wysłał za nim swoich szpiegów. Potem schwytali Antoine'a, a ten niczego im nie powiedział. Cóż on zresztą wiedział? Jego śmierć miała mnie przerazić.

Asz klepnął mnie po ramieniu.

- Ale oni nie wiedzą, jak mężnym jesteś wojownikiem!

320

Byłem też na tyle zwykłym człowiekiem, żeby przez najbliższy miesiąc mieć koszmary, ale do takich rzeczy nie należało się w tej chwili przyznawać. Co prawda teraz się zawzięłem - postanowiłem, że medalion nigdy nie dostanie się w łapy Siłana.

- To moja wina - stwierdziła Astiza. - Kazałeś mu jechać do Aleksandrii, żeby zbadał moją przeszłość.

- Sam na to wpadł, ani ja, ani ty nie mieliśmy na to wpływu. Nie obwiniaj się.

- Wobec tego dlaczego nie zapytał mnie wprost?

Bo nigdy byś mu wprost nie odpowiedziała, pomyślałem.

Bo ty się lubisz bawić w tajemnice. Ale nic nie powiedziałem.

Siedzieliśmy pogrążeni w ponurej ciszy i oskarżaliśmy w duchu samych siebie. Bywa tak, że im bardziej jesteśmy niewinni, tym więcej sobie zarzucamy.

-Jeżeli *Śhano dopnie swego, to twój przyjaciel nie* będzie ostatnim, który zginął - ponurym głosem odezwał się wreszcie Enoch.

Zabrzmiało to tak, jakby starzec wiedział więcej, niż się do tego przyznawał.

- Co masz na myśli?

- Gra idzie o znacznie większą stawkę, niż podejrzewasz lub ci powiedziano. Im dłużej badam tę sprawę, tym bardziej się boję i tym głębiej jestem o tym przekonany.

- O czym?

-Ten twój medalion może być rodzajem klucza do otwarcia drzwi zamkniętej od dawna krypty. O ten wisior od tysięcy staczano boje, dziesiątki ludzi go szukało, ale nikt nie odkrył

jego tajemnicy. Wreszcie znalazł się na Malcie, gdzie leżał

nierozpoznany, dopóki przeprowadzający tu badania Cagliostro nie dowiedział się o jego istnieniu i nie udał się na Malte, żeby go znaleźć. Z tym wisiosem jest związana klątwa, która doprowadza niegodnych do szaleństwa, a stanowi wyzwanie dla mądrych i bystrych. Ten medalion od wieków jest zagadką.

To klucz bez zam-

321

ka, mapa, która niczego nie wskazuje, nikt nie pamięta, do czego się odnosi. Nawet ja muszę się przyznać do bezradności.

- Być może więc jest bezużyteczny? - zapytałem z żalem i zarazem nadzieją w głosie.

- Albo nareszcie nadszedł jego czas. Silano też badał jego historię i nie prześladowałby cię, gdyby nie miał na oku własnego celu.

- Chce znaleźć skarb?

-Gdybyż tylko o to chodziło... Są skarby i są niepo-znane moce. Nie wiem, jakimi motywami kieruje się ten tajemniczy Europejczyk i jego zakon rytu egipskiego, ale jeśli Silano znajdzie to, czego szukało tak wielu żądnych władzy i wiedzy, zyska nie tylko nieśmiertelne życie i niewyobrażalne bogactwa.

Odsonią się też przed nim tajemnice mogące wstrząsnąć podstawami świata. Człowiek prawy może z ich pomocą tworzyć i budować. Zły...

-
Jakie sekrety? Ludzie, o czym wy, u diabła, mówicie?

Enoch westchnął, jakby się zastanawiał, czy mówić da lej. W końcu odpowiedział.

- Mówię o Księdze Tota.

- Czyjej księdze?!

- Tot jest egipskim bogiem wiedzy i mądrości - odezwała się Astiza. - Wasze angielskie słowo oznaczające myśl pochodzi od jego imienia. Jest po trzykroć wielkim, tym, którego Grecy nazywali Hermesem Trismegistosem. Był u samych początków Egiptu.

- Początki naszej historii okrywa mgła tajemnicy - powiedział Enoch. - Nie mówią o tym dziejopisowie. Egipt był, zanim wszystko się zaczęło. Nie mamy legend o stopniowym jego powstawaniu, cywilizacja nasza jakby wychynęła spod piasków całkowicie już ukształtowana. Nie było tu nic i nagle pojawiło się królestwo, ze wszystkim, co potrzebne do jego istnienia. Skąd pochodziła ta wiedza? Przypisujemy te nagłe narodziny mądrości Tota.

322

-To on wymyślił pismo, malarstwo, pomiary ziemi, matematykę, astronomię i medycynę - podjęła wątek Astiza. -

Nie wiemy, skąd przyszedł, zapoczątkował jednak wszystko, co było po nim. Jest dla nas Prometeuszem, który dał nam ogień, lub Adamem i Ewą, którzy spożyli jabłko wiedzy.

Owszem, wasza Biblia też opisuje podobne wielkie przebudzenie, ale wiąże je ze strachem i zgrozą. My wierzymy, że dawniej ludzie byli mądrzejsi i władali magią. Świat był

bardziej czysty i szczęśliwy. - Wyciągnąwszy rękę, wskazała malowidło na ścianie biblioteki Enocha. Przedstawiało mężczyznę z głową ptaka.

- To ma być Tot? - Było coś niepokojącego w wizerunkach ludzi z głowami zwierząt. - Dlaczego ptak? Są głupsze od osłów.

- To ibis, a my, Egipcjanie, jedność ludzi i zwierząt uwa-

żamy za piękno. - W głosie Astizy zadźwięczał chłód. -

Przedstawia się go także jako pawiana. Starożytni wierzyli, że nie ma zbyt wielkiej różnicy pomiędzy ludźmi i zwierzętami, pomiędzy człowiekiem i bogiem, życiem i śmiercią, stwórcą i stworzonym.

Wszystko

jest

częścią

jedności.

Tot

przewodniczy sądowi czterdziestu dwu bogów, na którym wazone są nasze dusze. Na drugiej szali wagi spoczywa piórko.

Musimy udowodnić, żeśmy nie czynili zła, bo w przeciwnym razie naszą duszę pożre krokodyl.

- Rozumiem - powiedziałem, choć niczego nie rozumiałem.

- Niekiedy pozornie bez celu wędruje po świecie, żeby się przyglądać ludzkości, ukrywając swoją mądrość, dowiaduje się o nas coraz więcej. Ludzie nazwali go Bła-znem.

- Błaznem?

- Kpiarzem, mędrcom, prawdomówcą... - wyjaśnił Enoch. -

Nieustannie pojawia się to tu, to tam. Powiadają, że tylko błazen będzie szukał błazna.

To mnie naprawdę zaintrygowało. Czy nie o tym wła-323

śnie mówiła Sarylla, gdy w głębi francuskiej puszczy zabawiała mnie karcianymi przepowiedniami? Czyżby to, co odrzuciłem jako niejasne bzdury, miało być prawdziwą przepowiednią?

Ona również nazwała mnie błaznem.

- Ale dlaczego mielibyśmy się tak ekscytować z powodu jeszcze jednej księgi?

- To nie jest jeszcze kolejna księga, ale pierwsza z ksiąg -

odpowiedział Enoch. - Zgodzisz się z pewnością, że są księgi, które wpłynęły lub wpływają na losy świata... Biblia, Koran, prace Izaaka Newtona czy *Iliada*, która popchnęła Aleksandra do podboju Azji. Te najlepsze z nich są ekstraktem mądrości, wiedzy, nadziei i ludzkich pragnień. O Księdze Tota wiadomo tylko, że składa się z czterdziestu dwu zwojów wyboru z trzydziestu sześciu tysięcy pięciuset trzydziestu pięciu papirusów, po sto na każdy dzień roku słonecznego, na których bóg zapisał swoją tajną wiedzę i ukrył je w skrytkach rozsianych po całej ziemi, żeby znalazł je godny tego mąż, kiedy nadejdzie właściwa pora. Na tych zwojach spisano sumę najgłębszej wiedzy i umiejętności mistrzów, którzy zbudowali piramidy. Moc, Miłość, Nieśmiertelność, Radość, Zemsta, Lewitacja, Nie-widzialność. Umiejętność widzenia świata takiego, jaki naprawdę jest... zamiast ułudy, w jakiej żyjemy.

Pod powierzchnią naszej rzeczywistości istnieją pewne wzajemne zależności i niewidzialne struktury, legendy zaś powiadają, że można nimi manipulować, osiągając iście magiczne efekty. Starożytni Egipcjanie wiedzieli, jak to robić.

Dla nas to zapomniane sztuki.

- I dlatego wszyscy tak desperacko chcą dostać ten medalion w swoje ręce?

- Tak. On musi wskazywać trop i kierunek poszukiwań równie starych jak historia. Być może ludzie nie muszą umierać, a gdy umrą, można ich wskrzeszać... Ktoś, kto stałby się nieśmiertelny, miałby dość czasu na zgromadzenie wiedzy, która pozwoliłaby mu zapanować nad innymi.

Jego armie stałyby się niezwyciężone. Jakim tyranem mógłby się stać ten, co nie bałby się śmierci? A jeżeli to, co nazywamy magią, jest niczym innym jak starożytną wiedzą spisaną w księdze przez istoty tak dawne i mądre, że zapomnieliśmy już, kim były i skąd przyszły?

- Bonaparte z pewnością się nie spodziewa...

- Nie sądzę, żeby Francuzi wiedzieli dokładnie, czego szukają lub jak mogą to wykorzystać, bo w przeciwnym razie byłoby już przewrócili cały kraj do góry nogami. Ale słyszeli pewne historie i to im wystarczy. Co mają do stracenia?

Bonaparte to manipulator. Do pracy nad rozgryzieniem tego problemu posadził ciebie i uczonych takich jak Jomard. Teraz doszedł Silano. Hrabia jednak, podejrzewam, to inny ptaszek.

Udaje, że pracuje dla francuskiego rządu, ale ma na widoku wyłącznie swoją korzyść. Podąża śladami Cagliostro i usiłuje się dowiedzieć, czy legendy mówią prawdę.

- Ależ nie mówią - zachnąłem się. - Chcę powiedzieć, że to wariactwo. Jeśli ta księga naprawdę istnieje, dlaczego nikt nigdy nie natknął się na jej ślad? Ludzie zawsze umierali, nawet w starożytnym Egipcie. Muszą umierać, jeżeli społeczeństwo ma się odnawiać, bo młodzi muszą przejmować odpowiedzialność po starszych. Gdyby tak nie było, ludzie szaleliby z niecierpliwości. Naturalną śmierć zastąpiłyby morderstwa i zabójstwa.

- Jesteś mądry ponad swój wiek! - oznajmił Enoch z emfazą.

- I zaczynasz pojmywać, dlaczego tak wielkie sekrety rzadko były wykorzystywane i dlaczego muszą pozostać w ukryciu.

Księga istnieje, ale nadal pozostaje zagrożeniem. Żaden śmiertelnik nie powinien posiadać boskiej mocy. Tot wiedział, że musi pozostać w ukryciu, dopóki nasz rozwój moralny i emocjonalny nie stanie się przynajmniej równy naszemu sprytowi i ambicjom, i dlatego dobrze ukrył tę księgę. Ale marzenia o potędze towarzyszą nam w całej naszej historii i być może odkry-

to niektóre fragmenty wiedzy starożytnych. Aleksander Wielki przybył do Egiptu, odwiedził wyrocznie i ruszył na podbój świata. Cezar i jego siostrzeniec odnieśli sukces po badaniach, jakie tu przeprowadził z Kleopatrami. Arabowie stali się najpotężniejszymi zdobywcami swoich czasów dopiero po podboju Egiptu. W wiekach średnich chrześcijanie przybyli do Ziemi Świętej. Żeby odzyskać grób Jezusa? A może mieli głębsze, bardziej skryte powody? Później Europejczycy zaczęli przeszukiwać starożytne miejsca. Po co? Niektórzy utrzymywali, że szukają Świętego Graala. A może

Graal to tylko metafora, pod którą należy rozumieć tę księgę, metafora najwyższej mądrości? Może jest to najbardziej niebezpieczny z ogni Prometeusza? Te bitwy, w których brałeś udział... Czy przekonały cię, że jesteśmy gotowi na przyjęcie takiej wiedzy?

Przecież niewiele się różnimy od zwierząt! Nasz stary zakon powoli budzi się z wielowiekowego letargu, w obawie że ktoś zamierza otworzyć dawno zakopane groby i że ponownie ktoś wydobędzie na światło dzienne księgę dawno zapomnianych sekretów. Ale my nawet nie wiemy dokładnie, czego strzeżemy! I oto bezbożni magowie pojawiają się razem z tym waszym Bonapartem!

- Mówisz o uczonych?

-1 o tym czarowniku, Silanie.

- Zamierzasz więc zniszczyć medalion, żeby **nikt nie** mógł znaleźć tej księgi?

- Nie - odparł Aszraf. - Odnalazł się ponownie nie bez powodu. Ethanie Gage, samo twoje przybycie jest znakiem: Ale te sekrety należą do Egiptu, nie do Francji.

-Mamy i my swoich szpiegów - podjęła Astiza. -Doszły nas wieści, że pojawił się pewien Amerykanin z czymś, co może się okazać kluczem do przeszłości... z przedmiotem, który zaginął przed setkami lat i może być drogowskazem do sił i mocy straconych tysiące lat temu. Ostrzegano nas, że najlepiej będzie cię zabić. Ale w Alek-326

sandrii to ty zabiłeś mojego pana, a ja się przekonałam, że Izyda ma względem ciebie inne plany.

- Kto was o mnie powiadomił?

Zawahała się na chwilę.

- Cyganie.

- Cyganie!

-Przywódca jednego z ich taborów przysłał nam ostrzeżenie z Francji.

Usiadłem wstrząśnięty nową rewelacją. Na Jahwe i Jowisza, czyżby i Romowie też mnie zdradzili? Stefan i Sa-rylla zwodzili mnie, wysyłając w tym czasie wiadomość o moim przybyciu do Egiptu? Byłem marionetką, którą przez cały czas ktoś manipulował! A ci otaczający mnie teraz ludzie, których lubiłem i którym ufałem, mówili prawdę i podsuwali mi informację, która mogła mnie zaprowadzić do księgi skarbów -

czy może byli bandą stukniętych fanatyków?

-Kim wy jesteście?

-Jesteśmy ostatnimi kapłanami starych bogów będących ziemską manifestacją przedstawicieli czasów i rasy znacznie mądrzejszych od naszych - powiedział Enoch. -Ich pochodzenie i czyny zaginęły we mgle przeszłości. Jeżeli wolisz, jesteśmy członkami zakonu podobnego do waszej masonerii... dziedzicami początków i strażnikami końca.

Jesteśmy strażnikami nie całkiem świadomymi tego, co mamy chronić, zaufano nam jednak na tyle, że wiemy, iż tej księgi należy strzec przed oczami niepowołanych. Stare religie nigdy całkowicie nie umierają, po prostu stają się częścią nowych.

Naszym zadaniem jest odkrycie drzwi, zanim dotrą do nich pozbawieni wszelkich zasad oportuniści, a potem mamy je zamknąć już na zawsze.

- Jakich drzwi?

- Tego nie wiemy.

-I chcecie je zamknąć po zerknięciu do środka?

- Nie możemy zdecydować, co zrobić z tą księgą, do-327

póki jej nie zobaczymy. Powinniśmy się przekonać, czy ofiaruje nam niebezpieczeństwo czy nadzieję, potępienie czy zbawienie. Dopóki jednak jej nie znajdziemy, będziemy żyli w wiecznej obawie, że przed nami dotrze do niej ktoś daleko bardziej pozbawiony skrupułów niż my.

Potrząsnąłem głową.

-Wziąwszy pod uwagę, że wiecie o tej sprawie niewiele więcej ode mnie i spartaczyliście próbę zabicia mnie w Aleksandrii, niewiele w was kapłaństwa - sarknąłem.

- Bogini działa tak, jak jej się spodoba - odparła spokojnie Astiza.

- A Silano robi to samo. - Obrzuciłem zgromadzonych ponurym spojrzeniem. - Izyda nie pomogła biednemu Talmie, nas też pewnie nie ochroni. Nie sądzę, żebyśmy tu byli bezpieczni.

- Mój dom jest strzeżony... - zaczął Enoch.

-I wszyscy wiedzą, gdzie go szukać. Twój adres nie jest już dłużej dla nikogo sekretem, co wyraźnie nam powiedziano za pośrednictwem tego dzbana. Musisz się stąd wynieść i to już, teraz. Myślisz, że on się tu nie zjawi, jak go przyciśnie konieczność?

- Wynieść się? Nie będę ustępował przed złem. Nie porzucę moich ksiąg i tego, co zbierałem przez całe życie. Moi słudzy zdołają mnie obronić. A zresztą próba przeniesienia mojej biblioteki zdradziłaby tylko nową kryjówkę. Moim zadaniem jest szukanie w księgach, a twoim praca z uczonymi, dopóki się nie dowiemy, gdzie są te drzwi. Wtedy będziemy je mogli zamknąć, zanim dotrze do nich Silano. Ścigamy się o odkrycie.

Nie możemy przegrać w tym wyścigu, tracąc czas na ucieczkę.

- Enoch płonął z gniewu i podniecenia. Próba skłonienia go do porzucenia domu byłaby równie skuteczna jak namawianie ostrygi do opuszczenia skorupy.

- Więc przynajmniej znajdziemy bezpieczne miejsce dla Astizy i medalionu - nie ustępowałem. -
Trzymanie go 328

teraz tutaj jest szaleństwem. Jeżeli zostaną napadnięty czy porwani, nie mogą znaleźć medalionu przy mnie. Właściwie w takim wypadku to jedyna rzecz, która mi może zapewnić przeżycie. Astizę zaś mogą wykorzystać jako zakładnika.

Nawet Napoleon spostrzegł, że mi na niej... hmm... zależy. -

Uciekłem spojrzeniem w bok. - Powiem wam jeszcze, że Bonaparte zamierza sam poprowadzić uczonych do piramid.

Może razem dowiemy się czegoś, co pozwoli nam wyprzedzić Silana.

-Bardzo trudno ukryć samotną i piękną kobietę -mruknął

Enoch.

- A gdzie wy byście ukryli w Egipcie piękną kobietę?

- W haremie - podsunął Aszraf.

Przyznam się, że przez głowę przemknęły mi jakieś erotyczne fantazje dotyczące tej tajemniczej instytucji. Oczami wyobraźni ujrzałem płytkie sadzawki z kąpiącymi się w nich pięknosciami, powiewających wachlarzami eunuchów i na poły obnażone, stęsknione miłości kobiety. Czy mógłbym tam zajrzeć choć jednym okiem? Z drugiej strony... Jeżeli Astiza tam trafi, czy zdoła się stamtąd wydostać?

- Nie dam się zamknąć w seraju - zachnęła się Asti za. - Nie należę do żadnego mężczyzny.

Akurat! Należysz do mnie, pomyślałem, ale nie był to czas na rozwijanie tego tematu.

- Do haremu nie może wejść żaden mężczyzna oprócz jego pana, nikt też się nie dowie, co kryją jego ściany - argumentował Aszraf. - Znam pewnego możnego człowieka, Jusufa al-Beni, który nie uciekł przed Francuzami i nie odebrano mu domu ani posiadłości. Ma harem dla swoich kobiet i może dać schronienie naszej kapłance. Astiza może tam zamieszkać jako gość, nie jako jedna z jego kobiet.

- Czy temu Jusufowi można zaufać?

- Myślę, że możemy kupić sobie jego przychyłność.

329

-Nie chcę siedzieć w haremie, nie wiedząc, co dzieje się na zewnątrz, i wyszywać makatki z bandą

idiotek - stwierdziła Astiza.

Niech to diabli! Kochała niezależność! Co prawda była to jedna z rzeczy, które mi się w niej podobały.

- Alternatywą jest śmierć lub los gorszy od śmierci -

oświadczyłem. - Pomysł Aszrafa jest doskonały. Ukryj się tam jako gość, zabierz ze sobą medalion, a ja pojedę pod piramidy i z Enochem rozwikłamy tę zagadkę. Nie wychylaj nosa na zewnątrz. Nie kryj tego medalionu, niech go zobaczy każda z kobiet w haremie. Liczymy na to, że przebiegłość Silana odda mu złą przysługę. Bonaparte go przejrzy i przekona się, że hrabia chce zagarnąć dziedzictwo Tota dla siebie, nie dla Francji.

- To jest tak samo ryzykowne jak zostawienie mnie samej -

stwierdziła Astiza.

- Nie będziesz samotna, jak sama raczyłaś zauważyć, znajdziesz się w towarzystwie bandy idiotek. Ukryj się, nie wychylaj nosa na zewnątrz i czekaj. Znajdę Księgę Tota i przyjdę po ciebie.

ROZDZIAŁ 16

Wyprawa Napoleona do piramid odbyła się ze znacznie większym rozmachem niż moja wycieczka z Jomar-dem i Talmą. Generałowi towarzyszyło ponad stu oficerów, żołnierzy, sług, przewodników i naukowców - cała ta barwna hałastra przebyła Nil i wspięła się na płaskowyż w Gizie.

Przypominało to niedzielną wycieczkę, za którą ciągnął się sznur osłów niosących żony, kochanki i pęki owoców, pudełka słodczy, połcie mięsa i kosze pełne butelek przedniego wina.

Od słońca chroniły nas parasole. Na piasku porozkładano dywany. Mieliśmy zjeść obiad w otoczeniu wieczności.

Moje natychmiastowe podejrzenie wzbudziła nieobecność Silana, który - jak mi powiedziano - wrócił do Aleksandrii, żeby prowadzić badania na własną rękę. Rad byłem, że udało mi się ukryć Astizę w bezpiecznym miejscu.

Wspinając się po zboczu, opowiedziałem Napoleonowi o strasznej śmierci Talmy, żeby ocenić jego reakcję i zasiał w jego umyśle wątpliwości dotyczące mojego rywala. Niestety, nowina bardziej zirytowała generała, niż nim wstrząsnęła.

- Zaledwie zaczął pracę nad moją biografią. Nie powinien wałęsać się po kraju, który nie został podbity do końca!

- Generale, mój przyjaciel zniknął, gdy pojawił się Si-lano.

Obawiam się, że hrabia jest w to jakoś zamieszany. Albo ten beduiński rzezimieszek, Bin Sadr.

-Monsieur Gage, zechciej pamiętać, że ten człowiek jest po naszej stronie i w związku z tym jest naszym rzezimieszkiem.

Co się tyczy hrabiego, jest agentem samego Talleyranda.

Zapewnił mnie, że niczego nie wiedział o Tal-mie, a zresztą jakież miałby powód? Prawda?

- Powiedział, że chce mieć medalion.

- Ale ty powiedziałaś, Gage, że go straciłeś. W tym kraju jest milion miejscowych, czemu podejrzewasz akurat ludzi, którzy są po naszej stronie?

- A czy na pewno są po naszej stronie?

- Są po mojej stronie! Tak samo jak ty, kiedy zaczniesz rozgryzać zagadki, które cię tu sprowadziły! Najpierw gubisz medalion i kalendarz, a teraz oskarżasz naszych kolegów.

Talma zginął! Na wojnie to się zdarza, mój panie!

- Ale nikt nie dostarcza ich głów w dzbanie z oliwą.

- Widywałem już gorsze rzeczy. Posłuchaj. Byłeś świadkiem klęski naszej floty. Zagrożone jest powodzenie naszej misji. Zostaliśmy odcięci od Francji. Na południu zbierają się zbuntowani mamelucy. Miejscowa ludność nie pogodziła się jeszcze z nową sytuacją. Rebelianci popełniają zbrodnie po to właśnie, żeby zasiać terror i zgrozę, jakim ulegasz. Weź się w garść, Gage! Przybyłeś tu, żeby odkrywać dawne tajemnice, a nie stwarzać nowe!

- Generale, robię co mogę, ale głowa Talmy była pewnym przesłaniem...

-Owszem, że kluczowym elementem jest czas! Nie mogę okazywać współczucia, bo współczucie jest słabością, a każda słabość z mojej strony przyczynia się do klęski. Gage, tolerowałem

obecność

Amerykanina,

ponieważ

mi

powiedziano, że możesz się przydać w badaniu tajemnic starożytnych Egipcjan. I co, potrafisz coś wywnioskować z kształtu i wymiarów piramid?

- Próbuję, generale.

- To lepiej niech ci się uda, bo kiedy uznam, że przestałeś być użyteczny, mogę cię posłać do więzienia. - Udzie-332

liwszy mi tego napomnienia, spojrział w inną stronę. - Otóż i one. Wielkie są, prawda?

Kiedy uczestnicy wyprawy ujrzeli sfinksa i leżące za nim piramidy, doznali tego samego zachwytu i podziwu, jakiego ja doświadczyłem podczas mojej pierwszej wycieczki. Zwykle pogwarki i rozmowy ucichły, gdy zgromadziliśmy się na piasku niczym mrówki wobec głębin namacalnej niemal przepaść: czasu. Cienie piramid były prawie tak ostre jak ich zarys na tle nieba. Nie wyczuwałem tu teraz ducha dawno unicestwionych przez czas faraonów i kamieniarzy, ale łagodny spokój promieniujący od samych budowli.

Napoleon jednak patrzył na piramidy okiem kwatermistrza.

- Tak proste, jakby je zbudowało dziecko, ale ich rozmach robi wrażenie. Monge, spójrz na wielkość tych bloków!

Zbudowanie czegoś takiego można by porównać do dowodzenia armią. Jomard, jakie są ich wymiary?

- Wciąż jeszcze kopiemy, żeby odsłonić podstawę i na-rożniki - odparł zapytany. - Wielka Piramida ma przynajmniej dwieście dwadzieścia pięć metrów u podstawy i ponad sto trzydzieści pięć metrów wysokości. Podstawa ma pole trzydziestu akrów i choć te białe bloki są ogromne, oceniam, że jest ich tu około dwa i pół miliona. Objętość tej budowli jest tak wielka, że łatwo mogłaby pomieścić każdą katedrę w Europie. To największa budowla na świecie.

- Tyle kamienia... - mruknął Napoleon. Zapytał o wymiary dwu pozostałych piramid i korzystając z ołówka Contego, sam zaczął coś liczyć. Kreślił na papierze okropne gryzmoły. -

Dolomieu, jak myślisz, skąd brali kamienie? - zapytał, nie przerywając rachunków.

- Musieli mieć tu jakiś kamieniołom i to niedaleko - odparł

geolog. - Te bloki to wapienie, takie same jak skała podłoża.

Dlatego wyglądają na tak zerodowane. Wapień 333

nie jest szczególnie twardy i łatwo poddaje się wodzie.

Formacje wapienne często są podziurawione jaskiniami.

Możemy się tu natknąć na jaskinie, ale uważam, że podłoże jest solidne, ze względu na niezwykle suche powietrze. Podobno wewnątrz piramidy jest granit, ale musieli go sprowadzać z bardzo daleka. Podejrzewam, że wapienna licówka też pochodziła z kamieniołomu o lepszej gatunkowo skale.

Napoleon pokazał swoje rachunki.

- Spójrzcie, to coś niesamowitego. Mając tyle kamienia, moglibyśmy zbudować wokół całej Francji mur wysoki na dwa metry i gruby na metr.

- Generale, chyba nie sądzi pan, że się do tego zabierzemy -

zażartował Monge. - Trzeba byłoby zabrać do domu te miliony bloków.

-Istotnie - roześmiał się Bonaparte. - No, ale przynajmniej znalazłem władcę, którego ambicje dorównywały moim!

Cheopsie, przy tobie czuję się karłem! Ale dlaczego po prostu nie kazałeś wyrąbać tunelu w jakiejś górze? Czy to prawda, że arabscy rabusie grobów nie znaleźli wewnątrz ciała?

- Nie ma dowodów na to, że ktoś w ogóle został tu pogrzebany - powiedział Jomard. - Główne wejście zostało zamknięte ogromną granitową płytą, ale za nią nie ma niczego!

- Więc stajemy przed kolejną tajemnicą?

-Być może. Albo... może piramidy miały służyć innym celom. To teoria, ku której sam się skłaniam. Intrygujące jest na przykład samo położenie piramid, w pobliżu trzydziestego równoleżnika. To niemal dokładnie jedna trzecia drogi od równika do bieguna północnego. Jak wyjaśniałem panu Gage'owi, możemy przypuszczać, że starożytni znali kształt i wielkość naszej planety.

- Jeżeli tak, to wyprzedzali w tym gros oficerów mojej armii - przyznał Napoleon.

334

- Równie ciekawe jest, że ustawienie Wielkiej Piramidy i jej towarzyszek zorientowano na północ-południe i wschód-zachód z większą precyzją, niż mogliby to zrobić współcześni inżynierowie. Jeżeli narysujemy wyimaginowaną linię od środka piramidy do Morza Śródziemnego, okaże się, że dzieli ona deltę Nilu równo na połowy. Jeżeli narysujemy wyimaginowaną przekątną od jednego rogu piramidy do drugiego i pociągniemy ją dalej, ku północnemu wschodowi i południowemu zachodowi, to tworzą one trójkąt, który dokładnie zamyka deltę Nilu. Takie położenie nie mogło być dziełem przypadku, generale.

- Intrygujące. Symboliczna lokalizacja, która może miała na celu związanie ze sobą Górnego i Dolnego Egiptu. Czy myślisz, że tę piramidę zbudowano jako rodzaj manifestu politycznego?

Jomarda pokrzepiło, że generał nie wyśmiewa jego teorii, jak to czynili inni oficerowie.

-Ciekawe wnioski nasuwa również apotema piramidy.

- Co to jest apotema? - zapytałem.

- Wysokość ściany bocznej, wyimaginowana linia prze-prowadzona od wierzchołka do środka jednego z boków podstawy - wyjaśnił Monge. - Linia, która dzieli ścianę boczną na dwie takie same części.

-Aaa...

-Apotema jest równa długości greckiego stadionu -ciągnął

Jomard. - To starożytna miara odległości wspólna niemal dla całego świata. Czyżby piramida była wzorcem miar, zbudowanym według normy znacznie wyprzedzającej grecką?

- Możliwe - stwierdził Napoleon - ale wznoszenie tego ogromu jako wzorca do pomiarów wydaje się pomysłem jeszcze bardziej absurdalnym niż budowanie tak wielkie go kamiennego grobu.

-Jak wiesz, generale, każdy stopień długości i szerokości -335

kości geograficznej dzieli się na sześćdziesiąt minut. Ta apotema jest też jedną dziesiątą jednej minuty jednego stopnia.

Czy ta zbieżność jest przypadkowa? Co jeszcze dziwniejsze, obwód podstawy piramidy jest równy połowie minuty, a podwojony równa się minucie. Co więcej, jest on równy obwodowi kręgu, którego promieniem byłaby wysokość piramidy. To tak, jakby piramida miała zawierać wiedzę o rozmiarach naszej planety.

-Ale podział globu na trzysta sześćdziesiąt południków to wynalazek współczesny, czyż nie?

- Przeciwnie, generale, tę liczbę można odnaleźć w Egipcie i w Babilonie. Starożytni uznali liczbę trzysta sześćdziesiąt za liczbę dni w roku.

- Ale rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dób - sprzeciwiłem się. -1 jeszcze coś ponad ćwierć doby...

- Kiedy to odkryli Egipcjanie, dodali te pięć dni - stwierdził

Jomard - tak jak w naszym rewolucyjnym kalendarzu dodaje się wolne pięć dni do naszych trzydziestu sześciu dziewięciodniowych tygodni. Uważam, że budowniczy tej piramidy znali kształt i rozmiary naszej planety i zamknęli je w tej budowli, żeby nie przepadły w pomroce dziejów, gdyby w przyszłości nauka cofnęła się w rozwoju. Być może przewidzieli nadejście średniowiecza?

- Ale po co mieliby to robić? - zapytał z niecierpliwością w głosie Napoleon.

Jomard wzruszył ramionami.

-Może po to, by ponownie edukować rodzaj ludzki. Może po prostu jako świadectwo tego, że wiedzieli. Wznosimy pomniki Bogu albo dla upamiętnienia zwycięstw militarnych.

Może oni postanowili zbudować pomnik matematyce i naukom?

Wydało mi się nieprawdopodobne, żeby ludzie żyjący tak dawno wiedzieli tak wiele, a jednak w piramidzie było coś fundamentalnie prawidłowego, jakby postawio-336

no ją jako świadectwo fundamentalnych prawd. Franklin wspominał, że podobna prawidłowość była

w wymiarach greckich świątyń; pamiętałem też, że Jomard wiązał wszystko z tym dziwnym ciągiem liczbowym Fibonacciego. Ponownie przyszło mi na myśl, że może te arytmetyczne zabawy mają coś wspólnego z moim medalionem. Ale od matematyki zawsze męciło mi się w głowie.

- A co myśli nasz amerykański przyjaciel - zwrócił się do mnie Napoleon. - Co na to wszystko Nowy Świat?

- Amerykanie uważają, że wszystko należy robić w jakimś celu - powiedziałem, udając większego mędrca, niż byłem. -

Jak sam powiedziałeś, generale, jesteśmy praktyczni. Jakiemu praktycznemu celowi miałyby służyć taki monument? Może Monsieur Jomard ma rację i to jest nie tylko grobowiec?

Moja fanfaronada nie zwiódła Napoleona.

-Cóż... - odparł, wskazując na wierzchołek - nie da się zaprzeczyć, że jej budowniczy nie wzniesli się wyżej niż reszta ludzkości. - Wszyscy roześmiali się usłużnie. - Idziemy.

Chciałbym zajrzeć do środka.

Podczas gdy reszta grupy zajęła się rozbijaniem niewielkiego biwaku, kilku z nas weszło w głąb mrocznego otworu w północnej ścianie piramidy. Był tam wapienny portal znaczący oryginalne wejście zrobione jeszcze przez starożytnych budowniczych. Wejście to, jak nam objaśnił

Jomard, zostało odsłonięte, dopiero gdy muzułmanie zaczęli brać stąd kamienie do budowy swoich kairskich pałaców; w starożytności było zasłonięte zmyślnie zawieszoną kamienną płytą. Zanim je więc odkryto, nikt dokładnie nie wiedział, gdzie go szukać. W średniowieczu Arabowie próbowali splądrować piramidę, wybijając własne wejście. W 820 roku kalif Al-Mamun, znający zapiski historyków świadczące o tym, że wejście było od północy, rozkazał grupie kamieniarzy i inżynierów przebić tunel do wnętrza

337

piramidy, w nadziei że trafi na którąś ze sztolni lub korytarzy.

Przypadek zrządził, że zaczęli poniżej oryginalnego wejścia i tak natknęto się na drzwi. My weszliśmy przez ten właśnie otwór.

Choć Arabowie nie mieli żadnych domysłów dotyczących rozmieszczenia wejścia, kopacze dość szybko natknęli się na wąską sztolnię wewnątrz zbudowanej przez Egipcjan piramidy.

Wysoka z grubsza na metr dwadzieścia, opadała od oryginalnego wejścia pod kątem, który Jomard ocenił na dwadzieścia trzy stopnie. Wspinając się, Arabowie dotarli do oryginalnego wejścia i drugą sztolnię wznoszącą się w głąb piramidy pod tym samym kątem co pierwsza. O tej wiodącej w górę kroniki milczały, była też zamknięta granitowymi blokami, przez które nie mogły się przegryźć arabskie dłuta.

Al-Mamun, który zaczął podejrzewać, że odnalazł drogę do skarbcza, rozkazał swoim ludziom przebić obejścia wokół tych twardych „korków” poprzez otaczające je i bardziej miękkie wapienie. Była to ciężka praca, w upale i ciemnościach. Za pierwszym blokiem z granitu znaleziono drugi, a potem trzeci.

Po wielkim wysiłku przebito się na powrót do wiodącej w górę sztolni tylko po to, żeby się przekonać, że została zasypana wapiennym gruzem. Zawzięci kopacze kontynuowali pracę. W

końcu przebili się i znaleźli...

- Nic - stwierdził Jomard. - Chociaż nie... Znaleźli coś, co zobaczycie dzisiaj.

Pod przewodnictwem geografa pokonaliśmy tę architektoniczną płataninę wejść i korytarzy, po czym się zatrzymaliśmy, żeby zajrzeć do opadającego w dół korytarza, na który natknęli się arabscy kamieniarze. Jego czerń była absolutna i wszechogarniająca.

- Dlaczego tu jest pochylnia, a nie ma stopni? - zapytał

Napoleon.

- Może chodzi o to, żeby przedmioty można było zsuwać -

odpowiedział Jomard. - Albo to wcale nie jest wej-338

ście i służyło innym celom... mógł to być tubus teleskopu wymierzonego w konkretną gwiazdę.

- Największy monument na świecie - stwierdził Napoleon. - A my nic nie możemy pojąć. Jest coś, co nam umyka.

Korzystając ze światła pochodni niesionych przez miejscowych przewodników, ostrożnie zesliśmy około stu metrów w dół - wszyscy mozolnie poruszali się bokiem. W pewnej chwili spojenia pomiędzy blokami znikły - sztolnia zagłębiła się w lite skalne podłoże. Schodząc dalej, trafiliśmy w końcu na podobną do pieczary komnatę o dość nierównym podłożu.

Wyglądała na niedokończoną.

- Jak widzicie, ta sztolnia prowadzi donikąd - powiedział

Jomard. - Nie znaleźliśmy niczego ciekawego.

- To co my tu robimy? - zapytał Napoleon.

- Nie sądzisz, generale, że ten brak oczywistego celu jest intrygujący? Po co tu kopali? Ale proszę poczekać... jest coś lepszego. Wróćmy na górę.

Co też uczyniliśmy spoceni i zmęczeni. Nasze ubrania pokrywał kurz i odchody nietoperzy. Powietrze wewnątrz piramidy było parne, gorące i pachniało stęchlizną.

Wróciwszy do miejsca, gdzie arabski tunel łączył się z pochylnią, ruszyliśmy w górę sztolnią, którą z takim móżdżem opróżniali ludzie Al-Mamuna. Wznosiła się pod tym samym kątem, jak pierwotna opadała, i też była zbyt niska, żeby się w niej wyprostować. Brakowało stopni i wchodzenie stwarzało spore trudności. Po przejściu sześćdziesięciu metrów spoceni i zdyszani stanęliśmy w miejscu, gdzie znów łączyły się dwie sztolnie. Przed nami było poziome przejście do sporej, niczym szczególnym się nie wyróżniającej komnaty o sklepionym suficie, którą Arabowie nazwali Salą Królowej, choć nigdy nie pochowano tu żadnej władczyni. Weszliśmy nisko pochyleni, ale wewnątrz wszyscy mogli się wyprostować. W jednym końcu komnaty była pusta nisza - być może na jakiś posąg lub 339

stojącą pionowo trumnę. Komora zdumiewała prostotą i rozmiarami, a tworzące ją granitowe bloki niczym się od siebie nie różniły, tak dobrze zaś je obrobiono, że w szczeliny połączeń nie dałoby się wsunąć kartki papieru.

-To dwuspadowe sklepienie mogło przenieść ciężar znajdujących się nad nim bloków na ściany boczne -orzekł

Jomard.

Napoleon, zniecierpliwiony brudem i niedogodnościami, jakich doświadczaliśmy, zażądał, żeby wrócić do miejsca, w którym korytarz się wznosił. Chciał zobaczyć leżącą nad nami Komnatę Króla.

Teraz ciasny i niewygodny korytarz zastąpiło przejście stworzone jakby dla olbrzymów. Biegnąca ukośnie ku górze sztolnia, nakryta sklepieniem z kamiennymi wspornikami, poszerzyła się. I tu nie było stopni, musieliśmy iść po pochyłości, na szczęście przewodnik miał linę. Kamieniarska robota była równie prosta, jak doskonała. Wysokość tego korytarza była tak samo niezrozumiała i niepojęta, jak ciasnota poprzednich przejść.

Czy w istocie budowali to ludzie?

Arabski przewodnik uniósł wysoko pochodnię, wskazując sufit. Ujrzałem tam ciemne plamy, zakłócające doskonałą symetrię, ale nie wiedziałem, czym są.

- Nietoperze - szepnął Jomard.

W mroku słychać było cichy trzepot skrzydeł.

- Pospieszmy się - polecił Napoleon. - Spociałem się i brak mi tchu.

Istotnie, dym pochodni gryzł wszystkich w oczy.

Galeria miała czterdzieści siedem metrów długości, co Jomard zmierzył, rozwijając taśmę mierniczą - i znów nie można było określić, w jakim celu ją zbudowano. Na jej końcu trafiliśmy na krótki, poziomy korytarz, aż wreszcie weszliśmy do największej komnaty w piramidzie, położonej w jednej trzeciej jej wysokości.

Komnata Króla była pozbawionym jakichkolwiek ozdób 340

pomieszczeniem zbudowanym z gigantycznych bloków czerwonego granitu. Znowu zdumiała nas jej prostota. Sufit był

tu płaski, a podłoga i ściany gładkie. Nie zobaczyłem tu świętej księgi ani boga o ptasiej głowie. Jedynym przedmiotem był

widoczny w głębi pozbawiony pokrywy sarkofag z czarnego granitu, równie pusty jak cała komnata. Miał ponad dwa metry długości, z górą metr szerokości i niespełna metr wysokości i był zbyt duży, żeby się zmieścić w ciasnym przejściu, przez które się tu dostaliśmy - musiano go tu umieścić podczas budowy. Napoleon, po raz pierwszy istotnie zainteresowany, przyjrzał się bliżej kamiennej trumnie.

- Czemu oni to opróżnili? - zapytał.

-Interesujące są też wymiary tej komnaty - stwierdził

Jomard. - Jej długość wynosi ponad dziesięć metrów, a szerokość połowę długości. Podłoga to dwa kwadraty.

- No, no... któżby się domyślił - stwierdziłem kpiąco.

- Znaczy to, że jej długość jest dwakroć większa od szerokości - wyjaśnił Jomard. - Pitagorasa i innych Greków fascynowała harmonia takich idealnych prostokątów. Wysokość komnaty jest równa połowie jej przekątnej - dodał. -

Znaczy, ma nieco ponad pięć i siedem dziesiątych metra. Gage, proszę mi pomóc, to pokażę panu coś jeszcze. Niechże pan przytrzyma koniec taśmy w tym rogu.

Zrobiłem to, o co poprosił. Jomard przeciągnął taśmę ukośnie do przeciwległej ściany, dokładnie w połowie jej długości. Potem, gdy ja wciąż trzymałem koniec taśmy przy mojej ścianie, on przeszedł ze swoim aż do rogu położonego po przekątnej ściany, przy której stałem.

- *Voilà* - zawołał, wzbudzając echa w sali.

I znów nie okazałem podniecenia, jakiego się po mnie spodziewał.

- Nie rozpoznajesz zależności? To ta sama, o której mówiliśmy na szczycie tej piramidy! Złota liczba, inaczej zło ty podział!

341

Teraz pojąłem. Jeżeli podzieliliby się tę prostokątną komnatę na dwie części i zmierzyło przekątną jednego z tych kwadratów, a potem odłożyło ten odcinek przy dłuższej ścianie komnaty, stosunek pomiędzy jego długością a długością reszty ściany byłby magiczną liczbą 1,618.

- Chcesz powiedzieć, że ta komnata odzwierciedla liczbę Fibonacciego tak samo jak cała piramida? - zapytałem, starając się, żeby mój głos brzmiał obojętnie.

Monge uniósł brwi.

- Liczba Fibonacciego? Gage, znasz matematykę lepiej, niż myślałem.

- Och, słyszało się to i owo...

- A jakie jest praktyczne znaczenie tych wymiarów? -

zapytał Napoleon.

- Przedstawiają samą naturę - stwierdziłem.

- I tworzą królestwo podstawowych egipskich jednostek miary - odezwał się Jomard. - Długość i proporcje tej komnaty, jak myślę, przedstawiają jednostkę długości, tak jak my moglibyśmy tak wymierzyć proporcje jakiejś budowli, żeby zawierały system metryczny.

- Owszem, interesujące - stwierdził generał. - A jednak ta ogromna budowla pozostaje zagadką. Albo może soczewką, która ma skupiać nasze domysły jak światło.

- To samo i ja czuję - stwierdził Jomard. - Każda myśl, czy każda modlitwa, wydaje się wzmocniona przez rozmiary tej piramidy. Posłuchajcie...

Zanucił coś niskim głosem, aż pieśń zadudniła pod sklepieniem komnaty. Dźwięk odbił się niesamowitymi echem, a nasze ciała przeniknęły dziwne wibracje. Poczulem, że niezwykła nuta jakby zawisła w powietrzu.

Generał potrząsnął głową.

- Z tym, że to ogniskuje... co właściwie? - zapytał mnie. -

Elektryczność?

Gdybym z godnością potwierdził, prawdopodobnie byłby mi przyznał znaczną nagrodę. Odpowiedziałem 342

mu pustym spojrzeniem świadczącym o braku zrozumienia.

- Granitowy sarkofag też jest interesujący - odezwał się Jomard, żeby przerwać niezręczną ciszę. - Jego wewnętrzna objętość wynosi dokładnie połowę całej. Wydaje się, że przeznaczono ją dla człowieka lub sarkofagu, ale podejrzewam, że te wymiary nie są dziełem przypadku.

- Pudła w pudłach - mruknął Monge. - Najpierw ta komnata, potem sarkofag i pustka wewnątrz niego... Na co?

Mamy wiele teorii, ale czuję, że żadna z nich nie odpowiada prawdzie.

Spojrzałem w górę. Czulem się tak, jakby te leżące nad nami miliony ton gniotły niemiłosiernie,

grożąc nam uni-cestwieniem. Przez chwilę miałem wrażenie, że sklepienie się obniża! Ale nie, gdy zamknąłem i otworzyłem oczy, komnata wróciła do normalnego wyglądu.

- Zostawcie mnie samego - odezwał się nagle Bonaparte.

- Co takiego?

- Jomard ma rację. Wyczuwam tu ukrytą moc. A wy niczego nie czujecie?

- Czuję, jakby przygniatało mnie coś żywego - stwierdziłem. - Człowiek jakby był w grobie, a jednocześnie czuje się lekko i bezcieleśnie.

- Chcę tu spędzić trochę czasu w samotności - powiedział

generał. - Chcę się przekonać, czy poczuję ducha tego zmarłego faraona. Może jego ciało zniknęło, ale dusza gdzieś tu została. Może Silano i jego magia mówią prawdę?

Zostawcie mnie tu w ciemności, dajcie mi tylko nieza-paloną pochodnię. Dołączę do was, gdy będę gotów.

-Może ktoś tu zostanie na straży? - zaproponował Monge z niepokojem w głosie.

- Nie. - Generał wspiął się i przekroczył krawędź sar kofagu, a potem ułożył się na jego dnie, patrząc w sklepienie. Gdy spojrzeliśmy nań z góry, zobaczyliśmy, że na 343

jego ustach igra lekki uśmiezek. - Jest tu wygodniej, niż myślicie. Kamień nie jest zimny ani gorący. A ja nie jestem zbyt wysoki... dziwi was to? - Skwitował swój żart uśmiechem.

- Nie zamierzam tu pozostać na zawsze. Jomard wciąż nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Zdarzają się ataki paniki...

- Nigdy nie kwestionuj mojej odwagi.

Uczony pochylił się w ukłonie.

- Przeciwnie, podziwiam pana, generale.

Wyszliśmy więc posłusznie - kolejne pochodnie znikły w niskim wejściu, aż dowódca w ciemnościach pozostał sam.

Zeszliśmy wielką galerią, trzymając się liny. Jakiś nietoperz zerwał się do lotu i przez chwilę trzepotał skrzydłami wokół

nas, ale jeden z Arabów machnął pochodnią i ślepe stworzenie odleciało, wczepiając się po chwili w sufit. Zanim doszliśmy do węższej sztolni, która wiodła ku wyjściu z piramidy, ociekałem już potem.

- Zaczekam tu na niego - oznajmił Jomard. - Pozostali niech wyjdą na zewnątrz.

Nie potrzebowałem zachęty. Kiedy wyszliśmy na powierzchnię, dzień wydał mi się rozświetlony tysiącem słońc.

Unoszący się tu wszędzie kurz natychmiast oblepił nasze mokre od potu ubrania. Gardło miałem suche jak stary pergamin, a głowa pękała mi z bólu. Ukryliśmy się w cieniu zachodniej ściany piramidy i usiedliśmy, żeby poczekać, popijając wodę. Ci, którzy zostali na zewnątrz, porozłazili się wśród ruin. Jedni okrążali dwie pozostałe piramidy. Inni poustawiali niewielkie namiociki i zabrali się do posiłku. Kilku wspięło się na wznoszącą się nieopodal piramidę Chefrena, a pozostali zabawiali się, ciskając kamienie, żeby sprawdzić, jak wysoko który dorzuci.

Otarłem czoło, boleśnie świadom, że do rozwiązania zagadki nie zbliżyłem się ani na jotę.

- Całą tę wielką kupę kamieni zgromadzono po to, żeby umieścić wewnątrz trzy niewielkie komnaty?

344

- To nie ma sensu, prawda? - zgodził się Monge.

- Czuję się tak, jakbyśmy przeoczyli coś oczywistego. -

Podejrzewam, że jak powiedział Jomard, mieliśmy zobaczyć liczby. Może ta zagadka miała przez tysiąclecia zajmować umysły ludzi? - Matematyk wyjął kartkę papieru i zaczął sam coś liczyć.

Nieobecność Bonapartego trwała całą godzinę. W końcu usłyszeliśmy okrzyk i wróciliśmy. Tak jak my wyłonił się z wnętrza piramidy brudny, spocony i mrugając, zsuwał się po rumowisku na piaski w dole. Kiedy doń podbiegliśmy, zobaczyliśmy, że jest niezmiernie blady i ma nieobecne spojrzenie człowieka, który doświadczył snu na jawie.

- Czemu to trwało tak długo? - zapytał Monge.

- A było długo?

- No, przynajmniej godzinę.

- Doprawdy? Tam jakby... znikło poczucie czasu. -I co?

- Skrzyżowałem ramiona, jak te mumie, które widzieliśmy.

- *Mon dieu*, generale...

-Słyszałem i widziałem... - Potrząsnął głową. - Ale czy naprawdę? - Zachwiał się lekko.

Matematyk chwycił go za ramię, pomagając zachować równowagę.

- Co zobaczyłeś i usłyszałeś, generale?

Napoleon zamrugał jak człowiek budzący się ze snu.

-Widziałem pewne obrazy... jakby życie i myślę, że to było moje życie. Nie jestem nawet pewien, czy to była przyszłość czy przeszłość. - Rozejrzał się dookoła, jakby się z nami drażniąc... lub unikając odpowiedzi. Nie umiem powiedzieć, które przypuszczenie było bliższe prawdy.

- Jakież to były obrazy?

345

-Bardzo... dziwne. Myślę, że lepiej zatrzymam to dla siebie.

Nie chcę... -I nagle jego wzrok spoczął na mnie. -Gdzie jest medalion? - zapytał nagle.

Zaskoczył mnie tym pytaniem.

- Przepadł, generale. Nie pamiętasz?

- Nie, mylisz się, Gage.

- Generale, utonął razem z *U Orientem*.

- Nie. - Stwierdził to z takim przekonaniem, że spojrzeliśmy jeden na drugiego z lekkim niepokojem.

- Generale, czy nie chce pan wody? - zapytał Monge.

Napoleon potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć mętliku w myślach.

- Nie wejdę tam po raz drugi.

- Ale generale... co pan widział? - nalegał matematyk.

- Teraz nie będziemy o tym mówili.

Wszyscy poczuliśmy się nieswojo. Zdałem sobie nagle sprawę, jak wiele w tej ekspedycji zależy od bystrości i energii Bonapartego, a teraz ujrzałem jego oszołomienie. Jako człowiek i dowódca był oczywiście niedoskonały, ale tak dominował nad wszystkimi zdecydowaniem i intelektem, że mimowolnie wszyscy mu ulegaliśmy. Był iskrą życia ekspedycji i jej kompasem. Bez niego wszystko to po prostu by się nie wydarzyło.

Piramida patrzyła na nas z góry - idealny, wyzywający ostrosłup.

- Muszę odpocząć - stwierdził Napoleon. - Dajcie mi wina, nie wody. - Strzelił palcami i adiutant podbiegł z ka rafką. - Co pan tu robi, Gage? - zapytał nagle.

Czyżby stracił zmysły?

- Nie rozumiem. - Jego brak orientacji zbił i mnie z tropu.

- Przybyłeś tu z medalionem, Gage, obiecując, że wszystko wyjaśnisz. Utrzymujesz, że straciłeś medalion, a nie wyjaśniłeś niczego. Czym jest to, co tam czułem? Czy to elektryczność?

- Być może, generale, ale nie mogę tego stwierdzić bez 346

odpowiednich instrumentów. Jestem tak samo zdezorientowany jak wszyscy.

- A ja zaczynam się nad tobą zastanawiać, panie Amerykaninie podejrzany o morderstwo, który przyłączyłeś się do naszej ekspedycji. Nie ma z ciebie żadnego pożytku, ale wszędzie wścibiasz swój nos! Zaczynam mieć wątpliwości, Gage, a ludzie, którym nie ufam, kiepsko kończą.

- Generale Bonaparte, zdobywałem twoje zaufanie na polu bitwy i gdzie indziej! Snucie domysłów na chybił trafił na nic nam się nie przyda! Daj mi czas do namysłu nad tymi teoriami.

Pomysły Jomarda są intrygujące, ale nie miałem czasu, żeby je ocenić.

- To będziesz tu siedział na piasku, dopóki czegoś nie wymyślisz. - Wziął butelkę i pociągnął spory łyk.

- Co takiego? Nie! Prowadzę badania w Kairze!

- Nie wrócisz do Kairu, dopóki nie przyjdiesz do mnie i nie powiesz mi czegoś sensownego o tej piramidzie. Żadne tam bajeczki, chcę wiedzieć, po co ją zbudowano i jak można ją wykorzystać. Jest tu ukryta moc, a ja chcę wiedzieć, jak ją okiełznać.

- Ja pragnę tego samego! Ale jak się do tego zabrać?

- Podajesz się za uczonego, powinieneś wiedzieć. Odkryj to. Użyj tego medalionu, który rzekomo straciłeś.

Po tych słowach Napoleon odszedł. Wszyscy z naszej grupki patrzyli za nim oszołomieni i zaskoczeni jego wybuchem.

- Co, u diabła, mu się tam przytrafiło? - zastanawiał

się Jomard.

-W tych ciemnościach dopadły go jakieś halucynacje -

odparł Monge. - Bóg wie, że nie chciałbym tam zostać sam.

Nasz Korsykanin ma jaja!

- Ale czemu uwziął się na mnie? - Wrogość generała mocno mną wstrząsnęła.

- Bo byłeś pod Abukirem - odparł matematyk. - Myślę, że ta klęska wstrząsnęła nim bardziej, niż chce to oka-347

zać. Strategicznie nasza przyszłość nie zapowiada się najlepiej.

- A ja co, mam tu siedzieć i głodować, aż się coś wyjaśni?

- Zapomni to tobie, Gage, za dzień lub dwa.

- Nie żeby jego ciekawość była nieuzasadniona - stwierdził

Jomard. - Muszę raz jeszcze zajrzeć do starożytnych dokumentów. Im więcej się dowiaduję o tej budowli, tym bardziej mnie ona fascynuje.

- I tym mniej widać w niej sensu - warknąłem.

- Naprawdę, Gage? - zapytał Monge. - Za dużo w niej rozmaitych zbieżności, żeby to wszystko było pozbawione sensu. Zawarto w niej nie tylko mnóstwo pracy, ale i mnóstwo myśli. Kiedy poczyniłem pewne obliczenia, objawiła mi się jeszcze jedna korelacja. Ta piramida jest w istocie zagadką matematyczną.

- O czym mówisz, panie?

- Muszę jeszcze sprawdzić swoje obliczenia z Jomar-dem, ale gdybyśmy przedłużyli ściany do jej oryginalnego wierzchołka, który był nieco wyższy, niż jest teraz, i porównali ją do połowy obwodu podstawy, otrzymalibyśmy jedną z najbardziej podstawowych liczb w całej matematyce, liczbę pi.

- Pi?

- Ta liczba wyraża stosunek obwodu koła do jego średnicy i przez wiele wieków uznawana jest za świętą. To mniej więcej dwadzieścia dwie siódme lub trzy przecinek jeden cztery jeden pięć... ale nigdy nie poznano jej wartości do końca. A jednak w każdej kulturze starano się ją obliczyć z możliwie największą dokładnością. Starożytni Egipcjanie uznawali, że jest równa trzy przecinek jeden sześć zero. Stosunek wysokości piramidy do połowy jej obwodu jest bardzo bliski tej liczbie.

- Znaczy, w piramidę wbudowano liczbę pi?

- Być może po to, żeby odwzorować jej egipską wartość.

348

- Ale jeszcze raz zapytam po co?

- Znow uderzamy głową o mur starożytnych tajemnic. Ale czy nie jest interesujące, że ten twój zagubiony medalion zawierał okrąg i jego średnicę? Szkoda, że go straciłeś. A może jednak nie?

Interesujące? To było jak objawienie. Od tygodni poruszałem się na oślep. Teraz nareszcie ostatecznie zrozumiałem, do czego odnosił się mój medalion: wskazywał na znajdującą się za mną piramidę.

Nie bez niechęci usłuchałem polecenia; zostałem z Jomardem i Monge'em. Pomagając im przy pomiarach piramidy, dzieliłem z nimi niewielki namiot nieopodal sfinksa.

Obiecawszy Astizie szybki powrót, nieswojo się czułem rozdzielony z nią i z medalionem; mojej sytuacji dodawała goryczy świadomość, że Silano jest w Kairze. Gdybym jednak zignorował

wydany

publicznie

rozkaz

Napoleona,

ryzykowałbym aresztowanie. Czułem zresztą, że jestem coraz bliższy rozwiązania zagadki. Może medalion był planem do innego przejścia w tej kupie kamienia? Do 21 października, daty, którą wykoncykowałem ze straconego kalendarza i która mogła - lub nie - mieć w tym wszystkim jakieś znaczenie, pozostawały jeszcze dwa miesiące. Nie wiedziałem, co z tym wszystkim zrobić, ale może uczeni znajdą jeszcze jakąś wskazówkę. Posłałem wiadomość do domu Enocha z wytłumaczeniem mojej nieobecności i prośbą, żeby ją dostarczono i do haremu Jusufa. Dodałem do tego informację, że wiem już, czego powinienem szukać. Brakowało mi tylko wiedzy, jak to wszystko połączyć z tym, co już wiem.

Moje czasowe wygnanie z miasta miało swoje dobre strony.

Dom Enocha był ciasny, a Kair pełen wrzawy i hałasu, od którego wytchnieniem była cisza pustyni. Nieopodal na piaskach biwakowała kompania żołnierzy, którzy mieli nas chronić przed beduińskimi czy mameluckimi opryszkami, powiedziałem więc sobie, że moja kilkudnio-350

wa nieobecność może oznaczać pełne bezpieczeństwo dla Astizy i Enocha, ponieważ odwraca od nich uwagę łotrów Silana. Liczyłem na to, że hrabia kupi moją opowiadkę o zagubieniu medalionu w wodach Zatoki Abukirskiej. Nie zapomniałem o losie nieszczęsnego Talmy, ale udowodnienie Silanowi zbrodni i zemsta musiały poczekać. Krótko mówiąc, jak to często czyni większość ludzi, uznałem, że ta kiepska sytuacja ma swoje dobre strony.

Jak już powiedziałem, w Gizie są trzy duże piramidy i wszystkie mają wewnątrz korytarze wiodące do pustych komnat grobowych. Piramidę Chefrena wciąż jeszcze od podstawy do wierzchołka pokrywają wapienne płyty, które swego czasu wszystkim trzem budowlom nadawały idealnie równą, gładką powierzchnię. Trzy przyzmy z daleka musiały lśnić niczym sól. Korzystając z dokładniejszych pomiarów, obliczyliśmy, że wierzchołek Wielkiej Piramidy wznosił się na niemal sto czterdzieści siedem metrów, o całe trzydzieści metrów wyżej niż iglica najwyższej we Francji katedry w Amiens. Żeby osiągnąć tak imponujący wynik, Egipcjanie ułożyli bloki w dwustu trzech warstwach. Zmierzywszy też pochyłość boków, obliczyliśmy, że wynosi pięćdziesiąt jeden stopni, dokładnie tyle, ile było trzeba, żeby stosunek wysokości i połowy obwodu podstawy zawierał liczbę pi i ten ciąg

Fibonacciego, o którym opowiedział mi Jomard.

Pomimo tej niesamowitej zbieżności wciąż nie mogłem zrozumieć sensu istnienia piramidy. Jako dzieła sztuki były wysublimowane. Ale pożytku z nich żadnego. Oto były budowle niegdyś tak gładkie, że nikt nie mógł się na nie wspiąć, zawierające bardzo niewygodne dla ludzi korytarze wiodące do komnat, które wyglądały na nigdy nie zajęte i zbudowane z matematyczną wiedzą dostępną jedynie nielicznym.

Monge stwierdził, że wszystko to miało prawdopodobnie jakieś znaczenie religijne.

351

- Czy za pięć tysięcy lat ludzie zrozumieją motywy kierujące budowniczymi Notre Dame?

- Lepiej żeby tych słów nie usłyszał żaden ksiądz.

- Księża są zacofani, nową religią stanie się nauka. Dla starożytnych Egipcjan nauka była religią, a magia próbą manipulowania tym, co niezrozumiałe. Ludzkość ma już za sobą okres, w którym każde plemię i lud miały swoich bogów, teraz wiele narodów wielbi jednego boga. A jednak istnieje wiele religii, z których każda nazywa inne heretyckimi lub pogańskimi. Teraz mamy naukę opartą nie na wierze, ale na rozumie i eksperymentach, której rdzeniem nie jest jakikolwiek naród, papież czy król, ale prawo powszechne. Nieważne, czy jesteś Chińczykiem, Niemcem, mówisz po arabsku czy hiszpańsku... nauka jest taka sama. Dlatego właśnie zatryumfuje i dlatego Kościół odruchowo niemal potępiał

Galileusza. Ale te budowle za nami zbudowali ludzie o dość osobliwych wierzeniach i być może nigdy nie zrozumiemy motywów, jakimi się kierowali, bo oparte zostały na religijnym mistycyzmie, którego nie zdołamy pojąć. Choć przydałoby się, żebyśmy któregoś dnia zdołali odczytać hieroglify.

Z tą przepowiednią nie mogłem się nie zgodzić -w końcu moje poglądy na świat ukształtował Franklin -a jednak zastanawiałem się, dlaczego nauka, tak uniwersalna, nie uporała się jeszcze z tymi wszystkimi przesadami. Dlaczego ludzie wciąż jeszcze w przygniatającej większości wierzyli i ufali różnym religiom? Nauka była pełna mądrości, ale obojętna; dawała odpowiedzi, milczała jednak w kwestii pytań zasadniczych. Podejrzewam, że ludzie przyszłości zrozumieją budowniczych Notre Dame, tak jak my rozumiemy budowniczych świątyń starożytnego Rzymu. I być może będą dzielali ich strach i uwielbienie. Rewolucjoniści w swoim zapale o czymś zapominali, rozmyślałem, a tym czymś było serce lub dusza.

352

Czy w nauce było na nie miejsce? Czy nauka dawała nadzieję na życie po śmierci?

Nie ujawniłem jednak Monge'owi nurtujących mnie myśli, tylko zapytałem:

- Doktorze Monge, a może to wszystko jest znacznie bardziej proste? Może piramida jest zwykłym grobowcem?

-Już o tym myślałem, Gage, ale to prowadzi nas do fascynującego paradoksu. Załóżmy, że istotnie miała być, przynajmniej w teorii, grobowcem. Ale same jej rozmiary stwarzają mnóstwo problemów, nieprawdaż? Im większy zbudujesz grobowiec dla mumii, tym większą zwracasz uwagę na miejsce, gdzie ta mumia się znajduje. Musiał to być dylemat, przed którym stawał każdy faraon usiłujący zachować swe ciało przez całą wieczność!

- Ja też o tym myślałem - przyznałem. - Faraon liczył

na to, że do końca wieczności nikt nie będzie go niepokoił.

A jednak zbrodnią doskonałą jest taka, o której nikt nie wie, że ją popełniono. Jeżeli chcesz okraść grób swojego pana, czy najlepiej nie zrobić tego, zanim zostanie zapieczętowany, ponieważ potem nikt już się nie zorientuje, co zrobiłeś? Jeżeli był to grobowiec, jego użyteczność zawie rała się w zaufaniu do tych, co go zamykali. Komu mógłby zaufać faraon?

Monge parsknął śmiechem.

-I znów mamy do czynienia z bezpodstawnymi spe-kulacjami.

Zastanawiałem się nad tym, co wiedziałem o medalionie.

Podzielony na połowy średnicą okrąg - być może symbol pi. W

górną połowę zarys konstelacji, w której skład wchodziła ówczesna gwiazda biegunowa. Poniżej symbol wody. Linie trójkątów przypominających piramidy. Może woda miała być Nilem, a znaki przedstawiały Wielką Piramidę, dlaczego twórcy medalionu jednak nie wyryli zwykłego trójkąta? Enoch powiedział, że medalion

353

wygląda mu na niekompletny, gdzie jednak należało szukać reszty? W jakiejś sztolni Mina w dawno zapomnianej świątyni?

Byłby to chyba jakiś żart. Usiłowałem myśleć jak Franklin, ale nie mogłem się z nim równać. Jednego dnia zabawiał się błyskawicami, a drugiego zdefiniował, czym jest naród. Czy piramidy mogły przyciągać błyskawice i zamieniać je w energię? Czyżby były czymś w rodzaju gigantycznej butelki lejdejskiej? Od czasu przybycia do Egiptu nie zobaczyłem kropli dżdżu i nie usłyszałem ani jednego grzmotu.

Monge wyjechał, żeby towarzyszyć Bonapartemu w oficjalnym otwarciu Instytutu Egipskiego. Uczeń pracował nad wszystkim, od sposobów pędzenia alkoholu do wypieku chleba (na wysuszonych łądych słonecznika, bo w Egipcie brakowało dobrego drewna). Conte założył warsztat naprawy wyposażenia, w którym ponownie zbudował prasę drukarską, bo pierwsza poszła na dno pod Abukirem. Był mechanikiem, który potrafił zbudować wszystko z niczego. Jomard i ja osiedliśmy na złocie i różu pustyni, pieczołowicie rozwijaliśmy i zwijaliśmy taśmy miernicze, odrzucaliśmy na bok tłuczeń i mierzyliśmy kąty, korzystając z tyczek do pomiarów. Przez kolejne trzy noce gapiliśmy się na wirujące wokół szczytu piramidy gwiazdy i dyskutowaliśmy o tym, czemu

służył ten monument.

Rankiem czwartego dnia, znużony pracą i bezowocnymi rozmyślaniami, poszedłem nad rzekę do miejsca, z którego widać było Kair. Zobaczyłem stamtąd interesujący widok.

Conte wytworzył dość wodoru, żeby napełnić nim balon.

Jedwabny wór miał może dwanaście metrów średnicy, a z jego wierzchołka zwisała sieć lin, do której u dołu przyczepiono wiklinowy kosz. Unosił się na uwięzi mniej więcej trzydzieści metrów nad ziemią, ściągając wokół tłumek gapiów.

Przyjrzałem się cizbie, korzystając z lunety Monge'a. Wszyscy wyglądali na Europejczyków.

354

Jak do tej pory Arabowie nie wykazywali zbyt wielkiego zainteresowania techniką Europejczyków. Traktowali nasz najazd jako chwilowe wtargnięcie sprytnych niewiernych, zbzikowanych na punkcie techniki i niedbających o dusze. Już wcześniej poprosiłem Conte'go, żeby wykonał dla mnie nakręcany korbą generator gromadzący elektryczność w czymś, co Franklin nazwał baterią, uczeni zaś zaprosili mnie, żebym „wstrząsnął” niektórymi z ka-irskich mułłów.

Egipcjanie chętnie wzięli się za ręce, podłączyłem pierwszego z nich do jednej z okładek baterii i wszyscy podskoczyli, gdy prąd przebiegł przez ich ciała, wywołując konsternację i śmiechy. Wydawało mi się jednak, że całe zdarzenie bardziej ich rozbawiło, niż napełniło podziwem. Elektryczność była tanią sztuczką, o której można porozmawiać po obiedzie, ale nie nadającą się do niczego więcej.

Przyglądając się balonowi, zobaczyłem, że z południowej bramy Kairu wyjeżdża długa kolumna francuskich żołnierzy.

Regularny szyk wyraźnie odróżniał się od bezładnego tłumu przekupniów i wielbłądów kłębiącego się przy miejskich bramach. Żołnierze tworzyli biało-niebieski szereg, nad którym zwisały bezwładne w gorącym powietrzu pułkowe sztandary i proporce. Z bramy wypełzał lśniący iskrami bagnetów na karabinach szereg za szeregiem, niczym długa stonoga, aż w końcu zrozumiałem, że wychodzi cała dywizja.

Niektórzy jechali konno i jeszcze kilka koni ciągnęło dwa małe polowe działka.

Zawołałem Jomarda, który przyłączył się do mnie i nastawił swój teleskop.

-To General Desaix ścigający nieuchwytnego Mu rad Beja -

stwierdził. - Jego oddziały mają zbadać i podbić Górny Egipt, który w ogóle widziało niewielu Europejczyków.

- Więc wojna trwa?

Jomard parsknął śmiechem.

355

-Mówimy o Napoleonie! Dla niego wojna nigdy się nie skończy! - Obserwował kolumnę, przed którą płynął obłok kurzu, jakby zwiastujący jej nadejście. Wyobraziłem sobie, jak żołnierze klną dobrodusznie z ustami pełnymi pyłu. - Widzę też twojego starego przyjaciela.

- Jakiego przyjaciela?

- Masz, zobacz sam.

Nieopodal czoła kolumny jechałjakiś mężczyzna w turbanie i powiewnych szatach, któremu towarzyszyło kilku Beduinów.

Jeden z jego sługusów trzymał parasol nad głową pana.

Widziałem smukły rapier odbijający się od jego biodra i pięknego czarnego rumaka, którego nabył w Kairze. Silano.

Obok niego jechał ktoś niższy, spowity w luźne szaty. Może osobisty służący.

- Jedź na przepadłe!

- Zazdroszczę mu - stwierdził Jomard. - Jakież odkrycia mogą się stać ich udziałem!

Czyżby Silano zrezygnował z wysiłków zawładnięcia medalionem? A może ruszył na poszukiwanie brakującej części w tej świątyni na południu, o której mówił Enoch?

Zauważyłem też przy nim Bin Sadra. Prowadził grupę beduińskich ochroniarzy, kołysząc się na grzbiecie wielbłąda i trzymając swoją laskę.

Uciekłem im? Czy to oni uchodzili przede mną?

Spojrzałem ponownie na mniejszą, okrytą szatami figurę i poczułem niepokój. Czy nie byłem zbyt posłuszny, zwlekając pod piramidami z powrotem? Kto tam jechał obok Silana?

„Znałam go”. Sama to potwierdziła.

I nigdy mi nie wyjaśniła, co to miało znaczyć.

Z trzaskiem złożyłem lunetę.

- Muszę wrócić do Kairu.

- Nie możesz, takie są rozkazy Bonapartego. Musimy wpierw opracować jakąś dostatecznie

prawdopodobną hipotezę.

356

Czułem jednak, że podczas mojej nieobecności wydarzyło się coś okropnego, i zrozumiałem, że zbyt długo dałem się zatrzymać pod piramidami. Pozostając tutaj, zmniejszałem szanse na rozgryzienie zagadki medalionu i pomszczenia Talmy. Dalsza zwłoka mogła się okazać fatalna.

- Jestem amerykańskim uczonym, nie francuskim szeregowcem! Do diabła z jego rozkazami!

-

On może cię postawić przed plutonem egzekucyjnym!

Zbiegałem już po zboczu i minawszy sfinksa, kierowałem się do Kairu.

Teraz Kair wydał mi się bardziej wrogi. Choć po wyjściu dywizji Desaix'go opustoszały niektóre zajęte przez Francuzów domy, do miasta wracały tysiące zbiegów, którzy opuścili stolicę po bitwie pod Piramidami. Kair otrząsał się z szoku i na powrót stawał stolicą Egiptu. Ze wzrostem liczby mieszkańców odzyskiwali oni pewność siebie. Zachowywali się, jakby miasto należało do nich, nie do nas, a byli od nas znacznie liczniejsi. Co prawda przed francuskimi wojskami wciąż jeszcze rozstępowała się ciżba, gdy przejeżdżali na osłach lub maszerowali w patrolu, ale samotni cudzoziemcy musieli już się przeciskać z niemałym móżdżem. Spiesząc przez wąskie uliczki, po raz pierwszy byłem odpychany i odtrącany. Znowu przypomniałem sobie tę dziwną atmosferę napięcia, towarzyszącą eksperymentom elektrycznym, którą kobiety uważały za fascynującą i niepozbawioną posmaku erotyzmu.

Teraz wydało mi się, że cały Kair pulsuje napięciem. Do wszystkich dotarły już wieści o unicestwieniu francuskiej floty pod Abukirem i Francuzi nie wydawali się już niezwykcy.

Owszem, jak powiedział tamten sierżant, dyndaliśmy na końcu liny, a przekonywałem się teraz oto, że lina zaczyna dymić.

W porównaniu do gwaru panującego na sąsiednich 357

uliczkach zaułek, przy którym stał dom Enocha, wydawał się aż zbyt spokojny. Gdzie wszystkich wymiotło? Fasada domu wyglądała tak jak w dniu mojego wyjazdu, a z jej wyglądu niczego nie dało się wyczytać - co zresztą dotyczyło wszystkich domów w Egipcie. Ale gdy podszedłem bliżej, spostrzegłem, że czegoś brakuje. Drzwi nie przylegały ciasno do futryny, zobaczyłem też kilka odłupanych drzazg.

Rozejrzałem się dookoła. Wyczuwałem, że jestem obserwowany, ale nikogo nie zobaczyłem.

Zastukałem do drzwi, które lekko ustąpiły.

- *Salam.*

Mojemu pozdrowieniu odpowiedziało brzęczenie much.

Pchnąłem stawiające lekki opór drzwi, jakby od środka coś je przytrzymało, i poszerzyłem szczelinę na tyle, żeby się precisnąć. Wtedy zobaczyłem przeszkodę. Pod drzwiami leżał

trup służącego, tego ogromnego Murzyna - ktoś rozwalił mu twarz strzałem z pistoletu. W domu wyczuwało się obrzydliwy zapach niezbyt odległej w czasie śmierci.

Zacząłem przeszukiwać pokój za pokojem. Gdzie się podziała reszta służby? Wszędzie widać było rozbryzgi krwi i smugi, jakby po jakiejś rzezi wywlekano ciała na zewnątrz.

Obrazu chaosu dopełniały poprzewracane stoły, porozdzierane makaty i draperie, i porozrywane poduszki. Napastnicy czegoś szukali - a ja teraz wiedziałem czego. Moja nieobecność nikogo nie uratowała. Dlaczego nie nalegałem, żeby Enoch się ukrył, zamiast zostawać tutaj ze swoimi księgami? W końcu dotarłem do pokoju z eksponatami. Niektóre posągi poprzewracano, a trumny pootwierano. Odszukałem schody do zakurzonej biblioteki. Drzwi zachowały się w całości. Za nimi był mrok, ale z piwnicy wionęło zapachem dymu i ognia. Ze ściśniętym sercem znalazłem świecę i ruszyłem na dół.

Piwnica była jednym śmierdzącym dymem rumowiskiem.

Poprzewracano wszystkie regały. Posadzkę pokry-358

wały leżące bezładnie niby kupy liści pergaminy i księgi, ich wypalone strony wciąż jeszcze dymiły. W pierwszej chwili pomyślałem, że i tu nie znajdę nikogo żywego, ale potem usłyszałem jęk. Zaraz potem rozległ się szelest papieru i spod stosu pergaminów wyłoniła się boleśnie skurczona dłoń, jakby ofiara lawiny usiłowała wygrzebać się ze śniegu. Chwyciłem ją i usłyszałem wycie bólu. Puściłem spuchnięte palce i zacząłem odsuwać na bok poczerńiałe papierzyska. Był to nieszczęsny Enoch, leżący na kupie dymiących jeszcze ksiąg. Zdarto zeń połowę ubrania, był paskudnie poparzony, a jego pierś i ramię były po prostu zwęglone. Rzucił się sam na stos płonących ksiąg.

- Tot... - wycharczał. - Tot...

- Enoch, co tu się stało?

Nie mógł mnie słyszeć pogrążony w delirium konania.

Poszedłem schodami na górę i do jakiejś starożytnej wazy nabrałem wody z fontanny, choć była różowa od krwi.

Skropiłem Enochowi twarz, a potem dałem mu się napić.

Najpierw się zakrztusił, a potem zaczął pić jak spragnione dziecko. W końcu spojrzał na mnie dość przytomnie.

- Chcieli to wszystko spalić - powiedział jękliwym szeptem.

-Kto?

- Wyrwałem się i wbiegłem w ogień, a oni nie ośmielili się mnie ścigać. - Rozkaszał się.

- Mój Boże! Naprawdę rzuciłeś się w ogień?

- Te księgi to moje życie.

- Czy to byli Francuzi?

- Nie. Arabowie Bin Sadra. Bez przerwy mnie pytali, gdzie to jest, choć nie powiedzieli, czego szukają. Udałem, że nie wiem. Chcieli też wziąć tę kobietę, ale powiedziałem, że poszła z tobą. Nie uwierzyli mi. Gdybym się nie rzucił w ogień, byliby mnie zmusili do powiedzenia wszystkiego. Miałem nadzieję, że służący nie będą gadali.

- Gdzie są wszyscy?

359

- Zebrali służbę w spizarni. Usłyszałem krzyki.

Nie wychodziło mi nic z tego, czego się tknałem. Byłem niefortunnym graczem, dyletanckim żołnierzem i fałszywym uczonym.

- To ja sprowadziłem to na ciebie.

- Nie uczyniłeś niczego, co nie było zgodne z wolą bogów.

- Jęknął. - Mój czas dobiegł już końca. Ludźmi owładnęła chciwość. Pożądają nauki i magii, żeby z ich pomocą zdobyć władzę. Któż chciałby żyć w takich czasach? Wiedza i mądrość wcale nie są tym samym. - Ujął moją dłoń. - Musisz ich powstrzymać!

- Powstrzymać przed czym?

- Wszystko było w moich księgach.

- Co było? Czego oni szukali?

-To klucz. Musisz go włożyć... - Tracił przytomność, odchodził już.

Pochyliłem się nad nim.

- Enochu, proszę... Astiza? Czy jest bezpieczna?

- Nie wiem.

- Gdzie jest Aszraf?

- Nie wiem.

- Dowiedziałeś się czegoś o dwudziestym pierwszym października?

Chwycił mnie za ramię.

- Musisz w coś wierzyć, człowieku z Ameryki. Uwierz jej.

I umarł.

Usiadłem, czując wewnątrz ogromną pustkę. Najpierw Talma, potem Enoch. Było już za późno na jakąkolwiek pomoc i za późno, żeby się czegoś od niego dowiedzieć. Zamknąłem mu oczy, trzęsąc się z bezsilnego gniewu. Straciłem najlepszego przewodnika po świecie tajemnic. Czy było coś wśród tych zgłiszczy, co mogłoby mi pomóc w rozgryzieniu sekretu medalionu? Skąd miałbym wiedzieć, czego szukać?

360

Enoch przyciskał do piersi nadzwyczaj gruby tom oprawny w skórę i poczerniały już na krawędziach. Pismo było arabskie.

Czyżby on właśnie był szczególnie ważny przy odkrywaniu tajemnic przeszłości? Wyjąłem księgę z objęć zmarłego i spojrzałem na niezrozumiałe, choć bardzo ozdobne pismo.

Cóż... może Astiza zdoła to jakoś odczytać?

Jeśli wciąż jeszcze była w Kairze. Zacisnąwszy zęby, przypomniałem sobie niewielką, spowitą w luźne szaty postać jadącą obok Silana, gdy z Kairu wychodziły oddziały dywizji Desaix'go.

Zaniepokojony i pogrążony we własnych myślach po-człapałem po schodach i wszedłem do sali antyków, nie zachowując należytej ostrożności. Gdyby nie przypadek, byłbym w tym momencie zginął jak motyl przyszpilony do ściany.

Usłyszałem tylko głośny, pełen wściekłości okrzyk i zza szakalogłowego posągu Anubisa wysunęła się włócznia, uderzając szybko jak błyskawica. Trafiła mnie w pierś i odrzuciła w tył. Rąbnąłem plecami o kamienny sarkofag i na chwilę straciłem dech. Osuwając się w dół, spojrzałem zdumiony na grot włóczni. Uderzenie niemal przebiło na wylot księgę Enocha - zatrzymały je przed moją pierśią ostatnie strony i okładka.

Drugi koniec włóczni tkwił w dłoniach Aszrafa, który patrzył teraz na mnie wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami.

-To ty?!

Usiłowałem coś powiedzieć, ale z moich ust wydobył się jedynie niezrozumiały charkot.

- Co ty tu robisz? Powiedziano mi, że Francuzi zatrzymali cię pod piramidami! Wziąłem cię za

jednego z tych morderców szukających sekretnych ksiąg.

W końcu zebrałem w płucach dość powietrza, żeby przemówić.

361

- Zobaczyłem, że Silano opuszcza miasto z udającym się na południe generałem Desaix'm. Nie mam pojęcia, co to może oznaczać, ale postanowiłem wrócić.

- Niewiele brakło, a byłbym cię zabił!

- Uratowała mnie ta księga. - Odepchnąłem ją od siebie razem z grotem włóczni. - Ja nie umiem jej nawet przeczytać, ale Enoch tulił ją do piersi. Asz, co w niej jest?

Przytrzymując butem księgę, mameluk uwolnił grot włóczni, po czym odstawił broń i otworzył foliał. W powietrze wzbił się obłoczek pyłu i drobnych, zwęglonych fragmentów obrzeża stron. Aszraf czytał przez chwilę.

- Poezje. - Odrzucił księgę na bok.

No tak. Czegóż to się nie wybiera, żeby z tym umrzeć...

- Aszrafie, musisz mi pomóc.

- Pomóc ci? Może nie pamiętasz, ale przybyłeś tu jako zdobywca! Razem z tymi, którzy biednemu, ciemnemu i zacofanemu Egiptowi postanowili przynieść naukę i cywilizację! I oto, co wniosłeś do domu mojego brata... rzeź!

Wszyscy, których znasz, umierają!

- Zrobili to Arabowie, nie Francuzi!

- Ale to Francja, nie Egipt, obraca w perzynę odwieczny porządek rzeczy!

Na to nie miałem odpowiedzi, nie dało się też zaprzeczyć, że byłem częścią tego huraganu, który szalał w Egipcie.

Wybraliśmy powód stawiający nas w najbardziej korzystnym świetle i wywróciliśmy świat na nice.

Z trudem jeszcze nabrałem tchu w płuca.

- Muszę odnaleźć Astizę. Pomóż mi, Aszrafie. Nie jako więzień czy niewolnik, ale jak przyjaciel przyjacielowi i jak wojownik wojownikowi. Astiza ma medalion. Przez to mogą ją zabić, tak samo brutalnie i bezwzględnie, jak zabili Talmę. Nie ufam pomocy wojskowych. Napoleon chce mieć ten medalion równie gorąco jak Silano. Zabierze go dla siebie i sam wykorzysta sekrety starożytnych.

362

- I stanie się przeklęty jak każdy, kto go dotknie.

- Albo odkryje moc, która zakuje świat w kajdany nie woli.

Odpowiedzią Aszrafa było milczenie, które uświadomiło mi, jakiego zuchwalstwa się właśnie dopuściłem, mówiąc tak o moim generale. Czy Bonaparte naprawdę był republikaninem?

A może kroił się nam potencjalny tyran? W jego charakterze dostrzegłem możliwości urzeczywistnienia jednego i drugiego.

Obie perspektywy wymagały osobistego czaru i uroku. Obie opierały się na ambicji. Z pewnością piórko na szali wagi Tota przeważa serce wodza w jedną lub drugą stronę. Ale oczywiście nie miało to znaczenia. Sam musiałem zdecydować, w co wierzę i komu zaufam. Enoch podsunął mi inną kotwicę.

„Uwierz jej”, powiedział.

- Mój brat udzielił ci pomocy i zobacz, do czego go to doprowadziło - stwierdził gorzko Aszraf. - Nie jesteś przyjacielem. Myliłem się, sprowadzając cię do Kairu. Powinienem być zginać pod Imbabą.

Nie wiedziałem, jak go przekonać.

- Więc jeżeli nie chcesz mi pomóc jako przyjaciel, roz-kazuję ci jako niewolnikowi i słudze. Zapłaciłem ci!

- Ośmielasz się jeszcze rościć sobie jakieś prawa? - Wyjął

sakiewkę i cisnął ją mi w twarz. Monety złotym deszczem zbryzgały podłogę. - Pluję na twoje pieniądze! Idź precz! Sam sobie szukaj swojej kobiety! Ja muszę się zająć pogrzebem brata!

Zostałem więc sam. Zachowując godność, zostawiłem jego pieniądze, gdzie upadły, choć wiedziałem, że mnie samemu zostało rozpaczliwie niewiele.

Wyjąłem tylko to, co ukryłem w trumnie mumii: moją rusznicę i algonkiński tomahawk. Przystąpiwszy przez ciało Mustafy, wyszedłem na uliczki starego Kairu.

Nie zamierzałem już tu wracać.

363

Siedziba Jusuf a al-Beni, w którego haremie Enoch ukrył

Astizę, wywierała na gościach większe wrażenie niż dom Enocha - była to zwieńczona wieżami miniaturowa twierdza, rzucająca cień na przyległe do niej uliczki. Wysoko nad brukiem ściany poprzecinane były wąskimi, lśniącoymi w słońcu oknami, wokół których śmigwały jaskółki, ale drzwi osłaniał łuk sklepienia tak grubego jak portyk średniowiecznego zamku. Stałem przed nim w przebraniu.

Zawinąłem broń w tani, pospiesznie nabyty dywan, a sam przebrałem się w szaty Egipcjanina, na wypadek gdyby po ucieczce spod piramid szukały mnie francuskie patrole. Luźne spodnie do konnej jazdy i galabija były znacznie lżejsze, zapewniały mi anonimowość i były wygodniejsze niż odzież europejska, a turban na głowie dawał znakomitą ochronę przed słońcem.

Czyżbym i tu przybywał za późno?

Zastukałem do drzwi, które otworzył mi odźwierny szerokością ramion nieustępujący Mustafie. Miał ogolony łeb, skórę tak jasną, jak tamten czarną, i zatykał wejście jak bela egipskiej bawełny. Czy w każdym bogatym domu odźwiernym musi być troll?

- Czego chcesz, handlarzu dywanów?

Teraz rozumiałem już arabski dość znośnie.

- Nie jestem handlarzem. Chcę się widzieć z twoim panem

- odpowiedziałem po francusku.

- Nie jesteś Francuzem - powiedział w tym samym języku.

- Jestem Amerykaninem.

Chrząknął znacząco.

- Nie tutaj. - Zaczął zamykać drzwi.

Postanowiłem spróbować blefu.

- Szuka go sułtan Napoleon. - To zatrzymało belę bawełny. I wystarczyło, żebym uwierzył, że Jusuf jest gdzieś wewnątrz pałacu. - Generał ma sprawę do kobiety o imię Astiza.

364

- Generał ma sprawę do niewolnicy? - W tonie grubasa brzmiało niedowierzanie.

- Ona nie jest niewolnicą, to uczona kobieta. Sułtan potrzebuje jej opinii. Skoro Jusufa nie ma, ty musisz odszukać tę damę.

- Jej też tu nie ma.

Czyżby to było prawdą? Nie chciałem uwierzyć.

- Mam wrócić z plutonem żołnierzy? Bonaparte nie jest człowiekiem, któremu każe się czekać.

Odźwierny potrząsnął głową.

- Idź precz, człowieku z Ameryki. Sprzedano ją.

- Sprzedano?!

- Pewnemu Beduinowi, który handluje niewolnikami.

Usiłował zatrzasać drzwi, ale wetknąłem w nie **koniec** zwoju dywanu.

- Nie mogliście jej sprzedać, należała do mnie!

Odźwierny chwycił drugi koniec dywanu łapą nieco tylko mniejszą od patelni.

- Zabieraj swój dywan z moich drzwi - ostrzegł mnie -

albo tu zostanie. I więcej już tu nie przychodź.

Odwrociłem dywan tak, żeby końcem mierzył w jego brzuch, a drugą dłonią zmacałem ukrytą w nim rusznicę.

Kliknięcie kurka było dość głośne i podziałało na wielkoluda uspokajająco.

- Chcę wiedzieć, kto ją kupił.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, badając wzajemnie swoją determinację. W końcu odźwierny ustąpił.

- Poczekaj tu - warknął.

Zniknął w środku, zostawiając mnie przed drzwiami niczym natrętnego petenta. Jakże ten Egipcjanin mógł sprzedać Astizę?

- Jusufie, ty synu krokodyla i nieprawej świni! Wyjdź

natychmiast! - Mój głos echami rozbrzmiał wewnątrz domu. Stałem przez chwilę, zastanawiając się, czy oni 365

mnie po prostu nie zignorują. Gdyby to **zrobili, gotów** byłbym otworzyć ogień.

W końcu usłyszałem odgłosy kroków wracającego odźwiernego. Ponownie stanął w drzwiach, całkowicie zastawiając je swoim cielskiem.

- Ten, który kupił kobietę, ma dla ciebie wiadomość, a ta jest bardzo prosta i jasna. On mówi, że dobrze wiesz, co masz zrobić, żeby ją odzyskać. - Po tych słowach zatrzasał drzwi.

To znaczyło, że Astiza wpadła w łapy Silana i Bin Sa-dra. I znaczyło to również, że nie mają medalionu, ale nie wiedzą, iż ja też go nie mam.

Ale czy zostawią ją przy życiu, kiedy go już dostaną?

Astiza była ofiarą porwania i zakładniczką.

Cofnąłem się od wejścia, zastanawiając się, co robić. Gdzie się *podział medalion*? I wtedy coś *niewielkiego* śmignęło mi koło ucha i wylądowało w ulicznym kurzu. Podniosłem wzrok.

Ozdobna krata wysoko nad wejściem właśnie się zamykała pociągana kobiecą ręką. Podniosłem to, co upadło na ziemię.

Była to niewielka paczuszka. Rozwinąwszy papier, zobaczyłem złote oko Horusa należące do Astizy i wiadomość po angielsku. Serce radośnie frunęło mi w górę.

„O północy pod murem. Przynieś linę”.

ROZDZIAŁ 18

Nic nie mogło zasypać przepaści dzielącej Francuzów i Egipcjan pod względem stosunku do kobiet. Muzułmanie uważali, że Europejczyków zdominowały bezdennie głupie kobiety, w których wulgarna bezczelność walczyła o lepsze z chęcią zrobienia durnia z każdego mężczyzny, z jakim miały do czynienia. Francuzi z kolei uważali, że islam zamknął

źródło największej rozkoszy w pełnych przepychu, ale jednak więzieniach, pozbawiając mężczyzn pełnego emocji i podniecającego towarzystwa kobiet. Muzułmanie uważali, że Francuzi są niewolnikami swoich kobiet, a ci - że Arabowie boją się swoich. Sytuację pogorszyła jeszcze determinacja niektórych Egipcjanek zdecydowanych nawiązać stosunki ze zdobywcami i pokazujących się publicznie bez kwefów, z obnażonymi ramionami i szyjami, w powozach paru oficerów.

Ich kochanki, oszołomione swobodą, jaką przynieśli im zdobywcy, rzucały radosne okrzyki ku zakratowanym okienkom mijanych domów.

- Patrzcie na naszą wolność!

Imamowie uważali, że jesteśmy przyczyną zepsucia obyczajów, uczeni uznawali Egipt za przeżytek średniowiecza, a żołnierze po prostu pożąдали rozkoszy cielesnych. Choć Napoleon wydał surowe zakazy molestowania muzułmanek, nikt nie zabraniał kupowania niewolnic, a niektóre aż się do tego paliły. Inne Egipcjanki broniły swej cnoty niczym westalki i skąpiły łask, dopóki chętny

367

nie wyraził zgody na małżeństwo i zabranie żony do Europy.

Rezultatem były swary i nieporozumienia.

Workowate ubrania muzułmanek, mające na celu kon-trolowanie męskich żądz, nie spełniały teraz swoich zadań -

każda mijana kobieta niewiadomego wieku i kształtów stawała się natychmiast obiektem męskich

spekulacji. I ja nie pozostałem obojętny w tym względzie, a moje wyobrażenie o zamkniętych w domu Jusufa kobietach rozpałały baśnie o Szeherazadzie i arabskich nocach. Któż zresztą nie słyszał o bajkowym seraju sułtana w Stambule? Któż nie delektował się opowieściami o zręcznych i przebiegłych konkubinach i eunuchach w tym dziwnym społeczeństwie, w którym syn niewolnika mógł zostać panem losu tysięcy ludzi? Był to świat, który nie bez trudu starałem się jakoś zrozumieć.

Niewolnictwo stało się sposobem na dodanie świeżej krwi i pogłębienie lojalności wobec konserwatywnej i zdradzieckiej społeczności. Poligamia stawała się nagrodą za lojalność polityczną. Religia była substytutem pozyskiwania dobrobytu materialnego. Niedostępność islamskich kobiet czyniła je tym bardziej pożądanymi.

Czy medalion pozostawał wciąż za murami haremu, choć Astizy już tam nie było? Na to właśnie liczyłem. Przebiegła kobieta przekonała swoich porywaczy, że medalion wciąż jest w moich rękach, a potem zostawiła dla mnie wiadomość.

Znalazłem w bocznej uliczce niszę, w której ukryłem swoją wciąż jeszcze zawiniętą w dywan rusznicę, i ruszyłem na zakupy - chciałem nabyć linę i trochę żywności. Jeżeli Astiza pozostawała w rękach Silana, zamierzałem ją odbić. Nie łączył

nas stały związek, odczuwałem jednak osobliwą mieszankę zazdrości, chęci obrony słabszej kobiety i samotności.

Wszystko to razem mocno mnie samego zaskoczyło. Astiza była mi niemal tak bliska jak stary przyjaciel. Straciłem Talmę, Enocha i Aszrafą. Diabli mnie prędzej porwą, niż i ją sobie pozwolę odebrać!

368

Choć miałem europejską cerę i wygląd, przebrany za Araba nie zwracałem na siebie uwagi - w końcu Imperium Osmańskie było prawdziwym tygłem wszelkich ras i kolorów. Wszedłem w labirynt bazaru Khan al-Khalili, gdzie powietrze przesycone było zapachem płonących węgla, haszyszu i rozmaitych wonnych korzeni poukładanych w stosy zieleni, żółci i ochry.

Kupiwszy linę, jedzenie i ciepły koc na pustynne noce, ruszyłem na poszukiwanie konia czy wielbłąda, którego mógłbym kupić za resztę moich pieniędzy. Nigdy nie jeździłem na wielbłądzie, ale wiedziałem, że są lepsze do pustynnych pościgów. Głowę miałem pełną pytań. Czy Bonaparte wiedział, że Silano porwał Astizę? Czy hrabia dotarł do tych samych wskazówek co ja? Jeżeli medalion był kluczem, to gdzie należało szukać zamka? Z głową zajęętą tymi myślami natknąłem się na francuski patrol, zanim zdążyłem dać nura w cień.

Ociekający potem żołnierze już mieli mnie minąć, kiedy dowodzący nimi porucznik nagle wyjął zza pasa jakiś papier, zerknął na mnie i krzyknął:

- Ethan Gage?

Udałem, że nie rozumiem.

Lufy kilku muszkietów wymierzonych w moją pierś nie wymagały tłumaczeń.

- Gage? Wiem, że to ty. Nie próbuj uciekać, bo dosta niesz kilka kul w plecy.

Zsunąłem więc kaptur z głowy i spróbowałem blefu.

- Poruczniku, niechże mnie pan nie zdradza! Jestem tu z polecenia generała Bonapartego.

- Przeciwnie, mój panie, jesteś aresztowany.

- To z pewnością jakaś pomyłka.

Zerknął na trzymany w dłoni rysunek.

- Denon naszkicował twoją gębę i całkiem dobrze uchwycił

podobieństwo. Ten człowiek ma talent...

- Zamierzałem właśnie wrócić do badań nad pirami dami...

369

- Jesteś poszukiwany w związku z morderstwem uczonego imama Kelaba Almaniego, znanego także pod imieniem Enocha lub Hermesa Trismegistosa. Widziano cię, jak myszkujesz w jego domu z rusznicą i tą twoją siekierką.

- Enocha? Zwariowałaś, człowieku! Ja usiłuję się dowiedzieć, kto go zabił!

Porucznik raz jeszcze zerknął na kartkę.

- Jesteś też oskarżony o opuszczenie bez rozkazu posterunku pod piramidami, niesubordynację i porzucenie munduru.

- Jestem uczonym! Nie mam i nigdy nie nosiłem munduru!

- Ręce do góry. - Służbista potrząsnął głową. - Nareszcie odpowiesz za swoje zbrodnie, jankesie.

Zabrano mnie do mameluckich koszarów przekształconych na prowizoryczne więzienie. W tym miejscu francuskie władze usiłowały się jakoś rozeznąć w ciżbie rzuconych tu przez wojnę buntowników, drobnych złodziejasków, dezserterów, rabusiów i jeńców. Pomimo moich protestów osadzono mnie w celi pełnej różnorodnych złodziejów, szarlatanów i łotrzyków. Poczulem się tak, jakby los ponownie mnie cisnął

do jednej z paryskich szu-lerni.

- Żądam, żeby mi przedstawiono zarzuty! - ryknąłem.

- To bezcelowe - stwierdził żołnierz zamykający drzwi.

Wściekłość z powodu absurdalności mojego uwięzienia za zabójstwo Enocha powiększała irytację, że nie będę mógł się stawić na spotkanie o północy przy południowej ścianie domu Jusufa. Ktokolwiek rzucił mi oko Horusa, nie miał

prawdopodobnie szans na wpuszczenie do haremu obcego mężczyzny. Co będzie, jeżeli zrezygnuję, a medalion zostanie sprzedany lub się zagubi? Poza tym, jeżeli Astiza była w łapach Silana i jechała na południe z ekspedycyjnym korpusem Desaix'go, z każdą godziną coraz

370

bardziej się ode mnie oddalała. Zostałem unieruchomiony akurat wtedy, kiedy nie miałem ani sekundy do stracenia.

Szalałem z wściekłości.

W końcu zjawiał się porucznik, żeby zapisać moje nazwisko w księdze zatrzymanych.

-Pozwólcie mi przynajmniej zobaczyć się z Napoleonem -

rzuciłem błagalnie.

- Mądrze zrobisz, trzymając się od niego z daleka, chy ba że masz ochotę stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

Podejrzewają cię o morderstwo na podstawie wcześniej szych meldunków o śmierci pewnej dziewczki w Paryżu.

Jest tu też coś o niezapłaconych rachunkach... - Zajrzał

w papiery. - Pozew złożyła właścicielka domu, niejaka Madame Durrell.

Jęknąłem w duchu.

-

Nie zabiłem Enocha! Znalazłem już tylko jego ciało!

-1 oczywiście biegniesz na policję, żeby o tym zameldować? - Jego ton był równie cyniczny jak moi wierzyciele.

-Posłuchaj... panie. Jeżeli nie dokończę swojej pracy, cała ekspedycja będzie narażona na niebezpieczeństwo. Hrabia Silano usiłuje zagarnąć dla siebie ważne tajemnice!

- Nie próbuj oskarżyć hrabiego Silano. To on właśnie dostarczył świadectwa Madame Durrell i nosiciela latarni. Przepowiedział nawet, że masz skłonności do zbrodni. - Ponownie zajrzał do papierów. - Takiej charakterystyki nie byłby się powstydział pan de Sade.

No tak. Podczas gdy ja biegałem z taśmą mierniczą wokół

piramid, Silano usilnie pracował w Kairze nad moją reputacją.

- Mam prawo do obrońcy z urzędu, prawda?

- Owszem, nasz wojskowy prawnik zajrzy tu najpóźniej za tydzień.

Zacząłem podejrzewać, że ktoś mnie przeklął. Jakże wygodne dla moich nieprzyjaciół było to, że zostałem zamknięty, pozbawiony możliwości ścigania, odparcia oskar-371

żeń i stawienia się na nocne spotkanie pod ścianą haremu Jusufa! Przez maleńkie okienka celi wpadały promienie słońca, a kolacja wyglądała jak obrzydliwa mieszanka grochu i soczewicy. Do picia mieliśmy nieświeżą wodę z beczki i wiadro do załatwiania potrzeb naturalnych.

- Żądam natychmiastowego posłuchania!

- Możliwe, że zostanie pan odesłany do Paryża, gdzie przedstawi się panu zarzuty.

- Co za idiotyzm!

- Lepsza gilotyna w Paryżu niż pluton egzekucyjny tu na miejscu, prawda? - Wzruszył ramionami i wyszedł.

- Naprawdę? - wrzasnąłem za nim, *opadając* na podłogę.

- Zjedz trochę tej brei - powiedział szeregowiec, niedoszły przedsiębiorca schwytyany na próbie sprzedaży działa na przetopienie. - Śniadanie jest znacznie gorsze.

Odwróciłem się.

No cóż, zasiadłem do gry i przegrałem. Gdybym przegrał w Paryżu, nie dostałbym tu choćby jednej dobrej karty.

Oczywiście gdybym poszedł za wskazówkami Franklina, jakich mi nie szczędził w swoich kazaniach, miałbym jakiś porządny zawód, ale jego rady w rodzaju „kładź się wcześniej i wcześniej wstawaj” wydawały mi się przeciwne naturze. Co prawda jedną z rzeczy, które bardzo mi się podobały, było to, że nie zawsze postępował zgodnie z radami, jakich udzielał

innym. Nawet w wieku bliskim osiemdziesiątce potrafił się zasiedzieć do późnej nocy w towarzystwie jakiejś pięknej damy.

Zbliżała się noc. Z każdą chwilą Astiza coraz bardziej się oddalała.

Pogrążyłem się w jamie osobistej rozpacz, zaglądając od czasu do czasu w sztolnię litości nad samym sobą i pokład żalu za grzechy - przez cały czas usiłując zignorować smród, jakim zionęli moi towarzysze niedoli - kiedy usłyszałem syk od okna.

- Ethan!

Co znowu?

- Ethan? - Głos był niski i pełen niepokoju. - Ameryka nin. Jest tutaj?

Odepchnąłem innych więźniów i przyłożyłem twarz do niewielkiego otworu.

- Kto tu?

- Aszraf.

- Asz? Myślałem, że mnie opuściłeś!

-Przemyślałem sprawę. Wiem, że mój brat chciałby, żebym ci pomógł. Ty i ta kapłanka jesteście jedynymi gwarantami zachowania w tajemnicy sekretów, których strzeżę.

A potem się dowiedziałem, że cię aresztowano! Jak to się dzieje, że tak szybko popadasz z jednych tarapatów w drugie?

- Taki talent.

- Teraz muszę cię jakoś stąd wyciągnąć. -Ale jak?

- Odsuń się od okienka jak najdalej. **I zakryj uszy.**

- Co takiego?

- Dobrze byłoby, gdybyś też kucnął.

Po tych słowach mój mamelucki sprzymierzeniec znikł w mroku.

To zabrzmiało dość złowrogo. Mamelucy lubowali się w prostych

rozwiązaniach

skomplikowanych

problemów.

Przepchnąłem się do przeciwległego rogu celi i zwróciłem się do pozostałych więźniów:

- Myślę, że zaraz wydarzy się coś dramatycznego. Pro szę, żebyście wszyscy przeszli na tę stronę.

Nikt się nie ruszył.

Spróbowałem ponownie.

- Mam tu trochę haszyszu, podejdźcie bliżej...

Utworzyli wokół mnie dość zwartą tarczę... i zaraz potem rozległ się straszliwy grzmot. Zewnętrzna ściana tuż pod oknem deszczem kamieni eksplodowała do środka ra-373

zem z armatnim pociskiem, który ugodził w drewniane, wzmocnione żelaznymi okuciami wejście do celi. Drzwi wygięły się na zewnątrz i wyleciały z futryny, uderzając w mur po przeciwległej stronie korytarza. Kula utkwiała w drewnie jak migdał w cieście. Wszyscy zwalili się na kupę, ze mną na samym spodzie. Dzwoniło mi w uszach, a w gardle miałem pełno kurzu. Ale w lot dostrzegłem szansę.

- Teraz! Na strażnika!

Gdy wszyscy stłoczyli się przy wyjściu, ja precisnąłem się w drugą stronę i wymknąłem się przez dziurę, za którą czekał

już Asz. Krył się, kucnąwszy w cieniu. Miał przerzucony przez ramię muszkiet, dwa zatknięte za pas pistolety i szablę.

Poznałem broń, którą mu odebrałem, gdy go wzięłem do niewoli. No tak, tyle o moich trofeach.

- Skąd, u diabła, wzięłeś działko?

- Stało sobie na dziedzińcu jako dowód.

- Jaki dowód? Ach tak, ten żołnierz, który chciał sprzedać je na przetopienie! I co, zostawili je nabite?

- Żeby użyć go przeciwko więźniom, gdyby zechcieli uciekać.

Rozległy się strzały i rzuciliśmy się do ucieczki.

Przemknęliśmy przez pogrążone w ciemnościach uliczki jak złodzieje. Znaleźliśmy moją broń, liny i zapasy w miejscu, gdzie je ukryłem. Potem gapiliśmy się na księżyc, czekając do wyznaczonej godziny. Gdy dotarliśmy do południowej ściany domu Jusufa, właściwie nie wiedziałem, czego powinienem się spodziewać. Ciężkie drewniane drzwi do oddzielnego dla kobiet wejścia ryglował mocny, żelazny zamek. Tą drogą z pewnością nie można się było dostać do środka. Mogłem jedynie siedzieć cicho pod południową ścianą, licząc na to, że nie wpadniemy w oko żadnemu z przemierzających miasto francuskich patroli.

374

- Teraz i z ciebie zrobiłem zbiega - szepnąłem.

- Bogowie nie mogli pozwolić, żebyś tylko ty sam pomścił

śmierć mojego brata.

Noc się ciągnęła jak nić włoskiego makaronu. Z zakra-towanego okna nad drzwiami nie dobiegał żaden dźwięk, nikt też się w nim nie pokazał. Czy nie spóźniliśmy się na wyznaczone spotkanie? Czy mojego informatora przyłapano na gorącym uczynku? Zniecierpliwiony wyjąłem w końcu z kieszeni złote oko Horusa i cisnąłem nim w otwór okna. Ku mojemu zdziwieniu nie spadło z powrotem na ziemię.

Powróciło owinięte w jedwabną nić. Uwiązałem do niej linę i patrzyłem, jak wciągają ją w górę. Oczekałem chwilę, pociągnąłem mocno, żeby sprawdzić, czy węzeł trzyma pewnie, i oparłem stopę o ścianę.

- Poczekaj tu - zwróciłem się do Aszrafa.

- Sądzisz, że jestem mniej ciekawy niż ty?

- To ja jestem ekspertem od kobiet. Ty potrzyмай rusznicę.

Okno haremu znajdowało się na wysokości piętnastu metrów nad ziemią; okiennica była dość szeroka, żebym mógł

przesunąć głowę i ramiona. Dysząc ciężko z wysiłku i podniecenia, przewinałem się do środka z tomahawkim zatkniętym za pas. Biorąc pod uwagę wydarzenia minionego dnia, gotów byłem go użyć.

Na szczęście smukłe młode ramiona wciągające mnie do pokoiku

natychmiast

poprawiły

mi

nastrój.

Moim

anonimowym pomocnikiem okazała się młoda urodziwa kobieta, ku mojemu rozczarowaniu ubrana i nawet zakwefiona.

Miała wielkie, migdałowe oczy i one same wystarczyłyby, żeby się w niej zakochać; może w tym muzułmańskim szaleństwie była jakaś metoda? Przyłożyła paluszek do ust, nakazując mi ciszę. Podała mi drugi skrawek papieru i szepnęła:

- Astiza.

- *Faynl* - zapytałem o miejsce jej pobytu.

Potrząsnęła główką i wskazała na papier. „Ukryty na widoku”, napisała na nim dłoń Astizy.

A, więc to ona zostawiła gdzieś ten medalion! Rozejrzałem się dookoła i nagle zdałem sobie sprawę, że patrzę na mnie oczy kilkunastu kobiet, kryjących się w mroku jak zwierzątka pod korzeniami drzew w wirgińskiej puszczy. Mieszkanki haremu obudziły się i patrzyły na mnie, choć jak moja młoda przewodniczka wszystkie były ubrane do wyjścia i ciche niczym sarny. Wszystkie też przykładają palec do ust.

Przesłanie było aż nadto wyraźne.

Moje fantazje o sadzawkach, śpiewających niewolnicach i przejrzystych szatach nagle się rozwiały. Harem był znacznie skromniej umeblowany i bardziej zatłoczony niż wspólne pokoje zajezdne, nikt też nie szykował się na nocną wizytę Jusufa. Zrozumiałem, że trafiłem do oddzielnego skrzydła domu, w którym kobiety mogły spokojnie gotować, wyszywać i plotkować, nie wchodząc na terytorium mężczyzn.

Wszystkie patrzyły na mnie z obawą i fascynacją.

Zacząłem myszkować po mrocznym pomieszczeniu, szukając medalionu. Ukryty na widoku? Czy miało to znaczyć: w oknie? Wszystkie były zamknięte ozdobnymi kratami *maszrabija*. Harem składał się z centralnej dużej sali i wielu przyległych do niej małych pokoików; w każdym stało łóżko z pościelą w nieładzie, skrzynią, a w ścianę wbite kołki na suknie, z których jedne wszystko niemal miały odsłaniać, a inne zasłaniać. Pomyślałem, że znalazłem się w świecie wywróconym do góry nogami, w którym wszystkie kolory zwrócone były do wewnątrz, myśli zabronione, a przyjemności starannie skrywane.

Gdzie ona go ukryła? W bucie, moździerzku czy nocniku?

Żadne z tych miejsc nie pasowało mi do określenia „ukryty na widoku”. Pochyliłem się, żeby podnieść leżące na łóżku prześcieradło, ale młoda kobieta będąca moją przewodniczką zatrzymała moją dłoń. One czekały,

aż znajdę kryjówkę, udowadniając tym samym, że wiem, czego szukam. I nagle zrozumiałem intencje Astizy. Ukryty na widoku, napisała. Na szyi, na stoliku, wśród...

.. .kobiecej biżuterii.

Jeżeli coś łączy ludzkie społeczności czy kultury, to jest to zamiłowanie do złota. Choć owe kobiety nigdy by się nie odsłoniły na ulicy, Jusufowi i innym ochoczo prezentowały na nagiej skórze pierścienie, naszyjniki z monet, bransolety, wisiorki, kolczyki, tiary i łańcuszki opasujące biodra. Na nocnej szafce leżał stos złota, żółta piramida o wartości niewiele mniejszej niż łup *UOrientu*. A wśród innych błyskotek, rzucony obojętnie jak miedziak na stole w tawernie, leżał medalion, po części zasłonięty innymi ozdobami. Bin Sadr i Silano nigdy by się tu oczywiście nie dostali, a nikt

inny nie zadałby sobie trudu, żeby go poszukać.

Wyciągnąłem go spod stosu. I wtedy jakiś inny ciężki kolczyk spadł ze stołu, wydając melodyjny dźwięk.

Znieruchomiałem. Nagle z łóżek uniosło się kilka innych głów o znacznie starszych twarzach. Jedna z obudzonych właśnie kobiet wytrzeszczyła na mnie oczy i poderwała się raptownie, owijając ciało prześcieradłem.

Powiedziała coś do pozostałych dziewcząt ostrym, nagłym tonem. Młódka odpowiedziała niecierpliwie i gniewnie.

Nastąpiła

krótka

konwersacja

prowadzona

wścikłym szeptem po arabsku, Zacząłem się nieznacznie przesuwac w stronę okna. Stara nakazała mi gestem odłożyć medalion, ale ja założyłem go na szyję i ukryłem pod koszulą.

Tego się raczej nie spodziewała. Krzyknęła głośno a kilka innych zaczęło z jękiem wzywać pomocy. Odpowiedział im cienki wrzask eunucha za drzwiami i okrzyki kilku mężczyzn z głębi domu. Czyżbym słyszał zgrzyt stali wyciąganej z pochwy? Doszedłem do wniosku, że trzeba zmiatać.

Gdy skoczyłem ku oknu, natrętna starucha próbowała 377

mnie zatrzymać, rzucając się na mnie jak wielki, czarny nietoperz. Odepchnąłem ją, choć drapnęła mnie szponami w szyję. Z wrzaskiem runęła w tył. W głębi domu odezwał się dzwon, a potem kilka strzałów na alarm. Zaraz obudzą całe miasto! Doskoczyłem do okna i mocnym kopniakiem wybiłem na zewnątrz niemal całą drewnianą kratę. Resztki ramy zagrzechotały o bruk ulicy. Przewinałem się na zewnątrz i zacząłem zsuwać po linie. Zdażyłem jeszcze zobaczyć, że na dole drzwi otwierają się z hukiem i na ulicę wypada zgraja sług zbrojnych w pałki i kije. Inni wdarli się do haremu na górze.

Ktoś zaczął ciągnąć linę, usiłując unieść mnie w górę i utrudnić zejście.

- Skacz! - usłyszałem krzyk Aszrafa. - Złapię cię!

Czy on miał pojęcie, ile ważę? Nie zamierzałem też puścić liny, bo mogła nam się jeszcze przydać. Wyrwałem zza pasa tomahawk i przeciąłem linę nad moją głową. Sznur pękł i poleciałem w dół z wysokości dziesięciu metrów, lądując z głośnym młaśnięciem na czymś miękkim i śmierdzącym. Był to wóz na nieczystości, który Aszraf tu przywlókł, żeby złagodzić mój upadek. Zsunąłem się na bok, trzymając resztki liny, i przygotowałem do bitki.

Tuż obok mnie huknął muszkiet Aszrafa i jeden z biegnących ku nam służących zwałił się na ziemię. Mameluk wepchnął mi w rękę moją rusznicę. Strzeliłem do drugiego draba, a potem, chwyciwszy tomahawk, wydałem indiański okrzyk wojenny i trafiłem trzeciego w głowę. Pozostali cofnęli się z przestraczem. Aszraf i ja przeskoczyliśmy przez niski murek i puściliśmy się biegiem przez labirynt krętych uliczek.

Ludzie Jusufa rzucili się hurmą za nami, strzelając na oślep.

Zatrzymałem się, żeby nabić rusznicę, Aszraf zaś dobył szabli.

Teraz musieliśmy już tylko się wydostać z miasta...

- Tam są!

Był to francuski patrol. Klnąc w żywy kamień, zawró-

378

ciliśmy i pobiegliśmy w kierunku, z którego przyszliśmy.

Usłyszałem francuskie: „Cel... Pal!”, podciąłem więc nogi Aszrafowi i obaj padliśmy w kurz. Rozległ się huk salwy i kilka kul gwizdnęło nad naszymi głowami. Z przodu rozległy się wrzaski bólu i wściekłości. Ludziom Jusufa nieźle musiało się dostać.

Korzystając z osłony dymu, przekradliśmy się chyłkiem w boczną uliczkę. Teraz już zewsząd słyszeliśmy strzały i wrzaski.

-Co to było... to, w co wpadłem? - zapytałem Asz-rafa.

- Ośle odchody. Wpadłeś, przyjacielu, w to, co Francu zi nazywają *merde*.

Jakaś kula odbiła się od stojącego obok nas kamiennego słupka.

- Trudno o trafniejsze określenie.

Przezołgawszy się kawałek, wstaliśmy i skręciliśmy za róg. Pobiegliśmy truchtem do szerszej ulicy wiodącej z grubsza ku południowej bramie. Wydawało nam się, że na razie zgubiliśmy ścigających.

- Straciłem także zapas żarcia! Przeklęta starucha!

- Mojżesz znalazł mannę na pustyni.

- A król Jerzy dostaje racuszki do herbatki, ale niestety nie jestem królem Jerzym.

- Zaczynasz się robić zgryźliwy.

- Najwyższa pora, może nie?

Dotarliśmy już niemal do bramy, kiedy z bocznej uliczki wyjechał konny patrol. Objeżdżali swoją zwykłą trasę i nawet nas jeszcze nie spostrzegli, ale zablokowali nam drogę.

- Ukryjmy się w jakiejś niszy - podsunął Aszraf.

- Nie. Potrzebne nam konie, prawda? Przywiąż linę do tej kolumny na wysokości ramion jeźdźca. - Wziąłem drugi koniec i zrobiłem to samo po przeciwległej stronie uliczki. - Kiedy strzełę, bądź gotów złapać jakiegoś konia.

379

Wyszedłem na środek ulicy i stanąłem twarzą do zbijających się żołnierzy. Pomachałem rusznicą, żeby dostrzegli w mroku błysk lufy.

- Kto idzie? - zagrzemiał oficer. - Wy dwaj, coście za jedni?

Strzeliłem, strącając mu z głowy czako.

Ruszyli na nas.

Śmignąłem w cień, przerzucając strzelbę przez ramię, chwyciłem kolumnienkę i wdrapałem się na zwieszoną nad gankiem zasłonę. Kawalerzyści w pełnym galopie wpadli na linę. Prowadzących zdmuchnęło z siodeł, rzucając ich na jadących za nimi. Konie stawały dęba, a jeźdźcy walili się na

ziemię. Skoczyłem z góry, strącając jeźdźca z siodła. Aszraf tymczasem też zdobył dla siebie konia. Rozległo się kilka strzałów z pistoletu, niecelnych w ciemności. Wyrwaliśmy się z zamętu.

- Ci Francuzi zaczną się teraz zastanawiać, po czyjej jesteście stronie? - wycharczał Aszraf, gdy podcinaliśmy konie do galopu, obejrząwszy się na strzelających za nami żołnierzy.

- Ja też.

Pognaliśmy w stronę muru i bramy.

- Otwierać! Kurierzy generała Bonaparte! - ryknąłem po francusku.

Wartownicy najpierw dostrzegli kawaleryjskie konie i uprzęż, dopiero potem zwrócili uwagę na nasze arabskie szaty.

Wtedy jednak było już za późno. Przelecieliśmy przez bramę jak pustynny wichur i choć nad naszymi głowami gwizdały kule, pognaliśmy wprost w objęcia nocy.

Byłem wolny i miałem medalion. Teraz już tylko musiałem uwolnić Astizę, znaleźć Księżę Tota i stać się panem świata - a przynajmniej jego zbawcą.

Jednocześnie stałem się zwierzyną łowną dla każdego Beduina, mameluka i Francuza w Egipcie.

ROZDZIAŁ 19

Egipska pustynia na zachód od Nilu jest bezkresnym oceanem skał i wydm z kilkoma wyspami oaz. Piaski na wschód od Nilu i na południe od Kairu - jałowy płaskowyż oddzielony od Morza Czerwonego górami podobnymi do księżycowych - są jeszcze gorsze i wyglądają, jakby się nie zmieniły od początku świata. Błękit nieba blaknie na roziskrzonym i drżącym horyzoncie do mętnej mgiełki, a skwar i brak wilgoci w powietrzu w każde bezlitosne popołudnie grozi intruzowi mumifikacją. Nie masz tu wody, cienia, nie usłyszysz głosu ptaków ni szelestu liści, nie zabrzęczy nawet owad i wydaje się, że nic aż do końca świata nie zakłóci tej piekielnej ciszy. Od tysięcy lat magowie i mnisi przybywali tu w poszukiwaniu Boga. Podczas ucieczki doszedłem do wniosku, że zostawiłem Go za sobą, w wodach Nilu i zielonych ojczytych puszczech.

Aszraf i ja pognaliśmy w tym kierunku dlatego, że nikt inny zdrowy na umyśle tego by nie uczynił. Najpierw przejechaliśmy przez kairskie Miasto Umarłych, gdzie groby muzułmanów upiornie bielily się w blasku księżyca. Potem, odprowadzeni leniwym szczekaniem psów, przecięliśmy pas zieleni nad Nilem. Na długo przed świtem staliśmy się małymi plamkami na niezmiernie rozległej równinie. Wzeszło słońce, oślepiając nas, gdy zdążaliśmy na wschód, a potem zaczęło się wlec w górę tak powoli, że stało się jakby bezlitosnym zegarem. Przy siodłach naszych wierzchowców były manierki, które wystarczy-381

ły nam do południa, ale potem pragnienie stało się osią naszego istnienia. Rozgrzane upałem powietrze parzyło w płuca przy każdym oddechu, zaczęły mnie też boleć oczy od patrzenia w białe jak śnieg połacie pustyni. Drobinny piasku wdzierały się do ust, pod powieki, do uszu, pokrywały nasze ubrania i końską sierść, a niebo przygniatało nam ramiona i miażdżyło skronie. Łańcuszek

medalionu palił mi kark. I jak na urągowisko spragnionym, niemal w zasięgu ręki mającym

okrutnie już znajomy miraż jeziora.

Tak wygląda Hades, pomyślałem. Tu trafiają mężczyźni, którzy bez żadnego celu w życiu piją, chędożą i grają dla kęsa codziennego chleba. Pragnąłem tylko znaleźć skrawek cienia, położyć się i zasnąć na wieki.

- Musimy jechać szybciej - stęknął Aszraf. - Ci Francu zi nie zrezygnują.

Obejrzałem się za siebie. Daleko za nami wiatr leniwie rozwijał pióropusz białego pyłu. Jego źródłem był pluton huzarów, którzy podążali za śladami kopyt naszych koni.

- To niemożliwe! Konie nie mają wody.

- To musimy ją znaleźć. - Mój towarzysz wskazał leżące przed nami wzgórza wyglądające jak kilka stosów zeschniętych liści.

- W tych wypalonych węglach?

- Nawet w popiele można znaleźć diament. Zgubimy Francuzów w płataninie jarów i wadis*. A potem znajdziemy jakiś wodopój.

Dźgnęliśmy znużone konie ostrogami i otuliwszy się opończami, ruszyliśmy w dalszą drogę. Wjechaliśmy na płaskowyż, pełen piaszczystych wadis, tworzących labirynt spleciony jak sieć tkana przez pijanego majtka. Jedyne przedstawicielami świata roślin były tu pustynne

* Wadi - suche łóżysko pustynnego potoku (Azja i Afryka Północ-na) wypełniające się wodą tylko w porze deszczowej (przyp. tłum.).

382

osty. Aszraf jednak rozglądał się za czymś i dość szybko to znalazł: nagi skalny płaskowyż, leżący u ujścia trzech jarów.

- Tu możemy zmylić trop.

Zawróciliśmy z łoskotem kopyt i przejechaliśmy przez kamienną płaszczyznę. Wjechaliśmy w środkowy wapienny wąwóz, ponieważ wyglądał najmniej gościnnie i był

najwęższy; liczyliśmy na to, że Francuzi uznają, iż pojechaliśmy inną drogą. Było tak gorąco, że przysiągłbym, iż wjeżdżamy do pieca. Wkrótce potem usłyszeliśmy pełne irytacji okrzyki naszych prześladowców spierających się, którądy pojechaliśmy.

Straciłem orientację i posłusznie podążałem za mamelukiem. Zbocza wznosiły się coraz wyżej, aż wreszcie ujrzałem poszarpany zarys prawdziwych gór - czarne i czerwone skały na tle nieba. Był to łańcuch oddzielający dolinę Nilu od Morza Czerwonego. Nigdzie nie było widać skrawka zieleni czy

błysku wodnej tafli. Przerazającą ciszę zakłócał

tylko stukot kopyt naszych koni lub skrzyp uprzęży. Czy nie pustynia - i to, że mogli odejść od żyznego Nilu w absolutną nicość - była powodem, dla którego starożytni Egipcjanie mieli taką obsesję śmierci? Czy koncepcji rajów i wygnania nie zrodził

kontrast pomiędzy ich polami a wszystko pochłaniającym piaskiem? Czy jałowość miała przypominać o krótkości życia i rodzić marzenia o nieśmiertelności? Z pewnością susza naturalnie mumifikowała ciała; na długo przedtem, zanim Egipcjanie uczynili z tego praktykę religijną. Wyobraziłem sobie kogoś, kto po setkach lat znajduje mój zasuszony korpus z twarzą zastygłą w wyrazie daremnego żalu.

W końcu cienie zaczęły się wydłużać, a odgłosy pościgu stawały się coraz cichsze. Pragnienie musiało dokuczać Francuzom tak samo jak nam. Kręciło mi się w głowie, bolały mnie wszystkie kości, a nabrzmiały język z trudem mieścił mi się w gębie.

383

Zatrzymaliśmy się w czymś, co pozornie wyglądało jak pułapka. Wokół nas wznosiły się strome, wysokie skały, a jedynym wyjściem był wąwóz, przez który się tu dostaliśmy.

Słońce opadło już tak nisko, że kotlinkę szybko okrył cień.

-1 co teraz?

Aszraf sztywno zsunął się z konia.

- Teraz musisz mi pomóc kopać.

Ukląkł u podnóża skały w niewielkim zagłębieniu, które mógłby wyłobić tu wodospad, gdyby można było sobie wyobrazić coś tak niemożliwego. Ale... skała nad nim była ciemna, jakby od czasu do czasu spływała po niej woda. Asz zaczął rozgarniać piasek dłońmi.

- Kopać?

Czyżby mój towarzysz oszalał od spiekoty?

- Bierz się do kopania, jeżeli nie chcesz tu zdechnąć!

Raz do roku, a może raz na dziesięć lat zdarzają się tu deszcze. Jak ten diament w popiele, zwykle zostaje trochę wody.

Ukląknęłam obok i bez przekonania zabrałam się do roboty. Z

początku wydawało się to pozbawione sensu, ale po chwili poczułam, że piasek robi się chłodniejszy, a potem - ku mojemu bezbrzeżnemu zdumieniu - wyczułam wilgoć.

Zacząłem gorączkowo odrzucać piach na boki energicznie jak terier, który zwęszył lisa. W końcu wygrzebaliśmy jamę, do której ze ścian zaczęła się sączyć woda, brudna i gęsta jak krew.

- Nie mogę pić błota! - Zacząłem kopać głębiej.

Aszraf chwycił mnie za ramię i szarpnął w tył.

- Na pustyni potrzebna jest cierpliwość. Ta woda ma gła tu spłynąć sto lat temu. Możemy poczekać jeszcze chwilkę.

Czekałem, płonąc niemal z niecierpliwości, i po chwili zobaczyłem, że we wgłębieniu zbiera się kałuża wody. Konie zaczęły parskać i rzeć.

384

- Nie, moje kochane, jeszcze nie... - łagodził Aszraf.

Był to najbardziej płytki basen, jaki widziałem, ale powitałem go radośnie jak rzekę. Oczekaliśmy wieczność, a potem obaj pochyliliśmy się, żeby pocałować tę kałużę, jak muzułmanie biją pokłony w stronę Mekki. Gdy chleptałem brudną wodę, wzdrygałem się i wściekałem. Jesteśmy po prostu workami na wodę, kompletnie bezradnymi i bezsilnymi, gdy pozbawieni zostaniemy możliwości uzupełniania zapasu.

Siorbaliśmy, aż opróżniliśmy kałużę do błota, a potem usiedliśmy na piasku, spojrzeliśmy na siebie i ryknęliśmy śmiechem. Tylko wokół ust mieliśmy jaśniejsze kręgi, podczas gdy reszta twarzy pokryta była pyłem. Wyglądaliśmy jak uliczni kłowni. Długą chwilę czekaliśmy niecierpliwie, aż nasza mizerna studzienka ponownie napełni się wodą, i napoiliśmy konie, dbając, żeby nie piły za szybko. Nadszedł

zmierzch, a my wciąż jeszcze nosiliśmy wodę w bukłakach spragnionym koniom, sami gasiliśmy swoje pragnienie i ścieraliśmy resztki kurzu z dłoni i twarzy. Z grubsza znowu poczułem się człowiekiem. Gdy na niebie pojawiły się gwiazdy, dotarło do mnie, że od pewnego czasu nie słyszałem odgłosów francuskiego pościgu. A potem rozkwitł nad nami przepyszny kobierzec gwiazd, skały zaczęły się srebrzyć.

- Witaj na pustyni - odezwał się Aszraf.

- Jestem głodny.

Wyszczrzył zęby.

- To znaczy, że żyjesz.

Zrobiło się zimno, ale nawet gdybyśmy mieli drewno, nie ośmielilibyśmy się rozpalić ogniska. Skuliliśmy się więc i zaczęliśmy rozmawiać, pocieszając jeden drugiego z powodu śmierci Talmy i Enocha, a potem, dodając sobie nawzajem otuchy, mówiliśmy o przyszłości - mojej z Asti-zą i Egiptu z Aszrafem.

- Mamelucy to pijawki - przyznał. - Moglibyśmy się nauczyć wielu rzeczy od francuskich uczonych, tak jak 385

Francuzi uczą się od nas. Ale... Ethanie... Władzę w Egipcie muszą sprawować ludzie, którzy tu żyją i mieszkają, a nie jacyś Europejczycy o różowych twarzach.

- A nie widzisz możliwości współpracy jednych z drugimi?

- Nie sądzę, żeby to się udało. Czy paryżanie chcieliby Araba w swojej miejskiej radzie, nawet gdyby był mądry jak sam Tot? Nie. To nie leży w ludzkiej naturze. Przypuśćmy, że z nieba zstąpiłby bóg z odpowiedziami na wszystkie dręczące nas pytania i wątpliwości. Wysłuchalibyśmy go czy przybilibyśmy do krzyża?

- Wszyscy wiemy, jaka byłaby odpowiedź. Więc cóż, Aszrafie? Niech każdy człowiek zajmie należne mu miejsce?

- To samo dotyczy mądrości. Sądzę, że to właśnie usiłował

czynić Enoch... chciał zatrzymać mądrość Egiptu tam, gdzie ją złożyli starożytni.

- Nawet choćby umieli unosić skały i znali tajemnicę nieśmiertelności?

- Nie ceni się rzeczy łatwo zdobytych. Gdyby każdy naród czy człowiek potrafił budować piramidy za pomocą magii, stałyby się pospolite jak wydmy na pustyni. A wieczne życie?

Każdy, kto ma choć odrobinę oleju w głowie, zrozumie, że to przeciwne naturze. Wyobraź sobie świat pełen starców, świat, w którym jest mało dzieci, świat, w którym nie masz nadziei na postęp, ponieważ wszystkie stanowiska dawno już pozajmowali starzy ludzie, którzy tkwią na nich od setek lat. To nie byłby raj, tylko piekło konserwatyzmu i zachowawczości, stęchłych idei i wyświechtanych powiedzeń, starych uraz i nieustających narzekań. Czy boimy się śmierci? Oczywiście! Ale to śmierć otwiera drogę nowemu życiu, a ten cykl jest równie naturalny jak przybory i opadanie Nilu. Śmierć jest naszą ostatnią i największą powinnością.

386

Czekaliśmy aż do nadejścia dnia, żeby się upewnić, że gdzieś w pobliżu nie czają się Francuzi. Doszedłszy do wniosku, iż brak wody zmusił ich do rezygnacji z pościgu, ruszyliśmy na południe. Podróżowaliśmy nocami, żeby uniknąć najgorszych upałów, równoległe do Nilu, ale o kilka mil na wschód, żeby nas nie odkryto, choć musieliśmy kluczyć między wzgórzami. Zamierzaliśmy dołączyć do korpusu Desaix'go, z którym podróżowali Silano i Astiza. Chciałem ścigać hrabiego równie zajadle, jak Francuzi ścigali mameluckich powstańców w górze rzeki. Liczyłem na to, że uwolnię Astizę, a Aszraf weźmie pomstę na zabójcach swojego brata. Znajdziemy laskę Mina, przedostaniemy się do wnętrza Wielkiej Piramidy i odszukamy dawno zaginioną księgę Tota, by chronić ją przed wyznawcami egipskiego rytu. A potem...

czy ją potem ukryjemy, zniszczymy czy zachowamy dla siebie?

Cóż... przejdę przez ten most, kiedy do niego dotrę, jak mawiał

stary Ben.

Po drodze znajdowaliśmy na pustyni gniazda życia. Pośród kamiennej puszczy niczym grzyby wyrastały przed nami brązowe kopuły koptyjskich klasztorów, a kępy palm zwiastowały obecność studni. Mamelucki obyczaj zabierania całego swojego majątku do bitwy okazał się teraz bardzo praktyczny - Aszraf odzyskał sakiewkę, którą mi wtedy rzucił, i miał dość pieniędzy, żeby kupować żywność. Ugasiwszy pragnienie, kupiliśmy większe skórzane bukłaki i jadąc na południe, znajdowaliśmy kolejne studnie, niczym oberże wzdłuż niewidzialnego traktu. Suszone owoce i razowy czerstwy chleb były jedzeniem prostym, ale pożywnym, a mój towarzysz pokazał mi, jak powlekać wargi warstwą baraniego łożu, żeby chronić je przed wyschnięciem i popękaniem.

Zaczynałem się powoli przyzwyczajać do pustyni. Piasek stał

się łóżem, a moje luźne szaty - opłukane z oślich odchodów -

chwyciły każdy powiew chłodzącego wietrzyku. Tam, gdzie 387

niedawno jeszcze widziałem pustkowie, zobaczyłem piękno, te złowrogie skały mieniły się tysiącem kolorów, gra światła i cienia na białym wapieniu zachwycała subtelnością, a wspaniała pustka w osobliwy sposób wypełniała duszę.

Prostota i spokój pustyni przypominały mi piramidy.

Od czasu do czasu zygzakując, zbliżaliśmy się do Nilu i Aszraf nocami zajeżdżał do wiosek, żeby jako mameluk *l* wytargować nieco wody i żywności. Ja zostawałem na jałowych wzgórzach, patrząc na spokojny zielony pas terenów rolniczych i błękitną wstęgę rzeki. Chwilami dolatywały do mnie niesione wiatrem odgłosy śmiechu dzieci, rzenie osłów czy nawoływania do modlitw. Czulem, jak bardzo jestem tu obcy. Przed świtem Aszraf wracał, jechaliśmy kilka mil, a potem, gdy słońce wychylało się spoza skał, rozkopywaliśmy piasek w znanych mojemu towarzyszowi miejscach i kryliśmy się w jaskiniach wydrążonych niegdyś w miękkich skałach klifu.

- To są starożytne groby - objaśniał Aszraf, gdy ryzykując odkrycie, rozpalaliśmy niewielkie ognisko, na którym z kupionych przezeń produktów gotowaliśmy posiłek, a potem popijaliśmy wszystko herbatą. - Te jaskinie wykuto przed tysiącami lat.

Teraz na poły zasypał je piasek, ale wciąż były wspaniałe.

Kamienne stropy podtrzymywały tu kolumny zwieńczone głowicami w kształcie pęków papirusu. Ściany ozdobiono barwnymi freskami. W przeciwieństwie do nagiego granitu komory grobowej w Wielkiej Piramidzie, tu setkami kolorów przedstawiono krainę życia i śmierci. Ściany wypełniały obrazy uprawiających zapasy chłopców lub tańczących dziewcząt.

Rybacy wyciągali z wód sieci pełne ryb. Starych królów oplatały gałęzie życia, na których każdy liść był jednym rokiem ich panowania. W malowanych lasach pasły się malowane zwierzęta, na które czyhały malowane drapieżniki.

pełnych hipopotamów i krokodyli pływały łodzie, a w powietrzu fruwały najrozmaitsze ptaki. Nie było tu czaszek lub martwych kruków - jak w grobach europejskich czy indiańskich - malowidła przedstawiały żyzny, pełen życia i szczęśliwy Egipt, jakże różny od tego, przez jaki teraz podróżowałem.

-To miejsce w tamtych czasach przypominało raj -

stwierdziłem. - Zielone, niezbyt gęsto zaludnione, bogate i o przewidywalnej, spokojnej przyszłości. W tych obrazach nie wyczuwa się strachu przed najezdami wrogów czy tyranią. Jak powiedziała Astiza, wtedy było lepiej niż kiedykolwiek później.

- W najlepszych czasach cały kraj jednoczyła rzeka aż do trzeciej, czwartej katarakty - zgodził się Aszraf. - Egipskie statki dopływały do Asuanu, a karawany zwoziły bogactwa z Nubii, Puntu i ziem Balkis, królowej Saby. Góry dawały złoto i klejnoty. Czarni władcy przywozili kość słoniową i korzenne przyprawy Królowie polowali na lwy na skraju pustyni, Nil zaś co roku przybierał i napełniał pola żyznym mułem, jak czyni to do dziś. Szczytowa fala płynęła w dniu, który wskazał ci ten twój kalendarz, dwudziestego pierwszego października.

Każdego roku kapłani baczenie śledzili gwiazdy i znaki zodiaku, żeby określić optymalną porę na zasiewy i żniwa. Dlatego mierzyli poziom wód Nilu. - Wskazał dłonią niektóre z obrazów. - Tu oto ludzie, nawet najmożniejsi, niosą ofiary do świątyni, żeby zapewnić trwanie świętego cyklu. Wzdłuż Nilu wznoszono piękne świątynie.

- A kapłani przyjmowali te dary?

- Owszem.

- Za wylewy, które i bez tego zdarzały się regularnie i co roku.

Na twarzy Aszrafa pojawił się uśmiech.

- Owszem.

- Taki fach by mi odpowiadał. Przepowiadanie, że po 389

wiośnie nastąpi lato, noc po dniu i tak dalej... a potem tylko zbieraj dowody wdzięczności prostaków.

- Nie wszystko daje się przewidzieć. Bywały lata, gdy przybór Nilu był zbyt niski i Egipt padał ofiarą klęski głodu. W

tych czasach chyba wolałbyś nie być kapłanem.

- Stawiam w zakład swoją rusznicę przeciwko garści piasku, że zawsze znajdowali jakieś wytłumaczenie, a potem żądali podwojenia ofiar. - Sam miałem skłonności do (lenistwa i mogłem sobie wyobrazić, jak skuteczny system wypracowali kapłani. Rozejrzałem się dookoła. - Co głoszą te napisy? -

Wskazałem litery pod sklepieniem. - Nie rozpoznaję języka.

Czy to greka?

- Nie, to koptyjski - wyjaśnił Aszraf. - Legendy mówią, że w tych jaskiniach ukrywali się dawni chrześcijanie prześladowani przez Rzymian. Jesteśmy ostatnimi z długiego łańcucha szukających tu schronienia zbiegów.

Spojrzałem na kolejną ścianę. Zapisano na niej jakieś znaki

- cała seria wyraźnych kresek czy liter w języku, którego żaden z nas nie potrafił odczytać. Niektóre wyglądały dość prosto: jeden znak zastępujący cyfrę 1, trzy zamiast 3, i tak dalej. Było w tych znakach coś znajomego i leżąc na napełniającym jaskinię do połowy piasku, który przesypał się od wejścia, zacząłem rozmyślać nad ich znaczeniem. I nagle mnie olśniło.

Wyjąłem medalion.

-Asz, spójrz na to! Ten mały trójkąt kresek na moim medalionie... one wyglądają jak te znaki na ścianie!

Spojrzał na medalion, a potem na ścianę.

-1 co z tego?

Co z tego? To mogło wszystko zmienić. Jeżeli miałem ra-cję, dolna część medalionu nie przedstawiała piramid, ale liczby! Nosiłem przy sobie coś, co było rodzajem zagadki matematycznej! Naukowcy mogli mieć bzika na punkcie matematyki, ale opłaciło się znosić ich towarzystwo tyle tygodni - zobaczyłem prawidłowość, na którą przedtem nie zwróciłbym uwagi. Co prawda nie mogłem zrozumieć 390

wzoru, według którego zapisano te cyfry - wyglądało na to, że przypadkowo pogrupowano cyfry 1, 2 i 3.

Zrobiłem jednak kolejny krok ku rozwiązaniu zagadki.

Po wielu dniach, przejechawszy wiele mil, dotarliśmy do stromego wapiennego cypla w pobliżu Nag Hammadi, wokół

którego wił się Nil, z zielonymi polami w głębi. Po drugiej stronie rzeki zobaczyliśmy cel, który ścigaliśmy. Wzdłuż Nilu maszerował wolno korpus Desaix'go, trzy tysiące ludzi rozciągnięte w długą kolumnę i dwa działka. Z naszej wysokości widzieliśmy ich jak robaczki na bezkresnym płótnie, pełznące na oślep po warstwie farby olejnej. W tej właśnie chwili zdałem sobie sprawę, na jak

niewykonalną rzecz porwali się Francuzi. Pojąłem wreszcie rozmiary nie tylko Egiptu, ale całej leżącej dalej Afryki, nieskończoną rozległość otwartych przestrzeni, wobec których wysiłki francuskiej dywizji wydawały się bardziej mizerne niż podjęta przez mrówkę próba ujeżdżenia słonia. Jak ta grupka mężczyzn mogła liczyć na pokonanie pustyni, na której wśród ruin dawnych miast kręcili się Beduini na koniach? Cortez w Meksyku porwał się na równe zuchwalstwo, ale on miał przynajmniej cel, którym było serce imperium; nieszczęsny Desaix już zajął serce, a teraz w tej piaskowej dzicy ścigał resztki bezczelnych buntowników.

Jego kłopot nie polegał na tym, żeby ich pobić - pierwszej musiał

ich znaleźć.

Moim zaś problemem było odszukanie wroga, który musiał

być wśród tych żołnierzy, trudność jednak polegała na tym, że dla Francuzów byłem teraz wyjętym spod prawa zbiegiem.

Astiza też była gdzieś tam na dole, ale jak niby miałbym się z nią skontaktować? Moim jedynym sprzymierzeńcem był

mameluk i miałem na sobie arabskie szaty. Teraz, gdy całą dywizję miałem jak na dłoni, nie wiedziałem nawet, od czego zacząć. Miałem przepłynąć rzekę i nadjechać w pełnym galopie, domagając się spra-391

wiedliwości? Może trzeba było spróbować zastrzelić Sila-na zza skały? A jaki w końcu miałem dowód na to, że on w istocie jest moim wrogiem? Nawet gdyby mi się udało, zadyndałbym na stryczku.

- Asz, odkryłem właśnie, że jestem jak pies ścigający wóz z mięsem. Dopadłem go i nie wiem, jak się zabrać do ściągnięcia jakiegoś ochłapu.

-To nie zachowuj się jak pies - poradził mi mame-luk. - O

co tak naprawdę ci chodzi?

- Chcę rozwiązać zagadkę medalionu, odbić swoją kobietę i dokonać zemsty. Ale tak naprawdę nie mam żadnego dowodu na to, że za wszystkim stoi Silano. I nie wiem właściwie, co z nim zrobić. Nie boję się skoczyć mu do oczu. Nie jestem tylko pewien, na co zasłużył. Łatwiej było jechać przez pustynię. Jest pusta i nieskomplikowana.

- A jednak ostatecznie człowiek nie może się bardziej zespolić z pustynią niż łódź z morzem... prześlizgują się tylko po powierzchni. Pustynia to tylko etap przejściowy, nie ostateczne rozwiązanie, mój przyjacielu.

- A teraz zbliżamy się do końca podróży. Czy Silano schroni się pod skrzydłami armii? Czy potraktują mnie jak zbiega? I czy gdzieś tu wokół nie czyha Achmed Bin Sadr?

-A tak, Bin Sadr... Nie widzę jego rzeźników pośród żołnierzy.

Jakby w odpowiedzi na jego wątpliwości usłyszeliśmy głośny trzask od strony pobliskiej skały i po chwili huk wystrzału z działka. Kamienne odłamki fruwały w górę i opadły na piaski.

-Oto mamy odpowiedź, udzieloną nam przez bogów -

stwierdził Aszraf.

Odwrociłem się w siodle. Zza północnych wzgórz, przez które niedawno przejeżdżaliśmy, wyłoniło się kilkunastu jeźdźców w powiewnych arabskich szatach i na wielbłądach.

Ich sylwetki drżały w upalnym powietrzu,

392

ale niewątpliwie jechali ku nam. Przywódca bandy wywijał

czymś, co było zbyt długie na muszkiet, ale mogło być drewnianą laską.

- Bin Sadr, ten wcielony diabeł - mruknąłem. - Jego bandyci wlekli się za Francuzami. A teraz nas zobaczyli.

Aszraf uśmiechnął się drapieżnie. - I jedzie sobie za nami ot tak, bez lęku? Po tym, jak zabił mi brata?

- Dowódcy jazdy musieli odeń zażądać, żeby nas tropił.

-To jego pech! - Mameluk chyba się szykował do ataku.

- Wstrzymaj się, Asz! Nie możemy sami się rzucać na kilkunastu ludzi!

Spojrzał na mnie z naganą w oczach.

- Boisz się kilku kul?

Nad grupą goniących nas Beduinów zakwitło jeszcze kilka dymków i wokół nas wzbiło się kilka obłoczków kurzu.

- Owszem!

Mój towarzysz powoli podniósł rękaw swojej szaty, ukazując dziurkę w płótnie.

- Niewiele brakowało. - Uśmiechnął się szeroko. - Pro ponuję, żebyśmy się stąd wynieśli!

Dźgnęliśmy konie ostrogami i ruszyliśmy galopem, przecinając zbocze na ukos w desperackiej próbie oddalenia się od Nilu i znalezienia jakiejś kryjówki. Nasze konie na krótki dystans mogły prześcignąć każdego wielbłąda, te jednak były znacznie bardziej wytrzymałe. Mogły tydzień obywać się bez wody, a potem pochłaniały taką jej ilość, która zabiłaby każde inne zwierzę. Francuskich ka-

walerzystów łatwo byśmy zgubili. Pustynni rabusie mogli się okazać bardziej natrętni i nieustępliwi.

Śmignęliśmy w boczną dolinkę, gdzie nasze konie z trudem utrzymywały równowagę na osuwających się kamie-393

niach, a potem wypadliśmy na bardziej płaski teren i po-pędziliśmy z wiatrem w zawody, ignorując wrzaski i strzały naszych prześladowców. Nie rezygnowali z pościgu i jechali równym tempem, ciągnąc za sobą pióropusz kurzu.

W ciągu godziny znacznie ich wyprzedziliśmy, ale upał i brak wody zaczęły się w końcu dawać we znaki naszym koniom. Od tygodnia niewiele jadły i piły. Wjechaliśmy na spalone słońcem zbocze i skryliśmy się w cieniu, licząc na zgubienie pościgu, ale nasze konie też wzbijały kopytami tumany kurzu, które znaczyły szlak naszej ucieczki.

- Nie możesz ich jakoś zatrzymać? - zapytał Aszraf.

- Moja rusznica ma z pewnością większy zasięg. Ale przy tej ich szybkości zdołam wystrzelić tylko raz, ponowne nabicie zajmie minutę.

Zatrzymaliśmy się na grani i zdjąłem strzelbę z pleców.

Przez ostatnie trzysta mil jej ramię w gryzł mi się solidnie w ramię, ale jakoś mnie nie kusiło, żeby się pozbyć tego dodającego otuchy ciężaru. Moja rusznica była niewymagająca, ale śmiertelnie groźną dla wrogów towarzyszką podróży.

Oparwszy lufę o siodło, wymierzyłem w Bin Sadra, wiedząc, że jego śmierć może zakończyć pościg. Dzieliło nas z grubsza czterysta metrów. Powietrze było suche, bezwietrzne, Beduin zbliżał się wprost ku mnie... ale żar powodował, że cel drżał, jakbym go widział przez tafelę wody. Przekleństwo! Jak w tych warunkach wziąć drania na muszkę? Wymierzyłem dość wysoko, nacisnąłem spust... a mój koń zachnął się tak, że byłem niemal pewien, iż chybiłem.

A jednak po chwili zobaczyłem, że wielbłąd Bin Sadra wali się w piach.

Trafiłem go czy nie? Ścigający nas Beduini zatrzymali się, tworząc ruchomy krąg, i z wrzaskami wściekłości wypalili ku nam kilka razy, zapomniawszy widać o odległości.

Wskoczyłem na konia i pognaliśmy przed siebie, 394

licząc na to, że zyskamy trochę czasu. Aszraf obejrzał się przez ramię.

- Twój przyjaciel zrzucił z siodła jednego ze swoich lu dzi i sam wdrapuje się na grzbiet wielbłąda. A ten spie szony sadowi się za którymś z kompanów. Teraz jadą już bardziej ostrożnie.

-Ale ten... drań... przeżył. - Zatrzymaliśmy się, żebyśmy mógł

przeładować broń, lecz straciliśmy przez to niemal całą przewagę odległości. Nie zamierzałem się już wdawać w wymianę strzałów, bo dopadliby nas, zanim zdążyłbym ponownie nabić strzelbę. - I

wciąż nas gonią.

- Na to wygląda.

- Asz, nie możemy walczyć z nimi wszystkimi.

- Na to wygląda.

- A co nam zrobią, jak nas złapią?

- Przedtem by nas po prostu zgwałcili i zabili. Ale ty zastrzeliłeś jego wielbłąda, więc sądzę, że nas zgwałcą, rozbiorą do naga, przywiążą do słupków wbitych w skałę, a potem użyją skorpionów, żeby nas podręczyć, zanim na słońcu zdechniemy z pragnienia. Jak będziemy mieli szczęście, najpierw znajdzie nas jakiś wąż.

- Mogłeś mi to powiedzieć, zanim strzeliłem.

- A ty mi mogłeś powiedzieć, że strzelasz do wielbłąda, a nie do człowieka.

Jechaliśmy krętym jarem, mając nadzieję, że nie zakończy się ślepo jak ten, w którym znaleźliśmy wodę. Wąwóz miał

suche, kamieniste dno i wił się jak ślad węża z przetrąconym kręgosłupem. Ale szlak ucieczki był oczywisty, a boki naszych koni zaczynały się pokrywać pianą. Widać było, że wkrótce stracą ostatki sił.

- Wiesz, nie zamierzam oddawać mu medalionu. Nie po tym, co zrobił Talmie i Enochowi. Zakopię go, zjem albo wrzucę w jakąś dziurę - oznajmiłem.

- Nie jechałbym obok ciebie, gdybym sądził, że postąpisz inaczej.

395

Wąwóz kończyło strome rumowisko kamieni, po którym można było dotrzeć do krawędzi. Zeskoczyliśmy z siodła i ruszyliśmy pod górę, ciągnąc nasze wyczerpane wierzchowce.

Ruszyły niechętnie, szarpiąc głowami, podeszły kilka kroków, a potem zaczęły się cofać i wierzgać. Były równie zmęczone i wytrącone z równowagi jak my. Zjechaliśmy w dół po zboczu, a impet wyrywał nam wodze z rąk. Nieważne jak mocno ciągnęliśmy, rezultat był żaden.

- Musimy znaleźć inną drogę! - wrzasnąłem.

- Za późno, jak zawrócimy, wpadniemy na rzeźników Bin Sadra.

Puściliśmy wodze i konie pobiegły ku wylotowi wąwozu, w kierunku nadjeżdżających Arabów.

Utrata koni na pustyni była równoznaczna ze śmiercią.

- Już po nas, Asz.

- Czy bogowie nie dali ci dwu nóg i rozumu, żebyś ich używał? Los nie zawiódł nas tak daleko, żeby nas tu zgubić!

Mój towarzysz zaczął się wspinać po zboczu, nie zwracając uwagi na Beduinów, którzy wypadłszy zza zakrętu, wydali dziki okrzyk radości i natychmiast otworzyli ogień. Uderzające w skały wokół nas kule dodały mi sił, których nie spodziewałem się w sobie znaleźć. Na całe szczęście nasi prześladowcy musieli ponownie nabijać swoje wiekowe strzelby, podczas gdy my pieliśmy się coraz wyżej, a wobec stromego zbocza wielbłądy były równie bezradne jak konie.

Ciężko dysząc, przeleźliśmy przez krawędź i rozejrzeliśmy się dookoła. Otaczała nas pustka, a w zasięgu wzroku nie było żadnej żywej istoty. Podszedłem chwiejnie do krawędzi sąsiedniego jaru...

I zatrzymałem się zdumiony tym, co zobaczyłem.

W płytkim zagłębieniu gruntu zgromadzili się jacyś ludzie.

396

Połykując białkami oczu niczym pole agatów, siedziało tu przynajmniej pięćdziesięciu czarnoskórych - to znaczy byliby czarnoskórzy, gdyby nie pokrywał ich taki sam jak nas wapienny pył. Wszyscy byli nadzy, o ciałach pokrytych wrzodami, nad którymi kłębiły się muchy, i wszystkich - mężczyzn i kobiety - skuto jednym długim łańcuchem. Patrzyli na mnie oczami wytrzeszczonymi ze zdumienia, bo moje nagłe pojawienie się zaskoczyło ich tak samo, jak ich widok zdumiał

mnie. Wokół nich kręciło się kilku Arabów z batami i strzelbami w rękach. Handlarze niewolników!

Nadzorcy kulili się wśród swoich ofiar, niewątpliwie też zaskoczeni odgłosami nagłej a bliskiej strzelaniny. Aszraf zawołał coś do nich po arabsku, oni zaś odpowiedzieli mu pełnymi podniecenia okrzykami.

- Szli wzdłuż Nilu i zobaczyli Francuzów. Ludzie Bonapartego konfiskują takie karawany i uwalniają niewolników.

Skryli się tutaj, żeby przeczekać przejście korpusu Desaix'go.

Usłyszeli strzelaninę i wpadli w panikę.

- Co teraz zrobimy?

Zamiast odpowiedzieć, Aszraf uniósł swój muszkiet i bez słowa strzelił w pierś przywódcy handlarzy. Ten zwałił się na ziemię, wytrzeszczywszy oczy z bezbrzeżnego zdumienia, ale zanim zdążył upaść, mameluk dwakroć jeszcze dał ognia ze swoich pistoletów, trafiając przewodnika w twarz, a innego z drabów w ramię.

- Walcz! - krzyknął do mnie mój towarzysz.

Czwarty z handlarzy porwał się do szabli, więc zastrzeliłem go niemal bezwiednie, Aszraf tymczasem wyciągnął szablę i runął do ataku. W ciągu kilku następnych sekund ranił

czwartego, zabił piątego, a szósty wiał ile sił w nogach, gnając tam, skąd przyszli.

Gwałtowność i zajadłość mojego towarzysza mocno mnie zdumiała.

Mameluk podszedł do herszta, otarł klingę o szaty tru-397

pa i przeszukał ciało. Po chwili wyprostował się, trzymając pęk kluczy.

- Ci handlarze niewolników to robactwo - wyjaś nił. - Nie zdobywają jeńców w bitwach, kupują ich za gro szowe błyskotki i bogacą się na ich nieszczęściu. Zasłużyli na śmierć. Nabij broń, podczas gdy ja zajmę się uwalnia niem tych biedaków.

Czarni zaczęli krzyczeć i miotać się tak, że podnieceni odmianą losu poplątali swoje łańcuchy. Asz znalazł kilku mówiących po arabsku i ostrym głosem wydał im rozkazy.

Kiwnęli głowami i zawołali coś do swoich towarzyszy. Ci uspokoili się na tyle, że dalsze rozkuwanie przebiegło już bez przeszkód, a potem na rozkaz Aszrafa wzięli do rąk nabite tymczasem

przeze

mnie

strzelby

swoich

martwych

ciemięzców.

-Teraz mamy własną niewielką armię - uśmiechnął się do mnie Aszraf. - Powiedziałem ci, że wszystko jest w rękach bogów, którzy wiedzą, co czynią. - Kiwnąwszy ręką, poprowadził naszych nowych sprzymierzeńców do krawędzi pierwszego wąwozu. Ścigający nas Beduini musieli zatrzymać się na krótko, usłyszawszy odgłosy naszej gwałtownej, acz zwycięskiej potyczki, teraz jednak podjęli wspinaczkę, ciągnąc za sobą opierające się wielbłądy. Asz i ja stanęliśmy na krawędzi, tak żeby tamci nas zobaczyli. Beduini wydali okrzyk radości, jakby dostrzegli rannego jelenia. Na tle bladego nieba widzieli tylko nas dwu.

- Oddaj medalion, a obdaruję cię zdrowiem! - wrzasnął po francusku Bin Sadr.

- Akurat ci uwierzę - mruknąłem pod nosem.

- Sam poproś o litość albo cię spalę, jak ty spaliłeś mojego brata! - odkrzyknął Aszraf.

A potem obok nas na krawędzi wąwozu pojawiło się pięćdziesięciu uwolnionych czarnoskórych. Arabowie zatrzymali się zdumieni, nie bardzo pojmując, jak to się stało, że wleźli w pułapkę. Asz szczeknął krótki rozkaz i czarni 398

wydali dziki okrzyk wojenny W powietrzu śmignęły kamienie, a nad głowami naszych sprzymierzeńców zawirowały ciężkie łańcuchy. Jednocześnie zagrzmiały strzelby -moja i Aszrafa - i Bin Sadr z jednym ze swoich kompanów padli w piach. Zaraz potem zagrzmiała salwa muszkietów, które czarni odebrali pozabijanym łowcom niewolników. Smagani deszczem kamieni i żelaza, wrzeszczący przeraźliwie Beduini runęli w dół, koziołkując bezradnie obok swoich ryczących wielbłądów.

Chaosu dopełniła lawina kamieni, które ciskali upojeni możliwością zemsty Czarni. Podczas tego bezładnego odwrotu wrogów zabiliśmy i zraniliśmy jeszcze kilku, a gdy pozostali zebrali się w kupę na dnie kanionu, popatrzyli na nas jak zagonione psy. Bin Sadr trzymał się za ramię.

- Ten wąż ma diabelskie szczęście - warknąłem. - Chy ba go tylko zraniłem.

-Módlmy się zatem, żeby dostał gangreny - rzekł Aszraf, unosząc wzrok ku niebu.

- Gage! - wrzasnął Bin Sadr po francusku. - Oddaj mi medalion! Nie masz nawet pojęcia, co z nim zrobić!

- Przekaż swojemu panu moje życzenia! Niech go piekło pochłonie! - odkrzyknąłem. Nasze słowa echem odbiły się od ścian wąwozu.

- Oddamy ci kobietę!

- Powiedz Silanowi, że niedługo sam po nią przyjdę!

Echa zamarły w oddali. Arabowie wciąż mieli więcej strzelb niż my, a ja nie miałem ochoty na prowadzenie nie-dawnych niewolników do walki o niepewnym wyniku. Bin Sadr też niewątpliwie obliczał szanse. Po dość długim namyśle wsiadł nie bez trudu na swego wielbłąda. Jego kompani zrobili to samo.

Ruszył powoli ku wylotowi wąwozu, ale nagle zatrzymał

się i odwrócił ku nam.

- Chcę, żebyś wiedział - krzyknął - że twój przyjaciel Talma kwiczał jak zarzynana świnia, zanim umarł!

399

Słowo „umarł” odbijało się jeszcze przez chwilę od ska-listych ścian.

Był już poza zasięgiem strzału, ale wciąż dobrze go widziałem. W porywie naglej wściekłości strzeliłem za nim i kula wzbija kłęb kurzu o jakieś sto metrów za nim. Ryknął gromkim śmiechem, który przez chwilę jeszcze trwał wśród skał, a potem wespół ze swymi rzeźnikami odwrócił się i odjechał

tam, skąd przybył.

- Ty też zawyjesz - mruknąłem. - Jak Bóg na niebie, zawyjesz.

Ponieważ straciliśmy nasze konie, wzięliśmy dwa wielbłądy handlarzy niewolników, oddając pozostałe cztery uwolnionym Czarnym. Mieli dość żywności na początek przynajmniej długiej wędrówki do ojczystych krain, oddaliśmy im też zdobyte muszkiety, żeby mogli polować, a w razie potrzeby obronić się przed innymi łapaczami niewolników, którzy chcieliby ich ponownie pojmać. Pokazaliśmy im, jak się nabija i strzela, a oni z ochotą przyjmowali nasz instruktaż. Potem padli na kolana, dziękując nam tak gorąco, że w końcu musieliśmy przegnać ich niemal siłą. Aszraf dał im szkie drogi wśród wzgórz, która miała trzymać ich daleko od Nilu, przynajmniej

do

pierwszej

katarakty.

A potem się

rozdzieliliśmy.

Po raz pierwszy w życiu dosiadłem wielbłąda, który był

hałaśliwą, brzydką bestią o sierści pełnej pcheł i innego robactwa. A jednak był niezłe ułożony i względnie spokojny, obleczony w barwną i ozdobną uprząż. Pod baczny okiem Asza, kierując się jego wskazówkami, wdrapałem się na grzbiet siedzącego zwierzęcia, a potem pochyliłem ku przodowi, gdy mój wierzchowiec wstawał. Po kilku okrzykach „Hut! Hut!

Hut!" ruszył w ślad za wielbłądem Aszrafa. Trochę trwało, nim się przyzwyczailem do kołyszącego kroku zwierzęcia, ale w sumie nie okazało się to nieprzyjemne. Czułem się jak w łodzi na morzu. Pewnie

400

nieprędko znajdę sobie konia, a musiałem dotrzeć do francuskiego korpusu przed Bin Sadrem. Podążaliśmy wzdłuż grzbietu aż do przeprawy promowej, a potem zjechaliśmy w dół, żeby się przedostać na drugi brzeg Nilu, gdzie mogłem liczyć na spotkanie z wojskami Desaix'go.

Na drugim brzegu natknęliśmy się na udeptany szlak znaczący przejście Francuzów, przejechaliśmy przez gaj bananowców, aż wreszcie znów zapuściliśmy się na pustynię, zmierzając ku łańcuchowi niskich pagórków na zachodzie, żeby okrążyć prawą flankę maszerującej w górę Nilu armii.

Wczesnym popołudniem ponownie dostrześliśmy kolumnę, rozbijającą w cieniu palm obóz nad ciemnym nurtem Nilu.

- Jeżeli teraz ruszymy ku nim, dotrzemy do nich przed zachodem słońca - stwierdziłem.

- Dobry plan. Niech ci się szczęści, przyjacielu.

- Co takiego?

- Zrobiłem swoje, uwalniając cię z więzienia i dostarczając aż tu, prawda?

-Zrobiłeś więcej, niż należało. Jestem twoim dłużnikiem.

- A ja twoim, boś mnie obdarzył wolnością, zaufaniem i przyjaźnią. Nie powinienem był cię winić o śmierć mojego brata. Zło się dzieje bez naszego udziału i ktoś może powiedzieć dlaczego? Od początków czasu dwie siły walczą o władzę nad tym światem. Dobro musi walczyć ze złem, a ta nieustanna walka decyduje o naszych losach. My też bierzemy w niej udział, ale każdy na swój sposób, ponieważ teraz muszę odszukać swoich.

- Jakich twoich?

-Bin Sadr ma zbyt wielu ludzi, żebym uderzył na nich samotnie. Nadal jestem mamelukiem, przybyszu z Ameryki, a gdzieś na tej pustyni są jeszcze zbiegowie z armii Murad Beja.

Gdyby Francuzi nie przybyli do naszego kraju, mój brat Enoch żyłby jeszcze i obawiam się,

401

że wielu jeszcze zginie, zanim obcy zostaną stąd przepędzeni.

- Ależ Aszrafie, ja też należę do tej armii!

- Nie. Nie jesteś Francuzem bardziej niż mamelukiem.

Jesteś obcy w tym kraju, przybyszu zza oceanu, ale przysłali cię tu bogowie. Nie mam pewności, jaką rolę masz do odegrania, ale czuję, że powinienem zostawić cię własnemu losowi i że przyszłość Egiptu zawisła na haku twojej odwagi.

Idź więc po swoją kobietę i uczyn to, czego żądają od ciebie jej bogowie.

- Nie! Nie jesteśmy tylko sprzymierzeńcami. Zawarliśmy przyjaźń, czy nie tak? Zbyt wielu już przyjaciół straciłem.

Aszrafie, potrzebuję twojej pomocy! Pomścij Enocha razem ze mną!

- Zemsta nadejdzie o czasie wybranym przez bogów. Gdyby tak nie było, Bin Sadr zginąłby dzisiaj, bo ty rzadko chybiasz.

Podejrzewam, że czeka go inny los, być może gorszy od śmierci. Ty zresztą musisz dotrzeć do tego, czego tu szuka hrabia Silano. Musisz dopełnić swego przeznaczenia.

Cokolwiek się zdarzy na polach bitew, nie zerwie to więzów, jakie zadzierzgnęliśmy podczas wielu minionych dni. Odejdź w pokoju, przyjacielu, i obyś znalazł to, czego szukasz.

Po tych słowach on i jego wielbłąd zniknęli mi z oczu w promieniach zachodzącego słońca, a ja - samotny bardziej niż kiedykolwiek przedtem - ruszyłem na poszukiwania Astizy.

ROZDZIAŁ 20

Wiedziałem, że wjechanie galopem w szeregi francuskiej dywizji Desaix'go i domaganie się wydania Silana zakończyć się może jedynie zamknięciem mnie w areszcie. Brakło mi sił, miałem jednak nad hrabią pewną przewagę - medalion.

Doszedłem do wniosku, że będzie lepiej, jak Silano przyjdzie do mnie.

Pod wieczór zbliżyłem się z podniesionymi ramionami do obozowiska wartowników. Kilku sięgnęło po muszkiety, wiedząc z doświadczenia, że każdego zbliżającego się Egipcjanina należy traktować podejrzliwie. Zbyt wielu ufnych Francuzów zginęło już w tej coraz bardziej okrutnej wojnie.

Zagrałem *va banque*, licząc na to, że wieści o mojej ucieczce z Kairu jeszcze tu nie dotarły.

- Nie strzelajcie! Jestem Amerykaninem zwerbowanym do pracy w grupie uczonych Bertholleta! Przesłał mnie tu Bonaparte, żeby badał sekrety starożytnych!

Dalej patrzyli na mnie podejrzliwie.

- A czemuż to jesteś ubrany jak tubylec, przyjacielu?

- A jak myślicie, czy bez eskorty udałoby mi się zachować życie, gdybym się nie przebrał?

- Sam przyjechałeś tu z Kairu? Jesteś chyba szalony!

- Płynąłem łodzią, ale nadzialiśmy się na skałę, a mnie się spieszy. Mam nadzieję, że znajdę tu jakieś ruiny?

- Poznają tego mężczyznę - odezwał się jeden z wartowników, spluwając sążnięcie. - To ten od Franklina.

403

- Z pewnością cieszy was, panowie, okazja do badania starożytności - stwierdziłem z entuzjazmem w głosie.

- Na razie nieustannie nęka nas Murad Bej, zawsze oddalony o kilka mil. Bijemy go. Wygrywamy następną potyczkę. I następną. Za każdym razem ucieka, ale wraca. I za każdym razem kilku z nas tu

zostaje, żeby już nigdy nie ujrzeć brzegów Francji. A teraz czekamy wśród ruin, a on nieuchwytny jak miraż ucieka coraz głębiej w ten przeklęty kraj.

- Jeśli w ogóle zdołasz zobaczyć miraż - przyłączył się do narzekań drugi wojak. - Tysiące ludzi ma oczy zaro-piałe od słońca i piaskowego kurzu, a setki wloką się na oślep. To jest gra w durnia. Jesteście gotowi do walki? Tak, tu stoją nasi ślepi strzelcy!

- Ślepotą? - odezwał się trzeci. - Od Kairu aż po te wydmy sram codziennie dwa razy więcej, niż ważę. Nie goją mi się czyraki. Na oparzeniach słonecznych robią się bąble. Są nawet przypadki zarazy. Nie ma takiego, kto w tym marszu nie stracił

przynajmniej kilku kilogramów wagi.

- A wszyscy tak się już napalili, że gotowi są wypie-przyć szczura albo osła!

Wszyscy żołnierze lubią narzekać, ale widać było, że rozczarowanie spodziewanymi urokami Egiptu jest coraz głębsze.

- Może Murad lada chwila się podda? - rzekłem na ich pociechę.

- To spróbuj go o tym przekonać.

Poklepałem moją strzelbę.

- Przyjaciele, bywały czasy, kiedy **moja lufa grzała się** tak samo jak wasze.

Teraz zaczęli okazywać ciekawość.

- Czy to ta amerykańska rusznica? Słyszałem, że możesz z niej zabić czerwonoskórego na tysiąc kroków!

- Niezupełnie... ale jak masz tylko jeden strzał, to możesz na niej polegać. Ostatnio zabiłem wielbłąda z odle-404

głości czterystu kroków. - Nie uznałem za potrzebne uściślać, w co celowałem.

Stłoczyli się wokół mnie. Mężczyźni uwielbiają dobrą broń, a moja długa rusznica była klejnotem wśród ich re-gulaminowych muszkietów.

- Dziś moja lufa jest zimna, bo mam inne zadanie, choć nie mniej ważne. Muszę się naradzić z hrabią Alessandrem Silano.

Wiecie panowie, gdzie go znajdę?

- Myślę, że w świątyni, jak zwykle - stwierdził sierżant. -

On chyba chciałby tam zamieszkać na stałe.

- W świątyni?

- Po drugiej stronie rzeki, za wioską zwaną Dendera.

Zatrzymaliśmy się, żeby Denon mógł zrobić więcej rysunków, Malraux pomierzyć więcej kamieni, a Silano wymamrotać kolejne zaklęcia. Cyrk wariatów. No, ale przynajmniej Silano ma kobietę.

- Kobietę? - starałem się ukryć podniecenie w moim głosie.

- A, owszem - potwierdził szeregowiec. - Raz mi się przyśniła. - Uśmiechając się szeroko, kilkakrotnie poruszył w górę i w dół zaciśniętą pięścią.

Powstrzymałem nagłą chęć rozwalenia mu głowy kolbą mojej rusznicy.

- To którą do tej świątyni?

- Pojedziecie tam, panie, ubrani jak bandyta?

- Myślałem, że wyglądam jak szejk.

Parsknęli śmiechem. Wskazali mi drogę i zaproponowali eskortę, ale odmówiłem.

-Muszę się naradzić z hrabią sam. Jeżeli nie ma go wśród tych ruin, a wy się na niego natkniecie, przekazcie mu wiadomość. Powiedzcie mu, że to, czego szuka, może znaleźć o północy.

Założyłem, że Silano nie każe mnie aresztować. Najpierw pozwoli mi znaleźć to, czego obaj szukamy, a potem wymieni tę rzecz na Astizę.

405

W świetle księżyca i gwiazd świątynia lśniła bielą -ogromna budowla o dachu wspartym na kolumnach. Wraz z przyległymi świątyniami otaczał ją ceglany mur zamykający powierzchnię co najmniej jednego kilometra kwadratowego. Pierwotna brama wystawała na poły zasypana z piasku, ale prześwit był

dość wysoki, żeby mógł przez nią przejść wyprostowany człowiek. Pokrywały ją wizerunki egipskich bogów, hieroglify i płaskorzeźby uskrzydłonego Słońca z węzami po obu stronach. Zanikający już księżyc rzucał bladą poświatę na piaski gładkie jak skóra egipskiej kobiety, zmysłowej i pięknie zbudowanej. Zobaczyłem udo, nieco wyżej zarys biodra i zwalony obelisk zaznaczający szczyt piersi...

Za długo już chyba nie widziałem Astizy...

Główna budowla miała płaską fasadę z sześcioma potężnymi kolumnami, które wyrastały wprost z piasku i podtrzymywały kamienny dach. Każda zwieńczona była zniszczonym wiatrami obliczem bogini o szerokiej twarzy, a właściwie czterema obliczami; z każdej kolumny patrzyła w cztery strony świata ta sama twarz o długich, krowich uszach pod egipskim nakryciem głowy. Hathor uśmiechała

się poczwórnymi pełnymi, szerokimi wargami, a jej wielkie oczy patrzyły z krowim spokojem. Odnotowałem w pamięci, że nakrycia głów pokryte były spłociwymi już farbami, co świadczyło o tym, że całość była niegdyś kolorowa. Świątynia od dawna świeciła pustkami, o czym świadczyły piaskowe wydmy, nawiewane tu przez tysiąclecia. Fronton wyglądał jak chłostany falami falochron starego portu.

Rozejrzałem się dookoła, ale nikogo nie zobaczyłem.

Miałem moją rusznicę, tomahawk i żadnego planu. Mogłem tylko liczyć na to, że w tej świątyni znajdę - być może - łaskę Mina, mnie znajdzie tu Silano, a ja zobaczę go, zanim on zobaczy mnie.

Zsunąłem się po zboczu diuny i przeszedłem przez 406

główne wejście. Wewnątrz nagromadziło się tyle piasku, że znalazłem się prawie pod sufitem. Zapaliwszy świecę, którą dali mi spotkani niedawno Francuzi, zobaczyłem sklepienie pomalowane na niebiesko i pokryte pięcioramiennymi gwiazdami. Pomyślałem, że wyglądają jak rozgwiazdy, lub głowy, ramiona i nogi ludzi, którzy zajęli miejsca na nocnym nieboskłonie. Był tam także szereg sępów i uskrzydlonych słońc, ozdobionych czerwienią, złotem i błękitem. Rzadko patrzymy w górę, a jednak całe to sklepienie było udekorowane nie gorzej od Kaplicy Sykstyńskiej. Wchodząc głębiej, zsuwałem się coraz niżej, bo obniżał się poziom piasku, aż wreszcie zacząłem pojmować, jak naprawdę wysokie były zewnętrzne kolumny. Wnętrze było jakby lasem wysokich drzew, o pniach mozolnie pokrytych rzeźbionymi barwnymi symbolami.

Przeszedłem

pomiędzy

osiemnastoma

gigantycznymi kolumnami, z których każdą zwieńczały oblicza bogini. Wszystkie kolumny były nieznacznie pękate. Na jednej widniał rząd symbolizujących życie krzyżów ankh. Dalej rząd sztywnych egipskich figurek przynoszących ofiary bogom.

Były też niepojęte egipskie hieroglify, wiele z nich zamknięto w owale, tworząc coś, co Francuzi nazwali kartuszami. I na dokładkę rzeźbione ptaki, węże, liście palmy i kroczące dumnie zwierzęta.

Na przeciwległym krańcu sali sklepienie było jeszcze bardziej ozdobne: wymalowano na nim znaki zodiaku. Wokół

nich, rozciągnięta jak elastyczny pas, wiła się sylwetka nagiej kobiety - odgadłem w niej boginię nieba. W sumie jednak wrażenie było zaskakujące i przytłaczające - zgromadzono tu tylu bogów i tyle znaków, że czułem się, jakbym stał pod starożytną gazetą. Byłem jak głuchy w operze.

Spojrzałem w dół, na piasek, ale nie dostrzegłem żadnych śladów Silana.

Na drugim krańcu świątyni zobaczyłem wejście do ko-407

lejnego korytarza, równie wysokiego, ale nie tak ostentacyjnie zdobionego. Tworzył go rząd sal, z których każda miała bogato zdobione ściany i sklepienie, ale od tysiącleci stały puste, a ich przeznaczenia nie umiałbym się domyślić. Za pierwszą był

dość wysoki stopień do następnej, a za nią kolejne sale, każda mniejsza od poprzedniej. W odróżnieniu od świątyń chrześcijańskich, w których wąskie wejścia prowadziły do rozległych naw, egipskie zdawały się zmniejszać, w miarę jak wchodziło się w głąb. Każde następne pomieszczenie było bardziej święte od poprzedniego i bardziej mroczne, promienie światła docierały tu tylko podczas kilku określonych dni w roku.

Czy to może było związane z tą październikową datą?

Ozdoby i dekoracje były tak wspaniałe i niezwykłe, że na pewien czas zapomniałem o swojej misji. W migotliwym świetle świecy widziałem wizerunki węży i kwiatów lotosu, unoszących się na niebie łodzi i dzikich, rozjuszonych lwów.

Były tu też pawiany i hipopotamy, krokodyle i jakieś ptaki o długich szyjach oraz szeregi ludzi przynoszących dary w uroczystych procesjach. Kobiety podsuwały piersi, jakby dawały samo życie. W bocznych niszach stały bóstwa o władczych, a jednak pełnych zrozumienia i współczucia postawach. Ta mieszanina zwierząt i bogów o zwierzęcych głowach wydawała się surowa i bałwochwalcza, ale dopiero teraz zrozumiałem, o ile bliżsi byli Egipcjanie swoim bogom niż my naszym. Nasi bogowie królowali w niebiosach, byli dalecy i nie z tego świata, podczas gdy Egipcjanie widzieli Tota w każdym ibisie, który kroczył po stawie. Każdy lot sokoła ukazywał im Horusa. Mogli opowiadać o rozmowie z płonącym krzakiem, a ich sąsiedzi przyjmowali tę opowieść w sposób naturalny i bez sprzeciwu.

Wciąż nigdzie nie widziałem Silana ani Astizy. Czyżby żołnierze wskazali mi zły kierunek? A może wpadłem w pułapkę? W pewnej chwili wydawało mi się, że słyszę 408

jakieś kroki, ale gdy nastawiłem ucha, przekonałem się, że to złudzenie. Znalazłem jakieś schody i ruszyłem w górę krętym jak lot sokoła przejściem. Na ścianach widziałem procesje ludzi z darami. Tam, na górze, musiały się odbywać jakieś ceremonie. Wyszedłem na dach świątyni otoczony niskim parapetem. Wciąż niepewny, czego szukam, błądziłem pomiędzy niewielkimi sanktuariami umieszczonymi na tym tarasie. W jednym z nich kilka niewielkich kolumn zwieńczonych wizerunkami Hathor tworzyło ni-by-altankę podobną do tych, na jakie mogłem się natknąć w którymś z paryskich parków. W północno-zachodnim rogu były drzwi wiodące do niewielkiego sanktuarium składającego się z dwu pomieszczeń. W wewnętrznym znalazłem relief ukazujący faraona czy boga wstającego z martwych w dwojaki sposób: jego fallus sterczał zwycięsko w górę. Przypomniał mi się ten Min, bóg męskiej erekcji. Czy nie była to legenda o Izydzie i Ozyrysie, którą mi opowiedziano, gdy płynąłem do Egiptu?

Nad zmartwychwstałym unosił się sokół. Ale mój biedny umysł nie podsuwał mi żadnych wskazówek.

Wróciwszy do zewnętrznej sali, poczułem jednak dreszcz podniecenia. Na sklepieniu zobaczyłem dwie nagie kobiety, które stały po obu stronach szczególnego okrągłego reliefu pełnego rozmaitych

figur. Przyjrzawszy mu się uważniej, doszedłem do wniosku, że musi to być wizerunek świętych niebios. Cztery boginie i osiem przedstawień Horusa o sokolej głowie - czy nie symbolizowało to dwunastu miesięcy? -

podtrzymywało okrągły dysk symbolicznych niebios, namalowany spłowiałymi już farbami błękitną i żółtą.

Zobaczyłem też znaki zodiaku, nie za bardzo różniące się od tych, jakie znamy dzisiaj: Byka, Lwa, Raka i bliźniacze Ryby.

Na obwodzie dostrzegłem procesję trzydziestu sześciu figurek ludzkich i zwierzęcych. Czyżby były to egipskie i francuskie dziesięciodniowe tygodnie?

409

Przechyliłem głowę, usiłując coś z tego zrozumieć. Na północnej osi świątyni znajdowała się figura Horusa, sokoła, który zdawał się być kotwicą dla wszystkiego. Na Wschodzie był Taurus, Byk, znak wieku, w którym budowano piramidy.

Na południu było stworzenie na poły rybie, na poły kozie, a nieopodal człowiek wylewający wodę z dzbana - Wodnik! Był

to znak przyszłego wieku, który miał nastąpić po wielu stuleciach, i symbol życiodajnego wylewu Nilu. Wodnik, jak symbol wody na moim medalionie, i Wodnik, jak znak na kalendarzu z *U Orientu*, który - jak wywnioskowałem -

wskazywał datę 21 października.

Krąg na sklepieniu przypominał mi kompas. Wodnik był na jego południowym zachodzie.

Zatrzymałem się, usiłując się zorientować w swoim po-

łożeniu. Ku parapetowi z tyłu świątyni wiodły kamienne schodki, więc wspiałem się na niego, żeby się rozejrzeć. Na południowym zachodzie usytuowana była kolejna świątynia, jeszcze bardziej zniszczona przez czas niż ta, w której się znajdowałem. Enoch powiedział, że na południu jest mała świątynia Izydy, a w niej być może tajemnicza laska Mina. Za nią przez zewnętrzny mur graniczny przesypywały się piaski i w świetle gwiazd srebrzyły odległe wzgórza.

Poczułem na piersi ciężar medalionu. Czy tam znajdę jego dopełnienie?

Kolejnymi schodami zszedłem na parter. W przeciwieństwie do krętej spirali poprzednich wiodły prosto w dół, jak nurkujący lot sokoła. Ludzie z darami szli w tym samym kierunku. Ponownie znalazłem się w nawie głównej, ale przy drzwiach, które otwierały się na zewnętrzne piaski.

Rozejrzałem się dookoła. Nade mną wisiała ściana główna, z której niczym gargulce patrzyły na mnie głowy lwów.

Z gotową do strzału strzelbą ruszyłem ku mniejszej 410

świątyni, którą zobaczyłem z góry. Na prawo, wokół ruin świętej sadzawki, rosły palmy. Spróbowałem wyobrazić sobie, jak to miejsce musiało wyglądać za dawnych czasów, otoczone wydmami, z brukowanymi gładko alejkami wijącymi się wśród pięknych ogrodów i lśniącym jeziorem, w którym kąpali się kapłani. Cóż to musiała być za oaza! Teraz wszędzie widziałem ruiny. Na tyłach świątyni skręciłem za róg i od razu przystanąłem.

Na

ścianie

zobaczyłem

gigantyczne

plaskorzeźby, wysokie na dziewięć metrów. Jakiś król i królowa - nakrycia ich głów na to wskazywały - składali ofiarę piersiastej bogini, być może Hathor lub Izydzie. Królowa była szczupłą, stylowo ubraną kobietą z wysokim diademem na głowie, o nagich ramionach i długich, smukłych nogach. Miała piękną perukę, a na czole złotą tiarę w kształcie kobry.

- Kleopatra! - westchnąłem.

Enoch miał rację. Umieszczono ją naprzeciwko wzniesionej przez nią małej świątyni Izidy, stojącej w odległości około dwudziestu metrów na południe od głównego budynku.

Rozejrzałem się dookoła. W okolicy nigdzie nie widziałem żywej istoty. A jednak wyczuwałem tu pewne napięcie, jakby samo miejsce na coś czekało. Na co?

Świątynię Izidy zbudowano na podwyższonym tarasie, a główną budowlę pomiędzy nią i rzeźbą Kleopatry pokrywały hałdy piasku. Połowa mniejszej świątyni była otoczona wysokimi ścianami, jak większe sanktuarium Hathor, które właśnie opuściłem. Druga połowa była otwarta i zrujnowana -

mroczna masa kolumn i kamiennych belek leżąca pod otwartym niebem. Wspiąłem się po kamieniach ku części okolonej ścianami.

- Silano?

Odpowiedziało mi tylko echo.

Wszedłem do środka niezbyt pewnym krokiem. Było tu bardzo ciemno - jedyne światło padało od drzwi i dwu wysoko pod sklepieniem umieszczonych otworów, przez 411

które z trudem by się przecisnął gołąb. Pomieszczenie było wyższe niż jego długość i szerokość, pachniało tu dość kwaśno i człowiek czuł się w nim nieswojo. Zrobiłem kolejny krok.

Nagle usłyszałem łopot skrzydeł i instynktownie się uchyliłem. Owionął mnie ciepły wiatr, gasząc

moją świecę.

Obok mnie z przeraźliwym piskiem przeleciało kilka nietoperzy, muskając mój skalp skórzastymi skrzydłami. Gdy wyleciały na zewnątrz, drżącymi dłońmi skrzesalem ognia i ponownie zapaliłem świecę.

I tu ściany pokryte były rzeźbami i śladami starych farb.

Dominowała kobieta, którą uznałem za Izydę. Ale nie ujrzałem Mina ani jego laski, ani czegokolwiek innego. Czyżbym był na błędnym tropie? Nieustannie dokonywałem wyborów, idąc za wskazówkami, jakimi nie kierowałyby się żaden rozsądny mężczyzna. Co niby miałem tu zobaczyć?

W końcu zauważyłem, że pomieszczenie było znacznie mniejsze niż obwód całej świątyni. Musiała tu być jeszcze jedna komnata. Cofnąwszy się do kamiennego progu, spostrzegłem drugie drzwi i wysoką komnatę, jeszcze węższą niż pierwsza i równie przytłaczającą. Ta jednak miała kamienny stół podobny do ołtarza. Podwyższenie rozmiarów niewielkiego stolika do pisania stało dokładnie pośrodku komnaty. Było proste i niczym szczególnym się nie wyróżniało; nie zwróciłbym na nie uwagi, gdyby nie osobliwy przypadek. Gdy pochylałem się nad nim, łańcuszek na mojej szyi się poluzował i pękł, zaczepiając o narożnik. Medalion spadł na podłogę, uderzając o nią z cichym szcęknięciem. Coś takiego nie wydarzyło się nigdy przedtem. Zakląłem, ale gdy się schyliłem, żeby go podnieść, ujrzałem coś, co mnie zdumiało.

Na posadzce wyryte były dwie przecinające się litery V, jak cyrkiel i kwadrat. Nakreślono je w egipskim, geometrycznym stylu, ale podobieństwo było oczywiste.

412

- Na Wielkiego Architekta! - mruknąłem. - Czy to być może?

Przypomniałem sobie słowa Enocha: „Przez kryptę do nieba”.

Ponownie zawiązałem medalion na szyi i wstąpiłem na kamienną płytę. Lekko drgnęła. Pod spodem była jakaś pustka.

Ogromnie podniecony ukląknęłam, odłożyłem rusznicę i podważyłem płytę ostrzem mego tomahawka, aż zdołałem ją uchwycić dłońią. Uniosła się niczym ciężka kłapa, uwalniając podmuch zionącego pleśnią powietrza, co oznaczało, że nikt od dawna jej nie podnosił. Trzymając świecę nad głową, pochyliłem się nad odsłoniętym otworem. W dole ujrzałem kamienne płyty posadzki. Czyżby to był skarbiec? Na chwilę odłożyłem strzelbę i opuściwszy pierwszej stopy, zeskoczyłem jak kot z wysokości trzech metrów. Serce waliło mi niczym młot. Spojrzałem w górę. Gdyby Silano mnie śledził, łatwo mógłby zasunąć za mną płytę. A może czekał, aż coś znajdzie?

Wąski korytarz wiódł w dwie strony.

Na jego ścianach było mnóstwo płaskorzeźb. Na sklepieniu umieszczono pięcioramiennie gwiazdy. Ściany zapelniali bogowie, boginie, sokoły, sępy i unoszące się na ogonach węże

- ten motyw wciąż się powtarzał. Pierwszy korytarz kończył się mniej więcej po sześciu metrach stołem glinianych amfor, ale w tych zakurzonych dzbanach nic wartościowego chyba nie było. Żeby się upewnić, rozbiłem jeden tomahawkim. Gdy pękł, uniosłem świecę.

I odskoczyłem jak oparzony. Z wnętrza amfory patrzyła na mnie mumia pawiana. Wyschnięta skóra, wielkie oczy i szczęki pełne zębów. Co, u licha?

Rozbiłem kolejną amforę i też znalazłem w niej pawiana.

Przypomniałem sobie, że to jeszcze jeden symbol boga Tota.

Były to więc osobliwe katakumby pełne dziwacznych zwierzęcych mumii. Ofiary? Uniosłem świecę ku sklepie-413

niu tak wysoko, jak tylko mogłem sięgnąć. Zobaczyłem złożone jedno na drugich amfory. W ciemnościach coś tam się ruszało - pewnie jakieś robactwo.

Odwróciłem się i poszedłem w drugi koniec korytarza.

Uparłem się, żeby znaleźć kryptę, która - jeżeli Enoch miał

rację - gdzieś tu musiała być. Świeca była już coraz krótsza. I wtedy zobaczyłem jakiś ruch... coś jeszcze przemknęło po podłodze.

Przyjrzałem się śladowi, korzystając z mizernego blasku mojej świecy. Na pokrytej pyłem posadzce zobaczyłem ślad węża i szczelinę, w którą prawdopodobnie wpełznął. Oblał

mnie zimny pot. Czy i tu był Bin Sadr? Ki diabeł mnie podkusił, żeby zostawić strzelbę na górze?

A potem zobaczyłem błysk złota.

Drugi tunel też się kończył, ale nie było tu żadnych amfor, tylko płaskorzeźba ze znajomym już wizerunkiem Mina i jego niesłychanego

fallusa,

którym

prawdopodobnie

tak

zafascynował zmysłową Kleopatę. Bóg był sztywny, a jego uniesiony członek lśnił zaskakująco jasno.

Min nie był ozdobiony farbami, ale złotem. Jego męskość zaznaczały dwie złote sztabki połączone na końcu zawiasem.

Obsceniczny symbol oznaczał jednocześnie narząd życia. Ktoś nie znający sekretu medalionu uznałby zapewne, że złote sztabki są zwykłą dekoracją.

Sądzę jednak, że myśli Kleopatry biegły innym torem.

Może zabierając medalion do Rzymu, zostawiła to narzędzie w Egipcie, żeby się upewnić, że sekret pozostanie w jej rodzinnym kraju. Wyłuskałem z kamienia złoty członek i otworzyłem zawias. Teraz złote sztabki utworzyły literę V.

Wyjąłem medalion, rozwarłem jego ramiona i przyłożyłem do nich te nowe V. Kiedy złożyłem wszystko w znany mi już symbol wolnomularzy, cyrkiel skrzyżowany z kwadratem, znaki na ramionach medalionu jakby się zatrzasnęły. W

rezultacie powstał romb z wystającymi ramionami, wiszący pod dyskiem medalionu, oczywiście

414

bez europejskiej litery G, za pomocą której masoni oznaczali Boga lub gnozę, wiedzę.

Świetnie mi poszło to uzupełnienie medalionu i być może znalazłem symbol, który legł u korzeni mojego własnego bractwa.

Ale wciąż nie miałem pojęcia, co to wszystko znaczy.

- Ethanie...

Dźwięk był słaby, jak powiew wiatru lub jakieś złudzenie słuchowe, ja jednak natychmiast poznałem głos Astizy, dobiegający gdzieś z góry. Ów cichy jęk podziałał na mnie jak wstrząs elektryczny. Założyłem mój zestawiony w całość medalion na szyję, pognałem przejściem z powrotem, z ulgą stwierdziłem, że kamienna płyta wciąż jest odchylona, i szybko wspiąłem się na górę, wspierając ręce i nogi o jedną, a plecy o drugą ścianę korytarza. Moja strzelba leżała tam, gdzie ją zostawiłem. Podniosłem ją i natychmiast przykucnąłem.

Wszędzie panowała cisza. Czyżby głos Astizy był tylko grą mojej wyobraźni? Cicho ruszyłem ku wyjściu i ostrożnie wyrząłem na zewnątrz. W świetle księżyca wyraźnie widziałem płaskorzeźbę Kleopatry na ścianie pobliskiej świątyni.

- Ethanie?

Był to jakby jęk, dochodzący spomiędzy kolumn stojących na otwartej przestrzeni.

Wstąpiwszy na płaski ganek otaczający świątynię, ruszyłem z gotową do strzału rusznicą cicho jak Indianin. Na tej połowie świątynnej platformy kolumny wspierały poziome kamienne belki, tworzące z nimi wyraźnie widoczne na tle nieba prostokąty. Widziałem pomiędzy nimi gwiazdy. Na kapitelach kolumn była inna twarz - spokojne oblicze Izdy.

- Astizo? - Mój głos echem odbił się od licznych kolumn.

- Masz to?

Okrążyłem kolumnę i zobaczywszy moją niewolnicę, zatrzymałem się jak wryty.

415

Była ubrana jak dziewczyna z moich erotycznych fantazji, w przejrzyste muśliny ukazujące zarys smukłych nóg, miała na sobie ciężką złotą biżuterię i ciemnym tuszem podkreślono jej oczy. Wyglądała, jakby miała uwieść jakiegoś paszę.

Wyciągnięte ramiona dziewczyny były ujęte w kajdanki przykute do łańcuchów umocowanych na poziomej belce łączącej dwie kolumny. W tej pozycji doskonale było widać jej lekko uniesione piersi i krzywiznę bioder - efekt ujawniał

erotyczną bezbronność, była uosobieniem księżniczki oddanej na ofiarę smokowi. Ujrawszy ten obraz rodem z baśniowej opowieści, zatrzymałem się oszołomiony pięknem i niezwykłością widoku. Spojrzenie Astizy było pełne bólu.

- Czy jest już cały? - zapytała cichutko.

- Czemu jesteś tak ubrana? - Było to najgłupsze z setki pytań przelatujących mi przez głowę, ale czułem się jak człowiek patrzący na urzeczywistnienie swoich halucynacji.

Odpowiedzią był sztych szpady, który wparł mi się w kark.

- Bo miała odwrócić twoją uwagę - mruknął stojący za moimi plecami Silano. - Rzuć swoją rusznicę, panie. -

Sztych wcisnął mi się w kark bardziej boleśnie.

Chciałbym coś wymyślić... ale zamiast tego moja rusznica łupnęła o kamienie.

- A teraz medalion.

- Będzie twój - syknąłem - jeżeli ją uwolnisz z tych łań-
cuchów!

- Uwolnić? Po co? Ona sama może opuścić ramiona.

Co też Astiza uczyniła. Patrząc na mnie przepaszająco, wysunęła nadgarstki z kajdan. Łańcuchy zadzwoniły cicho o kamienne kolumny i zakołysały się lekko. Przejrzyste muśliny otuliły jej ciało, tak że wyglądała teraz jak klasyczny posąg, obleczony sukniami tylko po to, żeby podkreślały zarys tego, co miały ukrywać. Patrzyła na

416

mnie z zakłopotaniem w oczach, jakby się wstydziła całego oszustwa.

Po raz kolejny poczułem się jak idiota.

- Czy nie pojąłeś, że ona się ze mną sprzymierzyła? -

zapytał Silano. - Ale oczywiście ty jesteś Amerykaninem, prawda? Zbyt bezpośrednim, szczerym, ufnym, naiwnym idealistą. Przebyłeś tę całą drogę, wyobrażając sobie, że przybywasz jej na ratunek. Nie rozumiałeś nie tylko znaczenia medalionu... nie rozumiałeś i tej kobiety.

- Kłamiesz.

Patrzyłem na nią, spodziewając się, że dziewczyna mu zaprzeczy. Ona jednak tylko drżała, rozcierając zziębnięte nadgarstki.

- Czyżby? - zapytał stojący za mną Silano. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Talma zjawił się w Aleksandrii, pytając o nią wcale nie dlatego, że był twoim przyjacielem, ale dlatego że jako tajny agent pracował dla Napoleona.

-1 to jest kłamstwo. Był dziennikarzem.

- Który zawarł umowę z Korsykaninem i jego naukowcami, obiecując, że będzie miał na ciebie oko i dopilnuje twojego powrotu w zamian za członkostwo w najściślejszym kręgu kierownictwa ekspedycji. Bonaparte chce od krycia tajemnicy, ale nikomu nie ufa. Pozwolił Talmie je chać z tobą, pod warunkiem że będzie cię szpiegował. Ów dziennikarzyna zresztą od samego początku podejrzewał

Astizę. Kim była? Dlaczego szła za tobą, wlokąc się z ar mią niczym posłuszny pies, a potem dała się ukryć w ha remie? Z powodu twojego osobistego uroku, ty prostacki jankesie? A może dlatego, że była moją sojuszniczką?

Z pewnością rozkoszował się tą chwilą chępliwości. Astiza spojrzała w górę, na ruiny kamiennych belek stropowych.

- Gage, mój drogi, czy ty rozumiesz prostotę tego, co się działo wokół ciebie? W Aleksandrii dziennikarz odkrył

jedną niepokojącą rzecz: wiadomość o twoim przybyciu 417

nie dotarła tu za pośrednictwem Cyganów, jak ci to powiedziała Astiza. To ja ją przysłałem. Owszem, kontaktowaliśmy się. Ale zamiast pomóc mi cię zabić, jak jej to sugerowałem, ona wolała wykorzystać ciebie do odkrycia tajemnicy medalionu. Co było jej celem? Kiedy wylądowałem w Aleksandrii, Talma myślał, że zdoła mnie szpiegować, ale został schwytyany przez Bin Sadra. Powiedziałem temu durniowi, iż może się do mnie przyłączyć, że jak pomoże mi cię okpić, razem sprzedamy skarb temu z królów, który da najwięcej, może nawet Bonapartemu... ale nie dał się namówić, nie chciał słuchać głosu rozsądku. Zagroził, że pójdzie do generała i ten każe nas przesłuchać. Stracił też wartość przetargową, skoro oznajmiłeś, że medalion przepadł w wodach

zatoki pod Abukirem. Mógł ocalić życie, gdyby obiecał, że wykradnie ten talizman temu, kto go ma, i sprzeda mnie, ale odmówił. Ten mały hipochondryk był wobec ciebie bardziej lojalny, niż na to zasługujesz... i do szpiku kości przesiąkł francuskim patriotyzmem.

- A ty o patriotyzmie nie masz pojęcia - stwierdziłem zimno.

- Rewolucja pozbawiła moją rodzinę wszystkiego, co posiadaliśmy. Sądzisz, że sprzymierzyłbym się z motło-chem dla jakichś tam idiotycznych idei wolności? Ta ich wolność odebrała mi wszystko, co miałem... a teraz wykorzystam ich do odzyskania tego, co moje. Nie pracuję dla Bonapartego, naiwny Amerykaninie. To Bonaparte, nie wiedząc o tym, pracuje dla mnie.

- Więc posłałeś mi głowę Talmy w tym dzbanie... - Zaciśnąłem pięści tak, że musiały mi zbieleć kostki. Na tle nieba miarowo kołysały się łańcuchy. Miałem tylko jedną szansę.

- Na wojnie jak to na wojnie - odparł Silano. - Gdyby zgodził się na pracę dla mnie, zostałby bogaczem większym od Krezusa.

-Jednego nie rozumiem. Dlaczego ten twój przebra-418

ny za nosiciela latarni Bin Sadr nie zabrał mi medalionu podczas tego pierwszego wieczoru w Paryżu, gdy tylko wyszedłem na ulicę?

- Bo sądziłem, żeś dał go tej dziwce, a nie wiedziałem, gdzie ona mieszka. Ale niczego nie powiedziała, nawet gdy Arab rozpruł jej brzuch. Moi ludzie też go nie zna leżli w twoim pokoju. Szczerze mówiąc, na początku nie zdawałem sobie sprawy z jego znaczenia, dopóki nie zacząłem szperać, szukając o nim wiadomości. Sądziłem, że będę ci mógł go odebrać w więzieniu, ale ty uciekłeś i znalazłeś pomoc u Talmy, a potem ruszyłeś do Egiptu w gronie uczonych... ty uczonym, jakież to było zabawne!... zanim zdążyłem się zorientować, że właśnie tej bły skotki wszyscy szukaliśmy. I wciąż nie wiem, gdzie go ukryłeś tej pierwszej nocy w Paryżu.

- W nocniku.

Parsknął śmiechem.

- Ironia losu! Klucz do największego skarbcza na ziemi, a ty ukrywasz go w gównie! Ależ z ciebie błazen... a jednak miałeś niezwykle szczęście. Udało ci się uniknąć śmierci na drodze do Tulonu, na ulicach Aleksandrii, nie ukąsił cię wąż i wyszedłeś nietknięty z dwu wielkich bitew. Masz diabelne szczęście, panie Gage! Ale ostatecznie przyszedłeś do mnie i przyniosłeś mi medalion, wszystko z powodu kobiety, która nie pozwoliła ci się dotknąć! Prawdziwy z ciebie mężczyzna! Powiedziała mi wszystko... musieliśmy tylko na ciebie czekać, choć pierwszy mógłby cię dopaść Bin Sadr. Natknąłeś się może na niego?

- Postrzeliłem go.

- Doprawdy? Szkoda. Sprawiasz same kłopoty, panie Gage.

- Przeżył.

- Oczywiście. On zawsze przeżywa. Nie chciałbyś się z nim spotkać po raz drugi.

- Silano, nie zapominaj, że należę do grupy uczonych.

419

Masz ochotę tłumaczyć się przed Monge'em i Bertholle-tem z tego morderstwa? Oni mają posłuch u Napoleona, a ten ma całą armię. Zadyndasz na stryczku, jeśli tkniesz mnie palcem.

- Ot, bufonada w obronie własnej.

Nacisnął lekko szpadą i sztych jeszcze boleśniej wparł mi się w kark. Poczułem, że po plecach spływa mi strumyczek krwi.

- A może to będzie schwywanie zbiega, który uchodzi przed rewolucyjną sprawiedliwością? Albo człowieka, który zełgał o stracie medalionu, aby zatrzymać go dla siebie? Wybierz, co wolisz. Ale ponieważ jestem szlachcicem mającym poczucie honoru, okażę ci łaskę. Jesteś ściągany zbiegiem, nie mającym już żadnych przyjaciół ani sojuszników... o ile w ogóle ich miałeś. Więc w zamian za medalion ofiaruję ci... twoje życie. Jeżeli mi dasz słowo, że powiesz, czego dowiedział się Enoch.

-Czego dowiedział się Enoch... - powtórzyłem pytanie. O

czym on mówił?

- Twój bezsilny już mentor ostatkiem sił rzucił się w ogień, żeby chwycić jakąś księgę, zanim go wzięliśmy na tortury.

Nadciągały francuskie patrole. Więc co było w tej księdze?

Łotr mówił o tych arabskich poezjach, które Enoch przyciskał do piersi. Mój grzbiet pokrył się potem.

- Oddasz mi i tę kobietę.

-Ale ona wcale cię nie chce, prawda? Czy ci powiedziała, że kiedyś byliśmy kochankami?

Spojrzałem na Astizę. Uniósłszy dłonie, ujęła kajdanki, jakby się chciała na nich podciągnąć - i patrzyła na nas obu ze smutkiem w oczach.

- Ethanie, to był jedyny sposób... - wyszeptała.

Poczułem w ustach ten sam smak goryczy, jakiej musiał

się najeść Bonaparte, kiedy mu doniesiono o zdradzie Józefiny.

Dotarłem tak daleko... i po co? Żeby się nadziać na sztych szpady tego arystokratycznego mydłka? Żeby upo-420

korzyła mnie kobieta? Żeby mnie okradziono ze wszystkiego, o co walczyłem?

- Dobrze.

Uniosłem dłonie i zdjąłem medalion z szyi, pozwalając, by się zakołysał niczym wahadło. W świetle nocy połyskiwał

zimnym blaskiem. Oboje westchnęli, kiedy ujrzeni jego nowy kształt. Owszem, prowadzili mnie jak marionetkę, ale to ja znalazłem część, która go dopełniała.

- Więc to istotnie jest klucz - sapnął Silano. - Teraz mu simy tylko zrozumieć znaczenie tych liczb. Pomożesz mi, kapłanko? Gage, odwróć się powoli i podaj mi ten przedmiot.

Odwróciłem się, odsuwając odrobinę od sztychu jego szpady. Potrzebna mi była tylko chwilka jego nieuwagi, moment na jej odwrócenie.

-Nie jesteś bliższy rozwiązania tajemnicy niż ja -ostrzegłem go.

- Naprawdę? Dotarłem bliżej niż ty. Podróżując wokół

Morza Śródziemnego, odwiedziłem wiele świątyń i bibliotek.

Znalazłem dowód świadczący o tym, że klucz jest w Denderze, w świątyni Kleopatry. Potem miałem szukać Wodnika. I tu, na południu, znalazłem tę świątynię Kleopatry, która oczywiście wielbiła piękną i potężną Izydę, a nie Hathor o krowiej twarzy, z jej wielkimi uszami i wymionami. Ale wciąż nie mogłem się domyślić, gdzie szukać...

- Tu jest krypta tego fallicznego boga, Mina. I tam znalazłem brakującą część.

-Jakże uczenie to odkryłeś... No, ale teraz daj mi tę błyskotkę.

Podąłem mu medalion powoli, cały czas czując ucisk jego sztychu na karku. Silano chwycił go łapczywie, z wyrazem dziecinnej radości i tryumfu na twarzy. Gdy podnosił ten znak wolnomularstwa, medalion zatańczył w powietrzu.

421

- Dziwne to, że uświęconą pamięć przekazywali nawet ci, którzy nie zdawali sobie sprawy z jej znaczenia, nie prawdaż? - stwierdził.

I wtedy rzuciłem.

Trzonek ukrytego pod szatą na moich plecach tomahawka znajdował się tylko kilka centymetrów od ostrza szpady Silana i niemal palił mnie w grzbiet. Potrzebny był mi ułamek sekundy, żeby wyciągnąć broń właśnie wtedy, gdy Silano nie widział moich pleców i triumfalnie unosił w górę medalion.

Wszystko by się jednak nie udało, gdyby Astiza zechciała ostrzec go okrzykiem, co było swoistym

sprawdzianem dla niej i dla mnie.

Nie krzyknęła.

To mogło oznaczać, że mimo wszystko jednak może nie wzięła strony Silana i że może on rzeczywiście był kłamcą. A ja nie ze wszystkim wyszedłem na głupca.

Uderzyłem szybko, niemal błyskawicznie. Silano jednak okazał się szybszy. Uchylił się, tak że ostrze świsnęło mu koło ucha i wirując, wylądowało w piasku za tarasem świątyni. Tak czy owak, stracił równowagę i nie od razu ją odzyskał. Miałem więc dość czasu, żeby chwycić rusznicę i ją podnieść.

Ale on, giętki jak wąż, pochylił się ku przodowi i wetknął

sztych szpady w wylot lufy mojej strzelby.

- *Touche*, Monsieur Gage. No to mamy impas, niepraw daż?

Musiałem jednak wyglądać dość głupio. Znieruchomiałem z lufą rusznicy wymierzoną w jego pierś. On też stał jak posąg.

-Ale ja... - sięgnął lewą ręką pod płaszcz - ...mam jeszcze pistolet.

Nie pozostało mi nic innego, jak nacisnąć spust.

Lufa mojej rusznicy eksplodowała, otwierając się niczym kwiat, poczułem kopnięcie kolby, a odłamki lufy i pęknięta szpada śmignęły obok głowy Silana. Obaj runę-

422

liśmy na plecy. Dzwoniło mi w uszach i poczułem ból od drobnych ranek twarzy zadanych odławkami rozlatującej się strzelby.

Silano wył z bólu.

I wtedy usłyszałem złowrogi trzask i łoskot.

Spojrzałem w górę. W świetle gwiazd i księżycy zobaczyłem, że doskonale niegdyś zrównoważona kamienna belka opierająca się na dwu sąsiednich kolumnach, przesunięta przez jakieś dawne trzęsienie ziemi, kołysała się teraz, ciągnięta w dół przez łańcuch, który oburącz trzymała Astiza.

- Ciągniesz za łańcuchy! - krzyknął Silano, patrząc na nią ze zdumieniem nie mniejszym od tego, jakie zagościło na twarzy Don Juana na widok wkraczającego do jego jadalni posągu Komandora.

- Przypomnij sobie Samsona - odpowiedziała.

- Zabijesz nasz wszystkich!

Potężna belka zsunęła się z kapitelu i runęła w dół, uderzając w kolumnę, która również chybnęła się w bok.

Nadgryzione czasem kolumny zaczęły się walić jak domek z kart. Usłyszeliśmy przeraźliwy zgrzyt kamieni, gdy pękło całe sklepienie nad naszymi głowami. Wytrzeszczyłem oczy i śmignąłem w bok w ostatniej chwili, zanim całe tony ciężkich płyt runęły, rozbijając się o posadzkę. Usłyszałem nikłe pyknięcie pistoletu Silana i obok mnie od kamiennej kolumny odprysło kilka odłamków, ale wszystko zagłuszył huk walących się bloków kamienia. Zaraz potem Astiza szarpnęła mnie w górę, popychając ku wyjściu ze świątyni, ledwo teraz widocznym wśród kłębow kurzy.

- Biegnijmy! Hałas sprowadzi tu Francuzów!

Skoczyliśmy ponad kłębami pyłu i znaleźliśmy się na piasku tuż przed częścią kolumny, która potoczyła się niczym zgubiona bela bawełny i uderzyła w stopy Kleopatry. Za nami słychać było przekleństwa Silana, który wśród ruin świątyni kłął jak woźnica.

423

Astiza zatrzymała się i podała mi podniesiony z piasku tomahawk.

- To może się nam przydać. Spojrzałem na nią bezbrzeżnie zdumiony.

- Rozwaliłaś całkiem porządną jeszcze świątynię.

- Zapomniał ściąć mi włosy. I zapomniał o swoim łu pie. - W jej dłoni kołysał się medalion, teraz wielki i nie zbyt kształtny.

Podniosłem tomahawk.

- Chodźmy tam i wykończmy łajdaka.

Od czoła kompleksu świątyń rozlegały się jednak okrzyki Francuzów i ostrzegawcze strzały wartowników. Astiza potrząsnęła głową.

- Nie mamy na to czasu.

Uciekliśmy więc przez tylną, wschodnią bramę i zapu-

ściliśmy się w pustynię, bez oręza, koni, żywności, wody i odpowiednich ubrań. Za nami słychać było odgłosy strzałów i wściekłe okrzyki, ale żadna kula nie świsnęła obok nas.

- Pospiesz się! - sapnęła Astiza. - Nil osiągnął już nie mały szczytowy poziom.

Co to miało znaczyć?

Mieliśmy tylko tomahawk i ten przeklęty medalion. I siebie nawzajem.

Ale kim była kobieta, którą ratowałem, żeby ona mnie ocaliła?

ROZDZIAŁ 21

Potężny Nil wysoko toczył swe brązowożółte wody. Był

październik, szczyt corocznego wylewu, i zbliżała się data, której ważność wysnułem z centrycznego kalendarza.

Ukradliśmy niewielką łódź i popłynęliśmy w dół rzeki, zmierzając ku Wielkiej Piramidzie, która zgodnie z sugestią Monge'a miała być kluczem do zagadki. Podważyłem przynajmniej jej hermetyczność, a nawet gdybyśmy nie zdołali jej rozwikłać do końca, płynąłem ku Morzu Śródziemnemu.

Nie wiedziałem jednak, czy towarzysząca mi niezwykła kobieta zechce wędrować dalej.

Płynąc z prądem, o świcie oddaliliśmy się już o wiele mil od korpusu Desaix'go. Byłbym w ogóle zapomniał o prześladowcach, gdyby nie francuski kurier, który galopując brzegiem rzeki, obserwował nas przez lunetę i skracał sobie drogę, jadąc na przełaj tam, gdzie my musieliśmy podążać zakolami Nilu. Nie miałem wątpliwości, że wiezie wieści o naszej ucieczce. Opuściłem miecz, żeby podnieść dający nam większą szybkość łaciński żagiel. Łódź, przechyliwszy się na bok, z sykiem rozcinanej dziobem wody pomknęła szybciej, podczas gdy ja halsowałem. Minęliśmy ziewającego krokodyla, złowrogą prehistoryczną bestię. Na jego łuskach błyszczała woda, a żółte oczy patrzyły na nas z gadzią obojętnością. Ale po spotkaniu z Silanem wszystkie inne bestie mogły się wydawać igraszką.

Byliśmy dość osobliwą parą - ja w moich arabskich 425

szatach i Astiza w kuszącej, królewskiej odzieży, skulona na dnie brudnej, śmierdzącej rybami feluki. Od naszej ucieczki niewiele mówiła; patrząc na Nil, muskała palcami medalion zawieszony na szyi z miną osoby, która ma do niego niezaprzeczone prawo. Nie poprosiłem nawet, żeby mi go oddała.

- Żeby cię znaleźć, musiałem przebyć daleką drogę -

odezwałem się wreszcie.

- Podążałeś za gwiazdą Izydy.

- Ale ty nie byłaś skuta łańcuchami, jak udawałaś.

- Nie. Oszukałam ciebie, a potem jego.

- Znałaś Silana wcześniej?

Westchnęła.

- Był moim panem i kochankiem, który zwrócił się ku mrocznym sztukom. Wierzył, że magia

starożytnych Egipcjan była równie realna jak chemia Bertholleta i że idąc śladami Cagliostro i Kolmeta, odkryje tu okultystyczne tajemnice. Nie dbał o nic oprócz własnych interesów, bo przepełniała go gorycz i żal za majątkiem, który stracił za sprawą Rewolucji.

Zerwałam z nim, kiedy zdałam sobie sprawę z tego, jak bardzo jest samolubny. Uciekłam do Aleksandrii i znalazłam schronienie w domu nowego pana, Strażnika. Marzenia Silana były bardzo przyziemne. Chciał, żeby tajemnice starożytnego Egiptu dały mu moc i władzę, a może i nieśmiertelność, więc postanowiłam podjąć grę na własną rękę.

- Kupił cię od Jusufa?

- Owszem. To była łapówka dla tego sprośnego starucha.

- Sprośnego?

- Jego gościnność wcale nie była bezinteresowna. Tak czy owak, musiałabym stamtąd uciekać. - Spostrzegła moje spojrzenie. - Nie złość się, nie tknął mnie.

- Więc uciekłaś z dawnym kochankiem.

- Nie wróciłeś spod piramid. Silano powiedział mi, że 426

cię nie znaleźli u Enocha. Jedyłą drogą do rozwiązania tajemnicy wydało mi się chwilowe przymierze z hrabią. Nie miałam pojęcia o istnieniu świątyni w Denderze, ty zresztą też.

To miejsce od stuleci było zapomniane. Powiedziałam Alessandrowi, że ty masz medalion, i zostawiłam ci wskazówkę, jak masz go znaleźć w haremie. Oboje wiedzieliśmy, że będziesz nas ścigał. A potem pojechałam bez więzów. Gdyby Alessandro mnie skrępował, Francuzi za-dawaliby zbyt wiele pytań.

Alessandro! Nie podobała mi się łatwość, z jaką Astiza wymawiała imię hrabiego.

- A potem zwałaś mu świątynię na łeb.

- On uważa, że chroni go własny czar, tak jak ciebie. Ona zresztą też, wygrywała nas obu jednego przeciw drugiemu dla własnych celów.

- Astizo, pytałaś mnie, w co wierzę. A w co ty wierzysz?

- Co przez to rozumiesz?

- Pomagałaś Silanowi, bo i ty chcesz rozwikłać tę tajemnicę.

- Oczywiście. Ale tylko po to, żeby jej strzec, a nie sprzedawać jakiemuś małemu tyranowi takiemu jak Bonaparte.

Możesz sobie wyobrazić tego człowieka na czele armii nieśmiertelnych żołnierzy? W szczytowym

okresie potęgi Egiptu jego granic strzegło dwadzieścia tysięcy żołnierzy i wydawało się, że nic tej potęgi nie złamie. A potem jakby coś się wydarzyło, coś stracono i zaczęły się najazdy...

- Ale żeby sprzymierzyć się z ludźmi, którzy zabili Talmę...

- Silano wiedział o rzeczach, o których ja nie miałam pojęcia. Ja znałam sprawy, o których on nic nie wiedział. Czy sam byłbyś znalazł świątynię w Denderze, gdybyś nas nie śledził? Nie wiedzieliśmy, o której ze świątyń mówią księgi Enocha, a Silano wiedział, dzięki swoim badaniom w Rzymie, Stambule i Jerozolimie. Sami nigdy byśmy nie 427

znaleźli brakujących ramion medalionu, podobnie jak Silano nie zdołałby skompletować go bez ciebie i Enocha. Ty miałeś jedne wskazówki, hrabia drugie. A bogowie sprawili, żeście się spotkali.

- Bogowie czy członkowie zakonu ryty egipskiego? To nie Cyganie powiedzieli ci, że przyjeżdżam do Egiptu.

Uciekła spojrzeniem w bok.

- Nie mogłam ci powiedzieć prawdy, bo byłbyś ją źle zinterpretował. Alessandro mnie okłamał i przysłał mi wiadomość, że ty ukradłeś mu medalion. Udałam, że mu pomagam, żeby go wykorzystać. Przeżyłeś nasz zamach na twoje życie. Potem Enoch namówił Aszrafą, żeby spróbował odnaleźć nas w bitwie... ciebie, mężczyznę w zionym płaszczu, który ku wygodzie wszystkich stanął na artyleryjskim jaszczu... żeby mógł zobaczyć ten medalion, którego wszyscy byli tak ciekawi. Wszystko, co się wydarzyło, było zgodne z naszym planem... poza śmiercią nieszczęsnego Talmy.

Miałem nielichy zamęt w głowie. Może w rzeczy samej byłem naiwny?

-Więc obaj byliśmy narzędziami w twoich rękach... ja z powodu medalionu, a Silano z powodu swej wiedzy o okultyzmie? Używałaś nas bez żadnej różnicy?

- Nie pokochałam Silana.

- Nie mówiłem, że go pokochałaś, mówiłem... - Urwałem nagle.

Patrzyła w bok, napięta, drżąca, jej włosy powiewały na muskającym rzeczne fale wietrze. Nie pokochała. Silana.

Czyżby to znaczyło, że moje wysiłki nie pozostały nie-zauważone, mój urok osobisty nie był całkowicie nieskuteczny, a moje dobre intencje nie ze wszystkim chybiły? Ale co ja sam czułem teraz do niej? Chciałem ją osiąść, owszem... ale czy ją kochałem? Wyglądało na to, że wcale jej nie znam. A miłość była prawdziwie niebezpiecznym terenem dla mężczyzny mojego pokroju - wolałbym sta-428

wić czoło szarzy mameluków lub artyleryjskiej salwie burtowej. To znaczyło uwierzyć w coś, związać się na dłużej niż na chwilę. Co naprawdę czułem do tej kobiety, która - jak wszystko na to wskazywało - mnie zdradziła... albo i nie?

- Chciałem powiedzieć, że ja też nikogo nie pokocha łem - bąknąłem. Nie była to najbardziej błyskotliwa z mo ich replik. - Znaczy... nie jestem nawet pewien, czy miłość istnieje.

Spojrzała na mnie jak na beznadziejnego idiotę.

- Ethanie, a skąd wiesz, że istnieje elektryczność?

- No... - Pytanie było cholernie dobre, bo elektryczność naturalnie była niewidoczna. - Przypuszczam, że dzięki iskrzeniu. Możesz ją wyczuć. Albo zobaczyć błyskawicę.

- Właśnie.

Teraz patrzyła na mnie, uśmiechając się jak sfinks, tajemnicza i niedostępna... ale drzwi zostały otwarte i wystarczyło, żebym zrobił krok. Co to Berthollet powiedział o moim charakterze? Że nie zdaję sobie sprawy z własnych możliwości? Teraz oto miałem szansę, żeby dorosnąć, związać się nie z ideą, ale z osobą.

- Nie wiem nawet, po czyjej jesteś stronie. - Starąłem się odwlec nieuniknione.

-Jestem po naszej stronie.

Ale czyja to była strona? Niestety, zanim nasza rozmowa zdołała dojść do punktu, w którym oboje moglibyśmy osiągnąć jakieś porozumienie, przerwał ją niosący się nad wodami huk strzału.

Spojrzałem w dół rzeki. Płynęła ku nam jakaś feluka pod napiętym żaglem. Na jej pokładzie kłębiła się banda malowniczo odzianych mężczyzn. Choć dzieliła nas odległość ponad trzystu metrów, po obandażowanym ramieniu poznałem Bin Sadra. Na całą herbatę Chin, czy nigdy nie pozbędę się tego człowieka? Nigdy wcześniej nie miałem równie głęboko dość czyjegoś towarzystwa, poza jed-429

nym wypadkiem, kiedy Franklin zaprosił na obiad Johna Adamsa i musiałem wysłuchać jego pełnych gorczy opinii o połowie naszych amerykańskich polityków.

Nie mieliśmy żadnego oręża poza moim tomahawkiem i w razie starcia bylibyśmy bez szans, więc skierowałem łódź do brzegu. Może zdołamy znaleźć jakiś grobowiec w skalistym brzegu i się w nim ukryjemy? Ale nie! Zza wzgórza wyłonił się szwadron odzianych w błękit i czerwień huzarów, którzy galopem zjechali w dół, żeby nas powitać. Francuska kawaleria! Czyżbym zyskał dwadzieścia mil?

Cóż, lepsi oni od Bin Sadra. Zabiorą mnie do Napoleona, podczas gdy Arabowie zrobią z Astizą i ze mną to, o czym wolę nawet nie myśleć. Kiedy staniemy przed generałem, Astiza może po prostu oskarżyć mnie o porwanie, a ja to potwierdzę. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zerwać medalionu z jej kształtnej szyi i nie cisnąć go w mętne wody Nilu, ale nie mogłem się na to zdecydować. Zbyt wiele wysiłku włożyłem w całą tę sprawę. Ciekaw też byłem, dokąd może nas w końcu zaprowadzić. Jedynie on mógł nam wskazać drogę do Księgi Tota.

- Lepiej go ukryj - zwróciłem się do Astizy, wskazując wzrokiem medalion.

Wsunęła go między piersi.

Dotarliśmy do brzegu i brnąc po płyciźnie, wyszliśmy na piaski. Feluka Bin Sadra wciąż jeszcze płynęła pod prąd ku miejscu naszego lądowania; Arabowie wrzeszczeli głośno i strzelali. Kilkunastu kawalerzystów zmierzało półokręgiem ku nam, odcinając wszelkie drogi ucieczki. Podniosłem ręce nad głowę. Wkrótce otoczył nas pierścień huzarów na pokrytych kurzem koniach.

- Ethan Gage?

- Do usług, poruczniku.

- Czemu jest pan odziany jak poganin?

- Tak łatwiej znosić upały.

430

Zmierzył spojrzeniem Astizę, nie ośmielając się zapytać, czemu jest ubrana jak dziwka. W 1798 roku wojskowi wciąż jeszcze pamiętali o dobrych manierach.

- Jestem porucznik Henri de Bonneville. Aresztuję pana pod zarzutem kradzieży własności państwowej, niszczenia antyków, morderstwa, ucieczki, wywołania zamieszek w Kairze, wprowadzania władz w błąd, szpiegostwa i zdrady.

- Nie za morderstwo w Dendarze? Liczyłem na to, że uda nam się zabić Silana.

Porucznik lekko zeszywniał.

- Hrabia leczy rany i organizuje grupę, która miała się przyłączyć do naszego pościgu.

- Zapomniał pan wspomnieć o porwaniu damy - skinieniem głowy wskazałem Astizę.

-Nie zapomniałem. Ta kobieta zostanie wyzwolona i albo wesprze nasze oskarżenia, albo sama będzie poddana przesłuchaniu.

- Nie przyznaję się do zarzutu zdrady - stwierdziłem. -

Jestem Amerykaninem. Czy żeby zdradzić wasz kraj, nie musiałbym być Francuzem?

- Sierzancie, zwiążcie oboje.

Tymczasem ścigająca nas feluka dotarła do brzegu i Bin Sadr z resztą swoich rzezimieszków wypadł na brzeg.

Przepchnęli się pomiędzy jeźdźcami jak przez stado wielbłądów na bazarze i zatrzymali przed nami.

- On jest mój! - warknął Arab, wymachując lagą o gło wie węża. Nie bez satysfakcji ujrzałem, że lewe ramię trzy ma na temblaku. Cóż, jeżeli nie uda mi się na miejscu i od razu pozbyć tej pary łajdaków, może zdołam im się przy najmniej trochę odgryźć, jak Francuzi Nelsonowi.

- Achmedzie, mój drogi! - powitałem drania. - Widzę, że uczysz się żeglować. Co, spadłeś z wielbłąda?

- On pójdzie na moją łódź!

- Obawiam się, Monsieur, że będę musiał zaprotesto-431

wać - odezwał się porucznik de Bonneville. - Zbiegły pan Gage poddał się mnie i moim ludziom i jest poszukiwany przez władze francuskie. Teraz przechodzi pod jurysdykcję armii.

- Ten Amerykanin zabił kilku moich ludzi!

-Więc może pan wnieść oskarżenie przeciwko niemu, jak skończy z nim wojsko... jeśli coś jeszcze z niego zostanie.

Nie powiem, pocieszająca perspektywa.

Bin Sadr skrzywił się okropnie. Miał teraz czyraka i na drugim policzku; przez chwilę się zastanawiałem, czy skłonność do zakażeń jest u niego wrodzona, czy była to sprawka Astizy. Czy nie mogłaby zarazić skunksa trądem albo przynajmniej dżumą?

-To weźmiemy kobietę. - Kiwnął głową z obleśnym uśmiechem.

-Iw tym względzie z żalem muszę wyrazić sprzeciw. -

Porucznik zerknął na sierżanta, który szybko kiwnął głową, wydając jakiś niemy rozkaz swoim ludziom. Wymierzone we mnie karabinki nagle skierowano na bandytów Bin Sadra. Oni z kolei pochylili muszkiety ku francuskim kawalerzystom.

Miło było pomyśleć, że nikt mnie nie trzyma na muszce, i zacząłem się zastanawiać, jak to wykorzystać.

- Nie zmuszaj mnie do tego, żebym cię uznał za wroga, Francuziku! - warknął Bin Sadr.

-Jesteś płatnym najemnikiem bez żadnej władzy -odparł

cierpko de Bonneville. - Jeżeli w tej chwili nie zabierzesz swoich opryszków na łódź, zaaresztuję was za niesubordynację i zastanowię się, czy na miejscu was nie powiesić. - Rozejrzał

się dookoła władczyim spojrzeniem. - Jak tylko znajdziemy jakieś drzewo!

Nastąpiła chwila groźnej ciszy. Słońce grzało tak niemiłosiernie, że mógłbym przysiąc, iż słyszę syk piasku. I nagle jeden z huzarów stęknął boleśnie i szarpnął się 432

w siodle, a potem usłyszeliśmy huk strzału, który go zabił.

Huknęło jeszcze kilka następnych, z których jeden poraził

któregoś z opryszków Bin Sadra.

Wszystkie karabiny i muszkiety natychmiast skierowano ku wzgórzom, zza których wyłonili się jeźdźcy w powiewnych szatach, wymachując włóczniami o lśniących grotach. Niczym wał białej, zwieńczonej stałą fali stoczyli się ku rzece.

Mamelucy! Zostaliśmy zaskoczeni przez oddział wojsk nieuchwytnego Murad Beja i wyglądało na to, że nieprzyjaciel ma przynajmniej pięciokrotną przewagę liczebną.

- Z koni! - zagrzmał de Bonneville. - Formować tyra liebę! -1 do Arabów: - Stawajcie z nami!

Beduini rwali już jednak ku swojej feluce jak stado spłoszonych zajęcy. Wskoczywszy na łódź, zepchnęli ją na fale Nilu.

- Bin Sadr! Ty świński tchórze! - zawołał porucznik.

Arab odpowiedział mu obscenicznym gestem.

I tak Francuzi samotnie stawili czoło natarciu mame-luków.

- Ognia!

Na okrzyk porucznika jego ludzie dali salwę, ale nie był to ćwiczony ogień francuskiej piechoty. Kilku mame-luków runęło na ziemię, ale ich towarzysze w następnej chwili wsiedli już nam na karki. Czekałem na pchnięcie włóczni, zastanawiając się nad niezwykłym zrządzeniem losu, który sprowadził mi w tym samym miejscu i czasie na łeb trzy grupy nieprzyjaciół; osądziłem, że byłoby to jak nadzianie się na pechowy układ trzech kart w hazardowej grze breelan. I nagle mameluk, który - jak podejrzewałem - zamierzał mnie zabić, pochylił się ku mnie, wyciągnął rękę i uniósł mnie z ziemi jak pęk winogron. Szarpnąłem się, ale jego ramię gniotło mi pierś niczym kleszcze. Trzymając mnie lewą ręką, przedarł się przez Francuzów ku łodzi Arabów z wysoko uniesioną szablą w dło-433

ni i kierując koniem uciskiem kolan, wydał wojenny okrzyk.

- Teraz pomszczę mojego brata! Zatrzymaj się i walcz, gadzie!

Aszraf!

Rozbryzgując wodę, pomknęliśmy przez płyciznę, a Bin Sadr - również mogący władać tylko jedną ręką - stawił nam czoło z dziobu swojej łodzi. Asz miał potężnie, ale naprzeciwko jego klindze frunęła laska o węzowej głowie. Rozległ się szcęk metalu uderzającego o metal i nagle dotarło do mnie, że laska Beduina musi mieć jakiś stalowy rdzeń. Furia ataku mameluka rzuciła Bin Sadra w tył. Zwalił się pomiędzy swoich kompanów, ci dali ognia i Asz musiał się uchylić. Łódź

spłynęła na głębszą wodę. My puściliśmy się galopem obok, choć za nami wrzała potyczka i słychać było wrzaski, krzyki i strzały. Wisiałem przerzucony przez siodło jak wór zboża.

Wiatr dławił mi oddech i prawie niczego nie widziałem przez kłęby kurzu. Dostrzegłem, że oficer,

który nas uratował, leży już na piachu, a nad nim klęczy jakiś mameluk z nożem w dłoni. Inny huzar czołgał się ku niemu, choć z pleców sterczała mu włócznia - chciał przed śmiercią zabić choć jeszcze jednego wroga. Niewola była gorsza niż śmierć i żołnierze sprzedawali swoje życie tak drogo, jak tylko mogli. Arabowie Bin Sadra płynęli z prądem, nie zadając sobie nawet trudu wspomnienia swoich kilkoma strzałami.

Wjechaliśmy galopem na szczyt długiej diuny, z której rozciągał się pyszny widok na Nil. Asz mnie puścił i opadłem na ziemię. Uśmiechnął się do mnie, kiedy chwiejnie dźwigałem się na nogi, ale jego uśmiech przeszedł w grymas bólu.

- Przyjacielu, zawsze zjawię ci się na ratunek, aż kiedyś wreszcie spłacę dług z bitwy pod Piramidami.

-Już go spłaciłeś w nadmiarze - stęknąłem, patrząc, jak galopuje ku nam inny wojownik trzymający Astizę 434

tak, jak ja sam byłem trzymany. Długie włosy dziewczyny zamiatały piasek. Po chwili znalazła się przy nas. Spojrzałem ku rzece. Potyczka już się skończyła - wszyscy Francuzi leżeli nieruchomo na ziemi. Bin Sadr podniósł żagiel i ciągnął w górę rzeki, ku Desaix'mu i Denderze, prawdopodobnie po to, żeby zameldować o mojej śmierci. Miałem przecucie, że skurczybyk będzie się chełpił, iż zabił mnie osobiście. Co prawda wiedziałem też, że nieufny jak wąż Silano będzie szukał potwierdzenia.

- Przyłączyłeś się więc do beja - stwierdziłem.

- Murad wygra, wcześniej czy później.

- Tylu dobrych ludzi zostało zabitych...

- Pod piramidami zginęło wielu moich przyjaciół, którzy też byli dobrymi ludźmi. Na wojnie przeważnie giną dobrzy ludzie.

- Jak nas znalazłeś?

- Przyłączyłem się do swoich i podążałem za tobą, bo wiedziałem, że Bin Sadr zrobi to samo. Kłopoty to twoja specjalność, człowieku z Ameryki.

-Ale dzięki tobie potrafię się z nich wydobywać. -

Zobaczyłem plamę czerwieni na bieli jego szat. - Jesteś ranny.

- Ba! Te węże nie potrafią dość mocno kąsać... owszem, ta rana powstrzymała mnie od zaszlachtowania tego tchórza, ale mnie nie zabije. - Zobaczyłem jednak, że przechyla się na bok.

- Któregoś dnia dopadnę go, kiedy będzie sam, i wtedy zobaczymy, kto kogo zadrapie. A może los gotuje mu jeszcze gorszy koniec. Nie tracę nadziei.

- Musisz jakoś opatrzyć ranę!

- Pozwól, niech ją obejrzę - odezwała się Astiza.

Aszraf sztywno zsiadł z konia, oddychając płytko i z trudem, kobieta zaś rozsunęła jego szatę, żeby obejrzeć tors i zbadać ranę.

- Kula przeszła przez twój bok, jakbyś był duchem, ale tracisz krew. Czekać, skorzystamy z twojego turbana, żeby

opatrzyć ranę. Aszrafie, to poważna rana. Przez jakiś czas nie będziesz mógł jeździć konno, chyba że spieszysz ci się do rajy.

-1 mam was, dwoje głupców, zostawić samych?

- Może i to było wolą bogów. Skończyć to dzieło mamy Ethan i ja.

- Jak zostawię go choć na moment, to znów się wpakuje w tarapaty!

- Teraz ja o niego zadbam.

Aszraf przez chwilę zastanawiał się nad całą sytuacją.

- Niech i tak będzie.

Gwizdnął i zza wzgórze wyłoniły się dwa piękne osiodłane araby powiewające grzywami i ogonami. Nigdy w życiu nie dosiadałem takich koni.

- Weźcie więc te konie i zmówcie modły za duszę mężów, którzy ich dosiadali. Gage, oto szabla Murad Beja. Jeżeli zaczepią was jacyś mamelucy, pokaż tę szablę, a zostawią was w spokoju. - Spojrzał na Astizę. - Wracacie do piramid?

- Tam jest początek i koniec Egiptu - odpowiedziała.

- Macie przed sobą ostrą jazdę, bo Francuzi i wierni im Arabowie wkrótce ruszą waszym śladem. Strzeżcie tego waszego magicznego urządzenia albo je zniszczcie, ale nie pozwólcie, żeby wpadło w ręce waszych nieprzyjaciół. Masz tu szatę, która ochroni cię przed słońcem. - Podał Astizie burnus, a potem zwrócił się do mnie: - Gdzie jest twoja słynna rusznica?

- Silano wetknął w nią sztych swojej szpady.

Aszraf zrobił zdziwioną minę.

- Zdumiewająca sprawa. Wsadził mi ostrze w lufę, a ja byłem tak wściekły, że nacisnąłem spust i moją najstarszą przyjaciółkę rozerwało ciśnienie prochów. Zaraz potem Astiza zwała mu na łeb dach świątyni, ale drań ocalał.

Aszraf potrząsnął głową.

- Ten człowiek ma szczęście boga demona Ra's al Ghu-436

la. Któregoś dnia, mój przyjacielu, kiedy przepędzimy stąd Francuzów, usiądziemy razem i spróbujemy dostrzec jakiś sens w tym, co powiedziałeś!

Z widocznym bólem dosiadł konia i pojechał, żeby się spotkać ze swoimi towarzyszami na poboju wśród rannych i trupów.

Galopowaliśmy ku północy, podążając z biegiem rzeki. Od piramid dzieliło nas ponad dwieście mil. Przy koniach znaleźliśmy sakwy z chlebem, daktylami i bukłaki z wodą, ale o świcie byliśmy już mocno wyczerpani podróżą i towarzyszącym jej napięciem, ponieważ poprzedniej nocy żadne z nas nie zmrużyło oka. Zatrzymaliśmy się w małej wiosce nad Nilem i skorzystaliśmy z wieśniaczej gościnności, zasnawszy, zanim skończyliśmy jeść posiłek. Dobroć okazana nam przez tych ludzi była zdumiewająca w świetle tego, że dźwigali brzemię podatków nakładanych na nich przez bezlitosnych mameluków i zostali złupieni przez Francuzów. A jednak podzielili się z nami częścią tego, co mieli, a gdy zasnęliśmy, okryli nas własnymi mizernymi pledami, opatrzywszy pierwszej nasze rany i skaleczenia. Zgodnie z naszymi instrukcjami obudzili nas dwie godziny przed brzaskiem i ponownie ruszyliśmy na północ.

Gdy zapadła kolejna noc, byliśmy już nieco bardziej wypoczęci i poszukaliśmy schronienia na brzegu rzeki w gaju palmowym, daleko od ludzi, domów i psów. Potrzebowaliśmy odrobiny czasu dla siebie. Od ataku mameluków nie widzieliśmy po tej stronie żadnych ich oddziałów, tylko krzątających się w nie kończącym się korowodzie prac fellachów. Wieśniacy pracowali z trzciny traw, ponieważ wylew Nilu zatopił ich pola, przynosząc żyzny muł z tajemniczych głębin Afryki.

Wykorzystując krzemień i stal szabli Asza, roznieciłem ognisko. Była już głęboka noc, a bliskość toczącego wolno 437

swe wody Nilu dodawała nam otuchy, obiecując jakby, że i życie będzie się toczyć dalej. Wstrząsnęły nami wydarzenia minionych dni i tygodni i wyczuwaliśmy, że nie będzie nam dane zbyt długo cieszyć się ciszą i spokojem. Gdzieś tam na południu Silano i Bin Sadr odkrywali właśnie, że nie jesteśmy martwi, i pewnie puścili się w pościg. Byliśmy więc wdzięczni losowi za odrobinę spokoju pod gwiazdami, ciepłe objęcia piasku i jagnięcą pieczeń, którą wraz z owocami dostaliśmy w mijanej niedawno wiosce. Astiza wyjęła medalion, żeby go obejrzeć, i musiałem przyznać, że na niej wygląda lepiej niż na mnie. Doszedłem do wniosku, że mogę jej ufać, ponieważ gdyby zechciała, mogłaby ostrzec Silana przed moim tomahawkiem albo uciec ode mnie, gdy zawaliły się kolumny, lub choćby zostawić mnie po walce nad rzeką. Nie zrobiła niczego podobnego, ja zaś przypomniałem sobie, co powiedziała w łodzi-że jego nie kochała. Od tamtej chwili obracałem w myślach to zdanie i przyglądałem mu się ze wszystkich stron, nie bardzo jednak wiedziałem, co z nim począć.

- Nie wiesz na pewno, jakiej tajemnicy szukamy? - za pytałem ją.

Uśmiechnęła się smutno.

- Nie jestem nawet pewna, czy ona może lub powin na zostać odsłonięta. A jednak... czyż Izyda

pozwoiliaby nam dotrzeć tak daleko, gdyby nie miała powodu?

Z moich dotychczasowych doświadczeń z Bogiem wynikało, że nie trzdi się On wyjaśnianiem powodów, dla których czyni to lub owo, ale nie odpowiedziałem. Zebrałem się na odwagę i wyjawilem:

- Ja już znalazłem moją tajemnicę. -

Jaką?

- Ciebie.

Nawet w nikłym świetle ogniska ujrzałem, że się rumieni i odwraca głowę. Dotknąłem dłonią jej policzka i odwróciłem ją ku mnie.

438

-Posłuchaj, Astizo, miałem mnóstwo niełatwych pustynnych mil na przemyślenie tej sprawy. Słońce dyszało mi w kark jak lew, a żar piasku przepalał mi buty. Były dni, kiedy z Aszrafem wysysaliśmy błoto i jedliśmy szarańczę. Ale ja nawet tego nie zauważałem. Myślałem o tobie. Jeżeli ta Księga Tota jest księgą mądrości, może mówi po prostu o tym, że człowiek powinien się cieszyć tym, co ma, zamiast martwić o to, czego nie ma.

- Nie mówisz teraz jak niespokojny włóczęga.

- Bo prawdą jest to, że cię pokochałem - wyznałem po prostu. - Niemal od samego początku, od chwili, w której cię wyciągnąłem spod tego rumowiska i stwierdziłem, że jesteś kobietą. Po prostu niełatwo mi było to pojąć.

A choć byłem obcy w tym kraju, pocałowałem ją i niech mnie diabli porwą, jeżeli nie odpowiedziała mi pocałunkiem znacznie bardziej gorącym, niż się spodziewałem. Jeżeli chodzi o połączenie mężczyzny i kobiety, nie masz nic lepszego od kilku wspólnie przebytych śmiertelnych opresji.

Jak się okazało, Izyda nie była wcale tak wstydliva jak niektórzy z bogów współczesnych, Astiza zaś równie dobrze jak ja wiedziała, czego chce. Jeżeli medalion dobrze wyglądał

na jej potarganych szatach haremowych, jeszcze lepiej ujawnił

swe piękno na jej nagim brzuchu i piersiach, oblekliśmy się więc w światło księżyca, umościiliśmy sobie posłanie z naszych skromnych szat i zaczęliśmy się sycić tą nocą, jakby druga taka nigdy nie miała nastąpić.

Medalion kłuł, gdy dostał się pomiędzy nasze ciała, zdjąłem go więc z szyi Astizy i chwilowo położyłem na piasku. Jej skóra była równie gładka jak pustynia, a jej zapach oszałamiający jak woń kwiatów lotosu. Dusza i ciało kobiety kryją w sobie więcej sekretów niż najstarsze z piramid.

Wielbiłem ją i zgłębiałem jak świątynię, ona zaś szeptała mi w ucho:

- Na tę jedną noc staliśmy się równi bogom...

Później już, leżąc na plecach, owinęła sobie ramię medalionu wokół palców i wskazując niebo i lśniący na nim łuk księżyca, powiedziała:

- Spójrz... Nóż Tota.

ROZDZIAŁ 22

Nasza powrotna podróż do Kairu była wędrówką przez warstwy czasu. Jak nam mówili wieśniacy, porośnięte trawą pagórki kryły ruiny starożytnych miast. Wędrujące wydmy odsłaniały niekiedy szczyty zasypanej świątyni lub sanktuarium. Nieopodal Minyi natrafiliśmy na dwie gigantyczne figury pawianów, tłustych i gładkich, zwróconych spokojnymi pyskami ku wschodzącemu słońcu. Dwukrotnie wyższe od człowieka, osłonięte czymś, co przypominało pierzasty płaszcz, wyglądały majestatycznie i ponadczasowo jak sfinks. Ogromne mały oczywiście były wizerunkami Tota.

Jadąc skrajem pustyni, mijaliśmy setki wiosek pobudowanych z cegieł wyrabianych z wypalanego na słońcu mułu.

Przemykaliśmy wśród gajów palmowych, jakby zielone ogrody były morzem atakującym plażę. Minęliśmy kilkanaście piramid, których wcześniej nie zauważyłem - niektóre się zapadły, tworząc niske pagórki, inne jednak wciąż zachowały pierwotną formę. Wokół nich widać było zatopione w piaskach fragmenty świątyń. Wzdłuż zielonego dna doliny Nilu ciągnęły się zniszczone już trakty podróżne. W powietrze wznosiły się kolumny, które już niczego nie podtrzymywały. Astiza i ja podróżowaliśmy otoczeni jakby własnym małym intymnym światem, świadomi naszej misji i możliwego pościgu, ale szczęśliwi. Nasz sojusz był ucieczką przed brzemieniem i niepokojami. Oboje staliśmy się jednością, dwuznacz-441

ność zastąpiło poświęcenie i oddanie, podążający bez celu wędrowcy znaleźli sens wędrówki. Jak sugerował mi Enoch, znalazłem coś godnego wiary. Nie były to imperia, medaliony, magia ani elektryczność, ale partnerstwo z jadącą obok mnie kobietą. Mogło to być początkiem wszystkiego.

Trójca będących naszym celem piramid wyrosła na krawędzi pustyni jak wyspy z morza. Jechaliśmy ostro, żeby zdążyć na 21 października - odgadywałem, że ta data ma jakieś mistyczne znaczenie. Ochłodziło się, niebo zawisło nad nami jak idealna kopuła, a słońce w niezawodnym boskim rydwanie codziennie

tę

kopułę

przemierzało.

Przez

listowie

porastających brzegi rzeki drzew widoczne były wezbrane wody Nilu. Gdy popołudniowe cienie zaczęły się wydłużać, piramidy nadęły się jak jeden z balonów Conte'go, wielkie, groźne i wyzywające. Wznosiły się nad ziemią, a ich korzenie wyrastały ze świata podziemnego.

Ta wizja podsunęła mi pewną myśl.

- Pozwól, że zobaczę medalion - poprosiłem Astizę.

Wyjęła go i błysnął w słońcu złotem. Spojrzałem na skrzyżowane ramiona liter V - jedna była skierowana wierzchołkiem ku górze, a druga w dół.

- To wygląda jak dwie piramidy, prawda? Połączone podstawami, ale ich wierzchołki wskazują przeciwne kierunki.

- No, można by to uznać za odbicie jednej w zwierciadle wody.

- Tak jakby pod powierzchnią było tyle samo masy, ile nad nią, jak korzenie drzewa.

- Myślisz, że coś jest pod piramidą?

- Było pod świątynią Izydy, prawda? A jeżeli medalion nie wskazuje niczego na zewnątrz, ale wewnątrz? Kiedy badaliśmy wnętrze z Bonapartem, szyby opadały i wznosiły się jak ściany. Kąty były różne, ale słyszało się echo.

442

A może to nie jest symbol piramidy, ale plan jej wewnętrznych szybów?

- Masz na myśli wznoszące się i opadające korytarze?

-Tak. W ładowni statku, którym przyłynąłem do Egiptu, była tablica. - Przypomniałem sobie nagle srebrno-czarną Tablicę Izydy kardynała Bembo, którą pokazywał mi Monge na *L'Oriencie*. - Były na niej poziomy i figurki, jakby przedstawiała mapkę lub diagram jakiegoś podziemnego miejsca mającego różne poziomy.

- Są opowieści, że starożytni mieli księgi, które instruowały zmarłych, jak mają pokonywać niebezpieczeństwa i potwory świata podziemnego - stwierdziła Astiza. - Tot ważył ich serca, a potem ich księga miała ich przeprowadzić pomiędzy kobrai i krokodylami. Jeżeli księga była dobrze napisana, przechodzili na drugą stronę do raj.

Być może jest w tym jakaś prawda. Może ciała zamykane w piramidzie tak naprawdę podejmowały fizyczną wędrówkę przez jakieś podziemne korytarze?

-To mogłoby tłumaczyć nieobecność mumii - przyznałem. -

Ale gdy badaliśmy piramidę, stwierdziliśmy, że jej opadający w dół korytarz kończy się ślepo. Nie ma podziemnego V.

- To prawda, jeżeli chodzi o korytarze, które znamy -

odezwała się Astiza w nagłym przypiływie podniecenia. -Ale po której stronie piramidy jest wejście?

- Od północy.

- A jaką konstelację pokazuje medalion?

- Alfa Draconis, gwiazdę biegunową z czasu budowy piramid. I co z tego?

- Podnieś medalion tak, jakby ta konstelacja była na niebie.

Uniosłem okrągły dysk ku północnej stronie nieba, a światło, prześwitując przez maleńkie otworki, ukazało zarys Draco, smoka. Kiedy to uczyniłem, ramiona medalionu ustawiły się prostopadle do kierunku północ-południe.

443

- Gdyby medalion był mapą, z jakich stron piramidy byłyby te dolne szyby?

- Od wschodniej i zachodniej!

-Więc być może są jeszcze nieodkryte wejścia po wschodniej lub zachodniej stronie piramidy - stwierdziła Astiza.

-Ale dlaczego ich nie odkryto? Ludzie wielokrotnie wspinali się po zboczach piramidy!

Astiza zmarszczyła brwi.

- Nie wiem.

-I jaki to ma związek z Wodnikiem, **przyborem** Nilu i tą porą roku?

- O, tego też nie wiem.

I wtedy zobaczyliśmy biel na **pustyni, niby splachetek** śniegu.

Widok był bardzo interesujący. Francuscy oficerowie, adiutanci, uczeni i słudzy rozsiedli się na pustyni jak na piknik

- konie i osły uwiązano do wbitych w piasek pali z tyłu. Cała grupa usadowiła się twarzami do piramid. Rozstawiono polowe stoły, które poprzykrywano białymi obrusami. Nad nimi porozpinano żagle feluk jako osłony przed słońcem, wykorzystując włócznie pojmanych ma-meluków jako maszty namiotów, a kawaleryjskie szable jako kołki mocujące. Na stołach pyszniły się francuskie kryształki

obok złotych pucharów egipskich, europejskiego srebra i chińskiej porcelany. Na tym wszystkim piętrzyły się stosy owoców, chleba, sera i mięsa. Poustawiano też gotowe do zapalenia świece. Na składanych stołkach rozsiedli się Bonaparte i kilku z jego generałów i naukowców, rozmawiających beztrząsko i spokojnie. Wśród nich spostrzegłem mojego przyjaciela, matematyka Monge'a.

Ponieważ mieliśmy na sobie arabskie burnusy, podszedł do nas jeden z adiutantów zamierzający nas przepędzić jako jeszcze jednych natrętnych Beduinów. Potem 444

dostrzegł moją cerę i urodę Astizy, widoczne i spod jej mi-zernej szaty, choć usiłowała je okryć kapturem. Wytrzeszczył

na nią oczy i gapił się oczywiście znacznie dłużej niż na mnie, tak że zdążyłem go zagadnąć po francusku.

-Jestem Ethan Gage, amerykański uczoney. Przyszedłem, żeby powiadomić generała, że prawie ukończyłem badania i jestem u celu.

- Jakie badania?

- Sekretów piramidy.

Poszedł i szepnął coś do ucha Bonapartemu, który wstał, łypiąc na mnie tygrysim wzrokiem.

- To Gage - mruknął do innych. - Niech mnie diabli!

A to jego kobieta.

Wezwał nas do siebie skinieniem dłoni. Żołnierze obrzucili Astizę pożądliwymi spojrzeniami, ona jednak kroczyła pomiędzy nimi tak skromnie, jak na to pozwalała jej szata, i dumnie patrzyła w pustkę ponad ich głowami. Ludzie powstrzymali ordynarne żarty, ponieważ było w nas obojgu -

jak sądzę - coś szczególnego, jakieś subtelne oznaki partnerstwa i zależności mówiące wszystkim, że jesteśmy parą, a dziewczynę należy szanować i zostawić w spokoju. Nie bez pewnych oporów wszyscy zwrócili spojrzenia na mnie.

- Co ty robisz w tym ubraniu, Gage? - zapytał gniewnie Bonaparte. - Czy ty przypadkiem nie zdezerterowałeś spod mojej komendy? Sądziłem, że uciekł - zwrócił się do Klebera.

-O ile sobie przypominam, ten łotrzyk wyrwał się z więzienia i uciekł przed ścigającym go patrolem - stwierdził

zagadnięty. - A potem zbiegł na pustynię.

Na moje szczęście, nie dotarły jeszcze tutaj wieści o moich wyczynach w Dendarze.

- Przeciwnie, generale, w twojej służbie narażałem się na wielkie niebezpieczeństwa - powiedziałem szybko. -

Moja towarzyszka była uwięziona przez Silana i jego arab-445

skiego kompana, Bin Sadra. Żądał wymiany jej na medalion.

Ale jej odwaga i moja determinacja pozwoliły nam uciec, żeby kontynuować nasze badania. Przyszedłem, żeby zasięgnąć rady doktora Monge'a w pewnej kwestii matematycznej, która...

mam nadzieję... rzuci światło na tajemnicę piramid.

Bonaparte spojrzał na mnie z niedowierzaniem w oczach.

- Uważasz mnie za idiotę? Powiedziałaś, żeś stracił medalion.

- Skłamałem, żeby uchronić medalion przed Silanem, który nie dba o twoje interesy, generale, ani o interesy Francji.

- Skłamałeś.

- Udawałem, żeby ochronić prawdę przed tymi, którzy mogliby z niej zrobić zły użytek. Zechciej mnie wysłuchać, generale. Nie dałem się uwięzić, porwać i nie uciekam.

Przyszedłem do ciebie, ponieważ uważam, że jestem bliski największego odkrycia. Potrzebuję jedynie pomocy jednego z twoich uczonych.

Przeniósł wzrok ze mnie na Astizę - widać było, że gniew walczy w nim z rozbawieniem. Obecność dziewczyny dawała mi nietykalność.

- Ethanie Gage, nie wiem, czy cię nagrodzić, czy rozstrzelać. Jest w tobie coś zaskakującego, coś, co wykracza poza twoje prymitywne amerykańskie maniery i prowincjonalne wychowanie.

- Staram się jak mogę, Monsieur.

- Starasz się! - Powiódł wzrokiem po obecnych, bo dałem mu okazję do pouczającej wypowiedzi. - Starasz się! Nie wystarczy się starać, trzeba robić! Nieprawdaż? Robię, co jest konieczne, żeby osiągnąć to, czego chcę!

- A ja jestem hazardzistą, generale. - Skłoniłem się. - Nie liczy się to, czego chcę, jeżeli karty zechcą inaczej. Czyż fortuna nie jest zmienna? Czyż nie jest prawdą, że choć byłeś bohaterskim obrońcą Tulonu, zostałeś aresztowany 446

wkrótce po upadku Robespierre'a, a potem znów stałeś się bohaterem, gdy twoje działa ocaliły Dyrektoriat?

Skrzywił się, potem wzruszył ramionami, jakby przyznawał

mi rację, i wreszcie się uśmiechnął. Choć nie znosił durniów, rad był wymianie argumentów.

- To prawda, Amerykaninie. Prawda. Wola i szczęście. W

ciągu jednego dnia z taniego paryskiego hoteliku, z za-stawionym mundurem, przeniosłem się do własnego domu z powozem i służbą. Jeden szczęśliwy dzień! - Zwrócił się do innych. - Czy wiecie, jak było z Józefiną? Uwięziono ją i skazano na gilotynę. Pewnego ranka, gdy się obudziła, więzienny dozorca zabrał jej poduszkę, mówiąc, że wieczorem nie będzie już miała głowy do złożenia na tej poduszce! A jednak po kilku godzinach przyszła wiadomość, że Robespierre został ścięty, rządy Terroru się skończyły i zamiast na egzekucję Józefina wyszła na wolność! Wybór i przeznaczenie... jakże fascynująca jest ta gra!

- Przeznaczenie uwięziło nas tu, w Egipcie - stwierdził

mocno już podpity Kleber. - A wojna to nie gra.

- Przeciwnie, Kleber, to gra o najwyższą stawkę, gra o życie i śmierć. Odstąp od gry, a na pewno zostaniesz pokonany. Dobrze mówię, Gage?

- Generale, nie musisz przystępować do każdej gry. - Jakże dziwny był ten człowiek, który mieszał uczciwość polityczną z emocjonalnymi niepokojami, marzenia o wielkości z zimnym cynizmem, do którego otwarcie się przyznawał! Gra? I to właśnie by powiedział zabitym?

- Nie. Ale samo życie jest grą i wszyscy w niej przegrywamy, bo kończy je śmierć. Robimy więc, co w naszej mocy, żeby osiągnąć nieśmiertelność. Faraon wybrał tę piramidę. Ja wybieram... sławę.

- A niektórzy ludzie wybierają dom i rodzinę - odparła spokojnie Astiza. - Osiągają nieśmiertelność w swoich dzieciach.

- Owszem, i tym się zadowalają. Ale ani ja, ani ludzie, 447

którzy za mną pójdą, do nich nie należymy. Chcemy osiągnąć nieśmiertelność w historii. - Bonaparte łyknął wina. - Cóż za filozof wylazł ze mnie podczas tego obiadu! Gage, zastanów się nad obecną tu kobietą. Fortuna to kobieta. Dziś ją masz, jutro cię zawiedzie. - Uśmiechnął się z groźnym błyskiem w oku. - Piękna kobieta, która próbowała mnie zabić.

-W końcu się okazało, generale, że chciała zastrzelić mnie.

Parsknął śmiechem.

-A teraz jesteście razem! Oczywiście! Fortuna także czyni wrogów sojusznikami, a ludzi sobie obcych godnymi zaufania.

-I nagle jakby wytrzeźwiał. - Nie życzę sobie jednak, żebyś krążył po tej pustyni ubrany jak Arab, dopóki nie wyjaśni się ta sprawa z Silanem. Nie rozumiem tego, co jest pomiędzy tobą a hrabią, ale wcale mi się nie podoba wasza wrogość. Ważne jest, żebyśmy wszyscy byli po tej samej stronie. Omawiamy następny krok, jakim będzie podbój Syrii!

- Syrii? Ależ Desaix wciąż ściga Murad Beja po górnym Egipcie!

- To drobne potyczki. Mamy możliwości uderzyć na pół-

nocny wschód. Świat wciąż na mnie czeka, choć Egipcjanie wciąż jeszcze nie są w stanie pojąć, jak dalece mogę ulepszyć ich życie. - Uśmiechnął się skąpo, wyraźnie rozczarowany.

Obietnica obdarzenia Egiptu zachodnią techniką i systemem rządów nie zdobyła mu tu popularności. Reformator, jakiego zobaczyłem w kabinie *UOrientu*, zmieniał się, a jego marzenia o oświeceniu zostały poddane próbie z powodu tępoty i lenistwa ludzi, którym przybył na ratunek. Resztki jego niewinności rozpląnęły się w pustynnym upale. Machnął

dłonią, jakby odganiał muchę. -Tak czy owak, chcę rozwiązać tajemnicę piramid.

- Mogę to zrobić najlepiej, jeżeli hrabia nie będzie mi przeszkadzał.

448

- Zrobisz to przy współpracy hrabiego. Prawda, Monge?

Matematyk wyglądał na zaintrygowanego.

- To zależy, co odkrył Monsieur Gage.

I nagle usłyszeliśmy grzmot jakby odległego gromu. Wszyscy spojrzeli ku Kairowi. Potem usłyszeliśmy echo. Był to huk dział.

- Co to jest? - zdziwił się Napoleon.

Na tle jasnego nieba zobaczyliśmy wzbijającą się wolno ku górze kolumnę dymu. Palba trwała dalej, a potem pokazały się kolejne dymy.

- Coś tam dzieje się w mieście - stwierdził Kleber.

- To oczywiste - odparł Bonaparte. - Spakujcie to wszystko - zwrócił się do adiutantów. - Gdzie mój koń?

- To może być jakaś rebelia - mruknął Kleber niepewnym tonem. - Mówiono o tym na ulicach, a mułowie darli się z tych swoich wieżyczek. Zlekceważyliśmy wszystkie...

- Nie, to Egipcjanie mnie zlekceważyli...

Wszyscy kompletnie zapomnieli o mnie i Astizie. Wielbłądy wstawały powoli, konie rżały z podniecenia, ludzie biegli ku swoim wierzchowcom. Gdy z piasku powyciągano szable, prowizoryczne namioty zaczęły się zapadać. W Kairze doszło do buntu Egipcjan.

- A co z nim? - zapytał adiutant, wskazując mnie palcem.

- Zostawmy go na razie - odparł Napoleon. - Monge, ty i uczeni weźcie Gage'a i dziewczynę. Wracajcie do instytutu, zamknijcie drzwi i nikogo nie wpuszczajcie. Wyślę wam na pomoc kompanię piechoty. Reszta... za mną!

Ruszył galopem przez piaski ku łodziom, które wszystkich przywiozły tu rzeką.

Gdy żołnierze i słudzy pospiesznie pakowali zebraną ze stołów zastawę, Astiza spokojnie zatrzymała jedną ze świec.

Potem wszyscy szybko poszli za oficerami i zostaliśmy sami z Monge'em. Na piasku widniały tylko ślady

449

uczestników przerwanej nagle uczy. Przeleciał nad nami kolejny huragan, pozbawiając nas wszystkich tchu.

- Drogi mój Ethanie - odezwał się Monge, gdy patrzyliśmy na exodus ku Nilowi - gdziekolwiek byś się pojawił, towarzyszą ci kłopoty.

- Doktorze Monge, od samego Paryża próbuję trzymać się od nich z daleka, ale nie za bardzo mi się

to udaje. -Nad rzeką niosła się wrzawa buntu, której nie można było pomylić z żadną inną.

- No to chodźmy. W tej ostatniej sprawie my, naukowcy, powinniśmy się trzymać razem.

- Gaspardzie, nie mogę z tobą wrócić do Kairu. Moja rzecz to piramidy. Popatrz, mam ten medalion, i myślę, że niewiele mi brakuje do zrozumienia jego sekretu.

Na mój znak Astiza wyjęła wisior. Monge wytrzeszczem oczu skwitował zmianę jego kształtu i podobieństwo do symbolu masonerii.

-Jak widzisz - ciągnąłem - znalazłem jeszcze jedną część.

Uważam, że ta błyskotka jest rodzajem mapy do ukrytych miejsc w Wielkiej Piramidzie, o której powiedziałaś, że jest fizyczną demonstracją liczby pi. Kluczem są te znaki, kreski na środkowym dysku. W grobowcu na południu zrozumiałem, że muszą przedstawiać egipskie liczby. Sądzę, że to jakaś matematyczna wskazówka, ale jaka?

- Znaki? Niech no popatrzę jeszcze raz... - Monge wyjął

medalion z rąk Astizy i przyjrzał mu się pod lupą.

- Wyobraź sobie, że te kreski są liczbami - powiedziałem.

Patrzył w milczeniu, poruszając ustami, po czym podniósł

na nas zdumione spojrzenie.

- Ależ oczywiście! Jak mogłem nie dostrzec tego wcze śniej? To w istocie dziwny wzór, ale w tym miejscu jak naj bardziej właściwy. Mój drogi, cóż to za rozczarowanie...

450

Spojrzał na mnie ze współczuciem, a moje serce ścisnęło przeczucie klęski. - Gage, słyszałeś o piramidzie Pascala?

-Nie.

- Nazwano ją tak na cześć Błażeja Pascala, który ponad półtora wieku temu napisał traktat o tym szczególnym na-stępstwie liczb. Powiedział wiele mądrych rzeczy, wśród nich jedną godną zapamiętania, że im bliżej poznaje ludzi, tym bardziej zaczyna lubić psy. Widzisz? To jakby piramidalny postęp.

Pożyczywszy szablę od jednego z dragonów, nakreślił na piasku taki wzór:

1

1 1

1 2 1

13 3 1

14 6 4 1

- No? Widzisz prawidłowość?

Musiałem mieć minę kozła usiłującego przeczytać tekst Tukidydesa. Jęknąwszy w duchu, przypomniałem sobie Jomarda i ciąg Fibonacciego.

- Poza pierwszą - ciągnął cierpliwie Monge - łatwo za uważać, że każda liczba jest sumą dwu sąsiednich znajdujących się nad nią wyżej. Widzisz pierwszą dwójkę? Nad nią są dwie jedynki. Nad trójką jest dwójka i jedynka, nad czwórką jedynka i trójka, a nad szóstką dwie trójki i tak dalej. To piramida albo trójkąt Pascala. Teraz zaczynasz dostrzegać prawidłowość, ale sęk w tym, że można to ciągnąć w nieskończoność. A teraz spójrz na wasz medalion.

451

I

II

III

IIII

- To początek tego samego trójkąta! - wypaliłem. - Ale cóż to znaczy?

Monge oddał krążek Astizie.

- To znaczy że ten medalion nie może pochodzić z Egiptu. Przykro mi, Ethanie, ale jeśli to jest trójkąt Pascala, to wasze poszukiwania są daremne. Żaden z matematyków starożytności nie znał tego wzoru. To bez wątpienia współczesna podróbka.

Poczułem się jak ktoś nagle kopnięty przez konia w brzuch.

Podróbka? Czyżby to miała być jeszcze jedna sztuczka starego Cagliostro? Cała ta długa podróż, śmierć Talmy i Enocha, czyżby to wszystko było daremne?

- Ale to wygląda jak piramida!

- Albo piramida wygląda jak trójkąt. Jakiż byłby lepszy sposób, by zrobić fałszywy egipski medalion, niż naśladowanie piramidy? Prawdopodobnie była to zabawka jakiegoś uczonego lub talizman mający przynosić szczęście z liczbą pi i ramionami kompasu. Może to jakiś żart. Któż to wie? Podejrzewam po prostu, mój przyjacielu, że zostałeś nabrany przez sprytnego szarlatana. Być może był nim żołnierz, od którego wygrałeś tę błyskotkę. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Nie masz

powodów do wstydu. W końcu wszyscy wiemy, że nie jesteś prawdziwym uczonym.

Zakręciło mi się w głowie.

- Byłem pewien, że rozwiązanie zagadki jest w zasięgu ręki...

- Ethanie, polubiłem cię i nie chcę, żeby ci się stała 452

krzywda. Pozwól więc, że udzielę ci pewnej rady. Nie wracaj do Kairu. Bóg wie co się tam dzieje. - Odgłosy strzelaniny były coraz głośniejsze. - Bonaparte podejrzewa, że stałeś się dla niego bezużyteczny, a niecierpliwość może mu podsunąć jakiś zły pomysł. Popłyn łodzią z Astizą do Aleksandrii, a tam wsiądźcie na pokład statku płynącego do Ameryki.

Brytyjczycy was przepuszczą, jeżeli im się odpowiednio przedstawisz, co zresztą do tej pory ci się udawało. Wracaj do domu, Ethanie Gage. - Potrząsnął moją ręką. - Wracaj do domu.

Stałem wstrząśnięty, z trudem godząc się z myślą, że wszystkie moje wysiłki spełzły na niczym. Byłem pewien, że medalion wskazuje drogę do wnętrza piramidy, i oto największy z francuskich matematyków powiedział mi, że dałem się nabrać! Monge uśmiechnął się do mnie pocieszająco.

Potem zebrał swoje narzędzia, wspinał się na grzbiet osiołka, na którym tu przyjechał, i powoli zaczął zjeżdżać ku stolicy, swojemu instytutowi i coraz głośniejszej strzelaninie.

Odwrócił się ku mnie.

- Wiele bym dał za to, żeby móc zrobić to samo!

Astiza patrzyła za Monge'em z twarzą pociemniałą od gniewu i rozczarowania. Kiedy oddalił się poza zasięg głosu, dała upust swoim uczuciom okrzykiem:

- Ten człowiek jest głupcem!

Zatkało mnie.

- Astizo, to jeden z najświetniejszych umysłów Francji!

- Który oczywiście wierzy, że jego pompatyczna opinia kończy wszystkie spory, bo tak orzekła europejska nauka! Czy potrafiłby zbudować piramidę? Oczywiście, że nie! A jednak uważa, że ludzie, którzy ją zbudowali, wiedzieli o liczbach mniej od niego albo od tego jego Pascala!

- No, tak tego nie sformułował.

453

- Popatrz na te liczby, które nakreślił na piasku! Czyż nie wyglądają jak piramida, przed którą stoisz?

- Owszem.

- I niby nie mają nic wspólnego z powodem, dla którego tu jesteśmy? Nie wierzę!

- Ale jak to się ze sobą wiąże?

Powiodła wzrokiem od piramidy liczb na piasku ku wznoszącej się nad nami piramidzie.

- Myślę, że to oczywiste. Te liczby odpowiadają blokom piramidy. Na szczycie jeden... teraz go brakuje. Po tem dwa na tej ścianie, potem trzy, cztery, pięć i tak dalej.

Warstwa po warstwie, blok po bloku. Jeżeli zechcesz, możesz ponumerować każdy blok. Ten Monge jest ślepy!

Czyżby miała rację? Poczujęm podniecenie.

- Dokończmy kilka następnych rzędów.

Prawidłowość wkrótce stała się widoczna. Nie chodziło nawet tylko o to, że liczby rosły w miarę schodzenia w dół, ku podstawie piramidy, po wyimaginowanej pionowej linii, która dzieliła ścianę na dwie lustrzane połowy, ale idąc od boków, rosły również ku środkowi, zachowując pełną symetrię. W

kolejnej linii na przykład znajdowały się 1, 6, 15, 20, 15, 6 i 1.

tak dalej, każdy rząd był szerszy i zawierał coraz większe liczby. W trzynastym od góry pośrodku była liczba 924.

- Jakiej liczby szukamy? - zapytałem.

- Nie wiem.

- To co dobrego z tego wyniknie?

- Zrozumiemy, kiedy zobaczymy.

Liczyliśmy dalej. Gdy słońce pochyliło się ku zachodowi, cienie piramid się wydłużyły. Astiza dotknęła dłonią mojego ramienia i wskazała ku południowi. Na horyzoncie majaczył

pióropusz kurzu, sygnalizujący zbliżanie się znacznej grupy jeźdźców. Poczujęm się niepewnie. Jeżeli Silano i Bin Sadr przeżyli, właśnie z tamtej strony powinni nadjeżdżać. Na północnym wschodzie widzieliśmy ognie

454

płonącego Kairu i słyszeliśmy równomierny już huk salw francuskiej artylerii. W stolicy, którą Napoleon uznał za spacyfikowaną, wybuchła regularna bitwa. Jego władza była znacznie słabsza, niż sądził. Zobaczyłem wznoszącą się w powietrze wielką kulę - był to niewątpliwie jeden z balonów Conte'go, których Francuzi używali do obserwacji pola walki.

- Pospieszmy się lepiej - mruknąłem.

Zacząłem szybciej wypisywać liczby, ale każdy szereg był

dłuższy i bardziej skomplikowany od poprzedniego. A co, jeżeli się pomyliłem? Astiza pomagała mi w obliczeniach, szybko dodając liczby w myślach. Piramida na piasku rosła, liczba po liczbie i blok po bloku przypominając coraz bardziej tę nad nami. Wkrótce rozboleł mnie grzbiet i cyfry zaczęły mi się rozmazywać w oczach. Liczby, liczby, liczby... Czy - jak sugerował Monge - była to fałszywa nadzieja? Czy starożytni Egipcjanie znali tę zagadkę? Czemuż mieliby zbudować coś tak tajemniczego, a potem zostawić ślad wskazujący rozwiązanie i wejście? W końcu, mniej więcej o sto pięćdziesiąt rzędów od góry, trafiliśmy na kamień mający numer składający się z cyfr, o których matematycy powiedzieli mi, że to egipska wartość liczby pi: 3160.

Zatrzymałem się i palnąłem dłonią w czoło. Oczywiście!

Medalion był mapą wskazującą określony blok w piramidzie!

Stań twarzą ku północy. Wyobraź sobie szyb i drzwi na wschodzie i zachodniej ścianie. Przypomnij sobie liczbę pi.

Poszukaj bloku oznaczonego tym numerem. Poczekaj na dzień Wodnika w odniesieniu do czasu, w którym Egip-q'anie oznaczali tym znakiem przybór Nilu i... wejdź!

Jeżeli miałem rację.

Gdy zaczęliśmy się wspinać na zachodnią stronę piramidy, świeciła różowo. Było już późne popołudnie, słońce wisiało nisko i było nadęte jak balon Conte'go. Konie 455

uwiązaliśmy na dole, a odgłosy strzelaniny w Kairze tłumił

masyw kamienia znajdującego się pomiędzy nami i miastem.

Jak przedtem, z trudem wspinaliśmy się po wysokich, stromych i nadgryzionych przez ząb czasu blokach. Podczas wspinaczki liczyłem, usiłując znaleźć rząd i blok, który odpowiadał wiecznej liczbie zaklętej w wymiarach piramidy.

- A jeżeli liczby odnoszą się do kamieni, których już nie ma? - zapytałem.

- Mam nadzieję, że odpowiadały tym wewnętrznym. Albo znajdowały się blisko. Medalion wskazałby nam kamień otwierający drogę do jądra tej budowli.

Ciężko sapiąc, dotarliśmy do trzydziestego czwartego rzędu, kiedy Astiza wyciągnęła rękę.

- Ethanie, spójrz!

Zza rogu sąsiedniej piramidy wyłoniła się grupa jadących galopem jeźdźców. Jeden z nich nas zobaczył i krzykiem powiadomił o odkryciu pozostałych. Nawet w nikłym świetle wieczoru bez trudu

dostrzeżliśmy wśród nich spowitych w bandażę Silana i Bin Sadra, niemiłosiernie chłuszczących spienione konie. Jeżeli nie znajdziemy wejścia, oboje nas spotka śmierć - lub los gorszy od śmierci, gdy Bin Sadr da upust swej nienawiści.

- Znajdźmy lepiej ten kamień.

Nie przerwaliśmy liczenia. Na zachodniej ścianie piramidy były tysiące bloków i gdy dotarliśmy do tego, który mógł być naszym blokiem, zobaczyliśmy, że niczym się nie różni od innych. Był to głaz o powierzchni zrytej dłutem czasu, ważący kilkanaście ton i mocno zaklinowany przez kolosalny ciężar bloków leżących nad nim. Pchałem, naciskałem i kopałem, ale kamień był niewzruszony... jak kamień.

Nieopodal nas wystrzelona ku nam kula odłupała kawałek skały.

- Poczekaj! Pomyśl! - ponagliła mnie Astiza. - Musi 456

być w tym jakiś sekret, bo inaczej mógłby nań trafić byle przypadkowy głupek. - Podniosła medalion.
- On musi mieć z tym coś wspólnego!

Wokół nas zaczęły coraz częściej klaskać kule.

-Tkwimy na tej ścianie jak na tarczy strzelniczej -

mruknałem.

Astiza spojrzała w dół.

- Nie. On potrzebuje nas żywych, żeby się dowiedzieć, co odkryliśmy. Bin Sadr z rozkoszą wydusi z nas wszyst ko, co wiemy.

Istotnie, Silano gniewnymi okrzykami nakazał strzelającym odłożyć muszkiety i pognał ich ku podstawie piramidy.

-Wspaniale. - Musnąłem palcami medalion. I nagle zdałem sobie sprawę, że cień drugiej piramidy zaczyna sunąć po ścianie naszej, zbliżając się coraz bardziej ku miejscu, gdzie staliśmy. Szczyt tej drugiej był nietknięty i ostry; pokazywał

teraz blok leżący nieco na prawo i kilka warstw niżej niż nasz.

Każdego dnia, gdy słońce dotykało horyzontu, wskazywał inny blok i to właśnie była data, jaką wywnioskowałem ze złotego kalendarza. Czyżbyśmy się pomylili w rachunku bloków?

Skoczyłem w dół, do wskazywanego przez cień bloku, i uniosłem medalion ku słońcu. Światło padające przez otworki rzuciło na wapień jasne plamki układające się w kształt gwiazdozbioru Smoka.

- Popatrz! - wskazała Astiza.

U podstawy bloku widać było nikły rząd dziur lub raczej wyrytych dłutem punktów odwzorowujących konstelację Smoka. A znajdująca się pod nią szczelina pomiędzy blokami była nieco szersza niż zwykle w innych miejscach. Kucnąłem i zdmuchnąłem pył z najmniej wyraźnych rys. One również układały się w zaznaczone na kamieniu symbole masońskie.

Z dołu dobiegały wrzaski Arabów, zaczynających się wspinać na bloki.

457

-Gage, poddaj się! - zawołał Silano. - Przybyłeś za późno!

Poczułem tchnienie wiatru lub przeciągu spod kamiennego bloku, jakby za nim była pustka.

- To tutaj! - szepnąłem i uderzyłem kamień dłonią. -

Ruszaj się, szlag by cię trafił!

I wtedy przypomniałem sobie nazwę, jaką inni określali medalion od chwili, w której go wygrałem. Klucz. Spró-

bowiałem wsunąć dysk w szczelinę, ale był obustronnie nieznacznie wypukły i nie pasował.

Spojrzałem w dół. Teraz wspinali się Silano i Bin Sadr.

Odwrociłem wisior, wsuwając w szczelinę złączone ramiona. Utknęły. Targnąłem niecierpliwie, weszły nieco głębiej...

I nagle usłyszałem szcęknięcie. Ramiona medalionu wsunęły się głębiej, jakby pociągnięte jakąś sprężyną, a dysk oderwał się od całości i podskakując po kamieniach, poleciał w dół, do Silana. Zaraz potem usłyszeliśmy zgrzyt kamienia o kamień. Ludzie w dole dzikimi wrzaskami ponaglali się do wysiłku.

Kamień nagle jakby stał się nieważki i uniósł się o część cala nad kamiennym podłożem. Pchnąłem go i zapadł się w głąb, jak lekka, puchowa poduszka. Za nim ukazał się ciemny otwór szybu, który opadał pod tym samym kątem, pod jakim wznosił się korytarz, który badaliśmy z Napoleonem. Wążący dziesiątki tysięcy funtów kamienny blok stał się lekki jak piórko. A skała połknęła klucz, który przepadł w niej bez śladu.

Znaleźliśmy sekretne wejście. Gdzie podziała się Astiza?

- Ethanie!

Odwrociłem się jak kolnięty szydłem. Moja towarzyszka zsunęła się po stromym zboczku, żeby odzyskać dysk, i Silano chwycił ją za burnus. Szarpnęła się w tył, zostawiając mu w ręku fragment płótna, i wdrapała się wyżej.

458

Wyrwałem z pochwy szablę Aszrafa i skoczyłem jej na pomoc.

Silano z błyskiem w oku wydobył swój nowy rapier.

- Zastrzel go! - wrzasnął Bin Sadr.

- Nie! Tym razem nie pomoże mu sztuczka z rusznicą! Jest mój!

Postanowiłem zrezygnować z wyrafinowania na rzecz brutalnej siły. Gdy jego sztych mknął ku mojej piersi, wydałem okrzyk godny rozjuszonego wikinga i rąbnąłem, jakbym ścinał

drzewo. Stałem wyżej od niego, co dało mi półmetrową przewagę, i uderzyłem tak szybko, że zamiast pchnąć, musiał

się zastawić. Stal szczęknęła o stal, jego klinga ustąpiła pod impetem mojego ciosu - nie pękła, ale wykręciła mu nadgarstek, wciąż jeszcze - na co po cichu liczyłem - obolały po eksplozji mojej rusznicy. Uchylił się, żeby nie wypuścić broni z ręki, ale stracił przy tym równowagę. Klnąc jak potępieniec, poleciał w dół i wpadł na swoich opryszków. Cała grupa malowniczo potoczyła się po stromych blokach, rykami bólu kwitując kolejne poziomy. Cisnąłem szablą niby włócznią, usiłując trafić Bin Sa-dra, ten jednak zdążył się uchylić. Zamiast niego dostało się innemu rzezimieszkowi, który runął, wyjąc z bólu.

Teraz zaatakował mnie Bin Sadr, obnażając grot wystający z końca jego wężowej laski. Pchnął mocno, ja się uchyliłem -

ale nie zrobiłem tego dość szybko i grot jak brzytwa liznął

płytko moje ramię. Zanim zdążył ponowić cios, dostał w gębę rzuconym z góry kamieniem. Astiza, którą zmierzwione włosy upodobniły do Meduzy, miotła w dół odłamkami bloków piramidy.

Bin Sadr też nie był w najlepszej kondycji i mógł wywijać swoją laską, trzymając ją tylko w jednej ręce; drugą miał ranną.

Pojąłem, że mam szansę dogodzić mu do żywego. Chwyciłem drzewce jego laski i szarpnąłem w górę, choć desperacko usiłowałem je wyrwać, mimo że Astiza zasypywała go gradem kamieni. Pchnąłem więc w dół - on zaś stracił równowagę i musiał rozluźnić uścisk. Po-459

nownie szarpnąłem ku sobie, Arab puścił laskę i poleciał w dół, koziołkując po kilku poziomach kamiennych bloków. Miał

zakrwawioną gębę - a ja zdobyłem jego cenną laskę. Po raz pierwszy zobaczyłem w jego oczach błysk strachu.

- Oddaj to!

- Zobaczymy, jak się pali, draniu!

Nie mając dokąd uciekać, Astiza i ja cofnęliśmy się ku otworowi i wpełzaliśmy do środka. Zapierając się o ściany szybu, żeby się nie ześlizgnąć w głąb, sięgnęliśmy ku górze i pociągnęliśmy kamień ku sobie. Bin Sadr, wyjąc z wściekłości, jak szalenciec drapał się w górę. Blok opadł równie łatwo, jak się uniósł, zsuwając się jednak, odzyskał swoją wagę i nabierając impetu, wyrzwał łotra w pysk z gromowym grzmotem. W jednej chwili otoczyły nas nieprzebyte ciemności.

Usłyszeliśmy stłumione wrzaski Arabów, którzy walili czym popadło w kamienne drzwi z tamtej strony. Potem zagrzmiął zrozpaczony i zdeterminowany Silano:

- Proch! Dajcie tu proch.

Może wcale nie mieliśmy tyle czasu, jak nam się wydawało...

Wewnątrz piramidy było ciemno jak w brzuchu czarnego byka, aż Astiza trzasnęła czymś z boku i zobaczyłem błysk ognia. Zapaliła świecę, którą porwała ze stołu Bonapartego.

Było tak ciemno, że nikłe światło rozjaśniło całą sztolnię niby błysk racy. Zmrużyłem oczy, usiłując się zorientować w otoczeniu przed zrobieniem kolejnego kroku. Tuż obok wejścia dostrzegłem niszę, w której umieszczono na zawiasie oś ze lśniącego złota połączoną z kamiennymi drzwiami, przez które tu weszliśmy. Wygląd osi był zdumiewający - miała przynajmniej pięć centymetrów grubości i doszedłem do wniosku, że złoto musi chronić przed korozją właściwy materiał, z jakiego ją wykonano. Wyglądało to na mechanizm unoszący kamienny

460

blok jak pionowo pracując}' tłok. W miejscu, gdzie łączyła się z blokiem, ujrzałem panewkę i długi szyb w dół, którego koniec niknął w mroku. Nie miałem pojęcia, jak to wszystko działa.

Spróbowałem pociągnąć drzwi. Były zaklinowane i jak przedtem ciężkie niczym sumienie Judasza. Odwrót wydawał

się niemożliwy. Byliśmy bezpieczni - na krótko, i zamknięci w pułapce - na zawsze. I wtedy spostrzegłem coś, na co wcześniej nie zwróciłem uwagi. Wzdłuż ścian pochyłego szybu, jak stojaki z bronią, stały kompletnie wysuszone pochodnie z chrustu.

Ktoś chciał, żebyśmy znaleźli drogę na dno.

ROZDZIAŁ 23

I ten korytarz wydał mi się raczej przeznaczony do ześlizgiwania się dusz w dół niż do uciążliwego wspinania się ludzi pod górę. W drodze trochę się ślizgaliśmy, co chwila zapierając się rękami o ściany. Czemuż tu nie było stopni?

Czyżby zjeżdżały tędy lub wjeżdżały w górę jakieś wozy czy pojazdy? Czy budowniczowie się nie spodziewali, że ktoś będzie korzystał z tej drogi? A może te szyby budowano dla stworów czy pojazdów, o których niczego nie wiedzieliśmy?

Przebywając pierwsze trzydzieści metrów, minęliśmy trzy zagłębienia w sklepieniu sztolni. Podniósłszy pochodnię, dostrzegłem zawieszane w nich bloki ciemnego granitu. Czemu miały służyć te wcięcia?

Schodziliśmy coraz niżej. W końcu wyciosane ręką ludzką bloki ustąpiły ścianom z jednolitego wapienia, idealnie prostym i wygładzonym. Opuściliśmy więc teren piramidy i zagłębiliśmy się w skalne łoże, na którym ją wzniesiono.

Spuszczaliśmy się we wnętrzości ziemi, schodząc znacznie głębiej, niż sięgał szyb, który zbadałem w towarzystwie Jomarda i Napoleona. Korytarz zaczął się wic zakosami.

Powiew powietrza targał smugę dymu z naszej pochodni.

Pachniało skalnym pyłem.

Korytarz nagle tak się obniżył, że dalej musieliśmy się czołgać na kolanach i łokciach. Potem sklepienie raptem się uniosło. Gdy wstaliśmy i unieśliśmy żagiew, odkryliśmy, że znajdujemy się w rozległej wapiennej jaskini. Wy-462

gładzony kanał wskazywał, że niegdyś płynęła tu woda.

Wysoko nad nami wisały sople stalaktytów. Choć sklepienie było dziełem natury, ściany wygładzono i pokryto hieroglifami oraz rysunkami. I znów nie mogliśmy odczytać ani jednego słowa. Rysunki przedstawiały przysadziste stworzenia z wyszczerzonymi

zębami

zamykające

przejście

pełne

bezdennych jam i strzelających z podłogi języków ognia.

- Świat podziemny - szepnęła Astiza.

Wzdłuż ścian, niczym dodający otuchy i chroniący zmarłych strażnicy, stały posagi potężnie umięśnionych bogów i faraonów o dumnych twarzach, oczach pełnych spokoju i powagi, i pemych wargach. Drzwi wejściowych strzegły rzeźbione kobry. Pod kamiennym sklepieniem nad drzwiami wejściowymi

widniał

rząd

pawianów.

Nieopodal

przeciwległych drzwi stał posąg Tota o głowie ibi-sa. Bóg w lewej ręce trzymał szalę, na której ważył ludzkie dusze.

- Mój Boże, co to za miejsce? - mruknąłem.

Astiza mocno się do mnie przytuliła, dygocząc z zimna - w jaskini panowała niska temperatura.

- Myślę, że to prawdziwy grobowiec. Z pewnością nie był nim ten pusty sarkofag w piramidzie, który mi opisałeś. Opowieści Herodota o tym, że komora grobowa jest pod piramidą, mogą być prawdziwe.

Objąłem ją ramieniem.

- To po co zbudowali nad nim całą górę?

- Żeby ukryć prawdziwy grobowiec, zaznaczyć miejsce, gdzie się znajduje, zapieczętować go i wprowadzić w błąd tych, co chcieliby go obrabować. - Astiza na oczekaniu podała mi kilka powodów, które mogły być prawdziwe. W istocie był to sposób, żeby ukryć na wieczność grobowiec albo coś, co zostało w nim złożone. Z drugiej strony starożytni mogli chcieć zapewnić sobie możliwość odszukania grobowca w dowolnej chwili, zaznaczając

463

miejsce budowlą, której nie da się nie zauważyć - Wielką Piramidą.

- Znaczy, ta jaskinia jest miejscem ostatniego spoczynku faraona?

- Mogli tu ukryć coś znacznie ważniejszego.

Spojrzałem na ptasiogłowy posąg.

- Masz na myśli cel wszystkich poszukiwań, tajemnicę tajemnic, spisana przez Tota magiczną księgę wszechwie dzy?

- Myślę, że tu właśnie moglibyśmy ją znaleźć.

Roześmiałem się.

- Więc musimy jedynie znaleźć drogę na zewnątrz! Astiza spojrzała na sklepienie.

- Uważasz, że starożytni wyłobili tę całą jaskinię?

- Nie. Nasz geolog, Dolomieu, powiada, że podziemne potoki mogą wyrzeźbić wielkie pieczary, a wiemy, że nie opodal płynie Nil. W przeszłości przez ten płaskowyż płyła rzeka albo jakiś dopływ. Być może jest pełen takich jaskiń, jak pszczeli plaster. Kiedy odkryli to Egipcjanie, znaleźli

idealną kryjówkę... pod warunkiem, że zachowa ne zostanie w tajemnicy jej istnienie. Myślę, że masz rację.

Zbuduj piramidę, a każdy będzie się gapił na nią i nikt nie pomyśli, co jest pod spodem.

Ujęła mnie za ramię.

- Może te korytarze, które badał Bonaparte, miały po prostu przekonać zwykłych budowniczych i robotników, że faraon zostanie w nich pochowany.

-A inni zbudowali korytarz, przez który tu weszliśmy, i wyryli te napisy. A potem zeszli tu i wrócili na górę, prawda? -

usiłowałem mówić pewnym siebie tonem.

- Nie, nie wrócili. - Astiza wskazała ręką w głąb groty.

W mroku przed nami, tuż za stopami Tota, zobaczyłem rozsypane na ziemi kości i czaszki wypełniające jaskinię od ściany do ściany. Puste oczodoły i martwe uśmiechy.

Podeszliśmy bliżej z dreszczem zgrozy, żeby je zbadać.

464

Były tu setki ludzkich szkieletów, ułożonych w równych rzędach. Przyjrzawszy im się, nie zobaczyłem żadnych śladów wskazujących na rodzaj broni, jaka przyniosła im śmierć.

- Niewolnicy i kapłani - odezwała się Astiza. - Otruto ich lub poderżnięto im gardła, żeby nie wynieśli sekretu na zewnątrz. Ten grób był ich ostatnim dziełem.

Trąciłem stopą jedną z czaszek.

- Zróbmy wszystko, żeby nie stał się i naszym. Chodź

my. Wyczuwam gdzieś tu wodę.

Przeszliśmy przez komnatę szkieletów, starając się nie zakłócić spokoju zmarłych; i trafiliśmy do kolejnej jaskini z jakąś jamą pośrodku. Była otoczona niską cembrowiną, a gdy ostrożnie zerknęliśmy w dół, ujrzeliśmy odbicie światła naszej pochodni w wodzie. Była to studnia. Ku dziurze w sklepieniu wznosiła się z niej złota oś identyczna z tą, jaką widziałem na górze. Czy to ta sama? Jaskinia mogła więc się tak, żeby przyprowadzić nas pod sekretne drzwi, a oś mogła być tą, która równoważyła ciężar bloku, mimo którego tu weszliśmy.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem osi. Zakołysała się łagodnie w górę i w dół, jakby unosiła ją woda. Przyjrzałem się jej bardziej uważnie. W głębi studni oś wznosiła się z pływającej na powierzchni wody złotej kuli o średnicy równej wzrostowi człowieka. Unosiła się lub opadała w zależności od poziomu wody studni. Na wewnętrznej ścianie studni wyżłobiono podziałkę. Ująłem oburącz zimny

złoty trzpień i nacisnąłem.

Kula zakołysała się w górę i w dół.

- Stary Ben Franklin dużo by dał, żeby się dowiedzieć, co to jest.

- Te znaki są podobne do mierników na Nilu używanych do określania wysokości poziomu przyboru - wyjaśniła Astiza. -

Im wyższy przybór, tym większe plony i tym większe podatki nakładał faraon. Ale czemu miałyby służyć ten miernik tutaj?

465

Usłyszałem gdzieś przed nami szum płynącej wody.

- Bo ta studnia jest połączona z jakimś podziemnym dopływem Nilu - domyśliłem się. - Gdy rzeka wzbiera, podnosi się woda w tej studni, a razem z nią ta oś.

- Ale po co to wszystko?

- Bo to brama, która się otwiera tylko w określonym czasie

- podjąłem rozmowę. - Zamek uruchamiany tylko w pewnej porze roku. Przypomnij sobie ten kalendarz, który wskazywał dzisiejszą datę, dwudziesty pierwszy dzień października. Ktokolwiek zbudował to wejście, przez które tu dotarliśmy, urządził to tak, żeby otwierało się w czasie największego przyboru Nilu i tylko przed tym, kto zrozumiał

sekret medalionu. Gdy poziom rzeki się podnosi, woda unosi też tę oś w górę i popycha jakąś windę lub mechanizm unoszący ten blok tak, żeby można go było otworzyć kluczem medalionu. Podczas suszy to wejście jest szczelnie zamknięte.

- Ale dlaczego można tu wejść tylko podczas przyboru Nilu?

Wzruszyłem ramionami.

- Dobrze pytanie.

Ruszyliśmy dalej. Jaskinia wiła się tak, że dość szybko straciłem orientację. Nasze pierwsze pochodnie wypaliły się do końca, więc zapaliliśmy następne. Nie boję się ciasnoty, ale tu czułem się jak pogrzebany. Był to w istocie podziemny świat Ozyrysa! A potem trafiliśmy do ogromnej jaskini, wobec której karłały wszystkie poprzednie, tak rozległej, że światło naszych pochodni ginęło w mroku. Przez nami rozciągała się tafla mrocznej wody.

Staliśmy na brzegu podziemnego jeziora o ciemnych, nieruchomych wodach, nad którymi rozpięto się kamienne sklepienie. Pośrodku widać było kamienny pawilon - sam dach i wspierające go cztery kolumny. Wokół niego leżały rzucone bezładnie na stosy skrzynie, posążki i mnóstwo innych

re nawet z daleka lśniły i migotały blaskiem złota i klejnotów.

- Skarbiec. - Usiłowałem powiedzieć to tak, żeby zabrzmiało spokojnie, ale z mojej krtani wydobyło się jakby krakanie,

- Tak jak to opisywał Herodot - szepnęła Astiza, jakby wciąż nie mogąc uwierzyć własnym oczom. - Jezioro i ta wyspa to prawdziwe miejsce spoczynku faraona. Nietknięte i nigdy nieobrabowane. Cóż na widok!

- Jesteśmy bogaci! - dodałem, choć obecny stan mojego ducha nie był li tylko wyrazem zwykłej chciwości. Nie szczycę się swoimi zdolnościami handlowymi, ale - tam do kata! - w ciągu ostatnich kilku miesięcy przeszedłem przez piekło i odrobina grosza byłaby w końcu jakąś rekompensatą.

Oszłomiło mnie to bogactwo podobnie jak widok skarbu w ładowni *UOrientu*. Nie myślałem w tej chwili o ich wartości historycznej. Chciałem tylko wziąć, co się dało, jakoś to zawinąć i wymknąć się z tej świątyni, przemykając obok całej francuskiej armii.

Poczułem uścisk dłoni Astizy.

- Ethanie, to jest to, o czym mówiły legendy. Księga odwiecznej wiedzy, tak potężnej i niebezpiecznej, że musi być ukryta, dopóki ludzie nie zmądrzeją na tyle, żeby wie dzieć, jak jej używać. Podejrzewam, że znajdziemy ją w tej małej świątyni.

-Niby co? - Wciąż byłem oszłomiony widokiem złota.

- Księga Tota. Wiedza dotycząca istoty istnienia.

- A, tak. I co, jesteśmy gotowi na odpowiedzi?

- Musimy ją zabezpieczyć przed heretykami, takimi jak wyznawcy rytu egipskiego, dopóki ludzie nie staną się mądrzejsi.

Dotknąłem butem powierzchni wody.

- Szkoda, że nie mamy zaklęcia pozwalającego kroczyć po wodzie, bo wygląda na cholernie zimną.

- Nie, spójrz tam. To łódź, która miała zabrać faraona w zaświaty.

Na kamiennym łożu obok jeziora spoczywała łódź smukła jak szkuner, wąska, lekka i biała, o wysoko uniesionym dziobie i rufie - takie same widziałem na świątynnych malowidłach.

Była dość duża, żeby unieść nas oboje, i miała złocone wiosło.

Dlaczego nie spróchniała ani nie przegniła? Bo nie została zbudowana z drewna, ale wydrążono ją w alabastrze ozdobionym złoceniami. Polerowany kamień był niemal przejrzysty i przeświecało przezeń światło pochodni.

- Czy kamień może pływać?

- Garnek o cienkich ściankach całkiem niezłe się trzyma na wodzie - odparła Astiza.

Dotykając ostrożnie łodzi, spuściliśmy ją na ciemną wodę.

Po jej gładkiej, zwierciadlanej powierzchni rozeszły się drobniutkie fale.

- Myślisz, że w tej wodzie coś żyje? - zapytałem nie pewnie.

Astiza wsiadła do łodzi.

- Powiem ci, jak przepłyniemy na drugą stronę.

Burty były delikatne jak szkło. Wsiadłem i odepchnąłem łódź od brzegu laską Bin Sadra. Popłynęliśmy ku wyspie/mierząc niespokojnymi spojrzeniami powierzchnię jeziora.

Nie było wielkie - świątynka była nawet mniejsza, niż myślałem. Dobiliśmy do brzegu i oniemieliśmy na widok zgromadzonych przez faraona niezmiernych bogactw. Był tu złoty rydwan o kołach ze srebrnymi szprychami, wspaniałe meble wykładane hebanem i nefrytem, cedrowe skrzynie, zdobione klejnotami zbroje i broń, psiogłowi bogowie oraz dzbany oliwy i korzennych przypraw. Pagórek lśnił od szlachetnych kamieni, takich jak szmaragdy i rubiny. Były tu też turkusy, szafiry, jaspisy, kornaliny, malachity, bursztyny, korale i lapis lazuli. Był też sarkofag

468

z czerwonego granitu z solidną pokrywą, której nie dźwi-gnęłoby chyba nawet kilkunastu mężczyzn. Czy ktoś pod nią leżał? Niewiele mnie to interesowało. Nie miałem zamiaru zakłócać spokoju pogrzebanego przed tysiącami lat faraona.

Odpowiadał mi natomiast pomysł wyniesienia stąd choćby drobnej części tego łupu.

Astiza jednak w ogóle nie zwróciła uwagi na te skarby.

Zerknąwszy przelotnie na wspaniałe kamienie, przepyszne szaty, pełne bogactw dzbany i złote naczynia, przeszła jak w transie po srebrnej ścieżce ku małej świątyni, której kolumny wyrzeźbiono w kształt Tota - boga o głowie pawiana.

Ruszyłem za nią.

Pod marmurowym dachem stał także stół. Na nim znajdowała się szkatuła z czerwonego granitu, a

wewnątrz złoty sześciąt ze złotymi drzwiczkami. Wszystko to, żeby zamknąć wewnątrz księgę albo raczej zwoje pergaminów. Drzwiczki otworzyły się gładko, jakby je niedawno naoliwiono.

Sięgnąłem do środka.

Nic.

Sięgnąłem na boki, ale moje palce natykały się wyłącznie na zimną, gładką powierzchnię.

- Tyle o mądrości! - parsknąłem.

- Nic tam nie ma?

-Wiedza Egipcjan wcale nie wykraczała poza znane nam obecnie granice. To mit, Astizo? Stała jak ogłuszona.

- To po co zbudowano tę świątynię? Po co umieszczono tu tę szkatułkę? Skąd wzięły się te wszystkie legendy?

Wzruszyłem ramionami.

-Może łatwiej było zamknąć wszystko w bibliotece. Tej księgi nigdy nie napisano. Astiza rozejrzała się nieufnie.

- Nie. Tę księgę stąd ukradziono.

- A ja myślę, że nigdy jej tu nie było.

469

Potrząsnęła głową.

- Nie. Bez powodu nie zbudowano by tego skarbcza ze złota i granitu. Ktoś był tu przed nami. Ktoś o wysokiej pozycji społecznej, wiedzący, jak tu wejść, i dostatecznie gniewny i dumny, żeby się nie ugiąć przed majestatem pi ramidy.

-I nie wziął nic z tego złota?

- Ten prorok nie dbał o złoto. Myślał o innym świecie niż ten. A zresztą złoto jest niczym w porównaniu z mocą zawartą w tej księdze.

- Księdze magii.

- Mocy, mądrości, łaski i spokoju. Księdze śmierci i po-nownych narodzin. Księdze szczęścia. Księdze, która natchnęła Egipt do stworzenia największej na świecie cywilizacji, a potem dała innemu ludowi moc zmiany świata.

- Jakiemu ludowi? Kto wziął tę księgę?

Astiza wskazała coś ręką.

- Zostawił po sobie znak wskazujący, kim był.

W rogu marmurowej świątyni stał oparty o ścianę kij pasterski albo posoch proroka. Miał na końcu praktyczne wygięcie pozwalające chwycić owcę za kark. Drewno było wspaniale zachowane i w odróżnieniu od zwykłych pasterskich lasek pięknie wygładzone i wyrzeźbione - na wygiętym końcu był uskrzydłony anioł, a na drugim szeroki łeb węża. Mniej więcej pośrodku umieszczono dwa złote cherubiny z wyciągniętymi ku sobie skrzydłami, tak że tworzyły obejmę laski. Pośród tych wszystkich skarbów była to jednak dość skromnie wykonana rzecz.

- A cóż niby, u diabła, to jest?

- Laska najślawniejszego maga w historii ludzkości -

odpowiedziała Astiza.

- Jakiego maga?

- Egipskiego księcia, który stał się wyzwolicielem całego ludu.

Wytrzeszczyłem oczy w zdumieniu.

470

- Chcesz powiedzieć, że był tu Mojżesz?

- A czy to nie tłumaczy wszystkiego?

- Nie. To po prostu niemożliwe.

- Naprawdę? Zbiegły przestępca, któremu objawił się Bóg, wraca z pustyni z niesłychanym żądaniem uwolnienia hebrajskich niewolników... i nagle okazuje się, że ma moc czynienia cudów, czego nie czynił nigdy wcześniej.

- Tę moc dał mu Bóg.

- Naprawdę? A może bogowie, którzy przybrali postać Jedyne, Tego Który Jest?

- On zwalczał egipskich bogów, którzy byli fałszywymi bóstwami.

-

Ethanie, to ludzie walczyli z ludźmi.

Zabrzmiało mi to jak twierdzenia tych cholernych francuskich rewolucjonistów. Albo jak mowy

Bena Franklina.

- Zbawca swego ludu nie ograniczył się do wyprowadzenia Hebrajczyków z Egiptu i zniszczenia armii faraona - ciągnęła Astiza. - Zabrał też najpotężniejszy talizman na świecie, tak potężny, że zbiegli niewolnicy zyskali moc podbicia ziemi obiecanej.

- Księgę.

- Skarbnicę mądrości. Przepis na zdobycie mocy. Kiedy Żydzi dotarli do ziemi obiecanej, ich armie zmiotły wszystkich nieprzyjaciół, którzy się z nimi zmierzli. Mojżesz znajdował

na pustyni żywność, uzdrawiał chorych i raził bluźnierców. Żył

dłużej niż inni ludzie. Coś utrzymywało Żydów przy życiu przez czterdzieści lat na pustkowiu. To ta księga.

Spróbowałem sobie przypomnieć opowieści biblijne.

Mojżesz był dzieckiem żydowskiej niewolnicy uratowanym przez księżniczkę. Został wychowany jak książę i po-wodowany sprawiedliwym gniewem zabił nadzorcę niewolników. Uciekł i powrócił po dziesięciu latach, a kiedy faraon sprzeciwił się wypuszczeniu Żydów z niewoli, Mojżesz spuścił na Egipt straszliwe plagi. Kiedy faraon stra-

cił najstarszego syna podczas dziesiątej, najgorszej plagi, poddał się w końcu i uwolnił Żydów, pozwalając im wyjść z Egiptu. I to powinien być koniec, ale faraon się rozmyślił i puścił się w pogoń za Żydami, zabierając ze sobą sześćset rydwanów. Dlaczego to zrobił? Bo odkrył, że Mojżesz zabrał

ze sobą coś więcej niż tylko hebrajskich niewolników. Wziął

też jądro potęgi Egiptu, największy z sekretów, przedmiot budzący największy strach i przerażenie. Zabrał go i...

Otworzył morze.

Czy Żydzi zanieśli księgę mocy i wiedzy do świątyni Salomona, o której powiadano, że zbudowali ją przodkowie moich wolnomularzy?

- To niemożliwe! Jak on mógł się tu dostać i jak zdołał stąd wyjść?

- Przybył do faraona wkrótce po wylewie Nilu - powiedziała Astiza. - Nie rozumiesz, Ethanie? Mojżesz był

egipskim księciem. Znane mu były najbardziej święte z tajemnic. Wiedział, jak tu wejść i wyjść, na co nikt przed nim się nie odważył. Tego roku Egipt nie tylko stracił niewolników, faraona i armię. Stracił swoje serce, duszę i mądrość. Jądro jego wiedzy zostało zabrane przez nomadów, którzy przez czterdzieści lat się błakali po pustyni, a potem dotarło do...

- Do Palestyny... - Oszołomiony usiadłem na pustym piedestale.

- A Mojżesz, złodziej i prorok, nie dotarł do ziemi obiecanej. Zabronił mu tego jego własny Bóg. Może czuł się winny uwolnienia tego, co powinno pozostać ukryte.

Patrzyłem w pustkę. Tę księgę zabrano stąd przed trzema tysiącletkami... A ja i Silano wyłaziliśmy ze skóry, żeby dotrzeć do pustej krypty.

- Szukaliśmy w niewłaściwym miejscu.

- Księga Tota mogła się stać częścią Arki Przymierza -

stwierdziła Astiza z podnieceniem w głosie - jak tablice 472

Dziesięciorga Przykazań. Te same wiedza i moc, co stworzyły piramidy, przeszły do Żydów, którzy z miernego i mizernego plemienia wzniesli się na wyżyny potęgi dającej źródło trzem wielkim religiom. Być może pomogły przy zwaleniu murów Jerycha!

Mój umysł wciąż trawił te niesamowite informacje. To była herezja!

- Ale czemu Egipcjanie mieliby pogrzebać tę księgę?

- Bo wiedza wespół z władzą niesie ryzyko. Można jej użyć do złego i dobrego. Nasze legendy mówią, że tajemnice Egiptu przybyły zza morza, od ludu, o którym zapomniano już wtedy, gdy wznoszono piramidy, a Tot zrozumiał, że ta wiedza musi być pilnie strzeżona. Ludzie kierują się emocjami i są raczej przebiegli niż mądrzy. Może i Hebrajczycy zdali sobie z tego sprawę, ponieważ i oni ukryli tę księgę. Może zrozumieli, że wykorzystanie wiedzy zawartej w księdze Tota było niebezpiecznym szaleństwem.

Oczywiście nie uwierzyłem. Mieszanie bogów i religii było bluźnierstwem. A ja byłem człowiekiem współczesnym, naukowcem i sceptycznym Amerykaninem ukształtowanym przez Franklina. A jednak... czyż za wszystkimi cudami tego świata nie stała jakaś boska siła? Czy w historii ludzkości był

jakiś rozdział, o którym nasz buntowniczy wiek zapomniał?

Moje rozmyślenia przerwał odgłos odległego grzmotu, który echem przetoczył się po korytarzach i dmuchnął nam ciepłym wiatrem we włosy. Cała jaskinia zadrżała, a z góry sypnęły się skalne odłamki. Eksplozja.

Silano znalazł gdzieś proch.

Echo wybuchu nie zdążyło jeszcze zamrzeć, gdy poderwałem się na nogi.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Jak Mojżesz się stąd wydostał?

Uśmiechnęła się.

- Może nie zamknął za sobą drzwi, przez które wszedł, i wyszedł tą samą drogą. Albo jest stąd więcej niż jedno wyjście.

Medalion wskazuje, że są dwa korytarze, wschodni i zachodni.

Mojżesz zamknął za sobą zachodnie drzwi, a wyszedł

wschodnimi. Dobrą wiadomością jest to, że wiemy, iż tego dokonał. Znaleźliśmy wejście, Ethanie, więc znajdziemy i wyjście. Przede wszystkim musimy opuścić tę wysepkę.

- Przedtem zabiorę stąd to i owo.

- Nie mamy na to czasu!

- Za marną częśćkę tego skarbu możemy sobie kupić cały czas świata.

Nie miałem porządnego worka ani plecaka. Jak mam opisać królewski skarb, jaki próbowałem wynieść? Włożyłem sobie na szyję i pierś dość naszyjników, żeby rozbolał mnie kręgosłup, i opiąłem nadgarstki tyłoma bransoletami, że zawstydziłbym babilońską nierządnicę. Owinąłem się złotem w pasie, na kostki powkładałem złote obręcze, nawet zdjąłem cherubiny z laski Mojżesza, które wsunąłem sobie w gatki. A mimo to w niczym niemal nie umniejszałem wartości skarbu leżącego pod Wielką Piramidą. Astiza... Astiza nie wzięła niczego.

- Okradanie zmarłych niczym się nie różni od okradania żyjących - ostrzegła mnie.

- Poza tym, że zmarli już tych przedmiotów nie potrzebują -

stwierdziłem, usiłując przekonać samego siebie. Targały mną na przemian właściwa ludzior Zachodu chciwość i zmysł

praktyczny nakazujący skorzystanie z okazji, która może się nie powtórzyć już nigdy w życiu. - Kiedy stąd wyjdziemy, z pewnością będą nam potrzebne pieniądze na poszukiwania tej księgi - odwołałem się do rozsądku mojej towarzyszki. - Na miłość boską, włóż przynajmniej na palce jeden lub dwa pierścienie.

-To przynosi pecha. Tych, co okradają groby, czeka śmierć.

- Pomyśl o rekompensacie za to, co musieliśmy wycierpieć.

- Ethanie, boję się, że ten skarb jest przeklęty.

- Uчени nie wierzą w klątwy, a jankesi wierzą, że trzeba wykorzystać każdy uśmiech losu. Nie zamierzam stąd odejść, dopóki nie weźmiesz czegoś dla siebie.

Włożyła więc: na palec pierścień z miną niewolnicy, która podsuwa nadzorcy nadgarstki do skucia. Wiedziałem jednak, że kiedy wyjdziemy z tych podziemi, spojrzę na wszystko moimi oczami. Ten pierścień z rubinem wielkości śliwki wystarczy, żeby zapewnić komuś dobrobyt do końca życia.

Wskoczyliśmy do łodzi i szybko popłynęliśmy ku brzegowi jeziora. Znalazłszy się na lądzie, odczuliśmy wstrząsy i drgania wielkiej, wzniesionej nad nami budowli i nieustanne trzeszczenie i zgrzyty będące efektem eksplozji. Miałem nadzieję, że ten dureń Silano nie przesadził z ilością użytego prochu i nie zawalił sklepienia nad wyjściem.

- Musimy założyć, że jeśli ładunek prochu zrobił swoje, Bin Sadr i jego rzezimieszki przyjdą z tej samej strony, z której zjawiliśmy się tu my - powiedziałem. - Ale medalion wskazuje dwie sztolnie w kształcie litery V, druga więc musi biec ku wschodowi. Przy odrobinie szczęścia wymkniemy się tamtędy, zablokujemy wyjście i zdążymy daleko uciec, zanim te łotry się zorientują, że zniknęliśmy.

- Ich też zatrzyma widok tych skarbów - stwierdziła proroczo Astiza.

- Tym lepiej dla nas.

Tymczasem nieprzyjemny zgrzyt trwał i towarzyszył mu jakby syk osypującego się piasku. Czyżby eksplozja uruchomiła jakiś starożytny mechanizm? Czuło się, jakby cała budowla ożyła i była wyraźnie niezadowolona. Słyszałem też dalekie okrzyki sługusów Silana, którzy wyraźnie się do nas zbliżali.

475

Nie wypuszczając z rąk laski Bin Sadra, poprowadziłem Astizę ku wejściu na wschodnim brzegu jeziora. Były tam dwa tunele - jeden wiodący w dół i drugi w górę. Wybraliśmy górny. Oczywiście dość szybko zawiódł nas do wznoszącego się korytarza przeciwnego do tego, którym weszliśmy. Jego nachylenie było takie samo jak nachylenie tamtego i wiódł ku wschodniej ścianie piramidy. Im wyżej się wspinaliśmy tym głośniejsze były syki i zgrzyty.

- Powietrze robi się ciężkie - stwierdziłem z niepokojem w głosie.

Wkrótce zobaczyliśmy przyczynę. W sklepieniu były takie same wypustki jak w korytarzu zachodnim i z każdej wysuwała się teraz granitowa płyta, niczym ciemny kiel z kamiennego działą. Zsuwały się niewzruszenie, zamykając korytarz. Za pierwszym zsuwał się drugi, a za nim trzeci. Gdzieś w piramidzie musiał być jakiś zbiornik piasku, który działał jak przeciwwaga dla tych bloków. Teraz interwencja Silana musiała uruchomić mechanizm spustowy. Niewątpliwie w ten sam sposób zamykał się korytarz, którym tu weszliśmy. Być może zostaniemy tu na wieki, razem z bandą Bin Sadra...

- Pospieszmy się! Może zdążymy, zanim się osuną cał-

kowicie! - Zacząłem się przeciskać pod pierwszym czarnym blokiem.

- Nie! - Astiza chwyciła mnie za rękę. - Ten blok cię zmiażdży!

W pierwszej chwili się szarpnąłem, ale szybko zrozumiałem, że ma rację. Może udałoby mi się przesunąć pod najbliższym blokiem, albo i pod następnym. Trzeci jednak z pewnością by mnie zgniótł lub uwięził w pułapce bez wyjścia.

- Musi być jakieś inne wyjście - mruknąłem z większą nadzieją niż pewnością siebie.

- Ten medalion pokazuje jedynie dwa korytarze - od-476

ciągnęła mnie za jeden naszyjnik niczym łańcuchowego psa. -

Mówiłam ci, że to przyniesie pecha.

- Nie. Jest jeszcze ten tunel w dół, do którego nie zagłą daliśmy. Nie mogli tego zakorkować na zawsze.

Pospiesznie wróciliśmy drogą, którą się wspinaliśmy, i trafiliśmy na brzeg podziemnego jeziora z wysepką. Zbliżając się, dostrzegliśmy lśnienie pochodni. Potwierdziły się nasze obawy. Na wysepce pełnej złota i srebra kręciło się kilku Arabów, wrzeszczących z takim samym podnieceniem, jakie czułem ja - wrywali sobie z rąk co cenniejsze błyskotki. Zaraz potem zobaczyli światło naszych pochodni.

- Jankes! - wrzasnął Bin Sadr. Jego okrzyk powtórzyły liczne echa. - Ten, który go zabije, dostanie podwójny udział! Drugie tyle za dostarczenie mi kobiety!

Gdzie był Silano?

Nie mogłem się oprzeć pokusie i pogardliwie machnąłem laską, jak człowiek drażniący byka.

Bin Sadr i dwu jego ludzi szybko wskoczyli do alabastrowej łodzi, niemal ją zatapiając, ale z rozpędu kierując ją w naszą stronę. Trzej inni wskoczyli do zimnej wody i puścili się w pław.

Nie mając wyboru, pobiegliśmy wzdłuż opadającego tunelu.

Początkowo biegł jakby ku wschodowi, ale zagłębiał się w wapienne podłoże. Obawiałem się, że zamyka go ślepa ściana, na jaką się natknęliśmy z Napoleonem. Teraz jednak usłyszeliśmy nowy dźwięk - głęboki, niski poszum płynącej wody. ; Może tędy wiodła droga ku wyjściu! 'i' Wkrótce trafiliśmy do miejsca wyglądającego jak scena z dantejskiego piekła. Tunel kończył się na skalnym występie wyrastającym ze ściany rozleglejszej pieczary, rozjaśnionej nikłą czerwonawą poświatą. Źródłem poblasku była otchłań tak głęboka i pełna mgły, że zaledwie mogłem dostrzec jej dno, wyglądające jak pokryte ognistym

477

żarem. Był to niesamowity widok - jakbyśmy patrzyli w otchłań Hadesu. Po zboczach osuwały się skalne odłamki i rumowiska, sunące wolno ku ogniom. W dole poruszał się jakiś tajemniczy, gruby i długi kształt. Nad przepaścią unosił się kamienny most bez żadnej balustrady, w wielu miejscach nadkruszony i poznaczony szczelinami. Był pokryty błękitną emalią, w którą powstawiano złote

gwiazdy, i wyglądał jak odwrócone sklepienie świątyni. Poślizgnij się - i po tobie, na wieki wieków amen.

Na przeciwległym krańcu tego mostu nad przepaścią widać było schody o szerokich, lśniących granitowych stopniach.

Spływająca po nich woda spadała do jamy, stając się tam może źródłem oparów mgły. To od tych schodów dolatywał

przytłumiony szum rzeki. Choć nie dało się jej zobaczyć, odgadywałem, że płynie tam podziemna odnoga Nilu, biegnąc kanałem przez przeciwległą część pomieszczenia niby rów irygacyjny. Ten kanał musiał się ciągnąć obok szczytu schodów, wyżej niż występ, na którym staliśmy, i stamtąd przelewała się woda spływająca po stopniach.

- To nasze wyjście - zwróciłem się do Astizy. - Musimy tylko dotrzeć tam przed nimi.

Wkraczając na most, słyszałem wrzaski Arabów.

Nagle jeden z bloków oznaczonych symbolem gwiazdy zapadł się pod naciskiem mojej stopy, strącając mnie niemal w przepaść. Szczęśliwie udało mi się chwycić za kamienną krawędź i uniknąć upadku. W chwilę potem usłyszałem głuchy odgłos uderzenia bloku o podłoże. Spojrzałem w dół. Co tam się tak wiło?

- Na wały Ticonderogi, tam chyba są jakieś węże! -

powiedziałem drżącym głosem, podciągając się w górę. W tej samej chwili znów usłyszałem wrzaski zbliżających się opryszków Bin Sadra.

- Ethanie, to próba dla tych, co wkraczają tu bez potrzebnej wiedzy. To z pewnością nie jest zwykły most.

478

- Nie da się... zaprzeczyć!

- Ale czemu mieliby ozdabiać te kamienne bloki gwiazdami? Świat jest tu odwrócony do góry nogami, więc... dysk medalionu! Gdzie go masz?

Po tym, jak Astiza odzyskała go na zboczu piramidy, wsunąłem go pod burnus. Ot, pamiątka po tych wszystkich tarapatach. Wyjąłem go teraz i podałem dziewczynie.

- Spójrz - powiedziała - Konstelacja Smoka. Ona nie tylko wskazuje gwiazdę biegunową. To plan kamieni, na których możemy bezpiecznie stawać.

Zanim zdążyłem zaproponować, żebyśmy się nad tym jednak zastanowili, skoczyła na pierwszy z bloków oznakowanych gwiazdą wchodzącą w skład konstelacji Smoka.

- Stawaj tylko na kamieniach tworzących wzór konstelacji!

- Czekaj! A jeżeli się mylisz?

Z tyłu rozległ się huk wystrzału. **Bin Sadr** tym razem szedł

na całość.

- A możesz zaproponować coś lepszego?

Ruszyłem za Astizą, balansując laską **Bin Sadra dla** utrzymania równowagi.

Zaledwie zaczęliśmy, kiedy z korytarza wypadła banda arabskich rzeźmieszków, wszyscy jednak - tak samo jak my przedtem - zatrzymali się na brzegu przepaści, oszołomieni widokiem. Potem jeden z nich rzucił się na most.

- Kobieta będzie dla mnie!

Zrobił jednak tylko kilka kroków, kiedy pod naciskiem jego stopy ustąpił kolejny blok i zaskoczony opryszek runął w dół; miał mniej szczęścia niż ja. Uderzył tułowiem o krawędź

przepaści, przez chwilę rozpaczliwie usiłował wbić pazury w kamień, ale zsuwał się nieuchronnie i w końcu poleciał w czerwony półmrok. Pozostali Arabowie podeszli ostrożnie do krawędzi i przez chwilę gapili się ze zgrozą w dół. Na dnie coś się poruszyło - tym razem

479

szybciej - i wrzask nieszczęśnika nagle i dramatycznie się urwał.

- Czekajcie! - wrzasnął **Bin Sadr**. - Nie strzelać! Widzi cie? Musimy stawać na tych samych blokach co oni. - Sko czył na niedawno przeze mnie opuszczoną płytę. Płyta została na miejscu. - Za mną!

Był to niesamowity taniec, w którym wszyscy naśladowali skoki Astizy. Jeden z Arabów pomylił kamień i z wrzaskiem poleciał w dół - wszyscy na chwilę znieruchomieliśmy.

- Nie, skaczcie na ten! - kwiknął **Bin Sadr**, wskazując ręką.

Ponownie ruszyliśmy w ten iście śmiertelny korowód.

Znalazłszy się na środku łuku, w ogóle już nie widziałem dna. Cóż to byłby za krater? Co tam było, że zbudowano piramidę, żeby zapieczętować wylot?

- Ethanie, pospieszmy się! - Astiza czekała na mnie, żeby się upewnić, że będę stawał na właściwych kamieniach, choć dawało to czas **Bin Sadowi** na dublowanie moich ruchów. W końcu dotarła do mokrych gładów, chwając się z wysiłku, a ja wykonałem ostatni skok, lądując na gwiazdzie biegunowej. Tryumfalnie wstąpiłem na granitowe stopnie i odwróciłem się, trzymając laskę **Bin Sadra** i szykując się do zepchnięcia go w przepaść. Arabski oprawca w końcu popełnił chyba błąd.

Ale nie... stanął na właściwym glazie i zatrzymał się, mierząc mnie tak ognistym wzrokiem, że mając choć odrobinę przyzwoitości, powinienem był zaskwierczeć i wyparować.

- Jankesie, nie masz już dokąd uciekać. Jeżeli oddasz mi laskę, oszczędzę ci patrzenia, jak się zabawiamy z twoją kobietą!

Był tylko o kilka kroków ode mnie, a trzech ostatni z jego ludzi tłoczyli się za nim. Jeżeli wszyscy razem ruszyliby naprzód, mogliby mnie sprawić jak barana.

480

Arab wciąż stał bez ruchu.

- Poddajesz się?

- Idź do diabła!

-Zastrzelcie go! - rozkazał swoim opryszkom Bin Sadr. -

Zapamiętałem ostatnie bloki.

Stojący za nim pochylili lufy muszkietów i pistoletów.

- Jak chcesz, to weź! - warknąłem.

Rzuciłem laskę, wysoko, ale tak, żeby mógł ją chwycić.

Wytrzeszczył lśniące oczy. Odruchowo pochylił się, wyciągnął

rękę, capnął laskę z szybkością żmii i oczywiście wcale o tym nie myśląc, wysunął naprzód lewą stopę, żeby nie stracić równowagi.

Ostatni, kluczowy kamień na moście zapadł się w głąb.

Arabowie znieruchomieli, patrząc i słuchając, jak leci w dół

i rozbija się o dno.

Zaraz potem rozległo się głuche stęknienie skał i wszyscy spojrzeliśmy na dno przepaści. Brakujący blok zapoczątkował

rozpad mostu. Kamienne bloki od granitowych stopni zaczęły walić się w przepaść, a wystający nad nią koniec zachwiał się i zakołysał. Ostatni krok Bin Sadra okazał się fatalny.

Poplecznicy beduińskiego watażki z wrzaskiem skoczyli w tył, ale niedaleko uciekli - bo ogarnięci paniką nie uważali, gdzie stawiają stopy.

Bin Sadr skoczył ku mokrym granitowym stopniom.

Gdyby porzucił swoją laskę, może by mu się udało -a przynajmniej zdołałby mnie pociągnąć za sobą. Zbyt długo jednak trzymał swoją ukochaną broń. Miał zresztą wciąż jeszcze osłabione raną ramię, palce ześlizgnęły mu się po śliskiej skale i zaczął się zsuwać ku przepaści, usiłując utrzymać siebie i laskę. W końcu puścił drzewce, żeby chwycić kamienny występ i powstrzymać upadek. Laska znikła nam z oczu. Rozpaczliwie wierzgający nogami drab dyndał nad przepaścią; spływały po nim strugi wody, które łączyły się niżej z resztą strumienia. Daleko za nim przeraźliwie darli się jego towarzysze - most walił

481

się jak budowla z kostek domina, oni zaś lecieli w dół, ku piekłu, niczym szmaciane laleczki. Patrzyłem, jak znikają we mgle.

Bin Sadr trzymał się uparcie i mierzył Astizę pełnym nienawiści wzrokiem.

- Zarznąłbym tę dziwkę jak tamtą w Paryżu! - syknął.

Wyjąłem tomahawk i podsunąłem mu pod oczy.

- Za Talmę, Enocha, Minette i każdą niewinną duszę, która będzie na ciebie czekać po tamtej stronie.
- Unio słem ostrze.

Splunął ku mnie.

-Ja też tam na ciebie zaczekam! - I puścił krawędź skalnego progu.

Poleciał w dół, trafił na skalne osypisko i bezgłośnie zsunął

się ku czerwonawej mgle w dole. Za nim pomknęły drobne kamienie... i nastała cisza.

- Zginął? - zapytała Astiza szeptem.

Było tak cicho, że przyszło mi na myśl, iż drań zdołał się jakoś wydostać. Zerknąłem przez krawędź. Coś tam się poruszało - ale przez chwilę słyszałem tylko szum wody na szczycie kamiennych stopni. Potem z dołu doleciał wrzask -

coraz głośniejszy i głośniejszy...

Słyszałem już w życiu różne krzyczących ludzi - w bitwach i rannych na pobojuwiskach. We wrzasku Bin Sa-dra było jednak coś innego - brzmiało w nim niesamowite przerażenie i taka groza, że i mnie serce ścisnął strach na myśl o istotach budzących tak pierwotny lęk. Wrzask trwał i trwał, coraz głośniejszy, a ja z przerażającą pewnością zrozumiałem, że nigdy już nie usłyszę Achmeda bin Sadra. Choć nienawidziłem tego człowieka, wzdrygnąłem się na myśl o jego śmierci.

Spotkał go los potępieńców.

- Apofis - powiedziała Astiza. - Wężowy bóg. Ten czło wiek spotkał tego, którego wielbił.

- To mit.

- Naprawdę?

482

Wrzask trwał i trwał... aż po nieskończenie długim czasie przeszedł w jakiś... szaleńczy gulgot i bełkot. Potem wszystko ucichło. Zostaliśmy sami.

Dygotałem z przerażenia i chłodu. Przytuliliśmy się do siebie. Odwrót był niemożliwy - chyba że w objęcia czerwonej jamy. W końcu ruszyliśmy po mokrych schodach, które ociekały wodą o woni Nilu. Jaką próbę zgotowali nam jeszcze starożytni budowniczości tego sanktuarium? Zabrakło mi już sił - czy woli, jakby powiedział Napoleon - żeby iść dalej.

Dotarliśmy do podestu na szczycie schodów. Z rury w ścianie jaskini wypływał strumień wody nilowej, napełniającej kamienny kanał po brzegi, a potem znikającej w tunelu po drugiej stronie schodów. Wypływający nurt był tak silny, że nie było sposobu, żeby się wspiać pod prąd. Jedynym wyjściem był wlot rury, przez którą woda wpływała do kolejnego podziemnego kanału.

Ale wyraźnie widziałem, że nie ma tam miejsca na powietrze.

- Nie sądzę, żeby Mojżesz wydostał się tą drogą.

ROZDZIAŁ 24

-Mojżesz był egipskim księciem, który wiedział, jak skonstruowano tę komnatę - powiedziała Astiza.
- Nie uruchomił tych granitowych zapór, jak ten głupek Silano.

Wyszedł jednym z tych szybów.

- Podczas niskiej wody mogłaby to być droga wyjścia -

stwierdziłem. - Ale przy wysokim stanie Nilu, a tylko wtedy górne drzwi można otworzyć, tędy przejść się nie da. Nie ma powietrza. Jeżeli tu wejdziesz, musisz wyjść właściwą drogą albo ugrzęzniesz w tej pułapce.

-Ale skoro tak, to czemu miałyby służyć ten most z kombinacją ruchomych bloków? - zapytała Astiza. - Musi tu być jakieś wyjście, ale tylko dla ludzi znających niebezpieczeństwa. Może była tu zapasowa droga wyjścia dla architektów, w wypadku gdyby popełnili jakiś błąd? Może jesteśmy poddani próbie wiary, że możemy się tędy wydostać?

- Chyba nie myślisz o tym, żeby przepłynąć tą rurą do Nilu?

- A co, uważasz, że lepiej tu czekać bezradnie na śmierć?

Musiałem przyznać, że umie trafić w sedno. Mogliśmy tu siedzieć do końca świata, gapiąc się na zawalony most, albo spróbować przepłynąć rurą wylotową. Może Tot miał poczucie humoru?

Siedziałem tu, uciekinier ścigany przez wszystkich, z bezużytecznym i złamanym medalionem, w wyścigu do tajemniczej księgi wyprzedzony przez proroka sprzed trzech tysięcy lat, zmęczony, obolały, zako-484

chany i - jeśli zdołałbym wynieść stąd wszystko, czym się obwiesiłem - bajecznie bogaty. Zdumiewające, co możesz przeżyć, gdy raz wyruszysz za próg swego domu...

- Śmierć przez uduszenie w istocie jest szybsza niż śmierć głodowa - zgodziłem się.

- Z pewnością utoniesz, jeżeli nie pozbedziesz się większości tych bogactw.

- Kpisz? Być może, jak skoczymy do tej rury, sklepienie się podniesie. Może wyjście na Nil nie jest tak daleko. Nie przeszedłem przez to wszystko, żeby odejść z niczym!

- A co nazywasz niczym? - zapytała z nieco kpiącym uśmiechem.

- No, oczywiście nie ciebie. - Byliśmy chyba parą; wiadomo, kiedy musisz uważać, żeby nie powiedzieć jednego słowa za wiele. - Chciałem tylko rzec, że miło byłoby mieć trochę pieniędzy na początek wspólnego życia.

- Najpierw musimy uratować świat.

- Zacznijmy od uratowania samych siebie. - Spojrzałem na ciemne, płynące szybko wody. - Wiesz, myślę, że zanim spróbujemy, powinienem cię pocałować. Na wypadek, gdyby miał to być ostatni raz.

- Lubię w tobie ten niezłomny optymizm.

Pocałowałem ją.

Odpowiedziała mi z zapalem, który podsunął mi kilka kudłatych myśli.

- Nie! - Odepchnęła moje łapy. - Nagrodę otrzymasz po drugiej stronie. Zaufaj mi, Ethanie.

Przeskoczyła przez niziutki murek i z pluskiem pograżyła się w wodzie, wpadając nogami ku przodowi. W jednej chwili znalazła się u wlotu tunelu. Nabrała tchu w płuca, zanurzyła głowę... i zniknęła.

Na ostrogi Paula Revere'a, ta kobieta miała jaja! Niech skisnę, jeżeli zostanę w tym grobie sam! Bez namysłu sam skoczyłem w wodę - ale zamiast unieść się na powierzchnię jak korek, poszedłem na dno niczym kamień.

485

Wiecie, to te skarby.

Byłem bezradny jak szczur w rurze albo kula w lufie.

Sięgnąłem dłonią ku sklepieniu, żeby wyczuć powietrze, ale nic z tego nie wyszło. Objąłem się o dno, jakbym był

przywiązany do kotwicy. Przeklinając pecha - albo swoją głupotę - zacząłem szarpać i zrywać z siebie złote wisiory, opróżniłem kieszenie ze szlachetnych kamieni i zdarłem bransolety z nadgarstków. Zrzuciłem z siebie złoty pas, za który można byłoby kupić niewielkie królestwo, i naszyjnik o wartości sporej posiadłości ziemskiej. Pierścienie strząsałem z palców jak okruchy. Opadały na dno, żeby przepaść w nilowym błocie albo wylądować w brzuszysku jakiegoś wygłodzonego krokodyla. Z każdym porzuconym w szalonym pośpiechu przedmiotem stawałem się coraz lżejszy. Wkrótce oderwało mnie od dna i popłynąłem pod sklepieniem tego zdradzieckiego kanału. Drapałem rękami kamienie, poszukując jakiegokolwiek kieszeni powietrza... ale w miarę jak coraz bardziej paliło mnie w płucach, zacząłem tracić nadzieję. Nie oddychaj! - rozkazałem sam sobie milczącym okrzykiem.

Jeszcze tylko chwilka... Następna...

I jeszcze jedna...

I jeszcze jedna, gdy pozbywałem się kolejnej porcji bogactwa.

Strząsałem z siebie ostatni naszyjnik.

Bolały mnie płuca, nacisk na bębunki w uszach groził ich pęknięciem i niczego już nie widziałem...

Bąłem się zwłaszcza, że macając na oślep, trafię na martwe ciało Astizy i w porywie rozpaczycy wciągnę w płuca zimną wodę Nilu. A otuchy dodawała mi myśl o tym, że ona gdzieś tam czeka na mnie. Miej wiarę!

Po raz ostatni uniosłem ramię, spodziewając się dotknąć mokrej skały, i moje palce trafiły...

...w pustkę!

Moja głowa wyskoczyła na powierzchnię w tejże sa-486

mej chwili, w której resztki tchu wyrwały się z moich ust.

Powietrze! Wokół mnie było ciemno jak u małego Cygana pod pachą, ale wciągnąłem tyle powietrza, że niemal pękły mi płuca. Zaraz potem rąbnąłem łbem w sklepienie i nurt pociągnął mnie dalej, wzdłuż niemiłosiernie długiej, podziemnej rury. Powietrze, powietrze... jeszcze tylko jeden haust, o Panie... byłem obolały... dłużej tego nie zniosę... i nagle poczułem, że lecę gdzieś w dół, a wokół mnie kłębi się woda. Wstrzymałem oddech, lecąc w próżnię i koziółkując...

aż wpadłem w jakąś mroczną sadzawkę. Wynurzyłem się, plując i parszając wodą, ale przetarłszy oczy, stwierdziłem, że jestem w jakiejś wapiennej pieczarze. Mogłem oddychać! Co więcej, widziałem, choć niezbyt dobrze, bo światło było tu bardzo skąpe. Skąd docierało? Ach, tak, z wody na przeciwległym krańcu pieczary... musiało tam być wyjście.

Dałem nura, kopiąc wodę jak szalony, a potem uniosło mnie w górę...

I wypłynąłem przy brzegu Nilu.

Natychmiast potem zobaczyłem Astizę unoszącą się na wodzie z rozpuszczonymi wachlarzowato włosami. Mokre, przejrzyste suknie ujawniały bladość jej ciała. Otaczały ją trzciny i kwiaty lotosu. Utonęła?

Dziewczyna odwróciła się w wodzie i spojrzała na mnie z uśmiechem.

- Odrzuciłeś chciwość i bogowie dali ci powietrze - zakpiła.

Bogactwa godne Krezusa za haust powietrza... Zaiste, bogowie mieli poczucie humoru.

Dopłynęliśmy na płyciznę pomiędzy trzcunami i spoczęliśmy na błotnistym dnie, wystawiając tylko część twarzy nad powierzchnię wody; zastanawialiśmy się co dalej. Minęła cała noc i było tuż po świcie, na nasze twarze padały ciepłe promienie słońca, a w oddali wiły się dymy nad Kairem.

Słyszeliśmy pojedyncze wystrzały i wrzawę 487

walki. W mieście wybuchł otwarty bunt, a Bonaparte postanowił go stłumić za wszelką cenę.

- Wiesz co, Astizo? Myślę, że chyba wyczerpałem już zapas gościnności Egipcjan - sapnąłem.

- Piramida została zamknięta, a księga Tota zniknęła. Tu już nie mamy nic do roboty. Ale to, co zagubiono, wciąż pozostaje potężną bronią. Myślę, że powinniśmy się dowiedzieć, co się z nią stało.

- Powiedz mi, że się mylę, ale chyba ostatni raz widziano ją w rękach pewnego zbiegłego Żyda około trzech tysięcy lat temu? A potem nikt już o niej nie wspomina, prawda?

-Nie wspomina, dobre sobie! Mojżesz unosi ramię i rozdziela wody, lecz chorych węzłem z brązu, znajduje żywność, która spada z nieba, i rozmawia z Bogiem! Wszyscy wiedzieli, że jest zwykłym magiem. Gdzie zdobył taką moc? I czy Żydów wspierały wyłącznie ukryte w Arce Przymierza tablice z Dziesięciorgiem Przykazań? Może pomagały im inne siły? Dlaczego przed wejściem do ziemi obiecanej błakali się przez czterdzieści lat na pustyni? Może czegoś się uczyli?

- A może w ogóle nie wspierali się magią, tylko robili wszystko po staremu... szkoląc armię?

-Nie. Czy ta księga nie jest źródłem wiedzy, której szukasz teraz wspólnie z innymi naukowcami? Ona może dać uczonym dowolnego kraju wiedzę pozwalającą mu zdominować świat.

Czy sądzisz, że Silano i Bonaparte się tego nie domyślili? Czy nie uważasz, że oni marzą o czarodziejskich mocach i anielskiej nieśmiertelności?

-I chcesz, żebyśmy stracili czterdzieści lat na wędrówkach po pustyni?

- Nie po pustyni. Wiesz, gdzie ta księga musi się znajdować. To samo wiedzieli Rzymianie,

Arabowie, krzy żowcy, templariusze i Turcy... wszyscy podążali do Jero zolimy. Tam właśnie Salomon zbudował swoją świątynię i tam ukryto Arkę Przymierza.

488

-A my mamy odnaleźć to, czego oni nie zdołali? Tę świątynię ze trzy czy cztery razy zniszczyli Babilończycy i Rzymianie. Jeżeli nie zniszczyli Arki, to unieśli ją diabli wiedzą gdzie! Ona jest równie mityczna jak Święty Graal!

- Ale my wiemy, czego szukamy. Nie Graala, nie skar bu i nie arki...

Wiecie, jakie są kobiety. Czepiają się jakiejś myśli jak bulterier i nie popuszczą, dopóki nie zainteresujesz ich czymś innym. Nie pojmują trudności albo ufają, że gdy trafisz na przeszkodę, pokonasz ją nadludzkim wysiłkiem woli.

-Świetny pomysł. Weźmiemy się za niego, jak tylko uporządkuję swoje sprawy w Ameryce.

Naszą filozoficzną dyskusję zakończył huk strzałów z muszkietów. O parędziesiąt centymetrów od nas plusnęła woda, raz, drugi i trzeci.

Spojrzałem na brzeg. Na grzbiecie wydmy stał patrol francuskich żołnierzy, a pomiędzy nimi, żwawy i podniecony jak jelen w rui, uwijał się hrabia Alessandro Silano. Podczas gdy jego sługusy wdarły się do piramidy, żeby znaleźć śmierć, on widać wołał spokojnie poczekać na zewnątrz.

- To ci czarownicy! - darł się. - Brać ich!

Psiakrew! Ten diabeł wcielony był chyba niezniszczalny - z drugiej strony on pewnie myślał to samo o nas. Oczywiście nie miał pojęcia, czy wynieśliśmy coś z piramidy. Astiza wciąż miała dysk medalionu, a ja przypomniałem sobie, że mam te cherubiny z laski Mojżesza -jeśli to właśnie ta laska - zatknięte dość niewygodnie w gatki. Może ostatecznie da się z tej imprezy wydusić kilka dolarów? Rzuciliśmy się w wodę i wściekle machając rękami, popłynęliśmy do kairskiego brzegu, korzystając z tego, że i unoszący nas prąd oddalał nas od nieprzyjaciół. Zanim żołnierze zdążyli zbiec na brzeg i wziąć nas na cel, znaleźliśmy się poza zasięgiem strzałów.

489

- Do łodzi, durnie! - rozdarł się Silano.

Pod piramidami Nil ma pół mili szerokości, ale byliśmy oboje tak zmordowani, że wydało nam się, iż musimy przepłynąć Atlantyck. Ten sam prąd, który oddalał nas od Silana, niósł nas ku walkom i zamętowi w Kairze. Gdy pokonywaliśmy ostatnie metry, zobaczyłem baterię dział

ustawionych za miejskimi murami i jeden z balonów Con-tego unoszący się na wysokości ponad metra nad ziemią.

Napełniano go właśnie, żeby skorzystać z niego w charakterze posterunku obserwacyjnego. Piękna to była zabawka, pomalowana w patriotyczne pasy bieli, błękitu i czerwieni - po obu stronach kosza

wisiały worki z kamieniami balastu. Ten widok podsunął mi pewien pomysł, a ponieważ byłem nakręcony jak kongresman z Wirginii poproszony o wypowiedzenie paru uwag, doszedłem do wniosku, że to nasza jedyna szansa.

- Czy chciałaś kiedykolwiek unieść się, zostawiając za sobą wszelkie kłopoty?

- Nigdy bardziej niż teraz! - Astiza wyglądała **jak** przy-topione kocię.

- Porwiemy ten balon! Otarła

dłonią wodę z oczu.

- Wiesz, jak nim sterować?

- Pierwszymi francuskimi **aeronautami** były kogut, kaczka i baran!

Wyczołgaliśmy się z błotnistych objęć Nilu i przekradli-

śmy brzegiem ku stanowisku baloniarzy. Obejrzałem się za siebie. Żołdacy Silana napierali na wiosła i „grzmieli po toni”.

Hrabia wrzeszczał coś i pokazywał na nas, oni jednak wszyscy kierowali spojrzenia ku walkom w mieście. Jeżeli nam się uda uciec, to o włos. Wyjąłem tomahawk -jeszcze jeden kawałek metalu, który wyniosłem z podziemnych nurtów. Wyglądał już na lekko sfatygowany.

- Teraz!

Skoczyliśmy ku balonowi. Jeżeli ktokolwiek spojrzałby 490

w naszą stronę, zobaczyłby parę wariackich obdartusów, mokrych, oblepionych błotem i piaskiem, toczących wokół

dzikim wzrokiem i zdeterminowanych jak wszyscy diabli.

Uwaga baloniarzy była jednak skierowana na zbuntowane miasto, co dało nam czas potrzebny na podbiegnięcie do nich akurat wtedy, gdy aerostat się nadał.

Astiza zafrapowała naukowca, podskakując przed nim jak roz hulana dziwka, ukazując więcej ze swoich wdzięków, niż byśmy chcieli. Conte był naukowcem, ale też i mężczyzną -

wytrzeszczył oczy, jakby ujrzał samą Wenus wychodzącą z okrytej pianą muszli. Ja tymczasem skoczyłem i dopadłszy kosza, wyłuskałem z niego równie jak Conte zdumionego artylerzystę, wyrzucając go bezceremonialnie na ziemię.

- Przykro mi! Zmiana rozkazów!

Podniósł głowę, jakby chciał się kłócić, zmylony oczywiście przez resztki arabskiego burnusa, jakie

miałem na sobie.

Żeby do końca wyjaśnić sprawę, walnąłem go w czoło płazem tomahawka i wskoczyłem na jego miejsce do kosza. Kilku żołnierzy wysiadło z łodzi i ustawiało się w szereg, żeby poczęstować mnie salwą, ale cel zasłonił im biegnący ku mnie Silano.

-Przykro mi, Nicolasie, ale musimy pożyczyć sobie twój balon - zwróciła się Astiza do Contego, wyrywając kołek mocujący linę w ziemi. - Rozkazy Bonapartego.

- Jakie rozkazy?

- Mamy ratować świat.

Balon unosił się w górę, lina sunęła po ziemi, a ja znalazłem się zbyt wysoko, żeby sięgnąć po Astizę. Podskoczyła więc i chwyciła linę, zawisając pod koszem, gdy wzbijaliśmy się w powietrze. Conte pognął ku nam, machając rękami, ale zbił go z nóg pędzący jak szalowiec Silano. Wijąca się leniwie lina podniosła ostatni obłoczek kurzu, kiedy i hrabia skoczył w górę, chwytając ją. Nagły dodatkowy ciężar z \ chwiał koszem, ale unieśliśmy się już na

491

piętnaście metrów w powietrze. Silano wspinał się dzięki samej sile ramion, nieustępliwie jak buldog.

- Pospiesz się, Astizo!

Ziemia uciekała w dół z coraz większą prędkością.

Wspinała się cholernie powoli - była przecież ogromnie zmęczona. Silano zbliżał się do niej z zaciśniętymi zębami i wzrokiem pełnym nienawiści. Sięgnąłem w dół. Kiedy Astiza wyciągnęła dłoń ku mojej ręce, hrabia chwycił ją za kostkę.

- Złapał mnie! - Kopnęła go, on zaklął jak potępieniec, chwycił linę, a potem ponownie capnął ją za kostkę. - On jest jak pijawka!

Pochyliłem się, żeby wciągnąć Astizę do kosza.

- Wciągnę cię i odetnę linę!

- Teraz objął mi nogi ramieniem. Trzyma się na mnie i na linie!

- Kop, Astizo! Nie daj się!

- Nie mogę! - odkrzyknęła. - Unieruchomił mi nogi ramieniem!

Spojrzałem w dół. Charakternik ścisnął jej nogi niczym wąż dusiciel, a na twarzy miał wściekłą determinację. Zacząłem ciągnąć, ale nie mogłem unieść obojga. . - Gage, powiedz mi, czego się

dowiedziałeś! - wrzasnął. - Pozwól mi wejść do kosza albo wszyscy spadniemy!

Balon unosił się ciężko na wysokości dziewięćdziesięciu metrów nad powierzchnią Nilu. Przelecieliśmy nad brzegiem i teraz kołysaliśmy się nad płytkimi wodami. Conte biegł za nami wzdłuż rzeki i rozpaczliwie wymachiwał ramionami. W

przedzie zobaczyłem kompanię francuskich piechurów, którzy zaalarmowani wrzaskami baloniarzy odwrócili się i teraz patrzyli na nas z osłupieniem w oczach. Wyglądało na to, iż przelecimy tak blisko, że jeżeli zechcą, wykończą nas jedną salwą.

- To przez ten pierścień! - krzyknęła Astiza. - Przez ten 492

pierścień, który kazałeś mi wziąć! Zapomniałam go zdjąć! On jest przeklęty! To klątwa faraona!

- Bzdury!

- Zdejmij mi go z palca!

Niestety, jej dłonie były zaciśnięte na linie i poza moim zasięgiem. Gdybym chciał ją uwolnić od tego głupiego pierścienia, musiałbym jej odciąć dłoń. Trzymający ją za nogi Silano był zresztą jeszcze niżej.

To podsunęło mi pewną myśl.

- Weź mój tomahawk! - zawołałem. - Rozwal mu łeb jak skorupę orzecha!

Zdesperowana puściła linę prawą ręką - tą bez pierścienia - i chwyciła tomahawk, który jej podałem. Rąbnęła w dół. Silano nas jednak usłyszał i uchylił się jak wąż - zsunął się po jej ciele i chwycił ją za kostki. Teraz Astiza nie mogła go już dosięgnąć.

Ostrze świsnęło nad jego głową. Na domiar złego, trzymając się liny tylko jedną dłonią, zsunęła się o kilkadziesiąt centymetrów. Szarpnąłem linę, ale nie zdołałem jej unieść ani o centymetr.

- Astizo! - wrzasnął Silano. - Nie rób tego! Wiesz, że nadal cię kocham!

Jego słowa jakby sparaliżowały ją na chwilę, mnie zresztą zdumiały równie mocno. W oczach Astizy mignęły wspomnienia, a przez moją głowę przeleciało naraz tysiąc pytań. Kochał ją? Ona powiedziała, że go nie kocha, ale...

- Nie wierz mu! - krzyknąłem.

Przez chwilę wymachiwała w powietrzu tomahawkiem z dziką paniką na twarzy.

- Ethanie! Nie mogę się utrzymać! Wciągnij linę!

- Nie dam rady wciągnąć was obojga! Strząśnij go! Żoł-

nierze biorą nas na cel! Zestrzelą nas wszystkich, jeżeli się nie wzniesiemy! - Gdybym zsunął się ku niej, żeby stracić Silana, prawdopodobnie spadlibyśmy wszyscy troje.

Szarpnęła się, ale hrabia przywarł do niej jak małż do skały.

Zsunęła się jeszcze niżej.

493

- Astizo! Oni zaraz otworzą ogień! Spojrzała na mnie z dołu z rozpaczą w oczach.

- Nie wiem, co robić! - załkała.

Lecieliśmy nisko nad Nilem; balon był zbyt obciążony, żeby się wzbić wyżej.

- Astizo, błagam! - jęknął hrabia. - Jeszcze nie jest za późno...

- Kop! Wierzgaj! Oni zestrzelą nas wszystkich!

- Nie mogę! - Dziewczyna dyszała, trzymając się resztkami sił.

- Kopnij go!

Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

- Znajdź ją - szepnęła.

W tejże samej chwili zamachnęła się i cięła tomahawkim w linę, która pękła z suchym trzaskiem.

W ułamek sekundy później Astiza i Silano polecili w dół.

Uwolniony od ich ciężaru balon śmignął w górę niczym korek szampana, wznosząc się tak szybko, że straciłem równowagę i runąłem na dno kosza.

- Astiiiiizo!

Odpowiedzią był krzyk spadających w dół dwojga ludzi.

Wstałem i wyrząłem za burtę kosza w samą porę, żeby zobaczyć ogromną fontannę wzbijającej się w miejscu ich upadku wody, która na moment odwróciła uwagę strzelców, zaraz potem jednak wszystkie muszkiety jak jeden zwróciły się w moją stronę. Balon leciał szybko w górę. Usłyszałem szczerzenie komendy, potem zobaczyłem błysk wystrzałów i cały oddział spowiła chmura dymu.

Dobiegł mnie świst kul, żadna jednak nie doleciała dość wysoko, żeby trafić w mój aerostat.

Ogarnięty rozpaczą wbiłem wzrok w szybko uciekającą ku dołowi powierzchnię rzeki. Wschodzące słońce raziło mnie, a Nil był jak roziskrzona patelnia - każda drobniotka fala rzucała zwierciadlane błyski. O tam, głowa...

może dwie? Czyżby jedno z nich przeżyło upadek? Może przeżyli oboje? A może się łudziłem zwiedziony błyskami światła?

Im bardziej wysilałem wzrok, tym mniej pewny byłem tego, co widzę. Żołnierze wrzeszczeli coś z podnieceniem i biegli wzdłuż rzeki. Potem wszystko rozmazało mi się przed oczami, które zaszyły łzami rozpaczy po straconych nadziejach; ogarnęło mnie poczucie niepowetowanej straty.

Zapłakałem po raz pierwszy od wielu lat.

Pode mną ciągnęła się wstęga roztopionego srebra Nilu i oślepił mnie jej blask.

Wzbijałem się coraz wyżej. Daleko w dole zobaczyłem baloniarza Contego, który ogłupiały gapił się na swoje szybko ulatujące ukochane dziecię. Uniosłem się na wysokość wieżyczek minaretów, patrząc z góry na płonące dachy Kairu.

Świat zmniejszał się do rozmiarów zabawek, odgłosy bitwy i rebelii cichły z każdą chwilą. Wiatr niósł mnie ku północy, w dół rzeki.

Balon wzleciał wyżej od wierzchołków piramid, a potem tak, że zostawiłem w dole szczyty gór. Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek się zatrzyma; może miałem spłonąć jak Ikar? Przez poranną mgiełkę widziałem cały Egipt w jego węzowej chwale. Zielony wąż wił się ku południowi, aż w końcu ginął w piaskach jak kilwater statku w oceanie pustynnego brązu. Ku północy, gdzie niósł mnie wiatr, zieleń rozwierała się niczym wachlarz w deltę Nilu - brązowe wody niosące żyzny muł tworzyły rozlewisko pełne ptactwa i poznaczone palmami, które wyglądały z góry jak czarne dmuchawce. Dalej lśniło srebrem Morze Śródziemne. Otaczała mnie dziwna cisza - jakby wszystko, czego właśnie doświadczyłem, było mrocznym i pełnym wrzawy snem.

Słyszałem tylko trzeszczenie wikliny, z której upleciono kosz, i krzyk ptaków. Byłem sam.

495

Dlaczego zmusiłem ją do włożenia tego pierścienia? Teraz nie miałem ani skarbu, ani Astizy.

Dlaczego jej nie posłuchałem?

Przyszło mi do głowy, że potrzebna mi chyba ta sakra-mencka księga Tota, żeby wbić nieco rozumu w mój zakuty łeb. Byłem najgłupszym uczonym na świecie.

Oszołomiony tymi myślami opadłem w głąb kosza. Zbyt wiele się zdarzyło. Piramida została zamknięta, Bin Sadr zginął, a ludzie z zakonu rytu egipskiego zostali pokonani.

Zemściłem się za śmierć Talmy i Enocha. Asz dołączył do swoich ludzi walczących o wolność Egiptu. A ja nie zyskałem niczego oprócz tego, że uświadomiłem sobie, w co wierzę.

Wierzyłem kobiecie, którą właśnie straciłem.

Pościg za szczęściem, pomyślałem z goryczą. Wszelkie szanse utonęły właśnie w Nilu. Byłem wściekły, czułem pustkę i martwość w sercu. Chciałbym wrócić do Kairu i dowiedzieć się czegoś o losie Astizy, cokolwiek by to miało mnie kosztować. Chciałem zasnąć tysiącletnim snem.

Niestety, balon uniemożliwiał jedno i drugie. Jego wór był dobrze i szczelnie uszyty. Na tej wysokości panował chłód.

Miałem mokre ubranie i kręciło mi się w głowie, gdy spoglądałem w dół. Prędzej czy później balon opadnie i co wtedy?

Pode mną niby baśniowa kraina płynęła delta Nilu. Widziałem równe rzędy palm daktylowych. Pola tworzyły wzorzysty kobierzec. Po starożytnych, pokrytych pyłem drogach wolno człapały osły. Z góry wszystko wyglądało czysto, schludnie i spokojnie. Ludzie wskazywali mi rękami i biegli za moim balonem, szybko jednak zostawiłem ich w dole. Błękit nieba jakby się pogłębił i wydało mi się, że mam wizję raję.

Leciałem ku północnemu wschodowi, na wysokości przynajmniej mili. Po kilku godzinach dostrzegłem u ujścia Nilu Rosettę i Zatokę Abukirską, gdzie Nelson uni-496

cestwił francuską flotę. Aleksandria została z tyłu. Przeleciałem nad brzegiem, minąłem białą linię przyboju i dry-fowałem nad Morzem Śródziemnym. Cóż, wyszło jednak na to, że miałem utonąć.

Dlaczego nie pozbyłem się tego medalionu od razu, kiedy tylko trafił w moje ręce?

I wtedy w dole zobaczyłem fregatę, która patrolowała swój odcinek przybrzeżnych wód nieopodal Rosetty, gdzie w morze sięgał jeszcze czekoladowy jezior Nilu. Żagle małego okręciku lśniły w słońcu, a za nim ciągnął się biały kilwater. Morze pokrywały czapki niewysokich grzywaczy. Wiatr trzepotał

banderami.

- Ten okręt płynie pod angielską banderą - mruknąłem do siebie.

Czyż nie obiecywałem Nelsonowi, że wrócę z informacjami? Choć byłem pogrążony w rozpacz, powoli przez jej pokłady zaczęła się jednak przebijać chęć przeżycia.

Ale jak obniżyć wysokość lotu? Chwyciłem liny utrzymujące kosz pod worem balonu. Nie miałem ani mojej rusznicy, ani tomahawka, którymi mógłbym przedziurawić jedwab. Fregata zmieniła kurs, żeby przeciąć mój, a mali jak mrówki żeglarze zaczęli machać ku mnie. I wtedy przypomniałem sobie, że wciąż mam ogarek świecy i kawałek krzemienia. Pod worem był stalowy kołnierz, który obejmował

wszystkie liny. Oderwałem kilka skrawków włókna i uderzyłem krzemieniem w kołnierz. Sypnęło się kilka iskier i strzępy lin zajęły się ogniem. Zapaliłem ogarek, a potem sięgnąłem w górę, ku workowi.

Ktoś mi powiedział, że wodór jest gazem, który się pali.

Uniosłem świecę ku jedwabowi, zobaczyłem mały język płomienia...

I podmuch piekielnie gorącego powietrza wdusił mnie w dno kosza!

Cała kula w jednej chwili zajęła się ogniem!

497

Płomienie strzeliły w górę, jak z artyleryjskiego jaszczaka.

Balon nie eksplodował, wybuch nie był aż tak gwałtowny, ale zapłonął niczym stos suchych szyszek jodłowych. Zacząłem opadać, znacznie szybciej, niżbym pragnął. Ogień przybierał

na sile i wkrótce musiałem wyrzucić cały balast, żeby spowolnić spadek. Kosz kołysał się niebezpiecznie i ciągnął za sobą słup dymu i ognia. Zbyt szybko! Grzywacze porozdzielały się na pojedyncze rozbryzgi, tuż obok mnie przemknęła mewa; wokół mnie spadały w dół resztki płonącego wora i widziałem już pianę na falach.

Skuliłem się w kłębek w tej samej chwili, w której kosz z trzaskiem i pluskiem wpadł w fale. W górę strzeliła fontanna wody i buchnęły kłęby pary, gdy resztki płonącego jedwabnego wora wpadły w fale Morza Śródziemnego.

Na szczęście ogień pochłonął większość tego, co mogłoby mnie teraz pociągnąć na dno. Wiklinowy kosz przeciekał, ale dość wolno, poza tym dałem fregacie znak dymny, którego nie sposób było nie zauważyć. Okręt skierował się wprost na mnie.

Kosz poszedł na dno, kiedy z pokładu fregaty spuszczone szalupę. Po pięciu minutach pływania w dość ciepłej wodzie zostałem wyciągnięty jak marlin.

Już po raz drugi w życiu zostałem wyciągnięty na deski pokładu, zmoczony jak psiak i plujący wodą. Młody midszypmen patrzył na mnie, jakbym spadł z księżycy.

- Eeee... skąd się pan tu wziął?

- Od Bonapartego - wycharczałem.

- A kimże, u wszystkich diabłów, jesteś?

- Angielskim szpiegiem.

- No tak, pamiętam go, sir - odezwał się jeden z marynarzy.

- Wyłowiliśmy go już raz z wody pod Abukirem. Pływał jak korek.

- Proszę... - stęknąłem. - Jestem przyjacielem Sidneya Smitha.

498

- Sidneya Smitha, powiadasz... No, to się jeszcze zobaczy.

- Wiem, że wy, marynarze, za nim nie przepadacie, ale gdybyście mogli go jakoś powiadomić...

-Już niedługo będziesz mógł osobiście opowiedzieć mu swoje bajeczki.

Wkrótce potem stałem już na rufówce - mokry, zgłodniały, spragniony i obolały. Serce waliło mi tak, że pomyślałem, iż skonam lada moment. Ale kubek gorącego grogu postawił

mnie na nogi równie skutecznie jak nagły policzek.

Dowiedziałem się też, że mam zaszczyt być gościem kapitana Josiaha Lawrence'a na pokładzie *Dange-rous*.

Nazwa ta wcale mi się nie spodobała.

I rzeczywiście, *zaraz też* pojawił się Smith. *Ubrany* w uniform tureckiego admirała wyskoczył natychmiast na pokład z jakiejś znajdującej się niżej kabiny, gdy tylko dotarli do niego wieści o tym, że wyłowiono mnie z wody. Nie wiem, który z nas wyglądał bardziej zabawnie - ja, na poły utopiony szczur lądowy, czy on ubrany jak wschodni satrapa.

- Przebóg! To naprawdę Gage! - wykrzyknął człowiek, którego ostatni raz widziałem przy cygańskim taborze.

- Ten człowiek twierdzi, że jest pańskim szpiegiem -

oznajmił z niesmakiem Lawrence.

- Właściwie to wolałbym się uważać za obserwatora -

stwierdziłem.

- Na trójzęb Neptuna, Gage! - zakrzyknął Smith. -Dostałem wiadomość od Nelsona po bitwie pod Abuki-rem, ale nikt z nas nie wierzył, że uda ci się po raz drugi! - Klepnął mnie w plecy.

- Dobra robota, człowieku, doskonale się spisałeś! Ty się chyba w czepku urodziłeś!

Kaszlnąłem.

- Ja też się nie spodziewałem, że cię zobaczę, panie.

499

- Jakież ten świat jest mały, nieprawdaż? Spodziewam się, żeś się pozbył tego przeklętego medalionu?

- Owszem, panie.

- Mówiłem, że przyniesie ci same kłopoty. Same kłopoty, Gage. A tak co słyhać u Bonapartego?

- W Kairze wybuchła rebelia. A na południu tężeje opór mameluków.

- Wspaniałe wieści!

- Nie sądzę jednak, żeby Egipcjanie zdołali go pobić.

- No to im pomożemy. A ty ulotniłeś się jak ptaszek z jego gniazda?

- Pożyczyłem sobie jeden z jego balonów obserwacyjnych.

Potrząsnął z podziwem głową.

- Świetna robota, Gage! Świetna robota! Mam nadzieję, że dość już masz francuskiego radykalizmu? Wracaj do kraju i do króla. Czekażże! Ty przecież pochodzisz z kolonii? Ale mam nadzieję, że podzielasz angielski punkt widzenia?

- Wolałbym myśleć o nim jako o amerykańskim punkcie widzenia. I chętnie trzymałbym się z daleka od polityki.

- Cóż... słusznie, zupełnie słusznie. Ale w takich gorących czasach nie da się wycofać na bezludną wyspę. Musisz w coś wierzyć, nieprawdaż?

- Bonaparte mówi o marszu na Syrię.

- Wiedziałem! Ten drań nie spocznie, dopóki nie zajmie sultańskiego pałacu w Stambule! Syria, co? No to lepiej ru-szajmy w tamtą stronę i zawieźmy im ostrzeżenie. Jest tam jakiś pasza... jak on się nazywa? - Spojrzał na kapitana.

- Dżazzar - odparł Lawrence. - To imię znaczy „rzeź-

nik". Z urodzenia jest Bośniakiem i byłym niewolnikiem, który nawet w tym regionie znanym z okrucieństwa za słynął jako wyjątkowy okrumik. Najgorszy skurczybyk w promieniu pięciuset mil.

500

- Takiego właśnie człowieka potrzebujemy, żeby go na-puścić na Francuzów! - wykrzyknął Smith.

- Nie chcę już mieć nic wspólnego z Napoleonem -

przerwał mu. - Po prostu chcę się dowiedzieć, czy kobieta, z którą podróżowałem po Egipcie, przeżyła upadek z balonu, i spotkać się z nią, jeżeli tak się stało. A potem mam nadzieję, że załatwię sobie jakiś przejazd do Ameryki.

- Absolutnie zrozumiałe! Zrobiłeś swoje, Gage... i niezła to była robota! A jednak... człowiek o twojej odwadze i zdolnościach dyplomatycznych byłby nieocenioną pomocą w ostrzeżeniu brudasów przed Napoleonem, nieprawdaż? No, Gage, czy nie chciałbyś zobaczyć Lewantu? To zaledwie o rzut kamieniem od Kairu! Możesz się tam dowiedzieć czegoś o tej twojej kobiecie! Możemy poszperać,

angażując tych naszych śliskich jak oliwa szpiegów.

- Może przeprowadzilibyśmy wywiad przez Aleksandrię?

- Zejdź na brzeg i natychmiast zostaniesz rozstrzelany!

Albo, co gorsza, powieszą cię jako szpiega i złodzieja balonów!

Ach, Francuzi już ostrzą na ciebie gilotynę. Nie, nie, ta opcja jest dla ciebie zamknięta. Wiem, że jesteś samotnym wilkiem, pozwól jednak, żeby królewska marynarka trochę ci pomogła.

Jeżeli ta kobieta żyje, możemy się czegoś dowiedzieć przez Palestynę i zorganizować wyprawę z poważnymi szansami na jej uwolnienie. Podziwiam twoją odwagę, człowieku, ale teraz czas na zimny rozmyśl.

Miał rację. Przypuszczam, że spaliłem za sobą mosty i nie dogadam się już z Napoleonem, a samotny najazd na Egipt byłby raczej przejawem manii samobójczej niż dzielności czy odwagi. Moja przejażdżka balonem zostawiła Astizę daleko w głębi lądu na południe, w Kairze! Może zdołałbym popracować z sir Sidneyem, dopóki nie dowiedziałbym się, co z Astizą?

Znalazłszy się na brzegu w jakimś pobliskim porcie, takim jak El Arish lub Gaza,

501

mógłbym wymienić cherubiny na pieniądze. A potem jedna gra w karty... nowa strzelba...

- Akra, Hajfa, Jafa... Same historyczne miasta - ciągnął

Smith. - Saraceni, krzyżowcy, Rzymianie, Żydzi... znam miejsca, gdzie mógłbyś nam pomóc.

- Pomóc? - To ja chciałem, żeby oni mnie pomogli.

- Ktoś o twoich zdolnościach mógłby się tam wślizgnąć i rozejrzeć, zbierając też wiadomości o tej kobiecie. Doskonałe miejsce dla twoich i moich celów.

- Celów?

Kiwnął głową, w której kotłowały się już plany niczym burzowe chmury. Jego uśmiech był szeroki jak wylot armatniej lufy. Ujął moje dłonie, jakbym spadł z nieba w odpowiedzi na wszystkie jego modły.

- Jerozolima! - zawołał.

Podczas gdy ja zastanawiałem się nad wolą bogów czy fortuny, dziób naszego okrętu powoli zaczął się kierować ku nowemu celowi.

NOTA HISTORYCZNA

Podjęta przez Napoleona Bonapartego w 1798 roku inwazja na Egipt była nie tylko jednym z największych przedsięwzięć militarnych wszechczasów, ale też stała się punktem zwrotnym dla historii Francji, Egiptu i całego działu archeologii.

Skończyła się porażką generała, ale też stała się impulsem do działania, przyniosła mu sławę i determinację, dzięki którym zdobył absolutną władzę we Francji. Dla Egiptu inwazja Francuzów stała się przełomem; kładąc kres wielowiekowej dominacji

mameluków

i

Imperium

Osmáńskiego,

zapoczątkowała erę współczesności. Nie tylko otworzyła Wschód na zachodnią technologię i handel, zaczęła też burzliwą erę kolonializmu, modernizacji i napływu kultury, które zaowocowały niepodległością tego kraju. Dla archeologii włączenie 167 uczonych do korpusu inwazyjnego stało się punktem zwrotnym w historii tej nauki. Na początku roku 1799

francuscy żołnierze znaleźli w Rosecie kamień pokryty pismem greckim, demotycznym i hieroglifami; stał się on kluczem do odczytania i rozszyfrowania tych ostatnich przez Champolliona w roku 1822. Uczeń w latach 1809-1828

stworzył monumentalne dzieło *Opis Egiptu*, które dało początek współczesnej egiptologii. Zapoczątkowało też romantyczną epokę zainteresowania Egiptem trwającej do dziś fascynacji starożytnościami. Prawie wszystko, co wiemy o starożytnym Egipcie, ma swój początek w napoleońskiej inwazji na ten kraj.

503

Koncepcję, że Wielka Piramida jest czymś więcej niż grobem faraona, który w istocie został pochowany gdzie indziej, zawdzięczamy starożytnym greckim historykom Herodotowi i Diodorowi. Zagadkę pogłębił fakt, że arabscy zdobywcy i rabusie grobów pod wodzą kalifa Al-Mamuna w dziewiątym wieku naszej ery, wdarłszy się do grobowca, nie znaleźli mumii faraona ani skarbcza czy jakichkolwiek inskrypcji. Podczas dwu ostatnich stuleci światem egiptologów wstrząsały nieustanne dyskusje i debaty dotyczące znaczenia wymiarów piramidy, ich matematycznych powiązań i tajemnic.

Prowadzone nieustannie prace odkrywają wciąż nowe tajemnice, dodając je do dawnych - i nadal podejrzewa się, że we wnętrzu Wielkiej Piramidy są ukryte komnaty. Piramidy w Gizie spoczywają na wapiennym podłożu, wewnątrz którego mogą istnieć wydrążone przez wodę lub ludzi jaskinie, Herodot zaś podaje, że pod Wielką Piramidą w istocie jest podziemne jezioro lub przepływa rzeka.

Precyzyjne umieszczenie Wielkiej Piramidy, jej tajemnicze powiązanie z wymiarami naszej planety czy liczbą pi i fascynujące korelacje pomiędzy wymiarami wewnętrznych komnat są absolutnie prawdziwe. Ciąg Fibonacciego znany jest doskonale matematykom i widuje się go w naturze, tak jak

go opisał Jomard, a wcielenie w wymiary piramidy złotego podziału również odpowiada prawdzie. Trójkąt Pascala jest koncepcją matematyczną, która wiąże się z wieloma działami matematyki nie wymienionymi w tej książce. W rzeczy samej, posługując się tym sposobem, można trafić na liczbę, którą starożytni Egipcjanie uznawali za wartość pi, choć nie twierdzą, że oznacza ona numer bloku otwierającego sekretne drzwi. Korzystając z *licentia prosaica*, pozwoliłem odgadnąć francuskim uczonym nieco więcej tajemnic matematycznych, niż było znanych podczas inwazji Napoleona. Choć Jomard w istocie opublikował swoje intrygujące teorie, nie-504

które koncepcje opisane w książce zawdzięczamy pracom późniejszych uczonych, którzy dysponowali wynikami dokładniejszych pomiarów. Zainteresowanych tymi fascynującymi związkami odsyłam do wydanej w roku 1971

książki Petera Tompkinsa i Livia Catulla Stecchiniego *Secrets of the Great Pyramid*.

Powieść trzyma się znanych faktów z historii podboju Egiptu przez Napoleona. Większość jej bohaterów to ludzie prawdziwi i jak najbardziej realni - włączając w to dziesięcioletniego Giocante Casabiancę, którego śmierć w bitwie pod Abukirem zainspirowała poetkę F. D. Browne Hemans do napisania słynnego dziewiętnastowiecznego poematu *Casablanca* zaczynającego się od słów „The Boy stood on the burning deck”. Ze względów narracyjnych posłałem generała Desaix'go do Dendery trzy miesiące wcześniej, niż zjawił się tam w istocie. Dowodzony przezeń korpus dotarł do świątyni w styczniu 1799 roku i znużony długotrwałym

marszem

Denon

tak

się

zachwycił

wspaniałościami świątyni, że napisał w swoim dzienniku: „To, co dziś zobaczyłem, sownie wynagrodziło mi wcześniejsze trudy marszu”. W kilka dni później, gdy pierwsze oddziały francuskiej dywizji dotarły do ruin Karnaku i Luksoru, żołnierze bez rozkazu się zatrzymali i oddali świątyniom wojskowe honory.

Wiele innych historycznych szczegółów (łącznie z balonami Contego) zawartych w tej książce również odpowiada prawdzie. Uczni do dziś się spierają, czy Napoleon w istocie zwiedził Wielką Piramidę i co mogło mu się przydarzyć podczas tego zwiedzania; autor tej powieści położył się osobiście w wielkim sarkofagu - tak jak mógłby to zrobić Bonaparte - i stwierdził, że doświadczenie należy do tych, o których niełatwo zapomnieć.

Opowieść zawiera wątki historyczne i polityczne, opisuje obrzędy masońskie, zawiera też informacje bibliograficzne, mistyczne spekulacje i wiedzę o starożytnym Egip-505

cie. Ciekawym ogólnej historii inwazji polecam cieszącą się powszechnym uznaniem wydaną w 1962 roku książkę J.

Christophera Herolda *Bonaparte In Egypt*. Fascynujące rysunki z tej wyprawy zawdzięczamy Vivantowi Denonowi, francuskiemu kapitanowi Josephowi Marie Moureto-wi i Egipcjaninowi Al-Jabartenm. Niektóre cytaty przypisywane w tej powieści Napoleonowi są prawdziwe, choć nie wszystkie wypowiedział podczas kampanii egipskiej. Ujawniają one fascynującą i skomplikowaną osobowość tego człowieka.

Napisano setki książek naukowych i popularnonaukowych dotyczących egiptologii. Niezmiernie obszerna jest też literatura dotycząca piramid, starożytnych bogów i egipskiej magii. Ciekawą pozycją dotyczącą alternatywnej historii starożytnego Egiptu jest wydana w roku 2005 książka *Pyramid Quest* Roberta Schocha i Roberta McNally'ego. Książką wspominającą o narodzinach nurtu rytu egipskiego w masonerii i ukazującą tęsknoty za tajemnicami w Wieku Rozumu jest biografia Cagliostro *Alchemik. Cagliostro - ostatni mag Europy*, napisana w 2003 roku przez Iana McCalmana. Porywającym, w niektórych miejscach niekonsekwentnym, ale doprawdy monumentalnym dziełem jest klasyczna, napisana w 1928 roku książka *The Secret Teachings of AU Ages* pióra Manly'ego P. Halla. Zawiera ona podsumowanie tego, co entuzjaści - od imienia greckiego boga Hermesa, który jest europejskim wcieleniem egipskiego Tota - nazywają wiedzą hermetyczną.

Za historyczne treści zawarte w tej książce jestem niezmiernie wdzięczny dziesiątkom autorów, wiele zawdzięczam również Ruth Shilling z Ali One Word Egypt Tours; egipskim przewodnikom Aszrafowi Mohie el-Dinowi i Ga-lalowi Hassanowi Marghany'emu, oraz egiptologowi amatorowi Richardowi Menville'owi z Wielkiej Brytanii.

506

Im zawdzięczam wszystko, co w tej książce jest prawdziwe -

fikcję należy przypisać autorowi. Jak zawsze, muszę też podziękować za wsparcie i pomoc moim wydawcom z HarperCollins, którymi są Michael Shohl, Jill Schwartz-man i Jonathan Burnham, a także Davidowi Koralowi, Marcie Cameron i mojemu agentowi, Andrew Stuartowi. Szczególne podziękowania należą się też mojej żonie, Holly, która wespół

ze mną na czworakach zwiedzała wnętrza piramid.

I wreszcie podziękowania za wspaniałe okazywaną go-

ścianność należą się też narodowi egipskiemu, tak dumnemu ze swego dziedzictwa.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)